

ALEXANDRE DUMAS
(OJCIEC)

HRABINA DE CHARNY

TOM I

I GOSPODA PRZY MOŚCIE SEVRES

Gdyby czytelnik zechciał sięgnąć po naszą powieść *Anioł Pitou* i otworzywszy jej drugi tom rzucić okiem na rozdział zatytułowany „Noc z 5 na 6 października”, odnajdzie tam kilka faktów, jakie należy uświadomić sobie przed rozpoczęciem lektury tej książki, której akcja rozgrywa się właśnie rankiem szóstego października.

Zanim więc najkrócej streścimy fakty, które poprzedzić mają dalszy ciąg naszego opowiadania, zacytujmy kilka istotnych akapitów tego rozdziału.

Oto one:

O trzeciej zatem wszędzie panował spokój. Nawet członkowie Zgromadzenia, uspokojeni raportem woźnych, rozeszli się do domów. Łudzono się, że nic nie zakłóci tego spokoju.

Mylne rachuby!

We wszystkich niemal ruchach ludowych poprzedzających wielkie rewolucje jest chwila ciszy, kiedy wszystkim wydaje się, że to już koniec, że można spokojnie usnąć.

Mylne przypuszczenie!

Za tymi, którzy wywołują pierwsze rozruchy, zjawiają się ci, co czekają, aż dokonany zostanie pierwszy krok, a potem czekają, aż jego sprawcy, zmęczeni lub zadowoleni, lecz nie pragnący pójść dalej, udadzą się na spoczynek.

Wtedy owi nieznani ludzie, tajemniczy agenci zgubnych namiętności, pod osłoną mroków podejmują rozpoczęte dzieło. Prowadzą je aż do końca, niosąc grozę i zakłócając sen tych, którzy utorowali drogę, ale spoczęli w połowie, sądząc, że wędrówka już zakończona, a cel osiągnięty.

Trzech spośród tych ludzi wymieniliśmy w książce, z której przytoczyliśmy oto kilka zdań.

Niech nam teraz wolno będzie wprowadzić na scenę, czyli na próg gospody przy moście Sevres, postać, która choć jeszcze nie nazwana, odegrała przecież ważną rolę owej straszliwej nocy.

Był to mężczyzna w wieku czterdziestu pięciu czy czterdziestu ośmiu lat, ubrany jak robotnik w welwetowe spodnie, które osłaniał skórzany fartuch z kieszeniami, taki, jaki noszą kowale lub ślusarze. Na nogach miał szare pończochy i skórzane trzewiki z miedzianą klamrą, na głowie zaś rodzaj mechatej czapki, podobnej do przeciętego na pół ułańskiego czaka. Wydobywała się spod niej gęstwa siwiejących włosów opadających na szerokie brwi, na wpół zasłaniających wielkie wylupiaste oczy, inteligentne i ruchliwe, w których migotały tak zmienne i żywe błyski, iż trudno było ustalić, czy są zielone czy szare, błękitne czy czarne. Reszty oblicza dopełniał dość wydatny nos, grube wargi, białe zęby i śniada cera.

Choć niezbyt wysoki, człowiek ten był świetnie zbudowany: miał cienkie przeguby, drobne stopy, a jego małe dłonie mogłyby uchodzić nawet za delikatne, gdyby nie brązowy odcień, właściwy robotnikom mającym do czynienia z żelazem. Ale przyglądając się tym ręką do łokcia i powyżej, w miejscu gdzie zawinięty rękaw koszuli pozwalał dostrzec zarys silnego umięśnienia, łatwo było zauważyć, że mimo wyraźnego rysunku mięśni skóra była tam cienka, delikatna, niemal arystokratyczna.

Człowiek ten miał przewieszoną przez ramię bogato inkrustowaną złotem strzelbę–dwururkę, a na jej lufie odczytać było można nazwisko Leclère’a, zbrojmistrza, który od pewnego czasu cieszył się znacznym powodzeniem wśród arystokratycznych myśliwych Paryża.

Zapytani, w jaki sposób tak piękna broń trafiła do rąk prostego robotnika, odpowiemy, że w dniach zamętu, a chwalić Boga widzieliśmy niejedno, najlepsza broń nie zawsze trafiała w

najdelikatniejsze ręce.

Człowiek ten opuścił Wersal niecałą godzinę wcześniej i doskonale wiedział, co się tam zdarzyło, bowiem na pytania, jakie zadał mu oberżysta, stawiając przed nim flaszkę wina, której nawet nie zaczął, odpowiedział:

Że królowa nadjeżdża z królem i delfinem;

Że wyjechali koło południa;

Że wreszcie zdecydowali się zamieszkać w pałacu Tuileries, co sprawi, iż w Paryżu nie powinno w przyszłości zabraknąć chleba, gdy miasto gościć będzie w swoich murach piekarza, piekarnicę i małego piekarzyka.

Oraz że on sam czeka na przejazd orszaku.

To ostatnie stwierdzenie mogło być prawdziwe, choć łatwo było dostrzec, że z większą ciekawością spoglądał w stronę Paryża niż w stronę Wersalu, co pozwalało mniemać, iż nie czuje się w obowiązku dokładnie wyjaśniać własnych zamiarów oberżysty, który pozwolił sobie o to zapytać.

Zresztą po krótkim czasie jego oczekiwania wydały się zaspokojone. Na wzniesieniu, które przesłaniało horyzont drogi, ukazał się człowiek podobnie ubrany i na pozór należący do tego samego zawodu.

Człowiek ten wyglądał na wędrowca, który przebył długą drogę. W miarę jak się zbliżał, rozpoznać można było jego rysy i określić wiek. Mógł mieć tyleż lat co nasz nieznajomy, czyli, jak mówi lud, z pewnością można było stwierdzić, że był „po gorszej stronie czterdziestki”. Jeśli zaś chodzi o rysy, zdawał się być człowiekiem z gminu o niskich skłonnościach i złych instynktach.

Nieznajomy wpatrywał się weń ciekawie, z dziwnym wyrazem twarzy, jakby jednym spojrzaniem chciał zgłębić całe zło i podłość, jakie kryć mogło serce tego człowieka.

Kiedy ów nadchodzący od strony Paryża robotnik znalazł się o dwadzieścia kroków od osobnika czekającego przy drzwiach, ten wszedł do środka, do jednej z dwóch szklanek stojących na stole nalał wina z nie tkniętej dotąd butelki i wróciwszy na próg ze szklanką w ręce, zawołał:

— Ej, kamracie, na dworze jest zimno, a droga długa, czy nie wypijemy kieliszka wina, aby się trochę pokrząć i rozgrzać?

Przybyły z Paryża rozejrzał się wokoło, jakby chcąc się upewnić, czy zaproszenie jego dotyczy.

— To do mnie mówicie?

— A do kogo, jeśli łaska, skoro jesteście sami?

— I fundujecie mi szklaneczkę? — Czemuż by nie?

— Ach!

— Zdaje się, że należymy do tego samego zawodu? Robotnik patrzył chwilę na nieznajomego.

— Wszyscy — powiedział — możemy należeć do tego zawodu, ważne tylko, czy w tym zawodzie jest się czeladnikiem, czy majstrem.

— Możemy to zaraz sprawdzić, gawędząc przy winie. — Niech będzie — odrzekł robotnik kierując się ku drzwiom gospody.

Nieznajomy wskazał mu stół i podał szklaneczkę.

Robotnik wziął ją, przyjrzał się butelce wina, jakby wzbudziła w nim jakąś nieufność, która zniknęła, gdy nieznajomy napełnił swoją szklankę po brzegi. Zapytał jednak:

— Jak to? Czyżbyście nie raczyli wypić z tym, kogo zapraszacie?

— Ależ nie, na honor. Zdrowie narodu!

Szare oczy robotnika spoczęły na chwilę na człowieku, który wznosił ten toast. Po czym powtórzył:

— Ech, dalibóg, dobrze mówicie: zdrowie narodu!

I jednym haustem wypił zawartość szklaneczki. Następnie otarł usta rękawem i rzekł:

— Ho, ho, toż to burgund!

— I to omszały. Polecono mi tę gospodę. Wstąpiłem przechodząc i wcale nie narzekam. Ale siadajcie, kamracie, w butelce zostało jeszcze co nieco, a gdy zabraknie, znajdzie się inna w piwnicy.

— Chyba że tak — powiedział robotnik. — A co wy tu robicie?

— Widzicie przecież. Przybywam z Wersalu i czekam na orszak, aby towarzyszyć mu do Paryża.

— Jaki orszak?

— No, orszak króla, królowej i delfina, którzy wracają do Paryża w towarzystwie przekupek i dwustu członków Zgromadzenia, pod ochroną Gwardii Narodowej i pana de La Fayette'a.

— A zatem Obywatel postanowił udać się do Paryża?

— Musiał.

— Domyślałem się tego, kiedy dziś o trzeciej rano wyruszyłem do Paryża.

— Wyruszyliście dziś o trzeciej rano i opuściliście Wersal ot, tak sobie, nie interesując się tym, na co się tam zanosi.

— Pewno, że chciałem wiedzieć, co się stanie z obywatelem, tym bardziej, że nie chwałę się, to mój stary znajomy. Ale rozumiecie, robota przede wszystkim! Mam żonę i dzieci, trzeba to wszystko wyżywić, zwłaszcza teraz, kiedy już nie będzie królewskiej kuźni.

Nieznajomy nie podjął obu tych aluzji.

— Mielicie więc jakąś pilną robotę w Paryżu? — nalegał dalej.

— Faktycznie, i to dobrze płatną — dodał robotnik, pobrząkując monetami w kieszeni — chociaż pieniądze dał mi zwykły lokaj, i to lokaj Niemiec, co nie jest zbyt uprzejme i sprawiło, że nie mogłem uciąć sobie najmniejszej pogawędki.

— Lubicie sobie pogawędzić, co?

— Czemu nie. Zawsze to rozrywka, jeśli nie obmawia się innych.

— A co dopiero, jak się obmawia, he?

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem, nieznajomy ukazując białe zęby, robotnik zaś — zepsute.

— Tak więc wykonaliście pilną i dobrze płatną robotę — podjął nieznajomy, jak człowiek posuwający się krok za krokiem, nieustępliwie, którego nic nie może powstrzymać.

— Właśnie.

— I pewnie była to trudna robota?

— Tak, trudna.

— Sekretny zamek, co?

— Tajemne drzwi... Wyobraźcie sobie dom, którego właściciel ma jakiś interes, żeby się ukrywać, no nie?... Ktoś dzwoni. Lokaj otwiera drzwi. „Zastałem pana?” — „Nie ma go.” — „Ależ wiem, że jest.” — „To proszę poszukać!” Szukają. I dobranoc. Niech no kto spróbuje znaleźć pana. Żelazne drzwi, uważacie, obramowane równiutkim gzymsem. Na to warstwa starego dębu, tak że nie sposób odróżnić drewna od żelaza.

— A opukując?

— Gdzie tam. Warstwa drewna na żelazie grubości jednej dwunastej cala, akurat taka, żeby dźwięk był wszędzie jednakowy... puk, puk, puk, puk... Po skończonej robocie ja sam nie mogłem rozróżnić:

— A gdzieście to zmajstrowali?

— W tym właśnie sęk.

— Nie chcecie mi powiedzieć?

— To nie to, tylko sam nie wiem.

— Czyżby zawiązano wam oczy?

— Właśnie. Czekano na mnie z powozem przy rogate. Zapytano: „Jesteście ten a ten?”

Odpowiedziałem: „Tak”. „W porządku, właśnie na was czekamy, wsiadajcie.” „Mam wsiąść?” „Tak.” Wsiadłem, zawiązano mi oczy, powóz jechał prawie pół godziny, potem otwarła się jakaś brama, wielka brama. Potknąłem się o pierwszy stopień podjazdu, minąłem dziesięć stopni, wszedłem do przedpokoju. Tu usłyszałem, jak niemiecki lokaj mówi do tamtych: „Topsze, ićcze sobie, jusz was tu nie czeba”. Tamci odeszli, on zdjął mi z oczu opaskę i pokazał, co jest do zrobienia. Zabrałem się do roboty, jak na majstra przystało. O pierwszej w południe wszystko było zrobione. Zapłacono mi w brzęczących luidorach, znów zawiązano oczy, wsadzono do powozu, wysadzono w tym samym miejscu, w którym wsiadłem, życzo szczęśliwej drogi! — i oto jestem.

— I nic nie widzieliście, nawet kątem oka? Do licha, opaska nie jest tak mocno zaciśnięta, żeby nie można było zerknąć na prawo czy w lewo.

— Hm, hm...

— Więc przyznajecie, żeście coś jednak widzieli — powiedział nieznajomy, nie ukrywając, ciekawości.

— No, kiedy się potknąłem o pierwszy stopień podjazdu, skorzystałem z zamieszania, żeby rozluźnić nieco opaskę.

— A rozluźniwszy opaskę?

— Zobaczyłem po lewej rząd drzew, co mogło świadczyć, że dom stoi przy bulwarze, ale to i wszystko.

— Wszystko?

— Słowo honoru.

— To niewiele.

— Zważywszy, że bulwary są długie, a na odcinku od kawiarni Saint-Honoré do Bastylli stoi niejeden dom z wielką bramą i podjazdem.

— Więc nie potrafilibyście rozpoznać tego domu? Ślusarz zamyślił się na chwilę.

— Nie, słowo daję, nie potrafiłbym.

Choć na ogół z twarzy nieznajomego można było wyczytać tylko to, co chciał dać po sobie poznać, odpowiedź ta najwyraźniej go ucieszyła.

— Czy w Paryżu nie ma już ślusarzy — powiedział nagle przechodząc do innego tematu — i chcąc zrobić tajemne drzwi, trzeba wzywać ślusarza z Wersalu? — Mówiąc to nalał rozmówcy pełną szklanekę wina i stuknął pustą flaszką o stół, dając tym znak oberżycie, aby przyniósł nową.

II MISTRZ GAMAIN

Ślusarz zbliżył szklanekę do oka, z zadowoleniem spojrzął na wino, po czym smakując je z lubością powiedział:

— Ależ skąd, są jeszcze ślusarze w Paryżu. Wypił kilka kropel.

— Są nawet mistrzowie. Wypił jeszcze łyk.

— Tak też myślałem — wtrącił nieznajomy. — Tak, ale mistrz mistrzowi nie równy.

— Ha, ha — zaśmiał się nieznajomy. — Widzę, że jak święty Eligiusz jesteście nie tylko mistrzem, ale mistrzem nad mistrzami.

— I to najlepszym z wszystkich. Wy też należycie do tego stanu?

— Chyba tak.

— Kim jesteście?

— Jestem rusznikarzem.

— Macie tu coś swojej roboty?

— Spójrzcie na tę strzelbę.

Ślusarz wziął fuzję z rąk nieznajomego, obejrzał dokładnie, wypróbował sprężyny, z zadowoleniem ocenił suchy trzask zamka, wreszcie, odczytawszy nazwisko wyryte na lufie, powiedział:

— Leclère? To niemożliwe, przyjacielu. Leclère ma najwyżej dwadzieścia osiem lat, a my, bez urazy, obaj dobiegamy pięćdziesiątki.

— Prawda, że nie jestem Leclère'em — odparł nieznajomy — ale tak jakby.

— Jakże to?

— Zapewne dlatego, że jestem jego mistrzem.

— Ach, zgoda — zawołał ze śmiechem ślusarz — to tak jakbym ja powiedział: „Nie jestem królem, ale tak jakby”.

— Co „tak jakby”? — powtórzył nieznajomy.

— No tak, bo jestem jego mistrzem — odparł ślusarz.

— Och! — nieznajomy wstał parodiując wojskowy salut. — Czyżbym miał zaszczyt rozmawiać z panem Gamain?

— We własnej osobie, do pańskich usług, jeśli czymś mogę służyć — odparł ślusarz zachwycony, wrażeniem, jakie wywołało jego nazwisko.

— Do licha, nie wiedziałem, że mam do czynienia z tak wybitnym człowiekiem.

— Że jak?

— Z tak wybitnym człowiekiem — powtórzył nieznajomy.

— Tak wytrwałym, chce pan powiedzieć.

— Ach tak, przepraszam — podjął ze śmiechem nieznajomy — ale jak wiecie, biedny rusznikarz nie włada francuskim jak mistrz, i to jaki, mistrz króla Francji! — Potem zmieniając ton zapytał: — Powiedzcie no, to nie musi być zabawne — być mistrzem króla.

— A czemuż to?

— No jakże, wiecznie trzeba wkładać rękawiczki, nawet żeby powiedzieć „dzień dobry” lub „dobry wieczór”.

— Wcale nie.

— Kiedy trzeba mówić: „Wasza Królewska Mość, proszę wziąć ten klucz lewą ręką” albo: „Sire, proszę chwycić ten pilnik w prawą”.

— Na tym właśnie polega jego urok, że w gruncie rzeczy jest poczciwym człowiekiem. Kiedy przychodził do kuźni, wkładał fartuch, zawijał rękawy koszuli i nikt by nie powiedział, że to najstarszy syn świętego Ludwika, jak go nazywają.

— Faktycznie, macie rację, to dziwne, jak bardzo król podobny jest do zwykłego człowieka.

— Nieprawda? Już dawno spostrzegli to ludzie bliscy królom.

— Nie byłoby to takie ważne, gdyby spostrzegli to tylko bliscy — powiedział nieznajomy uśmiechając się zagadkowo — ale zaczynają to dostrzegać także ci, co mu są raczej dalecy.

Gamain spojrział na swego rozmówcę z pewnym zdziwieniem.

Ten jednak nie dał ślusarzowi czasu na ocenę wagi zdania, jakie właśnie wygłosił, i ciągnął dalej: — Tym bardziej uważam za upokarzające, jeśli człowieka, który nie różni się niczym od innych, zawsze trzeba nazywać „Sire, Najjaśniejszy Pan, Wasza Królewska Mość”.

— Ale jego wcale nie trzeba tak tytułować. W kuźni już wcale tego nie było. Mówiłem do niego „obywatelu”, a on do mnie Gamain. Tyle, że on mówił mi przez ty.

— Tak, ale kiedy zbliżała się pora obiadu albo kolacji, odsyłano Gamaina do izby czeladnej, między służbę i lokajów.

— Ależ nie, wcale nie! Nigdy tego nie zrobił, przeciwnie, kazał przynosić do kuźni nakryty stół i często, zwłaszcza w porze obiadu, siadał razem ze mną do stołu mówiąc: „Co tam, nie będę jadł obiadu z królową i dzięki temu nie będę musiał sobie myć rąk”.

— Nie bardzo rozumiem.

— Nie rozumiecie, że jak król przychodził do mnie do kuźni pracować, obrabiać żelazo, to, u licha, ręce miał takie jak my! Co nam nie przeszkadza być uczciwymi ludźmi. Ale królowa ze swoją świętoszkowatą minką mówiła mu: „Fe, mój panie, waszmość masz brudne ręce!” Jakby można było mieć czyste ręce po robocie w kuźni!

— I mnie to mówicie! — rzekł nieznajomy. — Aż się chce płakać!

— Bo, widzicie, w gruncie rzeczy ten człowiek czuł się dobrze tylko w kuźni albo w swoim gabinecie geograficznym, ze mną lub ze swoim bibliotekarzem. Ale mnie chyba bardziej lubił.

— Nieważne, niemilo jednak być mistrzem złego ucznia.

— Złego ucznia? — zawołał Gamain. — O nie, nie trzeba tak mówić. Bo, widzicie, jego nieszczęściem jest to, że przyszedł na świat jako król i musi zajmować się różnymi głupstwami zamiast czynić postępy w swoim rzemiośle. Królem zawsze będzie biednym, bo jest zbyt uczciwy, a mógłby być doskonałym ślusarzem. Jest taki jeden na przykład, którego szczególnie nie znosiłem, bo tyle czasu mu zabierał: pan Necker. Mój Boże, ile ten mu czasu zmarnował!

— Pewnie swoimi rachunkami?

— Tak, rachunkami z obłoków, rachunkami z powietrza, jak to mówiono.

— No to, przyjacielu, sądzę, że...

— Że co?

— Że uczeń tej rangi musiał być wspaniałym klientem. — Wcale nie! Mylicie się, właśnie o to mam do niego pretensje, do tego waszego Ludwika XVI, ojca ojczyzny, odnowiciela narodu francuskiego; wszyscy myślą, że jest bogaty jak Krezus, a jest biedny jak Hiob.

— Biedny? A cóż on robił z pieniędzmi?

— Dobre sobie! Połowę oddawał ubogim, a drugą połowę bogatym, tak że nigdy nie miał grosza. Oskubywali go, poczciwego biedaka, różni panowie Coigny, Vaudreuil i Polignac! Kiedyś chciał obniżyć gażę panu de Coigny. Ten zaczął się pod drzwiami kuźni, a gdy król wyszedł na pięć minut, powrócił śmiertelnie błądy szepcząc: „Dalibóg, myślałem, że mnie pobije”. „A gaża, Najjaśniejszy Panie?” — zapytałem. „Nie tknąłem jej — rzekł — no bp cóż miałem robić?” Innym razem chciał zrobić wymówkę królowej o wyprawę dla pani de Polignac, wyprawę wartości trzystu tysięcy franków!

— Ładna sumka!

— A i tego było jeszcze mało! Królowa kazała mu dać pięćset tysięcy. Dlatego wszyscy ci panowie Polignac, którzy dziesięć lat temu nie mieli grosza, dziś opuszczają Francję z milionami! Gdyby jeszcze mieli jakieś talenty, ale dajcie tym drabom imadło i pilnik, a zobaczymy, czy potrafią dorobić zwykłą śrubkę do zamka... Za to świetnie gadają, ci rycerze, co ponoć wywindowali go w górę, a teraz każą mu wykręcać się samemu z pomocą panów Bailly, La Fayette'a i Mirabeau. A mnie, który dałem mu tyle dobrych rad, porzuca na pastwę losu z roczną rentą półtora tysiąca franków, mnie, swego mistrza i przyjaciela, który włożył mu pilnik do ręki!

— No tak, ale kiedy z nim pracujecie, zawsze wpada wam jakiś dodatkowy zarobek?

— Gdzie tam! Zresztą, czy ja, z nim obecnie pracuję? Po pierwsze, to by mnie kompromitowało. Od zdobycia Bastylji noga moja nie postąpiła w pałacu. Spotkałem go dwa albo trzy razy; za pierwszym razem na ulicy, było pełno ludzi i tylko mnie pozdrowił; za drugim, to było na drodze do Satory, byliśmy sami, kazał zatrzymać powóz. „To ty, mój zacny Gamain? — powiedział z westchnieniem — dzień dobry.” „Tak, tak, nie wszystko jest po myśli pana, ale to go nauczy...” „A jak się ma twoja żona i dzieci?” — przerwał mi. „Doskonale, mają wilcze apetyty...” „Zaczekaj — powiedział król — dasz im prezent ode mnie.” Zaczął grzebać po wszystkich kieszeniach i wyskrobał dziewięć ludwików. „Nie mam więcej przy sobie, mój poczciwy Gamain, i wstyd mi, że prezent jest taki mizerny.” Przyznacie, rzeczywiście, było się czego wstydzicie, król, który ma tylko dziewięć ludwików w kieszeni, król, który koledze i przyjacielowi robi prezent z dziewięciu ludwików!... Dlatego...

— Dlatego odmówiliście?

— Nie. Pomyślałem: „Bierz, skoro ci dają, bo zawsze znajdzie się jakiś mniej honorowy, co przyjmie”. Ale tak czy owak, król może być spokojny, moja noga nigdy nie postanie w Wersalu, chyba żeby mnie wezwał, a i to nie wiem!

— Wdzięczne serce — mruknął nieznajomy.

— Co mówicie?

— Mówię, mistrzu Gamain, że naprawdę wruszające jest takie oddanie jak wasze, które oprze się wszelkim przeciwnościom losu! Wypijmy ostatnią szklanę za zdrowie waszego ucznia!

— Och, na honor, on wcale na to nie zasługuje. Ale trudno, jego zdrowie mimo wszystko.

Wypił i ciągnął dalej:

— Kiedy pomyślę, że miał w swoich piwnicach ponad dziesięć tysięcy butelek, z których najlichsza była dziesięć razy lepsza od tej, cośmy ją wypili, i że nigdy nie powiedział do któregoś z lokajów: „Weź no koszyk wina i zanieś mojemu przyjacielowi Gamain”. Tak, wołał poić nim swoją gwardię przyboczną, swoich odźwiemych i żołnierzy z Pułku Flandryjskiego. I co mu to dało!

— Cóż chcecie — rzekł nieznajomy, opróżniając drobnymi łykami szklanę — tacy są właśnie królowie. Niewdzięczni. Ale ciszej, nie jesteśmy sami.

Istotnie, do gospody weszło dwóch osobników z ludu i jedna przekupka, zajmując stół obok tego, gdzie nieznajomy i mistrz Gamain dopijali drugą flaszkę wina.

Ślusarz przyglądał im się z uwagą, która wywołała uśmiech na obliczu nieznajomego. Trójka nowo przybyłych zasługiwała zresztą na uwagę.

Jeden z mężczyzn był jakby tylko kadłubem, drugi — rzecz by można — składał się za to z samych nóg. Jeśli zaś idzie o kobietę, trudno było dociec, kim właściwie była.

Ten, co składał się cały tylko z torsu, wyglądał na karła, bo miał niecałych pięć stóp wzrostu, a w dodatku wydawał się niższy o jeden lub dwa cale, bo kolana załamywały mu się do środka i mimo szeroko rozstawionych stóp niemal się dotykały.

Twarz jego, zamiast łagodzić tę ułomność, zdawała się jeszcze ją podkreślać. Tłuste i brudne włosy lepiły się do niskiego czoła, nieregularnie zarysowane brwi były jakby każda z innej pary; oczy, mętne, szkliste i bez blasku jak oczy żaby, w chwilach irytacji zapalały się iskierką wściekłości niczym źrenice jadowitej żmii; spłaszczony i nierówny nos uwydatniał jeszcze wystające kości policzkowe; wreszcie, dopełniając tej odrażającej całości, wykrzywione usta o żółtawych wargach odsłaniały rzadkie, chwiejące się i zepsute zęby. Na pierwszy rzut oka ten człowiek zdawał się mieć w żyłach żółć zamiast krwi.

W przeciwieństwie do niego drugi wyglądał jak czapla osadzona na szczudłach. Podobieństwo do tego ptaka było tym większe, że — jak i on garbaty — miał wciśniętą w ramiona głowę, z której wyzierały tylko oczy niby dwie krwawe plamy, oraz nos, długi i ostry niczym dziób. W pierwszej chwili mogłoby się wydawać, że ta niby czapla wyciągając szyję jak sprężynę potrafiłaby na odległość wybić komuś dziobem oko. Nie zanosilo się jednak na to. Jego ręce natomiast miały ową elastyczność, której brakowało szyi: wystarczyło mu wyciągnąć palec, by siedząc i nie pochylając tułowia podnieść z ziemi chusteczkę, którą przed chwilą otarł zroszone potem i deszczem czoło.

Trzeci (czy też trzecia) był stworzeniem mieszanym, w którym rozpoznać było można rodzaj, lecz nie płeć. Był to mężczyzna lub kobieta w wieku od trzydziestu do trzydziestu czterech lat, istota ubrana z elegancją handlarki ryb: dużo złotych łańcuszków, kolczyki w uszach, na głowie czepek przewiązany koronkową chustką. Rysy twarzy, o ile można je było dojrzeć pod warstwą pudru i różu, upstrzoną rozmaitej wielkości i kształtu muszkami, były zatarte, jak to często bywa u Judzi rodzaju nijakiego. Obejrzawszy to coś, niecierpliwie oczekiwało się, aż otworzy usta i wypowie kilka słów, w nadziei, że dźwięk głosu ostatecznie rozwieje wątpliwości i pozwoli rozpoznać płeć. Płonne nadzieje — głos wydawał się sopranem i pogrążał ciekawego obserwatora w większych jeszcze wątpliwościach, gdyż ucho w najmniejszym stopniu nie wspomagało oka, a słuch nie uzupełniał wzroku.

Pończochy i trzewiki obu mężczyzn i tej niby kobiety wskazywały, że cała trójka dłuższy czas włóczyła się po ulicach.

— Dziwne — powiedział Gamain — chyba skądś znam tę kobietę.

— Możliwe — odparł nieznajomy, sięgając po fuzję i zsuwając czapkę na ucho — ale skoro te trzy osoby są tu razem, mój drogi panie Gamain, widać mają coś do załatwienia, a jeśli mają jaką sprawę, trzeba ich zostawić samym sobie.

— Więc ich znacie? — zapytał Gamain.

— Tak, z widzenia. A wy?

— Odpowiem, że tę kobietę już gdzieś widziałem.

— Pewnie na dworze?

— Dobrze sobie, przekupka na dworze!

— Bywają tam od pewnego czasu.

— Jeśli ich znacie, wymieńcie nazwiska mężczyzn, to mi pozwoli rozpoznać kobietę.

— Obu mężczyzn?

— Tak.

— Kogo mam wymienić na pierwszym miejscu?

— Kutemogę.

— Jan Paweł Marat.

— Aha. A garbus?

— Prosper Verrières.

— Och!

— No i co? To was naprowadza na ślad przekupki?

— Dalibóg, nie.

— Szukajcie.

— Trudno, poddaję się.

— Więc przekupka...

— Czekaście... Ależ nie, ależ tak... ależ nie...

— Tak jest.

— To niemożliwe!

— Faktycznie, zrazu wydaje się niemożliwe.

— A więc to...

— Widzę, że nigdy nie wymówicie tego nazwiska i sam to muszę zrobić: przekupka to księżę d'Aiguillon...

Na dźwięk tego nazwiska przekupka drgnęła i odwróciła się, podobnie jak obaj mężczyźni. Cała trójka uczyniła gest, jakby chciała wstać na widok wodza, któremu należy oddać cześć.

Nieznajomy położył jednak palec na ustach i wyszedł.

Gamain ruszył za nim sądząc, że śni.

W drzwiach natknął się na osobnika, który zdawał się uciekać, ścigany przez krzyczący tłum:

— Fryzjer królowej! Fryzjer królowej!

Wśród tłumu dwóch ludzi niosło nadziane na piki okrwawione głowy. Były to głowy dwóch nieszczęsnych gwardzistów, Varicourta i Deshuttesa, które odcięto od ciał za pomocą gilotyny, zwanej „wielkim Mikołajem”, a następnie nadziano na ostrza pik.

Na widok ściganego Gamain zawołał:

— O, pan Leonard!

— Ciszej, nie wymawiajcie mego imienia — zawołał fryzjer wpadając do gospody.

— Czego od niego chcą? — zapytał ślusarz nieznajomego.

— Któż to wie? — odrzekł nieznajomy. — Może każą mu ufryzować głowy tych nieszczęśników. W czasie rewolucji ludzie miewają tak dziwaczne pomysły...

I wmieszał się w tłum, unosząc ze sobą to, co mu było potrzebne z wyznań Gamaina, ślusarzowi zaś pozwalając powrócić do jego warsztatu w Wersalu.

III CAGLIOSTRO

Nieznajomemu łatwo było zniknąć w tłumie, gdyż był on bardzo liczny. Stanowił czoło orszaku króla, królowej i delfina.

Jak zarządził król, orszak wyruszył z Wersalu około pierwszej po południu.

W karocy monarchy znajdowała się królowa, delfin, królewska córka, hrabia Prowansji, księżniczka Elżbieta i Andrée.

Sto dalszych powozów wiozło członków Zgromadzenia Narodowego, którzy postanowili nie rozstawać się z królem.

Hrabia de Charny i Billot zostali w Wersalu, by oddać ostatnią posługę baronowi Jerzemu de Charny, który został zabity owej straszliwej nocy z 5 na 6 października, a tym samym uchronić jego ciało od okaleczeń, jakich ofiarą padli gwardziści Varicourt i Deshuttes. .

Oddział, który wyruszył z Wersalu na dwie godziny przed królem i wyprzedzał go w marszu o kwadrans, skupił się wokół głów obu gwardzistów jak wokół swego sztandaru.

Głowy zatrzymały się koło gospody przy moście Sèvres, a wraz z nimi przystanęła przednia straż.

Przemawiamy zawsze w przekonaniu, lub przynajmniej w nadziei, że nasi dzisiejsi czytelnicy są również naszymi wczorajszymi czytelnikami, zatem znają nasze postacie. Stąd nie czujemy się w obowiązku przypominać, iż panna Andrée de Taverney to nie kto inny, jak hrabina de Charny, siostra Filipa i córka barona de Taverney Maison-Rouge.

Składała się ona z obszarpanych i na wpół pijanych nędzników, tej szumowiny, która towarzyszy każdej powodzi.

Nagle w tłumie powstał wielki tumult. Dostrzeżono właśnie białego konia La Fayette'a oraz bagnety Gwardii Narodowej, która bezpośrednio poprzedzała królewski powóz.

La Fayette bardzo lubił ludowe zgromadzenia, czuł się bowiem naprawdę panem paryskiego ludu, który go ubóstwiał. Nie lubił natomiast pospółstwa. Paryż, podobnie jak Rzym, miał plebs i *plebecula*.

Nie lubił zwłaszcza egzekucji, jakich pospółstwo dokonywało na własną rękę. Widzieliśmy, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by uratować Flesselesa, Foulona i Bèrthiera de Savigny.

Przednia straż wysforowała się tak na przód po to właśnie, by ukryć przed La Fayette'em swoje trofea, a zarazem zachować owe krwawe symbole zwycięstwa.

Wydaje się jednak, że ci chorążowie—nosiciele głów, wzmocnieni przez triumwirat, który szczęśliwie, spotkali w gospodzie, znaleźli sposób, by wyminąć La Fayette'a, bowiem oderwali się od towarzyszy, a ponieważ król wcześniej oświadczył, że nie chce rozstawać się z wiernymi gwardzistami, postanowili zaczekać na Jego Królewską Mość, by przyłączyć się do orszaku. Tymczasem przednia straż, nabrawszy nieco sił, ruszyła w dalszą drogę.

Tłum, płynący gościńcem z Wersalu do Paryża — niczym wezbrany ściek, który po burzy niesie w swych czarnych i błotnistych nurtach mieszkańców zburzonego pałacu — tłum ten sunął wzdłuż ruchliwego szpaleru, jaki po obu stronach drogi tworzyła ludność okolicznych wiosek, która nadbiegła zobaczyć, co się dzieje. Nieliczni spośród tej grupy przyłączali się do tłumy towarzyszącego królowi, wnosząc okrzyki tonące w ogólnym zgiełku i wrzasku. Ogromna większość zgromadzonej ludności tkwiła po obu stronach drogi nieruchoma i milcząca.

Czy chciała tak okazać sympatię dla króla i królowej? Nie, bo wyjąwszy arystokrację, wszystkie warstwy społeczne, nawet bogate mieszczaństwo, znosiły okrutny głód, który objął

całą Francję. Jeśli więc nie urągali głośno królowi, królowej i delfinowi, milczeli, a milczenie tłumu bywa groźniejsze od wyzwisk.

Pozostała natomiast część tłumu krzyczała, ile sił w płucach: „Niech żyje La Fayette!” — a on od czasu do czasu zdejmował lewą ręką kapelusz, a prawą, w której trzymał szpadę, pozdrawiał krzyczących — i „Niech żyje Mirabeau!” — hrabia zaś od czasu do czasu wysuwał głowę z karety, w której siedział jako szósty, aby szeroką pierśią zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

Tak więc nieszczęsny Ludwik XVI, wszędzie witany milczeniem, słyszał, jak oklaskiwano to, co utracił — popularność, oraz to, czego mu zawsze brakowało — geniusz.

Jak podczas poprzedniej samotnej podróży króla, Gilbert maszerował wmieszany w tłum obok prawych drzwiczek królewskiej karety, czyli u boku królowej.

Maria Antonina nigdy nie mogła pojąć stoicyzmu Gilberta, któremu amerykańska sztywność dodała jeszcze cierpkości, i ze zdziwieniem patrzyła na tego człowieka, co nie czując dla swoich władców miłości ani oddania, spełniał jedynie obowiązek, gotów jednak uczynić dla nich wszystko, co zazwyczaj dyktuje oddanie i miłość.

Więcej nawet, bowiem gotów był umrzeć, a wielu oddanych i kochających nie posunęłoby się tak daleko.

Po obu stronach królewskiej karety — oprócz tego sznura ludzi, z których jedni znaleźli się tam przez ciekawość, inni z chęci pośpieszenia z pomocą dostojnym podróżnikom w razie potrzeby, a tylko bardzo nieliczni w złych zamiarach — szli drogą, grzęznąc w błocie po kostki, tragarze z hal i ich damy. A wśród całej tej ludzkiej rzeki, upstrzonej bukietami i wstęgami, pojawiał się niekiedy nurt bardziej zwarty.

Były to działa oblepione gęsto kobietami, które to krzyczały, to śpiewały starą ludową piosenkę:

*Piekarka ma pieniądze,
co nic nie kosztowały.*

Słowa te były wyrazem ich nowej nadziei: „Teraz już nie zabraknie nam chleba, wieziemy Piekarza, Piekarkę i małego Piekarczyka”.

Królowa zdawała się słuchać tego nic nie rozumiejąc. Tuliła stojącego między jej kolanami małego delfina, który patrzył w tłum wystraszony, z miną, z jaką spoglądają nań królewskie dzieci w okresach rewolucji — jak za późniejszych czasów patrzył król Rzymu, księżę Bordeaux i hrabia Paryża.

Tylko że nasz tłum jest bardziej wzdorczy i bardziej wspaniałomyślny niż ten, bo będąc silniejszym, rozumie, że może okazać łaskę.

Król patrzył na to wszystko mętym i osowiałym wzrokiem. Prawie nie zmrużył oka ubiegłej nocy; śniadanie zjadł w pośpiechu; zabrakło mu czasu na poprawienie i upudrowanie peruki, broda mu urosła, bielizna była nieświeża, słowem wszystko przemawiało na jego niekorzyść. Niestety, biedny król nigdy nie umiał sprostać trudnym okolicznościom, toteż w trudnych okolicznościach zawsze chylił głowę. Podniósł ją tylko raz: na szafocie, w chwili, gdy miała spaść.

Księżniczka Elżbieta była jak anioł łagodnej rezygnacji, którego Bóg zesłał tym dwóm potępionym istotom, by pod nieobecność królowej pocieszał króla w Tempie, a królową po śmierci króla w więzieniu Conciergerie.

Hrabia Prowansji i tym razem, jak zawsze, spoglądał z ukosa i podstępnie; wiedział, że przynajmniej na razie nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo; w owej chwili liczył na popularność rodziny. Dlaczego — nie wiadomo, może dlatego, że pozostał we Francji, gdy jego

brat, hrabia d'Artois, wyjechał.

Gdyby jednak król mógł, czytać, w sercu hrabiego Prowansji, nie zachowałby może wdzięczności za jego rzekome przywiązanie.

Andrée wyglądała jak wykuta z marmuru; spała równie źle jak królowa, jadła równie źle jak król, ale dla tej wyjątkowej natury życiowe potrzeby zdawały się nie istnieć. Ona też nie miała czasu na poprawienie fryzury czy zmianę stroju, a przecież ani jeden jej włos nie odstawał; ani jedną fałd sukni nie była zmięta. Była jak posąg, obojętny na fale, które go opływają czyniąc gładszym i bielszym. Oczywiście było, że ta kobieta kryje w głębi umysłu lub serca jakąś świetlaną myśl, która przyciąga jej duszę, jak igłę magnesu przyciąga gwiazda polarna. Ciężko pośród żywych, jednym tylko zdradzała, że żyje: mimowolnym błyskiem oczu, ilekroć spotkały się one ze wzrokiem Gilberta.

Nie opodal wspomnianej już gospody pochód przystanął: na całej długości wzmożyły się okrzyki.

Królowa wychyliła się nieco z okna karety i gest ten, który wyglądał na powitanie, wzbudził w tłumie narastające szepty.

— Panie Gilbert? — rzekła.

Gilbert podszedł do drzwiczek karety. By okazać królowej szacunek, nie musiał zdejmować kapelusza, bo trzymał go w ręku od chwili wyruszenia z Wersalu.

— Pani?

Ton, jakim wypowiedział to słowo, świadczył, że Gilbert gotów jest wykonać każdy rozkaz królowej.

— Panie Gilbert — podjęła królowa — co śpiewa, co mówi, o czym to krzyczy ów pański lud?

Sama forma zdania wskazywała, że królowa przygotowała je wcześniej i zapewne od dawna obracała między zębami, by wreszcie wypluć je w twarz tego tłumu.

Gilbert westchnął, jakby chciał powiedzieć: „Zawsze ta sama!” Po czym z wyrazem głębokiej melancholii odrzekł:

— Niestety, ten lud, który Pani nazywa moim, niegdyś był Jej ludem i niespełna dwadzieścia lat upłynęło od chwili, gdy czarujący dworzanin, pan de Brissac, którego próżno tu szukam, z balkonu Ratusza wskazywał Pani ten sam lud wołający: „Niech żyje żona delfina!”, ze słowami: „Pani, masz przed sobą dwieście tysięcy zakochanych”.

Królowa przygryzła wargi; nie sposób było zbić z tropu tego człowieka ani przyłapać go na braku szacunku.

— Tak, to prawda — odrzekła — dowodzi to jednak, że lud się zmienia.

Tym razem Gilbert skłonił się, lecz nic nie powiedział.

— Zadałam panu pytanie, panie Gilbert — ciągnęła królowa z uporem, z jakim traktowała wszystko, nawet nieprzyjemne dla siebie sprawy.

— Tak, Pani — odparł Gilbert — odpowiem na nie, skoro Wasza Królewska Mość nalega. Lud śpiewa:

*Piekarka ma pieniądze,
co nic nie kosztowały.*

A czy wiesz, Pani, kogo lud nazywa „Piekarka”?

— Tak, wiem, że to mnie czyni ten zaszczyt. Przywykłam już do przezwisk: nazywano mnie także „Panią Deficyt”. Czy istnieje jakiś związek między pierwszym a drugim przezwiskiem?

— Tak, Najjaśniejsza Pani, i aby się o tym przekonać, wystarczy rozważyć dwa pierwsze

wiersze:

*Piekarka ma pieniądze,
co nic nie kosztowały.*

Królowa powtórzyła:

— Ma pieniądze, co nic nie kosztowały... Nie rozumiem, mój panie...

Gilbert milczał.

— Czyżby pan nie słyszał, że nie rozumiem? — podjęła zniecierpliwiona królowa.

— I Wasza Królewska Mość domaga się wyjaśnienia?

— Oczywiście.

— Znaczy to, że Wasza Królewska Mość miała bardzo uległych ministrów, zwłaszcza ministrów skarbu, jak na przykład pana Calonne; lud wie, że Waszej Królewskiej Mości wystarczyło wyrazić życzenie, aby zostało ono zaspokojone, a ponieważ życzenie królowej kosztuje niewiele, bo jest rozkazem, lud śpiewa:

*Piekarka ma pieniądze,
co nic nie kosztowały.*

czyli kosztowały tyle, ile kosztuje wyrażenie życzenia.

— Przypuśćmy, że o tym właśnie śpiewa lud. A teraz, panie Gilbert, skoro pan tak dobrze tłumaczy jego myśli, przejdźmy do tego, co lud mówi.

— Mówi, Najjaśniejsza Pani: „Teraz nie zabraknie nam już chleba, bo mamy Piekarza, Piekarkę i małego Piekar—czyka”.

— Wyjaśni mi pan to drugie zuchwalstwo równie jasno jak i pierwsze, prawda? Liczę na to.

— Pani — odrzekł Gilbert wciąż tym samym łagodnie melancholijnym tonem — jeśli zechce Pani rozważyć nie tyle słowa, co raczej intencje ludu, nie powinna się Pani czuć dotknięta.

— Przekonajmy się o tym — rzekła królowa z nerwowym uśmiechem. — Pan wie, że nade wszystko pragnę być oświecona. Słucham więc, czekam.

— Słusznie czy niesłusznie, Pani, powiedziano temu ludowi, że w Wersalu odbywa się wielki handel mąką i dlatego mąka nie dochodzi do Paryża. Kto żywi biedny lud? Miejscowy piekarz i piekarka. Do kogo ojciec, mąż, syn wyciągają błagalnie ręce, gdy z braku pieniędzy dziecko, żona czy ojciec umierają z głodu? Do piekarza, do piekarki. Do kogóż oprócz Boga, który zsyła urodzaje, śle się błagalne prośby? Do tych, co rozdzielają chleb. Czy nie jesteście, Pani, podobnie jak król, a nawet to królewskie dziecię, czyż wszyscy troje nie jesteście rozdawcami chleba bożego? Niechże się Pani nie dziwi temu dobremu imieniu, jakim darzy Ją lud, i niechaj będzie wdzięczna za tę nadzieję, jaką on żywi, że gdy tylko król, królowa i następca tronu znajdą się pośród miliona dwustu tysięcy wygłodniałych, już nie zabraknie im niczego.

Królowa przymknęła na chwilę oczy i skurcz, jaki przebiegł jej twarz i szyję, dowodził, że wraz z gorzką śliną, która pali jej gardło, próbuje przełknąć własną nienawiść.

— I za to, co ten lud wokół wykrzykuje, mamy mu dziękować? Podobnie jak za te przewiska i śpiewki?

— O tak, Pani, i to z wielką szczerością, bo przyśpiewki to tylko wyraz jego dobrego humoru, przewiska to przejaw jego nadziei, ale okrzyki, to już wyraz jego pragnień.

— Ach tak, lud pragnie, aby panowie La Fayette i Mirabeau długo żyli?

Jak widać, królowa doskonale słyszała śpiewy, słowa i okrzyki.

— Tak, Pani — powiedział Gilbert — bowiem żyjąc, panowie La Fayette i Mirabeau, obecnie

rozdzieleni przepaścią, nad którą, Pani, zawisłaś, mogą się połączyć, a łącząc się — ocalić monarchię.

— A więc — rzekła królowa — monarchia upadła tak nisko, że tylko ci dwaj ludzie mogą ją ocalić?

Gilbert już chciał odpowiedzieć, gdy nagle rozległy się okrzyki przerażenia, zmieszane z wybuchami okrutnego śmiechu, i w tłumie powstał tumult, który sprawił, że Gilbert zamiast się oddalić, przywarł do drzwiczek karety, przeczuwając, że stanie się coś, co zmusi go do użycia słowa lub siły w obronie królowej.

Dwaj ludzie, którzy nieśli głowy nadziane na piki, nakazali biednemu Leonardowi, by je upudrował i ufryzował, chcieli bowiem sprawić sobie okrutną przyjemność zaprezentowania ich królowej. Okrzyki zaś wydawał lud, który przerażony tym widokiem cofał się i rozstępował, by przepuścić tamtych.

— Na Boga! — zawołał Gilbert — niech Pani nie patrzy w prawo!

Królowa nie była kobietą, która usłuchałaby podobnej namowy, nie sprawdziwszy jej przyczyny. Dlatego pierwszym jej odruchem było zwrócić wzrok ku temu, czego chciał jej oszczędzić Gilbert. Wydała straszliwy okrzyk.

Nagle jednak jej oczy oderwały się od okropnego widoku, jakby napotkały inny, jeszcze straszniejszy, od którego, niby od głowy Meduzy, nie mogły się oderwać.

Tą głową Meduzy była twarz nieznanego, którego spotkaliśmy w gospodzie przy moście Sevres, gdy pił i gawędził z mistrzem Gamain, a który teraz stał pod drzewem ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

Dłoń królowej oderwała się od aksamitu drzwiczek karety i oparłszy się o ramię Gilberta, zacisnęła na nim przez chwilę.

Gilbert odwrócił się i ujrzał królową bladą, z posiniałymi, drżącymi wargami i zastygłym wzrokiem.

Może przypisałyby to nerwowe podniecenie widokowi dwóch głów, gdyby wzrok Marii Antoniny zatrzymał się na nich. Wzrok królowej biegł jednak prosto przed siebie, na wysokości człowieka.

Gilbert poszedł za nim i ponieważ królowa wydała pełen przerażenia okrzyk, podobny okrzyk wyrwał się również i jemu.

Oboje szepnęli równocześnie:

— Cagliostro!

Ze swojego miejsca oparty o drzewo mężczyzna doskonale widział królową. Skinął ręką Gilbertowi, jakby chciał powiedzieć: „Chodź!”

W tym momencie wozy znów ruszyły w drogę.

Królowa instynktownie odepchnęła Gilberta, z lęku że dostanie się pod koła. On zaś pomyślał, że królowa popycha go w stronę tego człowieka.

Królowa nigdy nie byłaby go pchnęła w tamtą stronę, ale Gilbert rozpoznawszy go, jakby przestał być panem siebie. Musiał za nim pójść.

Przystanął i przepuścił orszak; potem podążając za rzekomym robotnikiem, który od czasu do czasu odwracał się, aby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi, wszedł w małą wąską uliczkę, która pięła się dosyć ostro ku Belleville i zniknął za murem w chwili, gdy zdążający ku Paryżowi orszak, całkowicie przysłonięty już wzgórzem, jakby zapadł się pod ziemię.

IV FATUM

Gilbert szedł za swoim przewodnikiem, który wyprzedzał go o dwadzieścia kroków, aż do połowy uliczki, gdzie ten, przystanąwszy przed fasadą dużego ładnego domu, wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył małe drzwiczki, którymi pan domu mógł wchodzić i wychodzić o każdej porze dnia i nocy, nie wtajemniczając w to domowników.

Drzwi zostawił uchylone na znak, że zaprasza do środka towarzysza drogi.

Gilbert wszedł i delikatnie przyciągnął drzwi, które bezgłośnie obróciły się na zawiasach i zatrzasnęły.

Zamek taki wzbudziłby podziw mistrza Gamain.

Gilbert znalazł się w korytarzu; obie ściany wyłożone były na wysokości wzroku płaskorzeźbami z brązu, dokładną kopią tych, jakimi Ghiberti ozdobił drzwi baptysterium we Florencji, tak, by żaden z cudownych szczegółów nie, uszedł uwagi wchodzącego.

Nogi tonęły w puszystym tureckim dywanie. Po lewej dojrzał otwarte drzwi.

Gilbert uznał, że otwarto je dla niego, wszedł więc do salonu obitego indyjskim jedwabiem, którym pokryte były także meble. Sufit osłaniał złoto—lazurowymi skrzydłami jeden z owych fantastycznych ptaków, jakie spotyka się na chińskich malowidłach lub haftach, a w szponach swych trzymał żyrandol o misternie kutych lichtarzach w kształcie kwiatów lilii.

W salonie, na wprost zwierciadła nad kominkiem, wisiał jeden tylko obraz — *Madonna* Rafaela.

Gilbert zajęty był podziwianiem tego arcydzieła, gdy nagle usłyszał, a raczej odgadł, że z tyłu za nim otwarły się drzwi. Odwrócił się i ujrzał Cagliostro, który właśnie wychodził z pokoju, służącego zapewne za garderobę.

W ciągu krótkiej chwili zdążył usunąć brud z rąk i twarzy, wykwintnie zaczesać włosy i zmienić ubranie.

Nie był to już robotnik o czarnych rękach i gładko ulizanych włosach, odziany w spodnie z grubego welwetu, koszulę z surowego płótna i zabłocone buty, lecz wytworny pan, którego dwukrotnie już przedstawiliśmy naszym czytelnikom: najpierw w *Józefie Balsamo*, a następnie w *Naszyjniku Królowej*.

Jego bogato haftowany strój, skrzące się od diamentów ręce kontrastowały z czarnym ubraniem Gilberta i jego skromnym złotym pierścieniem, darem Waszyngtona.

Z uśmiechniętą, otwartą twarzą Cagliostro podszedł do Gilberta, wyciągając doń ręce.

Gilbert padł mu w objęcia.

— Drogi mistrzu! — zawołał.

— Och, chwileczkę — odrzekł śmiejąc się Cagliostro — drogi Gilbercie, odkąd rozstaliśmy się, poczynił pan takie postępy, zwłaszcza w filozofii, że dzisiaj to pan jest mistrzem, a ja ledwie godzien jestem miana ucznia.

— Dzięki za komplement — odparł Gilbert — ale założywszy nawet, że zrobiłem takie postępy, skąd pan może o tym wiedzieć? Nie widzieliśmy się od ośmiu lat.

— Czy sądzi pan, drogi doktorze, że należy pan do ludzi, o których nic się nie wie, bo przestało się ich widywać? Nie widziałem pana od ośmiu lat, to prawdą, ale mógłbym panu powiedzieć, co pan przez tych osiem lat robił, dzień po dniu.

— Czyżby? Na przykład!

— Wątpi więc pan nadal o moim darze jasnowidzenia? — Wie pan, jestem matematykiem.

— To znaczy niedowiarkiem... No to proszę: po raz pierwszy powrócił pan do Francji z powodu spraw rodzinnych. Nie obchodzą mnie one, dlatego...

— O nie — rzekł Gilbert sądząc, iż wprawi Cagliostro w zakłopotanie — proszę mówić, drogi mistrzu.

— Tym razem więc chodziło panu o to, by zająć się edukacją syna Sebastiana, umieścić go w internacie, w małym miasteczku położonym o osiemnaście czy dwadzieścia mil od Paryża, a także załatwić sprawy z pańskim dzierżawcą, zacnym człowiekiem, którego wbrew jego woli zatrzymał pan w Paryżu, a który ma tysiąc powodów, aby znaleźć się u boku swej żony.

— Doprawdy, mistrzu, jest pan wszechwiedzący.

— Och, to nie wszystko... Za drugim razem sprowadziły pana do Francji sprawy polityczne, jak sprowadzają wielu innych. Przygotował pan pewne broszury i przesłał je królowi Ludwikowi XVI; ponieważ zaś ma pan jeszcze wiele cech „starego człowieka” i większą dumę budzi w panu aprobata króla niż podziw mojego poprzednika w dziele pańskiej edukacji, Jana Jakuba Rousseau, który byłby zupełnie kim innym niż król, gdyby żył jeszcze, pragnął się pan dowiedzieć, co myśli o doktorze Gilbert wnuk Ludwika XIV, Henryka XV i Świętego Ludwika. Na nieszczęście, istniała pewna stara sprawka, o której pan nie myślał, a której zawdzięczam, iż pewnego pięknego dnia na Azorach, gdzie przypadkiem zatrzymał się mój statek, znalazłem pana w grocie zalanego krwią, z piersią przeszytą kulą. Sprawka dotyczyła panny Andrée de Taverney, która została następnie hrabiną de Charny, a zarazem przy całej uczciwości zamiarów chodziło o wyświadczenie przysługi królowej. Otóż ponieważ monarchini nie mogła niczego odmówić kobiecie, która poślubiła hrabiego de Charny, więc zażądała i uzyskała nakaz uwięzienia pana. Został pan aresztowany na drodze z Hawru do Paryża i przewieziony do Bastylii, gdzie, drogi doktorze, siedziałby pan do dziś, gdyby pewnego dnia lud nie zburzył jej jednym machnięciem ręki. Natychmiast też, jako dobry rojalista, którym pan jest, drogi Gilbercie, stanął pan po stronie króla i dzisiaj jest pan jego przybocznym lekarzem. Wczoraj, a raczej dzisiaj rano, przyczynił się pan wielce do ocalenia rodziny królewskiej, budząc pocziwego La Fayette’a, który spał snem sprawiedliwych, niedawno zaś, nim mnie pan ujrzał, sądząc, że królowa — która nawiasem mówiąc nienawidzi pana — jest w niebezpieczeństwie, był pan gotów osłonić ją własnym ciałem... Czyż nie tak? Czyżbym zapomniał o jakimś mało ważnym szczególe, jak seans magnetyczny w obecności króla, wycofanie pewnej szkatułki z pewnych rąk, które ją zagarnęły za pośrednictwem niejakiego Pas-de-Loupa? Proszę zaprzeczyć, a jeśli popełniłem jakiś błąd lub coś przeoczyłem, gotów jestem przyznać się do winy. Gilbert trwał w osłupieniu przed tym niezwykłym człowiekiem, który tak dobrze umiał stopniować efekty, iż słuchający go gotów był uwierzyć, że niby Bóg ogarnąć potrafi naraz cały świat we wszystkich szczegółach i czytać w sercach ludzi.

— Owszem, tak właśnie było — powiedział Gilbert — a pan wciąż jest magiem, czarodziejem, cudotwórcą Cagliostrem.

Cagliostro uśmiechnął się z zadowoleniem; był dumny z wrażenia, jakie wywarł na Gilbercie, które ten mimo woli zdradzał wyrazem twarzy.

— A teraz, drogi mistrzu — ciągnął dalej Gilbert — ponieważ kocham pana zapewne w równym stopniu, co pan mnie, czy zechce mi pan powiedzieć — jeśli nie popełniam niedyskrecji — w jakich stronach świata objawiał pan swój geniusz i gdzie sprawował pan władzę?

— Och — odrzekł z uśmiechem Cagliostro — robiłem to sarno co pan; spotykałem królów, wielu nawet, ale w innym celu. Pan zbliża się do nich, by ich podtrzymać, ja — by ich obalić; pan pragnie z króla uczynić monarchę konstytucyjnego i nie może pan tego osiągnąć, ja zmieniam cesarzy, królów i książąt w filozofów — i to mi się udaje.

— Doprawdy? — zapytał Gilbert z niedowierzaniem.

— Oczywiście. Zostali oni wprawdzie cudownie przygotowani przez Woltera, d’Alemberta i Diderota, tych nowożytnych herosów ducha, wspaniałych pogromców bóstw, a także przez przykład kochanego króla Fryderyka, którego mieliśmy nieszczęście stracić. Ale w końcu, wie pan — wyjąwszy tych, co jak ja i hrabia Saint–Germain nie umierają — wszyscy jesteśmy śmiertelni. Na razie królowa jest piękna, mój drogi Gilbercie, a żołnierzy rekrutuje takich, co zwalczają się nawzajem, królowie zaś dążą do obalenia tronu bardziej zawzięcie niż papież Bonifacy XIII, Klemens VII i rodzina Borgiów do obalenia ołtarza. Weźmy na przykład cesarza Józefa II, brata naszej umiłowanej królowej, który zamyka trzy czwarte klasztorów, zagarnia kościelne dobra, wypędza z cel nawet karmelitów i przesyła swej siostrze, Marii Antoninie, wizerunki byłych zakonnic prezentujących nową modę i byłych mnichów fryzujących sobie włosy. Dalej mamy króla Danii, który zaczął od tego, iż stał się katem swego lekarza Struensée’go i który jako przedwcześnie dojrzały filozof mając lat siedemnaście powiedział: „To pan Wolter zrobił ze mnie człowieka i nauczył mnie myśleć”. Weźmy ot taką cesarzową Katarzynę, która dokonując wprawdzie rozbioru Polski, robi tak wielkie postępy w filozofii, że Wolter napisał do niej: „Diderot, d’Alembert i ja wnosimy pani ołtarze”. Weźmy królową Szwecji, czy wreszcie książąt cesarstwa i całych Niemiec.

— Drogi mistrzu, pozostaje już panu tylko nawrócić papieża, a że nie ma dla pana nic niemożliwego, ufam, że i to się panu uda.

— Och, tu sprawa będzie trudna! Wydostałem się właśnie z jego szponów; przed sześciu miesiącami byłem więziony w zaniku Świętego Anioła, jak pan przed trzema w Bastylii.

— No i co? Czy mieszkańcy Zatybrza zburzyli zamek Świętego Anioła, tak jak lud z przedmieścia Świętego Antoniego zburzył Bastylię?

— Nie, drogi doktorze, lud rzymski jeszcze do tego nie dorósł... Och, może pan być spokojny, to kiedyś nastąpi; papieżstwo też będzie miało swój 5 i 6 października i pod tym względem Wersal i Watykan podadzą sobie rękę.

— Sądziłem, że wszedłszy raz do zamku Świętego Anioła już się stamtąd nie wychodzi...

— A Benvenuto Cellini?

— Czyżby sporządził pan sobie parę skrzydeł, niczym Ikar, i przefrunął nad Tybrem?

— Byłoby to dosyć trudne, zważywszy, że przez ewangeliczną przezorność osadzony zostałem w bardzo głębokiej ciemnicy.

— Ale w końcu pan wyszedł?

— Jak pan widzi.

— Przekupił pan strażnika więziennego?

— Miałem pecha, bo moim strażnikiem okazał się człowiek nieprzekupny.

— Nieprzekupny? Do diabła!

— Tak, na szczęście jednak nie był nieśmiertelny: przypadek — a bardziej ode mnie wierzący rzekłby: Opatrzność — zrządził, że umarł na drugi dzień po trzeciej odmowie otwarcia mi bramy więziennej.

— Umarł nagle?

— Tak.

— Och!

— Trzeba go było zastąpić i zastąpiono go.

— A ten nie okazał się nieprzekupny?

— Ten, w dniu objęcia swojej funkcji, przynosząc mi kolację powiedział: „Niechże pan podje sobie i nabierze sił, bo tej nocy mamy kawał drogi przed sobą”. Dalibóg, pocziwiec nie kłamał. Tej nocy każdy z nas zajeżdżał trzy konie, ale zrobiliśmy sto mil.

— A co powiedział rząd, gdy spostrzegł pańską ucieczkę?

— Nic. Przebrano w moje odzienie trupa pierwszego strażnika, który jeszcze nie został pochowany, wypalono mu w sam środek twarzy z pistoletu, porzucono broń obok i oświadczone, że w niewiadomy sposób zdobywszy broń palnąłem sobie w łeb. Stwierdziwszy mój zgon, kazano pochować strażnika pod moim nazwiskiem. Tak więc, drogi Gilbercie, jestem nieboszczykiem i choćbym nawet twierdził, że żyję, można mi w odpowiedzi pokazać akt zgonu i udowodnić, że jestem trupem. Tego jednak nie trzeba mi dowodzić. W owej chwili było mi bardzo na rękę zniknąć z tego świata. Zanurzyłem się więc w krainę ciemności, jak powiada znakomity ksiądz Delille, i wypłynąłem pod innym nazwiskiem.

— A jak się pan teraz nazywa, jeśli tym pytaniem nie popełniam niedyskrecji?

— Nazywam się baron Zannone i jestem bankierem z Genui; dyskontuję rewersy książąt — dobry papier, prawda? Podobnie jak czynił to kardynał de Rohan. Ale na szczęście w pożyczkach, jakich udzielam, chodzi nie tylko o procent... Przy okazji, mój drogi Gilbercie, czy nie trzeba panu pieniędzy? Pan wie, że moje serce i sakiewka, dziś i zawsze, są do pana dyspozycji.

— Dziękuję.

— Ach, sądzi pan zapewne, że to sprawiłoby mi kłopot, bo spotkał mnie pan w ubogim ubraniu robotnika? Niech się pan o to nie troszczy, to jedno z moich przebrań. Pan zna moje poglądy na życie: to długi karnawał, podczas którego zwykle nosi się maskę. W każdym razie, mój drogi Gilbercie, jeśli kiedykolwiek będzie pan potrzebował pieniędzy, w tym oto biurku jest moja podręczna kasa. Wielka kasa jest w Paryżu, przy ulicy Saint-Claude, w dzielnicy Marais. Gdyby więc pan potrzebował pieniędzy, czy będę obecny, czy nie, przyjdzie pan tutaj. Pokażę panu, jak się otwiera te małe drzwiczki. Wystarczy nacisnąć tę sprężynę — o, tak — i znajdzie pan tu zawsze około miliona.

Cagliostro nacisnął sprężynę, pokrywa sekretarzyka osunęła się w dół i odsłoniła stos złota i pliki banknotów.

— Doprawdy, jest pan cudotwórcą! — roześmiał się Gilbert. — Ale wie pan, mając dwadzieścia tysięcy franków renty, jestem bogatszy od króla. A czy teraz nie lęka się pan przykrości w Paryżu?

— W związku ze sprawą naszyjnika? Przecież oni się nie odważą! Przy obecnym stanie umysłów wystarczyłoby jedno moje słówko, by wywołać ruchawkę. Zapomina pan, że jestem po trosze przyjacielem tych wszystkich, którzy cieszą się popularnością: La Fayette'a, pana Neckera, hrabiego Mirabeau, nawet pańskim.

— A po co przyjechał pan do Paryża?

— Kto wie? Może po to, po co pan jeździł do Stanów Zjednoczonych; aby uczynić z Francji republikę.

Gilbert skinął przecząco głową.

— We Francji nie ma ducha republikańskiego.

— Narzucimy go i tyle.

— Król się sprzeciwi.

— To możliwe. — Szlachta chwyci za broń.

— To jest prawdopodobne.

— No i co wówczas zrobicie?

— Wówczas nie zrobimy republiki, zrobimy rewolucję. Gilbert opuścił głowę.

— Jeśli do tego dojdzie, to będzie okropne, Józefie — powiedział.

— Tak, okropne, jeśli spotkamy na drodze wielu ludzi tak silnych jak pan, Gilbercie.

— Nie jestem silny, przyjacielu — powiedział Gilbert. — Jestem tylko uczciwy.

— To, niestety, o wiele gorsze i dlatego chciałbym pana przekonać, Gilbercie.

— Już jestem przekonany.

— O tym, że przeszkodzicie nam w naszym dziele?

— Albo przynajmniej zatrzymamy was w drodze.

— Gilbercie, to szaleństwo! Nie rozumie pan, jaka jest misja Francji: Francja to mózg świata.

Czy wie pan, kto zburzył Bastylię?

— Lud.

— Pan mnie nie rozumie, bierze pan skutek za przyczynę. Przez pięćset lat zamykano w Bastylii hrabiów, wielmożów, książąt i Bastylia trwała. Pewnego dnia niedołączny król wpadł na pomysł, aby zamknąć w niej myśl, która potrzebuje przestrzeni, obszaru, nieskończoności. Bastylię rozsadziła idea, a lud wtargnął przez wylom.

— To prawda — wyszeptał Gilbert.

— Czy przypomina pan sobie, co Wolter pisał do pana Chauvelin 2 marca 1764 roku, czyli prawie dwadzieścia sześć lat temu?

— Niech mi pan przypomni.

— Wolter pisał: „Wszystko, co widzę, rzuca ziarno rewolucji, która niechybnie nadejdzie, a której nie będę miał przyjemności być świadkiem. Francuzi do wszystkiego dochodzą późno, ale dochodzą. Światło tak szybko szerzy się między ludźmi, że wybuch nastąpi przy lada okazji, a wtedy będzie to nie lada wrzawa. Szczęśliwi są ludzie młodzi, bo ujrzą piękne rzeczy!” Co pan powie o wczorajszej i dzisiejszej wrzawie?

— Okropna!

— Go pan sądzi o rzeczach, których był pan świadkiem?

— Straszliwe!

— A przecież to dopiero początek, Gilbercie.

— Proroku kłęski!

— O proszę! Trzy dni temu byłem w towarzystwie lekarza, wielce zasłużonego człowieka, dobroczyńcy. Czy pan wie, czym zajmuje się on obecnie?

— Szuka lekarstwa na jakąś poważną chorobę, która uchodzi za nieuleczalną?

— O tak! Szuka lekarstwa nie przeciwko śmierci, lecz przeciw życiu.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że wobec dżumy, cholery, żółtej febry, ospy, nagłej apopleksji, pięciuset kilkudziesięciu chorób uważanych za śmiertelne, tysiąca albo tysiąca dwustu chorób, które mogą się takimi stać przy odpowiednim leczeniu, chcę podkreślić, że wobec armaty, karabinu, szpady, szabli, sztyletu, wody, ognia, upadku z wysokiego dachu, szubienicy, koła tortur — wobec tego wszystkiego ów lekarz uważa, że za mało istnieje sposobów pozbawienia życia, choć jeden tylko pozwala je rozpocząć, i opracowuje właśnie maszynę, na honor, bardzo pomysłową, którą zamierza ofiarować narodowi, a która pozwoli uśmiercić pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt osób w niecałą godzinę! Otóż, mój drogi Gilbercie, czy nie sądzi pan, że gdy tak wybitny lekarz, tak humanitarny filantrop, jak doktor Guillotin, trudzi się nad taką maszyną, należy uznać jej niewątpliwą potrzebę? Tym bardziej że znam tę maszynę, i nie jest to rzecz nowa, lecz tylko zapomniana. Dowodem fakt, że pewnego dnia będąc u barona de Taverney — a pan, dalibóg, powinien o tym pamiętać, bo pan także tam był, tylko nie mógł pan oderwać wzroku od pewnego dziewczęcia imieniem Nicole — spotkałem królową, która zjawiała się tam przypadkowo i pokazałem jej tę maszynę w karafce wody. Zabawka tak ją przeraziła, że krzyknęła boleśnie i straciła przytomność — była wtedy tylko następczynią tronu, a raczej nie była nią jeszcze. Otóż, mój drogi, maszyna ta, która w owej epoce była jeszcze w sferze niebytu, pewnego dnia zostanie uruchomiona i będzie pan mógł zobaczyć, jak działa; wówczas, jeśli pan zechce, zawiadomię go o tym i będzie pan ślepcem, jeśli nie dojrzy pan w tym palca Opatrzności.

Ona to, sądząc, że nadszedł już dzień, w którym kat stosując stare metody byłby przepracowany, wynajdzie nowe, by mógł on sobie jakoś poradzić.

— Hrabio, hrabio! W Ameryce był pan w pogodniejszym nastroju.

— Oczywiście! Byłem wśród rodzącego się narodu, tu jestem pośród społeczeństwa, które dogorywa; wszystko, szlachta i królestwo, zdąży do grobu w naszym postarzałym świecie, a ten grób to przepaść.

— Szlachty się wyrzekam, drogi hrabio, albo raczej szlachta wyrzekła się samej siebie sławetnej nocy 4 sierpnia, ale ratujmy tę ostoję narodu — królestwo.

— Po cóż te wielkie słowa, drogi Gilbercie! Ratujmy królestwo? Czy sądzi pan, że przy takim królu łatwo uratować królestwo?

— Ostatecznie to potomek wielkiego rodu.

— Tak, rodu orłów, który wyrodził się w papugi. Drogi Gilbercie, aby tacy jak pan utopiści mogli ocalić królestwo, trzeba przede wszystkim, by królestwo uczyniło jakiś wysiłek dla ocalenia samego siebie. Przecież, z ręką na sercu, widział pan Ludwika XVI, widać go pan często, a nie należy pan do ludzi, którzy obserwując nie analizują. Więc niech pan powie, czy może trwać królestwo reprezentowane przez takiego monarchę? Czy tak wyobrażał pan sobie nosiciela berła? Czy sądzi pan, że Karol Wielki, święty Ludwik, Filip August, Franciszek I, Henryk IV i Ludwik XIV mieli tak zwiotczałe mięśnie, obwisłe wargi, zastygły wzrok, niepewne ruchy? Nie, to byli mężowie, ich królewski płaszcz krył siłę, krew, życie. Nie zwyrodniali jeszcze wskutek trzymania się jednej tylko reguły, a tę najprostszą zasadę medycyny zlekceważyli ludzie krótkowzroczni. Aby zachować zwierzęce, a nawet roślinne gatunki, w stanie długiej młodości i tężyzny, sama natura wskazała nam krzyżowanie ras i mieszanie rodzin. Podobnie jak w świecie roślinnym szczepienie stanowi metodę zachowującą zdrowie i piękno gatunków, tak w świecie ludzkim małżeństwo zbyt bliskich krewnych jest przyczyną degeneracji jednostek; natura cierpi, marnieje i się wyradza, gdy wiele pokoleń wywodzi się z tej samej krwi. Na odwrót: ożywa, odradza się i wzmacnia, gdy wprowadzić nowy, obcy czynnik rozrodczy. Spójrzmy, jacy bohaterowie zakładali wielkie rody i jacy słabeusze stoją u ich kresu. Oto Henryk III, ostatni z Walezjuszy; oto Gaston, ostatni z Medyceuszy; oto kardynał Yorku, ostatni ze Stuartów; oto Karol VI, ostatni z Habsburgów! Otóż małżeństwo wewnątrz rodziny, ta pierwsza przyczyna degeneracji rodów, która dotknęła wszystkie wspomniane dynastie, jest u Burbonów bardziej widoczna niż gdziekolwiek indziej. Sięgając od Ludwika XV do Henryka IV i Marii Medycejskiej, stwierdzimy, że Henryk IV jest pięciokrotnie prapradziadem Ludwika XV, a Maria Medycejska pięciokroć jego praprababką. Sięgając do Filipa III Hiszpańskiego i Małgorzaty Austriackiej, okaże się, że Filip III jest trzykrotnie jego prapradziadem, a Małgorzata Austriacka trzykrotnie jego praprababką. Nie mam nic do roboty, więc obliczyłem, że na trzydzieści dwie pary prapradziadków i praprababek Ludwika XV trzydzieści sześć osób pochodzi z dynastii Burbonów, pięć z dynastii Medyceuszy, jedenaście z dynastii austriackich Habsburgów, trzy z dynastii sabaudzkiej, trzy z dynastii Stuartów, a jedna jest księżniczką duńską. Niech pan weźmie najlepszego psa i najlepszej rasy konia i wsadzi do takiego tygla, a w czwartym pokoleniu otrzyma pan pudła i chabetę. Jakże, u licha, mieliby się ostać ludzie? Co pan, który jesteś matematykiem, powie o moim, obliczeniu?

— Powiem, drogi czarodzieju— rzekł. Gilbert wstając i sięgając po kapelusz— że pańskie obliczenie mnie przeraża i tym bardziej przekonuje, iż moje miejsce jest u boku króla.

I skierował się ku drzwiom.

Cagliostro zatrzymał go.

— Gilbercie, pan wie, że pana kocham, wie pan także, że chcąc oszczędzić panu cierpień, gotów jestem sam narazić się na cierpienia... Więc proszę... proszę posłuchać mojej rady...

— Jakiej?

— Niech król się ratuje... niech opuści Francję... póki jeszcze czas... Za kwartał, rok, może sześć miesięcy, będzie za późno.

— Hrabio — rzekł Gilbert — czy doradzałby pan żołnierzowi opuścić posterunek, bo trwać na nim jest niebezpiecznie?”

— Gdyby ten żołnierz był tak otoczony, zdławiony i bezbronny, że nie mógłby się bronić, gdyby ryzyko jego śmierci narażało życie pół miliona ludzi... tak, radziłbym mu uciekać... I pan, Gilbercie, sam to powie królowi... Król pana wysłucha, ale wtedy może być za późno... Niech więc nie czeka pan do jutra, niech mu to pan powie dzisiaj. Niech pan nie czeka do wieczora i powie mu to za godzinę!

— Hrabio, pan wie, że należę do szkoły fatalistów. Niech się stanie, co się ma stać! Dopóki mieć będę jakikolwiek wpływ na króla, król nie opuści Francji, a ja stać będę przy nim. Żegnam, hrabio, zobaczymy się w ogniu walki, a może legniemy obok siebie na polu bitwy.

— Widać tak musi być — szepnął Cagliostro — że najbardziej nawet inteligentny człowiek nigdy nie zdoła wymknąć się swemu przeznaczeniu... Szukałem pana, aby powiedzieć mu to, co powiedziałem... Wysłuchał mnie pan... Moja przepowiednia jak wróżba Kasandry nie znajdzie posłuchu... Żegnam!

— Mówmy szczerze, hrabio — powiedział Gilbert przystając na progu salonu i uporczywie wpatrując się w Cagliostra. — Czy i teraz, jak w Ameryce, chce mi pan wmówić, że odczytuje przyszłość ludzi z ich twarzy?

— Równie nieomylnie, Gilbercie jak ty czytasz na niebie drogę gwiazd, gdy ogół ludzi sądzi, że są nieruchome lub błędzą na los szczęścia.

— No to... ktoś puka do drzwi...

— Istotnie.

— Niech mi pan powie, jaki będzie los tego, kto stuka do drzwi, kimkolwiek jest. Niech mi pan powie, kiedy i jaką śmiercią umrze.

— Dobrze — odparł Cagliostro — chodźmy otworzyć.

Gilbert usunął się na koniec korytarza, nie mogąc uciszyć bicia serca, choć mówił sobie w duchu, że nonsensem byłoby traktować całą tę szarlatanerię serio.

Drzwi się otwarły.

Na progu stanął człowiek wysoki, o dystygowanej powierzchowności, o twarzy nacechowanej wyrazem zdecydowania i obrzucił Gilberta spojrzeniem szybkim i nie pozbawionym niepokoju.

— Dzień dobry, markizie — rzekł Cagliostro.

— Dzień dobry, baronie — odparł tamten.

Potem, widząc, że wzrok gościa znów zatrzymuje się na Gilbercie, Cagliostro powiedział:

— Markizie, oto mój przyjaciel, pan doktor Gilbert... Drogi Gilbercie, oto markiz de Favras, mój klient.

Obaj panowie wymienili ukłony.

Następnie zwracając się do nowo przybyłego, Cagliostro powiedział:

— Markizie, zechce pan przejść do salonu i zaczekać na mnie chwilę. Za pięć sekund będę do pańskich usług.

Markiz skłonił się powtórnie i przeszedł do salonu.

— No więc? — zapytał Gilbert.

— Chce pan wiedzieć, jaką śmiercią umrze markiz?

— Czyż nie obiecał mi pan tego powiedzieć? Cagliostro uśmiechnął się w jakiś szczególny sposób, po czym, chcąc się upewnić, że tamten go słucha, nachylił się i rzekł:

— Widział pan kiedyś, jak wiesz się szlachcica?

— Nie.

— W takim razie, ponieważ, to osobliwe widowisko, niech pan pójdzie na plac Greve w dniu, gdy wieszac będą markiza de Favras.

A odprowadzając Gilberta do bramy dodał:

— Gdyby zechciał pan przyjść do mnie nie dzwoniąc, nie będąc widzianym i nie chcąc spotkać nikogo poza mną, proszę przesunąć ten guzik na lewo i w dół, o tak... Żegnam, proszę mi wybaczyć, ale nie mogę narażać na czekanie tych, którym zostało już niewiele życia.

I wrócił do domu, zostawiając Gilberta zdumionego tą pewnością siebie, która mogła wzbudzić podziw, lecz nie. mogła rozwiązać nieufności.

V TUILERIES

Tymczasem król, królowa i rodzina królewska wciąż jeszcze zdążali do Paryża.

Pochód posuwał się tak wolno, opóźniany przez pieszą straż przyboczną, jadące konno handlarki, przez mężczyzn i kobiety, którzy obsiedli przybrane wstępami armaty, sto pojazdów deputowanych, dwieście lub trzysta wozów z ziarnem i mąką, jakie zabrano z Wersalu, że dopiero o szóstej wieczorem królewska kareta, pełna cierpień, nienawiści, namiętności i niewinności dotarła do rogatek.

W drodze młody książę poczuł głód i zażądał czegoś do zjedzenia. Królowa rozejrzała się wokół; łatwo było zdobyć kawałek chleba dla delfina, bo każdy przedstawiciel ludu niósł bochenek nabity na bagnet.

Poszukała wzrokiem Gilberta, który jak wiadomo podążył za Cagliostrem. Gdyby był przy niej, królowa bez wahania poprosiłaby o kawałek chleba.

Nie chciała jednak zwracać się z taką prośbą do kogokolwiek z ludu, czując do tych ludzi wstręt. Przytuliła więc syna do piersi i ze łzami powiedziała:

— Nie mamy chleba, moje dziecko. Poczekaj do wieczora, może się wtedy znajdzie.

Następca wskazał rączką na ludzi z chlebem na bagnetach.

— Ci ludzie mają chleb.

— Tak, moje dziecko, ale ten chleb należy do nich, nie do nas, przyszli po to do Wersalu, bo w Paryżu ponoć nie ma już chleba od trzech dni.

— Od trzech dni? — powtórzyło dziecko. — Więc nie jedli od trzech dni, mamusiu?

Wedle etykiety dworskiej, następca powinien był zwracać się do matki per *madame*. Ale biedne dziecko było głodne, jak dziecko zwykłych biedaków, dlatego powiedziało do matki „mamusiu”.

— Nie, mój synu — odparła królowa. — W takim razie — rzekł następca z westchnieniem — muszą być bardzo głodni!

I, zapominając o skargach, próbował zasnąć.

Biedne królewskie dziecko, które przed śmiercią nie raz jeszcze daremnie prosić będzie o chleb!

Przy rogatce zatrzymano się znowu, już nie dla odpoczynku, ale by uczcić przybycie rodziny królewskiej. Zdarzenie to miało zostać uświetnione śpiewem i tańcami.

Dziwny postój, prawie tak samo złowieszczy w swojej radości, jak poprzednie w swojej grozie.

Istotnie, handlarki zsiadły z koni gwardyjskich, przywiązując do łąków szable i karabiny. Tragarze z hal i ich damy opuścili armaty, które objawiły się w całej swojej straszliwej nagości.

Utworzono korowód, który otoczył królewską karetę odgradzając ją od Gwardii Ludowej i deputowanych, co było niezwykłym symbolem tego, co miało zdarzyć się później. Korowód, zrodzony z życzliwej chęci powitania rodziny królewskiej śpiewał, krzyczał, wrzeszczał, kobiety całowały się z mężczyznami, mężczyźni podrzucali kobiety, zupełnie jak na tych rozpasanych kiermaszach pędzła Teniersa.

Działo się to już o zmroku, po ciemnym i dżdżystym dniu, tak że korowód, oświetlony jedynie ognikami zapalonych lontów armat i blaskiem sztucznych ogni, przybierał fantastyczne, niemal piekielne barwy.

Okrzyki, wołania, śpiewy i tańce w błocie trwały prawie pół godziny, zanim orszak rozbrzmiał

gromkim „hurra!”; każdy kto miał nabity karabin, mężczyzna, kobieta, dziecko, palił w powietrze nie bacząc”, że kule spadały niczym grad, bębniąc po kałużach.

Delfin i jego siostra płakali; ogarnął ich taki strach, że już nie czuli głodu.

Potem, wzdłuż nabrzeży Sekwany, pochód dotarł do placu przed Ratuszem.

Tu ustawione w kwadrat stały oddziały wojsk, miały nie dopuścić do Ratusza żadnej karety oprócz królewskiej, nikogo, kto nie należałby do królewskiej rodziny lub Zgromadzenia Narodowego.

Królowa dojrzała jednak, jak Weber, jej zaufany austriacki kamerdyner i mleczny brat, który niegdyś przybył z nią z Wiednia, stara się ominąć zakaz i przedrzeć się do Ratusza.

Zawołała nań.

Jeszcze w Wersalu, widząc że Gwardia Narodowa cieszy się szczególnymi względami, aby dodać sobie znaczenia, Weber przebrał się za gwardzistę, a do munduru zwykłego wolontariusza przypiął dystynkcje sztabowego oficera.

Stajenny królowej pożyczył mu konia; żeby nie budzić podejrzeń, wzdłuż całej drogi trzymał się na uboczu, w razie potrzeby gotów oczywiście w każdej chwili pospieszyć królowej na pomoc.

Rozpoznany i wezwany nadbiegł natychmiast.

— Dlaczego starasz się ominąć zakaz, Weberze? — zapytała królowa, która miała zwyczaj mówić mu per ty.

— Ależ po to, aby być blisko Waszej Królewskiej Mości.

— Będiesz mi zupełnie niepotrzebny w Ratuszu, natomiast możesz przydać się gdzie indziej.

— Gdzie, pani?

— W Tuileries, drogi Weberze, gdzie nikt na nas nie czeka i gdzie, jeśli nas nie wyprzedzisz, nie znajdziemy ani łóżka, ani pokoju, ani kawałka chleba.

— Ach — wtrącił król — to świetny pomysł, Pani! Królowa mówiła po niemiecku, król zaś, który rozumiał ten język, choć nim nie mówił, odezwał się po angielsku.

Lud również słyszał tę rozmowę, nie rozumiejąc jej. Obcy język, do którego czuł instynktowny wstręt, wywołał wokół pomruk, który groził przejściem w ryk, ale właśnie oddział wojska rozstał się i przepuścił królewską karete.

Bailly, jedna z trzech najbardziej popularnych osobistości epoki, Bailly, którego spotkaliśmy już podczas pierwszej podróży króla — kiedy to bagnety, karabiny i lufy armatnie zniknęły pod bukietami kwiatów, o czym zapomniano już podczas drugiej podróży — Bailly czekał więc na królewską parę u stóp tronu przygotowanego na jej przyjęcie naprędce i byle jak; źle sklecony tron trzeszczał pod aksamitnym obiciem i był prawdziwym tronem okolicznościowym!

Mer Paryża powitał króla podobnymi słowami, co za pierwszym razem.

Król odpowiedział:

— Zawsze z przyjemnością i ufnością przybywam do mieszkańców mego zacnego miasta Paryża.

Mówił jednak cicho, głosem, którym tłumiał znużenie i głód. Bailly powtórzył to zdanie głośno, aby każdy mógł je usłyszeć.

Tylko że zapomniał powtórzyć słowa „ufność”, może niechcący, a może celowo.

Spostrzegła to królowa i nie kryjąc irytacji rzekła, na tyle głośno, by najbliższe otoczenie nie uroniło ani jednego słowa:

— Przepraszam, panie merze, lecz albo pan źle usłyszał, albo ma pan krótką pamięć.

— Słucham, Najjaśniejsza Pani — wymamrotał Bailly, zwracając ku królowej oczy astronoma, który wiele widział na niebie, a tak mało na ziemi.

— Król powiedział — podjęła królowa — że zawsze z przyjemnością i ufnością przybywa do

mieszkańców swego zacnego miasta Paryża. Ponieważ zaś można mieć wątpliwości, czy przybywa tu z przyjemnością, wszyscy powinni przynajmniej wiedzieć, że przybywa tutaj z ufnością.

Po czym wstąpiła po trzech stopniach na tron i zasiadła obok króla, aby wysłuchać przemówień elektorów.

Tymczasem Weber, przed którego mundurem oficera sztabowego tłum się rozstępował, dotarł do Tuileries.

Królewski dom Tuileries, jak go dawniej nazywano —pałac zbudowany przez Katarzynę Medycejską, która mieszkała tu krótko, opuszczony przez Karola IX, Henryka III, Henryka IV i Ludwika XIII dla Luwru, zaś przez Ludwika XIV, Ludwika XV i Ludwika XVI dla Wersalu — od dawna był już tylko filią królewskich pałaców, gdzie mieszkali dworzanie, ale prawie nigdy nie zaglądała monarsza para.

Weber obejrzał apartamenty, a znając przyzwyczajenia króla i królowej, wybrał te, w których mieszkała hrabina de la Marck oraz marszałkowie de Noailles i de Mouchy.

Apartament opuszczony natychmiast przez hrabinę de la Marck był od razu gotów na przyjęcie królowej i Weber po prostu odkupił meble, bieliznę, firanki i dywany.

Koło dziesiątej dał się słyszeć turkot powozu Ich Królewskich Mości. Wszystko było przygotowane, a Weber, biegnąc na spotkanie swych dostojnych państwa, zawołał :

— Do usług króla!

Król, królowa, królewska córka, delfin, księżniczka Elżbieta i Andrée wkroczyli do pałacu.

Księżę Prowansji powrócił do pałacu Luksemburskiego.

Król z niepokojem rozejrzał się wokół; wchodząc jednak do salonu, dojrzał w głębi przez wychodząc na galerię uchylone drzwi stół nakryty do kolacji.

W tej samej chwili drzwi się otwarły i lokaj oznajmił:

— Kolacja podana.

— Och, ten Weber to człek do rzeczy! — zawołał z radością król. — Powiedz mu, Pani, że jestem z niego bardzo zadowolony.

— Nie omieszkam tego uczynić, Sire — odparła królowa. I z westchnieniem, które miało być odpowiedzią na radość króla, weszła do jadalni.

Przy stole nakryto dla króla, królowej, córki królewskiej, delfina i księżniczki Elżbiety. Brakło tylko nakrycia dla Andrée.

Król, pod wpływem głodu, nie zwrócił uwagi na to niedopatrzenie, które nie kryło nic uwłaczającego, odpowiadało bowiem regułom ścisłej etykiety. Jednak królowa, której uwagi nic nie uchodziło, spostrzegła to od razu.

— Pozwolisz, Sire, że hrabina de Charny zje z nami kolację? — zapytała.

— Jak to! — zawołał król. — Przecież dzisiaj jemy kolację w rodzinie, a hrabina należy do rodziny.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła hrabina — czy mam to rozumieć jako rozkaz króla?

Monarcha spojrział na hrabinę zdziwiony.

— Me, pani, to tylko prośba króla.

— W takim razie, proszę mi wybaczyć, ale nie jestem głodna.

— Jak to, nie jest pani głodna? — zawołał król, który nie pojmował, że można nie być głodnym o dziesiątej wieczór, po tak męczącym dniu, kiedy ostatni raz jadło się dwanaście godzin temu, i to tak źle, jak on tego rana.

— Sire — rzekła Andrée.

— Ani ja — powiedziała królowa.

— Ani ja — dodała księżniczka Elżbieta.

— Och, źle pani robi — powiedział król. — Od dobrego stanu żołądka zależy dobry stan całego ciała, a nawet ducha. Jest na ten temat bajka Tytusa Liwiusza, na której później wzorowali się Szekspir i La Fontaine, a którą radzę pani przemyśleć.

— Znamy ją, panie — odparła królowa. — To bajka, którą stary Meneniusz opowiedział ludowi rzymskiemu w dniu rewolucji. Tego dnia lud rzymski był zbuntowany, jak dziś lud Francji. Masz zatem rację, Sire, ta bajka jest na czasie.

— Może więc to historyczne podobieństwo skłoni panią do jedzenia, hrabino? — zapytał król, podając swój talerz, aby ponownie napełniono go bulionem.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, i doprawdy wstyd mi wyznać, że nawet gdybym chciała słuchać, nie mogłabym.

— Źle pani czyni, hrabino, bulion jest naprawdę doskonały! Czemu po raz pierwszy podają mi taki bulion?

— Ależ dlatego, że mamy nowego kucharza, Najjaśniejszy Panie, kucharza hrabiny de la Marck, której apartamenty właśnie zajęliśmy.

— Zaliczam go w poczet mojej służby i pragnę, aby odtąd należał do mego dworu... Ten Weber to prawdziwy cudotwórca!

— Tak — szepnęła królowa ze smutkiem — jaka szkoda, że nie można go zrobić ministrem!

Król nie usłyszał lub nie chciał usłyszeć; widząc jednak, że Andrée, bardzo błada, wciąż stoi, podczas gdy królowa i księżniczka Elżbieta siedzą już przy stole, choć też nic nie jedzą, zwrócił się do hrabiny de Charny:

— Twierdzi pani, że nie jest głodna, ale nie powie pani chyba, że nie jest zmęczona. Jeśli nie chce pani jeść, zapewne zechce pani odpocząć? — A zwracając się do królowej dodał: — Zwolnij, Pani, z łaski swojej, hrabinę de Charny; z braku posiłku niech jej posłuży sen.

Po czym rzekł do służby:

— Mam nadzieję, że z łóżkiem pani hrabiny nie jest tak jak z jej nakryciem i że nie zapomniano przygotować dla niej pokoju?

— Och, Najjaśniejszy Panie — powiedziała Andrée jakże można zajmować się moją osobą w takim zamieszaniu? Wystarczy mi fotel.

— Ależ nie, co znowu — rzekł król. — Nie spała pani wcale lub prawie wcale ubiegłej nocy, musi się pani wyspać tej. Królowa potrzebuje nie tylko własnych sił, ale także sił swoich przyjaciół.

Tymczasem lokaj, który poszedł dowiedzieć się o pokój hrabiny, powrócił i oznajmił:

— Znając wielką życzliwość, jaką królowa zaszczyca panią hrabinę, pan Weber uznał, iż działa zgodnie z intencjami Jej Królewskiej Mości rezerwując dla pani hrabiny pokój obok apartamentu królowej.

Królowa drgnęła na myśl, że skoro dla hrabiny przeznaczono tylko jeden pokój, będzie to również pokój dla hrabiego.

Andrée zauważyła ten dreszcz, który wstrząsnął królową.

Żadne wrażenie, jakie odczuwała jedna z tych kobiet, nie mogło ująć uwagi drugiej.

— Na tę noc, ale tylko na tę, zgodzę się zająć pokój — odrzekła Andrée. — Apartament Jej Królewskiej Mości jest zbyt mały, abym mogła przyjąć pokój z uszczerbkiem dla wygód królowej. Na poddaszu pałacu znajdzie się chyba jakiś kącik dla mnie.

Królowa wyszeptała kilka niezrozumiałych słów. — Ma pani rację, hrabino — powiedział król — zajmujemy się tym wszystkim jutro i ulokujemy panią jak najlepiej.

Hrabina złożyła pełen szacunku ukłon królowi, królowej oraz księżniczce Elżbiecie i wyszła, podążając za lokajem.

Król odprowadził ją wzrokiem, trzymając widelec na wysokości ust.

— Doprawdy, cóż za czarujące stworzenie, ta kobieta. Jakże szczęśliwy jest hrabia de Charny, że znalazł na dworze taki skarb!

Królowa opadła na fotel, chcąc ukryć bladość nie przed królem, bo on i tak nie byłby tego zauważył, lecz przed księżniczką Elżbietą, która się przeraziła.

Królowa była bliska utraty przytomności.

VI CZTERY ŚWIECE

Gdy tylko dzieci zjadły, królowa zwróciła się do króla o pozwolenie udania się do swego pokoju.

— Ależ chętnie — odrzekł król — musisz być, Pani, bardzo zmęczona, ponieważ jednak nie sposób, byś nie poczuła głodu do jutra, każ sobie, Pani, przygotować mały posiłek.

Królowa wyszła bez słowa, zabierając ze sobą dzieci.

Król został przy stole, by dokończyć kolacji. Księżniczka Elżbieta, którą wulgarność Ludwika XVI w pewnych sytuacjach raziła, lecz nie umniejszała jej przywiązania, pozostała przy królu, aby usługiwać mu w różnych sytuacjach, które umykają nawet najlepiej wytresowanej służbie.

Znalazłszy się w swoim pokoju królowa odetchnęła z ulgą. Była sama, wszystkie damy dworu na jej rozkaz pozostały w Wersalu i miały go nie opuszczać bez wyraźnego polecenia.

Zaczęła rozglądać się za szeroką kanapą lub dużym fotelem dla siebie, chcąc dzieci położyć w swoim łóżku.

Mały następca już spał: sen zmorzył go, gdy tylko zaspokoił głód. Królewska córka nie spała; miała w sobie wiele cech królowej i gdyby było trzeba, nie zmrużyłaby oka całą noc.

Tak więc ułożywszy małego księcia w fotelu, królowa z córką rozpoczęły poszukiwania.

Królowa najpierw podeszła do pierwszych drzwi, już chciała je otworzyć, gdy z drugiej strony dobiegł ją lekki szmer. Zaczęła nadśluchiwać i usłyszała nowe westchnienie; pochyliła się i przez dziurkę od klucza ujrzała Andrée, która modliła się klęcząc na małym krzeselku.

Cofnęła się na palcach, wciąż wpatrzona w drzwi z wyrazem dziwnej boleści.

Naprzeciw były drugie drzwi. Królowa otworzyła je i znalazła się w przyjemnie ogrzonym pokoju, oświetlonym nocną lampką, w której świetle ujrzała dwa łóżka, świeże i białe jak ołtarz.

Zrobiło jej się źle na sercu i łza zwilżyła suche i piekące powieki.

— Och, Weber, Weber — szepnęła — królowa powiedziała królowi, że niestety, nie można cię zrobić ministrem, ale matka powiada, że zasługujesz na coś lepszego.

Ponieważ mały delfin już spał, królowa chciała z kolei ułożyć do snu córkę. Ale księżniczka pełna szacunku, jaki zawsze żywiła dla matki, pragnęła jej pomóc, aby królowa jak najprędzej mogła położyć się do łóżka.

Królowa uśmiechnęła się ze smutkiem; córka sądziła, że matka potrafi zasnąć po nocy pełnej trwogi i dniu pełnym upokorzeń! Chciała jednak utwierdzić ją w tej naiwnej wierze.

Ułożyły więc najpierw delfina. Królewska córka, jak zwykle, uklękła obok łóżka i rozpoczęła modlitwę.

Królowa czekała.

— Wydaje mi się, Tereso, że twoja modlitwa trwała dłużej niż zazwyczaj — rzekła.

— To dlatego, że mój brat zasnął nie odmówiwszy swojej — odparła córka — a; ponieważ co wieczór modli się za króla i królową, odmówiłam też jego modlitwę, aby niczego nie zabrakło w naszych prośbach do Boga.

Królowa objęła córkę i przytuliła ją do serca. Łzy wezbrane staraniami dobrego Webera, a ożywione pobożnością księżniczki płynąć zaczęły Jej z oczu wartko i obficie, spływając po policzkach strumieniem smutku pozbawionym jednak goryczy.

Nieporuszona stała u łóżka księżniczki jak anioł macierzyństwa, dopóki oczy córki nie zamknęły się i póki nie poczuła, że rozluźnia się czuły uścisk dziecięcej miłości.

Wtedy ułożyła jej ręce wzdłuż ciała i otuliła kołdrą, aby nie zmarzła, gdy nocą oziębi się w pokoju; wreszcie ułożywszy na czole przyszłej męczennicy pocałunek lekki jak technienie i słodki

jak sen, wróciła do swego pokoju.

Pokój ten oświetlał czteroramienny świecznik stojący na stole pokrytym czerwoną serwetą.

Królowa usiadła, głowę oparła na zaciśniętych pięściach i utkwiała wzrok w rozpostartej przed sobą czerwonej materii.

Kilkakroć machinalnie potrząsnęła głową, jakby chciała rozproszyć odbłask krwawej czerwieni. Zdawało jej się, że krew zalewa jej oczy, skronie pulsują gorączką, a uszy wypełnia szum.

I oto jakby w ruchomej mgłę przesunęło się przed nią całe jej życie.

Przypomniała sobie, że przyszła na świat 2 listopada 1755 roku, w dniu trzęsienia ziemi w Lizbonie, które pochłonęło pięćdziesiąt tysięcy ludzi i dwieście kościołów.

Przypomniała sobie, że w Strasburgu, w pokoju, w którym spędziła pierwszą we Francji noc, gobelin przedstawiał Rzeź Niewiniątek, a owej nocy w chwiejnym świetle lampki doznała wrażenia, że krew toczy się z ran biednych dzieci, podczas gdy twarze ich morderców przybierają wyraz tak straszliwy, iż przerażona wezwała pomocy i rozkazała, by już o świcie opuścić miasto, które pozostawiła jej tak okrutne wspomnienie.

Przypomniała sobie, że w drodze do Paryża zatrzymała się w domu barona de Taverney i tam po raz pierwszy spotkała tego nędznika Cagliostro, który od czasu afery z naszyjnikami miał fatalny wpływ na jej losy. W czasie tego postoj — ciągle żywego w jej pamięci, jakby to było wczoraj, a nie dwadzieścia lat temu — na jej prośbę pokazał w karafce coś potwornego, nieznaną i straszliwą maszynę śmierci, a u jej podnóża odciętą od ciała toczącą się jej własną głowę!

Przypomniała sobie, że kiedy pani Lebrun zrobiła jej uroczy portret, młodej, pięknej i szczęśliwej jeszcze kobiety, przez nieuwagę zapewne lecz jakże złowróźnie, nadała jej pozę, jaką ma na portrecie Henryka Angielska, żona Karola I.

Przypomniała sobie, że w dniu jej przybycia do Wersalu, gdy wysiadając z powozu stanęła na żalobnych płytach marmurowego podwórca — gdzie wczoraj połało się tyle krwi — rozległ się straszny grzmot, poprzedzający uderzenie pioruna, który przeciął powietrze w tak przerażający sposób, że marszałek Richelieu, którego niełatwo było przestraszyć, kiwając głową powiedział: „Zła to wróżba!”

Przypomniała sobie to wszystko mając przed oczyma kłębiący się czerwony opar, który zdawał się gęstnieć.

Wrażenie to było tak wyraźne, iż królowa podniosła oczy na świecę i dostrzegła, że jedna z nich zgasła bez żadnej wyraźnej przyczyny.

Zadrżała; świeca dymiała jeszcze i nie było żadnego powodu, by zgasła.

Patrzyła ze zdumieniem na świecznik i wydało jej się, że i druga świeca powoli przygasa, jej płomień z jasnego staje się czerwony, niebieskawy, potem zwęża się i wyciąga, jakby chciał ulecieć w górę. Wreszcie zachybotał, jakby poruszony niewidzialnym oddechem, i — zgasł.

Królowa patrzyła na agonię świecy błędnym wzrokiem, jej pierś falowała coraz gwałtowniej, wyciągnięte ręce zbliżały się do świecznika, w miarę jak świeca przygasała. Kiedy już zgasła, królowa zamknęła oczy, przechyliła się w fotelu i przesunęła dłonią po czole, które zroszone było potem.

Siedziała tak z zamkniętymi oczyma przez dziesięć minut, a gdy je otworzyła, dostrzegła z przerażeniem, że płomień trzeciej świecy kurczy się jak płomień dwóch poprzednich.

Maria Antonina pomyślała najpierw, że to sen, jakaś potworna halucynacja. Próbowała wstać, ale była jakby przykuta do fotela. Chciała zawołać córkę, której kilka minut wcześniej nie obudziłaby nawet na koronację, ale głos uwiązł jej w gardle; próbowała odwrócić głowę, ale ta była sztywna i nieruchoma; trzecia konająca świeca przyciągała jej wzrok i oddech. Wreszcie, zmieniając barwy jak poprzednio, także płomień trzeciej świecy zbladł, wydłużył się, zachybotał

i zgasł.

Wówczas ogarnęło królową takie przerażenie, iż odzyskała mowę, a wraz z nią odwagę.

— Nie przejmuję się tym, co zdarzyło się trzem świecom — powiedziała głośno do siebie. — Jeśli jednak zgaśnie także czwarta, wtedy biada mi, biada!

Nagle, nie zmieniając koloru płomienia, nie wydłużając się ani nie chybotając niby dotknięta skrzydłem śmierci zgasła czwarta świeca.

Królowa wydała straszliwy krzyk, zerwała się na równe nogi, dwa razy obróciła się wokół, tnąc powietrze i mrok rękami, i padła bez czucia.

Gdy rozległ się odgłos padającego ciała, otworzyły się drzwi i na progu stanęła Andrée, w batystowym szlafrocuku, blada i milcząca jak widmo. Znieruchomiała na chwilę, jak gdyby pośród tej ciemności dostrzegła kłębiące się opary; nasłuchiwała chwilę, jakby dobiegł ją szelest całunu.

Wreszcie dojrzała królową, leżącą na ziemi bez przytomności.

Cofnęła się o krok, a pierwszym jej odruchem było wycofać się; lecz chwilę później rozkazując sama sobie, bez słowa, bez pytań — pytanie zresztą byłoby całkiem zbyteczne — uniosła królową z siłą, o którą nikt by jej nie podejrzewał, i w blasku dwóch świec rozjaśniających sąsiedni pokój zaniosiła ją na swoje łóżko.

Z kieszeni wyjęła flakon soli trzeźwiących i przytknęła go do nosa Marii Antoniny. Omdlenie królowej było jednak tak głębokie, że dopiero po dziesięciu minutach lekko westchnęła.

Słyszając westchnienie królowej, które oznaczało powrót do życia, Andrée zapragnęła oddalić się, ale i tym razem powstrzymało ją poczucie obowiązku.

Wysunęła tylko ramię spod głowy Marii Antoniny, aby kropla żrącego octu, w którym rozpuszczone były sole, nie kapnęła na twarz czy pierś królowej. Cofnęła też rękę trzymającą flakon.

Wtedy jednak głowa znów bezwładnie opadła na poduszki; omdlenie królowej było jeszcze głębsze niż to, z którego zdawała się już powracać.

Chłodna i opanowana Andrée uniosła ją znowu i powtórnie podsunęła flakon z solami, które nareszcie wywołały skutek.

Lekki dreszcz przebiegł ciało królowej, westchnęła i otworzyła oczy; lecz wtedy przypomniała sobie swoje myśli, straszliwą wróżbę i czując przy sobie jakąś kobietę zarzuciła jej ręce na szyję.

— Och, obrońcie mnie! Ratujcie!

— Wasza Królewska Mość nie potrzebuje obrony, bo znajduje się wśród przyjaciół — odparła Andrée — a teraz, gdy omdlenie minęło, nie potrzebuje również ratunku.

— Hrabina de Charny! — zawołała królowa wypuszczając z objęć Andrée i niemal ją odpychając.

Ani ten odruch, ani uczucie, jakie go wywołało, nie uniknęło uwadze Andrée.

Zachowała jednak beznamiętny spokój, nie cofnęła się o krok.

— Czy królowa rozkaże, bym pomogła jej się rozebrać?

— Nie, hrabino, dziękuję — odrzekła królowa zmieszana — rozbiorę się sama... Proszę wrócić do siebie, potrzebuje pani snu.

— Wrócę do siebie, Pani — odrzekła Andrée — ale nie po to, by spać, lecz czuwać nad snem Waszej Królewskiej Mości.

I złożony pełen szacunku ukłon powróciła do swego pokoju powolnym i uroczystym krokiem, który byłby krokiem godnym posagów, gdyby posągi umiały chodzić.

VII DROGA DO PARYŻA

Tegoż wieczora, kiedy rozegrały się opisane wypadki, równie ważne wydarzenie wzburzyło całą szkołę księdza Fortier.

Około szóstej wieczór zniknął Sebastian Gilbert, a około północy, mimo iż ksiądz Fortier i jego siostra Aleksandryna starannie przeszukiwali cały dom, wciąż jeszcze go nie odnaleziono.

Pytano wszystkich, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało. Tylko ciotka Angelika stwierdziła, że wychodząc z kościoła, gdzie około godziny ósmej wieczorem składała krzesła, widziała Sebastiana, który uliczką między kościołem a więzieniem biegł w stronę Parterre.

Wiadomość ta zamiast uspokoić księdza Fortier, zwiększyła tylko jego niepokój. Wiedział dobrze, iż Sebastian ulega czasem dziwnym halucynacjom, kiedy to ukazuje mu się kobieta, którą nazywa matką. Widząc, że podczas spacerów chłopiec zapuszcza się w las, ksiądz Fortier w obawie, iż zabłądzi, wysyłał za nim najlepszych biegaczy szkoły. Znajdowali go w końcu zdyszanego i prawie omdlałego, wspartego o drzewo lub leżącego na mchu, zielonym dywanie okolicznych lasów.

Ale nigdy dotąd zaburzenia te nie nawiedziły Sebastiana wieczorem; nigdy nie trzeba było za nim biegać w nocy.

Musiło więc stać się coś nadzwyczajnego; próżno jednak ksiądz Fortier łamał sobie głowę, nie mógł odgadnąć, co się zdarzyło.

By dojść do szczęśliwszych rezultatów w poszukiwaniach niż ksiądz Fortier podążymy za Sebastianem wiedząc przecież, gdzie się udał.

Ciotka Angelika nie myliła się wcale: istotnie, widziała Sebastiana Gilberta, jak skradał się w mroku, a potem, co sił w nogach, ruszył w stronę części parku zwanej Parterre, stamtąd udał się przez Faisanderie wąską dróżką do Haramont.

Po trzech kwadransach był już we wsi.

Wiedząc, że celem wyprawy Sebastiana było Haramont, nietrudno zgadnąć, kogo szukał we wsi.

Sebastian przyszedł tu, by odnaleźć Pitou.

Niestety, Pitou opuszczał wieś w tej samej chwili, gdy z przeciwnej strony zbliżał się do niej Sebastian.

Bowiem, jak pamiętamy, po uczcie, jaką wyprawiła Gwardia Narodowa Haramont, Pitou niczym zwycięzca, wojownik antyczny pozostał na placu boju, podczas gdy inni dawno już padli, i wyruszył na poszukiwanie Katarzyny, którą odnalazł nieprzytomną na drodze z Villers-Cotterêts do Pisseleux, w gorączce spowodowanej ostatnim pocałunkiem Isydora.

Sebastian nic o tym wszystkim nie wiedział; kierował się wprost do chaty Pitou, której drzwi zastał otwarte. Pitou w swojej prostocie i uczciwości uważał, że nie musi zamykać drzwi bez względu na to, czy jest w domu, czy też go nie ma. Ale nawet gdyby miał zwyczaj skrupulatnego ich zamykania, tego wieczora tak był przygnieciony ciężarem trosk, że na pewno byłby o tym zapomniał.

Sebastian znał chatę Pitou jak własną, odszukał więc hubkę, krzesiwo, skrzesał ogień, zapalił świecę i czekał.

Był jednak zbyt podniecony, aby siedzieć spokojnie, zwłaszcza że trwało to zbyt długo.

Chodził nieustannie od pieca do drzwi, a od drzwi do rogu ulicy, po czym widząc, że nikt nie nadchodzi, wracał do domu, chcąc się upewnić, czy pod jego nieobecność Pitou nie wrócił.

Wreszcie widząc, że czas ucieka, podszedł do kulawego stołu, na którym znajdowały się atrament, pióra i papier. Na pierwszej karcie papieru spisane były nazwiska i imiona oraz wiek trzydziestu trzech ludzi, tworzących oddział Gwardii Narodowej w Haramont będącej pod rozkazami Pitou.

Sebastian starannie oderwał pierwszą stronę, kaligraficzne arcydzieło samego komendanta, który osobiście wykonał to, co należało do kwatermistrza.

Następnie na drugiej stronie napisał:

„Drogi Pitou.

Przybyłem tu, aby Ci powiedzieć, że przed tygodniem usłyszałem rozmowę księdza proboszcza Fortiera z wikarym z Villers–Cotterêts. Okazuje się, że ksiądz Fortier ma konszachty z paryskimi arystokratami; mówił wikaremu, że w Paryżu przygotowuje się kontrrewolucję.

Potwierdziła to później sama królowa, która przypięła czarną kokardę i podeptała kokardę trójkolorową.

Groźba kontrrewolucji i to, czegośmy się dowiedzieli później o wypadkach, jakie nastąpiły po bankiecie, bardzo zaniepokoiło mnie ze względu na mego ojca, który, jak ci wiadomo, jest wrogiem arystokratów. Ale, drogi Pitou, dziś wieczór było jeszcze gorzej.

Wikary ponownie odwiedził proboszcza, a że bałem się o ojca, uznałem za właściwe podsłuchać rozmyślnie dalszy ciąg tego, co poprzednio usłyszałem przypadkiem.

Okazuje się, mój drogi Pitou, że lud ruszył na Wersal, zamordowano tam wiele osób, a między innymi pana Jerzego de Charny.

Ksiądz Fortier dodał: «Mówmy cicho, by nie przestraszyć małego Gilberta, którego ojciec był w Wersalu i mógł zostać zabity jak inni».

Rozumiesz więc, drogi Pitou, że dalej już nie słuchałem.

Wymknąłem się cicho z mojej kryjówki, by nikt mnie nie widział, przeszedłem przez ogród, znalazłem się na placu Zamkowym i biegiem przybyłem do Ciebie. Chcę Cię prosić, byś odprowadził mnie do Paryża, co niewątpliwie zrobiłbyś z największą chęcią, gdybym Cię tu zastał.

Ponieważ jednak nie ma Cię w domu i może zaraz nie powrócisz, a jeśli wybrałeś się do lasu Villers–Cotterêts zastawiać sidła, nie wrócisz chyba przed świtem, zbyt się niepokoję; aby tak długo czekać.

Wyruszę więc sam. Bądź spokojny, znam drogę. Zresztą mam jeszcze dwa ludwiki, jakie dał mi ojciec, wsiądę do pierwszego wozu, który napotkam na drodze.

PS. Napisałem dosyć długi list, po pierwsze dlatego, aby Ci wyjaśnić powody mej wyprawy, a po drugie, bo miałem wciąż nadzieję, że wrócisz, zanim list będzie skończony.

Lecz oto kończę list. Nie wróciłeś — więc odchodzę. Żegnaj albo raczej do widzenia. Jeżeli mojemu ojcu nic się nie stało i jeżeli nic mu nie grozi — wrócę. W przeciwnym razie jestem zdecydowany zażądać, aby ojciec zatrzymał mnie przy sobie.

Uspokój księdza Fortier i wyjaśnij powody mojego odejścia, ale uspokój go dopiero jutro, tak, aby było za późno wysłać za mną pościg.

A teraz, skoro nie wracasz — odchodzę. Żegnaj lub raczej do widzenia”.

Po czym Sebastian Gilbert, wiedząc jak bardzo oszczędny jest jego przyjaciel Pitou, zgasił świecę, zamknął drzwi i wyszedł.

Kłamstwem zapewne byłoby twierdzić, że Sebastian nie był trochę poruszony, podejmując tak długą podróż w nocy. Wzruszenie to jednak nie miało nie wspólnego ze strachem, występującym zwykle u innych dzieci. Było po prostu podjętym z pełną świadomością czynem, który choć stanowił akt nieposłuszeństwa wobec ojca, był zarazem dowodem wielkiej synowskiej miłości, takie zaś nieposłuszeństwo wybaczyć winni wszyscy ojcowie.

Zresztą Sebastian wyrósł od czasu, gdy go poznaliśmy. Trochę blady, wątpliwy, trochę nerwowy jak na swój wiek, dobiegał piętnastego roku życia. Kiedy ma się temperament Sebastiana i takich rodziców jak Gilbert i Andrée, w tym wieku jest się prawie mężczyzną.

Młodzieniec ogarnięty podnieceniem, wynikającym z działań, jakie podjął, ruszył biegiem ku Largny, które poznał niebawem, jak mówi stary Comeille, po „bladej poświacie płynącej z gwiazd”. Minął wieś i wszedł w głęboki parów, który ciągnie się aż do Vauciennes i otacza staw Walue; w Vauciennes wszedł na główny trakt i na tej królewskiej drodze dopiero zwolnił kroku.

Sebastian, chłopiec rozsądny, który drogę z Paryża do Villers–Cotterêts przebył w trzy dni rozmawiając po łacinie, wiedział, że nie dotrze do Paryża w ciągu nocy, nawet gdyby nie tracił sił na mówienie w jakimkolwiek języku.

Minął pierwszą i podszedł pod drugą górę Vauciennes wolno, a dopiero przyspieszył kroku znalazłszy się na równinie.

Ten szybki marsz można było tłumaczyć bliskością miejsca, w którym najczęściej zdarzały się zasadzki. Odcinek ten wziął swoją nazwę — Fontaine–Eau–Claire — od przejrzystego źródła, bijącego o dwadzieścia kroków od dwóch kamieniołomów, które niczym piekielne czeluście zieją ku drodze mrokiem swoich wykopów.

Trudno powiedzieć, czy mijając to miejsce Sebastian bał się, czy też nie, bo ani nie przyspieszył, ani też nie przeszedł na drugą stronę drogi, a zwolnił nieco dalej, kiedy idąc pod górę zbliżył się do rozwidlenia dróg, z których jedna prowadziła do Paryża, a druga do Crespy. Tu zatrzymał się nagle. Jadąc z Paryża nie zapamiętał, którą z dróg jechał, i kierując się ku Paryżowi nie wiedział, jaką ma obrać. Tę w lewo czy tę w prawo?

Obsadzone były podobnymi drzewami i obie miały podobny bruk.

Nie było jednak nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na pytanie Sebastiana.

Wychodząc z jednego punktu, obie drogi rozchodziły się. Jasne było, że jeśli zamiast wybrać właściwą, Sebastian wybierze złą, nazajutrz o świcie znajdzie się daleko od celu podróży.

Stał więc niezdecydowany.

Szukał jakiejś wskazówki pozwalającej rozpoznać, którą z dwóch dróg jechał: ale takiej wskazówki nie znalazłby w dzień, a co dopiero w nocy.

Stropiony i zniechęcony usiadł na skrzyżowaniu, aby odpocząć i zastanowić się, kiedy wydało mu się, że z od— . dali, od strony Villers–Cotterêts, dobiega go galop jednego lub dwóch koni.

Wstał i nadstawił ucha.

Nie mylił się: tętent końskich kopyt stawał się coraz wyraźniejszy.

Uzyska więc informacje, jakich oczekiwał.

Sebastian postanowił zatrzymać jeźdźców i zapytać o drogę.

Niebawem dojrzał ich cienie majaczące na tle nocy i iskry tryskające spod kopyt koni.

Wyprostował się więc, przeskoczył rów i czekał.

Kawalkada składała się z dwóch ludzi, z których jeden wyprzedzał o kilka kroków drugiego.

Sebastian słusznie zmiarkował, że pierwszy jest panem, a drugi sługą. Postąpił więc trzy kroki naprzód, aby zwrócić się do pierwszego.

Widząc wyłaniającego się z rowu człowieka i sądząc, że to zasadzka, ten sięgnął ręką po pistolet.

Sebastian dojrzał gest.

— Panie — rzekł — nie jestem złodziejem. Jestem chłopcem, który na skutek niedawnych wydarzeń w Wersalu udaje się do Paryża, by odnaleźć ojca. Nie wiem, którą z tych dwóch dróg mam obrać. Odda mi pan wielką przysługę wskazując tę, co prowadzi do Paryża.

Poprawność mowy Sebastiana i młodzieńcza dźwięczność jego głosu, który jeźdźcowi wydał się jakby znajomy, sprawiły, że choć się spieszył, wstrzymał konia.

— Kim jesteś, chłopcze — zapytał życzliwie — i jak się to stało, że o tak późnej porze znalazłeś się na wielkim trakcie?

— Ja nie pytam, kim pan jest... proszę tylko o wskazanie drogi, u kresu której będę wiedział, czy mój ojciec żyje, czy nie.

W jego dziecięcym jeszcze głosie był upór, który zwrócił uwagę jeźdźca.

— Mój przyjacielu, droga do Paryża to właśnie ta, na której jesteśmy. Nie znam jej dobrze, bo byłem w Paryżu ledwie dwa razy, ale wiem na pewno, że ta jest właściwa. Sebastian podziękował i cofnął się o krok. Po krótkim odpoczynku jeździec wyglądający na pana ruszył naprzód, ale już stępa. Sługa, który jechał za nim, powiedział:

— Czy pan wicehrabia poznał tego chłopca?

— Nie... wydaje mi się jednak...

— Jak to, pan wicehrabia nie poznał młodego Sebastiana Gilberta, który mieszka w internacie księdza Fortiera?

— Sebastiana Gilberta?

— No tak, tego, co czasami przychodził do zagrody panny Katarzyny z tym poczciwcem Pitou.

— Istotnie... masz rację.

A zatrzymawszy konia odwrócił się i zapytał:

— Czy masz na imię Sebastian?

— Tak, panie Izydorze — odparł chłopiec, który teraz dopiero rozpoznał jeźdźca,

— Podejź więc, młody przyjacielu, i powiedz mi, jak to się stało, że o tej porze znalazłeś się sam na tej drodze?

— Już mówiłem, panie Izydorze, że idę do Paryża dowiedzieć się, czy mój ojciec został zabity, czy też jeszcze żyje.

— Niestety, mój biedny chłopcze — odrzekł pełnym smutku głosem Izydor — zdążam do Paryża w podobnej sprawie, tylko że ja nie mam już żadnych wątpliwości.

— Wiem... pański brat...

— Jeden z moich braci... mój brat Jerzy wczoraj rano został zabity w Wersalu!

— Och, panie de Charny!

Sebastian zbliżył się wyciągając ręce do Izydora. Ten uścisnął je mówiąc:

— Drogi chłopcze, ponieważ nasze losy są podobne, nie powinniśmy się rozstawać. Na pewno i tobie spieszno do Paryża?

— O tak, panie!

— Nie możesz iść pieszo.

— Chętnie poszedłbym pieszo, ale to by za długo trwało, więc jutro chcę zapłacić za miejsce w pierwszym napotkanym wozie, który zechce mnie zabrać do Paryża.

— A jeśli nie napotkasz wozu?

— Pójdę pieszo.

— Lepiej zrobisz, mój chłopcze, jeśli siądziesz na konia z tyłu za moim sługą.

Sebastian cofnął dłonie z rąk Izydora.

— Dziękuję, panie wicehrabio.

Słowa te wypowiedział tak dobitnie, iż Izydor pojął, że chłopiec czuje się dotknięty propozycją usadowienia go za lokajem.

— Albo raczej zajmij jego miejsce — powiedział Izydor — a on już dogoni nas w Paryżu. W Tuileries powiedzą mu, gdzie jestem.

— Jeszcze raz dziękuję, panie — rzekł Sebastian łagodnie, pojął bowiem delikatność, jaka kryła się w tej drugiej propozycji — dziękuję, ale nie chcę pozbawiać pana jego usług.

— Najlepiej więc będzie, Sebastianie, jeśli siądziesz za mną. Zbliża się świt. O dziesiątej rano będziemy w Dammartin, czyli w połowie drogi; tam zostawimy oba konie pod opieką Baptysty, a do Paryża pojedziemy wozem pocztowym. Taki był mój zamiar, nie spowodujesz więc żadnej zmiany.

— Naprawdę, panie Izydorze?

— Słowo honoru!

— W takim razie... — chłopiec wahał się jeszcze, choć ogromnie chciał skorzystać z propozycji.

— Zejdź, Baptysto, i pomóż wsiąść panu Sebastianowi.

— Dziękuję, panie Izydorze, to zbyt uczynne — rzekł Sebastian i zwinnie wskoczył na grzbiet wierzchowca. Po czym trzej jeźdźcy na dwóch koniach ruszyli galopem i niebawem zniknęli po drugiej stronie wzgórza Gondreville.

VIII ZJAWA

Zgodnie z umową trzech jeźdźcy dojechali konno do Dammartin. Przybyli tam około dziesiątej rano. Musieli się posilić oraz dowiedzieć o powóz i konie pocztowe.

Gdy Izydor i Sebastian nie zamieniwszy z sobą ani słowa — pierwszy pogrążony w smutku, drugi pełen niepokoju — spożywali śniadanie — Baptysta oporządzał konie i krzątał się koło pocztowego zaprzęgu.

W południe, po śniadaniu, powóz i konie czekały przed bramą.

Tylko Izydor, który dotąd zawsze podróżował własnym, nie wiedział, że pojazdy publiczne trzeba zmieniać na każdym postoju.

Zarządzający pocztą ściśle stosowali regulaminy wobec innych, lecz nie zawsze przestrzegali ich sami, nie zawsze też mieli w wozowniach pojazdy, a w stajniach konie. Dlatego wyruszywszy w południe z Dammartin, podróżni znaleźli się przy rogatce paryskiej dopiero o wpół do piątej po południu, a u bram pałacu Tuileries dopiero o piątej.

Tu trzeba było jeszcze pozyskać zaufanie służby, bowiem pan La Fayette, który przejął wszystkie stanowiska, a w tych niespokojnych czasach odpowiadał przed Zgromadzeniem za osobę króla, pilnował jej z wielką sumiennością.

Trudności zniknęły jednak, gdy Charny wymienił swoje nazwisko i powołał się na brata. Izydora z Sebastianem wprowadzono na dziedziniec Szwajcarów, a stamtąd na dziedziniec wewnętrzny.

Sebastian chciał natychmiast udać się na ulicę Saint-Honoré do mieszkania ojca. Izydor zwrócił mu jednak uwagę, że skoro doktor Gilbert jest rezerwowym lekarzem Ludwika XVI, tylko tu, w otoczeniu króla najlepiej wiedzą, co się z nim dzieje. Przyznawszy mu rację Sebastian poszedł za nim.

W pałacu Tuileries zdołano już ustalić pewną etykietę, zgodnie z którą odźwierny wprowadził Izydora honorowymi schodami do wielkiego salonu obitego zielonym adamaszkiem i oświetlonego słabym płomieniem dwóch świeczników.

Reszta pałacu tonęła właściwie w półmroku; ponieważ pałac zamieszkały był prawie wyłącznie przez dworzan, zaniedbano tu bogatego oświetlenia, które stanowi część królewskiego przepychu.

Odźwierny zasięgnąć miał informacji o hrabim de Charny i o doktorze Gilbert.

Chłopiec zasiadł więc na kanapie, podczas gdy Izydor spacerował tam i z powrotem.

Po dziesięciu minutach odźwierny pojawił się znowu.

Hrabia de Charny był u królowej. Jeśli zaś idzie o doktora Gilberta, nic mu się nie stało. Podobno nawet jest u boku króla, który, jak twierdzi jego kamerdyner, zamknął się w komnatach ze swoim lekarzem.

Ponieważ jednak król miał czterech rezerwowych i jednego przybocznego lekarza, nie wiadomo, czy ten, który znajduje się obecnie przy Jego Królewskiej Mości, to właśnie doktor Gilbert.

Gdyby tak było, powiadomi się go, że ktoś nań czeka w antyszambrach królowej.

Sebastian odetchnął z ulgą; nie ma się więc czego obawiać, ojciec żyje, jest zdrów i cały.

Podszedł do Izydora, by mu podziękować za pomoc i opiekę. Izydor uściskał go ze łzami w oczach.

Myśl, że Sebastian odzyskał ojca, czyniła mu jeszcze droższym brata, którego utracił i już nigdy nie odzyska.

W tej samej chwili drzwi się otwarły i inny lokaj zawołał:

— Pan wicehrabia de Charny!

— To ja — odrzekł Izydor podchodząc bliżej.

— Pan wicehrabia jest proszony do królowej — powiedział lokaj usuwając się na bok.

— Zaczekasz na mnie, Sebastianie, prawda? — rzekł Izydor wychodząc. — Chyba że przyjdzie po ciebie doktor Gilbert... Pamiętaj, że odpowiadam za ciebie przed twoim ojcem.

— Tak, panie — odparł Sebastian — a na razie proszę raz jeszcze przyjąć moje podziękowania.

Izydor podążył za lokajem i drzwi się zamknęły,

Sebastian wrócił na kanapę.

Spokojny już o zdrowie ojca, spokojny o siebie samego, całkiem pewny, że ze względu na intencje, w jakich działał, uzyska przebaczenie doktora, Sebastian jął rozmyślać o księdzu Fortier, o Pitou i o niepokoju, jaki u jednego wzbudzić musiała jego ucieczka, u drugiego zaś list.

Nie umiał sobie wyjaśnić, dlaczego nie dogonił go długonogi Pitou, tak zaprawiony w marszu, że mógłby dotrzymać kroku nawet koniom pocztowym.

Pamięć skierowała jego myśli od Pitou ku codziennemu otoczeniu, czyli ku wielkim drzewom, pięknym zacienionym drogom i zamglonym przestrzeniom, które zamykają horyzonty. lasów; przypomniał sobie także dziwaczne wizje, jakie ogarniały go niekiedy pod wysokimi sklepieniami drzew.

Potem myśl jego przeniosła się na ową kobietę, którą tylekroć widywał w marzeniu, zaś tylko raz w rzeczywistości. Tak mu się przynajmniej wydawało tego dnia, gdy podczas spaceru po lesie Satory zjawiła się tam, przeszła i zniknęła jak obłok, uwięziona w olśniewającej karocy zaprzężonej w dwa wspaniałe konie.

Rozpamiętywał głębokie wzruszenie, jakie zawsze budziła w nim ta wizja zrodzona z marzenia, szeptał:

— Moja matka! Moja matka! Moja matka!

Nagle drzwi, które zamknęły się za Izydorem de Charny, otwarły się znowu. Stała w nich kobieta.

Przez przypadek oczy dziecka zwrócone były na drzwi w tym właśnie momencie.

Widok jej tak dalece harmonizował z tym, co się działo w jego myślach, że chłopiec zadrzał widząc, jak jego marzenie zmaterializowało się.

Ale odczuł jeszcze coś innego, w owej kobiecie dojrzał zarazem marzenie i rzeczywistość. Cień swoich marzeń i rzeczywistości z lasu Satory.

Zerwał się gwałtownie z na wpół. otwartymi ustami, rozszerzonymi żrenicami i wbitym w nią wzrokiem.

Oddychał ciężko i próżno starał się wydobyć z siebie głos.

Kobieta minęła go majestatycznie, dumna, wzgardliwa, nie zauważywszy go nawet.

Na pozór spokojna, kobieta ta musiała być w stanie niezwykłego podniecenia nerwowego, o czym świadczyły ściągnięte brwi, blada twarz i nierówny oddech... Przeszła przez salon, otworzyła przeciwległe drzwi i zniknęła w korytarzu.

Sebastian uprzytomnił sobie, że jeśli się nie pośpieszy, kobieta znów mu się wymknie. W osłupieniu popatrzył na drzwi, którymi weszła, na drzwi, za którymi znikła, i rzucił się pędem w ślad za nią, nim jeszcze rąbek jej jedwabnej sukni znikł za zakrętem korytarza.

Ona jednak, słysząc za sobą jakieś kroki, jakby bojąc się pościgu, przyspieszyła. Sebastian biegł w ciemnym korytarzu jak mógł najszybciej, w obawie, że i tym razem ukochana zjawa rozwieje się jak sen.

Ona słysząc zbliżające się kroki, już prawie biegnąc, odwróciła się. Sebastianowi wyrwał się

cichy okrzyk radości: to ona, na pewno ona!

Widząc, że jakiś chłopiec biegnie za nią z wyciągniętymi ramionami, i nic nie rozumiejąc z tej pogoni, kobieta dotarła do schodów i rzuciła się w dół, przeskakując po kilka stopni.

Kiedy dotarła piętro niżej, w głębi korytarza ukazał się Sebastian wołając:

— Pani! O pani!

Głos ten wzbudził dziwne uczucie w całym jestestwie młodej kobiety; wydało jej się nagle, że dotyka jej serca boleśnie, a zarazem przyjemnie, a od serca rozchodzi się wraz z krwią i przenika całe ciało.

Mimo to, jeszcze nie rozumiejąc nic z tego wołania czy wzruszenia, przyspieszyła kroku tak, że jej bieg zmienił się w ucieczkę.

Nie mogła jednak wyprzedzić już chłopca na tyle, by mu się wymknąć. Razem stanęli u podnóża schodów.

Młoda kobieta rzuciła się na dziedziniec, gdzie czekał na nią powóz i sługa przy otwartych drzwiach.

Szybko wsiadła do środka.

Ale nim zamknięto drzwiczki, Sebastian dobiegł i chwycił kraj sukni uciekającej i ucałował go, wciąż wołając: — Pani! O pani!

Dopiero wówczas młoda niewiasta przyjrzała się czarującemu chłopcu i już łagodnym, choć wciąż jeszcze zabarwionym mieszaniną lęku i wzruszenia głosem zapytała:

— Czemu biegniesz za mną, moje dziecko? Czemu mnie wołasz? Czego ode mnie chcesz?

— Chcę panią widzieć — odrzekł zdyszany chłopiec — chcę panią całować. — I ciszej, aby dosłyszeć go mogła tylko kobieta, dodał: — Chcę panią nazywać moją matką.

Kobieta krzyknęła, ujęła głowę chłopca w dłonie i jakby w nagłym olśnieniu przywarła gorącymi wargami do jego czoła.

Potem, jak gdyby lękając się, że ktoś może się zjawić i porwać to odzyskane dziecko, wciągnęła go do powozu i opuszczając na chwilę szybę, rzuciła:

— Do mnie, ulica Coq-Héron numer 9, pierwsza brama od strony ulicy Plâtrière.

A zwracając się do chłopca zapytała:

— Jak ci na imię?

— Sebastian.

— Och, Sebastianie, chodź... bliżej mego serca!

I bliska omdlenia, opadłszy na poduszki, wyszeptała:

— Och, cóż to za nieznanne uczucie? Czyżby to było szczęście?

IX PAWILON ANDRÉE

Przez całą drogę trwały nieprzerwane pocałunki matki i syna.

Tak więc to dziecko —gdyż jej serce ani przez chwilę w to nie wątpiło — dziecko, które porwano jej pewnej okropnej nocy, pełnej hańby i udręki, dziecko, po którym pozostały tylko odcisnięte na śniegu ślady porywacza, to dziecko, którego nienawidziła, a początkowo przeklinała, póki nie usłyszała jego pierwszego krzyku, pierwszego kwilenia; to dziecko, którego szukała, które przyzywała, a brat jej w osobie Gilberta ścigał je aż za ocean; to dziecko, za którym tęskniła przez piętnaście lat, zwątpiwszy czy je kiedykolwiek zobaczy, o którym myślała już jak o drogim zmarłym — nagle jakby cudem odnajduje się tam, gdzie najmniej się go spodziewała. Cudem odnajduje ją i cudem poznaje, biegnie za nią, ściga, nazywa matką. I oto trzyma to dziecko na sercu, tuli do piersi, a ono choć nigdy jej wcześniej nie widziało, kocha ją synowską miłością, jak ona kocha je miłością matczyną. Oto jej usta, obce wszelkim pocałunkom, odnajdują wszystkie rozkosze straconego życia w pierwszym pocałunku, jakim darzy swoje dziecko!

Więc ponad głowami ludzi jest coś więcej niż pustka, jest więc w życiu coś jeszcze prócz przypadku i fatum.

„Ulica Coq–Héron numer 9, pierwsza brama od ulicy Plâtrière.” Dziwny zbieg okoliczności — myślała hrabina — po czternastu latach sprowadza dziecko do tego samego domu, gdzie przyszło na świat i skąd porwał je własny ojciec!

Ten niewielki dom, kupiony niegdyś przez ojca Taverney w czasach, gdy dzięki wielkiej łasce królowej w rodzinie barona zagościł pewien dostatek, Filip de Taverney zdołał zachować, powierzając pieczy starego dozorczy, odstąpionego jakby wraz z domem. Dawał on schronienie młodemu człowiekowi, kiedy wracał z podróży, i młodej kobiecie, gdy nocowała w Paryżu.

Po ostatniej scenie, jaka rozegrała się w pokoju królowej, po nocy spędzonej u jej łoża, Andrée postanowiła odsunąć się od rywalki, która wyładowywała na niej swoje zgryzoty i która największe nawet nieszczęścia królowej stawiała zawsze poniżej udręczeń kobiety.

Dlatego też nazajutrz rano wyprawiła swoją służącą do domku przy ulicy Coq–Héron z poleceniem przygotowania pawilonu, który, jak pamiętamy, składał się z przedpokoju, małej jadalni, salonu oraz sypialni.

Przed laty, chcąc ulokować przy sobie Nicole, Andrée przekształciła salon w drugą sypialnię; ponieważ jednak później nie było to już potrzebne, wszystkie pomieszczenia odzyskały dawne przeznaczenie, a pokojówka, która zresztą bywała tu bardzo rzadko i zawsze samotnie, zadowolili się małą mansardą, zostawiając cały dół do dyspozycji swojej pani.

Andrée przeprosiła więc królową, że pozwoli sobie opuścić pokój sąsiadujący z jej apartamentem, bowiem ze względu na ciasnotę pokój ten potrzebny będzie raczej jednej z pokojówek niż osobie nie pełniącej żadnej szczególnej służby u boku królowej.

Królowa nie starała się zatrzymać Andrée, lub raczej nalegała tylko tyle, ile wymagał konwenans, i około czwartej po południu, gdy pokojówka wróciła oznajmiając, że pawilon jest gotów, Andrée poleciła jej natychmiast udać się do Wersalu i zabrać stamtąd jej rzeczy, porzucone w pośpiechu w pałacowym apartamencie, aby przywieźć je na ulicę Coq–Héron.

Tak więc o piątej po południu hrabina de Charny opuściła Tuileries uznając, iż wystarczającym pożegnaniem było tych kilka zdań wypowiedzianych rano do królowej, gdy oddawała do jej dyspozycji pokój, zajmowany jedną tylko noc.

Właśnie wychodząc od królowej, a raczej opuszczając pokój przylegający do jej pokoi, minęła zielony salon, gdzie czekał Sebastian, i uciekała przed nim przez długie korytarze, póki nie dopadł jej w powozie, czekającym przed pałacem na dziedzińcu książąt.

Wszystko zatem sprzyjało, aby ów wieczór był dla Andrée szczęśliwy i niczym nie zamącony. Zamiast apartamentu w Wersalu czy pokoju w pałacu Tuileries, gdzie nie mogłaby przyjąć swego tak cudownie odnalezionego dziecka, czy raczej okazać mu pełni macierzyńskiej miłości, była we własnym domu, w położonym na uboczu pawilonie, bez służby, bez pokojówki, nareszcie z dala od natarczywych spojrzeń!

Biła szósta, kiedy na wezwanie woźnicy otworzyła się brama i powóz stanął przed pawilonem.

Andrée nie czekała nawet, aż woźnica zejdzie, sama otworzyła drzwiczki, wyskoczyła z powozu na stopnie pojazdu, pociągając za sobą Sebastiana.

Potem, rzuciwszy woźnicy sowitą zapłatę, wbiegła wraz z chłopcem do wnętrza pawilonu, zamykając starannie drzwi od przedpokoju.

Na progu salonu przystanąła.

Salon oświetlał tylko ogień płonący na kominku i blask dwóch stojących tam świec.

Andrée pociągnęła syna na sofę, gdzie było najjaśniej, po czym z wybuchem radości, w której pobrzmiwała jeszcze ostatnia nuta obawy, powiedziała:

— Och, moje dziecko, moje dziecko! Czy to naprawdę ty?

— Matko — zawołał Sebastian w porwywie miłości, który sprawił najśłodsza ulgę podnieconemu sercu Andrée.

— I to tutaj, tutaj! — mówiła Andrée rozglądając się po salonie, w którym przyszedł na świat Sebastian, i z lękiem spoglądając w stronę pokoju, skąd go porwano.

— Tutaj? — powtórzył Sebastian. — Co to znaczy, mamó?

— To znaczy, moje dziecko, że w tym pokoju, gdzie właśnie jesteśmy, urodziłeś się prawie piętnaście lat temu i że błogosławię miłosierdzie Wszechmocnego Pana, który cudem sprowadził cię tu po latach.

— O tak, cudem — potwierdził Sebastian — bo gdybym nie lękał się o życie mego ojca, nie wyruszyłbym sam nocą do Paryża; a gdybym nie wyruszył sam nocą, nie znalazłbym się w kłopotcie, którą z dróg wybrać, nie czekałbym też na wielkim gościńcu i nie zapytałbym o drogę pana Izydora de Charny, który właśnie tamtędy przejeżdżał; on by mnie wówczas nie poznał i nie zabrał ze sobą do Paryża, nie byłby mnie zaprowadził do pałacu Tuileries, a wówczas nie zobaczyłbym ciebie, kiedy przechodziłaś przez zielony salon; nie byłbym cię poznał, nie pobiegłbym za tobą i nie dogonił; wreszcie nie byłbym cię nazwał swoją matką, tym jakże czułym i słodkim słowem!

Przy słowach Sebastiana: „Gdybym się nie lękał o życie mego ojca” — Andrée odczuła ostre klucie w sercu, przymknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu.

Przy słowach: „nie zapytałbym o drogę pana Izydora de Charny, który właśnie przejeżdżał, a on by mnie wówczas nie poznał, nie zabrał ze sobą do Paryża i nie byłby mnie zaprowadził do pałacu Tuileries” — oczy jej się otworzyły i poczuła w sercu ulgę i wdzięczność dla niebios, bo istotnie cud sprawił, że Sebastian wrócił do niej przyprowadzony przez brata jej męża.

Wreszcie przy słowach: „Nie byłbym cię nazwał swoją matką, tym jakże czułym i słodkim słowem!” — ogarnięta uczuciem szczęścia, znów przytuliła Sebastiana do siebie.

— Tak, tak, masz rację, moje dziecko — rzekła. — To bardzo słodkie słowo. Jedno tylko słowo jest czulsze i słodsze, to, które wymawiam teraz, tuląc cię do serca: synu, mój synu!

W milczeniu, które zapadło, słyhać było tylko szmer pocałunków, jakimi okrywała czoło chłopca.

— Ale ostatecznie — zawołała nagle Andrée — za dużo jest tajemnic we mnie i wokół ciebie.

Opowiedziałeś mi, jak znalazłeś się tutaj, ale nie wyjaśniłeś, jak mnie poznałeś, dlaczego nazwałeś mnie matką.

— Czy mogę ci to powiedzieć? — odparł Sebastian z niewysłowioną miłością. — Sam nie wiem. Mówisz o tajemnicach. Wszystko jest tajemnicze i we mnie, i w tobie.

— Ale kiedy przechodziłem przez salon, ktoś musiał ci powiedzieć: „Dziecko, oto twoja matka!”

— Tak, serce.

— Twoje serce...

— Posłuchaj, matko, powiem ci coś, co zakrawa na cud. Znam cię już od dziesięciu lat.

Andrée przebiegł dreszcz.

— Nie rozumiesz? Potrząsnęła przecząco głową.

— Pozwól mi więc powiedzieć; miewam czasem dziwaczne sny, które mój ojciec nazywa halucynacjami.

Na Wspomnienie Gilberta Andrée zadrżała, jakby jej serce przeszło stalowe ostrze wydobywające się z ust dziecka.

— Widziałem cię już wiele razy, matko. — Jak to?

— W tych rojeniach, o których właśnie mówiłem. Andrée też pomyślała o tych straszliwych snach, które zrujnowały całe jej życie, zwłaszcza o tym, któremu dziecko zawdzięczało swoje narodziny.

— Wyobraź sobie, mamó — ciągnął dalej Sebastian — że będąc jeszcze dzieckiem, kiedy bawiłem się na wsi z rówieśnikami, doznawałem takich samych wrażeń jak oni, widziałem tylko to, co istnieje rzeczywiście, ale ledwie mijałem ostatnie ogrody i przekraczałem skraj lasu, słyszałem obok siebie jakby szelest sukni; wyciągałem ręce, by ją pochwycić, lecz obejmowałem jedynie powietrze. Zjawa oddalała się, rozpływała. Z niewidzialnej powoli stawała się jednak widzialna. Z początku przezroczysta jak obłok, gęstniała i przybierała ludzki kształt, podobna obłokowi, jakim Wergiliusz otacza matkę Eneasza, gdy ukazuje się ona synowi na kartagińskim brzegu. Widmowa sylwetka kobiety raczej płynęła nad ziemią, niż po niej chodziła... Jakaś dziwna, niepohamowana siła pchała mnie ku niej. Ona zapuszczała się w najciemniejsze zakątki lasu, a ja ścigałem ją z wyciągniętymi ramionami, niemy jak ona; bo choć próbowałem wołać za nią, nigdy nie zdołałem wydobyć z siebie głosu. Podążałem tak, nigdy nie mogąc się zbliżyć, bo wciąż się oddalała, dopóki osobliwe zjawisko, co oznajmiło mi jej obecność, nie dało znaku, że zniknęła. Zjawa zacierała się stopniowo. Wydawało się jednak, że w równej mierze co ja cierpi nad tym zrzędzeniem niebios, które nas rozdzielało. Oddalała się bowiem spoglądając na mnie, a ja, ślaniając się ze zmęczenia, jakby podtrzymywała mnie tylko jej obecność, padałem na ziemię w miejscu, gdzie znikła.

To drugie jakby istnienie Sebastiana, żywe marzenie jego życia zbyt przypominało jej własne przeżycie, aby Andrée nie rozpoznała się w swym dziecku.

— Biedactwo — powiedziała tuląc do siebie syna — próżno więc nienawiść odgradzała cię ode mnie! Bóg zbliżył nas, gdy już tego nie oczekiwałam. Tylko że ja, moje dziecko, miałam mniej szczęścia, bo nie widywałam cię ani we śnie, ani w rzeczywistości; a przecież, przechodząc przez zielony salon, poczułam dreszcz; gdy usłyszałam za sobą twoje kroki, jakaś przepaść rozwarła się między moim umysłem a sercem. Gdy zawołałeś „pani”, omal nie przystanąłam. Gdy wołałeś „matko”, omal nie zemdlałam, ale dotknąwszy, poznałam cię!

— Matka! Moja matka! Moja matka! — powtórzył trzykrotnie Sebastian, jakby chciał pocieszyć Andrée, że tak długo nie słyszała tego słodkiego słowa.

— Tak, tak, twoja matka! — odrzekła Andrée z niewysłowionym uniesieniem miłości.

— A teraz, kiedy się już odnaleźliśmy — rzekło dziecko — ponieważ jesteś z tego powodu

zadowolona i szczęśliwa, już się nie rozstaniemy, prawda?

Andrée zadrzała. W krótkim błysku uchwyciła terażniejszość, zapominając na poły o przeszłości, a całkiem o przyszłości.

— Moje biedne dziecko — westchnęła — jakże bym cię błogosławiła, gdybyś mógł dokonać podobnego cudu!

— Pozwól mi działać, a ja wszystko urządzę — rzekł Sebastian.

— Ale jak? — zapytała Andrée.

— Nie znam przyczyn, które rozdzieliły cię z moim ojcem.

Andrée pobladała.

— Jakikolwiek jednak były — mówił dalej Sebastian — pokonam je modlitwą i łzami.

— Nigdy! Nigdy!

— Posłuchaj, matko — rzekł Sebastian, który wedle słów Gilberta: „Moje dziecko, nie mów mi nigdy o twojej matce”, mógł mniemać, że cała wina rozłąki obciąża matkę — posłuchaj, ojciec mnie ubóstwia!

Uścisk rąk, w których Andrée trzymała dłonie syna, rozluźnił się. Chłopiec jakby nie zwracał na to uwagi i mówił dalej:

— Przygotuję go na spotkanie z tobą. Opowiem, ile szczęścia mi dałaś, a któregoś dnia wezmę cię za rękę, zaprowadzę do niego i powiem: „Spójrz, ojczy, jaka ona piękna!”

Andrée odtrąciła Sebastiana i wstała. Chłopiec patrzył na nią zdziwiony; była tak blada, że aż przejmowała go lękiem.

— Nigdy! — powtórzyła. — Przenigdy!

Tym razem ton jej głosu wyrażał coś więcej niż przestrasz, pobrzmiwał groźbą.

Chłopiec skulił się na sofie; w twarzy kobiety odkrył owe przerażające rysy, jakie Rafael nadaje rozgniewanym aniołom.

— Dlaczego nie chcesz się spotkać z moim ojcem? — zapytał głucho.

Na te słowa, jak iskra między dwiema chmurami, uderzył grom:

— Dlaczego? — zawołała Andrée. — Pytasz mnie dlaczego? To prawda, biedne dziecko, przecież ty nic nie wiesz!

— Tak — odparł stanowczo Sebastian — pytam dlaczego?

— Otóż dlatego — powtórzyła Andrée, niezdolna już powstrzymać jadu nienawiści, który ogarnął jej serce — że twój ojciec jest nędznikiem! Dlatego, że jest łajdakiem!

Sebastian zerwał się z sofy i stanął przed Andrée.

— Pani tak mówi o moim ojcu! — zawołał. — O moim ojcu, czyli o doktorze Gilbercie, o tym, który mnie wychował, któremu wszystko zawdzięczam, o jedynym człowieku, jakiego naprawdę znam! Pomyliłem się, pani nie jest moją matką! — I zrobił ruch w kierunku drzwi.

Andrée zatrzymała go jednak.

— Posłuchaj — rzekła — nie możesz wiedzieć, nie możesz pojąć, nie możesz mnie sądzić!

— Nie! Ale mogę czuć, a czuję, że już pani nie kocham! Z piersi Andrée wyrwał się krzyk bólu.

W tej samej chwili dobiegł ją jednak jakiś hałas z zewnątrz, który stłumił wzruszenie, jakie ją ogarnęło. Otwierano bramę od ulicy i jakiś powóz zajeżdżał przed dom.

Odgłos ten przyprowadził Andrée o tak dojmujący dreszcz, że udzielił się on nawet chłopcu.

— Zaczekaj — powiedziała — zaczekaj i nic nie mów! Przestraszony chłopiec usłuchał.

Dał się słyszeć zgrzyt otwieranych drzwi i odgłos kroków, które zbliżały się do salonu.

Andrée, niby posąg oczekiwania, znieruchomiała wyprostowana, blada i zimna, ze wzrokiem utkwionym w drzwi.

— Kogo mam zameldować pani hrabinie? — zapytał głos starego dozorczy.

— Proszę zameldować hrabiego de Charny i zapytać, czy hrabina zechce łaskawie mnie przyjąć.

— Och — zawołała Andrée. — W tym pokoju! Dziecko w tym pokoju! On nie może cię zobaczyć. Nie powinien wiedzieć, że ty istniejesz!

I pchnęła przestraszonego chłopca do sąsiedniego pokoju, mówiąc:

— Zostań tu! Kiedy jego już nie będzie, opowiem ci, wytłumaczę... Nie, nie, nic podobnego! Ucałuję cię i zrozumiesz, że naprawdę jestem twoją matką!

Sebastian zdążył tylko coś wymamrotać, gdy drzwi z przedpokoju otworzyły się i stanął w nich stary dozorca z czapką w ręku. Spełnił zadanie, jakie mu zlecono: za nim w półmroku Andrée dostrzegła zarys sylwetki.

— Proszę wprowadzić pana hrabiego de Charny — powiedziała, jak mogła najspokojniej.

Stary wycofał się, a na progu stanął hrabia de Charny trzymając w ręku kapelusz.

X MĄŻ I ŻONA

Hrabia de Charny miał na sobie czarne ubranie, był bowiem w żałobie po bracie, zabitym przed dwoma dniami.

Żałoba ta, podobna żałobie Hamleta, widoczna była nie tylko w stroju, ale i w głębi serca, pobladła twarz świadczyła o wylanych łzach i cierpieniu.

Hrabina objęła hrabiego szybkim spojrzeniem. Cierpienie dodawało, mu urody. Charny nigdy nie był tak piękny.

Hrabina zamknęła na chwilę oczy, lekko odrzuciła głowę do tyłu, jakby chcąc odetchnąć, i przycisnęła ręką serce, które biło gwałtownie. Gdy otworzyła oczy — a trwało to ułamek sekundy — Charny stał w tym samym miejscu.

Gest i spojrzenie Andrée pytało tak wyraźnie, czemu nie wchodzi, iż odpowiedział po prostu:

— Czekam, pani — i zrobił krok naprzód.

— Czy mam odesłać powóz? — zapytał dozorca.

W źrenicach hrabiego błysnęło niezwykle w wyrazie spojrzenie i przeniosło się na Andrée, która jakby olśniona powtórnie zamknęła oczy i wstrzymawszy oddech znieruchomiała, jak gdyby nie słyszała pytania i nie dostrzegła spojrzenia.

A przecież i jedno, i drugie dotarło prosto do jej serca.

Charny wpatrywał się w ten żywy posąg kobiety szukając znaku, który pomógłby mu znaleźć odpowiedź. A ponieważ dreszcz, jakiego Andrée nie zdołała ukryć, mógł wyrażać zarówno lęk, że hrabia odejdzie, jak i pragnienie, by pozostał, Charny odrzekł:

— Niech stangret zaczeka.

Drzwi się zamknęły i może po raz pierwszy od chwili ślubu hrabiostwo pozostali sami. Milczenie przerwał hrabia:

— Czy wybaczy mi pani nietakt, jaki popełniłem, zjawiając się tak nieoczekiwanie? Ale jeszcze nie usiadłem, powóz czeka przed bramą i mogę natychmiast odjechać.

— Nie, panie — odparła żywo Andrée — przeciwnie. Wiedziałam, że jest pan zdrow i cały, jestem jednak szczęśliwa widząc pana po tych ostatnich wydarzeniach.

— Raczyła więc pani w swojej dobroci dowiadywać się o mnie?

— Oczywiście... wczoraj i dziś rano powiedziano mi, że bawi pan w Wersalu; dziś wieczorem zaś oznajmiono, że jest pan u królowej.

Czy te słowa wymówiła po prostu, czy też kryły one wymówkę? Hrabia, nie będąc pewny, rozważał je chwilę.

Lecz niemal natychmiast, zostawiając dalszej rozmowie trud rozplatania zagadki, odparł:

— Pani, smutny i nabożny rytuał zatrzymał mnie wczoraj i dziś w Wersalu, zaś wobec sytuacji, w jakiej znajduje się królowa, uważałem za swój święty obowiązek zaraz po przybyciu do Paryża stawić się u Jej Królewskiej Mości.

Teraz z kolei Andrée najwyraźniej starała się uchwycić rzeczywistą intencję zawartą w ostatnich słowach hrabiego. Sądząc jednak, że powinna przede wszystkim odpowiedzieć na jego pierwsze słowa, rzekła:

— Tak, panie. Niestety, dowiedziałam się, jak straszliwą stratę... — I po chwili wahania dodała: — pan poniósł... — Chciała powiedzieć „ponieśliśmy”, nie odważyła się jednak i mówiła dalej: — Spotkało pana nieszczęście, stracił pan swego brata, barona Jerzego de Charny.

Przy każdym z podkreślonych słów Charny wzdygał się, jakby czekał na nie w toku

rozmowy.

— Tak — odrzekł — jest to, jak pani raczyła powiedzieć, straszliwa strata dla mnie, strata, której pani na szczęście nie może odczuć, prawie nie znając biednego Jerzego.

W słowach „na szczęście” był łagodny i melancholijny wyrzut. Andrée pojęła go, ale niczym nie dała tego po sobie poznać.

— Zresztą — podjął Charny — jedno tylko mogłoby mnie pocieszyć, gdyby w ogóle cokolwiek mogło mnie pocieszyć: to mianowicie, że Jerzy umarł tak, jak umrze Izydor i jak zapewne umrę ja, czyli spełniając swój obowiązek!

Słowa „jak zapewne umrę ja” głęboko poruszyły Andrée.

— Sądzi pan więc, że sprawy przedstawiają się tak beznadziejnie, że aby ułagodzić gniew niebios, potrzebne będą nowe ofiary?

— Sądzę, pani, że — o ile już nie nadszedł — bliski jest dzień, kiedy wybije ostatnia godzina królów. Sądzę, że jakiś zły duch pcha monarchię ku przepaści. Myślę wreszcie, że jeśli monarchia się w nią stoczy, w upadku towarzyszyć jej winni wszyscy, którzy mieli jakiś udział w jej przepychu.

— To prawda — rzekła Andrée — i proszę mi wierzyć, że gdy nadejdzie ten dzień, mnie również zastanie gotową do wszelkich poświęceń.

— Och, złożyła pani w przeszłości zbyt wiele dowodów poświęcenia, aby ktokolwiek, a już najmniej ja, mógł wątpić o tym poświęceniu w przyszłości. Zaś tym mniej mam do tego prawo, że po raz pierwszy może uchyliłem się od wykonania rozkazu królowej.

— Nie pojmuję, panie — powiedziała Andrée.

— Przybywszy do Wersalu zastałem rozkaz niezwłocznego stawienia się u Jej Królewskiej Mości.

— Och! — wyrwało się Andrée ze smutnym uśmiechem — to przecież zupełnie proste: królowa, jak i pan, przyszłość widzi ponuro i tajemniczo, pragnie więc zgromadzić wokół siebie ludzi, na których może liczyć.

— Jest pani w błędzie — odpowiedział Charny — królowa wcale nie wezwała mnie po to, aby mnie mieć przy sobie, lecz przeciwnie — by mnie oddalić.

— Oddalić pana! — zawołała Andrée robiąc krok w stronę hrabiego, a dostrzegłszy wreszcie, że od początku rozmowy hrabia stoi przy drzwiach, wskazała mu fotel:

— Przepraszam, zapomniałam, że pan stoi, panie hrabio. Mówiąc te słowa opadła bez sił na sofę, na której chwilę wcześniej siedziała z Sebastianem.

— Oddalić pana? — powtórzyła wzruszona i zarazem uradowana, że Charny i królowa zostaną rozdzieleni. — A w jakim to celu?

— Aby wysłać mnie do Turynu z pewną misją do hrabiego d'Artois i księcia de Bourbon, którzy opuścili Francję.

— I zgodził się pan?

Charny spojrzał badawczo na Andrée.

— Nie, pani.

Andrée tak pobladała, że Charny wykonał gest, jakby chciał jej pomóc, lecz ona opanowała się:

— Nie? — szepnęła. — Odpowiedział pan „nie” na rozkaz królowej?... Pan?

Ostatnie słowa kryły niemożliwy do oddania akcent powątpiewania.

— Odpowiedziałem, że zwłaszcza dzisiaj uważam za bardziej celową moją obecność w Paryżu niż w Turynie, że każdy może wypełnić misję, jaką mnie zaszczyciono, i że z chęcią zastąpi mnie mój drugi brat, który przybył właśnie z prowincji, aby oddać się pod rozkazy Jej Królewskiej Mości.

— I oczywiście królowa rada zgodziła się na to zastępstwo? — zawołała Andrée z goryczą,

której nie umiała stłumić, a która nie uszła uwagi hrabiego.

— Nie, pani, przeciwnie, moja odmowa zraniła ją dotkliwie. I musiałbym wyjechać, gdyby na szczęście nie pojawił się król, którego poprosiłem o rozsądzenie sprawy.

— A król przyznał panu rację — wtrąciła z ironicznym uśmiechem Andrée — król poparł pańską opinię, że winien pan pozostać w Tuileries... Och, jakże Jego Królewska Mość jest dobry.

Charny ani drgnął.

— Król powiedział — podjął po chwili — że istotnie mój brat, Izydor, doskonale nadaje się do tej misji, tym bardziej że skoro zjawia się po raz pierwszy na dworze i niemal po raz pierwszy w Paryżu, jego nieobecność nie zwróci niczyjej uwagi. Dodał jeszcze, iż okrucieństwem ze strony królowej byłoby wymagać, abym w takiej chwili oddalał się od pani.

— Ode mnie? — zawołał Andrée. — Król powiedział „ode mnie”?

— Powtarzam pani jego własne słowa. A rozglądając się wkoło król zapytał: „Ale gdzie jest hrabina de Charny? Nie widziałem jej od wczoraj wieczór”. Ponieważ pytanie skierowane było przede wszystkim do mnie, odparłem: „Sire, tak rzadko mam przyjemność widywania pani de Charny, że nie potrafię powiedzieć, gdzie jest obecnie.” Jeśli jednak Wasza Królewska Mość pragnie być poinformowany w tej sprawie, proszę zwrócić się do królowej, która wie i odpowie”. Powiedziałem to z naciskiem, gdyż widząc zmarszczoną brew królowej domyśliłem się, że coś musiało zajść między nią a panią.

Andrée słuchała tak zachłannie, że nie myślała nawet odpowiedzieć.

Charny ciągnął więc dalej:

— „Najjaśniejszy Panie — odrzekła królowa — pani hrabina de Charny opuściła Tuileries przed godziną.” „Jak to — zapytał król — hrabina de Charny opuściła Tuileries?” „Tak, Panie.” „Ale wróci tu niebawem?” „Nie sędzę.” „Nie sędzi Pani? Ale jakież powód miałyby pani de Charny, najlepsza przyjaciółka królowej...” Monarchini drgnęła. „Pytam, jaki miałyby powód Pani najlepsza przyjaciółka, aby opuścić pałac Tuileries w takiej chwili?” „Sędzę — odrzekła królowa — że miała niewygodny pokój.” „Niewygodny, bez wątpienia, gdyby naszym zamiarem było pozostawić ją w tym pokoju, ale dalibóg, poszukalibyśmy mieszkania dla niej i dla hrabiego. Spodziewam się, hrabio, że nie byłby pan nadto wybredny.” „Najjaśniejszy Panie — odparłem — zawsze będę zadowolony z — posterunku, jaki mi król wyznaczy, byłem na tym posterunku mógł służyć Jego Królewskiej Mości.” „Wiem o tym dobrze — powiedział król. — A zatem pani de Charny udała się... dokąd? Wiadomo to Pani?” „Nie, Sire, tego nie wiem.” „Jak to? Przyjaciółka opuszcza Ją, a Pani nie pyta nawet, dokąd się udaje?” „Kiedy przyjaciele opuszczają mnie, pozostawiam im całkowitą swobodę i nie pytam niedyskretnie, dokąd się udają.” „Dobrze — zwrócił się do mnie król — kobiece dąsy... Panie de Charny, mam coś do powiedzenia królowej. Proszę zaczekać u mnie i przedstawić mi swego brata. Dziś wieczór wyruszy do Turynu. Podzielam pańską opinię. Jest mi pan potrzebny i zatrzymuję pana przy sobie.” Posłałem więc po brata, który, jak mi powiedziano, czekał w zielonym salonie.

Przy słowach „w zielonym salonie” Andrée, która pochłonięta relacją męża niemal zapomniała o Sebastianie, wróciło na myśl wszystko, co zdarzyło się między nią a synem, i spojrzała z niepokojem na drzwi sypialni.

— Przepraszam cię, pani — rzekł Charny — lękam się, iż mówię o rzeczach, które niezbyt ją interesują, i zapewne zastanawia się pani, jak się tu znalazłem i co tu robię.

— Nie, panie, przeciwnie — odparła Andrée — to, co raczysz mi opowiadać, interesuje mnie ogromnie. Co się zaś tyczy obecności u mnie, wie pan, że po obawach o pański los twoja obecność, panie, która dowodzi, że nic ci się nie stało, może mi być tylko przyjemna. Proszę mówić dalej. A więc król kazał panu zaczekać i posłać po brata.

— Obaj udaliśmy się do króla. Przyszedł dziesięć minut później. Ponieważ misja dotycząca książąt była pilna, król zaczął od niej. Celem jej było powiadomienie Ich Wysokości o niedawnych wypadkach. W kwadrans po powrocie króla brat mój wyruszył do Turynu. Zostaliśmy sami. Król przechadzał się chwilę zamyślony po czym nagle stanął przede mną i rzekł: „Hrabio, czy pan wie, co zaszło między królową a hrabiną?” „Nie, Najjaśniejszy Panie” — odparłem. „A jednak coś musiało zajść — dodał — ponieważ zastałem królową w okropnym humorze. Zdawało mi się nawet, że była niesprawiedliwa wobec hrabiny, co nie jest w jej zwyczaju, lubi bowiem bronić przyjaciół, nawet gdy nie mają racji.” „Mogę tylko powtórzyć Waszej Królewskiej Mości to, co miałem już zaszczyt powiedzieć — odrzekłem. — Nie mam pojęcia, co zaszło między hrabiną a królową i czy w ogóle coś zaszło. W każdym razie, Sire, śmiem twierdzić jedno, że jeśli któraś ze stron jest winna (zakładając, że królowa w ogóle może być winna), wina nie leży po stronie hrabiny.”

— Dziękuję — rzekła Andrée — za tak dobre o mnie wyobrażenie.

Charny skłonił się i ciągnął dalej swoją opowieść.

— „W każdym razie — podjął król — jeśli królowa nie wie, gdzie jest hrabina, powinien to wiedzieć pan.” „Najjaśniejszy Panie — odparłem — wiem, że hrabina ma mieszkanie przy ulicy Coq-Heron i tam zapewne się schroniła.” „Tak, niewątpliwie tam... Niech pan tam idzie, hrabio, dając panu urlop do jutra, pod warunkiem, że jutro sprowadzi pan hrabinę z powrotem.”

Mówiąc to Charny utkwiał w Andrée tak uporczywy wzrok, że ta, nie mogąc uniknąć zakłopotania, przymknęła oczy.

— „Powie jej pan — mówił dalej Charny w imieniu króla — że choćbym ja sam miał szukać, znajdziemy tu dla niej mieszkanie, oczywiście mniejsze niż to, jakie zajmowała w Wersalu, wystarczające jednak dla męża i żony. Proszę już iść, panie de Charny, ona na pewno niepokoi się o pana, a i pan chyba niepokoi się o nią.” A kiedy kierowałem się w stronę drzwi, król dodał: „Przy okazji, panie de Charny, od tego powinienem być zacząć, widząc pana w żałobie... miał pan nieszczęście stracić brata. Nawet będąc królem niepodobna pocieszyć kogokolwiek w takim wypadku. Król może jednak zapytać: czy brat był żonaty? Czy miał dzieci? Czy tą żonę i dzieci mogę otoczyć opieką? Jeśli tak, proszę je tu sprowadzić i przedstawić mi całą rodzinę. Królowa zajmie się matką, a ja dziećmi.”

Kiedy mówił te słowa, w oczach hrabiego błysnęły łzy.

— Bez wątplenia król powtórzył tylko to, co powiedziała już panu królowa? — zapytała Andrée.

— Królowa nie zaszczyciła mnie ani słowem na temat mojej żałoby — odrzekł Charny drżącym głosem — dlatego tak mnie wzruszyło wspomnienie króla, który widząc mnie we łzach, powiedział: „Proszę się uspokoić, panie de Charny, może nie powinienem być o tym mówić, ale zawsze kieruję się nakazem serca, a serce kazało mi uczynić, co uczyniłem. Niech pan wraca do naszej kochanej Andrée, hrabio, bo jeśli nawet ludzie, których kochamy, nie mogą nas pocieszyć, to mogą przynajmniej płakać razem z nami, a my możemy płakać wraz z nimi, a to już jest wielką ulgą.” Tak więc, pani, przybywam tu z rozkazu króla... co sprawi, że chyba mi pani wybaczy.

— Och! — Andrée zerwała się z miejsca i wyciągnęła obie ręce do Charny’ego. — Czy pan w to wątpi?

Charny pochwycił te ręce i ucałował. Andrée wyrwał się krzyk, jakby sparzyły ją te wargi i opadła na sofę. Ale ręce jej splecione były z jego rękoma i osuwając się pociągnęła za sobą hrabiego, który mimo woli usiadł obok.

Nagle Andrée wydało się, że słyszy szmer dochodzący z sąsiedniego pokoju, i odsunęła się od hrabiego tak gwałtownie, że ten, nie wiedząc czemu przypisać i krzyk, i ów nagły odruch, zerwał

się i stanął przed nią.

XI SYPIALNIA

Charny oparł się o poręcz sofy i westchnął. Andrée spuściła głowę. Westchnienie hrabiego stłumiło jej własne głębokie westchnienie.

Nie sposób opisać, co działo się wówczas w sercu młodej kobiety.

Od czterech lat była żoną człowieka, którego ubóstwiała, on natomiast, zajęty inną kobietą, nigdy nie uświadomił sobie straszliwej ofiary, jaką poniosła poślubiając go. Zawsze pełna rezygnacji wynikającej z podwójnego obowiązku żony i poddanej, wszystko widziała, zносиła, wszystko kryła w sobie. Lecz od pewnego czasu, sądząc z łaskawszych spojrzeń męża i szorstkich słów królowej, zaczęła wierzyć, że poświęcenie nie było całkiem daremne. W ciągu minionych dni, potwornych i pełnych nieustającej trwogi, może jako jedyna w tłumie dworaków i wystraszonych sług, Andrée przeżyła radosne chwile i rozkoszne wzruszenia. Było to w owych momentach najwyższego podniecenia, kiedy Charny gestem, spojrzeniem lub słowem dawał poznać, że zajmuje się nią, szuka z niepokojem i odnajduje z radością; lekki uścisk ręki przekazywał jej ukradkiem uczucie niedostrzeżone przez otaczający tłum, tylko ich dwoje wiążąc wspólną myślą. Były to upojne przeżycia, jakich nigdy nie zakosztowała ta kobieta o ciele białym jak śnieg i sercu z diamentu, która z miłości знаła jedynie to, co jest boleścią — samotność.

I oto nagle, w chwili kiedy ta biedna, osamotniona istota odnalazła swoje dziecko i znów stała się matką, na smutnym i ciemnym horyzoncie jej życia zajaśniała jakby jutrzienka miłości. Ale szczęście nie było jej widać pisane, bo dziwnym zbiegiem przypadku oba te zdarzenia tak się splatały, że jedno niweczyło drugie: powrót męża odsuwał miłość dziecka, zaś obecność dziecka niszczyła w zarodku miłość męża.

Tego wszystkiego nie mógł odgadnąć Charny w okrzyku, jaki wyrwał się z ust Andrée, w geście ręki, która go odtrąciła, ani w smutnym milczeniu, jakie zapadło po tym wołaniu, które podobne do krzyku boleści — było przecież wołaniem miłości.

Charny przez chwilę przyglądał się młodej kobiecie wzrokiem, który powiedziałby jej wiele, gdyby podniosła nań oczy. Westchnął raz jeszcze i podejmując rozmowę w miejscu, gdzie ją przerwał, spytał:

— Co każe pani powiedzieć królowi?

Na dźwięk jego głosu Andrée drgnęła, a podnosząc na hrabiego jasne i pogodne oczy odparła:

— Panie, tyle się nacierpiałam, odkąd jestem na dworze, że teraz, kiedy królowa łaskawie udzieliła mi zwolnienia, przyjąłam je z wdzięcznością. Nie jestem stworzona do życia w wielkim świecie i w samotności znajdowałam zawsze, jeśli nie szczęście, to przynajmniej spokój. Najszczęśliwymi dniami mego życia są te, które spędziłam jako młoda dziewczyna na zamku Taverney, a później w samotni klasztoru Saint-Denis, u boku szlachetnej przedstawicielki królewskiego rodu zwanej panią Luizą. Jeśli więc pan pozwoli, zamieszkałam w tym pawilonie, dla mnie pełnym wspomnień, które choć smutne, nie pozbawione są jednak słodyczy.

Słyszając tę prośbę Andrée, Charny skłonił się gotów nie tylko przystać na nią, ale wręcz potraktować ją jak rozkaz.

— Zatem to nieodwołalna decyzja? — zapytał.

— Tak, panie — odparła Andrée łagodnie, lecz stanowczo.

Charny skłonił się ponownie.

— Pozostaje mi zatem prosić tylko, by wolno mi było odwiedzać panią tutaj.

Andrée zwróciła na Charny'ego wielkie jasne oczy, zazwyczaj spokojne i zimne, tym razem

jednak pełne zdziwienia i łagodności.

— Oczywiście, panie — powiedziała — nie widując nikogo, będę wdzięczna, jeśli zechce pan poświęcić mi choćby najkrótszą chwilę wolną od zajęć w Tuileries.

Charny nigdy nie dostrzegł tyle czaru w spojrzeniu Andrée, nigdy nie słyszał w jej głosie tak tkliwego akcentu.

Poczuł w żyłach dreszcz, jaki daje pierwsza pieszczota, łagodny, miękki, prawie aksamitny.

Patrzył na puste w tej chwili miejsce na sofie obok Andrée. Dałby rok życia za to, by móc tu usiąść bez obawy, że znów go odepchnie. Ale nieśmiały jak dziecko, nie mógł zdobyć się na to bez słowa czy gestu zachęty.

Andrée zaś dałaby nie rok, lecz dziesięć lat życia, by poczuć obok siebie tego, który tak długo od niej stronił. Niestety, nic nie wiedząc nawzajem o sobie, oboje trwali w bolesnym niemal oczekiwaniu.

I znowu Charny pierwszy przerwał milczenie, któremu właściwe znaczenie nadać mógł tylko ten, komu dane jest czytać w sercu.

— Powiadasz, pani, żeś dużo cierpiała od chwili przybycia na dwór królewski. Czyż król nie okazywał jej zawsze szacunku graniczącego z czcią, a królowa — czułości bliskiej adoracji?

— Och tak, panie, król zawsze był wobec mnie bez zarzutu.

— Niech mi wolno będzie zauważyć, że odpowiedziała pani tylko na pierwszą część mojego pytania. Czyżby postępowanie królowej wobec niej nie było bez zarzutu?

Andrée zacisnęła usta, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź. W końcu przemogła się jednak:

— Nie mam nic do zarzucenia królowej — rzekła — i byłabym niesprawiedliwa nie przyznając Jej Królewskiej Mości tego, co jej się należy.

— Mówię tak — nalegał Charny — bowiem od pewnego czasu... zapewne się mylę... ale wydaje mi się, że przyjaźń, jaką królowa żywi dla pani, doznała pewnego uszczerbku.

— To możliwe — odrzekła Andrée — i właśnie dlatego, jak już miałam zaszczyt panu oświadczyć, pragnę opuścić dwór.

— Ależ pani, będziesz wówczas taka odosobniona, samotna!

— Czyż nie byłam zawsze sama — odparła z westchnieniem Andrée — i jako dziecko... i jako młoda dziewczyna... i jako...

Urwała czując, że posuwa się za daleko.

— Niech pani skończy — powiedział Charny.

— Och, na pewno pan odgadł... Chciałam powiedzieć: i jako kobieta...

— Czyżby raczyła mnie pani uszczęśliwić zarzutem?

— Zarzutem? — odparła żywo Andrée. — Wielki Boże, jakież miałabym prawo czynienia panu zarzutów?... Czy sądzisz, panie, że nie pamiętam już okoliczności, w jakich się pobraliśmy?... W przeciwieństwie do tych, co u stóp ołtarza przysięgają sobie wzajemną miłość i opiekę, my przysięgliśmy sobie wieczną obojętność i całkowitą separację... Moglibyśmy więc robić sobie nawzajem zarzuty tylko wówczas, gdyby któreś z nas zapomniało o przysiędze.

Słowa Andrée stłumiły westchnienie hrabiego.

— Widzę więc, że pani decyzja jest niezachwiana, ale niechże mi przynajmniej będzie wolno zatroszczyć się o to, jak zamierza pani tutaj żyć. Czy nie będzie pani źle?

Andrée uśmiechnęła się smutno.

— Dom mego ojca był tak ubogi — powiedziała — że w porównaniu z nim ten skromny pawilonik wydaje się umeblowany z niezwykłym mi przepychem.

— A jednak... to czarujące ustronie Trianon... pałac wersalski...

— Och, dobrze wiedziałam, że długo tam nie zabawię. — Czy przynajmniej ma pani tutaj wszystko co potrzeba?

— Odnajduję tu wszystko, co niegdyś miałam.

— Zobaczmy więc — powiedział Charny, który zaczął rozglądać się wokół, chcąc zorientować się w rozkładzie apartamentu.

— Co pan chce zobaczyć? — zapytała porywczo Andrée, rzucając szybkie i niespokojne spojrzenie w stronę sypialni.

— Chcę zobaczyć, czy pani wymagania nie są zbyt skromne. Ten pawilonik nie jest odpowiednią siedzibą... Znam już przedpokój, jestem w salonie...! Te drzwi — i otworzył boczne drzwi — ach, tak, prowadzą do jadalni, a te...

Andrée rzuciła się w stronę drzwi, ku którym zbliżał się hrabia, a gdzie w wyobraźni widziała Sebastiana, — Panie! — zawołała. — Błagam, ani kroku dalej! I rozłożywszy ramiona zagroziła mu drogę.

— Rozumiem — westchnął Charny — to drzwi do pani sypialni.

— Tak, panie — wyjąkała Andrée zduszonym głosem. Charny spojrzał na hrabinę; była drżąca i blada; nigdy przerażenie nie objawiło się wyraziściej na jej twarzy.

— Ach, pani — wyszeptał głosem tłumionym przez łzy — wiedziałem, że mnie pani nie kocha, nie sądziłem jednak, że aż tak mnie pani nienawidzi!

Nie mogąc już dłużej nad sobą panować zatoczył się jak pijany, po czym przywołując wszystkie swoje siły, wybiegł z salonu z okrzykiem, który bolesnym echem odbił się w sercu Andrée.

Moda niewiasta patrzyła za nim, póki nie zniknął. Nadsluchiwała odgłosu oddalającego się powozu, wreszcie, czując, że serce pęka jej niemal, uzmysłowiła sobie, że nie kryje ono dość macierzyńskiej miłości, by zwalczyć tę drugą miłość. Wbiegła do sypialni.

— Sebastianie! Sebastianie! — zawołała, lecz nie odpowiedział jej żaden głos i próżno oczekiwała odzewu na ten krzyk boleści.

W świetle lampki rozejrzała się wokół i pełna przerażenia stwierdziła, że pokój jest pusty. Nie wierząc własnym oczom zawołała powtórnie:

— Sebastianie! Sebastianie! Odpowiedziało jej to samo milczenie.

Dopiero wówczas dostrzegła, że okno jest otwarte, a lekki podmuch wiatru chwieje płomieniem lampki. To samo okno otwarte było przed piętnastu laty, w dniu, gdy dziecko zniknęło po raz pierwszy.

— Och, dobrze mi tak! — zawołała Andrée. — Czyż nie powiedział, że nie jestem jego matką?

A pojmując, że traci równocześnie i dziecko, i męża, w chwili gdy na pozór odzyskała wszystko, Andrée rzuciła się na łóżko rozłożywszy ramiona i zacisnąwszy pięści. Była u kresu sił, zrezygnowana, niezdolna nawet do modlitwy. Pozostał jej tylko płacz, krzyk, łkanie i bezgraniczne uczucie bólu.

Prawie godzinę przeleżała w stanie najgłębszej udręki, oderwana od świata, zatopiona we łzach i pragnieniu całkowitej zagłady, mając nadzieję, jak inni nieszczęśni, że gdy wkroczy w nicość, świat pociągnie ją za sobą.

Nagle wydało jej się, że coś jeszcze straszniejszego wkrada się między jej ból i łzy. Wrażenie, jakiego doznała ledwie trzy lub cztery razy, a zawsze poprzedzało ono przełomową chwilę jej życia, ogarniając powoli to, co jeszcze było w niej żywe. Prawie niezależnym od swej woli ruchem wyprężyła się z wolna: głos uwiązał jej w gardle, całe ciało obróciło się. Zmącony łzami wzrok zdawał się rozróżniać czyjąś obecność. Potem rozjaśniając się nabrał ostrości: przed nią stał człowiek, który chyba przesadził parapet okna, by dostać się do pokoju. Chciała wołać, krzyczeć, wyciągnąć rękę do dzwonka, ale na próżno... Ogarnęło ją to nieznośne odrętwienie, które dawniej było dla niej znakiem obecności doktora Balsamo. Wreszcie w osobniku, który stał

przed nią urzekając spojrzeniem i gestem, rozpoznała Gilberta.

W jaki sposób Gilbert, zniechęcony ojciec jej dziecka, znalazł się tam, gdzie spodziewała się znaleźć ukochanego syna?

To właśnie postaramy się wyjaśnić czytelnikowi.

XII ZNANA DROGA

Doktor Gilbert był u króla w chwili, gdy z polecenia Izydora i Sebastiana pytał o niego lokaj. Wyszedł stamtąd pół godziny później. Król miał do niego coraz większe zaufanie, gdyż jego prawe serce doceniało lojalność Gilberta.

Gdy wychodził, lokaj oznajmił, że ktoś czeka na niego w antyszambrach królowej.

Gilbert ruszył prowadzącym w tę stronę korytarzem, gdy nagle, o parę kroków przed nim, przez boczne drzwiczki wszedł jakiś młody człowiek, który wyraźnie nie obeznany z miejscem wahał się, czy pójść w prawo, czy w lewo.

Na widok zbliżającego się Gilberta, młody człowiek zatrzymał się, by go zapytać o drogę. Światło kinkietu padało wprost na twarz młodzieńca i Gilbert nagle sam przystanął:

— Pan Izydor de Charny! — zawołał.

— Doktor Gilbert! — odpowiedział Izydor.

— Czy to pan był łaskaw o mnie pytać?

— Właśnie... ja, doktorze... i jeszcze ktoś...

— Kto taki?

— Ktoś, kogo widok sprawi panu przyjemność.

— Czy niedyskrecją jest zapytać, kto taki?

— Nie! Okrucieństwem jednak byłoby zatrzymywać pana dłużej... Chodźmy... albo raczej niech mnie pan zaprowadzi do części antyszambrów królowej zwanej „zielonym salonem”.

— Prawdę mówiąc — odrzekł z uśmiechem Gilbert — jestem niewiele lepiej obeznany z topografią pałaców, a zwłaszcza pałacu Tuileries, ale spróbuję posłużyć panu za przewodnika.

Gilbert ruszył przodem i po chwili poszukiwań pchnął jakieś drzwi. Prowadziły one do „zielonego salonu”.

Salon był jednak pusty.

Izydor powiódł wzrokiem dokoła i wezwał lokaja. W pałacu panował jeszcze tak wielki nieład, że wbrew wszelkim regułom etykiety nie było w pobliżu lokaja.

— Poczekajmy chwilę — rzekł Gilbert. — Lokaj chyba zaraz nadejdzie, a tymczasem, chyba że coś stoi na przeszkodzie temu wyznaniu, niech mi pan powie, kto na mnie czeka?

Zaniepokojony Izydor rozglądał się po salonie.

— Nie domyśla się pan?

— Nie.

— Ktoś, kogo spotkałem na drodze, a kto niespokojny o pana szedł pieszo do Paryża... ktoś, kogo wzięłem na swego konia i przyprowadziłem tutaj.

— Nie mówi pan chyba o Pitou?

— Nie, doktorze. Mówię o pańskim synu, Sebastianie.

— O Sebastianie?!... — krzyknął Gilbert. — A gdzie on jest? — zawołał rozglądając się po rozległym salonie.

— Był tutaj, obiecał na mnie czekać. Zapewne lokaj, któremu go poleciłem, nie chciał zostawić go samego i zabrał do siebie.

Właśnie wszedł lokaj. Był jednak sam.

— Gdzie się podział ten młody człowiek, którego tu zostawiłem? — zapytał Izydor.

— Jaki młody człowiek?

Gilbert umiał wspaniale nad sobą panować. Choć poczuł rosnący gniew, pohamował się.

Podszedł do lokaja.

— Och, Boże! — szepnął baron de Charny, którego też ogarnął niepokój.

— Ależ panie — powiedział stanowczym tonem Gilbert — proszę wysilić swą pamięć... Spróbować sobie przypomnieć... Ten chłopiec to mój syn... Nie zna Paryża i jeśli, na nieszczęście, wyszedł z pałacu, łatwo zabłądzi.

— Chłopiec? — zapytał drugi lokaj, który właśnie się zjawił.

— Tak, chłopiec, prawie już młodzieniec. — Około piętnastoletni?

— Właśnie.

— Widziałem go w korytarzu, jak szedł za jakąś panią, która wyszła z apartamentu Jej Królewskiej Mości. — A czy pan wie, kim była ta dama?

— Nie. Miała mantylkę spuszczoną na oczy. — A dokąd szła?

— Zdawała się uciekać, a chłopiec biegł za nią wołając: „Pani!”

— Zejdźmy na dół — powiedział Gilbert — odźwierny powie nam, czy wyszedł z pałacu.

Izydor i Gilbert przeszli tym samym korytarzem, którym . przed godziną uciekała Andrée ścigana przez Sebastiana.

Na dole, przy wejściu na dziedziniec Książąt, zagadnęli odźwiernego.

— Tak, rzeczywiście — odrzekł odźwierny — widziałem kobietę, która szła tak szybko, jakby uciekała. Biegł za nią jakiś chłopiec. Wsiadła do powozu, chłopiec ją dopadł...

— I co dalej? — zapytał Gilbert.

— No i ta dama wciągnęła chłopca do powozu, ucałowała go gorąco, zamknęła drzwi i powóz ruszył.

— Czy pamiętasz adres?

— Tak, doskonale: ulica Coq–Heron numer 9, pierwsza brama od ulicy Plâtrière.

Gilberta przebiegł dreszcz.

— Ależ tak — zawołał Izydor — przecież to adres mojej bratowej, hrabiny de Charny.

— Fatum! — mruknął Gilbert.

W owym czasie myślano zbyt filozoficznie, by powiedzieć Opatrzność.

I dodał szeptem:

— Rozpoznał ją...

— Jedźmy więc do hrabiny de Charny — powiedział Izydor.

Gilbert zdawał sobie sprawę, w jakiej sytuacji znalazłaby się Andrée, gdyby pojawił się u niej w towarzystwie jej szwagra, powiedział więc:

— Panie, jeśli mój syn jest u hrabiny de Charny, nic mu nie grozi, a ponieważ mam zaszczyt ją znać, sądzę, że zamiast mi towarzyszyć, raczej powinienes pan ruszyć w drogę. Bowiem wedle tego, co słyszałem u króla, przypuszczam, że to pan udaje się do Turynu.

— Tak.

— Proszę więc przyjąć moje podziękowania za wszystko, co zechciał pan uczynić dla Sebastiana, i niech pan natychmiast rusza w drogę.

— A jednak, doktorze...

— Z chwilą, gdy ojciec mówi, że jest zupełnie spokojny, może pan jechać. Gdziekolwiek znajduje się obecnie Sebastian, u hrabiny de Charny czy gdzie indziej, proszę się nie lękać, mój syn się odnajdzie.

— Skoro pan sobie tego życzy, doktorze...

— Bardzo pana proszę.

Izydor podał mu rękę, którą Gilbert uściśnął z większą serdecznością, niż zwykł to czynić wobec ludzi ze swej kasty, i podczas gdy Izydor wrócił do pałacu, doktor wyszedł na plac du Carrousel, skręcił w ulicę Chartres, przeszedł po przekątnej placu Palais–Royal, wszedł w ulicę

Saint-Honoré i zbłądziwszy na chwilę w labiryncie uliczek wiodących do hal, niebawem był już na skrzyżowaniu ulicy Plâtrière i Coq-Héron.

Brama domu Andrée, ta brama nr 9, była mu dobrze znana; przystanął tam więc nie dlatego, że lękał się pomyłki. Nie, oczywiste było, że aby dostać się do domu, szuka pretekstu, a nie znalazłszy go, spróbował innego sposobu.

Brama, którą pchnął, aby przekonać się, czy cudem przypadku, sprzyjającego niekiedy zakłopotanym, nie jest otwarta, ani drgnęła.

Przeszedł wzdłuż muru, który miał dziesięć stóp wysokości.

, Dobrze znał tę wysokość, szukał jednak taczki, porzuconej może przez jakiegoś robotnika pod murem, która pozwoliłaby mu osiągnąć wierzchołek. Stamtąd już, zwinny i silny, łatwo przedostałby się do środka.

Wzdłuż muru nie było jednak żadnej taczki, a tym samym żadnego sposobu, by dostać się do środka.

Znów podszedł do bramy i sięgnął po kołatkę; po chwili potrząsnął jednak przecząco głową i opuścił kołatkę łagodnie, by nie wydała żadnego dźwięku.

W jego umyśle zaświtała nowa myśl, przywracając mu niemal utraconą nadzieję.

— W gruncie rzeczy to niewykluczone — szepnął. I powrócił na ulicę Plâtrière.

Przechodząc spojrzął z westchnieniem na studzienkę, gdzie przed szesnastu laty nieraz moczył suchy i czarny chleb, który zapewniała mu hojność Teresy i gościnność Rousseau.

Rousseau umarł, odeszła też Teresa; on zaś dorósł, zdobył poważanie, sławę, fortunę. Niestety, czy był szczęśliwszy, mniej targany niepokojem o terażniejszość i przyszłość niż w czasach, gdy pożerany dzięką namiętnością moczył chleb w tej studziencie?

Minał ją wreszcie i nie bez wahań zatrzymał się przed bramą do alei, której wyżej położona część wysypana była żwirem. Zdawał się być u celu.

Jeszcze chwilę jednak stał oparty o mur, może dlatego, że wspomnienia, jakie przywodziła na pamięć ta furtka, niemal go przygwoździły, a może dlatego, że stanąwszy przed tą furtką pełen nadziei, lękał się zawodu.

Wreszcie przesunął dłonią po bramie i z niewymowną radością w niewielkim otworze wyczuł koniec sznurka, który za dnia służył do jej otwierania.

Gilbert pamiętał, że czasem zapomniano wciągnąć na noc sznur do środka i że kiedyś późnym wieczorem, wracając pospiesznie do mansardy, jaką zajmował u pana Rousseau, skorzystał zeń, by wrócić do siebie.

Chyba jak dawniej dom zajmowali ludzie na tyle ubodzy, by nie lękać się złodziei: podobna beztroska spowodowała to samo zapomnienie.

Gilbert pociągnął za sznurek. Brama otwarła się i oto znalazł się w ciemnej i wilgotnej alei, na końcu której, niby dźwigający się w górę wąż, wznosiły się śliskie schody.

Starannie zamknął za sobą furtkę i po omacku dotarł do pierwszego stopnia schodów. Na dziesiątym stopniu zatrzymał się.

Słabe światło, przenikające przez brudną szybę, wskazywało, że w tym miejscu znajduje się otwór, i noc, choć ciemna, zdawała się przezeń jaśniejsza. Przez zamazaną szybę widać było gwiazdy wśród chmur.

Gilbert namacał zasuwkę, odsunął ją i drogą, którą przebył już dwukrotnie, wszedł do ogrodu.

Nie wiedział, czy o tej nocnej godzinie drzwi są zamknięte, nie wiedział, czy o tej nocnej godzinie ktoś jest u hrabiny de Charny; jej mąż, sługa czy pokojówka.

Gotów na wszystko, byle odnaleźć Sebastiana, postanowił jednak w duchu, że skompromituje Andrée tylko w ostatecznym wypadku, a najpierw zrobi wszystko co w jego mocy, by porozmawiać z nią sam na sam.

Podszedł najpierw do drzwi wychodzących na podjazd, przekręcił gałkę. Drzwi ustąpiły. Wywnioskował stąd, że skoro drzwi nie są zamknięte, Andrée nie jest sama.

Kobieta, która mieszka sama, nie zapomina zamknąć drzwi, chyba że jest czymś bardzo zaprzętnięta.

Otworzył je więc ostrożnie i cicho, uszczęśliwiony, że w ostatecznym wypadku pozostanie mu jeszcze to wyjście.

Potem zbiegł z ganku i podszedł do okna salonu, by zajrzeć przez te same okiennice, które piętnaście lat wcześniej, pchnięte ręką Andrée uderzyły go w czoło owej nocy, kiedy to trzymając w dłoni sto tysięcy talarów otrzymanych od doktora Balsamo przybył prosić o rękę dumnej dziewczyny.

Salon był oświetlony. Nie sposób było jednak dojrzeć wnętrza przez przysłonięte firanką szyby.

Gilbert ruszył w dalszy obchód.

Nagle wydało mu się, że dostrzega na ziemi i na drzewach słaby odbłask padający z otwartego okna. Było to okno sypialni. Poznał je, bo stamtąd właśnie porwał kiedyś dziecko, którego dzisiaj szukał.

Usunął się na bok, aby wyjść poza promień światła i pod osłoną mroku widzieć, sam nie będąc widzianym.

Stanąwszy z boku zaglądnął do wnętrza i najpierw ujrzał otwarte do salonu drzwi, a potem obiegając pokój wzrok jego napotkał łóżko.

Leżała na nim kobieta umierająca, zeszywniała. Z jej ust wydobywały się ochryple dźwięki, podobne przedśmiertnemu rzężeniu, które od czasu do czasu przerywał krzyk lub szloch.

Gilbert zbliżył się do okna, omijając smugę światła, w którą lękał się wejść.

W końcu oparł pobladłą twarz o framugę. Nie miał już żadnej wątpliwości: tą kobietą była Andrée. I była w domu sama.

Ale dlaczego była sama? Dlaczego płakała?

Tego mógł się dowiedzieć, tylko zapytawszy o to.

Bezszelestnie przesadził okno i stanął za Andrée w chwili, gdy ów magnetyczny wpływ, na który była tak podatna, kazał jej się odwrócić.

Dwoje wrogów stanęło więc znowu oko w oko!

XIII

CO SIĘ STAŁO Z SEBASTIANEM?

Pierwszym uczuciem, jakiego na widok Gilberta doznała Andrée, było nie tyle przerażenie, co nieprzemyślany wstręt. Dla niej Gilbert z Ameryki, Gilbert Washingtona i La Fayette'a; uszlachetniony wiedzą, studiami i geniuszem, był nadal owym małym Gilbertem, umorusanym gliną karłem, zagubionym wśród klombów Trianon.

Gilbert natomiast, mimo pogardy i złorzeczeń, a nawet prześladowań z jej strony, żywił dla Andrée, jeśli już nie płomienną miłość, która kiedyś pchnęła go do popełnienia zbrodni, to przynajmniej czułą i głęboką troskę, która mogłaby go skłonić, by ulżył jej doli, nawet z narażeniem własnego życia.

Bowiem poczucie sprawiedliwości, jakim obdarzyła go natura, i ów wewnętrzny zmysł, jaki zawdzięczał wychowaniu, sprawiły, że osądził sam siebie; pojął, że właśnie on ponosi winę za wszystkie niedole Andrée i że uwolni się od tej odpowiedzialności dopiero wtedy, gdy szczęściem odplaci jej sumę wyrządzonych krzywd.

Ale w jaki sposób mógł Gilbert wpłynąć dobroczynnie na przyszłość Andrée? Tego nie wiedział.

Odnajdując tę ogarniętą rozpaczą kobietę, którą tylekroć widział zrozpaczoną, poczuł jak w sercu drgają mu wszystkie struny miłosierdzia i wzruszył się jej nieszczęściem.

Zamiast więc posłużyć się magnetyczną siłą, której już raz wobec niej użył, chciał przemówić do niej łagodnie — w razie oporu z jej strony mogąc odwołać się do drugiego sposobu.

Wynikło stąd, że Andrée, najpierw otoczona magnetycznym fluidem, stopniowo poczuła, że z woli, czy raczej za zgodą Gilberta, ten fluid rozprasza się niby mgła i pozwala oczom utonąć w dalekich horyzontach.

Ona pierwsza zabrała głos.

— ” Czego pan ode mnie chce? Jak pan się tu znalazł? Którędy pan wszedł?

— Którędy wszedłem? — odpowiedział Gilbert. — Tą samą drogą co dawniej. Więc niech pani będzie spokojna, nikt nie podejrzewa, że tu jestem... Po co przyszedłem? Przyszedłem prosić, aby oddała mi pani skarb, na którym pani nie zależy, a który dla mnie jest ogromnie cenny — mego syna... Czego chce? Chcę się dowiedzieć, gdzie jest mój syn, którego pani zabrała do swego powozu i sprowadziła tutaj.

— Nie wiem, co się z nim stało — odparła Andrée. — Uciekł ode mnie... Nauczył go pan przecież nienawiści do własnej matki!

— Własnej matki! Czy pani rzeczywiście jest jego matką?

— Och! — jęknęła Andrée. — Widział pan moją boleść, słyszał moje krzyki, patrzył na moją rozpacz i pyta, czy ja jestem matką!

— Więc pani nie wie, gdzie on jest?

— Mówię przecież, że uciekł; był w tym pokoju, a kiedy weszłam sądząc, że go zastanę, ujrzałam otwarte okno i pusty pokój.

— O Boże! — zawołał Gilbert. — Gdzież on się podział?... Nieszczęsny chłopiec nie zna Paryża, a jest już po północy!

— Och, czy sądzi pan, że spotkało go coś złego? — zawołała Andrée, robiąc krok w stronę Gilberta.

— Zaraz się dowiemy, a pani mi to powie — rzekł Gilbert i wyciągnął do niej rękę.

— Panie! Panie! — krzyknęła Andrée, cofając się, by uniknąć magnetycznego wpływu.

— Proszę się nie lękać — rzekł Gilbert — będę pytał matkę o to, co stało się z jej synem... a jako matka jest pani dla mnie święta!

Andrée westchnęła z ulgą i opadła na fotel, szepcząc imię Sebastiana.

— Proszę usnąć — powiedział Gilbert — ale w uspieniu niech pani patrzy sercem.

— Śpię — rzekła Andrée.

— Czy mam użyć całej siły mej woli, czy też gotowa jest pani odpowiadać dobrowolnie?

— Czy powie pan jeszcze memu dziecku, że nie jestem jego matką?

— To zależy... Kocha je pani?

— Och, on pyta, czy kocham! Moje dziecko... Tak, kocham je całym sercem.

— Więc jest pani jego matką, tak jak ja jestem jego ojcem, bo kocha je pani tak, jak ja je kocham.

Andrée odetchnęła uspokojona.

— Zatem będzie pani odpowiadać dobrowolnie?

— A czy pozwoli mi pan zobaczyć Sebastiana; kiedy już się odnajdzie?

— Czyż nie powiedziałem, że jest pani jego matką, jak ja jestem ojcem?... Kocha pani swoje dziecko i zobaczy je pani.

— Dziękuję — rzekła Andrée i z wyrazem niezmiernej radości klasnęła w dłonie. — A teraz proszę pytać... Tylko...

— Co takiego?

— Niech pan zacznie od początku, abym była pewna, że nie zgubię jego śladu.

— Dobrze. Gdzie panią ujrzał?

— W zielonym salonie.

— Gdzie panią ścigał?

— Po korytarzach.

— Kiedy dogonił?

— Gdy wsiadałam do powozu.

— Dokąd go pani zawiozła?

— Do domu... do salonu obok.

— Gdzie usiadł?

— Obok mnie na sofie.

— Czy długo tam siedział?

— Prawie pół godziny.

— Dlaczego odszedł?

— Bo dał się słyszeć turkot powozu.

— Kto był w tym powozie?

Andrée zawahała się.

— Kto był w tym powozie? — powtórzył Gilbert bardziej stanowczym tonem i z większym naciskiem.

— Hrabia de Charny.

— Gdzie ukryła pani chłopca?

— Pchnęłam go do tego pokoju.

— Co powiedział wchodząc tu?

— Że nie jestem już jego matką.

— A dlaczego tak powiedział? Andrée milczała.

— Dlaczego tak powiedział? Proszę mówić, żądam tego. — Bo powiedziałam...

— Co mu pani powiedziała?

— Powiedziałam — przemogła się Andrée — że pan jest nędznikiem i niegodziwcem.

— Niech pani zajrzy w serce tego biednego chłopca i uprzytomni sobie ból, jaki mu zadała.

— Och Boże! Boże! — szepnęła Andrée. — Przepraszam cię, moje dziecko, przepraszam!

— Czy pan de Charny domyślał się, że dziecko jest tutaj?

— Nie.

— Jest pani tego pewna?

— Tak.

— Dlaczego tu nie został?

— Dlatego, że pan de Charny nie mieszka u mnie.

— Więc po co tu przybył?

Andrée popadła w zadumę i wzrok jej znieruchomiał, jakby chciała dojrzeć coś w ciemności.

— Och Boże! Boże... Oliwierze, drogi Oliwierze! Gilbert patrzył na nią ze zdziwieniem.

— Och, jaka jestem nieszczęśliwa! — wyszeptwała Andrée. — Wrócił do mnie... a ponieważ chciał przy mnie zostać, odmówił tej misji. Kocha mnie! Kocha!...

— A pani też go kocha? — zapytał Gilbert. Andrée westchnęła.

— Czy pani go kocha? — powtórzył Gilbert.

— Czemu zadaje pan to pytanie?

— Niech pani czyta w moich myślach.

— Och tak, widzę, pańska intencja jest dobra: chciałby pan dać mi szczęście, by zrównoważyć krzywdę, jaką mi pan wyrządził, ale odrzuciłabym szczęście, które pochodzi od pana. Nienawidzę pana i nadal pragnę nienawidzić.

— Biedna ludzkości! — szepnął Gilbert. — Czyżby aż tyle szczęścia przypadło ci w udziale, byś mogła wybierać, od kogo możesz je otrzymać? A więc kocha go pani!

— Tak.

— Od kiedy?

— Od chwili, gdy go ujrzałam, w dniu kiedy wracał z Paryża do Wersalu tym samym powozem co królowa i ja.

— Zatem poznała pani miłość, Andrée? — wyszeptał ze smutkiem Gilbert.

— Wiem — odrzekła młoda kobieta — że miłość dana jest człowiekowi, aby zgłębił swą zdolność cierpienia.

— To dobrze, teraz jest pani kobietą, jest pani matką. Byłaś pani surowym diamentem, aż wreszcie ten nieubłagany szlifierz, jakim jest cierpienie, nadał pani kształt... Wróćmy jednak do Sebastiana.

— Tak, tak, wróćmy do niego! Niech mi pan zabroni myśleć o panu de Charny: to mać mi umysł i zamiast dążyć za moim dzieckiem, mogłabym podążyć za hrabią.

— Więc dobrze! Żono, zapomnij o mężu! Matko, myśl tylko o dziecku!

Tkliwość, jaka przez chwilę malowała się nie tylko na twarzy, lecz emanowała z całej postaci Andrée, znikła ustępując miejsca jej zwykłemu wyrazowi.

— Gdzie on był, gdy pani rozmawiała z hrabią de Charny?

— Był tu, nad słuchując... tu, koło drzwi.

— A co słyszał z waszej rozmowy?

— Całą pierwszą część. — Kiedy zdecydował się opuścić ten pokój

— W chwili, kiedy pan de Charny...

Andrée umilkła.

— W chwili, kiedy pan de Charny... — powtórzył nieubłagany Gilbert.

— W chwili, gdy wyrwał mi się krzyk, bo pan de Charny pocałował mnie w rękę.

— Więc widzi go pani wyraźnie?

— Tak, widzę jego zmarszczone czoło, wydęte usta, zaciśnięte pięści.

— Niech go pani śledzi i od tej chwili nie traci z oczu.

— Widzę go! Widzę!

— Co robi?

— Rozgląda się wokół, aby zobaczyć, czy są jakieś drzwi wychodzące na ogród, Nie znajdując ich podchodzi do okna, otwiera je, rzuca ostatnie spojrzenie w stronę salonu, przeskakuje parapet i znika.

— Niech go pani śledzi w ciemności.

— Nie mogę. Gilbert podszedł do Andrée i przesunął jej ręką przed oczyma.

— Przecież dla pani nie ma nocy. Patrz! Patrz! Widzisz?

— Ach, teraz... biegnie aleją wzdłuż muru, dociera do bramy, otwiera ją niezauważony, wymyka się na ulicę Plâtrière... O, przystaje... zwraca się do przechodzącej kobiety.

— Niech pani uważnie słucha — rzekł Gilbert — a usłyszysz pani, co mówi.

— Słucham.

— O co pyta?

— O ulicę Saint-Honoré.

— Tam właśnie mieszkam. Poszedł do mnie. Czeka na mnie, biedne dziecko.

Andrée przecząco potrząsnęła głową.

— Nie! — powiedziała pełnym niepokoju głosem. — Nie... nie wrócił... nie czeka.

— Więc gdzie jest?

— Niech mi pan pozwoli go śledzić, inaczej go zgubię.

— O tak! Nie spuszcza go z oka — zawołał Gilbert przeczuwając, że Andrée domyśla się jakiegoś nieszczęścia.

— Ach, widzę go! Widzę go!

— Dobrze.

— Właśnie wkroczył na ulicę Grenelle... oto jest na ulicy Saint-Honoré. Przebiega przez plac Palais-Royal. Znowu pyta o drogę, znowu biegnie. Jest na ulicy Richelieu... teraz na ulicy des Frondeurs... Q, już jest przy ulicy Neuve-Saint-Roch. Zatrzymaj się, dziecko! Zatrzymaj! Nieszczęsny!... Sebastianie! Sebastianie! Nie widzisz tego wozu, co nadjeżdża ulicą Sourdrière? Ja go widzę, widzę go!... Konie... Och...

Andrée krzyknęła z przerażenia, wyprężyła się, na jej twarzy, po której spływały wielkie krople łez i potu, odmalowała się udręka matki.

— Och, jeżeli stanie mu się coś złego — zawołał Gilbert — pamiętaj, to spadnie na twoją głowę!

— Och! — Andrée nawet nie słyszała jego słów. — Boże wielki, bądź pochwalony! Koń potracił go piersią i odrzucił w bok, daleko od kół... Upadł, leży bez przytomności, ale nie umarł... Och, nie, nie umarł! Nie umarł! Zemdłał, tylko zemdłał! Na pomoc! To moje dziecko!... moje dziecko!

I z rozdzierającym krzykiem opadła na fotel, sama prawie bez przytomności.

Choć Gilbert bardzo chciał wiedzieć, co było dalej, zezwolił jednak Andrée na tę chwilę wytchnienia, której bardzo jej było potrzeba. Bał się, że inaczej mogłoby nastąpić Zerwanie jakiegoś naczynia w sercu lub pęknięcie żyłki w mózgu. Ale gdy tylko wyczuł, że może badać dalej, zapytał:

— No więc?...

— Zaraz, zaraz — odrzekła Andrée. — Wokół niego powstało wielkie zbiegowisko. Och, na litość boską, pozwólcie mi przejść, pozwólcie zobaczyć, to mój syn! To mój Sebastian!... Ach, mój Boże!... Czy nie ma wśród was chirurga czy lekarza?

— Och, biegnę tam! — zawołał Gilbert.

— Proszę zaczekać — rzekła Andrée, przytrzymując go za rękę — tłum się rozstępuje. Nadchodzi chyba ten, którego wezwano, na którego czekają... Prędkiej, prędkiej, mój panie! Widzi pan, że nie umarł, że można go uratować...

Nagle jej głos zmienił się w krzyk grozy:

— Boże, co się dzieje?! — zapytał Gilbert.

— Nie chcę, aby ten człowiek dotykał mego dziecka! — krzyknęła Andrée. — To nie człowiek, to karzeł... gnom... wampir... Och, wstrętny, wstrętny!...

— Na miłość boską — szepnęła Gilbert — niech pani nie traci z oczu Sebastiana!

— Och — jęknęła Andrée drżącymi wargami, wpatrzona przed siebie, wskazując coś palcem. — Niech pan będzie spokojny... Śledzę go... Siedzę...

— Co robi ten człowiek?

— Zabiera go... Wchodzi w ulicę Sourdière, skręca w lewo ku zaułkowi Sainte-Hyacinthe, zbliża się ku niskiej, na w pół otwartej bramie, otwiera ją, nachyla się, schodzi w dół po schodach. Kładzie go na stole, na którym jest pióro, atrament, rękopisy i druki, teraz go rozbiera, zawija rękawy, ściska mu ramię bandażem, przyniesionym przez brudną i równie jak on wstrętną kobietę... Sięga do apteczki, wyjmując lancet. Zaraz puści mu krew... Och, nie, nie mogę na to patrzeć! Nie chcę patrzeć na krew mego syna!

— To niech pani wróci na górę i policzy stopnie schodów.

— Już policzyłam: jest ich jedenaście.

— Proszę dokładnie obejrzeć drzwi i powiedzieć, czy widzi pani coś osobliwego.

— Tak... małe kwadratowe okienko, przekreślone kratą na krzyż.

— Dobrze, to wszystko czego mi trzeba.

— Niech się pan pospieszy... a znajdzie go tam z pewnością.

— Czy woli pani obudzić się teraz i wszystko sobie przypomnieć, czy też obudzić się dopiero jutro rano, nic nie pamiętając.

— Proszę mnie obudzić natychmiast, bym mogła wszystko sobie przypomnieć!

Gilbert przesunął obu kciukami po brwiach Andrée, dmuchnął jej w czoło i wymówił dwa słowa:

— Obudź się.

Natychmiast oczy młodej kobiety ożyły, ręce i nogi odzyskały giętkość. Spojrzała na Gilberta niemal bez trwogi i, już przytomna, powtórzyła to samo, co we śnie:

— Och, spiesz się pan, spiesz się! I wyrwij go z rąk tego człowieka, który mnie przeraża.

XIV CZŁOWIEK Z PLACU LUDWIKA XV

Gilberta nie trzeba było zachęcać do poszukiwań. Wybiegł z pokoju, a ponieważ zbyt długo trwałoby pokonanie drogi, jaką przybył, skierował się wprost do bramy wychodzącej na ulicę Coq-Héron, otworzył ją bez pomocy dozorca, następnie zatrzasnął i znalazł się na trakcie królewskim.

Doskonale zapamiętał trasę nakreśloną przez Andrée, ruszył więc śladem Sebastiana.

Podobnie jak chłopiec przeciął plac Palais-Royal i przeszedł wzdłuż opustoszałej ulicy Saint-Honoré, bo dochodziła już pierwsza w nocy. Przy rogu ulicy Sourdière skręcił w prawo, potem w lewo i znalazł się w zaułku Sainte-Hyacinthe. Tu rozpoczął dokładniejsze oględziny miejsca.

W trzeciej bramie na prawo rozpoznał opisane przez Andrée okienko z kratą na krzyż. Opis był tak dokładny, że pozostało już tylko zapukać.

Nikt się nie odezwał. Zapukał powtórnie. Usłyszał jakieś szuranie po schodach, a potem ostrożne i lękliwe kroki.

Zapukał po raz trzeci.

— Kto tam? — zapytał kobiecy głos.

— Proszę otworzyć — odparł Gilbert — i niczego się nie lękać, jestem ojcem rannego chłopca, którego przyciągnęliście.

— Otwórz, Albertyno — odezwał się inny głos — to doktor Gilbert.

— Mój ojciec! Mój ojciec! — zawołał trzeci głos, w którym Gilbert rozpoznał Sebastiana. Odetchnął z ulgą.

Drzwi się otwarły i Gilbert, mamrocząc słowa podziękowania, zbiegł w dół. Minawszy ostatni stopień schodów znalazł się w piwnicy oświetlonej lampą, która zgodnie z opisem Andrée stała na stole zawalonym drukami i rękopisami.

W głębi izby Gilbert dojrzał syna: leżał na jakimś barłogu i wyciągał doń ręce. Gilbert umiał panować nad sobą, lecz tym razem ojcowska miłość wzięła w nim górę nad filozoficznymi względami, skoczył więc ku dziecku. Przycisnął je do serca, uważając jednak, by nie urazić jego krwawiącej ręki ani obolałej piersi.

Gdy po długim ojcowskim pocałunku, nie wymówiwszy słowa, wszystko sobie powiedzieli, Gilbert odwrócił się do gospodarza, którego dotąd właściwie nie zauważył.

Ten stał na szeroko rozstawionych nogach, jedną ręką wsparty o stół, a drugą ująwszy się pod bok. Oświetlony był blaskiem lampy, z której zdjął abażur, aby lepiej widzieć scenę, jaka rozegrała się na jego oczach.

— Patrz, Albertyno — rzekł do kobiety — i wraz ze mną podziękuj przypadkowi, który pozwolił nam oddać tę przysługę jednemu z braci.

Gdy chirurg wygłaszał te pompatyczne słowa, Gilbert odwrócił się i przyjrzał pokracznej istocie.

Było to coś żółtawo—zielonego, z wylupiastymi szarymi oczyma, podobne owym chłopom, ściganym złością bogini Latony, co w trakcie metamorfozy nie byli już ludźmi, lecz nie zmienili się jeszcze w ropuchy.

Gilberta przebiegł dreszcz, bo wydało mu się niby w koszmarze, że widział już tego człowieka. Przysunął się do Sebastiana i jeszcze czulej przytulił go do siebie.

Przezyciężając jednak pierwszy odruch, Gilbert podszedł do tej dziwacznej istoty, która tak przeraziła Andrée w jej magnetycznym śnie i rzekł:

— Zechciej, panie, przyjąć podziękowanie szczere i płynące z serca ojca, któremu ocalił pan syna.

— Spełniłem tylko obowiązek podyktowany sercem i rozumem — odrzekł chirurg. — Jestem człowiekiem i, jak powiada Terencjusz, nic co ludzkie nie jest mi obce. Zresztą serce mam czułe i nie mogę patrzeć na cierpienie owada, a cóż dopiero na męki bliźniego.

— Czy wolno mi wiedzieć, z jakim to szanownym dobroczyńcą mam zaszczyt mówić?

— Nie zna mnie pan, kolego? — zapytał chirurg ze śmiechem, który miał być życzliwy, a był odrażający. — Bo ja pana znam: pan jest doktor Gilbert, przyjaciel Washingtona i La Fayette’a — podkreślił szczególnie ostatnie nazwisko — człowiek Ameryki i Francji, uczciwy utopista, który napisał wspaniałe memoriały na temat monarchii konstytucyjnej i przesłał je z Ameryki Jego Królewskiej Mości Ludwikowi XVI, w podzięcie za co Jego Królewska Mość Ludwik XVI wtrącił pana do Bastylii, ledwie stanął pan na francuskiej ziemi. Pan chciał go uratować, oczyszczając przed nim drogę w przyszłość, a on utorował panu drogę do więzienia. Iście królewska wdzięczność.

Chirurg zaśmiał się znowu, ale tym razem był to śmiech okrutny i groźny.

— Skoro mnie pan zna, to jeszcze jeden powód, bym ponowił prośbę o zaszczyt poznania pana.

— Och, znamy się od dawna, mój panie — rzekł chirurg. — Poznaliśmy się dwadzieścia lat temu, i to podczas okropnej nocy 30 maja 1770 roku. Był pan w wieku tego chłopca. Przyniesiono mi pana rannego, zmiażdżonego, konającego, a przyniósł pana mój mistrz, Rousseau; puściłem panu krew na stole, na którym leżały trupy i ucięte kończyny. Dla mnie to przyjemne wspomnienie, bo owej straszliwej nocy ocaliłem wiele istnień dzięki ostrzu, które wie, jak głęboko może wejść w ciało, aby uleczyć, i ile można wyciąć, by się wygoiło.

— Ach, więc to pan jest Jan Paweł Marat! — zawołał Gilbert.

I mimo woli cofnął się o krok.

— Widzisz, Albertyno — powiedział Marat — moje nazwisko robi wrażenie. — I wybuchnął złowrogim śmiechem. — Ale dlaczego tutaj? — podjął żywo Gilbert. — Dlaczego w tej piwnicy, dlaczego w świetle tej kopcającej lampy?... Sądziłem, że jest pan lekarzem hrabiego d’Artois.

— Weterynarzem w jego stajniach, chciał pan powiedzieć. Niestety, księżę wyemigrował, nie ma już księcia, nie ma stajen, a skoro nie ma stajen, to nie ma i weterynarza. Zresztą podałem się do dymisji, nie chcę służyć tyranom. — I karzeł wyprostował się z dumą.

— Mimo wszystko — rzekł Gilbert — dlaczego tutaj, w tej norze, w tej piwnicy?

— Dlaczego, panie filozofie? Dlatego, że jestem patriotą; dlatego, że piszę, aby demaskować żądnych władzy; dlatego, że lęka się mnie Bailly, nie znosi Necker i tępi La Fayette; dlatego, że La Fayette szczuje przeciw mnie swoją Gwardię Narodową; dlatego, że ten próżny dyktator wystawił na licytację moją głowę. Ale ja kpię z niego. Z głębi tej piwnicy gromię i demaskuję dyktatora! Czy wie pan, co on ostatnio zrobił?

— Nie — odparł naiwnie Gilbert.

— Zamówił na przedmieściu Saint–Antoine piętnaście tysięcy tabakierek ze swoim portretem. Moim zdaniem coś się za tym kryje, nie?... Zwracam się więc do zacnych obywateli, by je niszczyli, ilekroć taka tabakierka wpadnie im w ręce. Kryje się w tym chyba tajemnica wielkiego rojalistycznego spisku. Musi pan bowiem wiedzieć, że podczas gdy biedny Ludwik XVI oplakuje głupstwa, jakie każe mu robić Austriaczka, La Fayette spiskuje z królową.

— Z królową? — powtórzył w zamyśleniu Gilbert.

— Tak, z królową. Nie powie pan chyba, że ona nie spiskuje. W ostatnich dniach rozdała tyle białych kokard, że biała tasiemka zdrożała o piętnaście centymów na łokciu. To rzecz pewna, wiem o tym od jednej z córek pani Bertin, modniarki królowej i jej pierwszego ministra, tej, którą

zwykła mówić: „Pracowałam dziś rano z Jej Królewską Mością”.

— A gdzie pan piętuję to wszystko? — zapytał Gilbert.

— W moim dzienniku, w dzienniku, który właśnie założyłem i którego wydałem już dwadzieścia numerów, w „Przyjacielu Ludu czyli Publicyście Paryskim”, bezstronnym politycznym piśmie. Proszę, niech pan rzuci okiem: sprzedałem nawet bieliznę pościelową i kołdry z łóżka, na którym leży pański syn, aby opłacić papier i druk pierwszych numerów.

Gilbert odwrócił się i stwierdził, że Sebastian, który już był usnął, zmożony bólem i zmęczeniem, istotnie leży na wystrzępionym drelichu gołego materaca.

Doktor podszedł do chłopca, aby się przekonać, czy nie zemdłał, ale uspokojony równym oddechem syna, wrócił do swego rozmówcy, który budził w nim tę samą ciekawość, jaką budziłyby dzikie zwierzę: tygrys albo hiena.

— A jakich ma pan współpracowników w tym gigantycznym przedsięwzięciu?

— Współpracowników! — zawołał Marat. — Tylko indyki chodzą stadami. Orzeł jest sam. Oto moi współpracownicy — i Marat wskazał swą głowę i rękę.

— Widzi pan ten stół? — mówił dalej. — To kuźnia Wulkana — trafne porównanie, prawda? — miejsce, gdzie wulkan wykuwa pioruny. Co noc zapisuję osiem stron *in octavo*, które sprzedaje się rano. Osiem stron to często za mało, więc podwajam objętość; niekiedy szesnaście stron to też za mało i prawie zawsze kończyć muszę małymi czcionkami to, co zacząłem dużymi. Inni drukują co pewien czas, zastępując się wzajem, korzystają z pomocy, ja nigdy! „Przyjaciel Ludu” — może pan zobaczyć rękopisy, leżą tutaj — cały „Przyjaciel Ludu” to dzieło jednego człowieka. Nie jest to więc zwyczajny dziennik. Nie, to człowiek, osobowość, ja! To ja!

— Ale jak pan sobie radzi z takim ogromem pracy? — zapytał Gilbert.

— Och, to sekret natury!... Pakt między śmiercią a mną... Ja daję jej dziesięć lat życia, a ona w zamian daje mi dni, którym nie trzeba odpoczynku, i noce, którym nie potrzeba snu... Moja egzystencja jest prosta: piszę... piszę w nocy i we dnie... Policja La Fayette’a zmusza mnie do życia w ukryciu, w zamknięciu; dzięki niej duszą i ciałem oddany jestem pracy; policja podwaja moją aktywność... Z początku ciążyło mi takie życie, teraz już do niego przywykłem, Z przyjemnością oglądam nasze nędzne społeczeństwo przez wąskie i krzywe okienko mojej piwnicy, przez ten wilgotny i omszały lufcik. Z głębi mojej nocy panuję nad światem żyjących, surowo osądzam naukę i politykę... Jedną ręką niszcę Newtona, Franklina, Laplace’a, Monge’a, Lavoisiera; drugą — podważam Bailly’ego, Neckera, La Fayette’a... Zburzę to wszystko... jak Samson zburzył świątynię, a pod gruzami, które może zmiażdżą mnie samego, pogrzebię królestwo...

Gilbert nie mógł opanować dreszczu. W tej piwnicy okryty nędznymi łachmanami człowiek powtarzał niemal to samo, co mówił mu w pałacu odziany w jedwabie Cagliostro.

— Czemu jednak — wtrącił Gilbert — mając taką popularność, nie próbował pan dostać się do Zgromadzenia Narodowego?

— Bowiem właściwy dzień jeszcze nie nadszedł — odpowiedział Marat. I dodał z żalem: — Gdybym był trybunem ludowym, gdybym miał poparcie kilku tysięcy ludzi zdecydowanych na wszystko, ręczę, że w ciągu sześciu tygodni mielibyśmy doskonałą Konstytucję, maszyna polityczna funkcjonowałaby znakomicie i żaden łotrzyk nie ważyłby się zakłócać jej biegu. Naród byłby wolny i sprawiedliwy, w niespełna rok znowu stałby się kwitnący i groźny dla wrogów i pozostałby taki, dopóki bym żył.

Chełpliwa kreatura przeistaczała się w oczach Gilberta: źrenice nabiegły jej krwią, żółta skóra lśniła od potu — potwór stawał się wspaniały w swojej brzydocie, jak inni stają się wielcy w piękności.

— Tak — ciągnął Marat, podejmując myśl, którą przerwał wybuch entuzjazmu — tak, ale ja

nie jestem tyranem, nie mam za sobą owych niezbędnych kilku tysięcy ludzi... Jestem tylko dziennikarzem... tak, ale mam swój stół, papier, pióra... mam swoich prenumeratorów... czytelników, dla których jestem wyrocznią, prorokiem, wieszczem... Mam swój lud, którego jestem przyjacielem i któremu kolejno odsłaniam wszystkie zdrady, wszystkie okropności... W pierwszym numerze „Przyjaciela Ludu” zdemaskowałem arystokratów; stwierdziłem, że jest we Francji sześciuset winnych, wystarczy więc sześćset postronków... Och, przed miesiącem myliłem się nieco! 5 i 6 października rozjaśniły mi wzrok... Należy więc powiesić nie sześciuset winnych, ale dziesięć, dwadzieścia tysięcy arystokratów.

Gilbert uśmiechnął się. Wściekłość w takim natężeniu wydawała mu się już szaleństwem.

— Niech pan uważa, bo we Francji może zabraknąć konopi, sznur osiągnie zawrotną cenę.

— Dlatego też mam nadzieję — odparł Marat — że znajdzie się nowy, szybszy sposób... Czy wie pan, kogo oczekuję dziś wieczór?... Za dziesięć minut powinien zapukać do tych drzwi.

— Nie.

— Otóż czekam na jednego z naszych kolegów... członka Zgromadzenia Narodowego, którego pan zna z imienia, obywatela Guillotin...

— To ten, który proponował posłom, aby przenieśli się do Jeu de Paume, gdy wypędzono ich z sali obrad. Wielce oświecony człowiek.

— Czy pan wie, co wynalazł ów obywatel Guillotin?... Wynalazł cudowną maszynę, która zabija bezboleśnie — śmierć bowiem winna być karą, a nie męką — wynalazł więc taką maszynę i w najbliższych dniach ją wypróbujemy.

Gilbert znów zadrżał. Ten człowiek po raz drugi przypomniał mu Cagliostro. Była to bez wątpienia ta sama maszyna, o której wspomniał mu Cagliostro.

— O, właśnie ktoś puka — powiedział Marat. — To on... Otwórz, Albertyno, otwórz.

Kobieta, a raczej samica Marata, która skulona drzemiała na stołku, wstała i chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi.

Zdjęty grozą, oszołomiony i jakby urzeczony, Gilbert cofnął się instynktownie w stronę Sebastiana, którego zamierzał już wziąć na ręce i zanieść do domu.

— Ta maszyna funkcjonuje sama! — ciągnął z zapalem Marat. — Obsługiwać ją może jeden tylko człowiek! A przy trzykrotnej zmianie noża jest ona w stanie ściąć trzysta głów w ciągu dnia!

— Niech pan doda jeszcze — odezwał się cienki i łagodny głos za plecami Marata — że machina ta ścina trzysta głów nie sprawiając bólu; skazaniec czuje tylko lekki chłód na szyi.

— Ach, to pan, doktorze! — zawołał Marat zwracając się do człowieka po czterdziestce, którego wypielęgowana powierzchowność i łagodne obejście dziwnie kontrastowały z wyglądem Marata. Człowiek ten trzymał w ręce pudełko, z wymiarów i kształtów przypominające dziecinną zabawkę. — Co pan tu przynosi?

— Model mojej maszyny, drogi panie Marat... Ale, jeśli się nie mylę — dodał człeczyna wpatrując się w mrok — widzę tu doktora Gilberta?

— Tak, we własnej osobie — rzekł Gilbert z lekkim ukłonem.

— Rad jestem ogromnie, że pana tu spotykam... Będę szczęśliwy, jeśli tak dystyngowany człowiek jak pan zechce wyrazić opinię o moim wynalazku. Bo musi pan wiedzieć, mój drogi Marat, że znalazłem bardzo zdolnego cieślę nazwiskiem Guidon, który zbuduje moją maszynę we właściwych wymiarach... Drogie to! Zażądał pięciu tysięcy pięciuset franków, ale żadna ofiara nie jest zbyt wielka, gdy idzie o dobro ludzkości... Za dwa miesiące wszystko będzie gotowe, przyjacielu, można ją będzie wypróbować. Potem zaproponuję ją Zgromadzeniu Narodowemu. Mam nadzieję, że pan poprze moją propozycję w swoim świetnym piśmie, choć, prawdę mówiąc maszyna reklamuje się sama, o czym się pan zaraz osobiście przekona. Kilka

wierszy W „Przyjacielu Ludu” jednak nie zaszkodzi.

— Może pan być spokojny! Poświęcę jej nie kilka wierszy, lecz cały numer.

— Nazbyt pan łaskaw, mój drogi Marat, ale jak się to mówi, nie chcę sprzedawać kota w worku.

I wyciągnął z kieszeni drugie pudełko, nieco mniejsze od pierwszego, z którego dobiegał jakiś chrobot, jakby mieściło się w nim jedno lub kilka zwierzątek zniecierpliwionych zamknięciem.

— Cóż pan ma w tym pudełku? — zapytał Marat.

— Zaraz pan zobaczy — odpowiedział doktor. Marat sięgnął ręką po pudełko.

— Uwaga — zawołał podniecony doktor — bo jeszcze nam uciekną i nie będziemy mogli ich złapać! To myszy, którym zaraz zetniemy głowy... Ale cóż to, doktorze Gilbert, chce nas pan opuścić?...

— Niestety tak, mój panie — odparł Gilbert — z wielkim żalem muszę jednak odejść. Mój syn dziś wieczór miał wypadek: potrącony przez konia odniósł ranę, ale przygarnął go, puścił krew i opatrzył doktor Marat, który i mnie niegdyś ocalił życie w podobnych okolicznościach i któremu ponownie składam gorące podziękowania. Dziecku potrzebne jest czyste łóżko, odpoczynek i opieka. Nie mogę więc uczestniczyć w waszym interesującym eksperymencie.

— Ale będzie pan obecny przy eksperymencie, jaki przeprowadzimy już na wielką skalę za dwa miesiące, prawda, doktorze? Przyrzeka mi pan?

— Przyrzekam.

— Słowo?

— Słowo.

— Doktorze — rzekł Marat — nie muszę chyba prosić pana o dyskrecję co do miejsca mego schronienia?

— Och, panie...

— Bo gdyby pański przyjaciel La Fayette wyszedł moją kryjówkę, kazałby mnie zastrzelić jak psa lub powiesić jak złodzieja.

— Zastrzelić! Powiesić! — zawołał Guillotin. — Nareszcie skończą się te metody ludożerców. Odtąd śmierć będzie lekka, łatwa i natychmiastowa! Nawet zniechęceni do życia starcy, pragnący umrzeć jako mędrcy i filozofowie, będą ją woleć od śmierci naturalnej! Chodź, drogi Marat, zaraz to pan zobaczy!

Nie zważając już na Gilberta, Guillotin otworzył większe pudło i zaczął ustawiać swoją maszynę na stole, Marat zaś obserwował operację z zapałem równym ciekawości.

Gilbert tymczasem wziął na ręce śpiącego Sebastiana i skierował się do wyjścia odprowadzany przez Albertynę, która starannie zamknęła za nim drzwi. Znalazłszy się na ulicy poczuł, że twarz ocieka mu potem, który w chłodzie nocy lodowacieje na czole.

— Boże mój — szepnął — co będzie z tym miastem, jeśli jego piwnice kryją może pięciuset podobnych dobroczyńców jak ci, których przed chwilą widziałem przy pracy, a których dobre uczynki pewnego dnia objawią się w pełnym świetle?...

XV KATARZYNA

Od ulicy Sourdiere do mieszkania Gilberta przy Saint-Honoré było bardzo blisko. Mieściło się ono w domu położonym obok kościoła Wniebowstąpienia, na wprost zakładu stolarskiego niejakiego Duplaya.

Zimno i ruch obudziły Sebastiana. Chciał pójść o własnych siłach, lecz ojciec się temu sprzeciwił i dalej niósł go na rękach. Stanąwszy na miejscu, doktor uwolnił się na chwilę od Sebastiana i nie chcąc zbyt długo czekać na dozorcę, mocno zastukał w bramę. Niebawem też dobiegł go odgłos ciężkich, lecz szybkich kroków.

— Czy to pan, panie Gilbert? — zapytał ktoś zza bramy.

— Przecież to głos Pitou! — powiedział Sebastian.

— Och, dzięki Bogu! — zawołał Pitou otwierając bramę. — Sebastian się znalazł! — A odwracając się ku schodom, gdzie w mroku majaczył płomyk świecy, zawołał: — Panie Billot! Panie Billot! Sebastian się znalazł. Mam nadzieję, że obyło się bez wypadków: Prawda, panie Gilbert?

— Przynajmniej bez ciężkich — odparł doktor. — Chodźmy, Sebastianie!

Ku zdziwieniu dozorca, który w koszuli i bawełnianej szlafmicy ukazał się właśnie na progu swojej komórki, Gilbert znowu wziął syna na ręce i zaczął wchodzić po schodach. Poprzedzał go Billot, oświetlając drogę, a za nimi zdążał Pitou.

Doktor przystanął na drugim piętrze. Szeroko otwarte drzwi świadczyły, iż spodziewano się go lada chwila. Ułożył Sebastiana na łóżku.

Pitou był zafrasowany i jakby zalekniony. Widać było, że przebył długą drogę, bo buty, pończochy, spodnie i całe jego ubranie zbryzgane były błotem.

Odproadziwszy zapłakaną Katarzynę do domu, Pitou dowiedział się z ust dziewczyny, że powodem jej udreki był odjazd Izydora de Charny do Paryża. Zgnębiony podwójnie, i jako kochanek, i jako przyjaciel, pożegnał Katarzynę i matkę Billot, płaczącą przy jej łóżku, i ruszył z powrotem do Haramont.

Szedł powoli, wciąż się odwracając, aby ze smutkiem popatrzeć na zagrodę, którą porzucał z ciężkim sercem, dręczony bólem Katarzyny i swoim własnym, tak że do Haramont przybył dopiero o świcie.

Zatroskany usiadł na łóżku z zastygłym wzrokiem i rękoma skrzyżowanymi na kolanach niczym Sekstus, który odnalazł swoją żonę martwą. Wreszcie wstał i budząc się z zadumy, rozejrzał się wokół: na stole, obok zapisanej przez siebie kartki papieru, zauważył inną, pokrytą innym pismem. Podszedł i przeczytał list Sebastiana.

Ku chwale Pitou powiedzieć trzeba, że natychmiast zapomniał o osobistych zgryzotach, myśląc już tylko o niebezpieczeństwach, na jakie mógł być narażony w drodze jego miody przyjaciel.

Po czym nie zważając na to, że chłopiec, wyruszywszy w ciągu nocy, musiał go już znacznie wyprzedzić, Pitou, ufając swoim długim nogom, puścił się w pogoń, pewien, że dopędzi Sebastiana, jeśli ten, nie znalazłszy żadnego środka transportu, odbędzie całą drogę pieszo. Zresztą Sebastian po drodze będzie przystawał — myślał — podczas, gdy on, Pitou, będzie szedł bez przerwy.

Nie zabrał żadnego bagażu. Włożył tylko skórzany pas, jak zwykł to czynić przed każdym długim marszem, wziął pod pachę czterofuntowy bochenek chleba i kawał kielbasy, podróżną

laskę w rękę, i ruszył w drogę.

Normalnym krokiem Pitou robił w godzinę półtorej mili, idąc szybciej — dwie mile. Ponieważ jednak musiał przystawać, aby się czegoś napić, zawiązać sznurowadła i rozpytywać napotkanych ludzi o Sebastiana, potrzebował aż dziesięciu godzin, by dotrzeć do wylotu ulicy Largny przy roгатce Villette. Stąd do mieszkania doktora Gilberta szedł godzinę, przebijając się przez zatory pojazdów. Wszystko razem trwało jedenaście godzin. Wyruszywszy o dziewiątej rano, przybył na miejsce o ósmej wieczorem.

Było to, jak pamiętamy, dokładnie w chwili, gdy Andrée uwoziła Sebastiana z Tuileries, a doktor Gilbert rozmawiał z królem. Pitou nie zastał więc w domu ani doktora Gilberta, ani Sebastiana, zastał natomiast Billota. Ten nic nie słyszał o Sebastianie, nie wiedział też, kiedy wróci Gilbert.

Nieszczęsny Pitou tak był zaniepokojony, że nie przyszło mu nawet do głowy porozmawiać z Billotem o Katarzynie. Biadał nieprzerwanie nad tym, że nie było go w domu, gdy zjawił się Sebastian. Zabrał ze sobą jego list, by w razie potrzeby móc się usprawiedliwić wobec doktora, i wciąż go odczytywał, tak że umiał go już na pamięć.

Dla Pitou i Billota czas płynął wolno i markotnie. Jakże długie były te godziny od ósmej wieczór do drugiej nad ranem! To dużo czasu, sześć godzin! Potrzebował dwa razy tyle, aby przybyć z Villers-Cotterêts do Paryża. O drugiej po północy po raz dziesiąty od chwili przybycia Pitou rozległo się stukanie kołatki.

Za każdym razem Pitou rzucał się na schody, a kiedy już przebył czterdzieści stopni, zjawiał się zawsze w momencie, gdy dozorca pociągał za sznur bramy. Zawsze jednak nadzieja okazywała się zwodnicza: nie było ani Gilberta, ani Sebastiana, więc wolno i ze smutkiem powracał na górę do ojca Billot.

Kiedy wreszcie po raz ostatni, szybciej zbiegł po schodach, jego oczekiwanie zostało nagrodzone, ujrzał bowiem naraz i ojca, i syna.

Gilbert podziękował Pitou, jak poczciwy chłopak na to zasłużył, czyli uściskiem ręki, zdając sobie zaś sprawę, że po przebyciu osiemnastu mil i sześciogodzinnym oczekiwaniu podróży musi odpocząć, życzył mu dobrej nocy i posłał spać.

Pitou, spokojny już o los Sebastiana, uznał, że teraz może się zwierzyć ojcu Billot. Skinął więc na niego i wyszli razem.

Gilbert natomiast nie chciał nikomu powierzyć opieki nad Sebastianem. Obejrzał więc siniec na piersi dziecka, wielokroć przykładając do niej ucho, a upewniwszy się wreszcie, że jego oddech jest równy i spokojny, położył się na sofie obok chłopca, który mimo dość silnej gorączki zaraz usnął.

Niebawem jednak, na myśl, jaki straszny niepokój dręczyć musi Andrée, wezwał służącego i polecił mu natychmiast zanieść na pocztę list, który dotrzeć miał do niej wczesnym rankiem. Zawierał on tych kilka słów:

„Proszę być spokojną, dziecko się odnalazło i czuje się dobrze”.

Nazajutrz z samego rana Billot poprosił o pozwolenie wejścia do pokoju Gilberta. Wyraz jego twarzy był poważny i smutny, natomiast poczciwa fizjonomia Pitou, który ukazał się za nim w drzwiach, promieniowała uśmiechem.

— O co chodzi, przyjacielu, czy coś się stało? — zapytał doktor.

— Stało się to, panie Gilbert, że słusznie pan zrobił zatrzymując mnie tutaj, bo mogłem być użyteczny dla pana i dla kraju. Ale kiedy ja tu siedzę w Paryżu, tam źle się dzieje.

Nie należy jednak sądzić z tych słów, że Pitou zdradził tajemnice Katarzyny i wspominał o jej amorach z Izydorem de Charny. Nie, szlachetna dusza dowódcy Gwardii Narodowej w Haramont odrzucała wszelkie donosicielstwo. Powiedział tylko Billotowi, że zbiory były nędzne, żyto nie

obrodziło, że część zbóż ucierpiała od gradobicia, że stodoły zapełnione są w jednej trzeciej oraz że spotkał Katarzynę na drodze z Villers-Cotterets do Pisseleux.

Billot nie bardzo przejął się nieurodzajem czy też gradobiciem, ale omal sam nie poczuł się źle na wieść o zasłabnięciu Katarzyny. Zacny ojciec Billot wiedział bowiem, że dziewczyna o temperamentie i żywotności Katarzyny nie mdleje bez powodu, i to na środku gościńca.

Zresztą usilnie wypytywał Pitou i choć ten odpowiadał z rezerwą, Billot wciąż kiwał głową mówiąc:

— Co tam, widzę, że najwyższy czas wracać do domu. Wysłuchawszy tych nowin, Gilbert sercem ojca przeczuł, co przeżywa Billot.

— Jedźcie więc, mój drogi Billot, skoro wzywa was gospodarstwo, ziemia i rodzina, nie zapominajcie jednak, że w wypadku, gdyby ojczyzna znalazła się w potrzebie, rozporządzam wami.

— Jedno słówko, panie Gilbert — odrzekł dzielny dzierżawca — a w dwanaście godzin jestem w Paryżu.

Po czym ucałował Sebastiana, który po szczęśliwie spędzonej nocy czuł się już całkiem dobrze, i uściskawszy smukłą i delikatną dłoń Gilberta, Billot wyruszył do domu, który opuścił był na tydzień, nie przypuszczając, że ta nieobecność potrwa aż trzy miesiące.

Za nim podążył Pitou, uwożąc dar Gilberta— dwadzieścia pięć ludwików przeznaczonych na umundurowanie i wyposażenie Gwardii Narodowej w Haramont.

Sebastian pozostał z ojcem.

XVI ROZEJM

Upłynął tydzień od opisanych wypadków i oto wracamy znów do pałacu Tuileries, który odąd będzie głównym teatrem nadciągających katastrof.

O Tuileries! Fatalny spadek przekazany przez królową nocy Świętego Bartłomieja, cudzoziemkę Katarzynę Medycejską; pałacu urojeń, który pociągasz, by pochłonąć; jakie fatum kryje się za twoim szerokim portalem, że giną tu wszyscy ci koronowani szaleńcy zwani królami, co rzeczywiście wierzą, iż uświęca ich dopiero noc spędzona pod twymi królobójczymi stropami, którzy opuszczają twe podwoje albo jako martwi bez głów, albo jako zbiegowie bez korony!

Zapewne w twoich kamieniach, cyzelowanych jak klejnoty Benvenuto Celliniego, tkwi jakiś zły urok, jakiś śmiercionośny talizman kryje się pod twoim progiem. Policz ostatnich królów, jakich gościłeś w swoich murach, i powiedz, coś z nimi zrobił! Spośród pięciu, jednego tylko złożono w grobowcu przodków, jeden poszedł na szafot, zaś trzej inni na wygnanie!

Pewnego dnia całe Zgromadzenie zapragnęło stawie czoło niebezpieczeństwu i zająć miejsce królów, by jako grono wybrańców ludu zasiąść tam, gdzie wcześniej siedzieli wybrańcy monarchii. I natychmiast ogamięte szaleństwem unicestwiło się samo: jednych pożarł szafot, innych pochłonęło wygnanie i osobliwe braterstwo połączyło Ludwika XVI z Robespierre'em, Collota d'Herbois z Napoleonem, Billaud-Varennesa z Karolem X, a Vadiera z Ludwikiem Filipem.

O Tuileries! Tuileries! Zaiste, szaleńcem będzie ten, kto ośmieli się przekroczyć twój próg i wejść tam, gdzie weszli Ludwik XVI, Napoleon, Karol X i Ludwik Filip, albowiem prędzej czy później przejdzie przez te same drzwi.

A przecież, żałobny pałacu, każdy z nich wkroczył pod twe sklepienie wśród oklasków ludu, a twój podwójny balkon widział ich, jak kolejno ślali uśmiechy, wierząc w życzliwość tłumu, który wiwatował i wznosił okrzyki. Dlatego też każdy z nich ledwie zasiadł pod królewskim baldachimem, zaczynał zabiegać o własne dobro miast pracować dla dobra ludu, co lud pewnego dnia dostrzegał, a wtedy wyrzucał go za drzwi jak niewiernego dzierzawcę lub karał jak nieuczciwego pełnomocnika.

Tak więc nazajutrz po owym posepnym pochodzie 6 października, odbytym wśród krzyków, krwi i błota, blade słońce wzeszło nad dziedzińcem Tuileries, wypełnionym ciżbą podnieconą powrotem króla i spragnioną jego widoku.

Przez cały dzień Ludwik XVI przyjmował oficjalne delegacje, tłum zaś wyczekiwał na placu, wypatrywał króla, czatował nań przy oknach. Ten i ów, sądząc, że go dostrzeżę, rzucał okrzyk radości i mówił do sąsiada: „Widzicie go! Widzicie! Oto król!”

W południe władca musiał ukazać się na balkonie, witany brawami i jednogłośnym aplauzem. Wieczorem musiał zejść do ogrodu i wtedy powitały go nie tylko okrzyki podziwu i oklaski, ale także rozczulenie i łzy.

Księżniczka Elżbieta, młoda sercem, naiwna i pobożna, powiedziała bratu, wskazując na wiwatujący lud:

— Wydaje mi się jednak, że nie trudno rządzić takimi ludźmi.

Jej apartament mieścił się na parterze. Wieczorem jadła kolację przy otwartym oknie, aby wszyscy ją widzieli.

Tłum klaskał i pozdrawiał ją. Kobiety podnosiły dzieci na wysokość okien, każąc im posyłać całusy dostojnej pani i mówić, że jest bardzo piękna. A dzieci powtarzały: „Jesteś piękna, o

pani”, i małymi krągłymi rączkami posyłały niezliczone całusy.

Wszyscy mówili: „Rewolucja jest skończona; król wyzwolony został z pęt dworaków i doradców; zły urok, zwany Wersalem, który więził królewską parę w świecie automatów, posągów i strzyżonych cisów — rozwiany. Dzięki Bogu, króla przywrócono życiu i prawdzie, czyli rzeczywistej naturze człowieka. Wracaj, dostojny panie, wracaj do nas! W dotychczasowym otoczeniu mogłeś jedynie czynić źle; dzisiaj, wśród nas, wśród swego ludu, możesz czynić dobrze!”

Często masy, a nawet jednostki myślą się co do swojej istoty, lecz także co do tego, kim się wkrótce staną. Strach zrodzony 5 i 6 października zwrócił królowi nie tylko wiele serc, lecz także zmienił wiele umysłów i postaw dyktowanych osobistym interesem. Owe krzyki w ciemnościach, budzenie wśród nocy, ognie, rzucające żalobne cienie na marmurowym dziedzińcu — wszystko to zadziało silnie na wyobraźnię uczciwych ludzi. Zgromadzenie ogarnął nawet większy strach o króla niż o siebie samych. Sądziło ono jeszcze wówczas, iż jest zależne od króla. Nie minęło sześć miesięcy, a uświadomiono sobie, że to król zależny jest od Zgromadzenia. Stu pięćdziesięciu jego członków zażądało paszportów, Maunier i Lally — syn tego Lally, co zginął na placu Greve — uciekli.

Dwaj najpopularniejsi ludzie we Francji, La Fayette i Mirabeau, wrócili do Paryża jako rojaliści.

Mirabeau rzekł do La Fayette’a: „Połączmy się i ratujmy króla!”

Na nieszczęście La Fayette, człowiek na wskroś uczciwy, lecz umysł ograniczony, gardził charakterem Mirabeau i nie doceniał jego geniuszu.

Udał się jedynie do księcia Orleanu.

O Jego Królewskiej Wysokości mówiono wiele różnych rzeczy! Między innymi, że owej pamiętnej nocy widziano go w kapeluszu nasuniętym na oczy i z laską w ręku, jak uwijał się, podburzając tłum na marmurowym dziedzińcu i podzegał do grabienia pałacu, w nadziei, że grabież zmieni się w morderstwo.

Mirabeau był całkowicie po stronie księcia Orleanu.

Zamiast porozumieć się z Mirabeau, La Fayette sam skłonił księcia Orleanu, by opuścił Paryż. Księżę protestował, walczył, opierał się, ale właściwym królem był La Fayette, więc musiał się poddać.

— A kiedy będę mógł powrócić? — zapytał księżę.

— Kiedy powiem, że czas wrócić, mości księżę — odparł La Fayette.

— A jeśli będę się nudził i wrócę bez pańskiego zezwolenia? — zapytał wyniośle księżę.

— Mam nadzieję, że nazajutrz po powrocie Wasza Wysokość uczyni mi zaszczyt i dotrzyma mi placu.

Księżę Orleanu wyjechał i powrócił dopiero wezwany.

Przed 6 października La Fayette był w pewnym stopniu rojalistą, ale po 6 października stał się nim naprawdę i szczerze uratował królową i obronił króla.

Bardziej jest się związanym poprzez czynienie usług niż poprzez ich otrzymywanie. Widać w sercu człowieka więcej jest dumy niż wdzięczności.

Król i księżniczka Elżbieta czuli, że gdzieś poza, a może i ponad ludem kryje się wrogi, obcy ludowi żywioł, coś niby pełen nienawiści i mściwości gniew tygrysa, który nawet głaskany ryczy, i byli tym przecuciem naprawdę poruszeni.

Nie można tego powiedzieć o Marii Antoninie. Zły nastrój, w jakim było serce kobiety, wpływał niekorzystnie na umysł królowej. Jej łzy były łzami goryczy, bólu, zazdrości. Tyleż odnosiły się do pana de Charny, o którym wiedziała, że wymyka się z jej ramion, jak i do berła, które wyslizgiwało się z jej rąk.

Patrzyła więc na lud i słuchała jego okrzyków z oschłym sercem i rozdrażnionym umysłem. Była młodsza od księżniczki Elżbiety, albo raczej w tym samym wieku, ale dziewictwo duszy i ciała okrywało Elżbietę szatą niewinności i świeżości, której jeszcze nie utraciła, podczas gdy namiętności królowej, nienawiść i miłość sprawiły, że zaciśnięte jej wargi pobladły, ręce pozółkły jak stara kość słoniowa, a pod oczyma zarysowały się fioletowe cienie, zdradzające głęboki, nieuleczalny ból.

Królowa była chora, ciężko chora, a jej choroba była nieuleczalna, gdyż jedynym na nią lekarstwem mogło być szczęście i spokój, a biedna Maria Antonina czuła, że te już nigdy nie powrócą.

Tak więc pośród tych wszystkich manifestacji, okrzyków i wiwatów, kiedy król wyciągał ręce do ludzi, księżniczka Elżbieta uśmiechała się przez łzy do kobiet i małych dzieci, królowa czuła, że jej oczy, zwilżone łzami własnej boleści, stają się suche wobec radości tłumów.

Zgłosili się do niej zdobywcy Bastylii, ale odmówiła im audiencji.

Potem stawily się kobiety z hal targowych. Przyjęła je, ale na odległość, odgradzona olbrzymimi kosztami; zasłaniały ją także damy dworu, które niby straż przednia chroniły królową od przykrych kontaktów.

Stanowiło to wielki błąd ze strony Marii Antoniny; Kobiety z hal były rojalistkami. Wiele z nich potępiło dzień 6 października.

Na audiencji przemówily nawet do niej, bowiem w tego rodzaju delegacjach zawsze znajdują się mówcy. Jedna z kobiet, odważniejsza niż inne, wystąpiła w roli doradcy.

— Mości królowo — powiedziała ta kobieta — proszę mi pozwolić wypowiedzieć swoje zdanie, proste i szczere, bo płynące z serca.

Królowa przyzwoliła skinieniem głowy, tak jednak niedostrzegalnym, że kobieta go nie zauważyła.

— Nie odpowiadasz, Pani?— rzekła. — Nie szkodzi! Mimo to powiem. Oto jesteś wśród nas, wśród swego ludu, czyli w łonie prawdziwej rodziny. Powinnaś, Pani, oddalić teraz od siebie wszystkich tych dworaków, którzy działają na zgubę króla, i chociaż trochę pokochać biednych paryżan, bo przez dwadzieścia lat, jakie spędziłaś we Francji, nie widzieli cię więcej niż cztery razy.

— Moja pani— odrzekła oschle królowa — mówi pani tak, bo nie zna mego serca. Kochałam was w Wersalu i tak samo będę was kochała w Paryżu.

Niewielka to była obietnica. Dlatego też inną mówczyni podjęła:

— Tak, tak, kochałaś nas, Pani, w Wersalu! Pewnie z miłości chciałaś 14 lipca zarządzić oblężenie i bombardowanie miasta? 6 października z miłości chciałaś, Pani, uciec w stronę granicy pod pretekstem, że w środku nocy zapagnęłaś rzekomo udać się do Trianon?

— Tak wam powiedziano — odrzekła królowa — a wyście uwierzyli; w tym właśnie tkwi nieszczęście ludu i nieszczęście króla!

A przecież ta biedna kobieta — czy raczej biedna królowa, ogarnięta pychą i dręczona miłosnym zawodem, w tej chwili znalazła szczęśliwą odpowiedź.

Jedna z kobiet, Alzatka z pochodzenia, zwróciła się do niej po niemiecku.

— Pani — odparła królowa — stałam się tak dalece Francuzką, że zapomniałam już ojczystej mowy.

Można to było ładniej powiedzieć, niestety, zostało to powiedziane źle.

Kobiety z hal mogły odejść wołając z całego serca: „Niech żyje królowa!” Odeszły jednak bez gromkich okrzyków, mrużąc coś przez zęby.

Wieczorem, przy rodzinnym stole, by się wzajemnie pocieszyć i podtrzymać na duchu, król i księżniczka Elżbieta roztrząsali wszystko, co w zachowaniu ludu wydało im się dobre i

krzepiące. Królowa mogła dorzucić tylko jedno — powiedzenie delfina, które i później wielokrotnie powtarzała.

Usłyszawszy hałas wszczęty przez kobiety z hał w apartamencie królowej, biedny malec przybiegł do matki i tuląc się do niej zawołał:

— Na Boga, mamusiu, czy dzisiaj jest jeszcze wczoraj?... Jak wszystkie dzieci dumny z tego, że jest przedmiotem rozmowy, następca podszedł do króla i spojrzał nań z powagą:

— Czego chcesz, Ludwiku? — zapytał król.

— Ojczy, chciałbym zapytać o bardzo poważną sprawę.

— O co chcesz zapytać — powiedział król, przytrzymując syna kolanami. — Mów śmiało!

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego twój lud, który tak cię kocha, nagle się na ciebie rozgniewał i coś ty zrobił, że tak go rozżłościłeś?

— Ludwiku! — szepnęła matka tonem wyrzutu.

— Pozwolisz, Pani, że mu odpowiem — rzekł król. Księżniczka Elżbieta uśmiechnęła się do dziecka.

Ludwik XVI posadził syna na kolanach i upraszając sprawy, tak, aby były dlań zrozumiałe, powiedział:

— Synu, chciałem uczynić lud szczęśliwszym, niż był dotąd. Potrzeba mi było pieniędzy na opłacenie wydatków wojennych. Zwróciłem się o to do mego ludu, jak to zawsze robili królowie, moi poprzednicy. Sędziowie, którzy tworzą mój parlament, sprzeciwili się temu, powiadając, że tylko sam lud, w drodze głosowania, ma prawo przyznać mi te pieniądze. Zgromadziłem w Wersalu pierwszych obywateli wszystkich miast, najbardziej szanowanych ze względu na urodzenie, majątek i talenty — zgromadzenie to nosi nazwę

Stanów Generalnych. Zebrawszy się, zażądali ode mnie rzeczy, na które nie mogłem się zgodzić, ani ze względu na siebie, ani ze względu na ciebie, mojego następcę. Znaleźli się jednak źli ludzie, którzy podburzyli lud. Wybryki, jakich byliśmy świadkami w ostatnich dniach, to ich dzieło!... Ale, synu, nie trzeba mieć tego za złe ludowi!

Słyszając to ostatnie zdanie Maria Antonina zacisnęła wargi. Oczywiście było, że obarczona wychowaniem delfina, nie zamierza chować go w duchu wybaczenia win.

Nazajutrz władze municypalne Paryża i Gwardia Narodowa zaprosiły królową na widowisko, aby obecność królewskiej pary zaświadczyła, iż z przyjemnością rezydują oni w stolicy.

Królowa odpowiedziała, że chętnie uczyniłaby zadość prośbie miasta Paryża, ale potrzebuje czasu, aby zapomnieć o minionych dniach. Lud już o nich zapomniał i zdziwił się bardzo, że ktoś jeszcze pamięta.

Królowa miała satysfakcję na wieść, że jej wróg, książę Orleanu, usunięty został z Paryża, ale bynajmniej nie okazała wdzięczności La Fayette'owi, sądząc, że zesłanie księcia to osobista sprawa między nim a generałem. Uwierzyła w to lub udawała, że wierzy, nie chcąc mu niczego zawdzięczać.

Jeśli idzie o urazy i wyniosłość, była prawdziwą księżniczką domu lotaryńskiego, chciała jedynie zwyciężać i mścić się.

Podzielała zdanie Henryki Angielskiej, która podczas burzy na pełnym morzu powiedziała: „Królowie nie mogą utonąć”.

Czyż jej matka, Maria Teresa, nie była bliższa śmierci, kiedy wzięła na ręce dziecko, aby je pokazać wiernym Węgom?

Wspomnienie tego bohaterstwa wywarło duży wpływ na córkę. Wpływ ten był jednak fatalny, gdyż pamiętając o tym, królowa nie dostrzegała istotnej różnicy: Maria Teresa miała lud po swojej stronie, Maria Antonina miała go przeciwko sobie.

Poza tym królowa była przede wszystkim kobietą i może lepiej umiałaby ocenić sytuację,

gdyby jej serce było spokojniejsze. Może mniej nienawidziłaby ludu, gdyby Charny bardziej ją kochał!

Oto co działo się w Tuileries w ciągu tych kilku dni, kiedy rewolucja jakby przyczała się na chwilę. Rozpętane namiętności przycichły i jakby podczas zawieszenia broni — przyjaciele z jednej, a wrogowie z drugiej strony rozpoznawali swoją pozycję, aby przy ponownym podjęciu działań wojennych wszcząć nową, jeszcze zacieklejszą i bardziej morderczą walkę.

Walka ta była tym prawdopodobniejsza, a bitwa tym bardziej nieunikniona, że przedstawiliśmy czytelnikom nie tylko to, co można było dostrzec na powierzchni społeczeństwa, ale także to, co kryło się w jego głębiach.

XVII PORTRET KAROLA I

W ciągu kilku minionych dni, kiedy nowi gospodarze urządzali się i przyzwyczajali do pałacu Tuileries, król nie wzywał Gilberta, on sam zaś nie chciał się narzucać; doczekał więc do dnia, kiedy wypadło mu pełnić służbę, chcąc przysłonić obowiązkiem to, co byłoby wyrazem oddania.

W przedpokojach króla pełnili służbę ci sami ludzie co w Wersalu, Gilberta znano więc i w Tuileries.

Zresztą król, choć nie potrzebował porad lekarza, nie zapomniał o nim: Ludwik XVI miał zbyt wyraźne poczucie sprawiedliwości, by mimo uprzedzeń królowej nie odróżnić przyjaciół od wrogów. Wyczuwał zresztą trafnie, że jeśli Gilbert nie był przyjacielem władcy, to w każdym razie zwolennikiem władzy królewskiej.

Przypomniawszy więc sobie, że to dzień służby Gilberta, nakazał, by go wprowadzono, gdy tylko się zjawi. Ledwie więc doktor przekroczył próg, pełniący służbę lokaj wyszedł mu naprzeciw i zaprowadził do królewskiej sypialni.

Król przechadzał się po pokoju tak zaprzątnięty swoimi myślami, że nie zwrócił uwagi na doktora i nie usłyszał nawet, gdy go zapowiedziano.

Gilbert przystanął na progu, nieruchomy i milczący, czekając, aż król zauważy jego obecność i pierwszy doń przemówi.

Uwagę króla pochłaniał — co łatwo było spostrzec, gdyż od czasu do czasu przed nim przystawał — wielki portret Karola I pędzla van Dycka, ten sam, który dziś wisi w Luwrze, a który pewien Anglik ofiarował się pokryć na całej powierzchni złotymi monetami, gdyby zechciano mu go za nie sprzedać.

Znacie ten portret, jeśli nie z oryginału, to przynajmniej z reprodukcji. Karol I stoi w cieniu kilku wątych i rzadkich drzew, jakie zwykle rosną na plażach. Paź trzyma jego konia okrytego czaprakiem. W głębi widać morze.

Twarz króla tchnie melancholią. O czym myśli ten Stuart, którego poprzedniczką na tronie była piękna i nieszczęsna Maria, a którego następcą będzie Jakub II?

Albo raczej, o czym myślał malarz, ów genialny człowiek, który umiał przelać na twarz króla nadmiar swego geniuszu?

O czym myślał, malując go dużo wcześniej tak, jak wyglądał u kresu swojej ucieczki, w postaci zwykłego jeźdźca, który gotów jest podjąć walkę przeciw stronnictwu okrągłych głów. O czym myślał malując go w takiej pozie, na brzegu burzliwego Morza Północnego, gotowego zarówno do ataku jak do ucieczki.

Czy odwracając do góry nogami obraz, który van Dyck przepoił głębokim smutkiem, nie można by dostrzec na płótnie zarysu szafotu White Hall?

Obraz musiał przemawiać bardzo wyraźnie, skoro odebrała go natura tak mało uduchowiona jak Ludwik XVI, skoro zachmurzył mu czoło niby przesuwająca się chmura, co rzuca cień na zielone łąki i złote łany zbóż.

Trzy razy król przerywał i trzykrotnie z westchnieniem podejmował przechadzkę, która nieodwołalnie i zawsze prowadziła go przed obraz.

Wreszcie Gilbert uświadomił sobie, że w pewnych okolicznościach widz jest mniej niedyskretny, gdy objawi swoją obecność, niż gdy pozostaje niemy.

Poruszył się więc, na co Ludwik XVI drgnął i odwrócił się.

— Ach, to pan, doktorze. Proszę, proszę, rad jestem, że pana widzę.

Gilbert zbliżył się z ukłonem.

— Dawno pan tu jest, doktorze?

— Od kilku minut, Najjaśniejszy Panie.

— Ach! — i król znowu popadł w zadumę.

Po krótkiej chwili, wskazując na arcydzieło van Dycka zapytał:

— Doktorze, czy pan zna ten portret?

— Tak, Sire.

— Gdzie go pan widział?

— Jako dziecko, u pani du Barry, ale choć byłem wtedy mały, portret zrobił na mnie niezatarte wrażenie.

— Tak, u pani du Barry, to się zgadza — szepnął Ludwik XVI. A po krótkim milczeniu dodał:

— A zna pan historię tego portretu, doktorze?

— Czy Wasza Królewska Mość mówi o historii króla, którego przedstawia, czy o dziejach samego portretu?

— Mówię o dziejach portretu.

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Wiem tylko, że został namalowany w Londynie około 1645 lub 1646 roku. To wszystko, co mogę powiedzieć, ale nie wiem, jaką drogą dostał się do Francji ani skąd się wziął tutaj, w komnacie Waszej Królewskiej Mości.

— Zaraz panu opowiem, jak dostał się do Francji, ale nie wiem, skąd się wziął w moim pokoju.

Gilbert spojrział ze zdziwieniem na Ludwika XVI.

— Jak dostał się do Francji? — powtórzył król. — Nie powiem panu w tej sprawie nic nowego ani istotnego, natomiast wiele, jeśli chodzi o szczegóły. I zrozumie pan, czemu przystaję przed tym portretem i o czym wtedy myślę.

Gilbert skłonił się na znak, że słucha uważnie.

— Prawie trzydzieści lat temu był we Francji gabinet fatalny dla kraju, a zwłaszcza dla mnie — tu Ludwik XVI westchnął na wspomnienie ojca, który w jego mniemaniu został otruty za sprawą Austrii. — Kierował nim pan de Choiseul. Postanowiono zastąpić go przez nowy rząd d'Aiguillona i Maupeou, wymierzając tym samym cios parlamentom. Jednakże zdławienie parlamentów było działaniem, które przerażało mego przodka, króla Ludwika XV.

Do zdławienia parlamentów potrzeba było woli, którą on już utracił. Ten starzec był szczątkiem człowieka; na to, by się odrodził, pozostawał tylko jeden sposób: należało zamknąć haniebny harem, zwany Parc-aux-Cerfs, który kosztował Francję fortunę i podkopał dobre imię monarchii. Zamiast młodych dziewcząt, wśród których król tracił resztki męskości, Ludwikowi konieczna była jedna kochanka, nie posiadająca dużego wpływu na wytyczenie jakiegś politycznej linii, ale która miałaby na tyle dobrą pamięć, by nieustannie powtarzać mu wyuczoną lekcję. Stary marszałek Richelieu wiedział, gdzie szukać takiej kobiety i znalazł ją. Pan ją znał, doktorze, bo przed chwilą wspomniał pan, że u niej właśnie widział ten portret. Gilbert znów się skłonił.

— Nie lubiliśmy tej kobiety, ani królowa, ani ja! Królowa mniej może niż ja, gdyż jako Austriaczka, wdrożona przez Marię Teresę do wielkiej polityki europejskiej, której ośrodkiem była Austria, uznała, że przyjście pana d'Aiguillon jest równoznaczne z upadkiem jej przyjaciela, pana de Choiseul. Nie lubiliśmy jej, powiadam, a jednak muszę oddać jej sprawiedliwość, że niwecząc to, co zastała, działała zgodnie z moimi osobistymi życzeniami, a prawdę mówiąc, także dla ogólnego dobra. Niezwykle zręczna aktorka! Cudownie grała swoją rolę. Zdziwiła Ludwika XV poufałą śmiałością, nie znaną dotąd na królewskim dworze. Bawiła go kpiąc sobie z niego, przywróciła mu męskość, każąc mu w nią wierzyć...

Król urwał nagle, jak gdyby wyrzucał sobie, że w ten sposób mówi o swoim przodku wobec

człowieka obcego, ale spojrzawszy na jasną i otwartą twarz Gilberta uznał, że człowiekowi, który go tak dobrze rozumie, powiedzieć może wszystko.

Gilbert zaś odgadł, co dzieje się w umyśle króla, i cierpliwie Czekał, nie zadając pytań, nie spuszczać oczu pod badawczym spojrzeniem Ludwika XVI.

— Może nie powinienem tego mówić — podjął Ludwik XVI, prostując się z nie pozbawionym szlachetności gestem, który nie był mu właściwy — gdyż są to moje najtajniejsze myśli, a król powinien obnażać serce jedynie wobec tych, w których sercu może czytać. Czy odwzajemni mi się pan, panie Gilbert? I jeśli król Francji mówi panu wszystko, co myśli, to czy pan również powie mu wszystko?

— Sire — odrzekł Gilbert — przysięgam, że jeśli Wasza Królewska Mość uczyni mi ten zaszczyt, odpłacę tym samym. Lekarz ma pieczę nad ciałem jak kapłan nad duszą, ale nieprzenikniony i milczący dla innych, zatajanie prawdy przed królem uważałbym za zbrodnię.

— A zatem, panie Gilbert, nigdy żadnej niedyskrecji?

— Najjaśniejszy Panie, nawet gdybyś mi oświadczył, że za kwadrans z królewskiego rozkazu będę stracony, nie uważałbym, że mam prawo uciec, póki byś nie zawołał: „uciekaj”.

— Dobrze, że pan mi to mówi, panie Gilbert. Wobec najlepszych przyjaciół, nawet wobec królowej, mówię najczęściej bardzo cicho. Wobec pana będę głośno myślał.

I ciągnął dalej:

— Otóż ta kobieta, która wiedziała, że po Ludwiku XV spodziewać się można jedynie królewskich zachcianek, nie opuszczała go nigdy, z każdej jego zachcianki pragnąc wyciągnąć korzyść. Towarzyszyła mu na radzie królewskiej i pochylała się nad jego fotelem. W obecności kanclerza, poważnych osobistości i starych dostojników sądowych kładła się u jego stóp, mizdrząc jak małpka i paplając jak papuga, w dzień i w nocy podsycala w nim królewską godność. Ale tego było mało i ta dziwna egeria nic by nie wskórała, gdyby pan Richelieu nie wpadł na pomysł, by namacalnie poprzeć jej paplaninę. Pod pretekstem, że paż, którego widzimy na tym obrazie, nazywał się Barry, kupiono obraz dla niej, jakby to był obraz rodzinny. Ta pełna melancholii twarz, która przeczuwa dzień 30 stycznia 1649 roku, w buduarze tej dziewczki słyszała jej bezwstydną wybuchy śmiechu, widziała jej lubieżne wyczyny. Oto do czego służył jej ten obraz: śmiejąc się brała Ludwika XV za głowę, obracała ją ku Karolowi I i mówiła: „Patrz, Francjo, oto jest król, któremu ścięto głowę, bo był słaby wobec swego parlamentu. Certuj się więc dalej ze swoim!” Ludwik XV rozpędził parlament i spokojnie umarł na tronie. Wówczas wygnaliśmy tę kobietę, której powinniśmy byli okazać więcej wyrozumiałości. Obraz pozostał na strychach Wersalu i nigdy mi nawet na myśl nie przyszło zapytać, co się z nim stało... Nie wiem, dlaczego teraz się odnalazł. Kto kazał go tu przynieść? Dlaczego idzie za mną, albo raczej dlaczego mnie prześladowuje? — I smutno pokiwawszy głową Ludwik XVI zapytał: — Czy w tym wszystkim nie kryje się jakieś fatum?

— Fatum, Sire, jeśli portret nic ci nie mówi. Opatrzność, jeśli do ciebie przemawia.

— Jakże taki portret może nie przemawiać do władcy znajdującego się w mojej sytuacji, doktorze?

— Czy pozwoliwszy mi mówić prawdę, Wasza Królewska Mość pozwoli mi zadać kilka pytań?

Po chwili wahania Ludwik XVI rzekł:

— Pytaj, doktorze.

— Co mówi ten portret Waszej Królewskiej Mości?

— Mówi mi, że Karol I stracił głowę, ponieważ wypowiedział wojnę swemu ludowi, a Jakub II stracił tron, bo odwrócił się od swego ludu.

— W takim razie, Najjaśniejszy Panie, portret ten, tak jak ja, mówi prawdę.

— To znaczy?... — zapytał król, patrząc badawczo na Gilberta.

— Skoro wolno mi zadawać pytania, zapytam, co król odpowiada portretowi, który przemawia doń tak lojalnie?

— Panie Gilbert, daję panu słowo szlachcica, że nic jeszcze nie postanowiłem: wszystko zależy od okoliczności.

— Lud boi się, aby król nie powziął myśli wypowiedzenia mu wojny.

Ludwik XVI zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, nie, aby móc wojować z własnym ludem, musiałbym mieć poparcie zagranicy, a zbyt dobrze znam obecną sytuację w Europie, by jej zaufać. Król pruski proponuje mi, że wkroczy do Francji na czele stu tysięcy ludzi, ale ja wiem, jaki duch intrygi i ambicji nurtuje tę małą monarchię, która pragnie stać się wielkim królestwem i wszędzie sieje zamęt w nadziei, że w tym zamęcie uda jej się podbój jakiegoś nowego Śląska. Austria ze swej strony również oddaje do mojej dyspozycji sto tysięcy ludzi, nie lubię jednak mego szwagra Leopolda, dwulicowego Janusa i filozofującego bigota, którego matka, Maria Teresa, kazała otruć mego ojca. Mój brat d'Artois proponuje mi pomoc Sardynii i Hiszpanii, ale nie ufam tym dwóm mocarstwom, jeśli przewodzi im mój brat d'Artois. Jest przy nim stale pan de Calonne, najbardziej zażarty wróg królowej, ten sam, który zaopatrzył pamflet pani de la Motte — widziałem rękopis — w adnotacje wymierzone przeciw nam w związku z plugawą sprawą naszyjnika. Na przedostatniej radzie była mowa o tym, aby mnie złożyć i mianować regenta, którym prawdopodobnie zostałby mój drugi wielce kochany brat, pan hrabia Prowansji. Na ostatnim posiedzeniu rady pan de Condé, mój kuzyn, zaproponował, że wkroczy do Francji i pomaszeruje na Lyon, jeśli cokolwiek miałoby się przytrafić królowi! Jeśli zaś idzie o Katarzynę Wielką, to znów inna sprawa: ona ogranicza się do rad — pojmuję pan chyba, że ona siedzi przy suto zastawionym stole i pożera Polskę; nie może więc wstać, póki nie skończy posiłku. Ona daje mi radę, która ma być wzniosła, a jest tylko śmieszna, zwłaszcza po tym, co zaszło w ostatnich dniach. „Królowie — powiada — winni iść swoją drogą, nie przejmując się wrzaskiem ludu, tak jak księżyc kroczy po swojej orbicie, nie przejmując się szczekaniem psów.” Podobno rosyjskie psy zadowolają się szczekaniem; niechby zapytała Deshutteśa i Varicourta, czy nasze psy nie gryzą.

— Lud boi się, aby król nie powziął myśli o ucieczce, o porzuceniu Francji...

Król wahał się z odpowiedzią.

— Najjaśniejszy Panie — podjął Gilbert z uśmiechem — wiem, że nie należy brać dosłownie królewskiego przyzwolenia. Widzę, że jestem niedyskretny, ale przecież moje pytania są jedynie wyrazem lęku.

Król położył dłoń na ramieniu Gilberta.

— Doktorze, winienem panu prawdę i powiem ją otwarcie. Owszem, była o tym mowa; tak, proponowano mi ucieczkę; zdaniem wielu moich lojalnych sług powinienem uciec. Ale owej nocy 6 października była taka chwila, kiedy w oczekiwaniu śmierci tuląc dwoje naszych dzieci królowa płakała w moich ramionach i wymogła na mnie przysięgę, że nigdy nie ucieknę sam, że wyjedziemy wszyscy razem, by razem ocaleć lub umrzeć. Przysięgłem, mój panie, i dotrzymam słowa. Ponieważ zaś nie wierzę, byśmy mogli uciec wszyscy razem, nie zatrzymani dziesięć razy, nim dotrzemy do granicy — nie uciekniemy.

— Sire — powiedział Gilbert — jestem pełen podziwu dla trafności rozumowania Waszej Królewskiej Mości. Och, czemu cała Francja nie może słyszeć słów, jakie ja w tej chwili słyszę? Jakże złagodziłyby nienawiść, czyhającą na Waszą Królewską Mość! Jakże zmniejszyłyby zagrożenie, które go otacza!

— Nienawiść? — zapytał król. — Sądzi pan, że lud mnie nienawidzi? Zagrożenie! Nie traktując zbyt serio posępnych myśli, jakimi natchnął mnie ten portret, uważam, że największe

niebezpieczeństwa już minęły.

Gilbert spojrzął na króla z wyrazem głębokiej melancholii.

— Nie podziela pan mego zdania, panie Gilbert? — zapytał król.

— Moim zdaniem, Wasza Królewska Mość dopiero rozpoczyna walkę, a 14 lipca i 6 października to zaledwie dwa pierwsze akty strasznego dramatu, jaki Francja odegra w obliczu narodów.

Ludwik XVI pobladł lekko,

— Mam nadzieję, że się pan myli.

— Nie myślę się, Sire.

— Jak i skąd może pan wiedzieć w tej sprawie więcej niż ja, który mam swoją jawną i tajną policję?

— Najjaśniejszy Panie, nie mam wprawdzie ani policji, ani tajnych agentów, ale z racji stanowiska jestem naturalnym pośrednikiem między tym, co sięga nieba, a tym, co kryje się w trzewiach ziemi. Och, Sire, to, czegośmy doświadczyli, jest zaledwie trzęsieniem ziemi. Wypadnie nam. jeszcze zwalczyć ogień, popiół i lawę wulkanu.

— Powiedział pan „zwalczyć”? Czy nie słuszniej byłoby rzec „uciec”?

— Powiedziałem „zwalczyć”, Najjaśniejszy Panie.

— Pan zna moją opinię, gdy chodzi o zagranicę. Nigdy nie wezwę obcych sił do Francji, chyba że — nie powiem moje własne, bo cóż dla mnie znaczy życie, już je złożyłem w ofierze — ale życie mojej żony i dzieci będzie bezpośrednio zagrożone.

— Chciałbym paść do stóp Waszej Królewskiej Mości, aby wyrazić wdzięczność za te słowa i uczucia. Nie, Sire, niepotrzebna jest pomoc zagranicy. Bo i po co, skoro król nie wyczerpał jeszcze swoich własnych możliwości. Boisz się, Najjaśniejszy Panie, że Rewolucja cię pokona?

— Przyznam, że tak.

— Otóż są dwa sposoby ocalenia króla i zarazem Francji.

— Proszę je przedstawić, a przysłuży się pan i królowi, i Francji.

— Pierwszy, Sire, to stanąć na czele Rewolucji i pokierować nią.

— Oni mnie ze sobą pociągną, panie Gilbert, a ja nie chcę iść tam, gdzie oni idą.

— Drugi zaś — to założyć Rewolucji wędzidło na tyle mocne, by ją poskromić.

— Jak pan określi to wędzidło?

— Słowami: popularność i geniusz.

— A kto je wykuje?

— Mirabeau!

Król spojrzął Gilbertowi prosto w oczy, jakby się przesłyszał.

XVIII

MIRABEAU

Gilbert wiedział, że czeka go walka, lecz był do niej przygotowany.

— Mirabeau — powtórzył. — Tak, Mirabeau, Najjaśniejszy Panie, Mirabeau.

Król obrócił się ku portretowi Karola I.

— Co byś powiedział, Karolu Stuarcie — zwrócił się ku pełnemu poezji obrazowi van Dycka — gdyby w chwili, gdy czuleś pod stopami trzęsienie ziemi, zaproponowano ci, abyś oparł się na Cromwellu?

— Karol Stuart byłby odmówił i postąpiłby słusznie — powiedział Gilbert — nie ma bowiem żadnego podobieństwa między Cromwellem a Mirabeau.

— Nie wiem, jak pan pojmuje te sprawy, doktorze — rzekł król. — Dla mnie jednak zdrada nie podlega stopniowaniu. Zdrajca jest zdrajcą i nie widzę różnicy między tym, kto jest nim tylko trochę, a tym, kto jest nim w większym stopniu.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział Gilbert z szacunkiem, ale i niezłomną stanowczością — ani Cromwell, ani Mirabeau nie są zdrajcami!

— Kimże więc są?

— Cromwell był zbuntowanym poddanym, a Mirabeau jest niezadowolonym szlachcicem.

— Niezadowolonym, z czego?

— Ze wszystkiego... ze swego ojca, który zamknął go w zamku If i w baszcie Vincennes, z trybunałów, które skazały go na śmierć, z króla, który nie docenił jego geniuszu i nie docenia go nadal.

— Geniuszem polityka, panie Gilbert — powiedział z ożywieniem król — jest uczciwość.

— Piękna to odpowiedź, Najjaśniejszy Panie, godna Tytusa, Trajana lub Marka Aureliusza, niestety, doświadczenie zadaje jej kłam.

— Jakże to?

— Czy był uczciwym człowiekiem August, który podzielił świat między siebie, Lepidusa i Antoniusza, po czym wygnał Lepidusa, zabił Antoniusza, aby zagarnąć świat dla siebie? Czy był uczciwym człowiekiem Karol Wielki, który wysłał brata Karlomana do klasztoru na pewną śmierć, a chcąc się pozbyć swego wroga Witikinda, człowieka równie niemal wybitnego co on sam, kazał ściąć głowy wszystkim Sasom, którzy okazali się wyżsi od jego miecza? Czy uczciwy był Ludwik XI, który zbuntował się przeciwko własnemu ojcu, aby zrzucić go z tronu, i tak zadręczał biednego Karola VII, że ten z lęku przed otruciem długo przymierał głodem? Czy był uczciwym człowiekiem Richelieu, który po alkowach Luwru i na schodach Pałacu Kardynalskiego knuł spiski, a potem rozwiązywał je na placu de Greve? Czy był uczciwy Mazarin, który zawarł pakt z Protektorem I i nie tylko odmówił Karolowi II pieniędzy i pięciuset ludzi, ale jeszcze wygnał go z Francji? Czy był uczciwy Colbert, który zdradzał, oskarżał i obalił swego protektora Fouqueta, a gdy Fouqueta wtrącono do ciemnicy, skąd nie wyszedł żywy, bezczelny i pyszny Colbert zajął jego ciepły jeszcze fotel? A przecież nie wyrządzili oni wszyscy szkody królom i królewskiej władzy!

— Ależ panie Gilbert, doskonale pan wie, że Mirabeau nie może być po mojej stronie, skoro jest po stronie księcia Orleanu.

— Najjaśniejszy Panie, książę Orleanu jest na wygnaniu, Mirabeau przestał więc być czyimkolwiek stronnikiem.

— Jakże mam zaufać człowiekowi sprzedajnemu?

— Kupując go... Czy nie możesz mu, Panie, dać więcej niż ktokolwiek inny?

— To chciwiec, który zażąda miliona!

— Jeżeli Mirabeau sprzeda się za milion, Sire, będzie oddany. Czy sądzisz, Najjaśniejszy Panie, że jest wart o dwa miliony mniej niż jakiś Polignac?

— Panie Gilbert!

— Król odbiera mi głos — tu Gilbert ukłonił się — więc milczę.

— Nie, przeciwnie, niech pan mówi!

— Już wszystko powiedziałem, Najjaśniejszy Panie.

— Dyskutujmy więc.

— Chętnie. Znam Mirabeau na wylot.

— Pan jest jego przyjacielem.

— Niestety, nie przypadł mi w udziale ten zaszczyt; zresztą pan Mirabeau ma tylko jednego przyjaciela, który równocześnie jest przyjacielem królowej.

— Tak, wiem, hrabia de La Marck. Wypominamy mu to co dzień.

— Wasza Królewska Mość powinien mu zabronić poróżnienia się z nim, i to pod groźbą śmierci.

— A jakież to ciężar może, pańskim zdaniem, rzucić na szalę spraw publicznych szlachciura w rodzaju pana Riguetti de Mirabeau?

— Przede wszystkim, Sire, niech mi wolno będzie powiedzieć, że pan de Mirabeau jest szlachcicem, a nie szlachciurą. Niewielu jest we Francji szlachciców, których rodowód sięga XI wieku, skoro nasi królowie, by mieć jeszcze wokół siebie trochę szlachty, byli tak pobłażliwi, że od tych, którym pozwalali wsiadać do swojej karety, wymagali dowodów szlachectwa nie starszych niż sięgających roku 1399. Nie, Najjaśniejszy Panie, szlachciura nie jest ten, kto pochodzi od Arrighettich z Florencji, kto przybył do Prowansji w następstwie porażki partii gibelinów. Nie jest szlachciurą dlatego, że miał wśród przodków kupca z Marsylii, wiesz bowiem, Sire, że szlachta marsylska, podobnie jak wenecka, posiada przywilej uprawiania handlu, nie uchybiając szlacheckiej godności.

— Rozpustnik — wtrącił król — osławiony kat, nienasycony pożeracz pieniędzy!

— Och, Najjaśniejszy Panie, trzeba brać ludzi takimi, jakimi stworzyła ich natura: przedstawiciele rodu Mirabeau od wieków mają burzliwą i bezładną młodość, ale starzejąc się dojrzewają. W młodości niestety są tacy, jakimi ich maluje Wasza Królewska Mość. Ale jako głowy rodziny stają się bezwzględni, wyniośli i surowi. Król, który by ich nie doceniał, okazałby niewdzięczność, dostarczyli bowiem armii lądowej nieustraszonych żołnierzy, zaś armii morskiej — odważnych marynarzy. Wiem, że w swym prowincjonalnym zadufaniu przeciwni byli wszelkiej centralnej władzy, wiem, że w swej na poły feudalnej, na poły republikańskiej postawie z wysokości swoich baszt stawiali czoło autorytetom ministrów, a niekiedy nawet królów; wiem, że nieraz wrzucali do rzeki Durance poborców podatkowych, którzy ośmielili się sprawować swój urząd na ich ziemiach. Wiem, że tą samą pogardą darzyli dworzan i urzędników, dzierżawców podatków i uczonych w piśmie, nade wszystko ceniąc dwie rzeczy: żelazo szpady i żelazo pługa. Wiem, że jeden z nich napisał, iż „instynktowna służalczość właściwa jest dworakom o gipsowym sercu i twarzy, jak pluskanie się w błocie właściwe jest kaczkom”. Lecz to wszystko, Sire, nie załatuje bynajmniej szlachciurą, przeciwnie, nie dowodzi najwyższej moralności, ale na pewno znamionuje najwyższej rangi szlachectwo.

— Daję słowo, panie Gilbert — powiedział nie bez urazy król, który sądził, że lepiej niż ktokolwiek inny zna wybitnych ludzi swego królestwa — widzę, że istotnie, jak to pan powiedział, zna pan na wylot swoich Mirabeau. Widać ją ich nie znam, więc niech pan mówi dalej. Nim się kimś posłużymy, trzeba go przedtem poznać.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — podjął Gilbert, podrażniony akcentem ironii, jaką wyczuł w słowach króla — powiem Waszej Królewskiej Mości, że w dniu, kiedy La Feuillade odsłaniał na placu statwę Zwycięstwa, przedstawiającą cztery skute nacje, jeden z owych Mirabeau, Bruno de Riquetti, przeciągając przez Nowy Most na czele pułku — pułku gwardii zresztą — przystanął pod pomnikiem Henryka IV i rzekł, zdejmując kapelusz: „Przyjaciele, pozdrówmy tego oto jegomościa, bo wart jest tyle, co każdy inny”. Inny Mirabeau, Franciszek de Riquetti, mając siedemnaście lat, powrócił z Malty i zastał swoją matkę, Annę de Pontèves w żałobie, zapytał więc, skąd ta żałoba, skoro ojciec nie żyje już od dziesięciu lat. „Ponieważ zostałam znieważona” — odpowiada matka, — „Przez kogo?” „Przez kawalera de Griasque.” „I nie ukarałaś go?” — pyta Franciszek, który znał swoją matkę. „Miałam na to wielką ochotę! Pewnego dnia zastałam go samego, przyłożyłam mu nabity pistolet do skroni i powiedziałam: «Gdybym była sama, rozwalilibym ci łeb, a widzisz, że mogę to zrobić, ale mam syna, który pomści mnie godniej!», „Dobrze zrobiłaś, matko” — odparł młodzieniec. I nie zdejmując butów, wkłada kapelusz, przypina szpadę i udaje się do kawalera de Griasque, zbiera i zawadiaki, wyzywa go, zamyka się z nim w ogrodzie, wyrzuca klucz przez mur i zabija kawalera.

Markiz Jan Antoni, inny z rodu Mirabeau, miał sześć stóp wzrostu, urodę Antinousa, siłę Milona; babka mówiła mu jednak ciągle w swojej prowincjonalnej gwarze; „Nie jesteś mężczyzną, jesteś pomniejszeniem mężczyzny”; wychowany przez tę kobietę—dragona, miał on, jak twierdził później jego wnuk, popęd i żądzę niemożliwości. Muszkieter w wieku osiemnastu lat, ciągle w ogniu, rozmiłowany w niebezpieczeństwie jak inni w rozkoszy, dowodził legionem straszliwych drabów, zawziętych i jak on nieposkromionych, tak że na ich widok inni żołnierze mówili: „Widzisz te czerwone wyłogi? To są *Mirainbaux*, czyli legia diabłów dowodzonych przez Szatana”. Mylili się jednak nazywając dowódcę Szatanem, gdyż był to człek tak pobożny, że gdy kiedyś w jednym z jego lasów wybuchł pożar, zamiast rozkazać, by go gaszono zwykłymi środkami, nakazał zanieść do lasu Najświętszy Sakrament i ogień zgasł. Prawdę mówiąc, jego pobożność była pobożnością prawdziwego feudalnego pana. Bywało tak, że kapitan ratował jakiegoś dewota z wielkich kłopotów, z drugiej strony przyszło mu raz do głowy rozstrzelać garstkę dezertów, którzy schronili się w kościele włoskiego klasztoru. Rozkazał wówczas żołnierzom wyważyć bramę kościelną i mieli już wykonać rozkaz, gdy brama otwarła się sama, a na progu stanął ksiądz *in pontificalibus* z Najświętszym Sakramentem w rękach.

— No i co? — zapytał Ludwik XVI, najwyraźniej porwany tą malowniczą i pełną werwy opowieścią.

— Otóż Jan Antoni rozmyślał chwilę, bo sytuacja była kłopotliwa. Po czym, jakby olśniony, rzekł do swego chorążego: „Niech sprowadzą tu pułkowego kapelana i niechaj zabierze on Pana Boga z rąk tego cudaka”. Co też skrupulatnie wykonał pułkowy kapelan, wspomagany przez muszkiety diabłów z czerwonymi wyłogami.

— W istocie — rzekł Ludwik XVI — przypominam sobie tego markiza Antoniego. Czy to nie on powiedział generałowi Chamillard, kiedy ten po bitwie, w której odznaczył się markiz, obiecał wspomnieć o nim ministrowi Chamillard: „Panie generale, szczęściem pańskiego brata jest to, że ma pana, inaczej bowiem byłby najgłupszym człowiekiem królestwa”?

— Tak, Sire, i dlatego właśnie przy najbliższej promocji marszałków polnych minister Chamillard nie omieszkął pominąć nazwiska markiza.

— A jak skończył ten bohater, który wydaje mi się być Kondeuszem rodu Riquettich? — zapytał ze śmiechem król.

— Najjaśniejszy Panie, ten, kto ma piękne życie, ma też piękną śmierć — odparł z powagą Gilbert. — W bitwie pod Cassano, otrzymawszy rozkaz obrony mostu przed atakiem cesarskich wojsk, markiz, jak to zwykł czynić, kazał żołnierzom położyć się na ziemi, sam zaś stał nadal,

narażając swą postać olbrzyma na nieprzyjacielski ogień. Oczywiście kule zaczęły świstać wokół niego jak grad, lecz on stał dalej, niby słup milowy. Najpierw jedna z kul ugodziła go w prawą rękę, ale to, oczywiście, był drobiazg: wyciągnął chustę, zawiesił rękę na temblaku, w lewą zaś chwycił topór, swą ulubioną broń, gardził bowiem szablą i szpadą, uważając ich ciosy za zbyt słabe. Ledwo jednak to zrobił, a już druga kula trafiła go w gardło, przecinając pasek hełmu i nerwy szyi. To już było poważniejsze, lecz mimo straszliwej rany kolos utrzymał się na nogach. Wreszcie, zachłystując się krwią, runął na most jak podcięte drzewo. Na ten widok pułk struchlał i rzucił się do ucieczki; tracąc wodza stracił także ducha. Stary sierżant, wierząc, iż generał jeszcze żyje, przysłonił mu twarz gamkiem, po czym, w ślad za jego własnym pułkiem, cała armia księcia Eugeniusza — kawaleria i piechota — przetoczyła się po jego ciele. Po skończonej bitwie zaczęło się grzebanie trupów. Wspaniały mundur markiza ściągnął nań uwagę grzebiących. Jeden z wziętych do niewoli żołnierzy rozpoznał go. Książę Eugeniusz, widząc że jeszcze dyszy albo raczej rzezi, kazał go przenieść do obozu księcia Vendôme. Rozkaz został wykonany, a ciało markiza złożono w namiocie księcia, gdzie przypadkiem znalazł się słynny chirurg Dumoulin.

Był to człowiek wielkiej fantazji, a przyszła mu właśnie ochota wskrzesić tego trupa. Operacja kusila go tym bardziej, że wydawała się niemożliwa. Całe ciało markiza, po którym przewaliło się trzy tysiące koni i sześć tysięcy piechurów, było jedną wielką raną, a głowa jego niemal oderwana była od tułowia. Przez pierwsze trzy dni wszyscy wokół wątpili, czy odzyska przytomność. Po trzech dniach otworzył jedno oko, a w dwa dni później poruszył ręką, zaś po trzech miesiącach jego żywotność połączona z uporem Dumoulina sprawiły, że markiz Jan Antoni pojawił się znów wśród żywych z ręką na czarnym temblaku, głową podpartą srebrną obrożą i ciałem poszatkowanym dwudziestoma siedmioma ranami, gdy Cezar miał ich tylko dwadzieścia dwie.

Pierwszą wizytę markiz złożył w Wersalu, dokąd wprowadził go książę Vendome i gdzie został przedstawiony królowi. Król zapytał go, jak się to stało, że wykazawszy się taką odwagą nie jest jeszcze marszałkiem polnym. „Najjaśniejszy Panie — odrzekł markiz Antoni — gdybym zamiast bronić mostu Cassano zjawił się na dworze i opłacił jakąś gamratkę, miałbym już awans i mniej ran.” Ludwik XIV nie lubił tego rodzaju odpowiedzi, odwrócił się więc na pięcie.

„Janie Antoni, mój przyjacielu — rzekł książę Vendome, gdy opuszczali pałac — odtąd przedstawiać cię będę nieprzyjaciołom, nigdy królom.” W kilka miesięcy później markiz, mimo swoich dwudziestu siedmiu ran, złamanej ręki i srebrnej obroży, poślubił pannę Castellane—Norante, z którą miał siedmioro dzieci w przerwach między siedmioma nowymi wyprawami. Niekiedy, ale raczej rzadko, jak przystało na prawdziwego żołnierza, wspominał o sławnej bitwie pod Cassano, a gdy to czynił, miał wówczas zwyczaj mówić: „Bitwa, w której zostałem zabity”.

— Drogi doktorze — rzekł Ludwik XVI, którego najwyraźniej bawiła ta defilada przodków Mirabeau — opowiada mi pan, jak markiz Jan Antoni został zabity, ale nie mówi pan, jak umarł.

— Umarł w baszcie rodu Mirabeau, w surowej i niedostępnej pustelni wzniesionej na urwistej skale, nieustannie smaganej północnym wiatrem. Umarł okryty ową twardą skorupą, jaką obrastają panowie Riquetti w miarę upływu lat, wychowując dzieci w rygorach posłuszeństwa i szacunku i trzymając je od siebie na taką odległość, że najstarszy z jego synów powiedział: „Nigdy nie dostąpiłem zaszczytu, aby dotknąć ręką lub ustami ciała tego czcigodnego człowieka”. Właśnie ów najstarszy syn to ojciec dzisiejszego Mirabeau, owego błędnego ptaka wychowanego w gnieździe między czterema wieżycami, który, jak sam powiada, nigdy nie chciał się zwersalizować, co zapewne sprawiło, że Wasza Królewska Mość nie znając go, osądza go niesprawiedliwie.

— Ależ mój panie, wręcz przeciwnie, ja go znam: to jeden z przywódców szkoły

ekonomicznej. Na swój sposób uczestniczył w rewolucji, inicjując pewne reformy społeczne, głosząc wiele błędnych teorii i kilka prawd, co jest tym bardziej godne potępienia, że przewidywał sytuację. Wszak sam mówił: „Nie ma dzisiaj kobiety, która by nie nosiła w swoim łonie jakiegoś Artevelde’a lub jakiegoś Masaniella. Nie mylił się, łono jego żony wydało coś znacznie gorszego.

— Sire, jeżeli w Mirabeau jest coś, co budzi odrazę Waszej Królewskiej Mości lub go odstrasza, niech mi wolno będzie powiedzieć, że przyczynę tego stanowi despotyzm prywatny i despotyzm królewski.

— Despotyzm królewski! — zawołał Ludwik XVI.

— Niewątpliwie, Najjaśniejszy Panie, bez króla bowiem ojciec nie mógłby nic zrobić. Jaką to bowiem straszną zbrodnię popełnił ten potomek wielkiego rodu, że gdy miał lat czternaście, ojciec posłał go do szkoły poprawczej, gdzie — gwoli upokorzenia — zapisany został nie pod nazwiskiem Riquetti de Mirabeau, lecz jako Buffières? Co takiego uczynił, że gdy miał lat osiemnaście, jego ojciec wystarał się o nakaz aresztowania i zamknął go w więzieniu na wyspie Ré? Co zrobił, że gdy miał lat dwadzieścia, ojciec zesłał go do batalionu karnego walczącego na Korsyce, przepowiadając: „Wypłynię 16 kwietnia na morską równinę. Niechaj Bóg sprawi, by nie wiosłował po niej ani dnia!” Cóż takiego uczynił, że po roku małżeństwa ojciec zesłał go do Manosque, a w sześć miesięcy później kazał go przenieść do twierdzy Joux? Co zrobił wreszcie, że po ucieczce został aresztowany w Amsterdamie i osadzony w baszcie w Vincennes, gdzie on, któremu świata było mało, z łaski ojcowskiej i z łaski króla otrzymał, ciemnicę wielkości dziesięciu stóp kwadratowych i tam przez pięć lat burzyła się jego pełna pasji młodość, a równocześnie dojrzewał jego umysł i hartowało się serce?... Co zrobił? Zaraz powiem to Waszej Królewskiej Mości. Chłonnością umysłu i pojętnością oczarował swego profesora, Poissona. Przystwoił sobie to i owo z nauk ekonomicznych. Rozpocząwszy karierę wojskową, chciał ją kontynuować. Skazany wraz; z żoną i dzieckiem na sześć tysięcy franków renty, zadłużył się na sumę trzydziestu tysięcy franków. Zlekceważył sobie zesłanie w Manosque i przybył obić pewnego zuchwałego szlachcica, który znieważył jego siostrę. Wreszcie — i to jest jego największą zbrodnią, Sire — uwiedziony wdziękiem pewnej młodej i pięknej kobiety, wyrwał ją spod tyranii starego męża, człowieka zniszczonego, ponurego i zazdrosnego.

— Tak, panie — rzekł król — i niebawem porzucił, tak że nieszczęsna pani de Monnier, pozostawiona sam na sam z własną winą, odebrała sobie życie.

Gilbert wznosił oczy do nieba i westchnął.

— I cóż pan na to powie, doktorze? Jak obroni pan swojego Mirabeau?

— Mówiąc prawdę, Najjaśniejszy Panie, prawdę, która z trudem dociera do królów, której nigdy prawie nie znają, choć jej szukają, żądają i przywołują. Nie, Sire, pani de Monnier nie umarła dlatego, że Mirabeau ją rzucił, bo po wyjściu z Vincennes pierwsze kroki skierował właśnie do niej. W przebraniu tragarza dostał się do klasztoru w Gien, gdzie się schroniła. Został tam Zofię oziębłą i jakby czymś skępowaną. Nastąpiły wyjaśnienia. Mirabeau spostrzegł, że pani de Monnier nie tylko już go nie kocha, ale kocha innego: kawalera de Raucourt, którego po śmierci męża zamierza poślubić. Mirabeau za wcześnie wyszedł z więzienia na przekór tym, co liczyli na jego dożywnością niewolę. I oto odstępuje miejsca szczęśliwemu rywalowi, wycofuje się, pani de Monnier już ma poślubić pana de Raucourt, gdy nagle kawaler umiera! Biedaczka, całe swoje życie wiązała z tą miłością. Miesiąc później, 9 września, zamknęła się w swoim pokoju i umarła zaczadzona. Wówczas wrogowie Mirabeau podnieśli wrzask, że umarła, bo rzucił ją pierwszy kochanek, gdy w istocie umarła z miłości do drugiego... Oto, jak się ciebie pisze, Historio!

— Ach, więc dlatego Mirabeau odebrał wiadomość aż tak obojętnie?

— Jak ją odebrał, o tym także mogę coś niecoś powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, znam bowiem tego, co mu ją przyniósł. Był to jeden z członków Zgromadzenia.

Niech Wasza Królewska Mość go zapyta, nie odważy się skłamać; to kapłan, proboszcz z Gien, ksiądz Vallet, który zasiada na ławie przeciwległej do ławy Mirabeau. Przeszedł przez salę i ku wielkiemu zdziwieniu hrabiego usiadł obok. „Co u diabła ksiądz tu robi?” — zapytał Mirabeau. Ksiądz Vallet bez słowa wręczył mu list, który zawierał fatalną wiadomość ze wszystkimi szczegółami. Mirabeau otworzył go i czytał długo, bo zapewne nie mógł uwierzyć w jego treść. Przeczytał go po raz drugi i w trakcie tej potwornej lektury twarz jego bladła i wciąż zmieniała wyraz: przeciągnął ręką po czole, wytarł oczy, kaszłał, spluwał, próbował nad sobą zapanować. Wreszcie musiał pogodzić się z faktem. Wstał, wyszedł szybko i przez trzy dni nie pokazywał się w Zgromadzeniu... Najjaśniejszy Panie, proszę mi wybaczyć, że wdaję się w szczegóły, ale wystarczy być po prostu geniuszem, aby przy każdej okazji i w każdej sprawie narazić się na obelgi. A cóż dopiero, gdy geniusz wykracza poza wszelką miarę!

— Jak się więc to dzieje, doktorze, i jaka w tym korzyść, aby oczerniać wobec, mnie pana de Mirabeau?

— Jaka korzyść, Najjaśniejszy Panie? Korzyść, jaką ma każda miernota, aby zachować swoje miejsce przy tronie. Mirabeau nie jest z tych, co wejdą do świątyni nie wypędzając z niej przekupniów. Mirabeau u boku króla to, kres drobnych intryg. Mirabeau u boku króla to wygnanie małych intrygantów, to geniusz torujący drogę uczciwości. I jakież ma znaczenie, że Mirabeau źle żył ze swoją żoną? Jakie ma znaczenie, że Mirabeau porwał panią de Monnier? Albo żema pół miliona długów? Niech Najjaśniejszy Pan zapłaci te pół miliona, doda do tych pięciuset tysięcy franków milion, dwa miliony, dziesięć, jeśli trzeba! Mirabeau jest wolny, niech król nie pozwoli mu się wymknąć, niech go weźmie, uczyni zeń doradcę, ministra. Sire, posłuchaj, co powie ten potężny głos i co pokaże ludowi, Europie, światu!

— Pan Mirabeau zmienił się w handlarza suknem z Aix, byle zostać wybranym przez lud. Pan Mirabeau nie może sprzeniewierzyć się swoim mocodawcom, porzucając partię ludu dla partii dworu.

— Najjaśniejszy Panie, powtarzam, nie znasz pana Mirabeau: to arystokrata, szlachcic, rojalista przede wszystkim. Dał się wybrać przez lud, bo wzgardziła nim szlachta, kieruje nim bowiem owa nurtująca ludzi genialnych potrzeba osiągnięcia celu bez względu na środki. Gdyby nie został wybrany ani przez szlachtę, ani przez lud, wszedłby do parlamentu jak Ludwik XIV, w butach i ostrogach, powołując się na prawo boskie. Powiadasz, Sire, że nie porzuci partii ludu dla partii dworu? A czemuż obie te partie nie stanowią jednej? Otóż tego właśnie dokona Mirabeau... Najjaśniejszy Panie, bierz pana Mirabeau! Jutro Mirabeau, ostatecznie zrażony pogardą króla, zwróci się przeciw niemu, a wtedy, wtedy — mówię to ja, a po mnie powie to ten portret Karola I, jak powiedział ci to już przede mną — wtedy wszystko będzie stracone!

— Mirabeau zwróci się przeciwko mnie, powiada pan? A czy już tego nie uczynił?

— Na pozór tak, być może, ale w gruncie rzeczy Mirabeau jest po twojej stronie, Sire. Proszę zapytać hrabiego de la Marck, co powiedział mu Mirabeau po głośnym posiedzeniu dnia 21 czerwca, Mirabeau umie bowiem przewidywać przyszłość z zadziwiającą przenikliwością.

— No więc, co takiego powiedział?

— Załamywał ręce z rozpacz, Najjaśniejszy Panie, i zawołał: „Tak prowadzi się królów na szafot!”, a w trzy dni później dodał: „Ci ludzie nie wiedzą, że kopią przepaść pod stopami monarchii! Król i królową zginą w niej, a lud będzie klaskał nad ich zwłokami!”

Król zadrzał, zbladł i spojrzał na portret Karola I. Przez chwilę zdawał się bliski podjęcia decyzji, ale nagle rzekł:

— Porozmawiam o tym z królową, może ona zdecyduje się na rozmowę z Mirabeau. Ja nie

będę z nim mówił. Lubię rozmawiać z ludźmi, którym mogę uścisnąć rękę, panie Gilbert, a nie chciałbym, nawet kosztem tronu, mojej wolności i życia, podać ręki panu de Mirabeau.

Gilbert chciał jeszcze nalegać, lecz do pokoju wszedł kamerdyner.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział — osoba, którą Wasza Królewska Mość miał przyjąć dziś rano, przybyła i czeka w przedpokoju.

Ludwik XVI spojrział na Gilberta z pewnym niepokojem.

— Sire — rzekł Gilbert — jeśli nie powinienem widzieć osoby, która czeka na Waszą Królewską Mość, wyjdę innymi drzwiami.

— Nie, proszę przejść tędy. Pan wie, że uważam go za przyjaciela i nie mam przed nim tajemnic. Zresztą osoba, na którą czekam, to zwykły szlachcic; był dworzanin mego brata, który mi go właśnie poleca. To wierny sługa i chcę zobaczyć, czy da się coś zrobić, jeśli nie dla niego, to dla jego żony i dzieci. Zatem, panie Gilbert, zawsze będzie pan mile widziany, nawet jeśli przyjdzie pan po to, aby mówić ze mną o panu Riquettim de Mirabeau.

— Najjaśniejszy Panie, czy mam się uważać za ostatecznie pobitego? — zapytał Gilbert.

— Powiedziałem, że porozmawiam z królową, że się zastanowię. Zobaczmy później.

— Później, Sire! Będę prosił Boga, aby odbyło się to jeszcze w porę.

— Sądzi pan, że niebezpieczeństwo jest aż tak bliskie?

— Najjaśniejszy Panie, nie dopuść, by usunięto z komnaty wizerunek Karola Stuarta, bo to dobry doradca.

I skłoniwszy się wyszedł akurat w chwili, gdy oczekiwana przez króla osoba stanęła w drzwiach.

Gilbert nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia. Owym szlachcicem był markiz de Favras, którego osiem czy dziesięć dni wcześniej spotkał u Cagliostro i któremu ten przepowiedział bliską i nieuchronną śmierć.

XIX FAVRAS

Gdy Gilbert oddalał się zdjęty nieznanym strachem, jaki wzbudziła w nim nie rzeczywista, lecz ukryta i tajemna strona wydarzeń, do gabinetu wprowadzono Favrasa.

Podobnie jak doktor Gilbert i on przystanął na progu, ale na jego widok król uczynił zapraszający gest.

Favras podszedł i skłonił się, czekając pełen szacunku, aż król doń przemówi.

Ludwik XVI utkwiał w nim badawcze spojrzenie, które zdaje się stanowić część królewskiej edukacji, a które bywa powierzchowne lub dogłębne, zależnie od charakteru tego, kto się nim posługuje i komu jest przeznaczone.

Tomasz Mahi, markiz de Favras, był szlachcicem dzielnej postawy, w wieku lat czterdziestu pięciu, o wytwornym a zarazem pewnym sobie sposobie bycia oraz szczerej, otwartej twarzy.

Egzamin wypadł dla niego pomyślnie i coś na kształt uśmiechu pojawiło się na królewskich wargach.

— To pan jesteś markizem de Favras? — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Chciał pan zostać mi przedstawiony?

— Wyraziłem Jego Królewskiej Wysokości hrabiemu Prowansji moje gorące pragnienie złożenia hołdu u stóp króla.

— Mój brat darzy pana wielkim zaufaniem?

— Tak sądzę, Najjaśniejszy Panie, a wyznam, że moją najżywszą ambicją jest, aby Wasza Królewska Mość podzielił to zaufanie.

— Mój brat zna pana od dawna, panie de Favras...

— Podczas gdy Wasza Królewska Mość nie zna mnie wcale... rozumiem... Ale niech. Wasza Królewska Mość raczy zadać mi kilka pytań, a w ciągu dziesięciu minut pozna mnie równie dobrze, jak jego dostojny brat.

— Proszę mówić, markizie — rzekł Ludwik XVI, rzucając z ukosa spojrzenie na portret Karola I, który wciąż zaprzętał jego myśli — proszę mówić, słucham...

— Wasza Królewska Mość pragnie wiedzieć... — Kim pan jest i co pan zrobił.

— Kim jestem, Sire? Mówi o tym samo brzmienie mego nazwiska: jestem Tomasz Mahi, markiz de Favras. Urodziłem się w Blois w roku 1745. Mając piętnaście lat wstąpiłem do pułku muszkietierów i w tej formacji odbyłem kampanię 1761 roku. Potem byłem kapitanem i majorem w pułku Belzunce'a, wreszcie dowódcą Szwajcarów, gwardii hrabiego Prowansji.

— I na tym stanowisku poznał pan mojego brata?

— Najjaśniejszy Panie, miałem zaszczyt być mu przedstawionym rok wcześniej, tak że już mnie znał.

— I porzucił pan służbę u niego?...

— Tak, Najjaśniejszy Panie, w roku 1775, aby udać się do Wiednia, gdzie uzyskałem dla mojej żony tytuł jedynej i prawowitej córki księcia Anhalt-Schauenburg.

— Pańska małżonka nigdy nie była mi przedstawiona?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ale w tej chwili ma zaszczyt przebywać u królowej z moim najstarszym synem.

Król uczynił gest niepokoju, który zdawał się mówić: „Więc i królowa jest w to wmieszana?”, a po chwili milczenia, spacerując tam i z powrotem i spoglądając znów na portret Karola I,

zapytał:

— A później?

— Później, czyli trzy lata temu, podczas powstania przeciwko namiestnikowi, dowodziłem legią i przyczyniłem się do przywrócenia autorytetu władzy. Następnie, zwracając moje myśli ku Francji i widząc, że jakiś zły duch zaczyna tu wszystko dezorganizować, powróciłem do Paryża, aby szpadę i życie oddać w służbę króla.

— Istotnie, widział pan przykre rzeczy, co?

— Najjaśniejszy Panie, widziałem dzień 5 i 6 października.

Król jakby chciał zmienić temat rozmowy.

— I powiada pan, markizie — rzekł po chwili — że mój brat, hrabia Prowansji, tak dalece panu ufa, iż powierzył panu zaciągnięcie poważnej pożyczki?

Człowiek postronny musiałby wówczas zauważyć, że przy tym pytaniu zasłona oddzielająca królewską alkowę od komnaty nerwowo drgnęła, jak gdyby ktoś się za nią ukrył. Musiałby również zauważyć, że pan de Favras zadrżał jak człowiek, który przygotowany na konkretne pytanie nagle otrzymuje zupełnie inne.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział markiz — istotnie, to dowód wielkiego zaufania powierzyć szlachcicowi sprawy pieniężne; takim zaufaniem zaszczycił mnie Jego Królewska Wysokość.

Król czekał na dalszy ciąg, spoglądając na Favrasa, jakby kierunek, który właśnie przybrała rozmowa, bardziej zaspokajał jego ciekawość niż poprzedni.

Markiz mówił więc dalej, ale już trochę rozczarowany.

— Jego Królewska Wysokość, pozbawiony swoich dochodów wskutek rozmaitych działań Zgromadzenia, przeświadczony zaś, że w obecnej chwili dla własnego bezpieczeństwa księżęta powinni dysponować poważną sumą, Jego Królewska Mość, powiadam, wręczył mi zobowiązania.

— Na które zdołał pan uzyskać pożyczkę? — Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Poważną, jak pan powiada?

— Dwa miliony.

— A od kogo?

Favras niemal wahał się z odpowiedzią, tak dalece wydawało mu się, że rozmowa zbacza z drogi, przechodząc od wielkich i ogólnych spraw do spraw szczegółowych, od polityki do policji.

— Pytam, u kogo zaciągnął pan pożyczkę?

— Najjaśniejszy Panie, najpierw zwróciłem się do bankierów Schaumela i Sartoriusa, ponieważ jednak negocjacje zakończyły się niepowodzeniem, odwołałem się do zagranicznego bankiera, który wiedziony miłością do naszych księząt i szacunkiem dla króla, sam zaofiarował swoje usługi.

— Ach tak... A jak nazywa się ten bankier?

— Sire!... — szepnął z wahaniem Favras.

— Rozumie pan — nalegał król — że taki człowiek zasługuje na to, by go poznać, a jeśli chce wiedzieć, jak się nazywa, to choćby po to, aby przy okazji podziękować mu za jego oddanie.

— To baron Zannone, Najjaśniejszy Panie.

— Aa, Włoch? — zapytał Ludwik XVI. — Genuńczyk.

— A mieszka on...?

— Mieszka w Sevres, Sire, na wprost miejsca, gdzie karetą Waszych Królewskich Mości — ciągnął dalej Favras, w nadziei, że podziela to jak dźgnięcie ostrogą — zatrzymana została 6 października w czasie podróży z Wersalu, w chwili, gdy mordercy pod wodzą Marata, Verriere'a i księcia d'Aiguillon zmusili fryzjera królowej, by w gospodzie przy moście Sevres ufryzował

ścięte głowy Varicourta i Deshuttesa.

Król pobladł i gdyby w tym momencie spojrzął ku alkwie, byłby dojrzał, że zasłona drga bardziej niż poprzednio. Rozmowa w oczywisty sposób zaczynała mu ciążyć i wolałby, żeby w ogóle do niej nie doszło. Postanowił więc zakończyć ją jak najprędzej.

— Widzę więc, panie, że jesteś wiernym sługą królestwa i przyrzekam, że o panu nie zapomnę. — I skinął głową, co u władców oznacza: „Już dość długo czynię ci zaszczyt słuchania i odpowiadania, pozwalam ci się oddalić”. Favras zrozumiał to doskonale.

— Przepraszam, Najjaśniejszy Panie — powiedział — sądziłem jednak, że Wasza Królewska Mość miał mnie zapytać o co innego?

— Nie, markizie — rzekł król przecząco potrząsając głową, jakby rzeczywiście szukał w pamięci jakichś nowych pytań — nie, markizie, wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć.

— Mylisz się, Panie — powiedział nagle głos, który królowi i markizowi kazał odwrócić się ku alkwie. — Chciałeś wiedzieć, w jaki sposób przodek markiza de Favras zdołał w Gdańsku uratować króla Stanisława i doprowadzić go cało i zdrowo aż do pruskiej granicy.

Obydwu wyrwał się okrzyk zdziwienia: trzecią osobą, która nagle się pojawiła i wtrąciła do rozmowy, była królowa. Błada, z drżącymi wargami, królowa nie zadowolona się garścią informacji dostarczonych przez Favrasa, przypuszczając, iż pozostawiony samemu sobie król nie zdobędzie się na decyzję, przybyła więc bocznymi schodami i tajemnym korytarzem, by podjąć rozmowę w chwili, gdy król, zdany na własną słabość, będzie chciał jej poniechać.

Zresztą interwencja królowej i sposób, w jaki nawiązała do ucieczki Stanisława, miał dać królowi do zrozumienia, że propozycje Favrasa dotyczą jedynie ucieczki jego samego, Ludwika XVI.

Favras ze swej strony natychmiast pojął, że oto uzyskał możliwość rozwinięcia swego planu i choćby nawet żaden z jego przodków czy krewnych nie był się przyczynił do ucieczki polskiego króla, skłonił się pospiesznie i rzekł:

— Najjaśniejsza Pani ma chyba na myśli mego kuzyna, generała Steinflichta, który świetność nazwiska zawdzięcza owej ogromnej przysłudze, jaką wyświadczył swemu królowi; przysłudze, która wywarła zbawienny wpływ na losy Stanisława, najpierw wyrywając go z rąk wrogów, później zaś szczęśliwym zbiegiem okoliczności czyniąc go przodkiem Jego Królewskiej Mości.

— Otóż to, otóż to, panie de Favras! — żywo wtrąciła królowa, podczas gdy Ludwik XVI z westchnieniem spojrzął na portret Karola Stuarta.

— A więc — zaczął Favras — Najjaśniejszy Panie... przepraszam, Wasze Królewskie Moście wiedzą, że król Stanisław, wolny w Gdańsku, lecz otoczony zewsząd przez moskiewską armię, byłby właściwie zgubiony, gdyby nie zdecydował się na szybką ucieczkę.

— Och, całkowicie zgubiony — przerwała królowa — może pan powiedzieć: całkowicie zgubiony, panie de Favras.

— Pani — rzekł Ludwik z odcieniem pewnej surowości — Opatrzność, która czuwa nad królami, sprawia, że nigdy nie są oni całkowicie zgubieni.

— Ech, Panie — powiedziała królowa — myślę, że jestem równie pobożna jak Ty, i tak samo wierzę w Opatrzność, myślę jednak, że trzeba jej trochę pomagać,

— Tak samo myślał polski król, Sire — dodał Favras. — Oświadczył bowiem swym przyjaciółom, że uważając pozycję za straconą, a życie swe wystawione na niebezpieczeństwo, pragnie, aby mu przedłożono kilka projektów ucieczki. Mimo trudności przedstawiono mu trzy projekty. Mówię: mimo trudności, gdyż Wasza Królewska Mość zechce zauważyć, że trudniej było królowi Stanisławowi wydostać się z Gdańska niż Najjaśniejszemu Panu z Paryża, gdyby na przykład przyszła mu taka ochota... Gdyby Wasza Królewska Mość chciał wyjechać bez hałasu i rozgłosu kareta pocztową, mógłby w ciągu doby osiągnąć granicę; albo też, gdyby Wasza

Królewska Mość chciał opuścić Paryż zachowując godność królewską, wystarczyłoby rozkazać godnemu zaufania szlachcicowi, aby zebrał trzydzieści tysięcy ludzi i przybył po Waszą Królewską. Mość wprost do pałacu Tuileries... W jednym i w drugim wypadku wynik byłby niezawodny; przedsięwzięcie całkiem pewne... — Wasza Królewska Mość wie — podjęła królowa — że to, co mówi pan de Favras, jest całkowicie słuszne.

— Tak — odparł król — ale moja sytuacja nie jest tak beznadziejna jak sytuacja króla Stanisława. Gdańsk, jak powiada markiz, był otoczony przez Moskali. Jego, ostatni szaniec, fort Wechselmund, musiał skapitulować, podczas gdy ja...

— Podczas gdy ty, Panie — przerwała zniecierpliwiona królowa — jesteś wśród paryżan, którzy 14 lipca zdobyli Bastylę, w nocy z 5 na 6 października chcieli Cię zabić, a 6 października siłą sprowadzili do Paryża, urągając władcy i jego rodzinie przez cały czas trwania podróży... Zaiste, piękna sytuacja i godna, aby uznać ją za lepszą Od sytuacji króla Stanisława!

— Jednakże, Pani...

— Król Stanisław ryzykował tylko więzienie, może śmierć, podczas gdy my tutaj...

Powstrzymało ją spojrzenie króla.

— Zresztą, Sire — mówiła dalej królowa — jesteś tutaj władcą, powinieneś więc decydować.

— I zniecierpliwiona zasiadła na wprost portretu Karola I.

— Panie de Favras — podjęła po chwili — przed chwilą rozmawiałam z markizą i pana starszym synem. Oboje są pełni odwagi i chęci działania, jak przystało na żonę i syna dzielnego szlachcica. Cokolwiek się stanie, zakładając, że coś się zdarzy, mogą liczyć na królową Francji. Ona ich nie opuści: jest córką Marii Teresy, umie więc ocenić i wynagrodzić męstwo.

Król, jakby podrażniony docinkiem królowej, rzekł:

— Powiada pan, że królowi Stanisławowi przedłożono trzy sposoby ucieczki?

— Tak, Sire...

— Jakież to sposoby?

— Pierwszy polegał na tym, aby przebrać się za chłopą; hrabina Czapska, wojewodzina pomorska, która mówiła po niemiecku jak swoim ojczystym językiem, zaproponowała mu, że z pomocą zaufanego osobnika, który doskonale znał okolicę, w przebraniu chłopki przewiezie króla jako swego męża. Ten właśnie sposób miałem na myśli, mówiąc przed chwilą, że łatwo byłoby królowi Francji uciekać incognito i nocą, w wypadku gdyby...

— A drugi sposób? — zapytał Ludwik XVI takim tonem, jakby zgorszyło go porównanie jego własnej sytuacji do sytuacji króla Stanisława.

— Sire, drugi sposób polegał na tym, by na czele tysiąca ludzi zaryzykować przebicie się przez pierścień Moskali. Również i ten sposób miałem na myśli, zapewniając króla Francji, że ma do swojej dyspozycji nie tysiąc, lecz trzydzieści tysięcy ludzi.

— Widział pan, na co przydało mi się tych trzydzieści tysięcy ludzi 14 lipca, panie de Favras. Przejdźmy do trzeciego sposobu.

— Trzeci sposób, na który Stanisław przystał, to wyjść z Gdańska w przebraniu chłopą, lecz nie w towarzystwie kobiety, która mogłaby stać się przeszkodą w drodze, nie pod osłoną tysiąca zbrojnych, których wybić by można do nogi, a tylko z dwoma lub trzema pewnymi ludźmi, którzy przemkną się wszędzie. Ten trzeci sposób przedłożył pan Monti, ambasador Francji, a popart go mój krewny, generał Steinflicht.

— I właśnie ten sposób został przyjęty.

— Tak, Sire. Jeśliby zaś jakiś król, który jest lub sądzi, że jest w sytuacji polskiego monarchy, wybrał ten sposób i zechciał mnie obdarzyć podobnym zaufaniem, jakim dostojny przodek Najjaśniejszego Pana obdarzył generała Steinflichta, mógłbym chyba ręczyć własną głową za powodzenie przedsięwzięcia, zwłaszcza *gdyby* drogi były równie spokojne jak we Francji, a ów

król był tak dobrym jeźdźcem jak Wasza Królewska Mość.

— Zapewne — wtrąciła królowa. — Ale w nocy z 5 na 6 października król przysiągł mi, że nigdy nie wyjedzie beze mnie, a nawet nie podejmie nigdy zamiaru wyjazdu, w który nie byłabym wtajemniczona. Król dał słowo i nie złamie go.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł Favras — utrudnia to podróż, lecz nie czyni jej niemożliwą. I gdybym miał zaszczyt poprowadzić podobną ekspedycję, mógłbym zaręczyć, że zawiozę królową, króla i rodzinę królewską zdrowych i całych do Montmédy lub do Brukseli, podobnie jak generał Steinflicht zawiózł króla Stanisława cało i zdrowo do Marienwerder.

— Wasza Królewska Mość słyszy! — zawołała królowa. — Sądzę, że z takim człowiekiem jak pan de Favras można wszystko przedsięwziąć i niczego się nie lękać.

— Tak, Pani — odparł król — jestem tego samego zdania, tylko że godzina jeszcze nie wybiła.

— Dobrze więc, czekaj zatem, Panie, jak ten z portretu, który na nas patrzy, a którego widok powinien być podsunąć Panu lepsze rady... Tak przynajmniej sądziłam... Czekaj, aż bitwa stanie się nieunikniona, aż będzie przegrana; czekaj, aż zostaniesz, Panie, więźniem, a pod oknem wyrośnie szafot. Wtedy Ty, Panie, który dzisiaj mówisz: „Jest za wcześnie!”, będziesz musiał powiedzieć: „Jest za późno!”

— W każdym razie o każdej porze i na pierwszy rozkaz króla będę gotów — powiedział z ukłonem Favras, lękał się bowiem, że jego obecność, która wywołała ten konflikt między królową a Ludwikiem XVI, może okazać się męcząca. — Ofiarować mogę memu władcy własne życie, a nie powiem nawet, że mu je ofiarowuję; powiem, że zawsze miał i ma prawo nim dysponować jak swoją własnością.

— Pięknie, mój panie — rzekł król — a na wszelki wypadek potwierdzam wobec markizy i waszych dzieci obietnicę królowej.

Było to już prawdziwe pożegnanie. Markiz musiał się podporządkować, choć miał ochotę dalej przekonywać króla i nalegać, nie znalazłszy jednak innej zachęty niż spojrzenie królowej, wycofał się tyłem.

Królowa patrzyła za nim, póki nie skryła go kotara.

— Ach, Panie — rzekła królowa wskazując ręką płótno van Dycka — kiedy kazałam powiesić ten obraz w komnacie, łudziłam się, że będzie on dla ciebie lepszym natchnieniem.

I wyniosła, wzgardliwie rezygnując z dalszej rozmowy, skierowała się ku drzwiom alkowy, ale nagle przystanąła i dodała:

— Sire, proszę jednak przyznać, że markiz de Favras nie jest pierwszą osobą, którą Pan dziś przyjmuje.

— Nie, masz rację, Pani przed markizem przyjąłem doktora Gilberta.

Królowa drgnęła.

— Och, domyślałam się tego! A doktor Gilbert podobno...

— Podziela moją opinię, że nie powinniśmy opuścić Francji.

— Ale będąc zdania, że nie powinniśmy jej opuścić, zapewne doradza, co należy uczynić, by móc tu pozostać?

— Tak, Pani, daje taką radę. Niestety, uważam, że rada ta jeśli nie jest zła, to przynajmniej jest niewykonalna.

— Jakaż to rada w końcu?

— Chce, abyśmy kupili Mirabeau na jeden rok.

— Za jaką cenę? — zapytała królowa.

— Za sześć milionów... i jeden Twój uśmiech, Najjaśniejsza Pani.

Królowa odrzekła z wyrazem głębokiej zadumy:

— W gruncie rzeczy może to i jest sposób...

— Owszem, ale sposób, który Pani chyba by odrzuciła?

— Nie mówię ani tak, ani nie — rzekła królowa z tym złowrogim wyrazem xwarzy, jaki przybiera anioł zła pewny swego triumfu — trzeba to przemyśleć.

A wychodząc dodała ciszej:

— Zastanowię się nad tym!

XX

KRÓL ZAJMUJE SIĘ SPRAWAMI RODZINNYMI

Pozostawszy sam, król chwilę stał nieruchomo, po czym jakby lękając się, że królowa udała tylko, że wychodzi, podszedł do drzwi, którymi wyszła, otworzył je i przeszukał spojrzeniem przedpokój i korytarz. Widząc jedynie służbę, zawołał półgłosem:

— Franciszku!

Kamerdyner, który wstał, gdy otwarły się drzwi królewskiego apartamentu, zbliżył się natychmiast, czekając na rozkazy, i wszedł za królem do komnaty.

— Franciszku, czy znasz apartament pana de Charny? — zapytał Ludwik XVI.

— Najjaśniejszy Panie, pan de Charny nie ma apartamentu. Ma zaledwie mansardę na strychu pawilonu Flory — odrzekł kamerdyner. Człowiek ten, przydzielony do króla po 10 sierpnia, zostawił pamiętniki opisujące koniec jego panowania.

— A czemuż to dano mansardę oficerowi tej rangi?

— Chciano dać panu hrabiemu coś lepszego, ale odmówił twierdząc, że mansarda mu wystarczy.

— Dobrze — rzekł król. — A czy wiesz, gdzie jest ta mansarda?

— Tak, Sire.

— Proszę tu wezwać pana de Charny; pragnę z nim mówić.

Kamerdyner wyszedł zamykając za sobą drzwi i skierował się do mansardy pana de Charny. Ten stał oparty o balustradę okna, wpatrzony w morze dachów niknących na horyzoncie.

Pograżony w myślach, nie usłyszał dwukrotnego pukania. W końcu kamerdyner widząc klucz w drzwiach, a działając z rozkazu króla, zdecydował się wejść bez zezwolenia.

Na odgłos otwieranych drzwi hrabia się odwrócił.

— A to pan, panie Hue, przychodzi pan z polecenia królowej?

— Nie, panie hrabio. — odrzekł kamerdyner — przychodzę w imieniu króla.

— W imieniu króla! — powtórzył zdziwiony nieco Charny.

— Tak jest, króla.

— Dobrze, panie Hue, proszę powiedzieć Jego Królewskiej Mości, że jestem do usług.

Kamerdyner wyszedł wyprostowany, jak nakazywała etykieta, Charny zaś odprowadził go aż do drzwi z uprzejmością, jaką stara i prawdziwa szlachta okazywała każdemu, kto przybywał w imieniu króla, niezależnie od tego, czy nosił on na szyi srebrny łańcuch, czy tylko liberię.

Zostawszy sam, Charny przez chwilę siedział ująwszy głowę rękoma, jakby chciał uporządkować wzburzone myśli, po czym przypiął szpadę leżącą na fotelu, wziął pod pachę kapelusz i zszedł na dół.

Zastał Ludwika XVI w sypialni, gdy ten odwrócony tyłem do obrazu van Dycka zabierał się właśnie do śniadania.

— Ach, to pan, hrabio... Zechce pan zjeść ze mną śniadanie?

— Sire, muszę się wyrzec tego zaszczytu, bo jestem już po śniadaniu — odrzekł hrabia z ukłonem.

— W takim razie — rzekł król — ponieważ zaprosiłem pana na rozmowę o sprawach poważnych, zaczeka pan chwilę. Nie lubię rozprawać o jakichkolwiek sprawach, kiedy jem.

— Jestem do usług.

— Pomówmy więc o czym innym: na przykład o panu

— O mnie, Najjaśniejszy Panie? A czymże zasłużyłem na to, by król zajmował się moją

osobą?

— Kiedy przed chwilą zapytałem, gdzie mieści się pański apartament w Tuileries, czy wie pan, co mi odpowiedział Franciszek?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Odrzekł, iż odmówił pan przyjęcia apartamentu, jaki mu ofiarowano, i zgodził się tylko na mansardę.

— To prawda, Sire.

— A czemuż to, hrabio?

— Ależ Sire, dlatego, że będąc sam, nie Uznałem za właściwe pozbawiać zarządcy pałacu całego apartamentu, skoro najzupełniej wystarczy mi zwykła mansarda.

— Przepraszam, drogi hrabio, przemawiasz jakbyś był prywatną osobą, zwykłym oficerem i kawalerem, a pełnisz przecież — na szczęście nie zapominając o tym w chwili niebezpieczeństwa — ważną funkcję przy naszym boku. Poza tym jesteś żonaty; jak umieści pan hrabinę w swojej mansardzie?

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł Charny z odcieniem melancholii, który nie umknął uwagi króla, choć był tak mało wrażliwy na to uczucie — nie sądzę, aby pani de Charny uczyniła mi zaszczyt dzielenia ze mną apartamentu, czy byłby duży, czy mały.

— Ależ hrabio, pani de Charny nie spełnia teraz określonej funkcji przy królowej, jest przecież jej przyjaciółką. Jak panu wiadomo, królowa nie może się obejść bez pani de Charny, choć wydaje mi się, że od pewnego czasu dostrzegam między nimi pewien chłód. Gdzie zamieszka pani de Charny, gdy powróci do pałacu?

— Sire, nie sądzę, aby pani de Charny, powróciła kiedykolwiek do pałacu bez wyraźnego rozkazu Waszej Królewskiej Mości.

— Ach tak? Charny skłonił się.

— Niemożliwe! — rzekł król.

— Wasza Królewska Mość wybaczy mi łaskawie, ale jestem pewien tego, co mówię.

— Otóż dziwi mnie to mniej, niż mógłby pan przypuszczać, drogi hrabio; powiedziałem właśnie, że dostrzegłem pewne ochłodzenie między królową a jej przyjaciółką...

— Istotnie, Wasza Królewska Mość raczył to powiedzieć.

— Kobiecte dąsy! Postaram się to wszystko naprawić. Tymczasem jednak wygląda na to, że zachowuję się wobec pana, drogi hrabio, jak tyran, sam o tym nie wiedząc!

— Jak to, Sire?

— Zmuszam pana. do przebywania w Tuileries, podczas gdy hrabina mieszka... gdzież to, hrabio?

— Przy ulicy Coq-Héron, Najjaśniejszy Panie.

— Pytam o to z przyzwyczajenia właściwego królom, a może trochę i dlatego, że chcę znać adres hrabiny; bowiem znając Paryż nie lepiej niż Rosjanin z Moskwy czy też Austriak z Wiednia, nie wiem, czy ulica Coq-Héron jest blisko, czy daleko od pałacu Tuileries.

— Blisko, Najjaśniejszy Panie.

— Tym lepiej; to mi tłumaczy, czemu ma pan w Tuileries tylko tymczasowe mieszkanie.

— Pokój, który zajmuję w Tuileries, Sire — odrzekł de Charny z tym samym akcentem melancholii, który król już wcześniej dostrzegł w jego głosie — nie jest wcale tymczasowym mieszkaniem. Przeciwnie, to stałe mieszkanie, gdzie zawsze można mnie zastać, ilekroć Wasza Królewska Mość zechciałaby po mnie posłać.

— Ach tak? — król, który kończył już śniadanie, rozparł się w fotelu. — Co to znaczy, panie hrabio?

— Wasza Królewska Mość wybaczy, ale nie pojmuję indagacji, jaką mnie zaszczyca...

— Ba, nie wie pan, że nade wszystko jestem dobrodusznym ojcem i mężem, którego niemal w tym samym stopniu interesuje to, co dzieje się w jego pałacu, jak to, co poza granicami jego królestwa... Cóż to znaczy, drogi hrabio, że po trzech zaledwie latach małżeństwa hrabia de Charny ma stałe mieszkanie w Tuileries, a hrabina de Charny — przy ulicy Coq—Heron?

— Sire, nie potrafię powiedzieć nic prócz tego, że pani de Charny życzy sobie mieszkać sama.

— Ale w końcu odwiedza ją pan co dzień?... Nie?... Dwa razy na tydzień?...

— Najjaśniejszy Panie, nie miałem przyjemności rozmawiać z panią de Charny od dnia, w którym król rozkazał mi ją odwiedzić.

— To znaczy... ale od tej chwili minął już tydzień czy osiem dni?

— Dziesięć, Najjaśniejszy Panie — odrzekł Charny z lekkim wzruszeniem w głosie.

Król lepiej rozumiał ból niż melancholię i ten właśnie odcień uchwycił we wzruszeniu, które hrabia ujawnił.

— Hrabio — rzekł Ludwik XVI z ową jowialnością, która tak pasowała do miana „gospodarza”, jakie czasami sam sobie nadawał — hrabio, jest w tym sporo pańskiej winy.

— Mojej winy?! — zawołał Charny żywo, rumieniąc się mimo woli.

— Tak, tak, pańskiej winy — powtórzył z naciskiem król. — Kiedy kobieta się oddała, a zwłaszcza kobieta tak doskonała jak hrabina, zawsze jakąś część winy ponosi mężczyzna.

— Sire!

— Powie pan, mój drogi hrabio, że nie moja to rzecz. A ja odpowiem: Owszem, moja, bo król wiele może zdziałać słowem. No, proszę powiedzieć szczerze, był pan niewdzięczny wobec biednej panny de Taverney, która tak bardzo pana kocha!

— Która tak bardzo mnie kocha!... Wybacz, Najjaśniejszy Panie... — odparł Charny z pewnym odcieniem goryczy. — Czy Wasza Królewska Mość nie chciał powiedzieć, że panna de Taverney bardzo mnie... kochała?

— Panna de Taverney czy pani hrabina de Charny — to jedno, jak sądzę.

— I tak, i, nie, Najjaśniejszy Panie.

— Twierdzą zatem, że pani de Charny kocha pana, i nie cofam tego.

— Sire, nie wolno przeczyć królowi...

— Och, może pan przeczyć do woli, znam się na tym.

— I sądząc z pewnych oznak, widocznych nie tylko dla niego, Wasza Królewska Mość twierdzi, że pani de Charny kocha mnie... bardzo?...

— Nie wiem, czy te oznaki widoczne były jedynie dla mnie, mój drogi hrabio, wiem jednak, że owej okropnej nocy 6 października, od chwili, gdy przyłączyła się do nas, nie traciła pana z oczu ani na sekundę, a w jej oczach malowały się wszystkie udręki serca, tak dalece, że kiedy brama Oeil—de—boeuf była już bliska rozbicia, biedna kobieta uczyniła gest, jakby własnym ciałem chciała osłonić pana przed niebezpieczeństwem.

Panu de Charny ścisnęło się serce; i jemu zdawało się, że dostrzegł u hrabiny coś podobnego, ale każdy szczegół ostatniego spotkania z Andrée, aż nazbyt obecny w jego pamięci, zacierał te nieśmiałe podszepty serca i zdecydowaną pewność króla,

— Zwróciłem na to uwagę już wcześniej — ciągnął dalej Ludwik XVI — a królowa odpowiedziała mi wręcz, że kiedy podczas mojej podróży do Paryża posłała pana do Ratusza, hrabina omal nie umarła z bólesci w czasie pańskiej nieobecności, a później z radości, gdy pan powrócił.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział Charny ze smutnym uśmiechem — Bóg pozwolił wysoko urodzonym, i jest to zapewne jeden z przywilejów rodu, aby już przychodząc na świat mieli owo nie znane innym ludziom spojrzenie, które przenika tajemnice ukryte w głębi serca. Król i królowa coś dostrzegli, i tak być powinno, ale ja swoim słabym wzrokiem widzę co

innego. Dlatego proszę króla, by nie przejmował się zbyt wielką miłością pani de Charny do mojej osoby, jeśli chce mi powierzyć jakąś daleką i niebezpieczną misję. Wyjazd i niebezpieczeństwa będą dobrze przyjęte, przynajmniej z mojej strony.

— A jednak, kiedy osiem dni temu królowa chciała wysłać pana do Turynu, wolał pan pozostać w Paryżu?

— Sądziłem, że misję tę równie dobrze wypełni mój brat, ja zaś powinienem zachować dla siebie misję trudniejszą i bardziej niebezpieczną.

— Otóż, mój drogi hrabio, właśnie nadeszła chwila, kiedy muszę panu powierzyć misję, która dzisiaj jest trudna, a w przyszłości może okazać się niebezpieczna. I dlatego poruszam sprawę osamotnienia hrabiny, bo zabierając jej męża chciałbym ją widzieć w towarzystwie przyjaciółki.

— Napiszę do hrabiny, Sire, aby jej przekazać wyrazy troskliwości króla.

— Jak to napisze pan? Więc nie zamierza pan spotkać się z hrabiną przed wyjazdem?

— Raz tylko odwiedziłem panią de Charny bez uprzedniego zezwolenia, a po tym, jak mnie przyjęła, trzeba będzie co najmniej królewskiego rozkazu, bym prosił o powtórne przyjęcie.

— No to nie mówmy o tym. Kiedy pana już nie będzie, porozmawiam o tym wszystkim z królową — powiedział Ludwik XVI wstając od stołu.

Po czym chrząknąwszy z zadowoleniem jak człowiek, który dobrze sobie podjadł i jest pewny sprawności własnego żołądka, zauważył:

— Na honor, lekarze mają rację twierdząc, że każda sprawa ma dwa oblicza: jedno zgryźliwe, gdy je oglądać z pustym żołądkiem, i drugie promienne, gdy się je ogląda z pełnym... Niech pan przejdzie do mego gabinetu. Czuję się usposobiony do szczerzej rozmowy.

Hrabia udał się za Ludwikiem XVI rozmyślając, ile to dostojeństwa koronowanej głowie odbiera czasem materialna i trywialna nieco strona życia, co Maria Antonina wytykała małżonkowi.

XXI

KRÓL ZAJMUJE SIĘ SPRAWAMI PAŃSTWA

Zaledwie przed dwoma tygodniami król wprowadzi się do pałacu Tuileries, a dwa pokoje jego apartamentu były już całkowicie urządzone i wyposażone we wszelkie niezbędne sprzęty. Były to jego kuźnia i jego gabinet.

Później — opisując wypadki, które wywarły niemały wpływ na los nieszczęsnego władcy — wprowadzimy czytelnika do królewskiej kuźni; na razie przejdźmy do gabinetu za panem de Charny, który stanął przed biurkiem, przy którym zasiadł właśnie król.

Gabinet wypełniały mapy, książki geograficzne, angielskie dzienniki i papiery; wśród nich odróżnić można było kartki zapisane osobiście przez Ludwika XVI, który nie pozostawiał pustych miejsc ani na górze, ani na dole, ani po bokach.

Charakter objawia się w najdrobniejszych szczegółach: drobiazgowo oszczędny Ludwik XVI nie tylko nie pozwalał zmarnować najmniejszego kawałka białego papieru, ale na dodatek pod jego ręką papier ten pokrywał się taką ilością znaków, jakie materialnie mógł pomieścić.

Charny, od trzech czy czterech lat będąc domownikiem dostojnych małżonków, zbyt był przyzwyczajony do tych wszystkich szczegółów, aby zwracać na nie uwagę. Dlatego też jego wzrok nie zatrzymał się na żadnym przedmiocie, a on sam, w pełnej szacunku pozycje, czekał, aż król zechce doń przemówić.

Król jednakże, choć zapowiedział szczerą rozmowę, był teraz trochę zakłopotany i nie wiedział, jak ją zacząć. Początkowo, jakby chcąc dodać sobie odwagi, wysunął szufladę biurka i z tajemnej skrytki wydobyl kilka kopert z papierami, które zakrył dłonią.

— Panie de Charny zauważyłem pewną rzecz... — powiedział wreszcie, wpatrując się uporczywie w hrabiego, który w pełnej szacunku postawie oczekiwał dalszych słów króla.

— ... to mianowicie, że w nocy z 5 na 6 października, mając do wyboru straż przy osobie królowej i mojej, postawił pan brata u boku królowej, a sam pozostał przy mnie.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł Charny — jestem głową rodziny, jak Pan jest głową państwa, miałem więc prawo umrzeć obok króla.

— To właśnie przekonało mnie, że gdybym kiedykolwiek miał jakieś poufne, a zarazem trudne i niebezpieczne zadanie, mogę zawierzyć pańskiej lojalności jako Francuza i oddaniu jako przyjaciela.

— Och, Sire! — zawołał Charny. — Niezależnie od tego, jak wysoko mnie ceni król, pragnę być jedynie wiernym i wdzięcznym poddanym.

— Panie de Charny, jest pan człowiekiem poważnym, choć ma pan zaledwie trzydzieści sześć lat. Nie mógł pan z tych wszystkich wydarzeń, jakie rozegrały się wokół, nie wyciągnąć wniosków... Panie de Charny, co pan sądzi o mojej sytuacji?. Jakie środki naprawy zaproponowałby pan, będąc moim pierwszym ministrem?

— Sire — powiedział Charny tonem, w którym więcej było wahania niż zakłopotania — jestem żołnierzem... marynarzem... ważne kwestie społeczne przekraczają zasięg mojej inteligencji.

— Panie — rzekł król wyciągając do hrabiego rękę z godnością, której wymagała sytuacja — jest pan człowiekiem. A drugi człowiek, uważając go za przyjaciela, pyta wprost pana, lojalnego obywatela o prawym sercu i zdrowym umyśle, co by zrobił na jego miejscu.

— Najjaśniejszy Panie, w sytuacji równie poważnej jak obecna, królowa — jak i król w tej chwili — uczyniła mi zaszczyt i zapytała mnie o zdanie. Było to w dniu zdobycia Bastylii.

Przeciwko stu tysiącom uzbrojonych paryżan, przetaczających się jak ziejąca ogniem i żelazem hydra po bulwarach i ulicach przedmieścia Świętego Antoniego, chciała bowiem rzucić swoich osiem czy dziesięć tysięcy cudzoziemskich żołnierzy. Gdyby królowa nie знаła mnie tak dobrze, gdyby nie wiedziała o moim oddaniu i szacunku, to odpowiedź na pewno byłaby nas poróżniła... Czy i dzisiaj, Sire, mogę się nie lękać, że moja szcera odpowiedź zrani króla?

— Co powiedział pan królowej?

— Że Wasza Królewska Mość nie mając dość siły, aby wkroczyć do Paryża jako zdobywca, powinien się tam zjawić jako ojciec.

— Czyż nie poszedłem za tą radą?

— Tak, Sire. .

— Pozostaje teraz rozważyć, czy dobrze zrobiłem, bo — niech pan nam powie — czy tym razem wszedłem do Paryża jako król, czy jako więzień?

— Najjaśniejszy Panie, czy król pozwala mi mówić z całą szczerością?

— Ależ tak, hrabio. Pytając o pańskie zdanie, tym samym proszę o szczerść.

— Sire, nie pochwalałem uczty wersalskiej; błagałem królową, by nie chodziła do teatru pod nieobecność małżonka; byłem zrozpaczony, gdy Jej Królewska Mość podeptała kokardę narodową i przywdziała czarną kokardę Austrii.

— Sądzi pan, panie de Charny, że w tym tkwi właściwa przyczyna wydarzeń 5 i 6 października?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ale tu przecież tkwił ich pretekst. Sire, nie jesteś niesprawiedliwy wobec ludu, prawda? Lud jest dobry, kocha króla, jest za monarchią; ale lud cierpi, marznie, jest głodny; źli doradcy otaczają lud ze wszystkich stron i oni go podburzają. Lud rusza, roztrąca, obala, bo sam nie zna swojej siły; niczym pożar toczy się i rozlewa jak powódź — pali i topi.

— Zatem, panie de Charny, co mam robić, zakładając, co raczej naturalne, że nie chcę zostać spalony ani utopiony?

— Najjaśniejszy Panie, nie trzeba dawać pretekstu, który ułatwiłby szerzenie się powodzi i rozniecanie pożaru... Przepraszam — wtrącił nagle Charny — zapominam, że nawet na rozkaz króla...

— Chce pan rzec: na jego prośbę. Proszę, niech pan mówi dalej.

— Otóż, Najjaśniejszy Panie, widział pan lud Paryża, od tak dawna oddalony od swoich władców, a tak spragniony ich widoku. W Wersalu widział go Pan jako budzącego grozę podpalacza i mordercę, lub raczej wydało ci się, Panie, że jest taki, bo to nie lud był w Wersalu! Widziałeś go w Tuileries, jak pod pałacowym balkonem witał cię, królową i królewską rodzinę; jak wysyłał deputacje do królewskich apartamentów, delegację kobiet z hal, straż obywatelską, władze miejskie. Widziałeś, Sire, jak ci, co nie należą do delegacji, a tym samym nie mają szczęścia wkroczyć na królewskie pokoje i rozmawiać z Najjaśniejszym Panem, tłoczyli się u okien pałacowej jadalni i jak przez te okna matki i ich dzieci przesyłały dostojnym biesiadnikom pocałunki.

— Tak, widziałem to wszystko i stąd właśnie moje wahania. Zastanawiałem się, który lud jest prawdziwy: czy ten, co pali i zabija, czy ten, co schlebia i oklaskuje.

— Och, ten drugi, Sire, ten drugi! Zaufaj mu, a będzie Cię bronił przeciw pierwszemu.

— Hrabio, powtarza pan dokładnie to samo, co dziś rano, dwie godziny wcześniej, mówił mi doktor Gilbert.

— Czemu więc, Najjaśniejszy Panie, zapoznawszy się ze zdaniem tak rozumnego, uczonego i poważnego człowieka, raczysz jeszcze pytać o nie biednego oficera?

— Zaraz panu powiem, panie de Charny — rzekł Ludwik XVI. — Jest bowiem między wami wielka różnica. Pan jest oddany królowi,, a doktor Gilbert — monarchii.

— Nie bardzo pojmuję, Najjaśniejszy Panie.

— Rozumiem przez to, że byle tylko nie została naruszona monarchia, czyli zasada, doktor chętnie poświęci dla niej króla, to znaczy człowieka.

— W takim razie Wasza Królewska Mość słusznie twierdzi: jest między nami różnica, dla mnie, Sire, jesteś równocześnie i królem, i monarchią. Dlatego właśnie proszę dysponować moją osobą.

— Wcześniej jednak chciałbym wiedzieć, do kogo by się pan zwrócił w tej chwili ciszy między kolejnymi burzami, chcąc zatrzeć ślady minionej burzy i zażegnać nadchodzącą.

— Gdybym miał honor, a zarazem nieszczęście być królem, przypomniałbym sobie okrzyki wokół mojego powozu, gdy wracałem z Wersalu, i prawą rękę podałbym panu de La Fayette, lewą zaś panu de Mirabeau.

— Hrabio! — zawołał podniecony król — jak może pan mówić coś podobnego, skoro nienawidzi pan pierwszego, a gardzi drugim?!

— Sire, nie chodzi tu wcale o moje sympatie, idzie o ocalenie króla i przyszłość królestwa.

— Dokładnie to samo powiedział mi doktor Gilbert — szepnął jakby do siebie król.

— Najjaśniejszy Panie, jestem szczęśliwy, że moja opinia w tym względzie zgodna jest ze zdaniem człowieka tak wybitnego jak doktor Gilbert.

— A więc, drogi hrabio, sądzi pan, że z przymierza tych dwóch ludzi mógłby wyłonić się pokój narodu i bezpieczeństwo króla?

— Z boską pomocą, Sire, wiele oczekiwałem od przymierza tych dwóch ludzi.

— Ale w końcu, nawet gdybym przyczynił się do tego przymierza, gdybym na nie przystał, i mimo moich, a może także wbrew ich własnym życzeniom, nie powiodła się ta ministerialna kombinacja, która miałyby ich połączyć, co pańskim zdaniem powinienem wtedy uczynić?

— Sądzę, że wyczerpawszy wszystkie możliwości, wypełniwszy wszystkie obowiązki, jakie narzuca mu stanowisko, król winien pomyśleć o własnym bezpieczeństwie i o bezpieczeństwie rodziny.

— . Wtedy zaproponowałby mi pan ucieczkę?

— Zaproponowałbym Waszej Królewskiej Mości wycofanie się wraz z pułkami i tą szlachtą, na którą mógłby liczyć, do jakiejś twierdzy, takiej jak Metz, Nancy czy Strasburg.

Twarz króla promieniała.

— Och! Och! — zawołał Ludwik XVI. — A teraz niech pan powie szczerze, Charny, któremu z generałów, co dali mi dowody wierności, a których pan dobrze zna, powierzyłby pan niebezpieczną misję porwania lub przyjęcia króla.

— Och, Sire — szepnął Charny — doradzać to bardzo poważna odpowiedzialność, a doradzać królowi w podobnej sytuacji... Sire, wyznaję, że nie wiem, jestem słaby i bezsilny... nie potrafię.

— Otóż pomogę panu — powiedział król. — Dokonałem już wyboru i do tego właśnie człowieka chcę pana wysłać. Oto list, którego doręczenie stanowi pańską misję. Nazwisko, które pan wymieni, nie będzie więc miało żadnego wpływu na moją decyzję, zwróci mi tylko uwagę na jeszcze jednego wiernego sługę. Śmiało, panie de Charny! Kogo by pan wybrał, gdyby miał pan powierzyć swego króla męstwu, lojalności i inteligencji jednego człowieka?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Charny po chwili namysłu — przysięgam, że nie mówię tego, bo więzy przyjaźni, a nawet więzy rodzinne łączą mnie z tym człowiekiem, ale jest w armii ktoś, kto słynie z głębokiej wierności królowi. Człowiek, który jako zarządca Wysp Powietrznych zdołał w czasie wojny amerykańskiej obronić nasze posiadłości na Antylach, a nawet odebrać wiele wysp Anglikom; który później piastował różne ważne dowództwa, a obecnie jest chyba generalnym gubernatorem miasta Metz. Człowiekiem tym, Sire, jest markiz de Bouillé. Jako ojciec powierzyłbym mu syna, jako syn powierzyłbym mu ojca, a jako obywatel powierzyłbym

mu swego króla!

Choć mało wylewny, Ludwik XVI słuchał słów hrabiego z oczywistym zaniepokojeniem i można było dostrzec, że jego twarz rozjaśniała się, w miarę jak zdawał się rozpoznawać osobę, o której mówił Charny. Na dźwięk nazwiska nie mógł powstrzymać okrzyku radości.

— Ależ hrabio, przeczytaj proszę adres tego listu i powiedz, czy to nie sama Opatrzność natchnęła mnie myślą, bym zwrócił się do pana?

Charny wziął list z rąk króla i przeczytał adres:

„Do pana François Claude Amour, markiza de Bouillé, generalnego komendanta miasta Metz”.

Łzy radości i dumy zalśniły w oczach Charny’ego.

— Sire! — zawołał. — Po tym wszystkim powiedzieć mogę tylko jedno: to, że gotów jestem umrzeć dla Waszej Królewskiej Mości.

— A po tym, co się zdarzyło, ja powiem, że nie czuję się już w prawie cokolwiek przed panem ukrywać, zważywszy, że gdyby nadeszła taka godzina, panu i tylko panu — słyszy pan! — powierzę własną osobę, osobę królowej i moich dzieci. Proszę więc posłuchać, co mi proponują i co odrzucam.

Charny skłonił się i wyteżył całą uwagę.

— Jak się pan zapewne domyśla, nie po raz pierwszy mnie i mojemu otoczeniu przychodzi na myśl projekt, jaki w tej chwili rozważamy. W nocy z 5 na 6 października myślałem o tym, by wyprawić królową powozem do Rambouillet, gdzie dojechałbym konno i skąd moglibyśmy z łatwością dotrzeć do granicy, gdyż czujność, jaka nas dzisiaj otacza, nie była jeszcze wówczas tak rozbudzona. Projekt upadł, bo królowa nie chciała wyjechać beze mnie i kazała mi nawet przysiąc, że bez niej nie wyjadę.

— Najjaśniejszy Panie, byłem obecny, kiedy ta uroczysta przysięga wymieniona została między królem a królową, czy raczej między małżonkami.

— Później pan de Breteuil nawiązał ze mną pertraktacje za pośrednictwem hrabiego d’Innisdal, a tydzień temu otrzymałem list z Solury.

Król zamilkł, a widząc, że hrabia stoi nieporuszony, zapytał:

— Nie odpowiada pan, hrabio?

— Najjaśniejszy Panie, wiem, że baron de Breteuil jest człowiekiem Austrii, a lękam się urazić uczucia uzasadnionej sympatii króla względem Jego małżonki i szwagra Józefa II.

Król pochwycił rękę hrabiego i nachylając się ku niemu rzekł ściszym głosem:

— Niech się pan niczego nie obawia, hrabio, nie lubię Austrii tak samo, jak pan jej nie lubi.

Ręka Charny’ego zadrżała w królewskiej dłoni.

— Hrabio, hrabio, jeśli człowiek tak wartościowy jak pan ma poświęcić życie dla kogoś, kto ma tę smutną przewagę, że jest królem, to powinien przynajmniej wiedzieć, dla kogo się poświęca. Drogi hrabio, powiedziałem już i powtarzam: nie lubię Austrii, nie lubię Marii Teresy, która wciągnęła nas w wojnę siedmioletnią, co kosztowało nas dwieście tysięcy ludzi, dwieście milionów franków i tysiąc siedemset mil terytorium w Ameryce. Nie lubię Marii Teresy, która panią de Pompadour — tę prostytutkę! — nazywała swoją kuzynką; która sprawiła, że mój ojciec — święty człowiek! — został otruty przez Choiseula; która używała swoich córek jako dyplomatycznych agentów; która rządziła Neapolem za pośrednictwem arcyksiężniczki Karoliny, a chciała rządzić Francją za pośrednictwem arcyksiężniczki Marii Antoniny.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał Charny. — Wasza Królewska Mość zapomina, że jestem człowiekiem obcym, zwykłym poddanym króla i królowej Francji.

I Charny podkreślił słowo królowa, jak my to podkreśliliśmy czcionką.

— Hrabio, już panu powiedziałem — podjął król — że jest pan przyjacielem, i mogę z panem

mówić tym szczerzej, że uprzedzenia względem królowej są już obecnie całkowicie zatarte w moim umyśle. Mimo to wbrew własnej woli wziąłem za żonę kobietę z dynastii podwójnie wrogiej domowi Francji, wrogiej ze strony Austrii i wrogiej ze strony Lotaryngii. Wbrew mej woli pojawił się na dworze ów ksiądz de Vermond, na pozór preceptor księżniczki, w rzeczywistości szpieg Marii Teresy, o którego ocierałem się dwa lub trzy razy dziennie, tak bowiem gorliwie wypełniał nakaz pętania mi się pod nogami, a z którym przez dziewiętnaście lat nie zamieniłem słowa. Wbrew własnej woli musiałem, po dziesięcioletniej walce, obarczyć pana de Breteuil zarządem dóbr mojej dynastii i zarządem Paryża. Wbrew swojej woli powołałem na stanowisko pierwszego ministra arcybiskupa Tuluzy, ateusza zresztą. Wbrew własnej woli wreszcie wypłaciłem Austrii miliony, jakie chciała wydrzeć Holandii. Jeszcze dziś, w tej właśnie chwili, kto, jako spadkobierca Marii Teresy, poucza i kieruje królową? Jej brat, Józef II, który na szczęście jest umierający. A za czym robi to pośrednictwem? Wie pan równie dobrze jak ja, że za pośrednictwem tegoż księdza Vermond, barona de Breteuil i ambasadora Austrii, Marcy d'Argenteau. Za tym starcem kryje się inny, Kaunitz, siedemdziesięcioletni minister wiekowej Austrii. Te dwa stare pyszałki, albo raczej te dwie wieczne wdowy, rządzą królową Francji za pośrednictwem panny Bertin, jej modniarki, i fryzjera Leonarda, którym wypłacają pensję. Ado czego pchają ją w tej chwili? Do sojuszu z Austrią! Z Austrią, która zawsze była zgubą Francji i jako przyjaciel, i jako nieprzyjaciel; która uzbroiła rękę Jakuba Clément w nóż, rękę Ravallaca w sztylet, a rękę Damiensa w scyzoryk. Austria! Austria, niegdyś katolicka i nabożna, dzisiaj wyrzeka się wiary i pod rządami Józefa II przybiera półfilozoficzną pozę: nieroztropna Austria, która zwraca przeciw sobie własną szpadę — Węgry; Austria nieprzezorna, która pozwala belgijskim księżetom wydrzeć sobie najpiękniejszy klejnot korony — Niderlandy; zhołdowana Austria odwrócona od Europy, której nie powinna tracić z oczu, i wysyłająca przeciw naszym sprzymierzeńcom Turkom swe najlepsze wojska by pomóc Rosji. Nie, nie, panie de Charny, ja nienawidzę Austrii, nie mogę jej zaufać.

— Sire, Sire — szepnął Charny — te zwierzenia są wielce zaszczytne, ale i niebezpieczne dla tego, komu się je czyni! A co będzie, jeśli któregoś dnia król pożałuje, że się przede mną zwierzył?

— Och, nie obawiam się tego, a dowodem niech będzie fakt, że już kończę.

— Wasza Królewska Mość kazał mi słuchać, więc słucham.

— To nie jedyna propozycja ucieczki, jaką mi uczyniono. Czy pan zna pana de Favras, hrabio?

— Markiza de Favras, byłego kapitana pułku Belzunce, byłego dowódcę gwardii Brata królewskiego? Tak, Sire.

— To ten sam — rzekł król powtarzając z naciskiem ostatnie określenie: — był dowódcą gwardii Brata królewskiego. Co pan o nim myśli?

— Ależ to dzielny żołnierz, Najjaśniejszy Panie, i prawy szlachcic. Zrujnowany, niestety, co go niepokoi i popycha do wielu awanturnych posunięć i bezsensownych zabiegów; ale, Najjaśniejszy Panie, to człowiek honoru, który raczej umrze bez skargi i nie cofnie się o krok, niż złamie dane słowo; człowiek, któremu Wasza Królewska Mość może zaufać w doraźnej potrzebie, ale który, lękam się, niewiele byłby wart jako kierownik przedsięwzięcia.

— Dlatego też — wtrącił król z pewnym rozgoryczeniem — kierownikiem przedsięwzięcia nie jest on... lecz Brat... tak, to Brat zdobywa pieniądze, to Brat wszystko przygotowuje, to Brat, poświęcając się do końca, ma pozostać tutaj, gdybym ja wyjechał... wyjechał z Favrasem.

Charny poruszył się niespokojnie.

— Cóż pan chce, hrabio? — ciągnął dalej król. — To już nie jest partia austriacka; to partia książąt, emigrantów, szlachty.

— Proszę mi wybaczyć, Najjaśniejszy Panie, powiedziałem już, że nie wątpię w lojalność ani w odwagę pana de

Favras; dokądkolwiek podejmie się zawieźć Waszą Królewską Mość, zawiezie go albo da się zabić na środku drogi. Czemu jednak Brat nie miałby wyjechać z Waszą Królewską Mością? Czemu miałby tu pozostać?

— Powiedziałem panu przecież: żeby się poświęcić, a może — na wypadek gdyby zaszła potrzeba usunięcia króla i mianowania regenta — także po to, aby lud, zmęczony daremnymi zabiegami o króla, nie musiał zbyt daleko szukać regenta.

— Wasza Królewska Mość mówi rzecz okropne!

— Mówię to, o czym wszyscy wiedzą, drogi hrabio, o czym napisał mi wczoraj pański brat: Na ostatniej naradzie książąt w Turynie mówiono o tym, by mnie usunąć i mianować regenta; na tej samej naradzie pan de Condé, mój kuzyn, wystąpił z propozycją marszu na Lyon, nie bacząc, co z tego mogłoby wyniknąć dla króla... Widzi pan więc, że wyjąwszy ostateczność, nie mogę się zgodzić ani na Favrasa, ani na Breteuila, ani na Austrię, ani na książąt. Tego, drogi hrabio, nie powiedziałem nikomu poza panem, a mówię to tylko panu, aby nikt, nawet królowa — król przypadkowo lub rozmyślnie podkreślił ostatnie słowa — nawet królowa, która nie okazała panu podobnego zaufania, nie pozyskała sobie pana bardziej niż ja.

— Sire — tu Charny skłonił się — czy moja podróż ma być tajemnicą dla wszystkich?

— Drogi hrabio, nie jest ważne, że pan wyjeżdża, ważne jest, by nie wiadano, jaki cel tego wyjazdu.

— A cel ujawnić mam jedynie panu de Bouillé?

— Jedynie wobec pana de Bouillé, i to dopiero, gdy upewni się pan co do jego poglądów. Mój list do niego jest zwykłym listem polecającym. Zna pan moje stanowisko, moje obawy, moje nadzieje lepiej niż królowa moja małżonka, pan Necker mój minister i pan Gilbert mój doradca. Niech pan działa stosownie; wszystkie nici znajdują się w pańskich rękach, może pan nimi dowolnie manipulować. — A podając mu otwarty list dodał: — Niech pan czyta,

Charny wziął list i przeczytał:

„Pałac Tuileries, 29 października

Mam nadzieję, że jest Pan nadal zadowolony ze stanowiska komendanta Metz. Pan hrabia de Charny, porucznik mojej gwardii, przejeżdżając przez miasto, zapyta Pana, czy mam uczynić dla Pana coś więcej. Chętnie skorzystam z okazji, by spełnić pańskie życzenie, jak korzystam z okazji, aby ponowić wyrazy szacunku dla Pana.

Ludwik”.

— A teraz w drogę, panie de Charny — powiedział król. — Ma pan wszelkie pełnomocnictwa, jeśli idzie o to, co można obiecać panu de Bouillé, o ile uzna pan, że w ogóle należy mu cokolwiek obiecywać. Niech pan tylko nie angażuje mojej osoby ponad miarę tego, co mogę spełnić.

I po raz drugi podał mu rękę.

Charny ucałował tę rękę ze wzruszeniem, które zwolniło go od nowych zapewnień, i wyszedł z gabinetu, pozostawiając króla w przekonaniu — a tak rzeczywiście było — że tym dowodem zaufania zdobył serce hrabiego bardziej, niż mogłyby tego dokonać wszystkie bogactwa i wszystkie łaski, jakimi dysponował w dniach swojej wszechwładzy.

XXII U KRÓLOWEJ

Charny wychodził od króla z sercem pełnym sprzecznych uczuć.

Najsilniejszym uczuciem wyłaniającym się spośród myśli, jakie kłębiły mu się w głowie, była głęboka wdzięczność za to bezgraniczne zaufanie, które przed chwilą okazał mu król.

Zaufanie to narzucało mu jednak większe obowiązki. Sumienie jego dręczyły też wspomnienia win wobec tego szlachetnego króla, który w chwili niebezpieczeństwa wspierał się na nim jak na wiernej i niezawodnej podporze.

A im więcej Charny poczuwał się do winy wobec swego pana, tym bardziej gotów był się dla niego poświęcić.

I w miarę jak to pełne szacunku uczucie ofiarności wzbierało w jego sercu, tym bardziej kurczyło się w nim uczucie, jakie od wielu dni, miesięcy i lat żywił dla królowej.

Dlatego też Charny, powstrzymany początkowo przyływem nadziei zrodzonej pośród niebezpieczeństw — podobnej kwiatkom, co rozkwitają nad przepaściami i wypełniają wonią rozpadliny, nadziei, która instynktownie zbliżyła go do Andrée — utraciwszy ją, skwapliwie zgodził się na misję, która oddalała go od dworu; odczuwał tam bowiem dwojaką udrękę na myśl, że kocha go jeszcze kobieta, której on już nie kocha, a nie jest kochany — tak przynajmniej sądził — przez kobietę, którą już pokochał.

Korzystając z chłodu, jaki od kilku dni wkraśl się w jego stosunki z królową, wracał do siebie, zdecydowany powiadomić ją zwykłym listem o wyjeździe, gdy przed drzwiami pokoju natknął się na Webera. Królowa wzywała go, chcąc z nim pomówić niezwłocznie.

Nie sposób było zlekceważyć życzenia królowej. Życzenia władców są rozkazami.

Charny rozkazał swemu słudze przygotować powóz do drogi i podążył za mlecznym bratem królowej.

Maria Antonina była w usposobieniu całkowicie odmiennym od nastroju Charny'ego; przypomniawszy sobie, że okazała się surowa wobec hrabiego. Równocześnie na wspomnienie poświęcenia, jakiego dowody dał w Wersalu, i na wciąż świeży w pamięci widok jego brata leżącego w kałuży krwi w korytarzu prowadzącym do jej pokoju, czuła jakby wyrzuty sumienia i sama przed sobą przyznawała, że bardzo źle nagrodziła to poświęcenie.

Czy jednak nie miała prawa żądać od Charny'ego czegoś więcej niż ofiarności?... Ale zarazem, przemyślawszy sprawę, czy Charny dopuścił się wobec niej aż tylu win, o które go oskarżała?

Ale czy nie należało położyć na karb żałoby po bracie obojętności, jaką okazał po swoim powrocie z Wersalu? Obojętność ta zresztą była tylko powierzchowna i może ona, niecierpliwa kochanka, zbyt pośpiesznie oskarżyła Charny'ego, gdy odrzucił ofiarowaną mu misję do Turynu, która miała oddalić go od Andrée. Jej pierwszym odruchem, odruchem zazdrości i złości, było przekonanie, że odmowę spowodowała rodząca się miłość hrabiego do żony i chęć pozostania przy niej. W istocie, Andrée opuściła Tuileries o siódmej wieczorem, a dwie godziny później mąż odwiedził ją w samotni przy ulicy Coq-Heron. Ale nieobecność Charny'ego nie trwała długo, bo punktualnie o dziesiątej powrócił do pałacu; potem, już po powrocie, odmówił przyjęcia trzypokojowego apartamentu, jaki przygotowano dlań z rozkazu króla, i zadowolił się mansardą przeznaczoną dla służącego.

Początkowo wydawało się królowej, że w tej sprawie ucierpiała jej ambicja i miłość własna. Lecz najbardziej nawet skrupulatne dochodzenia nie pozwoliły schwytać Charny'ego poza

pałacem, chyba że w sprawach dotyczących służby. Stało się też jasne, zarówno dla królowej, jak i dla innych pałacowych bywalców, że od przyjazdu do Paryża i pojawienia się w pałacu Charny właściwie nie opuszczał pokoju.

Stwierdzono też z całą pewnością, że od chwili opuszczenia pałacu Andrée nie pojawiła się tu więcej.

Jeśli więc Andrée i Charny spotkali się w ogóle, to tylko na godzinę, w dniu, kiedy hrabia odmówił wypełnienia misji w Turynie.

Przez cały ten czas Charny nie próbował także widzieć królowej, ale czy przenikliwe spojrzenie nie dostrzegłoby w tym raczej dowodu miłości niż obojętności?

Czy przypadkiem urażony niesprawiedliwymi podejrzeniami królowej Charny nie trzymał się na uboczu nie tyle przez nadmiar chłodu, co raczej wskutek nadmiaru uczucia?

Królowa przyznawała bowiem sama, że okazała się wobec hrabiego niesprawiedliwa i okrutna; niesprawiedliwa, wymawiając mu, iż straszliwej nocy z 5 na 6 października zamiast u jej boku pozostał przy królu, a choć wciąż na nią spoglądał, rzucał także spojrzenia na Andrée; okrutna, bo nie uczestniczyła tkliwszym sercem w głębokiej boleści, jaką odczuł Charny na widok martwego brata.

Tak zresztą bywa z każdą głęboką i prawdziwą miłością. W obliczu przedmiotu miłości ta druga istota sądzi, że ma prawo do skarg. W bliskości wszystkie wymówki zdają się uzasadnione; wady charakteru, dziwaczne cechy umysłu, uchybienia serca, wszystko to ogląda jak przez powiększające szkło; nie może pojąć, jak mogła tak długo nie zauważyć tych wad i tak długo je znosić. Jeśli jednak osoba kochana oddali się z własnej woli czy za zrzuceniem losu, to ledwie zniknie z oczu, szorstkość, która raniła boleśnie jak kolce, znika; rzeczywistość jakby zaciera się; surowy realizm załamuje się pod działaniem poetyckiego tchnienia odległości i pieszczotliwego spojrzenia pamięci; już nie osądza, lecz porównuje, zmienia własne opinie, łagodzi je wyrozumiałością i ostatecznie zwycięża przekonanie, że kochana osoba została niedoceniona lub oceniona niesprawiedliwie. Ostatecznie, po ośmio— czy dziesięciodniowej nieobecności, ukochana istota wydaje się jeszcze droższa i bardziej niezbędna niż kiedykolwiek.

Oczywiście mówimy tu o przypadku, w którym żadna inna miłość nie wykorzystała nieobecności, aby zająć w sercu pierwsze miejsce.

Takie więc były nastroje królowej wobec pana de Charny, kiedy drzwi się otwały i hrabia, który, jak już wspomnieliśmy, opuścił właśnie królewski gabinet, pojawił się w nienagannym mundurze pełniącego służbę oficera.

W jego postawie, nacechowanej jak zawsze głębokim szacunkiem, był jednak jakiś chłód, który zniweczył gorące porywy serca królowej, zaś w sercu hrabiego obudził tkliwe lub bolesne wspomnienia, które zbierały się tam od czterech lat, w miarę jak czas, upływający to powoli, to znów szybko, zmieniał terażniejszość w przeszłość, a z przyszłości czynił terażniejszość.

Charny skłonił się i zatrzymał w progu.

Królowa rozejrzała się wokół, jakby szukając przyczyny, która zatrzymała młodego człowieka na drugim krańcu komnaty, a nie doszukawszy się takiej, rzekła: .

— . Niech się pan zbliży, panie de Charny, jesteśmy sami.

Charny zbliżył się, po czym głosem łagodnym, lecz tak stanowczym, że nie sposób było wyczuć w nim najmniejszego wzruszenia, powiedział:

— Jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Hrabio — podjęła czułym tonem królowa — nie słyszał pan? Mówiłam, że jesteśmy sami?

— Tak, Pani — odparł Charny — ale nie widzę, dlaczego ta sytuacja miałaby w czymkolwiek zmienić sposób, w jaki poddany winien zwracać się do swojej królowej.

— Kiedy posłałam po pana, hrabio, i Weber oznajmił mi pańskie przybycie, sądziłam, że to

przyjaciel przychodzi porozmawiać z przyjaciółką.

Na wargach Charny'ego zarysował się gorzki uśmiech.

— Tak, hrabio — rzekła królowa — rozumiem ten uśmiech, i wiem, co myśli pan w duchu. Sądzi pan, że w Wersalu byłam niesprawiedliwa, a w Paryżu jestem kapryśna.

— Niesprawiedliwość czy kaprys, Najjaśniejsza Pani, wszystko dozwolone jest kobiecie, a tym bardziej królowej.

— Och, mój Boże — powiedziała Maria Antonina z całym wdziękiem, jakim tylko mogła przepoić głos i spojrzenie — pan dobrze wie, że obojętnie, czy byłby to kaprys kobiety czy królowej, królowa nie może się obyć bez pana jako doradcy, kobieta zaś — bez pana jako przyjaciela.

I wyciągnęła doń rękę, białą, smukłą, nieco wychudzoną, ale wciąż jeszcze godną dłuta rzeźbiarza. Charny ucałował ją z szacunkiem i już chciał ją puścić, lecz poczuł, że Maria Antonina pragnie jeszcze zatrzymać jego rękę w swej dłoni.

— Tak, byłam niesprawiedliwa, więcej niż niesprawiedliwa, okrutna! — rzekła biedna kobieta odpowiadając tymi słowami na gest, który on uczynił. — Pański brat zginął w mojej służbie, drogi hrabio. Brat, którego kochał pan miłością niemal ojcowską zginął w mojej obronie; powinnam była opłakiwać go wraz z panem, lecz wówczas przerażenie, gniew, zazdrość — cóż pan chce, jestem kobietą! — powstrzymały łzy w moich oczach... Będąc sama przez owych dziesięć dni, kiedy pana nie widziałam, spłacałam jednak należny dług opłakując go, czego dowodem, proszę, niech pan spojrzysz, jest, że i teraz jeszcze płaczę.

I Maria Antonina odchyliła do tyłu swą piękną głowę, by Charny mógł dojrzeć łzy, które niby dwa diamenty toczyły się po twarzy, na której cierpienie zdołało już wyrzeźbić liczne bruzdy.

Ach, gdybyż Charny mógł wiedzieć, ile jeszcze łez popłynie w ślad za tymi, które teraz płynęły, zdjęty ogromną litością byłby zapewne padł do stóp królowej prosząc o przebaczenie za wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządziła.

Za przyzwoleniem miłosiernego Boga przyszłość jednak okrywa gęsta zasłona, której unieść nie może żadna ręka ani przed czasem przebić żadne spojrzenie, zaś czarna materia, z jakiej utkany był los Marii Antoniny, zdawała się być pokryta tak bogatym złotym haftem, że nikt nie dostrzegł w niej żalobnej szaty.

Zresztą zbyt mało czasu upłynęło od chwili, gdy Charny uściskał dłoń króla, aby pocałunek, jaki złożył na ręce królowej, mógł być czymś więcej niż zwykłym wyrazem szacunku. Powiedział więc:

— Proszę mi wierzyć, Pani, iż nader wdzięczny jestem za pamięć o mojej osobie i boleść związaną ze śmiercią mego brata. Niestety, ledwo starczy mi czasu, by tę wdzięczność wyrazić...

— Jak to, co pan chce przez to powiedzieć? — zapytała zdziwiona Maria Antonina.

— Chcę powiedzieć, że za godzinę opuszczam Paryż.

— Opuszcza pan Paryż za godzinę?

— Tak, Najjaśniejsza Pani.

— Och, Boże, porzuca nas pan jak wszyscy inni? — zawołała królowa. — Emigruje pan, panie de Charny?

— Och, tym okrutnym pytaniem Wasza Królewska Mość daje mi do zrozumienia, że moje winy wobec niej są większe, niż sądziłem.

— Przepraszam, drogi przyjacielu, ale mówi pan, że wyjeżdża... Z jakiej to przyczyny?

— By wykonać zadanie, jakim łaskawie raczył obarczyć mnie król.

— I opuszcza pan Paryż? — zapytała zaniepokojona Maria Antonina.

— Tak, Najjaśniejsza Pani, opuszczam Paryż.

— Na jak długo?

— Nie wiem.

— Ale przecież, o ile sobie przypominam, tydzień temu odrzucił pan inne zadanie.

— To prawda, Pani.

— Dlaczego więc, odrzuciwszy jedną misję, godzi się pan dzisiaj na drugą.

— Bowiem w ciągu tygodnia może zajść wiele, zmian w życiu człowieka, a co za tym idzie i w jego decyzjach.

— I wyjeżdża pan... sam? — zapytała.

— Tak, Najjaśniejsza Pani, sam.

Maria Antonina odetchnęła z ulgą. Po chwili, jakby wyczerpana wysiłkiem, zamknęła oczy i ocierając czoło batystową chusteczką, zapytała znowu:

— Dokąd to pan jedzie?

— Król, o ile mi wiadomo, nie ma tajemnic przed Waszą Królewską Mością, jeśli więc królowa zapyta dostojnego małżonka o cel mojej podróży i przedmiot misji, nie wątpię ani przez chwilę, że król udzieli odpowiedzi.

Maria Antonina otwarła oczy i utkwiała w panu de Charny zdziwione spojrzenie.

— Dlaczego miałabym się zwracać do niego, skoro mogę zwrócić się do pana?

— Dlatego, że tajemnica, jaką mi powierzono, jest tajemnicą króla, nie moją.

— Wydaje mi się, panie — podjęła Maria Antonina z pewną wyniosłością — że tajemnica króla jest również tajemnicą, królowej.

— Nie wątpię w to, Najjaśniejsza Pani — odparł Charny z ukłonem — dlatego też śmiem twierdzić, że król zawierzy ją Pani bez żadnych trudności.

— W końcu jednak, czy to misja wewnątrz Francji czy też poza jej granicami?

— W tym względzie tylko król może udzielić Waszej Królewskiej Mości żądanych wyjaśnień.

— A więc — rzekła królowa z uczuciem głębokiego żalu, który chwilami brał górę nad rozdrażnieniem wywołanym powściągliwością hrabiego — wyjeżdża pan, oddała się ode mnie, zapewne czekają pana niebezpieczeństwa, a ja nie będę nawet wiedzieć, gdzie pan jest i co mu zagraża.

— Najjaśniejsza Pani, gdziekolwiek się znajdę, zawsze będzie miała Pani we mnie — mogę na to przysiąc Waszej Królewskiej Mości — wiernego sługę i poddanego, a wszelkie niebezpieczeństwa w służbie dwojga osób, które czczą najbardziej na świecie, zniosę z radością.

I skłoniwszy się, hrabia czekał już tylko na pozwolenie odejścia.

Westchnienie królowej przypomniało stłumione łkanie, więc przesunęła dłonią po szyi, jakby chcąc przełknąć dławiące ją łzy, i powiedziała:

— Dobrze, może pan odejść.

Charny skłonił się powtórnie i pewnym krokiem ruszył ku drzwiom. Ale w chwili, gdy kładł już dłoń na klamce, królowa wyciągając doń ręce krzyknęła:

— Charny!

Hrabia zadrżał i zwrócił ku niej pobladłą twarz.

— Charny — rzekła Maria Antonina — proszę podejść bliżej.

Zbliżył się chwiejnym krokiem.

— Niech pan podejdzie jeszcze bliżej i spojrzysz mi w oczy... Już mnie pan nie kocha, prawda?

Charny poczuł, że przenika go dreszcz. Przez chwilę myślał, że zemdleje. Po raz pierwszy ta dumna kobieta, ta władczyni ugięła się przed nim.

W każdej innej okoliczności, w każdej innej chwili przypadłby do kolan Marii Antoniny i błagał, o przebaczenie, ale pamięć o tym, co niedawno zdarzyło się między nim a królem, podtrzymała go; zebrawszy więc wszystkie siły powiedział:

— Najjaśniejsza Pani, po dowodach ufności i dobroci, jakimi obdarzył mnie król, byłbym

doprawdy nędznikiem, gdybym okazał Waszej Królewskiej Mości coś innego prócz oddania i szacunku.

— Dobrze, hrabio — rzekła królowa — jest pan wolny.

Przez chwilę Charny walczył z nieprzepartym pragnieniem, aby rzucić się do stóp królowej, nieodparta lojalność zwyciężyła jednak nie tłumiąc resztek miłości, którą uważał za wygasłą, a która teraz, żywsza niż kiedykolwiek, omal nie buchnęła z nową siłą.

Wybiegł z pokoju, jedną dłoń położywszy na czole, a drugą na sercu, szepcząc coś bezładnie; gdyby Maria Antonina usłyszała te słowa, uśmiech triumfu zająłby miejsce pełnych rozpaczy łez.

Królowa odprowadziła go wzrokiem, wciąż łudząc się, że jeszcze do niej wróci. Drzwi zamknęły się jednak; potem słyszała tylko odgłos jego kroków w przedpokojach i korytarzach.

Pięć minut po wyjściu Charny'ego wciąż jeszcze nasłuchiwała, gdy nagle uwagę jej przyciągnął jakiś hałas dochodzący z dziedzińca.

Podbiegła do okna i ujrzała podróżną karetkę Charny'ego, która przecięła dziedziniec Szwajcarów i oddalała się ulicą Carrousel. Zadzwoiła na Webera, a kiedy wszedł, zapytała:

— Gdybym nie była uwięziona w pałacu i chciała udać się na ulicę Coq–Heron, jaką drogą powinnam pojechać?

— Najjaśniejsza Pani — odrzekł Weber — trzeba by wyjechać bramą dziedzińca Szwajcarów, skręcić w ulicę Carrousel, potem ulicą Saint–Honoré aż do...

— Dobrze... już wiem... — I szepnęła: — Pojechał do niej, by się pożegnać. — A oparłszy czoło o zimną szybę dodała jeszcze półgłosem, dławiąc każde słowo w zaciśniętych zębach:

— Och, muszę jednak wiedzieć, czego się mam trzymać. I, już głośno, zwróciła się do Webera:

— Weber, pójdziesz na ulicę Coq–Héron do pani hrabiny de Charny i powiesz, że pragnę z nią mówić jeszcze dziś wieczór.

— Zechcesz mi, Pani, wybaczyć — odparł kamerdyner — ale sądziłem, że Wasza Królewska Mość wcześniej już przeznaczyła dzisiejszy wieczór dla pana doktora Gilberta.

— Ach, to prawda — zawahała się królowa.

— Co Wasza Królewska Mość rozkaże?

— Odwołaj doktora Gilberta i zaproś go na jutro rano. Po chwili zaś dodała szeptem już sama do siebie:

— Tak, to nawet lepiej, polityka na jutro rano. Zresztą rozmowa z panią de Charny może mieć pewien wpływ na moje decyzje.

I skinieniem ręki odprawiła Webera.

XXIII

CHMURNE HORYZONTY

Królowa myliła się. Charny nie udał się do hrabiny. Pojechał na królewską pocztę, by dostać konia do swego powozu. Gdy zaprzęgano, wszedł do kierownika poczty, poprosił o pióro, atrament i papier i napisał do hrabiny list, który przesłał jej przez służącego.

Hrabina na wpół leżąc na sofie, stojącej w rogu salonu przy małym stoliku, czytała właśnie ten list, gdy Weber wprowadzony został bez uprzedniego zameldowania, jak przystało ludziom wysyłanym przez króla lub królową.

— Pan Weber — oznajmiła pokojówka w chwili, gdy ten stanął na progu.

Hrabina szybko złożyła list, który trzymała w ręku i przycisnęła go do piersi, jakby lokaj królowej przybył tu, by go odebrać.

Weber wypełnił polecenie po niemiecku. Mówienie w ojczystym języku było dlań zawsze przyjemnością, a Andrée, która nauczyła się niemieczyny za młodu, dzięki dziesięcioletniej zażyłości z królową władała tym językiem niemal jak ojczystą mową.

Weber ubolewał, że Andrée opuściła pałac i rozstała się z królową, ponieważ utracił okazję mówienia swoim językiem.

Nalegał, aby Andrée pod żadnym pozorem nie zaniedbała wizyty u królowej — w nadziei, że spotkanie doprowadzi być może do zbliżenia — i parokrotnie powtórzył, że królowa odwołała rozmowę z doktorem Gilbertem, która odbyć się miała dziś wieczór.

Andrée odparła po prostu, że wykona rozkaz królowej.

Po wyjściu Webera hrabina trwała przez chwilę w bezruchu z zamkniętymi oczyma, jakby chciała odpędzić wszystko, co zakłócało jej myśli, po czym wróciła do listu. Na koniec szepnęła z pełnym smutku uśmiechem:

— Niech cię Bóg strzeże, duszo mego życia! Nie wiem, gdzie jesteś ale Bóg to wie, i moje modlitwy dotrą do Jego tronu.

I choć nie mogła odgadnąć, czemu królowa ją wzywa, cierpliwie i bez lęku czekała chwili udania się do Tuileries. Inaczej było z królową. Uwięziona niemal w pałacu błąkała się między pawilonem Flory i pawilonem Marsa, by stłumić swą niecierpliwość.

Jakiś czas pomógł jej przetrwać Brat królewski. Przybył do Tuileries, by się dowiedzieć, jak król przyjął markiza de Favras.

Królowa, nie znając celu podróży hrabiego de Charny, przychyliła się do koncepcji Brata i w rozmowie z nim zaangażowała króla bardziej, niż on by sobie tego życzył. Obiecała też, że w odpowiedniej chwili wszystko weźmie na siebie.

Brat był wesół i pełen ufności. Pożyczka, o jaką pertraktował z genueńskim bankierem (którego mieliśmy możliwość oglądać przez chwilę w jego letnim domu w BeUevue), doszła do skutku i poprzedniego dnia pośredniczący w tej sprawie pan de Favras wręczył mu dwa miliony; z pieniędzy tych Favras po długich ceregielach przyjął jedynie sto ludwików, absolutnie potrzebnych na opłacenie dwóch podejrzanych ludzi, na których, jak się zaklinał, można było liczyć i którzy mieli mu pomóc w porwaniu króla.

Favras chciał udzielić informacji na temat tych osobników; królewski Brat, jak zawsze przezorny, nie tylko odmówił ich spotkania, ale nawet nie chciał znać ich nazwisk.

Brat zachowywał się tak, jakby nie wiedział o tym, co się działo. Dawał pieniądze panu de Favras, ponieważ Favras był dawniej przydzielony do jego osoby, ale co markiz z tymi pieniędzmi robił, tego nie wiedział i wiedzieć nie chciał.

Zresztą, jak już mówiliśmy, w razie wyjazdu króla Brat miał pozostać w kraju. Udawał, że w ogóle jest poza spiskiem. Krzyczał, że jego rodzinę opuszczono, a ponieważ sam zyskał popularność— bowiem rojalizm był jeszcze głęboko zakorzeniony w sercach większości Francuzów wielce prawdopodobne było, o czym już wspominał Ludwik XVI Charny'emu, że właśnie Brat zostanie mianowany regentem.

W wypadku nieudanego porwania Brat o niczym nie wiedział, wszystkiemu by zaprzeczył i zabierając resztę gotówki (czyli półtora miliona lub milion osiemset tysięcy franków) miał udać się do Turynu, przyłączając się do hrabiego d'Artois i księząt Condé.

Po odejściu Brata królowa spędziła drugą godzinę u pani de Lamballe. Biedną księżnę, oddaną królowej na śmierć i życie — o czym przekonano się później — Maria Antonina traktowała źle i porzucała, obdzielając zmienną łaską Andrée lub panie de Polignac. Znając ją jednak, królowa dobrze wiedziała, że wystarczy jeden krok w stronę tej prawdziwej przyjaciółki, a ta zawsze wybiegnie jej naprzeciw.

W Tuileries, od czasu powrotu z Wersalu, księżna de Lamballe mieszkała w pawilonie Flory, gdzie prowadziła prawdziwy salon Marii Antoniny, podobnie jak w Trianon czyniła to pani de Polignac. Ilekroć królowa, miała jakieś wielkie zmartwienie lub troskę, udawała się do pani de Lamballe wiedząc, że jest tam naprawdę kochana. Nie musiała nic mówić ani nawet zwierzać się ze swych kłopotów czy boleści, po prostu kładła głowę na ramieniu tego żywego posągu przyjaźni i łzy płynące z oczu królowej mieszały się niebawem ze łzami księżnej.

O biedna męczennico! Kto odważyłby się szukać w cieniach alkowy czystych lub zbrodniczych źródeł tej przyjaźni, kiedy nieubłagana, straszliwa, splamiona krwią Historia oznajmi cenę, jaką za nią zapłaciłaś?

Obiad pochłoniął jeszcze jedną godzinę. Spożywano go w rodzinnym gronie z księżniczką Elżbietą, panią de Lamballe oraz dziećmi.

Przy obiedzie dostojni małżonkowie pochłonięci byli swoimi myślami. Każde miało swoją tajemnicę; królowa — sprawę Favrasa, król — sprawę Bouille'go.

W przeciwieństwie do króla, który wolał zawdzięczać swoje ocalenie wszystkiemu, nawet rewolucji, byle nie zagranicy, królowa przedkładała zagranicę nade wszystko.

Trzeba zresztą powiedzieć, że to, co my, Francuzi, nazywamy zagranicą, dla królowej było rodziną. Jakże mogła na jednej szali kłaść lud, który zabijał jej żołnierzy, kobiety obrzucające ją wyzwiskami na dziedzińcach Wersalu, mężczyzn, co chcieli ją zamordować w jej własnych apartamentach, tłum, który nazywał ją Austriaczką — na jednej szali z królami, od których domagała się pomocy: z rodzonym bratem Józefem II, ze szwagrem Ferdynandem I, ze stryjecznym bratem króla Karolem IV, z którym był on nawet bliżej spokrewniony niż z linią orleańską i Kondeuszami?

Tak więc w zamierzonej ucieczce królowa nie widziała zbrodni, o jaką oskarżono ją później. Przeciwnie, widziała w niej jedyny sposób ocalenia królewskiej godności, a w zbrojnym powrocie, z którym wiązała wszystkie nadzieje, jedynie odwet za wyrządzone jej zniewagi.

Pokazaliśmy bez osłonek serce króla: on nie dowierzał królom i księżtom. Choć Niemiec po kądzieli, nie należał już wcale — jak sądziło wielu — do stronnictwa królowej, ale też Niemcy nie uważają Austriaków za Niemców.

Nie, król należał do księży.

Zatwierdził wszystkie dekrety wymierzone przeciw królom, księżtom i emigrantom. Założył natomiast veto wobec dekretu wymierzonego w księży. Dla nich naraził się na ryzyko 20 czerwca, podtrzymał swoje zdanie 10 sierpnia i poniósł karę 21 stycznia. Dlatego też papież, nie mogąc uczynić z króla świętego, uczynił zeń męczennika.

Wbrew swoim zwyczajom tego dnia królowa nie pozostała z dziećmi dłużej. Czowała, że nie

należąc sercem do ich ojca, daleka od niego, nie ma prawa do pieszczot dzieci. Tylko serce kobiety, tajemniczy narząd, co hoduje namiętności i pozwala zakwitać żalowi, ono tylko zna owe dziwaczne sprzeczności.

Toteż królowa zaraz wstała od stołu i mówiąc, że ma dużo pisania, postawiła Webera na straży u drzwi.

Król zresztą niemal tego nie zauważył, zaprzątnięty drobnymi wprawdzie, lecz ważnymi sprawami, jakie ciążyły nad Paryżem, o których doniósł mu prefekt policji.

Wyglądały one następująco:

Jak wiemy, Zgromadzenie uznało, iż jest nierozłącznie związane z królem, i przeniosło się za nim do Paryża. Czekając na salę Maneżu, niegotową jeszcze na jego przyjęcie, Zgromadzenie obrało sobie za miejsce obrad salę Arcybiskupstwa.

Tutaj, mocą dekretu, zmieniło ono tytuł „króla Francji i Nawarry” na tytuł „króla Francuzów”. Unieważniło królewską formułę: „Za naszą całkowitą wiedzą i zgodą”, zastępując ją następującym sformułowaniem: „My, Ludwik z Bożej Łaski i na mocy konstytucyjnego prawa państwowego”... Dowodziło to, że Zgromadzenie Narodowe, jak wszystkie zgromadzenia parlamentarne wczoraj i jutro, miast zajmować się poważnymi sprawami, często zajmowało się błahymi.

Winno się było na przykład zająć sprawą wyżywienia Paryża, który dosłownie umierał z głodu. Powrót z Wersalu i wprowadzenie się do pałacu Tuileries Piekarza, Piekarki i małego Piekarczyka nie przyniosło oczekiwanych efektów. Mąki i chleba wciąż brakowało. Codziennie tłumy cisnęły się do piekarń, a zgromadzenia te były przyczyną poważnych rozruchów. Jak temu jednak zaradzić? Prawo do zgromadzeń uświęciła Deklaracja Praw Człowieka.

Zgromadzenie jednak nic o tym wszystkim nie chciało wiedzieć. Jego członkowie nie musieli wystawać w kolejkach przed piekarniami, a kiedy przypadkiem ten i ów poczuł głód w czasie posiedzenia, wiedział, że nie dalej jak sto kroków stąd, przy ulicy Marché—Palu, zawsze znajdzie świeże bułeczki u piekarza nazwiskiem François, który piekł siedem czy osiem razy dziennie i zawsze trzymał zapas dla „panów ze Zgromadzenia”.

W chwili gdy komendant policji składał Ludwikowi XVI meldunek o tumultach, które pewnego pięknego poranka mogą przerodzić się w bunt, Weber otworzył drzwi małego gabinetu królowej i oznajmił:

— Pani hrabina de Charny.

XXIV

ŻONA BEZ MĘŻA — KOCHANKA BEZ KOCHANKA

Choć królowa sama zaprosiła Andrée, chociaż na nią czekała, zadrżała słysząc, jak Weber wyrzekł tych kilka słów.

Królowa nie mogła ukryć nawet sama przed sobą, że w pakcie zawartym niejako pierwszego dnia, gdy jako młode dziewczyny spotkały się w zamku Taverney, mieściła się przyjaźń i wymiana usług, lecz ona, Maria Antonina, nigdy nie wywiązała się zeń należycie..

A nic bardziej nie krępuje królów niż zaciągnięte zobowiązania, zwłaszcza gdy korzeniami sięgają głęboko w serce.

Dlatego też królowa, choć posyłając po Andrée zamierzała wytoczyć jej ciężkie zarzuty, teraz, stanąwszy naprzeciw młodej kobiety, przypomniała sobie jedynie o zaciągniętych wobec niej zobowiązaniach.

Andrée zaś zawsze była taka sama: chłodna, spokojna, czysta, ale ostra i twarda jak diament.

Królowa wahała się chwilę, jak powitać tę białą zjawę, która w półmroku apartamentu wkraczała powoli w krąg światła stojącego na stole świecznika.

Wreszcie, wyciągając rękę ku dawnej przyjaciółce, królowa powiedziała:

— Andrée, witam panią dziś tak samo jak dawniej.

Andrée, choć przygotowana do tej wizyty w pałacu, zadrżała. W słowach królowej rozbrzmiały wspomnienia rozmów, jakie toczyła niegdyś z żoną następcy tronu.

— Czy muszę powiedzieć Waszej Królewskiej Mości — odparła z właściwą sobie szczerością i dobitną prostotą — że gdyby Jej Wysokość zawsze mówiła ze mną tak jak dzisiaj, nie musiałaby teraz posyłać po mnie gdzieś daleko?

Mc nie mogło bardziej przypaść do gustu królowej niż ten rzeczowy sposób rozpoczęcia rozmowy; przyjęła go więc jako zachętę do szczerości i natychmiast z niej skorzystała.

— Niestety, Andrée, powinna pani wiedzieć, pani, taka piękna, nieskalana i czysta, której serca nie zbrukała żadna nienawiść, a duszą nie wstrząsnęła żadna miłość, pani, która po każdej burzy czy wichurze pojawia się na firmamencie błyszcząc jeszcze jaśniej, pani powinna wiedzieć, że nie wszystkim kobietom, nawet najwyżej stojącym, została dana owa niezmacona pogoda ducha, jaka jest pani udziałem. Zwłaszcza ja, która prosiłam panią o pomoc, jakiej pani tak wspomniałomyślnie mi udzieliła...

— Najjaśniejsza Pani mówi o czasach, o których ja już zapomniałam — odparła Andrée — a nie sądziłam, że królowa jeszcze o nich pamięta.

— To surowa odpowiedź, Andrée, lecz zasłużyłam na nią i racja jest po pani stronie; tak, to prawda, póki byłam szczęśliwa, nie pamiętałam o pani poświęceniu, może dlatego, że żadna ludzka siła, nawet królewska korona, nie dawała mi możliwości, by móc się odwdziaczyć. Andrée, musiała mnie pani uważać za niewdzięczną, ale być może to, co pani brała za niewdzięczność, było tylko niemocą.

— Miałabym prawo uzalać się, gdybym kiedykolwiek czegoś żądała lub o coś prosiła, zaś królowa sprzeciwiłaby się memu życzeniu lub odrzuciła moją prośbę. Ale jakże mam się skarżyć, skoro niczego nie żądałam i o nic nie prosiłam?

— Więc mam to pani powiedzieć, moja droga Andrée? Przeraza mnie w pani właśnie ta obojętność wobec spraw świata. Tak, jawi się pani jako istota nadludzka, stworzenie z innej sfery, które huragan porwał i rzucił między nas, jak owe wyprażone w ogniu kamienie, które spadają na ziemię z jakiegoś nieznanego słońca... Stąd to nagłe przeraźliwe uczucie słabości,

doznawane wobec istoty, która nigdy się nie zachwiała. Później jednak człowiek pociesza się myślą, że najwyższa doskonałość mieści w sobie zarazem najwyższą pobłażliwość, że w najczystszej krynicy obmyć można duszę i w chwili głębokiej bólesci zwykło się tak jak ja, Andrée, posyłać po tę nadludzką istotę, prosząc o pocieszenie.

— Niestety — rzekła Andrée — jeżeli właśnie tego oczekujesz ode mnie, Pani, to lękam się, że rezultat nie zdoła sprostać nadziejom.

— Andrée, Andrée, zapomina pani, w jak straszliwych okolicznościach podtrzymała mnie kiedyś na duchu i pocieszyła?!

Andrée wyraźnie pobladła. Królowa widząc, że hrabina się słania i przymyka oczy jak ktoś, kto traci siły, uczyniła gest, jakby ją chciała posadzić obok siebie na sofie, lecz Andrée opanowała się i stała nadal.

— Pani — rzekła — gdyby Wasza Królewska Mość miała litość dla swojej wiernej sługi, oszczędziłaby jej wspomnień, które ta już prawie wygnała z pamięci. Złą jest pocieszycielką osoba, która nie prosi o przebaczenie nikogo, nawet Boga, wątpi bowiem, czy sam Bóg zdołałby złagodzić pewne cierpienia.

Królowa utkwiała w Andrée jasne i głębokie spojrzenie.

— Pewne cierpienia? — zapytała królowa. — Więc trapią panią jeszcze inne cierpienia prócz tych, z jakich mi się kiedyś zwierzyła?

Andrée milczała.

— No cóż — podjęła królowa — powinnyśmy wreszcie wszystko sobie wyjaśnić i po to panią wezwałam. Czy kocha pani hrabiego de Charny?

Andrée zbladła jak trup, ale nie odezwała się słowem.

— Czy kocha pani hrabiego de Charny? — powtórzyła królowa.

— Tak!... — odparła Andrée.

Królowa jęknęła jak zraniona lwica.

— Och, domyślałam się tego... Od jak dawna pani go kocha?

— Od pierwszej chwili, gdy go ujrzałam.

Królowa cofnęła się przerażona, ów marmurowy posąg kryje jednak duszę.

— Och... i milczałaś, pani?

— Pani, wiesz o tym najlepiej.

— Dlaczego?

— Bo spostrzegłam, że Pani go kocha.

— Chcesz, pani, przez to powiedzieć, że kochałaś go więcej niż ja, ponieważ ja tego nie spostrzegłam?

— Och — rzekła z goryczą Andrée — Pani nic nie widziała, bo on Panią kochał.

— Tak... a teraz widzę, bo on już mnie nie kocha? To chciałaś powiedzieć, prawda?

Andrée milczała.

— Odpowiedz! — zawołała królowa, chwytając ją za ramię. — Przyznaj, że on mnie już nie kocha?

Andrée nie odpowiedziała ani słowem, ani gestem, ani nawet drgnieniem.

— Doprawdy, lepiej umrzeć! — krzyknęła królowa. — Niech mnie pani od razu zabije mówiąc, że on już mnie nie kocha!... No więc, nie kocha mnie już, czy tak?

— Miłość czy obojętność hrabiego de Charny to jego tajemnice i nie moją rzeczą je odsłaniać — rzekła Andrée.

— Och, jego tajemnice... ale nie tylko jego, przypuszczam bowiem, że panią uczynił swoją powiernicą.

— Hrabia de Charny nigdy nie powiedział mi słowa o swojej miłości czy obojętności

względem Pani.

— Nawet dziś rano?

— Dziś rano nie widziałam hrabiego de Charny. Królowa utkwiała w hrabinie wzrok tak przenikliwy, że wydawał się sięgać samego dna serca.

— Chce mi pani powiedzieć, że nic jej nie wiadomo o wyjeździe hrabiego?

— Tego nie mówię.

— Skąd pani wie o wyjeździe pana de Charny, skoro go pani nie widziała?

— Napisał mi o tym.

— Ach, napisał?...

I jak Ryszard II, co w ostatecznej chwili wołał „Królestwo za konia”, tak Maria Antonina omal nie wykrzyknęła: „Królestwo za ten list!”

Andrée pojęła gorące pragnienie królowej, ale chciała przez chwilę sycić się udręką rywalki.

— Jestem pewna, że nie ma pani przy sobie tego listu, który hrabia napisał do pani przed wyjazdem?

— Myli się Pani — odrzekła Andrée — oto on.

I wyjąwszy zza gorsu list, tchnący jeszcze ciepłem jej piersi, podała go królowej. Ta wzięła go, drżąca, ścisnęła chwilę w palcach nie wiedząc, czy ma go zachować czy oddać, spoglądając na Andrée spod ściągniętych brwi, wreszcie wyzbywszy się wszelkich wahań rzekła:

— Och, pokusa jest zbyt wielka!

Rozłożyła list w świetle świec i przeczytała co następuje:

„Pani,

Za godzinę opuszczam Paryż na rozkaz króla. Nie mogę Pani powiedzieć, dokąd jadę, dlaczego wyjeżdżam ani jak długo będę poza Paryżem; wszystkie te sprawy zapewne niewiele dla Pani znaczą, choć chciałbym się czuć uprawniony, by je Pani powierzyć.

Przez chwilę miałem zamiar Panią odwiedzić i osobiście zawiadomić o moim wyjeździe, ale nie śmiałem tego uczynić bez pani przyzwolenia...”

Królowa wiedziała już, co pragnęła wiedzieć i chciała zwrócić list Andrée, ale ta, jakby jej prawem było teraz rozkazywać, a nie słuchać, rzekła:

— Proszę, zechciej Pani przeczytać do końca.

Królowa podjęła lekturę:

„Nie zgodziłem się na misję, jaką proponowano mi wcześniej, bo sądziłem wówczas, biedny szaleniec, że czyjaś sympatia wiąże mnie z Paryżem. Niestety, później przekonałem się, że jest wprost przeciwnie i z radością powitałem sposobność oddalenia się od serc, którym jestem obojętny.

Na wypadek gdyby podczas podróży spotkało mnie to, co spotkało nieszczęsnego Jerzego, poczyniłem wszelkie kroki, aby Pani pierwsza została powiadomiona, iż dosięgło mnie nieszczęście i że jest Pani wolna. Wtedy dopiero dowie się Pani, jak głęboki podziw zrodził się w moim sercu na myśl o wspaniałym oddaniu, tak źle wynagrodzonym przez tę, dla której Pani, młoda, piękna i stworzona do szczęścia, poświęciła bez reszty młodość, urodę i szczęście.

Proszę więc Boga i Panią o trochę miejsca w Jej pamięci dla nieszczęśnika, który tak późno spostrzegł, jak wielki skarb był w jego posiadaniu.

Z całym szacunkiem serca Hrabia Oliwier de CharnyAndrée.

Królowa oddała list Andrée i z westchnieniem opuściła bezwładną nagle rękę.

— A więc — szepnęła Andrée — czy czuje się Pani zdradzona?! Czy sprzeniewierzyłam się, nie obietnicy, bo nigdy niczego nie obiecywałam, ale wierze, jaką Pani we mnie pokładała?

— Wybacz, Andrée — rzekła królowa. — Och, tyle wycierpiałam!...

— Cierpiałaś!... Śmiesz, Pani, mówić mnie, żeś cierpiała? A cóż ja mam rzec?... Och, nie

powiem, że cierpiałam, bo nie chcę raz jeszcze użyć słowa, którym posłużyła się już inna kobieta, by wyrazić podobne uczucie... Nie, musiałabym znaleźć nowe słowo, nieznanne i niezwykle, wyrażające sumę wszystkich cierpień, wyraz wszystkich tortur... Cierpiałas, Pani... a jednak nie widziałaś, jak człowiek kochany, obojętny na tę miłość, odwraca się, na kolanach i z sercem na dłoni, ku innej kobiecie. Nie widziałaś, Pani, jak twój brat, zazdrosny o tę drugą kobietę, którą wielbił niby poganin swoje bóstwo, bije się z twoim ukochanym. Nie słyszałaś, o Pani, jak ukochany, zraniony przez brata tak, że ledwie uszedł śmierci, wzywa w gorączce tę drugą, której Pani jesteś powiernicą. Nie widziałaś, że ta kobieta snuje się niby cień po korytarzach, którymi i ty się błąkasz, by pochwycić słowa rzucane w gorączce, świadectwo, iż szaleńcza miłość nie może wprawdzie przerwać życia, lecz może mu przynajmniej towarzyszyć do grobu. Nie widziałaś, o Pani, jak ten cudem przywrócony życiu człowiek wstaje z łoża jedynie po to, by paść do stóp rywalki... Tak, o Pani, rywalki, bo miłość nie zna, co różnice stanu. Nie byłaś, Pani, tak pogrążona w rozpacz, aby w wieku dwudziestu pięciu lat uciec do klasztoru, próbując u stóp krucyfiksu stłumić tę miłość, która cię pożerała; a później, kiedy po roku modlitw, bezsenności, postów, bezsilnych pragnień i boleści, miałaś już, Pani, nadzieję, że miłość ta, jeśli nie wygasła, to przynajmniej została stłumiona, nie dostrzegłaś, że ta rywalka, dawna przyjaciółka, która nic nie pojęła, nic nie odgadła, przychodzi zakłócić twoją samotność i żąda... Czegóż to? W imię dawnej przyjaźni, w imię ratowania jej honoru i zagrożonej godności królewskiej — żąda, abyś została żoną... czyją?... Człowieka, którego od trzech lat ubóstwiasz! Oczywiście żoną bez męża, zwykłą zasłoną odgradzającą szczęście od ludzkich spojrzeń, rodzajem całunu między trupem a światem. Nie musiałaś, Pani, wiedziona nie litością, bowiem zazdrosna miłość nie zna miłosierdzia, lecz obowiązkiem, godzić się na ten akt bezgranicznego poświęcenia. Nie słyszałaś, o Pani, jak ksiądz pyta, czy chcesz poślubić człowieka, który naprawdę nigdy nie będzie twoim mężem. Nie czułaś, jak ten człowiek wsuwa ci na palec złotą obrączkę, rękojmię wiecznej jedności, obrączkę, która dla ciebie, Pani, jest tylko pustym i nic nie znaczącym symbolem. Nie musiałaś też, Pani, w godzinę po ślubie opuścić swego męża, by go zobaczyć znów... w roli kochanka rywalki... Ach, Pani, te trzy minione lata to okrutne lata!

Królowa uniosła bezwładną rękę, szukając ręki Andrée, ale ta ją cofnęła ze słowami:

— Ja nic nie obiecywałam, a przecież czegoś dotrzymałam — mówiła dalej hrabina tonem oskarżyciela — Pani przyrzekła mi dwie rzeczy...

— Andrée, Andrée! — przerwała królowa.

— Przyrzekłaś mi, Pani, że nie spotkasz się więcej z panem de Charny. Przyrzeczenie tym bardziej wiążące, że o nie nie prosiłam.

— Andrée!

— Potem przyrzekłaś mi, Pani — tym razem na piśmie — że będziesz mnie traktować jak siostrę; o to przyrzeczenie też nie zabiegałam.

— Andrée!

— Czy mam przypomnieć słowa obietnicy, którą mi, Pani, dałaś w uroczystej chwili, w chwili gdy właśnie poświęciłam dla niej życie, więcej niż życie... moją miłość... a więc moje szczęście na tym świecie i zbawienie na tamtym... Tak, zbawienie na tamtym, bo nie grzeszymy jedynie czynem, Pani, a któż zaręczy, że Bóg przebaczy mi niedorzeczne pragnienia, bezbożne życzenia? Tak więc w owej chwili, kiedy wszystko dla ciebie poświęciłam, wręczyłaś mi, o Pani, list, który widzę nadal, bo każda litera płonie mi przed oczyma. A brzmiał on tak:

„Andrée, ocaliłaś mnie! Pani zawdzięczam mój honor, więc moje życie należy do Pani! W imię tego honoru, który tak drogo Panią kosztuje, przysięgam, że, może Pani mnie nazywać siostrą; proszę spróbować, a nigdy się nie zawstydzę.

Przesyłam to pismo na Pani rękę: to dowód mojej wdzięczności, posag, jaki Pani daję.

Pani serce jest najszlachetniejszym z serc: będzie mi tedy wdzięczne za dar, który składałam. Maria Antonina”.

Królowa westchnęła przygnębiona.

— Tak, rozumiem — mówiła dalej Andrée — sądziłaś, Pani, że ponieważ spaliłam ten list, to o nim zapomniałam?!... Nie, pamiętam każde słowo i w miarę, jak ty, Pani, zdawałaś się o nim zapominać, ja przypomiinałam sobie go coraz bardziej...

— Och, wybac mi, Andrée, wybac... Myślałam, że on cię kocha!

— Sądziła więc Pani, że takie jest prawo serca: ponieważ on kocha Panią mniej, tym samym powinien już kochać inną?

Andrée tyle wycierpiała, że stawała się okrutna.

— Więc pani także spostrzegła, że on kocha mnie mniej? — zawołała królowa głosem pełnym bóleści.

Andrée nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na królową, nieprzytomną z trwogi, i jakby uśmiech pojawił się na jej wargach.

— Ale, mój Boże, co trzeba zrobić, aby zachować tę miłość, to znaczy moje umykające życie? Och, Andrée, przyjaciółko moja, siostró moja, jeśli wiesz, powiedz mi, błagam, zaklinam cię...

I wyciągnęła obie ręce do Andrée, ta jednak cofnęła się o krok.

— Pani, cóż mogę wiedzieć ja, której on nigdy nie kochał?

— Tak, ale może cię pokochać... pewnego dnia może do ciebie przyjść, pełen skruchy paść do twych kolan i prosić o przebaczenie za wszystkie cierpienia, jakie ci zadał... A cierpienia, mój Boże, tak łatwo zapomina się o nich w ramionach ukochanego! Tak szybko przebacza się temu, kto był przyczyną naszych cierpień!

— Otóż gdyby zdarzyło się to nieszczęście, a byłoby to chyba nieszczęście dla nas obu, czyżbyś zapomniała, o Pani, że zanim mogłabym zostać żoną pana de Charny, musiałabym mu wyjawic pewną tajemnicę, uczynić śmiertelne wyznanie... przedstawić straszliwą prawdę, która natychmiast zabiłaby miłość, której się Pani tak boi... Czy zapominasz, Pani, że musiałabym opowiedzieć mu to, co tobie opowiedziałam?

— Powiedziałabyś mi, pani, że zostałaś zniewolona przez Gilberta?... I że masz dziecko?...

— Och, doprawdy — rzekła Andrée — za kogo mnie bierzesz, Najjaśniejsza Pani, skoro możesz o tym wątpić? Królowa odetchnęła.

— A więc nie zrobi pani nic, aby odzyskać pana de Charny?

— Nie, Pani. Nie zrobię nic w przyszłości, jak nie robiłam nic w przeszłości.

— Nie powie mi pani, a nawet nie da do zrozumienia, że go pani kocha?

— Nie, chyba że on sam przyjdzie do mnie i powie, że mnie kocha.

— A jeśli przyjdzie i powie, że panią kocha; jeśli mu pani powie, że i pani go kocha, czy przysięgnie mi pani...

— Och, Pani... — przerwała Andrée.

— Tak, masz rację, Andrée, siostró moja, przyjaciółko, jestem niesprawiedliwa, wymagająca, okrutna. Och, ale kiedy wszystko mnie opuszcza, przyjaciele, władza, sława, chciałabym, żeby przynajmniej ta miłość, dla której poświęciłam sławę, władzę i przyjaciół... chciałabym, żeby przynajmniej ta miłość pozostała.

— A teraz, Pani — rzekła Andrée z tym lodowatym chłodem, który nie opuścił jej ani na chwilę, gdy mówiła o przeżytych torturach — czy masz do mnie jakieś pytanie... lub jakieś nowe rozkazy?

— Nie, dziękuję... Chciałam pani zwrócić moją przyjaźń, a pani ją odrzuciła... Żegnam, Andrée, i proszę przynajmniej przyjąć moją wdzięczność.

Andrée uczyniła ręką gest, którym zdawała się odtrącać wdzięczność, jak już odtrąciła

przyjaźń, a złożywszy głęboki i zimny ukłon, wyszła powoli i cicho niczym zjawą.

— Och, masz rację, że nie chcesz ani mojej wdzięczności, ani mojej przyjaźni, bo proszę Boga, aby mi to wybaczył, ale nienawidzę cię tak, jak nigdy nie nienawidziłam nikogo... bo, jeśli on cię dotąd nie pokochał... Och, jestem pewna, że któregoś dnia cię pokocha!...

A potem, wezwawszy Webera, zapytała: — Weber, widziałeś pana Gilberta?

— Tak, Wasza Królewska Mość.

— O której godzinie ma przyjść jutro rano?

— O dziesiątej.

— Dobrze, uprzedź moje panie, że będę dzisiaj spała sama, że jestem niezdrowa, zmęczona i pragnę, aby jutro pozwolono mi spać do dziesiątej... Pierwszą i jedyną osobą, którą przyjmę, będzie doktor Gilbert.

XXV PIEKARZ FRANÇOIS

Trudno opisać jak obie kobiety spędziły tę noc.

Nazajutrz o dziewiątej rano odnajdujemy królową bladą i z oczyma czerwonymi od łez. O ósmej, czyli niemal o świcie — było jeszcze ciemno, gdyż o tej porze roku dni są krótkie — królowa wstała z łóżka, gdzie przez parę godzin próżno szukała odpoczynku, znajdując tylko gorączkowy i niespokojny sen.

Choć zgodnie z rozkazem nikt nie śmiał wejść do jej sypialni, od paru chwil słyszała wokół apartamentu jakąś krzątaninę, tłumione hałasy, długotrwałe szmery, świadczące o tym, że dzieje się coś niezwykłego.

Pośród tych niejasnych odgłosów, które przetaczały się wzdłuż korytarzy, usłyszała głos Webera, nakazujący ciszę.

Wezwała wiernego kamerdynera i równocześnie wszystko ucichło.

W drzwiach pojawił się Weber.

— Co tam znowu, Weberze? — zapytała królowa. — Co się dzieje w pałacu i co znaczą te hałasy?

— Najjaśniejsza Pani — odparł Weber — podobno hałasują w okolicach Cité.

— Hałasują? A to z jakiego powodu?

— Jeszcze nie wiadomo; mówi się o rozruchach z powodu chleba.

Dawniej nie przyszłoby królowej na myśl, że ludzie mogą umierać z głodu; lecz od owego dnia, gdy podczas jazdy z Wersalu następca tronu poprosił ją o chleb, którego nie mogła mu dać, pojęła, co znaczy rozpad i głód.

— Biedni ludzie! — szepnęła, przypominając sobie ten dzień, a także wyjaśnienia, jakich udzielił jej wtedy Gilbert. — Teraz sami widzą, że jeśli nie mają chleba, nie jest to wina ani Piekarza, ani Piekarki.

I głośno już zapytała:

— Czy zachodzi obawa, że może to być poważne?

— Nie umiem powiedzieć, Pani. Raporty są sprzeczne.

— Pobiegnij więc, Weberze, do Cité, to niedaleko stąd, sam zobacz, co się dzieje i wracaj, aby mi opowiedzieć.

— A pan doktor Gilbert? — zapytał kamerdyner.

— Uprzedź panią Campan albo Misery, że czekam na niego, niech go natychmiast wprowadzą. — Po czym, rzucając to ostatnie polecenie, gdy kamerdyner już wychodził, dodała: — Weber, przykaż, by nie kazano mu czekać. Doktor jest dobrze poinformowany i wyjaśni nam, co się dzieje.

Weber wyszedł z pałacu, minął bramę Luwru i wszedł na most, kierując się krzykami tłumu, który walił w stronę Arcybiskupstwa, dotarł do placu przed katedrą Notre-Dame. W miarę jak zbliżał się do serca starego Paryża, tłum wzbierał, a krzyki stawały się coraz gwałtowniejsze.

Przez te krzyki, czy raczej wycia, przebijały się głosy, dobiegające z nieba podczas burzy, a z ziemi w dniach rewolucji, głosy, które wołały:

— Zagłodzi nas! Zabić go, zabić! Na latarnię! Na latarnię!

Tysiące głosów, wśród których przeważały głosy kobiet, powtarzały to ślepo, nie wiedząc nawet o co chodzi, w oczekiwaniu widowiska, które zawsze napełnia radością serca tłumu:

— Łajdak! Powiesić go! Na latarnię!

Nagle Weber odczuł potężny wstrząs i został porwany wielką falą ludzką, która stale zmieniała kierunek. Dojrzał w ulicy Chanoinesse jakiegoś bladego nieszczęśnika w podartym ubraniu, który szamotał się w tej masie. To właśnie on wzniecił gniew ludu, przeciwko niemu zwracały się wszystkie te krzyki, wrzaski i pogrożki.

Bronił go tylko jeden człowiek, jeden tylko przeciwstawił się temu ludzkiemu strumieniowi. Człowiekiem, który kierowany litością podjął się zadania, jakiemu nie sprostałoby dziesięciu, dwudziestu, stu ludzi, był Gilbert. Rozpoznawszy go kilkunastu ludzi z tłumu zaczęło, wołać:

— To doktor Gilbert, patriotę, przyjaciel La Fayette’a i Bailly’ego. Posłuchajmy doktora Gilberta!

Wołaniem tym odpowiedziała chwila ciszy, jakby przelotny spokój pośród zrywów nawałnicy.

Weber skorzystał z tego, by przebić się do doktora.

— Panie doktorze Gilbert! — zawołał. Gilbert odwrócił się.

— Ach, to pan, Weberze! — I przywoławszy go bliżej, szepnął:— Niech pan zawiadomi królową, że przyjdę później, niż było umówione. Muszę ratować tego człowieka.

— Och tak, tak! — wtrącił nieszczęsny, słysząc ostatnie słowa. — Obroni mnie pan, doktorze, prawda? Niech pan im powie, że jestem niewinny!... Ze moja żona jest w ciąży!... Przysięgam, że nie ukrywałem chleba.

Prośba i skarga nieszczęsnego wznieciły na nowo przygasły już ogień nienawiści i wściekłości, bo krzyki wzmożyły się i groźby gotowe były zmienić się w rękoczynny.

— Przyjaciele! — zawołał Gilbert, z nadludzką siłą opierając się naporowi rozwścieczonego tłumu. — Ten człowiek jest Francuzem jak, wy wszyscy. Nie można, nie wolno mordować człowieka, nie wysłuchawszy go nawet. Zaprowadźcie go na dystrykt, a potem zobaczymy.

— Tak! — odpowiedziały głosy tych, co poznali doktora.

— Panie Gilbert — rzekł kamerdyner królowej — niech się pan trzyma, ja zaalarmuję oficerów dystryktu... Będą tu za pięć minut, to dwa kroki stąd.

I nie czekając aprobaty doktora, zniknął w tłumie.

Tymczasem cztery czy pięć osób przyszło w sukurs doktorowi, osłaniając własnymi ciałami ofiarę gniewu ludu.

Szaniec ten, choć słaby, powstrzymał chwilowo morderców, którzy nadal tłumili krzykiem słowa Gilberta i kilku prawych obywateli, jacy się doń przyłączyli.

Na szczęście po pięciu minutach wszczął się jakiś ruch i rozległy się szepty:

— Oficerowie dystryktu! Oficerowie dystryktu! Wobec oficerów groźby ucichły i tłum się rozstał.

Mordercy zapewne nie otrzymali jeszcze hasła.

Nieszczęsny ruszył pod eskortą do Ratusza. Uczepił się doktora, trzymał go za rękę, nie chciał puścić.

Kim był ten człowiek?

To biedny piekarz nazwiskiem Denis François, ten sam co, jak już mówiliśmy, dostarczał bułek panom ze Zgromadzenia Narodowego.

Rankiem tego dnia pewna stara kobieta weszła do jego sklepu przy ulicy Marché–Palu w chwili, gdy rozdzieliwszy właśnie swój szósty wypiek, zabierał się do siódmego.

Stara zażądała chleba.

— Już nie mamy — odparł François — ale proszę poczekać na siódmy wypiek. Dostanie pani chleb jako pierwsza.

— Żądam natychmiast — powiedziała kobieta — oto pieniądze.

— Ależ zapewniam panią, że już nie ma...

— Proszę pokazać.

— Proszę bardzo — rzekł piekarz — niech pani wejdzie, zobaczy, poszuka.

Starucha wchodzi, szuka, węszy, myszkuje, otwiera jakąś szafę i tam znajduje trzy bochenki czerstwego chleba, po cztery funty każdy, które czeladnicy odłożyli dla siebie.

Stara bierze jeden z nich, wychodzi nie zapłaciwszy, a wobec sprzeciwu piekarza podburza gawieź krzyżąc, że François to łajdak, co głodzi lud i ukrywa połowę wypieku.

Oskarżenie takie skazywało na niemal pewną śmierć każdego, kto był jego przedmiotem.

Jakiś wysłużony sierżant dragonów, zwany Fleur-d'Épine, który popijał w gospodzie naprzeciw, wyszedł wtedy na ulicę i zapijaczonym głosem podchwycił okrzyk staruchy.

Na to nadbiegła rozwrzeszczana gawieź, dowiedziawszy się, o co idzie, podjęła okrzyki tamtych, wpadła do sklepu, usunęła siłą strzegący piekarni posterunek policji, rozlazła się po lokalu i poza dwoma czerstwymi bochenkami chleba, o których wspomniała i którymi wzgardziła starucha, znalazła dziewięć tuzinów świeżych bułeczek, odłożonych dla posłów, którzy obradowali w Arcybiskupstwie, niecałe sto kroków od sklepu.

Los piekarza został tym samym przesądzony. Już nie jeden, ale sto, dwieście, tysiąc głosów krzyżało: „Łajdak!” Cały tłum wrzeszczał: „Na latarnię!”

W tym właśnie czasie doktor, który wracał z wizyty u syna w gimnazjum Ludwika Wielkiego, przystanął zaniepokojony wrzawą; widząc, że lud żąda śmierci człowieka, rzucił mu się na pomoc.

François w kilku słowach wyjaśnił mu, o co chodzi, a Gilbert uznając, że piekarz jest niewinny, próbował go obronić.

Tłum porwał jednak nieszczęsnego piekarza i jego obrońcę, obydwo obrzucając tą samą anatamą, gotów obu zdruzgotać za jednym zamachem! I właśnie wtedy wysłany przez królową Weber zjawił się na placu Notre-Dame i poznał Gilberta.

Krótko po odejściu Webera zjawili się oficerowie dystryktu i nieszczęsnego piekarza pod eskortą odprowadzono do Ratusza.

Tak więc oskarżony, oficerowie i wzburzone pospólstwo, wszystko to wtargnęło do Ratusza, a plac przed budynkiem natychmiast wypełnili bezrobotni i przymierający głodem biedacy, gotowi zawsze wdać się w każdą rebelię, byle obarczyć odpowiedzialnością za swoje krzywdy każdego, kogo można było posądzić o spowodowanie powszechnej nędzy.

Ledwie nieszczęsny François minął wielki portal Ratusza, krzyki przybrały na sile. Wszyscy ci ludzie uważali, że pozbawiono ich należnej zdobyczy. W tłumie uwijali się —osobnicy o straszliwych gębach, rzucając półgłosem:

— To łajdak opłacany przez dwór! Dlatego chcą go ratować!

A słowa: „On głodzi lud!” — przewijały się pośród zgłodniałego pospólstwa niczym lont wzniciający nienawiść i wielki gniew.

Na nieszczęście było jeszcze dosyć wcześnie i ci, co mieli wpływ na ludność — Bailly i La Fayette — jeszcze się nie zjawili. Dobrze wiedzieli o tym ludzie powtarzający wśród tłumu: „To łajdak! Łajdak!”

Ponieważ oskarżony jakoś nie wychodził, krzyki zmieniły się w potężne „hurra”, a groźby w ogromny wrzask. Ludzie z placu wpadli do przedsionka i wśliznąwszy się na schody wtargnęli na salę, gdzie przebywał biedny piekarz i gdzie Gilbert bronił go, jak mógł najlepiej.

Także sąsiedzi François, którzy nadbiegli w popłochu, stwierdzili, że piekarz od początków rewolucji złożył dowody wielkiej gorliwości, że niekiedy aż dziesięć razy dziennie wypiekał chleb, a gdy kolegom brakowało mąki, pożyczał im swoją; chcąc sprawniej obsłużyć klientelę, wynajął nawet w pobliskiej cukierni drugi piec, w którym suszył drewno.

Pod koniec tego zebrania oczywiste było, że zamiast kary człowiek ten zasługuje wręcz na

nagrodę.

Ale na placu, na schodach, a nawet w samej sali wciąż rozlegały się krzyki: „Łajdak!” i domagano się śmierci winnego.

Nagle nieoczekiwana fala zalała salę, przerwała szpaler Gwardii Narodowej, który otaczał François i oddzieliła go od obrońców. Gilbert odrzucony w stronę zaimprovizowanego trybunału dojrzał dwadzieścia wyciągniętych ramion... Schwytany, porwany, spętany, oskarżony próżno wołał o pomoc i ratunek, błagalnie wyciągał ręce... Na próżno Gilbert czynił rozpaczliwe wysiłki, by go dosięgnąć. Wyłom, w którym znikł nieszczęśnik, zamknął się za nim! Jak porwany wirem pływak walczył krótko, wywijając kurczowo ramionami, z rozpaczą w oczach i nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Potem fala zalała go, a przepaść pochłonęła!

Już był stracony!

Spychany w dół po schodach, na każdym stopniu odbierał cios. A gdy dotarł wreszcie do wejścia, jego ciało było już tylko jedną wielką raną.

Nie błagał już o życie, błagał o śmierć!... Ale gdzie wówczas skrywała się śmierć, w owych latach zawsze gotowa stawić się na pierwsze wezwanie?

W jednej chwili odcięto głowę nieszczęsnemu François i zatknięto na pikę.

Na odgłos krzyków z ulicy wichrzyciele, znajdujący się na schodach i na sali, wybiegli z Ratusza. Trzeba to widowisko obejrzeć do końca. Głowa na ostrzu piki to nie lada sensacja, nie widziano tego od 6 października, a jest już 21.

— Och, Billot! Billot! — szepce Gilbert, wybiegając z sali. — Jakże jesteś szczęśliwy, że cię nie ma w Paryżu!

Gilbert przeciął plac de Greve i ruszył wzdłuż Sekwany, zostawiając za sobą pikę z krwawiącą głową i rozwrzeszczany pochód, który oddalał się mostem Notre-Dame, gdy w połowie nabrzeża Pelletier poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

Podniósł głowę, krzyknął, chciał przystanąć i porozmawiać, ale człowiek, którego rozpoznał, wcisnął mu kartkę, położył palec na ustach i odszedł w kierunku Arcybiskupstwa.

Widać chciał zachować incognito, ale zauważyła go przekupka z hal i klaszcząc w dłonie zawołała:

— A to przecież nasza matuchna Mirabeau!

— Niech żyje Mirabeau! — podchwyciło natychmiast pięćset głosów. — Niech żyje obrońca ludu! Niech żyje patriota!

Słyszając te wiwaty ogon pochodu, który szedł za głową nieszczęsnego François, zawrócił i otoczył Mirabeau. Do bramy Arcybiskupstwa odprowadzał go ogromny tłum, wciąż wznosząc okrzyki.

W istocie, był to Mirabeau. Udając się na sesję Zgromadzenia, dojrzał Gilberta i wręczył mu liścik, który napisał był na ladzie sklepu z winem, a który zamierzał przesłać doktorowi do domu.

XXVI

O TYM JAK MOŻNA WYKORZYSTAĆ ŚCIĘTĄ GŁOWĘ

Gilbert najpierw szybko przeczytał liścik, jaki wsunął mu Mirabeau, potem przeczytał go po raz drugi powoli, nim schował do kieszeni, po czym przywołał fiakra i kazał zawieźć się do pałacu Tuileries.

Tam okazało się, że wszystkie bramy są zamknięte, a warty wzmocnione z rozkazu La Fayette'a, który wiedząc o tumultach w Paryżu, pomyślał przede wszystkim o bezpieczeństwie władców, zaś dopiero później udał się na miejsce zamieszek.

Dozorca rozpoznał Gilberta i pozwolił mu wejść do pałacu od strony ulicy d'Échelle.

Pani Campan, która otrzymała polecenie zajęcia się Gilbertem, wyszła mu naprzeciw i natychmiast zaprowadziła do królowej. Posłuszny rozkazom królowej Weber ponownie wyruszył na miasto.

Na widok Gilberta królowej wyrwał się okrzyk zdziwienia.

Podarty w kilku miejscach frak i żabot doktora oraz plamy krwi na koszuli świadczyły, że dzielnie stawał on w obronie nieszczęsnego François.

— Wasza Królewska Mość zechce mi wybaczyć, że zjawiam się w takim stanie — rzekł Gilbert — ale i tak mimo woli kazałem jej długo na siebie czekać i nie chciałem zwlekać dłużej.

— A ten nieszczęśnik, panie Gilbert?

— Nie żyje, Pani! Został zamordowany, rozszarpany na strzępy...

— Czy był naprawdę winien?

— Był niewinny, Pani.

— Och, panie, oto owoce waszej rewolucji!! Najpierw mordowali wielmożów, urzędników, gwardzistów, a teraz mordują się wzajemnie. Czy nie ma sposobu na tych morderców?

— Postaramy się o to, Pani. Lepiej jednak byłoby zapobiegać zabójstwom niż karać morderców.

— Mój Boże, ale jak to osiągnąć? Król i ja nie pragniemy niczego innego.

— Wszystkie te nieszczęścia, Pani, mają źródło w nieufności ludu względem przedstawicieli władzy: postawcie na czele rządu mężów cieszących się zaufaniem ludu, a nic podobnego więcej się nie zdarzy.

— Ach tak, pana Mirabeau, pana La Fayette'a, nieprawda?

— Miałem nadzieję, że królowa wezwała mnie, by mi powiedzieć, że zdołała pokonać niechęć króla do projektu, jaki mu przedstawiłem.

— Przede wszystkim, doktorze, popełnia pan wielki błąd, który zresztą popełnia też wielu innych. Sądzi pan, że mam wpływ na króla? Sądzi pan, że król ulega moim inspiracjom? Myli się pan. Jeśli ktokolwiek ma wpływ na króla, to nie ja, a raczej księżniczka Elżbieta. A dowodem tego, że nie dalej jak wczoraj wyprawił z misją jednego z moich adiutantów, pana de Charny, nie zawiadamiając mnie ani o tym dokąd jedzie, ani też w jakim celu.

— A jednak, gdyby królowa zechciała przewyciężyć swoją odrazę do pana Mirabeau, mógłbym zaręczyć, że zdołam przekonać króla do moich planów.

— Panie Gilbert — wtrąciła żywo królowa — czyżby pan chciał powiedzieć, że moja odraza jest nieuzasadniona?

— W polityce, Najjaśniejszą Pani, nie powinno być ani sympatii, ani antypatii, są tylko współzależności zasad i powiązania interesów, i muszę Waszej Królewskiej Mości powiedzieć, że — o wstydy ludzkości — powiązania te pewniejsze są niż współzależność zasad.

— Doktorze, czy utrzymuje pan serio, że powinnam zaufać człowiekowi, który doprowadził do 5 i 6 października, i paktować z mówcą, który publicznie znieważył mnie z trybuny?

— Proszę mi wierzyć, Pani, że to wcale nie Mirabeau doprowadził do 5 i 6 października. Głód, niedostatek i nędza zaczęły działać w świetle dnia, a jakaś potężna, tajemnicza i straszliwa ręka dokonała dzieła w mroku nocy... Być może kiedyś zdołam Panią obronić przed tą siłą i podjąć walkę z mroczną potęgą, która prześladowuje nie tylko ciebie, Pani, ale i wszystkie koronowane głowy, nie tylko tron Francji, ale wszystkie trony na ziemi! To, że Mirabeau nie ma nic wspólnego z wypadkami owych strasznych dni, jest równie pewne jak to, że mam zaszczyt złożyć u stóp Pani i króla moje życie. O tym, że lud maszeruje na Wersal, dowiedział się w Zgromadzeniu, jak i inni, może zresztą trochę wcześniej, gdyż ktoś wręczył mu kartkę.

— Zaprzeczy pan więc temu, co powszechnie wiadomo, że znieważył mnie z trybuny?

— Mirabeau to jeden z tych ludzi, co świadomi są własnej wartości i których drażni, że mimo wszelkich zalet, mimo pomocy, jaką mogą służyć, królowie upierają się, by ich nie zatrudniać! Chcąc zwrócić na siebie uwagę Waszej Królewskiej Mości, Mirabeau posunie się aż do obelgi, woli bowiem, aby dostojna córka Marii Teresy, królowa i kobieta, spojrzała nań gniewnie, niż aby nie miała nań w ogóle patrzeć.

— Sądzi pan zatem, panie Gilbert, że ten człowiek gotów jest przystąpić do nas?

— On jest z wami bez reszty, Pani; Mirabeau oddała się od monarchii jak koń, co rwie się na boki, ale któremu wystarczy wędzidło i ostroga jeźdźca, by wrócić na właściwą drogę.

— Ale przecież będąc po stronie księcia Orleanu nie może równocześnie być po naszej.

— Tu właśnie tkwi błąd.

— Pan Mirabeau nie jest po stronie księcia Orleanu? — powtórzyła królowa.

— W tak nikłym stopniu jest stronnikiem księcia Orleanu, że gdy dowiedział się, iż księżę schronił się w Anglii przed groźbami La Fayette'a, mnąc w ręku list pana Lauzun donoszący o jego wyjeździe, powiedział: „Ludzie twierdzą, że jestem po stronie tego człowieka! A ja nie chciałbym nawet, aby był moim lokajem!”

— To jest coś, co już mnie trochę z nim godzi — rzekła królowa, próbując się uśmiechnąć — i gdybym była pewna, że istotnie można na niego liczyć...

— To...?

— To może bardziej niż król skłonna byłabym się z nim pojednać.

— Pani, nazajutrz po tym, jak lud sprowadził z Wersalu Waszą Królewską Mość, króla i całą królewską rodzinę, spotkałem pana Mirabeau...

— Upojonego triumfem.

— Przerazonego niebezpieczeństwami, jakie groziły Najjaśniejszej Pani i jakie mogą jeszcze nadejść.

— Naprawdę jest pan tego pewien? — zapytała z powątpiewaniem królowa.

— Czy pragnie Pani, abym powtórzył słowa, jakie wówczas powiedział?

— Tak, sprawi mi to przyjemność.

— Oto one, wyryłem je sobie w pamięci, w nadziei, że kiedyś będę miał okazję powtórzyć je Waszej Królewskiej Mości: „Jeśli ma pan jakiś sposób, by zostać wysłuchanym przez króla i królową, niech pan im wytłumaczy, że Francja i oni są zgubieni, jeśli rodzina królewska nie opuści Paryża. Opracowuję plan ich wyjazdu. Czy byłby pan w stanie złożyć im zapewnienie, że mogą na mnie liczyć?”

Królowa zamyśliła się.

— A zatem — rzekła — pan Mirabeau też jest zdania, że powinniśmy opuścić Paryż?

— W owym czasie również był tego zdania.

— A później je zmienił?

— Tak, jeśli wierzyć treści listu, jaki otrzymałem pół godziny temu.

— Od kogo?

— Właśnie od niego...

— Czy można zobaczyć ten list?

— Przeznaczony jest dla Waszej Królewskiej Mości. Gilbert wyjął kartkę z kieszeni.

— Wasza Królewska Mość raczy wybaczyć, ale napisany został na kartce z zeszytu na ladzie winiarni.

— Och, to nieważne. I papier, i pulpit są w całkowitej harmonii z dzisiejszą polityką.

Królowa wzięła papier i przeczytała:

„Dzisiejsze wydarzenie zmienia postać rzeczy. Można znakomicie wykorzystać tę ściętą głowę. Zgromadzenie się przestraszy i zażąda sądów wojennych. Pan de Mirabeau może poprzeć i przeprowadzić ustawę osądach wojennych.

Pan de Mirabeau może wysunąć tezę, że jedynym ratunkiem jest wzmocnienie władzy wykonawczej.

Pan de Mirabeau może zaatakować pana Neckera w kwestii kosztów wyżywienia i obalić go.

Jeśli w miejsce rządu Neckera powoła się rząd Mirabeau i La Fayette’a, pan de Mirabeau odpowiada za wszystko”. — Ta kartka nie jest podpisana? — zapytała królowa.

— Czy nie miałem zaszczytu powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że wręczył mi ją sam Mirabeau?

— Co pan o tym wszystkim sądzi?

— Moim zdaniem Mirabeau ma całkowitą rację i tylko przymierze, jakie proponuje, może uratować Francję.

— Przypuśćmy. Niech pan Mirabeau za pańskim pośrednictwem złoży mi memoriał o sytuacji oraz listę proponowanego rządu. Przedstawię to wszystko królowi.

— I Wasza Królewska Mość go poprze? — Poprę go.

— Tymczasem więc, w formie pierwszego zadatku, Mirabeau może podtrzymać ustawę o sądach wojennych i zażądać, aby przywrócono siłę władzy wykonawczej?

— Może to uczynić.

— W zamian, gdyby upadek Neckera okazał się nieuchronny, rząd La Fayette’a i Mirabeau nie zostanie przyjęty nieprzychylnie?

— Przeze mnie? Nie. Chcę udowodnić, że jestem gotowa przekreślić wszystkie osobiste urazy, jeśli tego wymaga dobro państwa. Tylko, jak pan wie, nie odpowiadam za króla.

— Czy Brat króla poprze nas w tej sprawie?

— Myślę, że Brat ma własne projekty, które nie pozwolą mu poprzeć cudzych.

— A czy królowej nic nie wiadomo o projektach Brata? — Sądzę, iż podziela pierwotną opinię pana Mirabeau, czyli to, że król powinien opuścić Paryż.

— Czy Wasza Królewska Mość upoważnia mnie do oświadczenia panu Mirabeau, że prośba o memoriał i listę rządu pochodzi od Waszej Królewskiej Mości?

— Czynię pana sędzią w kwestii, jak należy zachować się wobec człowieka, który jest naszym przyjacielem od dziś, a może zostać naszym wrogiem jutro.

— Och, w tym względzie może Pani na mnie polegać. Ponieważ jednak sytuacja jest poważna, nie możemy tracić czasu. Pozwolisz więc, Pani, że udam się do Zgromadzenia i spróbuję spotkać się z panem Mirabeau jeszcze dziś. Jeśli mi się powiedzie, za dwie godziny Wasza Królewska Mość będzie miała odpowiedź.

Królowa skinęła ręką na znak zgody i pożegnania. Gilbert wyszedł.

W kwadrans później był już w Zgromadzeniu.

Zgromadzenie poruszone było zbrodnią, jaką popełniono pod jego oknami, i to na człowieku,

który był niejako jego sługą.

Posłowie krążyli między mównicą a ławami, między ławami a korytarzem.

Jeden Mirabeau siedział nieruchomo na swoim miejscu. Czekał utkwivszy wzrok w trybunie dla publiczności.

Na widok Gilberta jego łwie oblicze rozjaśniło się. Gilbert dał mu znak, na który on odpowiedział potakującym skinieniem głowy.

Gilbert wyrwał kartkę ze swego notatnika i napisał:

„Pańskie propozycje zostały przyjęte, jeśli nie przez obie, to przynajmniej przez tę stronę, którą Pan i ja uważamy za bardziej wpływową.

Żąda się memoriału i listy projektowanego rządu dzisiaj.

Niech się Pań przyczyni do wzmocnienia władzy wykonawczej, a władza wykonawcza będzie się liczyć z Panem”.

Po czym złożywszy kartkę zaadresował ją „Dla pana Mirabeau”, wezwał woźnego i kazał mu doręczyć list. Z trybuny, na której się znajdował, Gilbert widział, jak woźny wszedł na salę i skierował się wprost do posła z Aix, by wręczyć mu list.

Mirabeau przeczytał go z tak głęboką obojętnością, że najbliższy sąsiad nie odgadłby nigdy, że list ten zawiera jego najgorętsze pragnienia. Z tą samą obojętnością nakreślił kilka wierszy na skrawku arkusza, który leżał przed nim, niedbale złożył papier i z pozorną beztroską podał woźnemu mówiąc:

— Proszę to wręczyć osobie, która dała panu list do mnie.

Gilbert spiesznie rozłożył kartkę. Mieściła ona kilka wierszy, które być może kryły w sobie inną przyszłość Francji, gdyby proponowany pian mógł zostać wykonany:

„Zabiorę głos.

Jutro prześlę memoriał.

Oto żądana lista. Można w niej zmienić kilka nazwisk:

Pan Necker — pierwszy minister...”

Nazwisko to kazało Gilbertowi początkowo wątpić, czy bilet pisany był ręką Mirabeau. Ponieważ jednak temu i następnym nazwiskom towarzyszyły przypisy w nawiasach, Gilbert czytał dalej:

„Pan Necker — Pierwszy minister. (Trzeba go uczynić bezsilnym w tej mierze, w jakiej jest nieudolny, a zarazem ocalić jego popularność w oczach króla)!

Arcybiskup Bordeaux — kanclerz. (Doradzi mu się, aby z większą starannością dobierał sobie redaktorów).

Książę de Liancourt — minister wojny. (Posiada honor, stanowczość, osobisty sentyment dla króla, co królowi zapewni poczucie bezpieczeństwa).

Książę de la Rochefoucauld — dom królewski i miasto Paryż (razem z Thouretem).

Hrabia de la Marck — marynarka. (Nie można mu powierzyć ministerstwa wojny, które trzeba dać panu de Liancourt. Pan de la Marek jest wierny, silnego charakteru i posiada dar działania).

Biskup d’Autun — minister finansów. (Jego wniosek o duchowieństwie zapewnia mu to stanowisko. Razem z Labordem).

Hrabia de Mirabeau — w radzie królewskiej. Bez teki. (Drobne ambicjonalne skrupuły nie są już na czasie; rząd winien oznajmić głośno, że jego czołowymi współpracownikami będą odąd słuszne zasady, charakter i talent).

Target — mer Paryża. (Palestra będzie mu zawsze przewodnikiem).

La Fayette — w radzie; marszałek Francji, wódz naczelny na czas określony, odbudowa armii.

Pan de Montmorin — gubernator, książę i par Francji. (Po spłaceniu długów).

Pan de Segur (ambasador w Rosji) — sprawy zagraniczne.

Pan Mounier — biblioteka królewska.

Pan Chapelier — budownictwo”.

Pod tą pierwszą listą widniała następująca nota: „Ze strony La Fayette’a:

Minister sprawiedliwości — książę de la Rochefoucauld. Minister spraw zagranicznych — biskup d’Autun. Minister finansów — Lambert, Haller lub Clavie’res. Ze strony królowej:

Minister wojny lub marynarki — la Marck. Kierownik rady oświecenia i wychowania publicznego — ksiądz Sieyes.

Strażnik prywatnej pieczęci królewskiej...”

Ta druga nota przewidywała oczywiście zmiany i modyfikacje listy przedłożonej przez Mirabeau, których można by dokonać bez szkody dla jego zamierzeń i planów.

Wszystko to napisane nieco roztrzęsionym charakterem pisma dowodziło, iż obojętny na pozór Mirabeau był jednak w istocie bardzo poruszony.

Gilbert przeczytał szybko dokument, wydarł z notesu nową kartkę, nakreślił na niej kilka wierszy i wręczył woźnemu, który czekał na odpowiedź:

„Wracam do właścicielki apartamentu, który chcemy wynająć, aby przekazać jej warunki Pańskiej zgody na objęcie i naprawę domu.

Proszę przysłać do mnie na ulicę Saint-Honoré, za kościołem Wniebowzięcia, na wprost stolarni Duplaya, wiadomość o wynikach sesji zaraz po jej zakończeniu”.

Królowa, zawsze spragniona ruchu i ożywienia, miała nadzieję, że intrygami politycznymi stłumi namiętność serca, niecierpliwie oczekiwała więc powrotu Gilberta, słuchając opowieści Webera.

Była to relacja o straszliwym epilogu okrutnej sceny, której Weber widział początek i koniec.

Powtórnie wysłany po nowiny dochodził do mostu Notre-Dame, gdy na jego drugim krańcu ukazał się krwawy pochód: niczym sztandar śmierci unosiła się głowa piekarza François. Podobnie jak uczyniono to na moście Sevres, na pośmiewisko fryzując i goląc głowy dwóch gwardzistów, tak i tu któryś z dowcipnych morderców włożył na głowę piekarza bawełniany czepek, pożyczony od kolegi ofiary.

I oto młoda, biała i przerażona kobieta, która mimo widocznej już ciąży biegła środkiem mostu w stronę Ratusza, minąwszy mniej więcej, jedną trzecią drogi, zatrzymała się nagle na moście.

Głowa, której rysów nie mogła jeszcze rozpoznać na odległość, wywarła na niej piorunujące wrażenie. W miarę jak zbliżało się potworne trofeum, można było zauważyć po zmieniających się rysach jej twarzy, że jeszcze nie ma pewności.

Kiedy głowa znalazła się o dwadzieścia kroków od niej, kobieta wydała rozdzierający okrzyk i wyciągając ramiona w pełnym rozpaczycy geście, bez przytomności padła na ziemię.

Była to żona François w piątym miesiącu ciąży.

Zabrano ją omdłą.

— O Boże — szepnęła królowa — dajesz oto straszliwą lekcję swojej służebnicy, by ją pouczyć, że choć jest nieszczęśliwa, istnieją przecież jeszcze gorsze nieszczęścia!

Wtedy właśnie wszedł Gilbert, wprowadzony przez panią Campan, która zastąpiła Webera jako strażniczka królewskich drzwi.

Gilbert ujrzał już nie królową, lecz kobietę, to znaczy żonę i matkę, przybitą opowieścią, która dwakroć raniła jej serce.

Chwila była tym sposobniejsza, że Gilbert, w swoim przynajmniej mniemaniu, posiadał sposób, by położyć kres wszelkim tego rodzaju zabójstwom.

Ocierając pełne łez oczy i czoło, na którym perlił się pot, królowa wzięła z rąk Gilberta listę,

lecz nim spojrziała na pismo, rzekła:

— Weber, jeśli ta biedna kobieta nie umarła, przyjmę ją jutro, a jeśli rzeczywiście jest w ciąży, będę chrzestną matką jej dziecka.

— O Pani — zawołał Gilbert — czemu wszyscy Francuzi nie mogą, jak ja, widzieć Pani łez i słyszeć jej słów!

Królowa zadrżała. Te same niemal słowa, w równie dramatycznych okolicznościach, wypowiedział kiedyś Charny. „Rzuciła okiem na listę Mirabeau, ale zbyt przejęta, aby od razu udzielić wiążącej odpowiedzi, rzekła:

— Dobrze, doktorze, proszę mi zostawić tę listę. Zastanowię się i jutro dam panu odpowiedź.

I może bezwiednie podała Gilbertowi rękę, którą ten, zaskoczony, lekko musnął wargami. Istotnie, niezwykła to była przemiana dumnej Marii Antoniny, rozważać listę gabinetu, w którym figurowali Mirabeau i La Fayette, a także podać do ucałowania rękę doktorowi Gilbertowi.

O siódmej wieczór goniec wręczył Gilbertowi następujący liścik:

„Posiedzenie było burzliwe.

Uchwalono ustawę o sądach wojennych.

Buzot i Robespierre domagali się powołania sądu najwyższego.

Przeprowadziłem dekret, na mocy którego zbrodnie «przeciwko narodowi» (to nowe sformułowanie, które właśnie wymyśliliśmy) sążone będą przed królewskim trybunałem w Châtelet.

Oznajmiłem bez ogródek, że ocalenie Francji zależy od siły monarchii i trzy czwarte Zgromadzenia przyjęło to z aplauzem.

Mamy dziś 21 października. Sądzę, że monarchia przebyła sporą drogę od 6 października.

Vale et me ama”.

Bilecik nie był podpisany, ale charakter pisma zdradzał tę samą rękę co ministerialna nota i poranny list, było to pismo Mirabeau.

XXVII CHATELET

Aby ocenić całą doniosłość sukcesu, jaki odniósł Mirabeau, a tym samym dom królewski, którego stał się mandatariuszem, musimy wyjaśnić czytelnikom, czym było Châtelet.

Zresztą jeden z pierwszych wyroków tam wydanych doprowadził do strasznego zdarzenia, jakie rozegrało się na placu de Greve w roku 1790, sceny, która nie przynależąc do naszego tematu, znajdzie miejsce w dalszym ciągu tej opowieści.

Châtelet, które od XIII wieku miało wielkie znaczenie historyczne i jako trybunał, i jako więzienie, swą sprawowaną przez pięć wieków wszechmoc zawdzięczało dobremu królowi Ludwikowi IX.

Król Filip August był budowniczym z powołania.

Niemal w całości zbudował katedrę Notre-Dame. Założył szpitala Świętej Trójcy, Świętej Katarzyny i Świętego Mikołaja z Luwru. Wybrukował dotychczas pokryte błotem i mułem ulice Paryża, których fetor, jak powiada kronikarz, nie pozwalał otwierać okien. Środki na to wszystko czerpał z wielkiego źródła, które jego następcy niestety wyczerpali; źródłem tym byli Żydzi.

W roku 1189 króla Filipa Augusta ogarnął szal epoki, jakim był zamiar odebrania Jerozolimy sułtanom Azji. Sprzymierzył się więc z Ryszardem Lwie Serce i obaj wyruszyli do Ziemi Świętej.

Przed wyjazdem jednak, nie chcąc, by pod jego nieobecność zacni paryżanie marnowali czas i w chwilach bezczynności rozmyślali o buncie przeciw władcy — jak za jego poduszczeniem zbuntowali się przeciwko Henrykowi II, królowi Anglii, nie tylko poddani, ale nawet królewscy synowie — pozostawił plan i rozkazy, których wykonanie rozpoczęto natychmiast po jego wyjeździe.

Chodziło o zbudowanie wokół miasta nowych wałów obronnych, których projekt sam opracował, a które składać się miały z potężnego muru, prawdziwie dwunastowiecznego muru zdobnego w wieże i bramy. Mur ten miał otoczyć Paryż trzecim pierścieniem.

Oczywiście obarczeni tą pracą inżynierowie nie przystosowali się dokładnie do wymiarów stolicy. Od czasów Hugona Kapeta stolica rozrosła się znacznie i zanosilo się na to, że niebawem rozsądzi planowany trzeci krąg, jak rozsądziła dwa poprzednie.

Przewidując zbudowano więc luźny pierścień, obejmując nim wiele wiosek, które później stać się miały częścią wielkiego miasta. Każda z tych wiosek i osad miała swą niezależną jurysdykcję feudalną.

Otóż wszystkie te jurysdykcje, które najczęściej przeczyły sobie wzajem, zamknięte w jednym pierścieniu, zaczęły się między sobą spierać i wywołały w stolicy wielki zamęt.

Był jednak w owym czasie w Vincennes feudal, któremu ponoć bardziej niż komukolwiek innemu dokuczyły owe konflikty, postanowił więc położyć temu kres.

Owym możnowładcą był przyszły Ludwik IX. Należy bowiem wyjaśnić czytelnikom, że Ludwik IX, sprawując sądy pod tym sławnym, przysłowiowym później dębem, czynił to jako feudalny pan, nie zaś jako król.

Kiedy więc został królem, zarządził, aby wszystkie sprawy rozpatrywane w ramach poszczególnych feudalnych jurysdykcji, w drodze apelacji kierowano przed królewski sąd w Châtelet.

Jurysdykcja Châtelet stała się zatem wszechmocna jako ostatnia i najwyższa instancja. Châtelet zmieniło się w sąd najwyższy aż do chwili, gdy parlament, wkraczając na teren

królewskiej sprawiedliwości, oświadczył, że sam będzie, w drodze apelacji, rozpatrywać sprawy rozsądzone dotąd w Châtelet.

Zgromadzenie Narodowe jednak zawiesiło parlamenty. „Pogrzebaliśmy je żywcem” — powiedział Lameth opuszczając zebranie.

Ulegając namowom Mirabeau, w miejsce parlamentów Zgromadzenie przywróciło sądowi w Châtelet jego dawną władzę, wzmocnioną o nowe uprawnienia.

Było więc wielkim zwycięstwem monarchii, że zbrodnie „przeciwko narodowi”, podległe sądom wojskowym włączono w zakres kompetencji królewskiego trybunału.

Pierwszą zbrodnią rozpatrywaną w Châtelet było opisane wyżej morderstwo piekarza François.

W dniu kiedy ustawa nabrała mocy, dwóch zabójców François powieszono na placu de Greve, a cała procedura sprowadziła się do oskarżenia publicznego i jawności zbrodni.

Trzeci zabójca, którym okazał się agent werbunkowy Fleur d'Épine, sądzony był normalnie: został zdegradowany i skazany na śmierć przez trybunał w Châtelet, poszedł więc za towarzyszami — w wieczność.

Do rozpatrzenia pozostały jeszcze dwie sprawy: sprawa generalnego dzierżawcy podatków Augearda oraz sprawa inspektora generalnego Gwardii Szwajcarów, Piotra Wiktora Besenvala.

Obaj byli ludźmi bliskimi królewskiego dworu, czym prędzej przekazano więc ich sprawy trybunałowi w Châtelet. Augeard oskarżony był o to, że kamaryli królewskiej dostarczył środków pieniężnych na opłacenie oddziałów zgromadzonych w lipcu na Polu Marsowym. Ponieważ jednak Augeard był człowiekiem niezbyt znanym, jego aresztowanie nie narobiło hałasu, a pospólstwo nie miało mu nic do zarzucenia. Sąd w Châtelet uniewinnił go, nie wywołując skandalu.

Inaczej miały się sprawy z Besenvalem. Nazwisko jego było niezwykle popularne — w złym sensie tego słowa. On to bowiem dowodził Szwajcarami u Reveillona, pod Bastylią i na Polu Marsowym. Pamiętając, że we wszystkich tych okolicznościach Besenval kazał atakować lud, ten szykował się teraz wziąć na nim odwet.

Trybunał w Châtelet otrzymał jednak bardzo ściśle rozkazy: król i królowa pod żadnym pretekstem nie chcieli, aby pan de Besenval został skazany.

Trzeba było aż tej podwójnej protekcji, by go ocalić.

On sam przyznał się do winy, gdyż po zdobyciu Bastylii zbiegł. Aresztowany w drodze do granicy, sprowadzony został do Paryża, a kiedy wchodził na salę sądową, powitały go jednogłośnie niemal okrzyki żądające śmierci.

— Besenval na latarnię! Besenval na szubienicę! — krzyczano zewsząd.

— Cisza! — wołali woźni.

Z wielkim trudem uspokojono salę. Gdy wreszcie zapanowała cisza, skorzystał z tego jeden z obecnych.

— Żądam — zawołał wspaniałym basem — aby pocięto go na trzynaście kawałków i rozesłano do wszystkich kantonów!

Jednakże mimo obciążających dowodów oskarżenia, mimo wrogości audytorium Besenval został uniewinniony.

Oburzony kolejnym uniewinnieniem, jeden z obecnych ha sali napisał coś na kartce, zwinął ją w kulkę i rzucił na prezydyalny stół.

Przewodniczący sądu podniósł ją, rozwinął i przeczytał następujący czterowiersz:

„Sędziowie łaski pełni dla Augearda, Łaskawi dla Besenvala i najgorszych ludzi, Jesteście niczym chłonna bibuła: Usuwacie płamę, a plama was brudzi”.

Czterowiersz był podpisany. Przewodniczący odwrócił się, by odszukać autora. Stał na ławie i

gestami starał się zwrócić na siebie Uwagę. Dojrzawszy go sędzia spuścił jednak wzrok. Me ośmielono się aresztować autora, którym okazał się Kamil Desmoulin, wnioskodawca z Palais-Royal.

Po rozprawie ktoś z pospiesznie tłoczącego się tłumu — z wyglądu prosty mieszczuch z dzielnicy Marais — zaczepił sąsiada, choć tamten zdawał się należeć do wyższej klasy społecznej, i kładąc mu rękę na ramieniu, powiedział:

— No i co, doktorze Gilbert, co pan sądzi o tych dwóch uniewinniających werdyktach?

Człowiek, do którego zwrócone było pytanie, drgnął, spojrzął na rozmówcę, a poznawszy go odparł:

— Nie mnie, a pana należy o to zapytać. Pana, który zna wszystko, co dotyczy teraźniejszości, przeszłości i przyszłości!...

— Jeśli o mnie chodzi, myślę, że po uniewinnieniu tych dwóch winnych trzeba powiedzieć: „Biada niewinnemu, który przyjdzie tu jako trzeci!”

— A czemu sądzi pan, że ten następny będzie niewinny i zostanie ukarany?

— Z tej prostej przyczyny, że jest w zwyczaju świata, aby dobrzy cierpieli za złych.

— Zegnam, mistrzu — powiedział Gilbert, podając rękę temu, w którym nietrudno chyba było rozpoznać Cagliostro.

— Dlaczego „zegnam”?

— Bo jestem zajęty — odparł z uśmiechem Gilbert.

— Spotkanie?

— Tak.

— Z kim? Z Mirabeau, z La Fayettem czy z królową? Gilbert przystanął patrząc z niepokojem na Cagliostro.

— Pan mnie niekiedy przeraża.

— Sądzę, że przeciwnie, powinienem pana uspokoić.

— Jak to!?

— Czyż nie jestem pańskim przyjacielem?

— Myślę, że tak.

— Proszę być o tym przekonany, a jeśli chce pan dowodu...

— To...?

— Proszę pójść ze mną, podam panu na temat negocjacji, które pan uważa za tajne, szczegóły, o których nie ma pan pojęcia, choć wyobraża pan sobie, że je prowadzi.

— Zapewne kpi pan sobie ze mnie i to przy pomocy swoich wypróbowanych sztuczek; ale ponieważ sytuacja, w jakiej się znajdujemy, jest tak poważna, że poszedłbym nawet ze Szatanem, gdyby ten mógł mi udzielić jakichś wyjaśnień, idę z panem, dokądkolwiek mnie pan zaprowadzi.

— Och, niech pan będzie spokojny, to niedaleko stąd, a miejsce także nie jest panu nie znane. Pozwoli pan jednak, że pojedziemy fiakrem. Strój, w jakim wyszedłem, nie pozwolił mi wziąć własnego powozu i koni.

Skinął na fiakra, który przejeżdżał drugą stroną ulicy. Gdy wsiedli, woźnica zapytał:

— Dokąd was zawieźć, obywatelu? — zwrócił się do Cagliostro, jakby zrozumiał, iż mimo skromnego ubrania to właśnie on prowadzi tego drugiego wedle swej woli.

— Tam, gdzie wiesz — rzekł Balsamo i pokazał woźnicy jeden ze znaków masońskich.

Woźnica przyglądał mu się ze zdumieniem.

— Przepraszam, jaśnie panie — rzekł, odpowiadając innym znakiem — przepraszam, że go nie poznałem.

— Odwrotnie niż ja — odparł Cagliostro — bo choć moi poddani są liczni, znam ich wszystkich...

Woznica zamknął drzwiczki, wsiadł na kozioł i podciął konia, ruszając galopem przez labirynt ulic wiodących od Châtelet przez bulwar Filles-du-Calvaire do placu Bastylli, aż do rogu ulicy Saint-Claude.

Gdy powóz przystanął, drzwiczki jego otwały się z szybkością, która świadczyła o pełnej szacunku gorliwości woznicy.

Wysiadając za Gilbertem, Cagliostro zapytał woznicę:

— Nie masz mi nic do powiedzenia?

— Owszem, jaśnie panie, złożyłbym raport dziś wieczór, gdybym jaśnie pana nie spotkał.

— Mów zatem.

— Tego, co mam do powiedzenia, nie mogą słyszeć profani.

— Och! — odparł Cagliostro ze śmiechem — ten, który nas słucha, nie jest profanem.

Gilbert dyskretnie usunął się na bok. Mimo woli jednak zerkał jednym okiem i słuchał jednym uchem.

Widział, jak w miarę opowieści woznicy uśmiech rozjaśniał twarz Balsamo. Z raportu pochwyił dwa słowa: Brat i Favras. Po skończonym raporcie Cagliostro wyjął z kieszeni podwójnego ludwika i chciał go wręczyć woznicy, ale ten potrząsnął przecząco głową.

— Jaśnie pan wie dobrze, że venta, najwyższe zgromadzenie, zakazało nam pobierania opłat za raporty.

— Ale ja nie płacę za raport, tylko za kurs.

— Jeśli tak, to mogę przyjąć — rzekł woznica, chowając monetę, a na koniec dodał: — Dziękuję, jaśnie panu, teraz mogę już jechać do domu.

I trzaskając z bicza odjechał kłusem, zostawiając Gilberta oszołomionego tym wszystkim, co widział i słyszał.

— A więc wchodzi pan, drogi doktorze? — zapytał Cagliostro, który już od kilku chwil stał przed otwartą bramą.

— Przepraszam, już idę — odparł Gilbert i minął próg chwiejnym krokiem jak człowiek pijany.

XXVIII

JESZCZE RAZ DOM PRZY ULICY SAINT-CLAUDE

Wiemy jaką kontrolę nad samym sobą posiadał Gilbert, więc ledwie minął wielki pusty dziedziniec, już był opanowany i wszedł na schody podjazdu krokiem równie pewnym, jak chwiejnym minął próg bramy.

Zresztą ten dom nie był mu obcy; odwiedził go już kiedyś w okresie życia, który zostawił po sobie niezatarte wspomnienia.

W przedpokoju spotkał tego samego niemieckiego lokaja, którego widział tu szesnaście lat wcześniej. Stał w tym samym miejscu i nosił tę samą liberię, tyle że wszystko było starsze o lat szesnaście — Gilbert, hrabia i nawet ten przedpokój.

Fritz — takie bowiem imię nosił wierny sługa — od razu odgadł, dokąd jego pan prowadzi Gilberta i otwierając szybko dwoje drzwi stanął na progu trzecich, chcąc się upewnić, czy Cagliostro nie ma dlań dalszych rozkazów.

Były to drzwi do salonu. Zapraszającym gestem ręki Cagliostro wprowadził Gilberta, po czym odprawił Fritza.

— Nie ma mnie w domu dla nikogo — powiedział po niemiecku, a zwracając się do Gilberta, dodał: — Mówię do niego po niemiecku, nie żeby pan nie rozumiał, wiem zresztą, że pan mówi tym językiem, lecz dlatego, że Fritz jest Tyrolczykiem i lepiej rozumie niemiecki niż francuski. A teraz siądźmy, drogi doktorze, jestem do pańskich usług.

Gilbert nie mógł powstrzymać ciekawego spojrzenia wokół i przez kilka chwil wzrok jego zatrzymywał się kolejno na meblach i obrazach zdobiących salon, a każdy z tych przedmiotów jakby na nowo ożywał w jego pamięci.

Salon był ten sam co dawniej: na ścianach wisiało osiem obrazów starych mistrzów, kryte chińskim jedwabiem fotele połyskiwały złotym haftem kwiatów w półmroku, jaki dawały przysłonięte ciężkimi kotarami okna, wielki stół. Boule'a tkwił na swoim miejscu, a między oknami stały stoliczki zastawione porcelaną z Sevres.

Gilbert westchnął i podparł głowę rękami. Na krótką chwilę wspomnienia przeszłości wyparły terazniejszość.

Cagliostro spoglądał na Gilberta niczym Mefistofeles na Fausta, kiedy niemiecki filozof nieopatrznie pozwalał sobie na chwilę marzeń w jego obecności.

Nagle doszedł go ostry głos Cagliostora:

— Wydaje się, doktorze, że poznaje pan ten salon...

— Tak — odparł Gilbert — przypomina mi, co jestem panu winien.

— Och, chimery przeszłości!

— Doprawdy — mówił dalej tyleż do Cagliostora, co do siebie samego — dziwny z pana człowiek i gdyby rozum pozwalał mi wierzyć w owe cuda, jakie przekazali nam poeci i kronikarze średniowiecza, skłonny byłbym sądzić, że jest pan czarodziejem jak Merlin albo wytwórca złota jak ów alchemik Mikołaj Flamel.

— Tak, jestem tym wszystkim, dla innych, Gilberte, ale nie dla pana. Nigdy nie starałem się olśnić pana swoimi czarami. Zawsze pragnąłem ukazać panu istotę rzeczy, i jeżeli za moją przyczyną widział pan niekiedy, że wynurzająca się Prawda jest nieco lepiej ubrana i przystrojona, to dlatego, że jako Sycylijczyk lubię blichtr i świecidełka.

— Hrabio, przypomina pan sobie, że właśnie tu dał pan biednemu dziecku w łachmanach sto tysięcy talarów z łatwością, z jaką ja dałbym pięć centymów żebrakowi.

— Gilbercie, zapomina pan o czymś bardziej niezwykłym — powiedział z powagą w głosie Cagliostro — o tym mianowicie, że dziecko w łachmanach odniosło mi owe sto tysięcy talarów, zatrzymawszy tylko dwa ludwiki na ubranie.

— Dziecko było tylko uczciwe, podczas gdy pan był wspaniałomyślny!

— A skąd pan wie, Gilbercie, czy nie łatwiej być wspaniałomyślnym niż uczciwym, czy nie łatwiej, gdy się ma miliony, dać sto tysięcy talarów, niż zwrócić sto tysięcy, nie mając grosza?

— Może to i prawda.

— Zresztą wszystko zależy od nastroju ducha. Spadło wówczas na mnie największe nieszczęście mego życia. Wszystko było mi obojętne i gdyby zażądał pan życia, pewnie byłbym je oddał, jak dałem sto tysięcy talarów.

— A więc i pan podlega nieszczęściom, jak wszyscy? — zapytał Gilbert, spoglądając na Cagliostra nie bez zdziwienia.

Ten westchnął.

— Mówi pan o tym, co przypomina panu ten salon. Gdybym ja chciał opowiedzieć, co mnie on przypomina... Ale nie! Przed końcem opowieści osiwiiałbym do reszty! Mówmy o czym innym, pozwólmy minionym wypadkom spać w całunie zapomnienia, w ich grobie — w przeszłości. Mówmy o terażniejszości, mówmy nawet o przyszłości, jeśli pan woli.

— Hrabio, przed chwilą pan sam przywrócił mnie rzeczywistości — jak sam twierdził — dla mnie zerwał z szarlatanerią i oto znowu wymawia pan dźwięczne słowo: przyszłość, jakby ta przyszłość była w pańskich rękach i jakby pańskie oczy umiały odczytywać jej nieodgadnione hieroglify!

— A pan znowu zapomina, że mając do dyspozycji więcej środków niż inni, widzę dalej i wyraźniej niż oni.

— Wciąż tylko słowa, hrabio!

— Zapomina pan o faktach, doktorze.

— No cóż, skoro mój rozum nie chce uwierzyć!

— Przypomina pan sobie owego filozofa, który negował ruch?

— Tak.

— Co uczynił jego przeciwnik?

— Zaczął przed nim chodzić... A więc, niech się pan przejdzie, albo raczej mówi. Słucham.

— W istocie, po to tu przyszliśmy, a na razie tracimy czas na co innego. Zatem, doktorze, w jakim punkcie jesteśmy z tą naszą fuzją ministerstw.

— Jak to: z naszą fuzją ministerstw?

— Tak, z naszym ministerium Mirabeau — La Fayette.

— Jesteśmy w fazie mętnych pogłosek, o których słyszał pan jak i inni, a teraz wypytując mnie chce się pan dowiedzieć, ile w tym prawdy.

— Doktorze, jest pan wcieleniem wątpliwości, a najgorsze, że nie dlatego pan wątpi, że nie wierzy, ale dlatego, że nie chce wierzyć. Więc najpierw mam powiedzieć to, o czym pan wie równie dobrze jak ja? Zgoda... Potem zaś powiem, o czym wiem lepiej od pana.

— Słucham, hrabio.

— Przed dwoma tygodniami rozmawiał pan z królem o Mirabeau jako o jedynym człowieku, który mógłby ocalić monarchię. Wtedy to — pamięta pan — wychodząc od króla minął się pan z wchodzącym tam panem de Favras.

— Co dowodzi, że wówczas nie był jeszcze powieszony — rzekł ze śmiechem Gilbert.

— Och, bardzo panu spieszo, doktorze! Nie wiedziałem, że jest pan taki okrutny! Niech pan da temu biedakowi jeszcze kilka dni życia; słyszał pan moją przepowiednię 6 października, dziś mamy 6 listopada — upłynął zaledwie miesiąc. Przyzna pan chyba jego duszy tyle czasu na

opuszczenie ciała, ile. otrzymuje lokator na opuszczenie mieszkania — a więc trzy miesiące. Zwracam panu jednak uwagę, doktorze, że zbaczamy z drogi.

— Wróćmy więc na nią, hrabio, chętnie za panem podążę.

— A zatem rozmawiał pan z królem o panu Mirabeau jako o jedynym człowieku, który mógłby ocalić monarchię.

— To moja opinia, hrabio, dlatego też przedstawiłem ten projekt królowi.

— Doktorze, jest to również moja opinia, dlatego też projekt, jaki przedstawił pan królowi, upadnie.

— Upadnie?

— Bez wątpienia... Pan wie, że nie chcę, aby monarchia została ocalona!

— Proszę mówić dalej.

— Król znacznie poruszony pańskim wystąpieniem — przepraszam, ale muszę przedstawić sprawę niejako od góry, by udowodnić, że żadna faza negocjacji nie jest mi obca — a więc król poruszony tym, co mu pan powiedział, omawiał pański projekt z królową, a królowa — ku wielkiemu zdumieniu przesądnych umysłów, jakie wznieca Historia, ta wielka gaduła, mówiąc głośno to, co my dziś mówimy po cichu — okazała się dużo przychylniejsza pańskiemu projektowi niż król; posłała więc po pana, przedyskutowała z nim wszystkie za i przeciw i w końcu upoważniła do rozmów z panem de Mirabeau. Czy to wszystko prawda, doktorze? — zapytał Cagliostro, patrząc Gilbertowi prosto w oczy.

— Muszę przyznać, hrabio, że jak dotąd nie zboczył pan ani o cal z właściwej drogi.

— Po czym, mój pyszałku, wyszedł pan oczarowany i przekonany głęboko, że przyczyną królewskiego nawrócenia jest pańska niezbita logika i nieodparte argumenty.

Dotknięty ironią tych słów, Gilbert lekko zagryzł wargi.

— A jakie były przyczyny tego nawrócenia, jeśli nie moja logika i moje argumenty? Niech pan powie, hrabio, znajomość ludzkiego serca jest mi równie droga jak znajomość i wiedza o ciele. Wynałazł pan instrument, z pomocą którego czyta pan w sercu królów, niech mi więc pan użyczy tego cudownego teleskopu. Nieludzkim byłoby zachować go tylko dla siebie.

— Mówiłem już, doktorze, że nie mam wobec pana tajemnic. Zgodnie z pańskim życzeniem oddaję więc w pańskie ręce mój teleskop. Będzie pan mógł przezeń spoglądać, wedle upodobania powiększając lub pomniejszając obraz. Otóż królowa ustąpiła z dwóch względów. Po pierwsze dlatego, że w przeddzień przeżyła wielki ból serca i to, co pan zaproponował, stanowiło dla niej intrygę do zawiązania i rozwiązania, a więc rozrywkę. Po drugie, królowa jest kobietą, zaś pana de Mirabeau przedstawiono jej jako lwa, tygrysa lub niedźwiedzia, a kobieca miłość własna nie może oprzeć się kuszącej chęci ujarznienia lwa, tygrysa lub niedźwiedzia. Pomyślała sobie: „Zabawne będzie, jeśli rzucę do swoich stóp człowieka, który mnie nienawidzi, jeśli zmuszę do skruchy tego trybuna, co mnie znieważył. Moją zemstą będzie, że padnie przede mną na kolana. A jeśli z tego klęknienia wyniknie coś dobrego dla Francji i królestwa, tym lepiej!” Pojmuje pan jednak, że ten drugi wzgląd jest całkiem podrzędny.

— Buduje pan hipotezy, hrabio, a obiecał pan przekonać mnie za pomocą faktów.

— Odrzuca pan mój teleskop, nie mówmy więc już o tym i powróćmy do spraw materialnych, które oglądać można gołym okiem — na przykład do długów pana de Mirabeau. Do tych spraw teleskop nie jest potrzebny.

— Tutaj, hrabio, ma pan sposobność okazać swoją wspaniałomyślność.

— Płacąc długi pana de Mirabeau?

— Czemu nie? Przecież spłacił pan kiedyś długi kardynała de Rohan!

— Och, niech mi pan nie wytyka tej spekulacji, to jedna z najbardziej udanych.

— A co panu dała?

— Sprawę naszyjnika... myślę, że to ładne. Za taką cenę gotów jestem spłacić długi pana de Mirabeau. Na razie jednak, sam pan wie, on nie na mnie liczy — liczy na przyszłego wodza naczelnego La Fayette'a, który każe mu się łąsić jak psu za ochłap za nieszczęsną sumę pięćdziesięciu tysięcy franków, której mu w końcu nie da.

— Och, hrabio!

— Biedny Mirabeau! Rzeczywiście, jakże ci wszyscy głupcy i zarozumialcy, z którymi masz do czynienia, każą płacić twojemu geniuszowi za szaleństwa młodości! Prawda, że wszystko to jest opatrnościowe, Bóg przecież działać musi środkami dostępnymi ludzom. „Niemoralny Mirabeau” — powiada Brat, który jest impotentem. „Rozrzutny Mirabeau!” — mówi hrabia d'Artois, którego długi król płacił trzykrotnie. Biedny geniuszu! Może nawet ocaliłbyś monarchię, ponieważ jednak monarchia nie ma być ocalona, Rivarol mówi: „Mirabeau to potworny gaduła”. „Mirabeau to nędzarz” — powiada Mably. „Mirabeau to dziwak!” — rzecze La Poule. „Mirabeau to przestępca!” — powiada Guillermy. „Mirabeau to morderca!” — mówi ksiądz Maury. „Mirabeau to trup!” — powiada Target. „Mirabeau to człek pogrzebany!” — powiada Dupont. „Mirabeau to mówca, którego częściej wygwizdywano niż oklaskiwano!” — dodaje Pelletier. „Mirabeau ma ospowatą duszę!” — mówi Champcenez. „Mirabeau trzeba zesłać na galery!” — twierdzi Lambesc. „Trzeba powiesić Mirabeau!” — woła Marat. Ale gdyby Mirabeau jutro umarł, lud zgotuje mu apoteozę i wszystkie karty, których przerasta nie tylko o głowę i których tak przygniata za życia, pójdą za konduktem, śpiewając i wołając: „Biada Francji, która straciła swego trybuna! Biada królestwu, co utraciło podporę!”

— Zamierza pan przepowiedzieć mi również śmierć Mirabeau? — zawołał niemal przerażony Gilbert.

— Szczerze mówiąc, doktorze, czy może pan wierzyć w długie życie człowieka, którego pali krew, dławi serce i pożera geniusz? Czy sądzi pan, że nawet tytaniczne siły nie wyczerpią się w końcu w ustawicznej walce z miernotą? Dzieło, jakie podjął, to syzyfowy trud. Czyż od dwóch lat nie przytłacza go nieustannie słowo „niemoralność”? Ilekroć po niesłychanych wysiłkach przekonany jest, że wtoczył głaz na szczyt góry, spada nań cięższy niż kiedykolwiek. Co powiedziano królowi, kiedy już niemal zgodził się z opinią królowej co do kandydatury Mirabeau jako pierwszego ministra? „Sire, Paryż wytknie nam niemoralność! Francja wytknie nam niemoralność! Europa wytknie nam niemoralność!” Tak jakby Bóg ukształtował wielkich ludzi wedle tej samej formy, co zwykłych śmiertelników! Gilbercie, pan i kilku inteligentnych ludzi wysilacie się, by zrobić Mirabeau ministrem, a więc tym, czym byli głupiec Turgot, pedant Necker, bufon Calonne i ateusz Brienne. Ale Mirabeau nie będzie ministrem, ponieważ ma sto tysięcy długów, które by spłacono, gdyby był synem głównego poborcy i podatków, i ponieważ skazano go na śmierć za porwanie żony starego durnia, która na dodatek otruła się czadem z powodu przystojnego kapitana! Cóż to za komedia ta ludzka tragedia; płakałbym nad nią, gdybym akurat nie był w tak dobrym humorze!

— Co też pan mi tu wróży? — zapytał Gilbert, który był gotów przyjąć rozumowanie Cagliostro, lękał się jednak jego konkluzji.

— Powiadam panu — rzekł Cagliostro właściwym sobie proroczym tonem, który wykluczał wszelką dyskusję — powiadam panu, że Mirabeau, człowiek genialny, mąż stanu, wielki mówca, straci życie i dojdzie do grobu nie osiągnąwszy tego, czym wszyscy inni byli — rangi ministra. Och, drogi Gilbercie, najlepszą tarczą jest przeciętność.

— Czy król ostatecznie jest temu przeciwny?

— Co znowu, u licha. Wystrzega się tego. Musiałby dyskutować z królową, której niemal przyrzekł zgodę. Wie pan, że polityka króla zawiera się w słowie „niemal”. Jest on niemal zwolennikiem Konstytucji, niemal filozofem, niemal miłośnikiem ludu i jest niemal subtelny,

gdy jego doradcą jest Brat. Niech się pan jutro wybierze do Zgromadzenia, drogi doktorze, a zobaczy pan, co się tam rozegra.

— Nie mógłby mi pan powiedzieć tego teraz?

— Pozbawiłoby to pana przyjemnej niespodzianki.

— Czekać do jutra, tak to długo!

— Zróbmy więc inaczej. Jest piąta, za godzinę otworzą

Klub Jakobinów... Wie pan, panowie jakobini to nocne ptaki. Należy pan do tego towarzystwa?

— Nie, Kamil Desmoulin i Danton wciągnęli mnie do kordelierów.

— A więc, jak mówiłem, za godzinę otwierają Klub Jakobinów. To świetnie skomponowane towarzystwo, gdzie, zapewniam, nie będzie pan intruzem. Zjemy razem obiad, a po obiedzie weźmiemy fiakra i pojedziemy na ulicę Saint-Honoré. Wychodząc ze starego klasztoru będzie pan zbudowany. A poza tym uprzedzony o dwanaście godzin, może zdoła pan w porę odparować cios.

— Jak to — zapytał Gilbert — jada pań obiad o piątej?

— Punktualnie o piątej. Jestem prekursorem we wszystkich dziedzinach. Za dziesięć lat Francja będzie jadła tylko dwa posiłki dziennie: śniadanie o dziesiątej rano i obiad o szóstej wieczór.

— A co spowoduje tę zmianę obyczajów?

— Głód, mój drogi!

— Doprawdy, jest pan złym prorokiem!

— Nie, bo przepowiadam panu dobry obiad.

— Ma pan gości?

— Jestem zupełnie sam, ale zna pan powiedzonko starożytnego smakosza: „Lukullus je obiad u Lukullusa”.

— Obiadr podany — oznajmił służący, otwierając szeroko drzwi do rześcicie oświetlonej i wspaniale przygotowanej do posiłku jadalni.

— No proszę, panie pitagorejczyku — rzekł Cagliostro, ujmując Gilberta pod rękę. — Raz przecież można sobie użyć.

Gilbert ruszył za czamoksiężnikiem porwany magią jego słów, a może także nadzieją, że błyski dalszej rozmowy rozświetlą mu w przyszłości drogę, którą podążał w ciemności.

XXIX

KLUB JAKOBINÓW

W dwie godziny po opisanej rozmowie powóz bez herbów i służących w liberii zatrzymał się przed kościołem Świętego Rocha, którego fasada nie była jeszcze uszkodzona przez biskajczyków 13 vendémiaire'a.

Z powozu wysiadło dwóch mężczyzn ubranych na czarno, jak przedstawiciele stanu trzeciego, i w żółtym świetle latarń, które co kilkanaście metrów rozjaśniały mgłę ulicy Saint-Honoré, wraz z tłumem przeszło, prawą stroną ulicy aż do małej bramy klasztoru Świętego Jakuba.

Jeśli, co wielce prawdopodobne, czytelnicy nasi już odgadli, że ci dwaj mężczyźni to doktor Gilbert i hrabia Cagliostro, lub też bankier Zannone, jak się kazał nazywać w tej epoce, nie musimy wyjaśniać, dlaczego przystanęli oni przed tą bramą — celem swej wyprawy.

Zresztą wystarczyło, by obaj nowo przybyli ruszyli za tłumem, który był tu wyjątkowo gęsty.

— Woli pan nawę czy też zadowolony się pan miejscem na trybunach? — zapytał Cagliostro.

— Sądzę, że nawa przeznaczona jest wyłącznie dla członków stowarzyszenia.

— Zapewne, ale czyż ja nie należę do wszystkich stowarzyszeń? — powiedział ze śmiechem Cagliostro. — A skoro ja należę, należą też moi przyjaciele. Jeśli pan sobie życzy, oto karta wstępu. Mnie wystarczy, że powiem słowo.

— Rozpoznają nas jako obcych i jeszcze wyproszą — zauważył Gilbert.

— Przed wszystkim, drogi doktorze, musi pan wiedzieć coś, czego zapewne pan jeszcze nie wie. Otóż stowarzyszenie jakobinów, założone przed trzema miesiącami, liczy już we Francji około sześćdziesięciu tysięcy członków, a nim upłynie rok, liczyć będzie czterysta tysięcy. Poza tym, mój drogi — dodał z uśmiechem — tutaj właśnie jest prawdziwy Wielki Wschód, centrum wszystkich tajnych stowarzyszeń, nie zaś, jak się powszechnie sądzi, u tego głupca Faucheta. Jeśli więc nie ma pan prawa wstępu jako jakobin, znajdzie pan należne sobie miejsce jako różokrzyżowiec

— Wszystko jedno — odparł Gilbert — wolę już trybuny. Z wysokości trybun będziemy górować nad zgromadzeniem i łatwiej mi pan pokaże dzisiejsze lub przyszłe znakomitości, których jeszcze nie znam:

— Chodźmy więc na trybuny — odparł Cagliostro, ruszając schodami na prawo.

Trybuny były przepelnione, ale w pierwszej, do której wszedł Cagliostro, na jeden jego znak i słówko wypowiedziane półgłosem, dwóch mężczyzn siedzących z przodu natychmiast wstało i wyszło, jakby zjawili się tu wyłącznie po to, aby zająć miejsca dla Cagliostra i doktora Gilberta.

Posiedzenie jeszcze się nie zaczęło i członkowie stowarzyszenia rozproszeni byli w ciemnej nawie; jedni rozmawiali w małych grupkach, inni przechadzali się, inni wreszcie trwali samotnie w zamyśleniu, siedząc w cieniu lub oparci o wielkie filary.

Pasma skąpego światła padały na ten tłum, wyłaniając z mroku poszczególne twarze lub osoby, gdy przypadkiem weszły one w bladą smugę płomieni świec.

Ale nawet w tym półmroku łatwo było stwierdzić, że jest to zebranie arystokratyczne. Wyszywane fraki i mundury oficerów armii lądowej i morskiej znaczyły tłum srebrnymi i złotymi akcentami. Istotnie, w owej epoce żaden robotnik, żaden człowiek z ludu, żaden mieszczanin nie przydawał jeszcze świetnemu zgromadzeniu demokratycznego charakteru.

Dla ludzi z niższych sfer w podziemiach znajdowała się druga sala. Otwierano ją jednak o innej porze, aby lud i arystokracja nie ocierały się o siebie wzajemnie. Otwarto też bratnie stowarzyszenie, którego celem było oświecenie ludu. Zadaniem członków tego stowarzyszenia

było wyjaśnianie zasad Konstytucji i wykładanie praw człowieka.

Jak już mówiliśmy, w owym czasie jakobini stanowili stowarzyszenie wojskowe, arystokratyczne, intelektualne, a nade wszystko literacko—artystyczne.

Istotnie, literaci i artyści stanowili tu większość. Jeśli chodzi o literatów, znajdowali się tu: La Harpe, autor *Melanii*, Chénier, autor *Karola IX*, Andrieux, autor *Trzpiotów*, który w wieku lat trzydziestu rokował te same nadzieje, co w wieku lat siedemdziesięciu, i który umarł nie spełniwszy ich; Sedaine, były kamieniarz, protegowany królowej i gorący rojalista, jak większość tu obecnych; Chamfort, poeta laureat, dawny sekretarz księcia de Condé, lektor księżniczki Elżbiety; Laclos, zwolennik księcia Orleanu, autor *Niebezpiecznych związków*, reprezentował swego patrona i zależnie od okoliczności miał obowiązek przypominać o nim jego przyjaciółom lub też usuwać go z pamięci wrogów.

Spośród artystów wymienić trzeba: Talmę, rzymianina, który niebawem w roli Tytusa dokonać miał rewolucji — dzięki niemu obetnie się włosy, zanim, dzięki jego koledze nazwiskiem Collot d’Herbois, nie zaczniesz się ścinać głów; Davida, który marzył o *Leonidasie i Sabinkach*, szkicował już swój wielki obraz *Przysięga w Jeu de Paume* i który może właśnie przed chwilą kupił pędzel, by namalować nim swój najpiękniejszy i najohydniejszy zarazem obraz *Marat zamordowany w kąpieli*; Verneta, dwa lata wcześniej przyjętego do Akademii za obraz *Triumf Paulusa Emiliusa*, który teraz zabawiał się malowaniem koni i psów i nie domyślał się, że w tym samym zgromadzeniu, ledwie parę kroków dalej, u boku Talmy, znajduje się młody porucznik z Korsyki, o płaskich i nieupudrowanych włosach, który nieświadom tego przygotowuje mu tematy jego pięciu najpiękniejszych obrazów: *Przejścia przez górę Saint-Bernard* oraz *Bitwy pod Rivoli*, *Bitwy pod Marengo*, *Bitwy pod Austerlitz* i *Bitwy pod Wagram*; jest także Larive, spadkobierca szkoły deklamatorskiej, który jeszcze nie raczy w młodym Talmie dopatrywać się rywala i przedkłada Woltera nad Corneille’a, a Belloya nad Racine’a; jest Lais, śpiewak święcący triumfy w Operze jako kupiec w *Karawanie*, konsul w *Trajanie* i Cynna w *Westalce*; dalej są La Fayette, Lameth, Dupont, Sieyes, Thouret, Chapellier, Rabaut—Saint-Étienne, Lanjuinais, Montlosier; na koniec zaś pośród tego tłumu zadufana w sobie postać o wyzywającej minie i zadartym nosie, deputowany z Grenoble, Barnave, w którym ludzie pospolicie widzą rywala Mirabeau, a którego Mirabeau miałby, ilekroć raczy go zauważyć.

Gilbert długo przyglądał się temu świetnemu zgromadzeniu i z pewną trwogą rozpoznał wszystkich obecnych, doceniając w duchu ich różnorodne talenty.

A przecież uspokoiło go to zgromadzenie rojalistów.

— W gruncie rzeczy — powiedział nagle do Cagliostro kto z tych ludzi jest, pańskim zdaniem, naprawdę wrogo usposobiony do monarchii?

— Czy mam patrzeć na nich oczyma ogółu, pańskimi oczyma, oczyma Neckera, księdza Maury czy też swoimi?

— Swoimi — odparł Gilbert — czy nie zwykło się uważać, iż są to oczy jasnowidza?

— Otóż jest ich dwóch.

— To niewiele, jak na czterysta osób.

— Ale wystarczy, jeśli jeden z tych ludzi będzie zabójcą Ludwika XVI, a drugi jego następcą! Gilbert zadrżał.

— Och, więc mamy tu przyszłego Brutusa i przyszłego Cezara?

— Ni mniej, ni więcej, mój drogi doktorze.

— Pan mi ich pokaże, prawda hrabio? — zapytał Gilbert z uśmiechem powątpiewania na ustach.

— Apostole z bielmem na oczach! — mruknął Cagliostro. — Zrobię więcej, jeśli sobie życzysz, pozwolę ci dotknąć ich palcem. Od kogo zacząć?

— Chyba od wywrotowca. Mam wielki szacunek dla porządku chronologicznego. Zaczniemy od Brutusa.

— Wiesz — rzekł Cagliostro, ożywiając się, jakby ogarnięty natchnieniem — wiesz, że ludzie nigdy nie używają tych samych, sposobów, nawet dla dokonania podobnego dzieła. Nasz Brutus nie będzie więc w niczym podobny do starożytnego.

— Tym bardziej jestem go ciekaw.

— Patrz więc — rzekł Cagliostro — oto on! — I wyciągnął rękę w kierunku mężczyzny, który stał oparty o kazalnicę tak, że tylko jego głowa była oświetlona, a reszta ciała tonęła w mroku.

Głowa ta blada, sina wydawała się jakby odcięta i przybita do ambony.

Tylko oczy zdawały się żyć i mieniły się wyrazem pogardliwej niemal nienawiści, jak oczy zmii, która wie, że jej żąb kryje śmiertelną truciznę: człowiek ten śledził wzrokiem hałaśliwą ewolucję gadatliwego Barnave'a.

Gilbert poczuł, jak całe jego ciało przebiega dreszcz.

— Istotnie — powiedział — ma pan rację, to nie jest ani głowa Brutusa, ani nawet Cromwella.

— Nie, ale może to głowa Kasjusza. Pan wie, mój drogi, co powiedział Cezar: „Nie lękam się ludzi tłustych, co całe dni spędzają przy stole, a noce na orgiach: ci, których się lękam, to marzyciele o chudym tułowiu i bladej twarzy”.

— Ten, którego mi pan pokazał, dobrze spełnia warunki ustalone przez Cezara.

— Nie zna go pan?

— Ależ tak — odrzekł Gilbert, przyglądając mu się z uwagą — znam go, albo raczej poznaję w nim członka Zgromadzenia Narodowego.

— Tak jest! Jeden z najbardziej zawile przemawiających trybunów lewicy.

— Którego nikt nie słucha, kiedy przemawia.

— Tak jest!

— Adwokacina z Arras, nazwiskiem Maksymilian Robespierre, nieprawda?

— Doskonale. Otóż niech się pan przyjrzy temu człowiekowi z uwagą.

— Patrzę.

— I cóż pan widzi?

— Hrabio, nie jestem Lavaterem.

— Ale jest pan jego uczniem.

— Widzę w nim nienawiść miernoty do geniuszu.

— To znaczy, że pan osądza go jak wszyscy... Tak, to prawda; jego słaby, piskliwy głos, chuda i smutna twarz, czoło przypominające żółty, zleżały pergamin, szkliste oczy, w których niekiedy tylko migoce zielonkawy ogień, który natychmiast gaśnie, nieustanne natężenie mięśni i głosu, fizjonomia pedanta, męcząca swym upartym bezruchem, nieodmienny oliwkowy frak starannie ywyszczotkowany, surowy strój — wszystko to, przyznaję, musi robić kiepskie wrażenie na zgromadzeniu bogatym w mówców, które ma prawo być wybredne, przywykło bowiem do lwiej twarzy Mirabeau, do zuchwałego zarozumiałstwa Barnave'a, cierpkiej riposty księcia Maury, żaru Cazalèsa i logiki Sieyesa. Ale temu nikt nie zarzuci niemoralności jak panu de Mirabeau, bo ten jest uczciwym człowiekiem; nie wykracza przeciwko zasadom, a jeśli zdarzy mu się złamać prawo, to po to jedynie, aby starą ustawę zastąpić nową!

— Ale w końcu — zapytał Gilbert — kto to jest ten Robespierre?

— Ach, mam cię nareszcie, arystokrato XVIII wieku! „Kto to jest ten Cromwell? — zapytał hrabia Strafford, któremu Protektor miał ściąć głowę. — Handlarz piwem, jak sądzę!”

— Chce pan przez to powiedzieć, że mojej głowie grozi to samo, co głowie sir Tomasza Wentwortha? — zapytał Gilbert z uśmiechem, który zamarł mu na wargach.

— Kto wie? — odparł Cagliostro.

— Jest to jeszcze jeden powód, aby się czegoś o nim dowiedzieć — rzekł doktor.

— Kto to jest Robespierre? Otóż we Francji nie wie tego chyba nikt prócz mnie. Lubie wiedzieć, skąd pochodzą wybrańcy losu: to mi pozwala odgadnąć, dokąd dążą. Robespierrowie pochodzą z Irlandii. Możliwe, że ich przodkowie należeli do tych irlandzkich przybyszów, którzy w XVI stuleciu zaludnili klasztory i seminaria naszych północnych wybrzeży. Tam odebrali solidną edukację pieniacką, jaką jezuiti wpajają swoim wychowankom; byli rejentami z pokolenia na pokolenie. Jedna z gałęzi tej rodziny, od której ten się właśnie wywodzi, osiadła w Arras, jak panu wiadomo, wielkim ośrodku szlachty i kleru. W mieście było dwóch panów, a raczej dwóch królów: jednym był ksiądz Saint-Waast, drugim — biskup Arras, którego pałac rzucał cień na pół miasta. Właśnie w tym mieście w 1758 roku przyszedł na świat człowiek, którego pan tu widzi. Jakim był dzieckiem, co robił jako młodzieniec, *co* robi obecnie — powiem w dwóch słowach, co zrobi w przyszłości — powiedziałem już jednym. W domu było czworo dzieci. Ojciec rodziny stracił żonę — był adwokatem przy trybunale Artois — wpadł w ponurą melancholię, zerwał z sądem, wyruszył w podróż i już więcej nie wrócił. Najstarszy syn, ten właśnie, mając lat jedenaście stanął na czele rodziny jako opiekun brata i dwóch sióstr. Dziwna rzecz, chłopiec w tym wieku pojął swoje zadania i natychmiast stał się mężczyzną. W ciągu dwudziestu czterech godzin przeobraził się i taki już na zawsze pozostał; jego twarz uśmiechała się niekiedy, serce nie śmiało się nigdy.

Był najlepszym uczniem w liceum. Ksiądz Saint-Waast przyznał mu jedno ze stypendiów, jakimi dysponował w liceum Ludwika Wielkiego; chłopiec przybył do Paryża sam, z listem polecającym go kanonikowi z Notre-Dame; w tym samym roku kanonik zmarł. Niemal równocześnie zmarła w Arras jego najmłodsza, najukochańsza siostra. Cień wygnanych z Francji jezuitów rysował się jeszcze na ścianach szkoły Ludwika Wielkiego. Zna pan ten budynek, gdzie wychowuje się obecnie pański syn, Sebastian. Jego dziedzińce, ciemne i głębokie jak dziedzińce Bastylli, odbarwiają najbardziej kwitnące twarze. Twarz Robespierre'a była blada, w liceum stała się przezroczyta. Inne dzieci czasami wychodziły do miasta, rok dla nich miał niedziele i święta, dla stypendysty, sieroty pozbawionego opieki, wszystkie dni były jednakowe. Gdy inne dzieci oddychały powietrzem rodziny, on wdychał atmosferę samotności, smutku i nudy: tchnienia, które zapalają w sercach zawiść i nienawiść, odzierają duszę z uroków młodości. Nienawiść nadwątlila dziecko, a potem zmieniła w mdłego młodzieńca. Zbliżają się czasy, kiedy nikt nie zechce uwierzyć, że istnieje taki wizerunek dwudziestoczteroletniego Robespierre'a: na portrecie w jednej ręce trzyma różę, drugą przyciska do serca, a całość opatrzona jest dewizą: „Wszystko dla mojej miłej!”

Gilbert uśmiechnął się smutno spoglądając na Robespierre'a.

— Prawdą jest — ciągnął dalej Cagliostro — że gdy pozwolił namalować się pod tą dewizą, panna przysięgała, że nic na świecie ich nie rozłączy; on również przysięgał, ale zdecydowany był dotrzymać przysięgi. Wyjechał w podróż na trzy miesiące, by po powrocie dowiedzieć się, że wyszła za męża! Tymczasem ksiądz Saint-Waast, który pozostał jego protektorem, wyjednał z kolei stypendium dla jego brata w tym samym liceum Ludwika Wielkiego, dla niego zaś wystarał się o stanowisko sędziego w trybunale karnym. Nadarzył się wówczas proces, w którym podsądnym był morderca; dręczony wyrzutami sumienia, że ośmielił się rozstrzygać o losie człowieka, choć ten okazał się winny, Robespierre podał się do dymisji. Został adwokatem, bo trzeba było żyć i utrzymać młodszą siostrę — brata w szkole żywiono wprawdzie źle, ale jednak z głodu nie umarł. Ledwie wpisał się na listę adwokatów, gdy przyszli do niego chłopci, by podjął się ich obrony przeciwko biskupowi Arras. Chłopci mieli rację, Robespierre przekonał się o tym na podstawie akt, wystąpił więc w ich obronie, wygrał proces, po czym wsławiony tym sukcesem został wybrany do Zgromadzenia Narodowego. W Zgromadzeniu Narodowym znalazł się

między potężną nienawiścią a głęboką pogardą: nienawiścią kleru do adwokata, co odważył się wystąpić przeciwko biskupowi Arras, a pogardą szlachty Artois dla kauzypierdy z pańskiej łaski.

— Ale co on dotychczas zrobił? — przerwał Gilbert.

— Och, mój Boże, prawie nic dla innych, ale sporo dla mnie. Gdyby nie leżało w moich planach, aby ten człowiek był biedny, jutro dałbym mu milion.

— Pytam po raz wtóry, co on dotychczas zrobił?

— Czy przypomina pan sobie dzień, kiedy kler zjawił się w Zgromadzeniu i obłudnie prosił przedstawicieli stanu trzeciego, zawieszonych przez królewskie *veto*, by przystąpili do pracy?

— Tak.

— To niech pan przeczyta sobie mowę, jaką tego dnia wygłosił adwokacik z Arras, a przekonana się, jaka przyszłość tkwi w tej cierpkiej zapalczowości, która uczyniła go prawie elokwentnym.

— A potem?...

— Potem?... Ach prawda, musimy przeskoczyć od maja do października. Kiedy 5 października Maillard, delegat paryskich kobiet, przemówił do Zgromadzenia w imieniu swoich mocodawczyń, wszyscy członkowie Zgromadzenia siedzieli bez słowa i gestu. Adwokacina okazał się nie tylko szorstki, ale i bardziej odważny niż którykolwiek z jego kolegów. Rzekomi obrońcy ludu milczeli, on zaś wystąpił dwukrotnie: raz w zgiełku oburzenia i po raz drugi — w całkowitej ciszy. Poparł Maillarda, który mówił w imieniu głodujących i żądał chleba.

— Istotnie — rzekł Gilbert w zamyśleniu — to już poważniejsza sprawa, ale może się zmieni?

— Och, drogi doktorze, pan nie zna „Nieprzekupnego”, jak go, kiedyś nazwą. Zresztą kto chciałby kupić adwokata, z którego wszyscy się śmieją? Ten człowiek, który niebawem stanie się niech pan uważnie słucha, co mówię postrachem Zgromadzenia, dziś jest jego pośmiewiskiem. Wśród nobliwych jakobinów utarła się opinia, że pan Robespierre jest błaznem Zgromadzenia. Kimś, kto bawi i bawić powinien wszystkich, kimś, z kogo każdy może i wręcz powinien szydzić. Wielkie zgromadzenia nudzą się czasami i jakiś głupek musi je rozweselać... Dla Lametha, Cazalèsa, Maury’ego, Barnave’a, Duporta pan Robespierre jest głupkiem. Przyjaciele zdradzają go uśmiechając się cichcem, wrogowie go zakrzykują, śmiejąc się bardzo głośno. Kiedy przemawia, wszyscy gadają, kiedy podnosi głos, krzyczą. A kiedy już — zawsze w obronie prawa, zawsze w imię zasady — wygłosi przemówienie, którego nikt nie słuchał, zazwyczaj jakiś mniej znany poseł wstaje i domaga się ironicznie, aby mowa Robespierre’a została wydrukowana. Tylko jeden z jego kolegów rozumie go i przeczuwa jego wartość, jeden jedyny! Zgadnij pan, kto? Mirabeau. „Ten człowiek zajdzie daleko — powiedział mi przedwczoraj — gdyż wierzy w to, co mówi”. A cecha ta, jak pan pojmuję, wydaje się Mirabeau osobliwa.

— Czytałem przecież mowy tego człowieka, wydały mi się jednak mierne i płaskie i — rzekł Gilbert.

— Och, mój Boże, nie twierdzę, że to Demostenes, Cynceron, Mirabeau czy Barnave. Nie, to po prostu pan de Robespierre, jak go nazywają z przekąsem. Zresztą jego mowy są tak samo lekceważone w drukarni, jak w parlamencie; tam przerywają je okrzykami, w drukarni kaleczą przy składaniu. Dziennikarze nie tytułują go nawet panem Robespierre, dziennikarze nie znają tego nazwiska; nazywają go panem B., panem N. albo panem X: Och! jeden Bóg i może ja wiemy, ile żółci gromadzi się w tej wątłej piersi, ile burz narasta w tym ciasnym mózgu, bowiem aby zapomnieć o tych wszystkich obelgach, zdradach i poniżeniach, wyszydzeniu mówca nie ma pocieszenia ani w światowej rozrywce, ani w rodzinnej przystani. W ponurym mieszkanku przy ponurej ulicy Saintonge, gdzie żyje skromnie z gaży deputowanego, jest tak samo samotny, jak w wilgotnych korytarzach internatu liceum Ludwika Wielkiego. Jeszcze rok temu jego twarz była

młodzieńczo świeża i łagodna, a teraz, proszę spojrzeć, jest wyschnięta jak głowy karaibskich wodzów, jakie przywożą z Oceanii Cookowie i La Perouse'owie. Nie opuszcza Klubu Jakobinów, a nie zauważone przez innych emocje, jakie nim wstrząsają, sprawiły, że dwa lub trzy razy dostał krwotoku i stracił przytomność. Gilbercie, pan jest wielkim matematykiem, niech pan więc spróbuje obliczyć, jaką ilością krwi zapłaci za krew, jaką utracił Robespierre, szlachta, która go znieważa, księża, co go prześladują, król, który nic o nim nie wie.

— Czemu więc przychodzi do jakobinów?

— Bo u jakobinów go słuchają, podczas gdy w Zgromadzeniu szydzą. Jakobini, mój drogi, to po prostu minotaur w dziecięcym wieku, jeszcze ssie krowę, choć później pożre cały naród. Robespierre jest typowym jakobinem. Po prostu stowarzyszenie uosabia się w nim, a on jest wcieleniem stowarzyszenia. Idzie z nim krok w krok, nie wybiegając naprzód ani nie pozostając w tyle. Przyrzekłem pokazać panu mały przyrząd, który obecnie jest przedmiotem badań, a którego zadaniem będzie ścinanie jednej, a może dwóch głów na minutę. Otóż spośród wszystkich obecnych tym, który przysporzy owemu narzędziu śmierci najwięcej roboty, będzie adwokacina z Arras, pan de Robespierre.

— Doprawdy, hrabio, jest pan czamowidzem! — rzekł Gilbert. — A jeśli po pańskim Brutusie nie pocieszy mnie choć trochę pański Cezar, mogę zapomnieć o sprawie, jaka mnie tu przywiodła. Przepraszam, ale co się stało z Cezarem?

— O, widzi go pan? Rozmawia z osobnikiem, którego jeszcze nie zna, a który w decydujący sposób wpłynie na jego los. Ten człowiek nazywa się Barras. Na wszelki wypadek niech pan zapamięta to nazwisko.

— Nie wiem, czy pan się myli, hrabio, ale w każdym razie umie pan wybierać swoje typy. Pański Cezar ma czoło, które domaga się korony, a jego oczy, których wyrazu nie mogę uchwycić...

— Bo zwrócone są do wewnątrz... to oczy, co odgadują przyszłość, doktorze.

— A co on mówi Barrasowi?

— Mówi, że gdyby on. bronił Bastylji, nie zostałaby zdobyta.

— Więc nie jest patriotą?

— Ludzie tacy jak on wolą pozostać w cieniu, póki nie zdobędą wszystkiego.

— Pokpiwa pań zatem i z tego podporucznika?

— Gilbercie, o ile pewne jest, że ten — tu Cagliostro wyciągnął rękę w stronę Robespierre'a — wzniesie we Francji szafot Karola I, pewne jest również, że tamten — przesunął teraz rękę w stronę Korsykanina o płaskiej fryzurze — odbuduje tron Karola Wielkiego.

— W takim razie — zawołał strapiony Gilbert — nasza walka o wolność jest bezcelowa?

— A któż twierdzi, że ten drugi nie uczyni dla niej z pomocą tronu tyleż, co pierwszy z pomocą gilotyny?

— Więc będzie to Tytus, Marek Aureliusz, bóg pokoju, niosący światu pociechę po niedolach wieku kamienia?

— Będzie zarazem Aleksandrem i Hannibalem. Zrodzony z wojny, dzięki niej wzrośnie i sam padnie jej ofiarą. Zachęcałem, aby pan obliczył, ile krwi zapłaci szlachta i kler za krew, jaką traci Robespierre. Mech pan weźmie tę krew księży i magnatów, niech pan ją wielokrotnie pomnoży, a nie uzyska pan jeszcze owej rzeki, owego morza krwi, jakie rozleje ten człowiek w trzydniowych bitwach, w których armie liczące pół miliona ludzi oddawać będą sto tysięcy strzałów armatnich.

— A co wyniknie z tego zgiełku, dymu, chaosu?

— To, co wynika z każdej genezy, Gilbercie. Przypadło nam w udziale pochować stary świat. Nasze dzieci ujrzą narodziny nowego. Ten człowiek to olbrzym, który strzeże jego wrót. Jak Ludwik XIV, jak Leon X, jak August swoim imieniem ochrzci nadchodzący wiek.

— A jak nazywa się ten człowiek? — zapytał Gilbert, podbity siłą przekonywania Cagliostro.

— Na razie nazywa się tylko Bonaparte — odparł prorok — ale pewnego dnia zabłyśnie jego imię Napoleon!

Gilbert wsparł głowę na dłoni i zamyślił się tak głęboko, iż nie spostrzegł, że posiedzenie otwarto, a na trybunę wszedł mówca...

Przez całą godzinę trwał w zadumie, z której nie mógł wytrącić go ani hałas zgromadzenia, ani burzliwy ton obrad, gdy nagle poczuł, że na jego ramieniu spoczęła czyjaś potężna dłoń.

Odwrócił się. Cagliostro gdzieś znikł, ale zamiast niego ujrzał Mirabeau o twarzy wykrzywionej gniewem.

Gilbert spojrzał nań pytająco.

— No i co? — zapytał Mirabeau.

— Co się stało?

— Stało się to, że nas oszukano, wykpieno, zdradzono. Stało się to, że dwór mnie nie chce, że pana wystrychnął, na dudka, a mnie na głupca.

— Nie rozumiem, hrabio.

— Więc pan nie słyszał?

— Czego?

— Uchwały, jaka przed chwilą zapadła?

— Gdzie?

— Tutaj!

— Jakiej uchwały?

— Cóż to, pan spał?

— Nie, rozmyślałem.

— Otóż w odpowiedzi na mój dzisiejszy wniosek, aby ministrowie byli obecni na posiedzeniach Zgromadzenia Narodowego, trzej przyjaciele króla mają jutro wystąpić z żądaniem, aby żaden z członków Zgromadzenia nie mógł zostać ministrem w czasie trwania obecnej sesji. Więc cała ta mozolnie wnoszona kombinacja wali się z powodu kaprysu Jego Królewskiej Mości Ludwika XVI. Ale jakim Mirabeau — tu niby Ajax wzniosł zaciśniętą pięść ku niebu — odpłacę im tym samym i jeśli ich dmuchnięcie obalić może ministra, przekonają się, że moje zachwieje Tronem!

— Ale mimo to — rzekł Gilbert — wróci pan do Zgromadzenia i będzie walczył do końca? — zapytał.

— Wrócę do Zgromadzenia i będę walczył do końca!... Jestem z tych, co giną tylko pod gruzami.

I Mirabeau, choć zdruzgotany, opuścił salę, jeszcze straszliwszy i piękniejszy z tym śladem gromu, jaki boski wyrok wyrzył na jego obliczu.

Rzeczywiście nazajutrz, na wniosek Lanjuinaisa, mimo nadludzkich wysiłków Mirabeau, Zgromadzenie Narodowe ogromną większością głosów przyjęło następującą uchwałę: „Żaden członek Zgromadzenia nie może zostać ministrem w czasie trwania obecnej sesji.

— Ja zaś — zawołał Mirabeau, kiedy dekret został już uchwalony — ja proponuję poprawkę, która w niczym nie zmieni waszej ustawy! Oto ona: „Wszyscy członkowie Zgromadzenia mogą być ministrami z wyjątkiem hrabiego Mirabeau”.

Posłowie spojrzeli po sobie, oszołomieni tym aktem odwagi. Wśród ogólnej ciszy Mirabeau zszedł z trybuny tym samym krokiem, jakim kiedyś zmierzał do pana Dreux—Brézé, by mu powiedzieć: „Jesteśmy tu z woli ludu. Nie wyjdziemy stąd inaczej, jak tylko z bagnetem w brzuchu!”, i opuścił salę.

Jego porażka mogłaby uchodzić za triumf przeciwników.

Gilbert nie zjawił się nawet w Zgromadzeniu. Został w domu i rozmyślał o dziwnych przepowiedniach Cagliostro, nie wierząc w nie, a jednak nie mogąc ich zatrzeć w pamięci.

Terażniejszość wydawała mu się bardzo mdła w obliczu przyszłości!

Może ktoś zapyta, jak ja, zwykły historyk czasów minionych, *temporis acti*, wyjaśnię przepowiednie Cagliostro dotyczące Robespierre'a i Napoleona? Pytającego poproszę wówczas, aby wytłumaczył wróżbę panny Lenormand dotyczącą Józefiny.

Na każdym kroku spotykamy na tym świecie sprawy nie wyjaśnione. Prawo wątplenia wynaleziono właśnie dla tych, co nie umieją ich wyjaśnić, a nie chcą w nie uwierzyć.

XXX METZ I PARYŻ

ZGODNIE Z TYM, CO POWIEDZIAŁ CAGLIOSTRO, a przewidział Mirabeau, to sam król pokrzyżował wszystkie plany Gilberta.

W rozgrywce z Mirabeau królowa kierowała się raczej urazą zawiedzionej amantki i ciekawością kobiety niż zmysłem politycznym władczyni. Bez większego żalu spoglądała więc na to, jak wali się konstytucyjne rusztowanie, które zawsze żywo raniło jej dumę.

Jeśli idzie o króla, jego polityka polegała zazwyczaj na czekaniu, grze na zwłokę i korzystaniu z okoliczności; zresztą rozpoczęte pertraktacje stwarzały mu możliwość ucieczki z Paryża i wycofania się do jednej z twierdz, a to odpowiadało mu najbardziej.

Pertraktacje, jak wiadomo, szły dwoma torami: z jednej strony prowadził je Favras, poplecznik królewskiego Brata, z drugiej Charny, osobisty wysłannik Ludwika XVI.

Charny odbył drogę z Paryża do Metzu w dwa dni. Odnalazł tam pana de Bouillé i wręczył mu królewski list, który, jak pamiętamy, miał tylko ułatwić nawiązanie stosunków. Pan de Bouillé jednak, nie kryjąc niezadowolenia wobec toczących się wypadków, zachował początkowo wielką rezerwę.

Istotnie, wyznania, jakie uczynił mu Charny, zmieniały w tym momencie wszystkie jego plany. Otrzymał bowiem właśnie od cesarzowej Katarzyny kuszące propozycje i już miał się zwrócić do króla z prośbą o pozwolenie przejścia na służbę Rosji, gdy nadszedł list Ludwika XVI.

Pierwszą reakcją generała było więc wahanie; jednakże nazwisko pana de. Charny, wzgląd na jego pokrewieństwo z panem de Suffren, pogłoski, iż królowa darzy go absolutnym zaufaniem, sprawiły, że Bouillé, wierny rojalista, zapragnął wyrwać króla z rzekomej wolności, którą wielu ludzi oceniało jako prawdziwą niewolę.

Uważając jednak, że pełnomocnictwa Charny'ego nie są dosyć szerokie, Bouillé postanowił wysłać do Paryża swego syna, hrabiego Ludwika de Bouillé, aby bezpośrednio z królem omówił ten ważny projekt.

Charny miał pozostać w Metz przez cały czas pertraktacji; żadna osobista sprawa nie wzywała go do Paryża, a jego poczucie honoru, być może nieco przesadne, nakazywało mu pozostać w Metz niejako w charakterze zakładnika.

Hrabia Ludwik przybył do Paryża w połowie listopada. Król miał wówczas areszt domowy z rozkazu La Fayette'a, zresztą kuzyna Ludwika de Bouille.

Młody hrabia zatrzymał się u jednego ze swych przyjaciół, którego patriotyczne przekonania były powszechnie znane, a który w owym czasie był w podróży do Anglii.

Dostać się do pałacu bez wiedzy La Fayette'a było dla młodzieńca rzeczą nie tyle niemożliwą, ile bardzo niebezpieczną i ogromnie trudną.

Równocześnie jednak — ponieważ La Fayette nie powinien był nic wiedzieć o stosunkach, jakie za pośrednictwem pana de Charny król nawiązał z generałem de Bouillé — dla hrabiego Ludwika najprostszym wyjściem było poprosić La Fayette'a, aby sam zechciał przedstawić go królowi.

Okoliczności zdawały się sprzyjać młodemu oficerowi.

Bawił w Paryżu od trzech dni i nic jeszcze nie zdecydował. Rozmyślał, jak dotrzeć do króla, rozważał, czy zwrócić się wprost do La Fayette'a, gdy właśnie otrzymał list, w którym La Fayette zawiadamiał go, iż wie o jego pobycie w Paryżu, i zapraszał do złożenia mu wizyty w

sztapie Gwardii Narodowej lub też w pałacu de Noailles.

W ten sposób sama Opatrzność odpowiadała głośno na modły, jakie w cichości wznosił pan de Bouillé; zupełnie jakby dobra wróżka z uroczych bajek Perraulta brała rycerza za rękę i prowadziła do celu.

Hrabia natychmiast udał się więc do sztabu.

Generał wyszedł właśnie do Ratusza, gdzie odebrać miał meldunek pana Bailly. Pod nieobecność generała przyjął go jego adiutant, Romeuf.

Romeuf służył w tym samym pułku co młody hrabia i choć jeden był demokratą, a drugi arystokratą, istniały między nimi wspólne więzi; Romeuf opuścił jeden z pułków rozwiązanych po 14 lipca i przeszedł do Gwardii Narodowej, teraz zaś był ulubionym adiutantem generała La Fayette'a.

Obaj młodzieńcy, choć w wielu sprawach różnili się opiniami, zgodni byli w jednym: obaj kochali i szanowali króla.

Tyle że pierwszy kochał go wzorem patriotów, a więc pod warunkiem, iż przysięgnie na Konstytucję, drugi zaś wzorem arystokratów, to znaczy wierząc, że odmówi przysięgi i w razie potrzeby odwoła się do zagranicy, by przywołać buntowników do rozsądku. Mianem buntowników młody de Bouillé określał trzy czwarte Zgromadzenia, Gwardię Narodową i elektorów, to znaczy pięć szóstych ludności Francji.

Romeuf miał lat dwadzieścia sześć, hrabia Ludwik dwadzieścia dwa, trudno więc przypuścić, aby długo mówili o polityce. Zresztą hrabia Ludwik nie chciał, aby ktoś podejrzewał go nawet o zajmowanie się poważnymi sprawami. Wyznał zatem Romeufowi, że opuścił Metz za zwykłą przepustką, by odwiedzić w Paryżu kobietę, którą ubóstwia.

W czasie gdy hrabia Ludwik czynił to wyznanie adiutantowi, na progu otwartych drzwi stanął generał La Fayette, Bouillé jednak nie przerwał swojej opowieści, choć w umieszczonym na wprost lustrze doskonale widział nadchodzącego generała, więcej, mimo znaków Romeufa, których zdawał się nie rozumieć, zaczął mówić tak głośno, aby generał nie uronił ani słówka.

Generał wszystko usłyszał, a o to właśnie chodziło hrabiemu Ludwikowi.

Podszedł z tyłu do opowiadającego i kładąc mu dłoń na ramieniu rzekł:

— Ach, panie libertynie, to dlatego chowa się pan przed szacowną rodziną?

Młody, trzydziestodwuletni generał, ulubieniec najwytworniejszych dam ówczesnego Paryża, nie był bynajmniej surowym sędzią ani nadętym mentorem, hrabia Ludwik nie lękał się więc zbyt czekali go reprimendy.

— Nie chowałem się przed krewnymi, drogi kuzynie, a dzisiaj zamierzałem właśnie sam zgłosić się u najszlachetniejszego z nich, gdyby nie uprzedził mnie tym oto listem. — I pokazał generałowi otrzymany przed chwilą list.

— No i co, panowie prowincjusze, powiecie może, że paryska policja jest źle wyszkolona? — rzekł generał z zadowoleniem, które świadczyło, iż sprawa ta była jego dumą.

— Wiemy, generale, że nic nie da się ukryć przed tym, który czuwa nad wolnością ludu i bezpieczeństwem króla.

La Fayette spojrzał z ukosa na kuzyna z typową dla siebie życzliwą, rozbawioną, lecz ironiczną miną. Wiedział bowiem, że ta gałąź rodziny przywiązuje wielką wagę do bezpieczeństwa króla, lecz niezbyt troszczy się o wolność ludu. Dlatego też odpowiedział tylko na drugą część zdania.

— A czy mój kuzyn, markiz de Bouillé — rzekł podkreślając tytuł, którego sam wyrzekł się 4 sierpnia — nie obarczył syna jakimś poleceniem dla króla, nad którego bezpieczeństwem czuwam?

— Poleciał mi złożyć u stóp króla wyrazy najgłębszego szacunku — odparł młodzieniec —

jeżeli generał La Fayette zechce uznać, że jestem godny zostać przedstawionym memu panu.

— Przedstawiony królowi... a kiedyż to?

— Jak najprędzej, generale, zważywszy że, jak już miałem zaszczyt powiedzieć to panu Romeufowi, jestem tu bez urlopu...

— Powiedział to pan Romeufowi, ale to na jedno wychodzi, skoro słyszałem, co pan mówił. Zgoda, dobrych uczynków nie należy odkładać. Jest godzina jedenasta. W południe mam zaszczyt odwiedzać króla i królową. Niech pan coś ze mną przegryzie, jeśli jadł pan tylko pierwsze śniadanie, a później zaprowadzę go do Tuileries.

— Ale — rzekł młody człowiek rzucając okiem na swój mundur i buty — drogi kuzynie, czy jestem odpowiednio ubrany?

— Przede wszystkim muszę pana uprzedzić, mój drogi chłopcze, że wielka sprawa etykiety, która była naszą matką żywicielką, od czasu pańskiego wyjazdu jest chora, jeśli już nie umarła. Poza tym patrzę na pana: pański strój jest nieskazitelny, buty przepisowe. Jakież strój bardziej odpowiada szlachcicowi, który gotów jest umrzeć za króla, jeśli nie mundur wojskowy? Romeuf, proszę zobaczyć, czy podano do stołu. Zaraz po śniadaniu zabieram pana de Bouillé do Tuileries.

Projekt ten w pełni odpowiadał życzeniom młodzieńca, więc nie czyniąc żadnych zastrzeżeń, skłonił się tylko na znak zgody i wdzięczności.

Pół godziny później wartownicy przy pałacowej bramie prezentowali broń przed generałem La Fayette i młodym hrabią de Bouillé, nie domyślając się nawet, że równocześnie oddają honory wojskowe rewolucji i kontrrewolucji.

TOM II

I KRÓLOWA

Pan de la Fayette i hrabia Ludwik de Bouillé weszli małymi schodami pawilonu Marsan i znaleźli się na pierwszym piętrze w apartamentach, jakie zajmowali król i królowa.

Przed La Fayette'em otwierały się wszystkie drzwi. Warty prezentowały broń, lokaje zginali się w ukłonach; natychmiast rozpoznawano „króla nad królem”, „burmistrza pałacu”, jak go nazywał Marat. Pana de La Fayette'a najpierw wprowadzono do królowej, bowiem Jego Królewska Mość był w swojej kuźni i miano go właśnie zawiadomić.

Pan Ludwik de Bouillé od trzech lat nie widział Marii Antoniny. W ciągu tych trzech lat zwołano Stany Generalne, zdobyto Bastylię, a ponadto w dniach 5 i 6 października rozegrały się pamiętne wydarzenia.

Królowa liczyła obecnie trzydzieści cztery lata i — jak mówił Michelet — była „w tym wzruszającym wieku, który tylekroć malował van Dyck, w wieku kobiety, w wieku matki, a w przypadku Marii Antoniny nade wszystko w wieku królowej”.

W ciągu tych trzech lat królowa przeżyła wiele udręk serca i ducha, zraniono jej uczucia i miłość własną. Twarz tej nieszczęsnej kobiety zdradzała więc owe trzydzieści cztery lata rozsnutymi wokół oczu lekkimi perłowo-fiołkowymi cieniami, które były świadectwem wylanych łez i bezsennych nocy; mówiły one także o ciężkiej chorobie duszy, z której kobieta — nawet gdy jest królową — jeśli raz na nią zapadła, nigdy się już nie uleczy.

W tym samym wieku była Maria Stuart, gdy ją uwięziono i gdy przeżywała swoje najgorętsze namiętności, kiedy Douglas, Mortimer, Norfolk i Babington zakochali się w niej, oddali bez reszty i dla niej umarli.

Widok uwięzionej królowej, znenawidzonej, oczernianej, żyjącej w stałym zagrożeniu — a dzień 5 października dowiódł, że nie były to czcze groźby — głęboko poruszył rycerskie serce młodego Ludwika de Bouillé.

Kobiety nie myślą się nigdy w ocenie wrażenia, jakie wywarły, ponieważ zaś władcy i władczynie posiadają ponadto niezwykłą pamięć wzrokową, która stanowi niejako część ich edukacji, Maria Antonina ledwie spojrzawszy na pana de Bouillé natychmiast go poznała, a zaledwie musnęła go wzrokiem, nabrała pewności, że ma przed sobą przyjaciela.

Zanim więc generał dokonał prezentacji, nim zdążył zbliżyć się do sofy, gdzie na wpół wyciągnięta spoczywała królowa, ta już się podniosła i jakby pod wpływem radości na widok spotkanego po latach dobrego starego znajomego lub oddanego sługi, na którym można polegać, wykrzyknęła.

— O, pan de Bouillé!

Potem zaś, nie zwracając uwagi na generała La Fayette'a, wyciągnęła ręce do młodzieńca.

Hrabia Ludwik zawahał się chwilę, nie mogąc wprost uwierzyć, że spotyka go taki zaszczyt. Królewska dłoń trwała jednak wyciągnięta ku niemu, więc hrabia przykląkł i musnął ją drżącymi wargami.

Ze strony nieszczęsnej królowej był to wielki błąd, a takich błędów, niestety, popełniła sporo; hrabia de Bouillé, nawet nie obdarzony podobnym wyróżnieniem, i tak pozostałby jej oddany, okazanie zaś takiej łaski w obecności pana de La Fayette'a, co nigdy równego zaszczytu nie dostąpił, było jakby wytyczeniem linii demarkacyjnej i raniło miłość własną człowieka, którego przyjaźń była jej teraz najbardziej potrzebna.

Z kurtuzją, jakiej nigdy nie umiał się wyzbyć, ale przecież zmienionym nieco głosem generał powiedział:

— Na honor, drogi kuzynie, podjąłem się przedstawić cię Jej Królewskiej Mości, wszelako sędzę, że powinniśmy się zamienić rolami.

Królowa była tak uradowana, mając przed sobą człowieka, na którego oddanie mogła liczyć, jako kobieta zaś dumna z wrażenia, jakie wywarła na hrabim, iż czując w sercu jakby promień młodości, który uważała już za wygasły, a wokół niby dawno umarły powiew wiosny i miłości, zwróciła się do generała La Fayette'a i z uśmiechem, jak za dawnych lat w Trianonie i w Wersalu, rzekła:

— Panie generale, hrabia Ludwik nie jest tak srogim republikaninem jak pan, przyjechał z Metzu, a nie z Ameryki; nie przybył do Paryża, aby pracować nad konstytucją, lecz po to wyłącznie, ażeby złożyć mi hołd. Niech więc pana nie dziwi, że ja, nieszczęsna, na wpół zdetronizowana królowa, okazuję mu łaskę, która dla niego, biednego prowincjusza, ma może jeszcze jakieś znaczenie, podczas gdy dla pana...

Tu z dziewczęcym niemal wdziękiem zrobiła uroczą minkę, która oznaczać miała: „Podczas gdy pań, groźny Scypion i prawy Cincinnatus, kpisz sobie z podobnych banialuk...”

— Najjaśniejsza Pani — rzekł La Fayette — przebywam przy królowej pełen czci i oddania, królowa jednak nigdy nie chciała pojąć mego szacunku ani docenić mego poświęcenia.

To dla mnie wielkie nieszczęście, ale może jeszcze większe dla niej.

Skłonił się nisko.

Królowa zwróciła nań uważne i jasne spojrzenie. Nie raz La Fayette wypowiadał podobne słowa, ona zaś nie raz zastanawiała się nad ich znaczeniem, niestety, na jej nieszczęście — jak to właśnie ujął — La Fayette jako mężczyzna budził w niej wstręt.

— Generale — rzekła — niech pan okaże wielkoduszność i wybaczy mi.

— Ja, wybaczyć! Ale co?

— Mój odruch serdeczności wobec tej zacnej rodziny de Bouillé, która okazuje mi tyle przywiązania, czego dowodem jest obecność tego młodzieńca, co stał się niejako przewodem elektrycznym owych uczuć. Kiedy tu wszedł, dojrzałam w nim jego ojca, stryjów i całą rodzinę i oni to jego ustami ucałowali moją dłoń.

La Fayette skłonił się powtórnie.

— A teraz — dodała królowa — po przebaczeniu następuje pokój, szczerzy uścisk dłoni, generale, po angielsku czy po amerykańsku.

I wyciągnęła rękę, ale otwartą dłonią do góry. La Fayette powoli chłodną ręką dotknął dłoni królowej mówiąc:

— Pani, niezmiernie żałuję, że nigdy nie chcesz pamiętać, iż jestem Francuzem, A przecież nie tak wiele czasu upłynęło pomiędzy 6 października a 16 listopada.

— Ma pan słuszność, generale — odparła królowa, starając się przemóc i uścisnąć mu dłoń.
— Istotnie, jestem niewdzięczna.

I osunęła się na sofę, jakby wyczerpana przeżytym wzruszeniem.

— Zresztą nie powinno to pana dziwić. Ten zarzut wciąż mnie spotyka — rzekła. Po czym potrząsnąwszy głową dodała: — A cóż nowego słysząc w Paryżu, generale? La Fayette wykorzystał sposobność, by się trochę zemścić.

— Och, pani — powiedział — jakże żałuję, że nie byłaś wczoraj obecna na obradach Zgromadzenia. Byłabyś świadkiem wzruszającej sceny, która niewątpliwie poruszyłaby cię do głębi. Otóż przybył tam pewien starzec, aby podziękować Zgromadzeniu oraz królowi za szczęście, jakie go spotkało, bowiem samo Zgromadzenie nie może niczego dokonać bez sankcji królewskiej i bez królewskiego zatwierdzenia.

— Starzec? — zapytała z roztargnieniem królowa.

— Tak, Najjaśniejsza Pani, ale cóż za starzec! Przodek całej ludzkości, pańszczyźniany chłop z gór Jury, liczący sto dwadzieścia lat. Przywiodło go do Zgromadzenia pięć pokoleń potomków, ażeby mógł podziękować za dekrety z 4 sierpnia. Pojmujesz, pani, człowiek, który był przez pięćdziesiąt lat pańszczyźnianym chłopem za Ludwika XIV, a potem musiał jeszcze czekać niemal lat osiemdziesiąt!

— I cóż Zgromadzenie uczyniło dla tego człowieka?

— Powstało z miejsc, a jego zmusiło, aby usiadł i nakrył głowę.

— Ach, doprawdy — rzekła królowa sobie tylko właściwym tonem — to rzeczywiście musiało być wzruszające. Żałuję bardzo, że mnie tam nie było. Ale — dodała z uśmiechem — pan, drogi generale, wie lepiej niż ktokolwiek, że nie zawsze mogę być tam, gdzie bym chciała.

Generał uczynił gest, jakby chciał coś wtrącić, królowa ciągnęła jednak dalej, nie pozwalając mu dojść do słowa.

— W owym czasie ja przyjmowałam tutaj niewiastę nazwiskiem François, wdowę po tym nieszczęsnym piekarzu, którego Zgromadzenie pozwoliło zamordować pod swoimi drzwiami. Co tego dnia robiło Zgromadzenie, panie de La Fayette?

Generał odrzekł:

— Wspominasz, pani, jedno z nieszczęść, które przysporzyło najwięcej troski przedstawicielom Francji. Zgromadzenie nie zdołało zapobiec zbrodni, ale przynajmniej ukarało morderców.

— Zapewniam jednak, że ta kara wcale nie pocieszyła biednej wdowy. Omal nie oszalała z rozpacz i być może wyda na świat martwe dziecko. Jeśli urodzi się żywe, obiecałam trzymać je do chrztu, aby pokazać ludowi, że nie jestem, jak twierdzą, tak nieczuła na jego nieszczęścia. Chcę więc zapytać, drogi generale, czy nie widzisz żadnych przeszkód, aby chrzest odbył się w Notre-Dame?

La Fayette podniósł rękę do góry jak człowiek, który prosi o głos i wyraża zadowolenie, że mu go udzielono.

— Otóż to, pani — powiedział — już po raz drugi w ciągu kilku chwil czynisz aluzję na temat owej rzekomej niewoli, w jakiej ją trzymam, jak się to sugeruje wiernym sługom. Spieszę więc oświadczyć w obecności kuzyna, a jeśli będzie trzeba, powtórzę to wobec Paryża, Europy i wobec całego świata — to samo napisałem wczoraj do pana Mouniera, który w głębi swojego Delfinatu rozpacza nad królewską niewolą — że jesteś, pani, wolna i że ja mam jedno tylko pragnienie i jedną tylko prośbę: niechaj król zechce dać tego dowód polując i podróżując jak dawniej, pani zaś racząc mu towarzyszyć.

Królowa uśmiechnęła się jak osoba nie w pełni przekonana.

— Jeśli zaś idzie o trzymanie do chrztu biednej sieroty mającej się narodzić, królowa podejmując to zobowiązanie poszła za podszeptem serca, co budzi szacunek i miłość wszystkich, którzy ją otaczają. Kiedy nadejdzie dzień ceremonii, królowa wskaże kościół, gdzie ma się odbyć chrzest, a wszystko zostanie przeprowadzone zgodnie z Jej życzeniem. Na razie zaś — powiedział generał skłoniwszy się nisko — oczekuję rozkazów, jakimi Wasza Królewska Mość zechce zaszczyć mnie na dzień dzisiejszy.

— Na dzisiaj, drogi generale — rzekła królowa — mam do pana tylko jedną prośbę: poprosz swego kuzyna, jeśli ten zatrzyma się kilka dni w Paryżu, aby wybrał się z panem na spotkanie do pani de Lamballe. Wiecie, panowie, że ona przyjmuje w swoim i moim imieniu...

— Ja zaś — odparł La Fayette — skorzystam z tego zaproszenia w imieniu własnym i kuzyna, zapewniam bowiem, iż jeśli Wasza Królewska Mość mnie tam dotąd nie widziała, to tylko dlatego, że zapomniała wyrazić życzenie widywania mnie na tych przyjęciach.

Królowa odpowiedziała skinieniem głowy i uśmiechem. Oznaczało to pożegnanie.

Każdy przyjął co mu przypadło w udziale: La Fayette — skinienie głowy, hrabia Ludwik — uśmiech.

Obaj wycofali się ku drzwiom, wynosząc z tego spotkania jeden trochę więcej goryczy, drugi jeszcze większe pragnienie poświęcenia się.

II KRÓL

U drzwi apartamentu królowej obu gości oczekiwał kamerdyner króla, François Hue.

Miał powiedzieć panu de La Fayette'owi, że ponieważ król dla rozrywki rozpoczął właśnie bardzo ważną robotę ślusarską, prosi zatem, aby generał zechciał wstąpić do kuźni.

Pierwsze, o co zapytał Ludwik XVI przybywając do Tuileries, to była kuźnia, a dowiedziawszy się, iż to nieodzowne dla niego urządzenie pominięte zostało w planach Katarzyny Medycejskiej oraz Philiberta de Lorme'a, wybrał na drugim piętrze, bezpośrednio nad własną sypialnią, dużą mansardę z wewnętrznymi i zewnętrznymi schodami, aby tam urządzić swój warsztat ślusarski.

Pośród poważnych zajęć, jakie oblegały go od około pięciu tygodni, czyli od momentu przeniesienia się do Tuileries, Ludwik XVI ani na chwilę nie zapomniał o swojej kuźni. Była to jego *idée fixe*. Osobiście doglądał jej urządzania, sam wskazywał miejsce, gdzie winien znajdować się miech, palenisko, kowadło, stół ślusarski oraz imadła. Poprzedniego dnia wszystko zostało wreszcie zakończone; okrągłe, płaskie, drobno i grubo nacinane pilniki, piły, przecinaki i kleszcze kowalskie były na swoim miejscu; młoty, dziobowniki, przebijaki, dziurowniki i klepacze wisiały na wyznaczonych hakach, obcęgi, cążki, kleszcze i szczypce do ognia były w zasięgu ręki.

Ludwik nie mógł więc dłużej opierać się pokusie i od samego rana z zapalem zabrał się do roboty, która stanowiła jego ulubioną rozrywkę i w której niewątpliwie doszedłby do prawdziwego mistrzostwa, gdyby — jak już widzieliśmy i ku szczeremu ubolewaniu majstra Gamaina — stado próżniaków, takich jak pan Turgot, pan de Calonne i pan Necker, nie odrywało króla od tego uczonego zajęcia, zawracając mu głowę nie tylko sprawami Francji, na co ostatecznie majster Gamain mógłby przystać, ale jeszcze — co wydawało mu się już zupełnie zbyteczne — sprawami dotyczącymi Brabantu, Austrii, Anglii, Ameryki i Hiszpanii.

Łatwo więc pojąć, dlaczego w zapale rozpoczętej roboty, zamiast zejść i przyjąć go w swoich apartamentach, król zaprosił pana de La Fayette'a do kuźni.

A może też król, który dał poznać dowódcy gwardii narodowej swoją słabość jako władca, chciał mu się teraz objawić w całym majestacie ślusarza?

Kamerdyner królewski nie uznał za stosowne przeprowadzić gości przez apartamenty i wewnętrzne schody, przeto pan de La Fayette i hrabia Ludwik musieli obejść skrzydło korytarzami i wejść na górę publicznymi schodami, przez co bardzo nadłożyli drogi.

Dało to jednak młodemu hrabiemu czas, aby się zastanowić. Tak też uczynił.

Choć serce jego przepełniało wspomnienie miłego przyjęcia, jakiego doznał od królowej, uświadomił sobie jasno, iż ona go nie oczekiwała. Nie usłyszał żadnego słowa o ukrytym znaczeniu, nie dojrzał żadnego tajemniczego gestu, z którego mógłby odczytać, że więziona królowa — za jaką się sama uważała — wie cokolwiek o jego misji i w nikłym choćby stopniu liczy na niego jako na wybawcę z tej niewoli. Było to zresztą zgodne z twierdzeniem pana de Charny, iż król trzyma zleconą mu misję w największej tajemnicy, nawet przed królową.

Więc chociaż hrabiego Ludwika uszczęśliwiło spotkanie z królową, oczywiste dlań było, że nie u niej szukać winien zakończenia swojego poselstwa.

Teraz pozostawało mu wy badać, czy w powitaniu, w dalszych słowach i gestach króla nie dopatry się jakichś sobie tylko zrozumiałych znaczeń, które wskazywałyby, iż Ludwik XVI jest lepiej poinformowany o powodach jego przyjazdu do Paryża niż pan de La Fayette.

Przed progiem kuźni kamerdyner odwrócił się, a nie znając nazwiska hrabiego de Bouillé, zapytał:

— Kogo mam zaanonsować?

— Proszę zaanonsować naczelnego dowódcę gwardii narodowej. Sam będę miał honor przedstawić pana Jego Królewskiej Mości.

— Naczelnik gwardii narodowej — oznajmił kamerdyner. Król odwrócił się ku drzwiom.

— Ach, to pan, panie de La Fayette. Przepraszam, że naraziłem cię na trud wchodzenia na górę, ale ślusarz zapewnia, że jest pan mile widziany w jego warsztacie. Kiedyś pewien węglarz rzekł do mego przodka, Henryka IV: „Węglarz jest panem w swojej chacie”. Ja zaś powiem ci, generale: „Jesteś panem zarówno u ślusarza, jak u króla”.

Ludwik XVI zagaił więc rozmowę w ten sam niemal sposób co Maria Antonina.

— Sire — odparł pan de La Fayette — niezależnie od okoliczności, w jakich mam zaszczyt stawić się przed królem, niezależnie od pietra oraz stroju, w jakim mnie przyjmuje, król zawsze będzie dla mnie królem, a ten, który w tej chwili składa mu najniższy hołd, zawsze będzie wiernym i pokornym sługą.

— Nie wątpię w to, markizie, widzę jednak, że nie jest pan sam. Czy ma pan nowego adiutanta i ten młody oficer zajął przy panu miejsce pana Gouvaina albo pana Romeufa?

— Najjaśniejszy Panie, ten młody oficer — proszę o pozwolenie przedstawienia go — to mój krewniak, hrabia Ludwik de Bouillé, kapitan dragonów Królewskiego Brata.

— Ach tak! — wyrwało się królowi, a młody szlachcic dostrzegł, że wstrząsnął nim lekki dreszcz. — Tak, hrabia Ludwik de Bouillé, syn markiza de Bouillé, dowódcy twierdzy Metz.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — wtrącił żywo młody hrabia.

— Wybacz, hrabio, że pana nie poznałem, ale mam krótki wzrok... Czy dawno temu opuścił pan Metz?

— Przed pięcioma dniami, Sire, będąc zaś w Paryżu, wprowadzie bez oficjalnego urlopu, ale za specjalnym zezwoleniem ojca, zwróciłem się do mego kuzyna, pana de La Fayette’a, z prośbą, aby zechciał przedstawić mnie Waszej Królewskiej Mości.

— Do pana de La Fayette’a! Dobrześ uczynił, hrabio, gdyż to najwłaściwsza osoba, by pana przedstawić o każdej porze. Zresztą niczyja rekomendacja nie mogła być mi przyjemniejszą.

Określenie „o każdej porze” wskazywało, że pan de La Fayette zachował przyznany mu jeszcze w Wersalu przywilej wchodzenia do króla nie tylko podczas ogólnych audiencji.

W każdym razie tych kilka słów, jakie wypowiedział Ludwik XVI, stanowiło wystarczające ostrzeżenie, aby mieć się na baczności. Zwłaszcza to pytanie: „Czy dawno temu opuścił pan Metz?”, oznaczało: „Czy opuściłeś Metz już po przybyciu pana de Charny?”

Odpowiedź wysłannika musiała być jasna dla króla. „Opuściłem Metz przed pięcioma dniami i jestem w Paryżu bez oficjalnego urlopu, ale za specjalnym zezwoleniem mego ojca”. Oznaczało to: „Tak, Najjaśniejszy Panie, widziałem się z hrabią de Charny, a ojciec wysłał mnie do Paryża, abym porozumiał się z Waszą Królewską Mością i uzyskał potwierdzenie, że hrabia istotnie jest królewskim wysłannikiem”.

Pan de La Fayette rozglądał się ciekawie wokół. Wielu ludzi bywało w gabinecie króla, w sali narad, w jego bibliotece, a nawet w domowej kaplicy; niewielu spotkał jednak ten szczególny zaszczyt, aby dopuszczono ich do kuźni, gdzie król stawał się terminatorem, a prawdziwym władcą był majster Gamain.

Generał dostrzegł idealny porządek, w jakim znajdowały się wszystkie narzędzia — w czym zresztą nie było nic osobliwego, bo król zabrał się do roboty dopiero dzisiejszego ranka. Kamerdyner Hue odgrywał tu rolę pomocnika i poruszał miech.

— Wasza Królewska Mość podjął więc jakąś poważną pracę? — zagadnął La Fayette nieco zażenowany tematem, jaki mógł poruszyć w rozmowie z królem, który przyjmował go z zakasanyimi rękawami, w skórzanym fartuchu i z pilnikiem w ręku.

— Tak, generale, rozpocząłem największe dzieło w dziedzinie ślusarstwa: zamek! Zdradzam, co przedsięwziąłem, na wypadek gdyby pan Marat, dowiedziawszy się, że znów pracuję w kuźni, zaczął twierdzić, iż kuję łańcuchy dla Francji, pan będziesz mógł zaświadczyć — oczywiście jeśli go spotkasz — że to nieprawda. A czy pan, hrabio, nie jest przypadkiem czeladnikiem lub majstrem?

— Nie, Sire, jestem tylko terminatorem, ale gdybym mógł być w czymkolwiek użyteczny...

— Rzeczywiście, drogi kuzynie — rzekł La Fayette — czyż mąż twojej mamki nie był ślusarzem? Twój ojciec zaś, choć umiarkowany wielbiciel autora *Emila*, powiadał, że gdyby przyszło mu zastosować wobec syna rady Jana Jakuba, zrobiłby z ciebie ślusarza.

— W istocie, generale, dlatego też pozwoliłem sobie powiedzieć Jego Królewskiej Mości, że gdyby potrzebny był terminator...

— Owszem, przydałby się i terminator — odparł król — ale przede wszystkim potrzebny mi jest majster.

— A jakież to zamek robi Wasza Królewska Mość? — zapytał młody hrabia poufałym nieco tonem, który usprawiedliwiał strój króla oraz miejsce, w jakim się znajdowali. — Czy będzie to zamek wpuszczany czy zatrzaskowy, zamek z bezpiecznikiem, czy też sekretny?

— Ho, ho, kuzynie — przerwał mu La Fayette — nie wiem, co potrafisz zrobić jako ślusarz, ale teoretycznie jesteś doskonale obznajomiony z tym, nie powiem rzemiosłem, bo król je uszlachetnił, ale z tą... sztuką.

Ludwik XVI z widoczną przyjemnością słuchał ślusarskiego nazewnictwa, jakim posługiwał się młodzieniec.

— Nie — powiedział — to zwykły zamek skrzynkowy, zwany także zamkiem *bénarde*, który otwiera się z dwóch stron. Lękam się jednak, że zbyt zaufałem własnym siłom. Ach, gdybym tu miał mojego pocziwego Gamaina, co był mistrzem nad mistrze.

— Czy ten pocziwy człowiek już nie żyje?

— Skądże znowu — zaprzeczył król, rzucając młodzieńcowi spojrzenie, co zdawało się mówić: „Pojmij ukryte znaczenie”. — Nie. Jest w Wersalu, mieszka przy ulicy des Reservoirs. Biedak pewnie nie śmie mnie odwiedzić w Tuileryach.

— Ale czemu, Najjaśniejszy Panie? — zapytał La Fayette.

— Po prostu nie chce się skompromitować. Król Francji to w obecnej chwili niezwykle kompromitująca osoba, mój drogi generale, czego dowodem jest to, iż wszyscy moi przyjaciele są albo w Londynie, albo w Koblencji, albo w Turynie. Jeśli jednak, generale, nie masz nic przeciwko temu, aby zajrzał tu z którymś ze swych czeladników i nieco mi pomógł, posłałbym po niego w najbliższych dniach.

— Sire — odparł żywo pan de La Fayette — Wasza Królewska Mość wie doskonale, że może zawiadania i widywać, kogo tylko zechce.

— Tak, pod warunkiem, że pańscy wartownicy zrewidują gości niby przemytników na granicy. Mój biedny Gamain czułby się zagubiony, gdyby ktoś wziął jego worek za ładownicę, a jego pilniki za sztylety!

— Najjaśniejszy Panie, nie wiem doprawdy, jak się usprawiedliwić, ale odpowiadam wobec Paryża, Francji i Europy za życie króla i muszę przedsiębrać jak najdalej idące środki, aby temu cennemu życiu zapewnić bezpieczeństwo. Jeśli zaś idzie o tego pocziwego człowieka, Wasza Królewska Mość zechce wydać rozkazy wedle własnego uznania.

— Doskonale, dziękuję, panie de La Fayette, ale to nic pilnego. On i jego pomocnik potrzebni mi będą dopiero za tydzień czy dziesięć dni — dodał rzucając spojrzenie ku panu de Bouillé. — Poślę mu wiadomość przez mego kamerdynera Dureya, który się z nim przyjaźni.

— Kiedykolwiek się zjawi, Najjaśniejszy Panie, natychmiast zostanie dopuszczony przed oblicze króla. Nazwisko wystarczy mi za przepustkę. Niech mnie Bóg strzeże przed tą reputacją więziennego dozorca i klucznika! Nigdy nasz król nie cieszył się taką wolnością jak teraz. Przyszedłem nawet błagać, aby Wasza Królewska Mość raczył znowu podjąć polowania i podróże.

— Och, moje polowania, nie, dziękuję! Zresztą na razie, jak pan widzi, mam co innego w głowie. Inaczej rzecz się ma, gdy idzie o wyjazdy. Ostatni przejazd z Wersalu do Paryża wyleczył mnie z chęci podróżowania, przynajmniej w tak licznym towarzystwie.

I król znowu spojrzał na hrabiego de Bouillé, ten zaś mrugnął nieznacznie powieką na znak, że zrozumiał.

— I cóż, panie hrabio — zwrócił się Ludwik XVI do młodzieńca — czy niebawem opuszczasz już Paryż, aby powrócić do ojca?

— Najjaśniejszy Panie — odparł młody hrabia — opuszczam Paryż za dwa lub trzy dni, ale nie wracam jeszcze do Metzu. Muszę złożyć uszanowanie mojej babce, która mieszka w Wersalu przy rue des Réservoirs. Ponadto ojciec zlecił mi załatwienie pewnej ważnej sprawy rodzinnej, a z osobą, która ma mi udzielić wskazówek, zobaczyć się mogę dopiero za osiem czy dziesięć dni. Wrócę więc do ojca dopiero w pierwszych dniach grudnia, chyba że Wasza Królewska Mość z jakichś specjalnych względów poleci mi przyspieszyć wyjazd do Metzu.

— Nie, panie hrabio — odrzekł król — jedź spokojnie do Wersalu, zajmij się sprawami, jakie zlecił ci markiz, a dopiero potem, wróciwszy do Metzu, powiedz ojcu, że o nim nie zapomniałem, że uważam go za jednego ze swych najwierniejszych przyjaciół i że któregoś dnia polecę go względem pana de La Fayette'a, aby ten z kolei zarekomendował go panu du Portail.

La Fayette uśmiechnął się nieznacznie, słysząc tę nową aluzję do własnej wszechmocy.

— Sire — powiedział — byłbym już dawno zarekomendował panów de Bouillé Waszej Królewskiej Mości, gdyby nie fakt, że mam zaszczyt być z nimi spokrewnionym. Tylko obawa, iż zostaną posądzony o chęć ściągnięcia królewskiej łaski na własną rodzinę, wstrzymywała mnie od podobnego kroku.

— Ależ to się doskonale składa, panie de La Fayette, jeszcze do tego wrócimy, zgoda?

— Czy Wasza Królewska Mość pozwoli mi nadmienić, że awans, który odebrałby mi całkowicie lub choćby w części możność służenia królowi, ojciec mój uważałby za niełaskę, a nawet za osobistą klęskę?

— To oczywiście, hrabio — odparł król — i nie pozwolę, aby ruszono pana de Bouillé z zajmowanego stanowiska, chyba że otrzyma inne, bardziej jeszcze odpowiadające jego i moim życzeniom. Ale zostaw to już nam, panu de La Fayette'owi oraz mnie, a sam jedź i baw się dobrze, nie zapominając przy tym o ważnych sprawach. No, żegnajcie, panowie, żegnajcie!

Odprowadził obu szlachciców pełen majestatu, co osobliwie kontrastowało z pospolitym strojem, który miał na sobie.

Gdy drzwi się zamknęły, szepnął:

— Młodzieniec chyba mnie zrozumiał i za osiem lub dziesięć dni zjawi się mistrz Gamain z czeladnikiem, aby pomóc mi założyć zamek.

III DAWNI ZNAJOMI

Pod wieczór tego samego dnia, kiedy Ludwik de Bouillé, między godziną piątą a szóstą, przyjęty został najpierw przez królową, a potem przez króla, na trzecim, a więc najwyższym piętrze starego, brudnego i ponurego domu przy ulicy de la Juiverie rozegrała się scena, której świadkami pozwolimy sobie uczynić naszych czytelników.

Przeto spotkamy się z nimi przed mostem aux Change, gdy wysiadać będą ze swojej karocy lub z fiakra, zależnie od tego, czy mogą wydawać sześć tysięcy liwrów rocznie na stangreta, parę koni i powóz, czy też tylko trzydzieści sous dziennie na wynajmowaną dorozkę. Razem z czytelnikami przejedziemy więc przez most aux Change, ulicą de la Pelleterie dotrzemy aż do rue de la Juiverie i tam przystaniemy naprzeciw trzecich drzwi po lewej stronie.

Wiemy już, że widok owych drzwi nie jest zachęcający, a mieszkańcy domu nie zadają sobie nawet trudu ich zamykania, tak dalece czują się bezpieczni wobec wszelkich nocnych zakusów panów złodziei z dzielnicy Cité. Ale, jak już mówiliśmy, ludzie mieszkający na tym poddaszu są nam potrzebni, ponieważ zaś oni nas nie odwiedzają, musimy sami — drogi czytelniku lub urocza czytelniczko — odważnie wybrać się do nich.

Bacząc więc na każdy krok, aby się nie pośliznąć na lepkiem błocie, które pokrywa wąską i czarną dróżkę wiodącą do domu, obciągnijmy jak najszczelniej ubrania, by nie musnęły nawet wilgotnych i lepkich od brudu ścian klatki schodowej i ciągnących się wzdłuż niej schodów, które pełzną w głąb niby źle połączone kręgi gada; zbliżmy do nozdrzy flakonik z octem lub skropioną perfumami chusteczkę, aby węch, najsubtelniejszy i najbardziej arystokratyczny z naszych zmysłów, możliwie uniknął zetknięcia z owym powietrzem przesiąkniętym wonią azotu wchłanianego równocześnie ustami, nosem i oczyma, i przystańmy wreszcie na trzecim piętrze naprzeciw drzwi, na których niewinna ręka młodego rysownika nakreśliła kredą jakieś figury; na pierwszy rzut oka można by je wziąć za znaki kabalistyczne, choć są jedynie nieudanymi próbami wzniosłej sztuki Leonarda da Vinci, Rafaela i Michała Anioła.

Przybywszy już tutaj, drogi czytelniku i miła czytelniczko, zajrzemy najpierw przez dziurkę od klucza, byście mogli — jeśli macie dobrą pamięć — rozpoznać osoby, które za chwilę spotkacie. Zresztą, gdyby oko was zawiodło, zbliżcie do drzwi ucho i posłuchajcie. Jeśli czytaliście naszą powieść *Naszyjnik królowej*, mało jest prawdopodobne, aby ucho nie wspomogło oka, bowiem nasze zmysły uzupełniają się wzajemnie.

Najpierw powiedzmy więc, co ujrzelśmy przez dziurkę od klucza:

Wnętrze pokoju, które świadczy o nędzy, zamieszkuje trzy osoby: mężczyzna, kobieta i dziecko.

Mężczyzna skończył lat czterdzieści pięć, ale wygląda na dziesięć lat więcej; kobieta ma ich trzydzieści cztery, a wygląda na czterdzieści, dziecko ma lat pięć i na tyle wygląda, bo nie zdążyło się jeszcze podwójnie zestarzeć.

Mężczyzna ubrany jest w stary mundur sierżanta gwardii, mundur czczony od 14 lipca, kiedy to gwardia przyłączyła się do ludu, by strzelać do Niemców spod komendy pana de Lambesc i Szwajcarów, którymi dowodził pan de Besenval.

Mężczyzna ten trzyma w ręku pełną talię kart od asa poprzez dwójkę, trójkę, czwórkę każdego koloru aż do króla; po raz tysięczny, albo dziesięciotysięczny, próbuje niezawodnego systemu, który zapewnia wygraną. Obok niego leży spory karton, tak gęsto nakłuty szpilkami, jak gęsto lśnią gwiazdy na niebie.

Powiedzieliśmy, że karton leży obok, ale słowo leży nie jest tu właściwe, bowiem gracz — a nie ulega wątpliwości, że jest to gracz — co chwila po niego sięga i coś sprawdza.

Kobieta ubrana jest w starą jedwabną suknię, która jeszcze jaskrawiej uwydatnia nędzę, zdradza bowiem ślady bogactwa. Włosy uczesane ma w kok i spięte miedzianym grzebieniem, dawniej pozłacanym; jej nienagannie czyste ręce właśnie dzięki tej czystości zachowały, lub raczej nabrały jakiegoś arystokratycznego wyglądu, paznokcie zaś, które baron de Tavemey w swoim brutalnym realizmie nazywał kolcami, mają zgrabnie zaokrąglone szpice. Wreszcie stopy, w ażurowych ongi pończochach, obute są w wyblakłe, miejscami przetarte pantofelki, niegdyś haftowane złotem i jedwabiem.

Jak już powiedzieliśmy, twarz kobiety potwierdza jej wiek, czyli owych trzydzieści cztery czy trzydzieści pięć lat, choć gdyby na to oblicze, zgodnie z panującą właśnie modą, artystycznie nałożyć róż i puder, jego właścicielka mogłaby przyznawać się do wieku, którego — jak mówi ksiądz de Celle — kobiety trzymają się kurczowo przez jedno, a nawet dwa pięciolecia, czyli do ukończenia 29 roku życia; wszelako naga, pozbawiona pudru i różu, a więc osłony mogącej ukryć cierpienie i biedę, owo trzecie i czwarte skrzydło czasu, twarz ta wygląda na cztery czy pięć lat więcej niż ma w rzeczywistości.

A jednak, mimo zupełnego odarcia twarzy z jakichkolwiek upiększeń, widok jej skłania do zadumy; trudno znaleźć na to odpowiedź, bo najśmielszy nawet umysł waha się pokonać tak zawrotną odległość, zadaje sobie wszak pytanie, w jakim to złoconym pałacu, w jakiej sześciokonnej karocy i w jakimże królewskim otoczeniu widywał to promienne oblicze, którego teraz ma przed sobą tylko nikły cień.

Jak już mówiliśmy, pięcioletnie dziecko o kręconych lokach cherubina, rumianych jak jabłuszko policzkach, ma diablifikowate oczka po matce, łakome usta ojca, zaś lenistwo i kapryśność po obojgu rodzicach.

Odziany w strzępy ubranka ze szkarłatnego aksamitu, zajada kromkę chleba z masłem i konfiturą, przyniesioną z pobliskiego sklepiku, szarpiąc jednocześnie resztki trójkolorowej szarfy z miedzianą frędzlą i wrzucając nitkę po nitce do starego pilśniowego kapelusza w kolorze perłowym.

Tę rodzinną scenę oświetla zatknięta w pustą butelkę świeca z długim knotem, ale tylko mężczyzna z kartami znajduje się w jej kręgu, reszta pomieszczenia tonie w półmroku.

Tak oto przedstawia się obraz, ponieważ jednak, zgodnie z przewidywaniami, oglądanie niewiele nam dało, posłuchajmy.

Milczenie przerywa dziecko, rzucając za siebie kromkę chleba, która spada na materac stanowiący łóżko.

— Mamo, nie chcę już chleba z konfiturą, bee!

— A co chcesz, Toussaint?

— Czerwony cukrowy batonik!

— Słyszysz, Beausire — mówi kobieta. Ponieważ jednak ten, zajęty swoimi obliczeniami, nie odpowiada, zagaduje go ponownie, dużo głośniejszym głosem: — Słyszysz, co mówi to biedne dziecko?

Podniósłszy nogę na wysokość dłoni, zdjęła pantofel i rzuciła nim prosto w nos gracza.

— Hej, Beausire! — zawołała.

— Co się stało? Co się dzieje? — zapytał mężczyzna z wyraźnym niezadowoleniem.

— Stało się to, że Toussaint prosi o cukrowy batonik, bo biedaczek znudził się konfiturami.

— Jutro dostanie.

— Ja chcę dzisiaj, jeszcze dzisiaj, zaraz! — krzyknęło płacząco dziecko tonem, który krył zapowiedź burzy.

— Toussaint, mój drogi — powiedział ojciec — radzę ci być cicho, bo inaczej będziesz miał do czynienia z tatą.

Dziecko wrzasnęło jeszcze raz i był to raczej objaw złości niż strachu.

— Spróbuj go tylko tknąć, ty pijaku, a będziesz miał ze mną do czynienia — wtrąciła matka, wyciągając w stronę mężczyzny białą dłoń o długich palcach, które dzięki starannie wypielęgnowanym paznokciom w razie potrzeby mogły się zamienić w szpony.

— Ale kto, u licha, chciałby tknąć to dziecko? To tylko takie gadanie. Dobrze wiesz, pani Oliwio, że od czasu do czasu trzepie się ubrania matki, ale dotąd zawsze szanowano kurteczki dziecka... No chodź, pocałuj swego biednego Beausire'a, który za tydzień będzie bogaty jak król. Chodź, mała Nicole!

— Pocałuję, gdy będziesz bogaty jak król, kochanie, na razie nic z tego.

— Przecież ci mówię, że to tak jakbym już miał ten milion; daj mi zaliczkę na szczęście: może u piekarza dostaniemy kredyt.

— Ja chcę batonik, zaraz! — zawołał dzieciak tonem coraz wyraźniejszej pogroźki.

— No proszę, panie milionerze, daj dziecku ten batonik. Beausire wykonał gest, jakby chciał sięgnąć do kieszeni, lecz zrezygnował w pół drogi.

— Wiesz przecież, że wczoraj dałem ci ostatnią monetę, całe dwadzieścia cztery sous.

— Mamo, jeżeli masz pieniądze — zwrócił się chłopczyk do tej, którą czcigodny pan de Beausire kolejno nazwał Oliwią i Nicole — daj mi jednego sou na cukrowy batonik.

— Proszę, masz dwa, nieznośny malcze, tylko uważaj na schodach.

— Dziękuję, mamusi — zawołało dziecko wyciągając rękę i podskakując z radości.

— Poczekaj, chodź tu, urwisie, założę ci pasek i kapelusik, żeby ludzie nie mówili, że pan de Beausire pozwala synowi wychodzić na ulicę w łachmanach... Jemu to wprawdzie obojętne, bo to człek bez serca, ale ja umarłabym ze wstydu.

Bez względu na to, co powiedzą sąsiedzi o domniemanym spadkobiercy rodu Beausire'ów, dzieciak miał wielką ochotę zrezygnować z paska i kapelusza, których użyteczność doceniał, póki nowe i wspaniałe wzbudzały podziw innych dzieci. Pasek i kapelusz były jednak warunkiem otrzymania pieniędzy, więc, acz niechętnie, młody kawaler musiał się poddać.

Przed wyjściem pocieszył się, podsuwając ojcu pod nos dziesięciocentymową monetę, a ten, zatopiony w obliczeniach, uśmiechnął się tylko z tego uroczego figla.

Ze schodów przez chwilę dobiegał cichnący odgłos lękliwych, choć poganianych łakomstwem kroków. Kobieta śledziła wzrokiem malca, póki drzwi nie zamknęły się za nim, po czym przeniosła spojrzenie z syna na ojca i rzekła:

— No cóż, panie de Beausire, twoja inteligencja musi nas jednak wyciągnąć z tego nędznego położenia, bo inaczej to ja będę musiała odwołać się do swojej.

Ostatnie słowa wypowiedziała mizdrząc się doń jak kobieta, której tego ranka zwierciadło powiedziało: „Bądź spokojna, mając taką buzię nie umiera się z głodu”. — Widzisz przecież, moja mała Nicole, że nad tym pracuję.

— Tak, tasując karty i nakłuwając kartony.

— Kiedy powiadam ci właśnie, że go odkryłem!

— A co?

— Nowy system.

— Znów się zaczyna. Panie de Beausire, uprzedzam, że spróbuję odnaleźć wśród dawnych znajomych kogoś, kto zdoła zamknąć pana w Charenton jako wariata.

— Przecież jeszcze raz powtarzam, że to niezawodne!

— Och, czemu pan de Richelieu już nie żyje — szepnęła półgłosem młoda kobieta.

— Co ty mówisz?

— Gdybyż kardynał de Rohan nie był zrujnowany!

— He?

— I gdyby pani de La Motte nie uciekła...

— Co proszę?

— Znalazłyby się pieniądze i nie musiałabym dzielić nędzy z takim prostakiem.

Mówiąc to panna Nicole Legay, zwana panią Oliwią, pełnym pogardy gestem wskazała na Beausire'a.

— Przecież mówię ci, że jutro będziemy bogaci — powtórzył z głębokim przekonaniem.

— Będziemy mieli miliony?

— Tak, miliony.

— Panie de Beausire, jak mi pokażesz pierwszych dziesięć luidorów z twoich milionów, uwierzę w resztę.

— Więc zobaczysz je dziś wieczór, właśnie obiecano mi tę sumę.

— I oddasz mi ją, kochany? — zapytała żywo Nicole.

— Dam ci pięć, żebyś kupiła sobie jedwabną suknię i aksamitne ubranko małemu, a za resztę...

— Co będzie z resztą?

— Za nią przyniosę obiecany milion.

— Nieszczęsny, znowu chcesz grać?

— Przecież mówię, że odkryłem niezawodny system.

— Właśnie, podobny do tego, co pochłonął sześćdziesiąt tysięcy liwrów, jakie ocalały z twojej portugalskiej afery.

— Nieuczciwie zdobyte pieniądze nie przynoszą pożytku — powiedział sentencjonalnie Beausire. — Zawsze uważałem, że właśnie sposób, w jaki zdobyliśmy te pieniądze, sprowadził na nas nieszczęście.

— Widać obecne pieniądze pochodzą ze spadku. Może miałeś w Ameryce lub w Indiach wujaszka, który zmarł pozostawiając ci dziesięć luidorów?

— Tych dziesięć luidorów, panno Nicole Legay — oświadczył Beausire tonem jawnej wyższości — otóż tych dziesięć luidorów zarobię nie tylko uczciwie, ale również w sposób przynoszący chlubę, i to dla sprawy, którą jestem zainteresowany jak cała francuska szlachta.

— A więc jesteś szlachcicem, panie Beausire? — zaśmiała się szyderczo.

— Proszę mówić de Beausire, panno Legay, de Beausire — powtórzył z naciskiem. — Stwierdza to metryka urodzenia pani syna, wystawiona w zakrystii kościoła Świętego Pawła podpisana przez jej unizonego sługę, Jana Baptystę Toussainta de Beausire'a, w dniu kiedy dałem mu swoje nazwisko...

— Piękny prezent mu zrobiłeś — mruknęła Nicole.

— ... oraz swój majątek — zakończył pompatycznie Beausire.

— Jeśli Pan Bóg czegoś mu nie doda — rzekła Nicole kiwając głową — biednego malca czeka życie żebraka i śmierć w przytułku.

— Doprawdy, panno Nicole — rzucił gniewnie Beausire — trudno to dalej znosić! Nigdy nie jesteś zadowolona.

— No to nie znoś! — zawołała Nicole, dając upust długo hamowanej złości. — Mój ty Boże, a kto cię prosi, żebyś to dalej znosił? Bogu dzięki, ani moja osoba, ani dziecko nie sprawiają mi żadnego kłopotu i jeszcze dziś wieczór mogę poszukać szczęścia gdzie indziej.

Po tych słowach Nicole wstała i zrobiła trzy kroki w stronę drzwi.

Beausire też się poderwał i zagroził wyjście rozkładając ramiona.

— Niedobra, przecież ci powiedziałem — zaczął tłumaczyć — że fortuna...

— Niby co? — zapytała Nicole.

— Fortuna zjawi się dziś wieczór. Nawet gdyby system okazał się błędny — co wedle moich obliczeń nie jest możliwe — strata nie przekroczy pięciu luidorów, ot co!

— Bywają chwile, kiedy pięć luidorów to prawdziwy majątek, mój panie rozrzutniku! Ty o tym nie wiesz, boś pochłonał górę złota wielką jak ten dom.

— To tylko dowodzi moich umiejętności, Nicole. Jeśli pochłonałem tyle złota, znaczy to, że je przedtem zdobyłem, a skoro je zdobyłem, mogę to zrobić jeszcze raz. Zresztą jest taki Bóg, który wspomaga ludzi... zręcznych.

— Tak, tak, licz na to!

— Panno Nicole, czyżbyś przypadkiem była ateistką? Nicole wzruszyła ramionami.

— Czyżbyś była ze szkoły pana Woltera, który zaprzecza istnieniu Opatrzności?

— Beausire, jesteś głupcem — rzekła Nicole.

— Pochodzisz z gminu, więc nie byłoby w tym nic dziwnego. Uprzedzam jednak, że te idee nie odpowiadają mojej warstwie społecznej ani moim politycznym przekonaniom.

— Panie de Beausire, jesteś bezczelny.

— Bo ja wierzę, słyszysz? Posiadam głęboką wiarę. I gdyby mi ktoś powiedział: „Twój syn, Jan Baptysta Toussaint de Beausire, który właśnie zbiegł do sklepiku, żeby kupić sobie czerwony cukrowy batonik za dwa sous, wróci z sakiewką pełną złota”, odpowiem: „To się może zdarzyć, jeśli taka jest wola niebios”.

Wymawiając te słowa Beausire pobożnie wznosił oczy ku niebu.

— Beausire, jesteś idiotą — powiedziała Nicole. Ledwie wyrzekła te słowa, gdy na schodach rozległ się głos małego Toussainta:

— Mamo! Tato!

Beausire i Nicole nasłuchiwali ukochanego głosu.

— Tato! Mamo! — rozlegało się coraz bliżej.

— Co się stało? — zawołała Nicole z prawdziwie macierzyńską troską i otworzyła drzwi. — Chodź tu, moje kochanie, chodź!

— Tato! Mamo! — wołał zbliżający się wciąż głosik, co sprawiało wrażenie sztuczki brzuchomówcy, który udaje, że otwiera klapę wiodącą do piwnicy.

— Nie zdziwiłbym się wcale, ale to wcale — powiedział Beausire, dosłyszawszy w tym głosiku radość — gdyby stał się cud i mały znalazł sakiewkę, o której przed chwilą mówiłem.

Chłopiec ukazał się właśnie na ostatnim stopniu schodów, po czym wpadł do pokoju z czerwonym batonikiem w buzi, lewą ręką tuląc do piersi paczkę łakoci, a w wyciągniętej przed siebie prawej dłoni trzymając złotego luidora, który w nikłym blasku świecy lśnił niczym gwiazda Aldebarana.

— O mój Boże! Mój Boże! — zawołała Nicole, puszczając drzwi, które zatrzasnęły się same. — Co ci się przytrafiło, moje drogie biedactwo?

I macierzyńskimi pocałunkami, których nic nie brzydzi, bo zdają się wszystko oczyszczać, zaczęła okrywać lepką buzią małego Toussainta.

— Stało się — rzekł Beausire, który zręcznie pochwycił monetę i obejrzał ją w świetle świecy. — To prawdziwy luidor, wart dwadzieścia cztery liwry. — A zwracając się do dziecka zapytał: — Gdzie znalazłeś tę monetę, brzdącu, żebyś wiedział, gdzie szukać reszty?

— Wcale jej nie znalazłem, tato, dostałem.

— Jak to dostałeś?

— Tak, mamusiu, od jednego pana.

Jak Beausire o luidora, podobnie Nicole chciała już zapytać, gdzie jest ten pan, doświadczenie, nauczyło ją jednak ostrożności. Znając podejrzliwość i zazdrość Beausire'a, powtórzyła więc tylko:

— Od pana?

— Tak, mamusiu, od jednego pana — potwierdził malec, odgryzając kawałek batonika.

— Od jakiegoś pana? — powtórzył z kolei Beausire.

— Tak, tatusiu, on wszedł do sklepiku, kiedy tam byłem, i zapytał właściciela: „Czy ten szlachetnie urodzony kawaler, którego w tej chwili masz zaszczyt obsługiwać, przypadkiem nie nazywa się de Beausire?”

Beausire nadał się dumnie, Nicole zaś wzruszyła ramionami.

— A co odpowiedział sklepikarz, synku? — zapytała.

— Powiedział: „Nie wiem, czy jest szlachetnie urodzony, ale istotnie nazywa się Beausire”. „Czy nie mieszka gdzieś w pobliżu?” — pytał dalej ten pan. „A jakże, w domu po lewej, na trzecim piętrze, na poddaszu”. „Daj pan temu dziecku różnych łakoci, ja płacę — powiedział jeszcze ten pan, a do mnie rzekł: — Masz, mały, luidora, żebyś miał za co kupić cukierki, jak już zjesz te”. Położył mi na dłoni tego luidora, sklepikarz podał mi paczuszkę, więc wyszedłem bardzo zadowolony. Ojej, a gdzie jest mój luidor?

Chłopiec nie zauważył sztuczki Beausire'a i teraz nerwowo zaczął szukać swojej monety.

— Och, ty gapo, na pewno go zgubiłeś — powiedział ojciec.

— Nie, nie, na pewno nie — upierał się malec. Dyskusja byłaby się może zaostriżyła, gdyby nie wydarzenie, które z konieczności położyło jej kres.

Podczas gdy dziecko, pełne już wątpliwości, szukało na podłodze luidora, który od dawna tkwił w podwójnej kieszonce kamizelki Beausire'a, gdy Beausire podziwiał bystrość małego Toussainta, o której świadczyło jego opowiadanie, pod naszym piórem może nieco tylko wygładzone, podczas gdy Nicole, dzieląc wprawdzie zachwyty kochanka dla wcześniej ujawniających się zdolności narracyjnych syna, zastanawiała się poważnie, kim mógł być ów rozdawca łakoci i luidorów, drzwi otworzyły się powoli i rozległ się łagodny głos:

— Dobry wieczór, panno Nicole... dobry wieczór, panie de Beausire... dobry wieczór, Toussaint.

Wszyscy zwrócili się w stronę, skąd dochodził ten głos.

Na progu stał wytwornie ubrany mężczyzna, uśmiechając się na widok rodzinnej sceny, jaka rozgrywała się w pokoju.

— O, to ten pan od cukierków! — zawołał mały Toussaint.

— Hrabia Cagliostro! — szepnęli razem Nicole i Beausire.

— Ma pan uroczonego synka, panie de Beausire — powiedział hrabia. — Musi pan być z tego powodu naprawdę szczęśliwy.

IV

GDZIE CZYTELNIK MA PRZYJEMNOŚĆ ODNALEŹĆ PANA DE BEAUSIRE'A NIEODMIENIONYM

Po uprzejmych słowach hrabiego nastąpiła cisza. Cagliostro stanąwszy na środku pokoju, badawczo rozglądał się wokół, zapewne iżby ocenić sytuację moralną, a zwłaszcza finansową dawnych znajomych, do których niespodzianie przywiodły go tajemne i niebezpieczne intrygi, jakich sam był ośrodkiem.

Wynik tych pobieżnych oględzin nie nasuwał człowiekowi tak bystremu jak hrabia żadnych wątpliwości.

Nawet przeciętny obserwator odgadłby, zgodnie z prawdą, że mieszkająca tu rodzina zjada ostatni posiadany pieniądz.

Spośród trzech osób, zaskoczonych niespodziewanym pojawieniem się hrabiego, pierwszy milczenie przerwał ten, w którego pamięci zachowały się tylko wydarzenia dzisiejszego wieczora i który miał zupełnie czyste sumienie.

— Co za nieszczęście, proszę pana! — zawołał mały Toussaint. — Zgubiłem mojego luidora.

Nicole już otworzyła usta, aby wyjaśnić ten fakt, uznała jednak, że milczenie przyniesie może dziecku następną monetę, którą tym razem odziedziczy ona.

Nie pomyliła się.

— Zgubiłeś luidora, moje biedne dziecko? — zapytał Cagliostro. — No to masz jeszcze dwa, ale tym razem postaraj się ich nie zgubić.

I z sakiewki, na widok której w oczach Beausire'a zapłonęła chciwość, wyjął dwa inne luidory i wsunął je w lepką rączkę dziecka.

— Mamusiu — zawołał Toussaint, podbiegając do Nicole — jeden będzie dla ciebie, drugi dla mnie. — I podzielił się skarbem z matką.

Cagliostro pochwycił uporczywe spojrzenie, jakim pseudosierżant śledził ewolucje sakiewki od momentu wyjęcia jej z kieszeni aż do ponownego schowania, zwłaszcza w chwili gdy wyjmował z niej owych czterdzieści osiem liwrow. Widząc zaś, jak znika w głębi hrabiowskiego odzienia, kochanek Nicole westchnął.

— I cóż, panie de Beausire — zagadnął Cagliostro — jak zawsze pełen melancholii?

— A pan, hrabio, jak zawsze milioner?

— O mój Boże! Pan, jeden z największych filozofów, jakich znałem, zarówno w ostatnich wiekach, jak i w starożytności, zna przecież ów aksjomat uznawany we wszystkich epokach: „Pieniądze nie dają szczęścia”. Znałem pana jako względnie bogatego człowieka.

— Tak, to prawda — przyznał Beausire. — Miałem prawie sto tysięcy franków.

— Możliwe, choć w czasach, gdy pana spotkałem, zdążył pan już przejeść prawie czterdzieści tysięcy, ale zostało panu sześćdziesiąt, co trzeba przyznać, stanowiło dosyć okazałą sumkę dla byłego oficera.

Beausire westchnął.

— Cóż to jest sześćdziesiąt tysięcy w porównaniu z sumami, jakimi pan dysponuje!

— Wyłącznie jako depozytariusz, panie de Beausire, bo gdybyśmy rzecz dobrze zbadali, pan okazałby się świętym Marcinem, a ja tym biedakiem, któremu musiałbyś oddać połowę swego płaszcza, abym nie zamarł na śmierć. Otóż, mój drogi panie de Beausire, przypomnij sobie okoliczności, w jakich się spotkaliśmy. Jak już wspominałem, miałeś wówczas w kieszeni około sześćdziesięciu tysięcy franków. Czy byłeś wówczas szczęśliwy?

Wspomnienie to wyrwało Beausire'owi westchnienie podobne do jęku.

— No, odpowiedz pan — nalegał Cagliostro. — Czy zamieniłbyś swoje obecne położenie na tamto, choć posiadasz tylko jednego nieszczęsnego luidora, którego porwałś małemu Toussaintowi?

— Ależ panie! — oburzył się były sierżant.

— Nie obrażajmy się, panie de Beausire. Raz już się kłóciliśmy i musiałeś pan wtedy szukać na ulicy szpady, która wyskoczyła przez okno, pamiętasz? Na pewno pamiętasz — ciągnął dalej hrabia, gdyż Beausire milczał. — Dobra pamięć to już jest coś. Otóż pytam raz jeszcze, czy chciałbyś zamienić swoje obecne położenie, choć posiadasz tylko tego jednego nieszczęsnego luidora odebranego dziecku — tym razem aluzja przeszła bez wrażenia — na ową niepewną sytuację, z jakiej ku memu wielkiemu zadowoleniu zdołałem pana wyciągnąć?

— Nie, panie hrabio — odparł Beausire. — Istotnie, ma pan rację, nie zamieniłbym się. Niestety wówczas byłem rozłączony z moją drogą Nicole!

— A także ścigany przez policję w związku z tą portugalską aferą... Jak, u licha, zakończyła się ta cała sprawa, panie de Beausire?... To była brzydka historia, o ile sobie przypominam!

— Ucichła, panie hrabio, przepadła jak kamień w wodzie — odparł Beausire.

— Tym lepiej, bo musiało to pana dręczyć. Nie radzę wprowadzić nazbyt liczyć na tę wodę. W policji są dobrzy nurkowie i choćby woda nie wiadomo jak była mętna i głęboka, łatwiej w niej wyłowić brzydką aferę niż piękną perłę.

— A więc, panie hrabio, gdyby nie nędza, w jakiej żyjemy...

— Czułbyś się całkiem szczęśliwy. Słowem, brak panu tysiąca luidorów, aby szczęście było pełne.

Oczy Nicole zabłysły, spojrzenie Beausire'a aż się roziskrzyło.

— Gdybyśmy mieli tysiąc luidorów — wykrzyknął — a więc dwadzieścia cztery tysiące liwrów, za połowę kupiłbym wiejskie gospodarstwo, reszta zapewniłaby nam małą rentę, a ja zmieniałbym się w rolnika!

— Jak Cincinnatus...

— Nicole poświęciłaby się całkowicie wychowaniu dziecka.

— Jak Kornelia... Do licha, panie de Beausire, byłby to postęp nie tylko przykładny, ale wręcz wzruszający. Czyżbyś liczył na zdobycie tej sumy dzięki sprawie, którą się teraz zajmujesz?

Beausire zadrzał.

— Jakiej sprawie? — zapytał.

— Oczywiście tej, gdzie występujesz jako sierżant gwardii i w związku z którą masz dziś wieczór spotkanie pod arkadami na placu Royale.

Beausire pobałdł śmiertelnie.

— Och, panie hrabio! — szepnął składając błagalnie ręce.

— Co takiego?

— Niech pan mnie nie gubi!

— Dobre sobie! Bredzisz pan. Czy jestem porucznikiem policji, żeby cię wydać?

— No tak, zawsze mówiłam, że pakujesz się w jakąś paskudną historię! — wtrąciła Nicole.

— Więc pani zna tę sprawę, panno Legay? — zapytał Cagliostro.

— Nie, panie hrabio, ale właśnie dlatego... Kiedy on coś przede mną ukrywa, jestem pewna, że to nieczysty interes!

— Otóż nie, bo jeśli chodzi o tę sprawę, może się ona okazać jak najlepsza.

— Nieprawdaż? — wykrzyknął Beausire. — Pan hrabia jako arystokrata rozumie, że cała arystokracja jest zainteresowana...

— ...aby się to udało. Cały lud jest natomiast zainteresowany, aby się nie udało. A teraz, jeśli mi zechcesz zawierzyć, drogi panie de Beausire, oczywiście to tylko dobra rada, rada przyjaciela, otóż jeśli mi zechcesz zaufać, nie opowiesz się ani po jednej, ani po drugiej stronie.

— Więc po czyjej stronie mam stanąć?

— Po swojej własnej.

— Mojej własnej?

— Jasne, że po swojej własnej! — zawołała Nicole. — Na Boga, dość już myślałeś o innych, czas wreszcie pomyśleć o sobie!

— Słyszysz pan? Przemawia jak święty Jan Złotousty. Zapamiętaj sobie jedno, drogi Beausire, każda sprawa ma swoją dobrą i złą stronę: dobrą dla jednych, złą dla drugich. Żadna sprawa, jakakolwiek by była, nie może być dla wszystkich dobra albo dla wszystkich zła. Chodzi po prostu o to, żeby stanąć po właściwej stronie.

— Więc ja nie stoję po właściwej stronie?

— Niezupełnie, panie de Beausire, powiem nawet, że zupełnie nie. I dodam, że jeśli będziesz się upierał — a jak wiesz, niekiedy bawię się w proroka — dodam jeszcze, że gdybyś się tym razem uparł, stawką byłby nie pański honor czy majątek, ale życie... Prawdopodobnie trafiłbyś na szubienicę!

— Ależ panie — odrzekł Beausire, starając się nie tracić kontenansu, lecz ocierając pot z czoła — nie wolno wieszać szlachcica.

— To prawda, ale na to, by ci ścięto głowę, drogi panie de Beausire, musiałbyś udowodnić swoje szlachectwo, co mogłoby trwać tak długo, że znudzony czekaniem trybunał wydałby rozkaz, żeby cię jednak powiesić. Mógłbyś mi teraz powiedzieć, że dla broniącego słusznej sprawy żadne tortury nie grają roli.

Wstydem jest zbrodnia, nie szafot

— jak mówi wielki poeta.

— Ale przecież... — wymamrotał Beausire, coraz bardziej przerażony.

— Przecież nie cenisz pan chyba tak bardzo swoich poglądów, żeby poświęcać dla nich życie... Do diabła, rozumiem to. „Żyje się tylko raz” — powiedział inny poeta, trochę mniej znany niż poprzedni, ale chyba to właśnie on miał rację.

— Panie hrabio — powiedział po chwili Beausire — nieczęsto miałem honor się z panem spotykać, zauważyłem jednak, że ma pan taki sposób mówienia o różnych sprawach, że nieśmiałoemu człowiekowi włosy stają dęba na głowie.

— U licha! Wcale nie jest to moim zamiarem — odrzekł Cagliostro — zresztą pan nie jest nieśmiały.

— Nie, zgoła przeciwnie — odparł Beausire — bywają jednak okoliczności...

— Tak, rozumiem, gdy ma się za sobą galery za kradzież, a przed sobą szubienicę za zdradę narodu, jak prawdopodobnie nazwano by dzisiaj próbę uprowadzenia króla.

— Panie, panie! — wykrzyknął przerażony Beausire.

— O, nieszczęsny! — zawołała Oliwią. — Więc na tym przedsięwzięciu budowałeś swoje złote góry!

— I nie całkiem się mylił, droga pani, tyle że, jak miałem zaszczyt wyjaśnić przed chwilą, każda rzecz ma swoją stronę dobrą i złą, jasną i ciemną. Pan de Beausire popełnił błąd, stając po ciemnej, niewłaściwej stronie; powinien się więc odwrócić, to wszystko.

— Czy nie jest za późno? — zapytała Nicole.

— Z pewnością nie.

— Więc co powinienem zrobić, panie hrabio? — zapytał Beausire.

— Wyobraź sobie, drogi panie... — zaczął Cagliostro z namysłem.

— Co takiego?

— Wyobraź sobie, że spisek się nie uda; wyobraź sobie, że współnicy człowieka w masce oraz człowieka w brązowej oponczy zostaną aresztowani; wyobraź sobie... W czasach, w których żyjemy, trzeba wszystko przewidzieć... A więc przypuśćmy, że zostaną skazani na śmierć... No, mój Boże, Besenval i Augéard zostali jednak uniewinnieni, więc wszystko można sobie wyobrazić... Tedy wyobraź sobie, że ci współnicy zostali skazani na śmierć. Wyobraź sobie... zaraz, jeszcze trochę cierpliwości. Od domysłu do domysłu dojdziemy wreszcie do faktów; przypuśćmy więc, że jesteś pan jednym ze współników, przypuśćmy, że ma pan stryczek na szyi, a słysząc twoje narzekania, ktoś powie: „W takiej sytuacji każdy, nawet najodważniejszy człowiek będzie czuł rozpacz”...

— Hrabio, błagam, niech pan kończy, już teraz się duszę.

— Na Boga! Nic dziwnego, przecież mówię, że masz stryczek na szyi. Ale przypuśćmy, że ktoś przyjdzie i powie: „Och, biedny, drogi de Beausire, to pańska wina!”

— Jak to? — wybuchnął Beausire.

— Właśnie! Sam pan widzi, że od przypuszczeń doszliśmy do faktów, skoro odpowiadasz, jakby się to działo naprawdę.

— Rzeczywiście.

— „A więc — powiedziałby ów głos — nie tylko mogłeś pan uniknąć tragicznej śmierci, która teraz trzyma cię w swoich szponach, ale jeszcze mogłeś zarobić tysiąc luidorów na kupno domku ze szpalerem grabowym, gdzie chciałeś zamieszkać z panną Oliwią i małym Toussaintem, aby żyć za pięćset liwrów renty od dwunastu tysięcy liwrów, jakie pozostałyby po zapłaceniu domku... Mogłeś, jak sam powiedziałaś, wieść prosty żywot wieśniaka, chodząc latem w łąpaciach, a zimą w sabotach. Tymczasem, zamiast tej uroczej perspektywy, mamy — to znaczy zwłaszcza pan ma — przed oczyma plac de Grève, a na nim kilka szpetnych szubienic, z których najwyższa wyciąga do ciebie ramiona. O, mój biedny panie de Beausire, jakież to marne widoki!”

— Dobrze, ale jak mógłbym uniknąć tego straszliwego końca? Jak mógłbym zdobyć tysiąc luidorów, które zapewniłyby spokój nam trojgu?

— Zapytałby pan o to, prawda? „Nic prostszego — odrzekłby głos. — Miałeś pan przecież tuż obok hrabiego Cagliostro. Znam go — przyznałbyś. — To obcy arystokrata, który dla własnej przyjemności mieszka w Paryżu i nudzi się straszliwie, gdy brak mu nowych wieści. Otóż to. Trzeba było do niego pójść i powiedzieć: Panie hrabio...”

— Ale ja nie wiedziałem, gdzie on mieszka! — zawołał Beausire — Nie wiedziałem nawet, że jest w Paryżu; nie wiedziałem, czy w ogóle żyje!

— „Dlatego też, mój drogi panie de Beausire — rzekłby głos — hrabia sam przyszedł do ciebie, a skoro przyszedł, przyznasz, że nie masz już żadnego wytłumaczenia. Pozostawało mu powiedzieć: Panie hrabio, wiem, jak bardzo łąsy jesteś na nowinki; mam właśnie najświeższe. Brat króla organizuje spisek. — Ejże!... — Ależ tak, wraz z markizem de Favrasem. — Niemożliwe! — A jednak. Wiem o tym na pewno, bo sam jestem agentem pana de Favrasa. — Naprawdę? A co jest celem spisku? — Porwanie króla i zawieszenie go do Péronne. Panie hrabio, jeśli zechcesz, abym cię zabawił, mogę godzina po godzinie, a nawet minuta po minucie opowiedzieć, jak daleko zaszły sprawy.

Wtedy, mój drogi przyjacielu, znany ze swej szczodrobliwości hrabia odparłby: Czy rzeczywiście chcesz to uczynić, panie de Beausire? — Tak. — Ponieważ zaś każdy trud zasługuje na zapłatę, jeśli dotrzymasz danego słowa, mam tu odłożone dwadzieścia cztery tysiące liwrów, które chciałem przeznaczyć na cele dobroczynne, ale mogę nimi opłacić tę zachciankę... Tak więc w dniu, kiedy król zostanie uprowadzony lub pan de Favras schwytany, przyjdiesz do

mnie i, słowo szlachcica, wręcę ci dwadzieścia cztery tysiące liwrów, jak wręczam ci teraz tych dziesięć luidorów, nie tytułem zaliczki ani też pożyczki, lecz jako zwykły podarunek.”

Mówiąc te słowa, niczym aktor, który powtarza tekst podczas sytuacyjnej próby, hrabia Cagliostro wyjął z kieszeni ciężką sakiewkę, wsunął do środka kciuk i palec wskazujący i ze zręcznością sztukmistrza, dowodzącą opanowania tego typu ćwiczeń, ujął nimi dokładnie dziesięć luidorów, po które, co trzeba przyznać, Beausire natychmiast wyciągnął rękę.

Cagliostro odsunął ją delikatnie.

— Przepraszam, panie de Beausire — powiedział — zdaje się, że snuliśmy tylko przypuszczenia?

— Tak — przyznał Beausire, którego oczy płonęły jak dwa rozżarzone węgle. — Czy nie powiedział pan jednak, hrabio, że od przypuszczeń do przypuszczeń w końcu dojdziemy do faktów?

— Czyżbyśmy do nich doszli? Beausire zawahał się chwilę.

Pospieszmy wyjaśnić, że wahania tego nie spowodowała ani uczciwość, ani chęć dotrzymania danego słowa, ani też wyrzuty sumienia. Czytelnicy zbyt dobrze znają pana de Beausire’a, by nie przeczyć podobnemu twierdzeniu.

Nie, on po prostu lękał się, że hrabia może nie dotrzymać obietnicy.

— Mój drogi panie de Beausire — rzekł Cagliostro — doskonale rozumiem, co pan czuje!

— Tak — odparł Beausire — ma pan rację, hrabio. Waham się, czy zawieść zaufanie, jakie we mnie pokłada pewien szlachetny człowiek.

I wznosząc oczy ku niebu potrząsnął głową, jakby chcąc powiedzieć: „Jakież to trudne!”

— Nie, wcale nie o to chodzi — podjął Cagliostro. — Pańskie słowa dowodzą, jak słuszne jest twierdzenie mędrca: „Człowiek nie zna samego siebie!”

— Co pan myśli? — zapytał Beausire trochę zaskoczony łatwością, z jaką hrabia czytał w zakamarkach ludzkich serc.

— Po prostu lękasz się, że ci nie dam obiecanych tysięcy.

— Ależ panie hrabio!

— Rozumiem, to zupełnie naturalne, ale znajdę poręczyciela.

— Doprawdy, pan hrabia nie potrzebuje poręczenia.

— Poręczyciela całkowicie za mnie odpowiedzialnego.

— A kto nim będzie? — zapytał nieśmiało Beausire.

— Panna Nicole Oliwią Legay.

— Och, jeśli pan hrabia coś nam obiecuje, to tak jakbyśmy już to mieli, Beausire! — zawołała Oliwią.

— Widzi pan, co to znaczy skrupulatnie dotrzymywać danych obietnic. Pewnego dnia, gdy panna Nicole była w podobnej sytuacji co pan dzisiaj — wyjąwszy oczywiście spis — to znaczy, kiedy poszukiwana była przez policję, zaproponowałem jej, aby schroniła się u mnie. Panna wahała się, lękając kompromitacji. Dałem jej wówczas słowo i mimo pokus, które musiałem przezwyciężyć, a które pan zrozumie lepiej niż ktokolwiek inny, słowa dotrzymałem, panie de Beausire. Czyż nie tak, panno Nicole?

— Przysięgam na głowę naszego małego Toussainta, że tak było.

— Czy wierzy więc pani, Nicole, że dotrzymam słowa, które dziś daję panu de Beausire’owi, iż wręcę mu dwadzieścia cztery tysiące liwrów w dniu, kiedy nastąpi ucieczka króla lub gdy pan de Favras zostanie aresztowany? Nie licząc już oczywiście tego, że rozluźnię pętlę, co przed chwilą pana dławiała, i że nigdy już nie będzie mowy o stryczku ani szubienicy — w każdym razie nie w związku z tą sprawą. Za inne nie odpowiadam. Chwileczkę, musimy się dobrze zrozumieć! Bywają powołania...

— Dla mnie, panie hrabio — odparła Nicole — to tak jakby rzecz załatwił notariusz.

— Wobec tego, droga panno — rzekł Cagliostro układając na stole rzędem dziesięć luidorów, których dotychczas nie wypuścił z ręki — postaraj się przekonać pana de Beausire'a, a rzecz będzie zakończona. — Dał ręką znak, by Beausire poszedł naradzić się z Nicole.

Rozmowa nie trwała pięciu minut, choć trzeba przyznać, że była bardzo ożywiona.

Tymczasem Cagliostro przyglądał się w świetle świecy ponakłuwanemu szpilkami kartonowi i kiwał głową, jakby kłamał się staremu znajomemu.

— Ho, ho — powiedział — odtworzył pan sławny system Lawa, co? Przez ten system przegrałem cały milion.

Niedbale odrzucił karton na stół.

Uwaga hrabiego jakby ożywiła rozmowę Nicole i Beausire'a, który wreszcie podjął decyzję.

Podszedł do hrabiego z wyciągniętą ręką, niby handlarz koni pragnący dobić targu.

Hrabia cofnął się jednak marszcząc brwi.

— Panie de Beausire — powiedział — szlachcicom wystarczy słowo. Ma pan moje, czekam na pańskie.

— Zgoda, panie hrabio, słowo Beausire'a.

— To mi wystarczy — rzekł Cagliostro.

Po czym wyciągnął z kieszeni kamizelki wysadzany brylantami zegarek, zdobny podobizną króla pruskiego Fryderyka, i powiedział:

— W tej chwili jest za kwadrans dziewiąta. Punktualnie o dziewiątej ktoś oczekuje pana pod arkadami przy placu Royale, od strony hotelu Sully. Weź więc tych dziesięć luidorów, schowaj je do kieszeni, włóż mundur, przypasz szpadę i przejdź mostem Notre-Dame, a potem ulicą Saint-Antoine; nie każ na siebie czekać!

Beausire'owi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Zgarnął złoto, schował je do kieszeni, włożył kurtkę i przypasał szpadę.

— Gdzie będę mógł pana spotkać, hrabio?

— Na cmentarzu Saint-Jean, jeśli łaska... Aby rozmawiać o podobnych sprawach, nie będąc podsłuchiwanym, lepiej czynić to wśród umarłych niż między żywymi.

— A o której?

— Jak tylko będziesz wolny; kto przyjdzie pierwszy, poczeka na drugiego.

— Pan hrabia ma jeszcze jakieś zajęcia? — zapytał z niepokojem Beausire, widząc, że Cagliostro nie szykuje się do wyjścia.

— Tak — odrzekł Cagliostro — muszę jeszcze porozmawiać z panną Nicole.

Beausire wykonał niecierpliwy gest.

— Bądź spokojny, drogi panie de Beausire, uszanowałem jej cześć, gdy była panną, więc tym bardziej uszanuję ją, gdy jest matką rodziny: No, idź już, panie de Beausire, idź w pokój.

Beausire rzucił Nicole spojrzenie, które zdawało się mówić: „Pani de Beausire, nie zawieź zaufania, jakim cię darzę”. Po czym czule uściskał małego Toussainta, z szacunkiem nie pozbawionym niepokojem skłonił się przed hrabią i wyszedł w chwili, gdy zegar na wieży Notre-Dame wydzwaniał trzy kwadransy na dziewiątą.

V EDYPI I LOT

Było nieco przed północą, kiedy jakiś mężczyzna skręcił z ulicy Royale w ulicę Saint-Antoine, doszedł aż do studni Świętej Katarzyny, przystanął chwilę w jej cieniu, by się upewnić, że nikt go nie śledzi, po czym ruszył dalej uliczką, która prowadziła do pałacu Saint-Paul, a dotarwszy tam skręcił i zagłębił się w mroczną i bezludną ulicę du Roi-de-Sicile. W miarę jak zbliżał się do końca tej ulicy, szedł coraz wolniej, z wyraźnym wahaniem dotarł do ulicy de la Croix-Blanche i coraz bardziej niezdecydowany przystanął przed bramą cmentarza Saint-Jean.

Jakby w obawie, że za chwilę oczy jego ujrzą wynurzającą się z ziemi marę, stanął tam, ocierając rękawem munduru sierżanta spływający mu z czoła pot.

Istotnie, w chwili gdy wybiła północ, jakiś cień przesunął się pośród cisów i cyprysów. Cień ten zbliżył się do bramy i niebawem, gdy rozległ się zgrzyt klucza w zamku, można już było dojrzeć, że owo widmo, jeśli nim było, mogło nie tylko wyjść z grobu, ale jeszcze opuścić cmentarz.

Słyszając zgrzyt klucza wojak cofnął się.

— No i co, panie de Beausire? — rozległ się szyderczy głos Cagliostro. — Nie poznajesz mnie czy też zapomniałeś o naszym spotkaniu?

— Ach, to pan — westchnął Beausire, jakby wielki kamień spadł mu z serca — jak dobrze! Te przekłete ulice są tak ciemne i puste, że nie wiadomo, co lepiej: spotkać jakąś żywą duszę czy wędrować samemu.

— Czyżbyś lękał się czegoś w dzień lub w nocy? — zapytał Cagliostro. — Nie uwierzę w to! Śmiałek, który chodzi zawsze ze szpadą u boku! Zresztą przejdź na tę stronę ogrodzenia, drogi panie de Beausire, tu możesz być zupełnie spokojny, tutaj spotkasz tylko mnie.

Beausire skorzystał z zaproszenia i zardzewiały zamek, który otworzył mu drzwi, zgrzytnął ponownie, gdy się za nim zamykał.

— Teraz idź pan tą ścieżką, a dwadzieścia kroków dalej znajdziemy coś w rodzaju zrujnowanego ołtarza, na którego stopniach będziemy mogli swobodnie pogawędzić o naszych sprawach.

Beausire zamierzał usłuchać Cagliostro, ale po krótkim wahaniu powiedział:

— Gdzież, u licha, widzi pan ścieżkę? Tu są tylko kolce jeżyn, co ranią mi nogi, i trawa po kolana.

— Fakt, że ten cmentarz jest jednym z najgorzej utrzymanych, jakie znam, ale nic w tym dziwnego. Wie pan przecież, że chowają tu niemal wyłącznie skazańców po wykonaniu wyroku na placu de Grève, a z tymi biedakami nikt nie robi ceregieli. A jednak, drogi panie de Beausire, ten cmentarz to wspaniała kronika. Gdyby było jasno, pokazałbym panu miejsce, gdzie spoczywa Bouteville de Montmorency, któremu ścięto głowę za to, że się pojedykował; grób kawalera de Rohan, ściętego za spisek przeciwko rządowi; pochówek hrabiego de Horn, którego skazano na łamanie kołem, bo zabił Żyda; mogiłę Damiena poćwiartowanego za próbę zabójstwa Ludwika XV, i tylu innych. Niesłusznie więc, drogi de Beausire, wyraża się pan pogardliwie o cmentarzu Saint-Jean. Jest wprawdzie źle utrzymany, ale towarzystwo jest tu doborowe.

Beausire szedł za Cagliostrem krok w krok, jak żołnierz przyzwyczajony zdążać za idącym w poprzednim szeregu dowódcą.

— O proszę — powiedział hrabia przystając tak nieoczekiwanie, że Beausire, nie przygotowany na ten postój, wpadł na niego. — A tu coś świeżutkiego: mogiła pańskiego

kamrata zwanego „Kolczastym Kwiatem”, jednego z zabójców piekarza François. Powieszono go przed tygodniem po wyroku trybunału w Châtelet. Powinno to pana zainteresować, de Beausire, on także był dawnym skazańcem, fałszywym sierżantem i prawdziwym najemnikiem.

Beausire dosłownie szczekał zębami. Wydawało mu się, że gałęzie jeżyn, przez które się przedzierał, to wysunięte z ziemi ręce, co czepiają się jego nóg, by dać mu do zrozumienia, że los tutaj właśnie wyznaczył mu miejsce wiecznego spoczynku.

— No, jesteśmy na miejscu — rzekł wreszcie Cagliostro, zatrzymując się przy jakichś ruinach.

Usiadł na kamieniu, a ręką wskazał drugi, jakby umyślnie ustawiony w takiej odległości, aby Cynna nie musiał się przysuwać chcąc pogawędzić z Augustem.

Czas był już najwyższy, bo pod byłym wojskowym ugiwały się nogi i raczej osunął się, niżli usiadł na kamieniu.

— A teraz, kiedy wygodnie zasiedliśmy do pogawędki, drogi panie de Beausire — zaczął Cagliostro — pomówmy o tym, co się też zdarzyło dziś wieczór pod arkadami placu Royale. Spotkanie musiało być interesujące.

— Muszę przyznać, panie hrabio — odparł Beausire — że mam spory zamęt w głowie i doprawdy lepiej będzie dla nas obu, jeśli zechcesz zadawać mi pytania.

— Niech będzie, ze mną łatwo dojdzie pan do zgody — przystał na to Cagliostro. — Forma jest nieważna, byłem się w końcu dowiedział tego, na czym mi zależy. Ilu was było pod arkadami na placu Royale?

— Sześciu razem ze mną.

— Sześciu wraz z panem, drogi de Beausire. Sprawdźmy, czy to ci sami, o których myślałem. Więc *primo* pan, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Beausire westchnął, co miało oznaczać, że wołałby, aby rzecz nie była niewątpliwa.

— Czynisz mi, hrabio, wielki zaszczyt zaczynając ode mnie, kiedy oprócz mnie były tam tak wybitne osobistości.

— Mój drogi, postępuję zgodnie ze wskazaniem Ewangelii. Czyż nie jest tam powiedziane: „Pierwsi będą ostatnimi?” Jeśli pierwsi mają być ostatnimi, to oczywiście ostatni będą pierwszymi.. Jak więc powiedziałem, postępuję zgodnie z Ewangelią. Przede wszystkim więc pan tam byłeś, tak?

— Tak — przyznał Beausire.

— Poza tym był pański przyjaciel Tourcaty, prawda? Był oficer rekrutacyjny, który podjął się utworzenia legionu brabanckiego?

— Tak — odrzekł Beausire — Tourcaty był tam obecny.

— Ponadto pewien dobry rojalista nazwiskiem Marquié, dawniej sierżant gwardii, obecnie zaś podporucznik kompanii stacjonującej w centrum miasta, czyż nie tak?

— Tak, panie hrabio, był tam też Marquié.

— A pan de Favras?

— On był także.

— I mężczyzna w masce?

— Tak, był również mężczyzna w masce.

— Czy może mi pan dostarczyć jakichś informacji o tym mężczyźnie, panie de Beausire?

Beausire tak przenikliwie spojrział na Cagliostrowa, że jego oczy w ciemnościach jakby zapłonęły.

— Ale czy to nie jest...

Umilkł, jakby lękając się, że popełni świętokradztwo.

— Czy to nie jest kto? — zapytał Cagliostro.

— Czy to nie jest...

— Czyżbyś miał pętlę na języku, drogi de Beausire? Musisz na to uważać. Zawiązany język może czasem sprowadzić pętlę na szyję, a taka zaciągająca się pętla jest najbardziej niebezpieczna.

— Ależ, panie hrabio — wyjąkał wreszcie przyciśnięty do muru Beausire — czy to nie jest Monsieur?

— Jaki Monsieur?

— No, Monsieur, brat króla?

— Panie de Beausire, oczywiście łatwo pojąć, czemu markiz de Favras usiłuje stworzyć pozory, że księżę krwi macza palce w tej sprawie, rozgłasza więc, iż zamaskowanym mężczyzną jest brat królewski. Kto nie umie kłamać, nie może konspirować. Ale że pan i pański przyjaciel Tourcaty, starzy wyjadacze, przywykli przykładać do bliźnich właściwą miarę, daliście się tak nabrać, to zupełnie niepojęte.

— No, rzeczywiście — przyznał Beausire.

— Brat króla ma pięć stóp i trzy cale wzrostu — ciągnął dalej Cagliostro — a mężczyzna w masce pięć stóp i sześć cali.

— To prawda — zgodził się Beausire — sam o tym pomyślałem; ale jeśli to nie jest brat króla, kto to może być?

— Dalibóg, drogi panie de Beausire, byłbym dumny i szczęśliwy mogąc dostarczyć jakichś informacji, choć miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś od ciebie.

— Więc, więc — mamrotał były sierżant, który powoli odzyskiwał poczucie rzeczywistości — więc pan hrabia wie, kim jest ten człowiek?

— Do diaska!

— Czy byłoby niedyskrecją zapytać...

— O jego nazwisko?

Beausire skinął twierdząco głową na znak, że tego właśnie pragnie się dowiedzieć.

— Nazwisko, panie de Beausire, to zawsze rzecz trudna do wypowiedzenia i, doprawdy, wolałbym, abyś je odgadł.

— Jak mam je odgadnąć?... Od dwóch tygodni usiłuję to zrobić.

— Och, to dlatego, że nikt panu nie pomógł.

— Niech mi pan pomoże, panie hrabio.

— Chętnie. Czy zna pan historię Edypa?

— Nie bardzo, panie hrabio. Widziałem raz tę sztukę w Komedii Francuskiej, ale pod koniec czwartego aktu miałem nieszczęście zasnąć.

— Do diaska, życzę panu jak najwięcej takich nieszczęść!

— Dzisiaj jednak, jak sam pan widzi, przynosi mi to ujmę.

— Tedy w dwóch słowach opowiem panu, kim był Edyp. Widziałem go jeszcze jako dziecko na dworze króla Polibosa, a potem jako starca na dworze króla Admeta; możesz mi więc wierzyć bardziej niż temu, co mówią Ajschylos, Sofokles, Corneille, Wolter czy też pan Ducis, którzy może wiele o nim słyszeli, ale nie znali go osobiście.

Beausire wykonał gest, jakby chciał prosić Cagliostra o wyjaśnienie dziwnego twierdzenia, iż znał człowieka, który umarł trzy tysiące sześćset lat temu, uznał jednak, że dla takiego drobiazgu nie warto przerywać opowiadajacemu, i pohamowawszy się dał do zrozumienia: „Proszę mówić, słucham”.

Cagliostro zaś, jak gdyby nic nie zauważył, ciągnął dalej:

— Znałem więc Edypa. Przepowiedziano mu, że zostanie zabójcą swego ojca i mężem własnej matki. Sądząc, że ojcem jego jest Polibos, opuścił go bez słowa wyjaśnienia i udał się do

Focydy. W chwili gdy wyruszał, doradziłem mu, ażeby zamiast iść gościńcem z Daulisu do Delf wybrał inną, górską drogę, którą dobrze znałem. On jednak uparł się, a że nie mogłem mu wyjaśnić, dlaczego mu tak radzę, moje namowy okazały się zbyteczne. Upór doprowadził go do tego, co przewidywałem. Na rozstaju dróg, z których jedna prowadzi do Delf, a druga do Teb, spotkał podróżnego, któremu towarzyszyło pięciu niewolników; człowiek ten jechał wozem, a ten zagradzał całą szerokość drogi. Wszystko byłoby się ułożyło, gdyby podróżny zjechał nieco na lewo, a Edyp odszedł trochę na prawo, ale każdy z nich chciał zostać na środku drogi. Człowiek na wozie był gwałtownego usposobienia, Edyp nie grzeszył cierpliwością. Niewolnicy rzucili się naprzód, by osłonić pana, ale zginęli jeden po drugim. Na końcu padł ich pan. Edyp przejechał po sześciu trupach, a jednym z zabitych był jego własny ojciec.

— Do diabła! — zakrzyknął Beausire.

— Tak więc Edyp ruszył dalej drogą do Teb. Otóż obok tego gościńca wznosiła się góra Fycjon, a na jej stoku nie opodal ścieżki węższej jeszcze niż ta, na której Edyp zabił swego ojca, mieszkała dziwaczna bestia. Zwierzę to miało orle skrzydła, twarz i piersi kobiety, a tułów i pazury lwa.

— Oj, panie hrabio, czy pan sądzi, że takie potwory naprawdę istnieją? — zapytał Beausire.

— Nie mógłbym tego twierdzić z całą pewnością, drogi panie — odparł z powagą Cagliostro — bowiem gdy tysiąc lat później jechałem tą samą drogą, w czasach Epaminondasa, Sfinks już nie żył. W epoce Edypa w każdym razie żył, i jedną z jego manii było wysiadywać na drodze i zadawać podróżnym zagadkę, pożerając tych, co nie umieli jej rozwiązać. Ponieważ trwało to już od trzech wieków, podróżnych było coraz mniej, a Sfinks miał coraz większy apetyt. Widząc Edypa Sfinks stanął na środku drogi, podniósł łapę na znak, że młodzieniec ma się zatrzymać, i rzekł: „Podróżniku, jestem Sfinks”. „I co z tego?” — zapytał Edyp. „Los zesłał mnie na ziemię, abym dawał śmiertelnym zagadkę do rozwiązania. Ten, kto jej nie odgadnie, staje się moim łupem, ale jeśli ktoś znajdzie właściwą odpowiedź, ja padnę łupem śmierci i zginę w przepaści, w którą dotąd wrzucałem trupy tych, co mieli nieszczęście spotkać mnie na swojej drodze”. Edyp spojrział w przepaść, zasłaną bielejącymi szkieletami. „Zgoda — rzekł — jaka to zagadka?” „Oto ona — odparł Sfinks. — Jakież to zwierzę, co rano chodzi na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?” Edyp zastanawiał się chwilę, po czym z uśmiechem, który wyraźnie zaniepokoił Sfinksa, zapytał: „A jeśli trafnie odgadnę, ty dobrowolnie rzucisz się w przepaść?” „Takie jest przeznaczenie” — odrzekł Sfinks. „A więc tym zwierzęciem jest człowiek” — powiedział Edyp.

— Jak to człowiek? — wtrącił Beausire, który śledził opowiadanie z takim zainteresowaniem, jakby chodziło o współczesne zdarzenie.

— Oczywiście, że człowiek! Człowiek, który w dzieciństwie, czyli o poranku życia, chodzi na czworakach; w wieku dojrzałym, a więc w południe, chodzi na dwóch nogach, a wieczorem, czyli gdy się zestarzeje, wspiera się na lasce.

— Tak — wykrzyknął Beausire — to szczerą prawdą!... Ależ ten Sfinks musiał być niezadowolony!

— Tak, drogi panie de Beausire, był tak niezadowolony, że rzucił się głową naprzód w przepaść, mając zaś ogromne poczucie honoru nie posłużył się skrzydłami i roztrzaskał się o głazy, co pan zapewne uzna za niezwykle wprost głupotę z jego strony. Jeśli zaś idzie o Edypa, ruszył dalej swoją drogą, przybył do Teb, zastał tam Jokastę wdową i pojął ją za żonę, i tak dopełniło się proroctwo wyroczni, że zabije swojego ojca i poślubi własną matkę.

— Dobrze, panie hrabio, ale jaką pan widzi analogię między historią Edypa a człowiekiem w masce?

— Bardzo wielką... Zaraz się pan przekona. Chciał pan dowiedzieć się jego nazwiska?

— Tak.

— A ja powiedziałem, że dam ci zagadkę do rozwiązania. Mam lepsze serce niż Sfinks i nie pożrę cię, jeśli nie zdołasz jej odgadnąć. Uwaga, podnoszę łapę: „Kto z arystokratów należących do dworu jest wnukiem swojego ojca, bratem swojej matki i wujem własnych sióstr?”

— Do diaska! — zadumał się Beausire równie głęboko jak ongiś Edyp.

— No, pomyśl dobrze, drogi panie — rzekł Cagliostro.

— Niech mi pan trochę pomoże, panie hrabio.

— Chętnie... Pytałem przedtem, czy znasz dzieje Edypa.

— Uczynił mi pan ten honor.

— Teraz przejdziemy od historii pogańskiej do historii świętej. Czy znasz przypowieść o Locie?

— I jego córkach?

— Właśnie.

— Dalibóg, że znam! Ale chwileczkę... no tak! O starym królu Ludwiku XV i jego córce Adelajdzie opowiadano...

— Ciepło, ciepło, drogi panie.

— Więc tym zamaskowanym mężczyzną byłby...

— Pięć stóp i sześć cali.

— Hrabia Ludwik...

— No, śmiało!

— Hrabia Ludwik de...

— Cii...

— Sam pan mówił, że tu są tylko umarli...

— Tak, ale na ich grobach rośnie trawa, i to nawet bujniej niż gdzie indziej. A gdyby ta trawa, jak trzema króla Midasa... Znasz historię króla Midasa?

— Nie, panie hrabio.

— Opowiem ci ją kiedy indziej, a teraz wracajmy do naszej historii. — Przybrał poważną minę i zagadnął: — Cóż to pan mówił?

— Przepraszam, ale sądziłem, że to pan hrabia miał zadawać pytania.

— Słusznie.

Podczas gdy Cagliostro zastanawiał się nad dalszymi pytaniami, Beausire mruczał pod nosem:

— Słowo daję, to prawda. Wnuk swojego ojca, brat matki i wuj własnych sióstr... to przecież hrabia Ludwik de Nar...

— Ostrożnie — rzucił mu Cagliostro.. Beausire przerwał swój monolog i nadstawił uszu.

— Teraz nie mamy już wątpliwości, kim są spiskowcy, zamaskowani albo nie, przejdźmy więc do celu spisku.

Beausire skinął twierdząco głową na znak, że gotów jest udzielić odpowiedzi.

— Celem spisku jest uprowadzenie króla, prawda?

— Istotnie, taki jest cel spisku.

— I zawieszenie go do Péronne?

— Tak, do Péronne.

— Pomówmy teraz o środkach.

— Finansowych?

— Właśnie, najpierw o finansowych.

— Mamy dwa miliony.

— Które dostarczył pewien genueński bankier. Znam tego bankiera. Nie ma innych?

— Nic o tym nie wiem.

— Tyle jeśli idzie o pieniądze; ale pieniądze to nie wszystko, trzeba jeszcze mieć ludzi.

— Pan de La Fayette wydał właśnie zezwolenie na rekrutację legionu, który ma ruszyć na pomoc Brabantowi buntującemu się przeciw Cesarstwu.

— Och, ten poczciwy La Fayette — mruknął do siebie Cagliostro — jakie to do niego podobne... — A potem głośno dodał: — No dobrze, będzie legion. Ale dla wykonania takiego planu nie wystarczy, trzeba rozporządzać armią.

— Mamy armię.

— Tak? Ciekaw jestem.

— Tysiąc dwustu konnych zbierze się w Wersalu w oznaczonym dniu o jedenastej w nocy; o drugiej po północy wyruszą stamtąd i dotrą do Paryża w trzech kolumnach.

— Dobrze.

— Pierwsza kolumna wejdzie przez bramę Chaillot, druga przez roгатkę Roule, trzecia od strony Grenelle. Właśnie ten wkraczający ulicą Grenelle oddział otrzyma rozkaz zamordowania generała La Fayette'a, kolumna wchodząca przez Chaillot zabije pana Neckera, a trzecia, wkraczająca przez roгатkę Roule, pana Bailly'ego.

— Doskonale! — powtórzył Cagliostro.

— Załatwiwszy to zagwoździ się działa, a potem wszystkie trzy kolumny spotkają się na Polach Elizejskich i pomaszerują na pałac Tuileries, który należy do nas.

— Jak to do was? A gwardia narodowa?

— Tu właśnie ma działać legion brabancki; połączony z częścią gwardii najemnej, czterystu Szwajcarami i trzystu sprzysiężonymi z prowincji opanuje on zewnętrzne i wewnętrzne wejścia, dzięki zwolennikom, jakich mamy na miejscu. Wejdziemy do króla krzycząc: „Najjaśniejszy Panie, w dzielnicy Saint-Antoine rozgorzało powstanie... Na dole czeka zaprzężony powóz... trzeba uciekać!” Jeśli król zgodzi się na ucieczkę, wszystko pójdzie gładko, jeśli się nie zgodzi, zostanie porwany siłą i zawieziony do Saint-Denis.

— Doskonale!

— Tu zastaniemy dwadzieścia tysięcy piechoty, do której przyłączy się liczący tysiąc dwustu ludzi oddział kawalerii, legion brabancki, czterystu Szwajcarów, trzystu spiskowców i dziesięć... dwadzieścia... trzydzieści tysięcy rojalistów zwerbowanych po drodze. Cała ta armia towarzyszyć będzie królowi do Péronne.

— Coraz lepiej! A co się będzie działo w Péronne, drogi panie de Beausire?

— W Péronne znajdziemy dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy jednocześnie przybędą z Flandrii, z Pikardii, z Artois, Szampanii, Burgundii, Lotaryngii, Alzacji i z okolic Cambrai. Prowadzone są układy o pozyskanie dwudziestu tysięcy Szwajcarów, dwunastu tysięcy Niemców i tyluż Sardyńczyków, które połączone z pierwszą eskortą towarzyszącą królowi, utworzą armię stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

— Ładna liczba! — rzekł Cagliostro.

— Z tą armią ruszy się na Paryż, zajmie drogi w górę i w dół rzeki, by odciąć dowóz żywności; wyголоzony Paryż podda się; Zgromadzenie Narodowe zostanie rozwiązane, a król jako prawdziwy monarcha posadzony zostanie na tronie ojców.

— Amen! — zakończył Cagliostro. Potem wstał i dodał: — Drogi panie de Beausire, rozmowa z panem sprawia mi niezwykłą radość, ale i z tobą jest jak z największymi mówcami: gdy wszystko powiedziałeś, nie masz już nic więcej do powiedzenia — a powiedział pan już wszystko, prawda?

— Tak, panie hrabio, na razie wszystko.

— A więc dobranoc, drogi panie. Kiedy znów będziesz potrzebował dziesięciu luidorów, naturalnie także traktując je jako dar, zgłoś się do mnie do Bellevue.

— Do Bellevue i pytać o hrabiego Cagliostro.

— Hrabiego Cagliostro? O nie, nikt by nie wiedział, o kogo chodzi. Pytaj o barona Zannone.

— Baron Zannone?! — zawołał Beausire — Ależ tak się nazywa ów genueński bankier, który zdyskontował weksle na dwa miliony podpisane przez królewskiego brata.

— To możliwe — powiedział Cagliostro.

— Jak to możliwe?

— No tak. Robię tyle różnych interesów, że ten musiał mi się pomylić z innymi, dlatego w pierwszej chwili nie przyszło mi to na myśl, ale teraz rzeczywiście coś sobie przypominam.

Zaskoczony Beausire stał jak wryty przed człowiekiem, który zapomniał o milionowych transakcjach i przyszło mu do głowy, że z punktu widzenia finansów lepiej jednak być na usługach wierzyciela niż dłużnika.

Jego zdumienie nie było jednak aż tak bezgraniczne, aby zapomnieć o miejscu, w którym się znajduje. Ledwie więc Cagliostro uczynił pierwszy krok w stronę bramy, Beausire natychmiast ruszył jego śladem i postępował za nim równym krokiem, niby automat poruszany podobną sprężyną.

Rozdzielili się dopiero przy bramie, gdy zatrzasnęła się za nimi krata.

— W którą stronę idziesz, drogi panie de Beausire — zapytał Cagliostro.

— A pan, hrabio?

— W przeciwną.

— Ja idę do Palais Royale, panie hrabio.

— A ja do Bastylii, panie de Beausire.

Po tych słowach rozstali się, Beausire złożywszy przed hrabią głęboki ukłon, tamten pożegnawszy rozmówcę lekkim skinieniem głowy. I obaj niemal równocześnie zniknęli — Cagliostro w ciemnościach ulicy du Temple, zaś Beausire w mrokach rue de la Verrerie.

VI

GAMAIN UDOWADNIA, ŻE NAPRAWDĘ JEST MISTRZEM NAD MISTRZE I MAJSTREM NAD MAJSTRAMI

Pamiętamy życzenie, jakie król wyraził w obecności pana de La Fayette'a i hrabiego de Bouillé, aby mieć przy sobie mistrza Gamaina, który pomógłby mu przy trudnej ślusarskiej robocie; król dodał nawet — a warto tu ten szczegół podkreślić — że nie zaszkodziłby i zręczny terminator dla dopełnienia ślusarskiej trójki. Liczba trzy, tak lubiana przez bogów, spodobała się i La Fayette'owi, wydał więc rozkaz, aby majster Gamain i jego terminator mieli wolny wstęp do króla i zostali doń zaprowadzeni, gdy tylko się pojawią.

Nic więc dziwnego, że w kilka dni po opisanej rozmowie mistrz Gamain — który jest znany naszym czytelnikom, bowiem ukazaliśmy go rankiem 6 października, jak w gospodzie przy moście Sevres popijał burgunda w towarzystwie nieznanego rusznikarza — wraz z czeladnikiem, obaj w roboczych ubraniach, zjawili się w pałacu Tuileries, gdzie nie natrafili na żadne trudności, i okrążywszy królewski apartament ogólnie dostępnym korytarzem, tylnymi schodami dotarli do kuźni, a następnie podali pełniącemu tam służbę kamerdynerowi swoje nazwiska i cel wizyty.

Nazwiska ich brzmiały: Mikołaj Klaudiusz Gamain oraz Ludwik Lecomte. Pierwszy był mistrzem ślusarskim, drugi jego terminatorem.

Choć ani nazwiska, ani funkcje nowo przybyłych nie brzmiały zbyt arystokratycznie, Ludwik XVI usłyszawszy je sam podbiegł do drzwi i zawołał:

— Proszę wejść!

— No, no, no! — rzekł Gamain z poufalością nie tylko domownika, ale i mistrza.

Inaczej zachował się terminator; może nie przywykł jeszcze do obcowania z osobami królewskiego rodu, może obdarzony był przez naturę większym szacunkiem dla koronowanych głów, niezależnie od tego, w jakim mu się ukazywały stroju i w jakim stroju on sam przed nimi stawał, dość że nie odpowiedział natychmiast na królewskie zaproszenie, lecz odczekawszy dobrą chwilę wszedł do kuźni po panu Gamain i przystanął tuż za progiem, trzymając w ręku kurtkę i czapkę, gdy tymczasem kamerdyner zamykał za nimi drzwi.

Zresztą może z tego miejsca, równoległego do pozycji Gamaina, mógł lepiej uchwycić błysk radości, jaki zalśnił w smutnych oczach Ludwika XVI, i odpowiedzieć pełnym szacunku skinieniem głowy.

— Ach, to ty, drogi Gamain! — zawołał król. — Ogromnie się cieszę, że cię widzę. Prawdę mówiąc już na ciebie nie liczyłem. Sądziłem, żeś o mnie zapomniał.

— I dlatego należało przyjąć terminatora? Słusznie zresztą, bo mnie przecież nie było. Ale terminator — dodał z lekką drwiną — to jednak nie majster, co?

Terminator dał królowi znak.

— Cóż chcesz, mój biedny Gamain — rzekł Ludwik XVI — zapewniono mnie, że nie chcesz mnie oglądać ani z bliska, ani z daleka, bo lękasz się, że może cię to skompromitować.

— Dalibóg, Najjaśniejszy Panie, w Wersalu można się było przekonać, że niedobrze należeć do przyjaciół króla, i widziałem na własne oczy, w małej gospodzie przy moście Sèvres, jak sam pan Leonard fryzował czupryny na głowach dwóch gwardzistów o szpetnie wykrzywionych twarzach, a to dlatego, że znaleźli się w królewskich przedpokojach w chwili, gdy ulubienicy króla, paryżanie, składali tam wizytę.

Czoło króla zachmurzyło się, terminator zaś opuścił głowę.

— Ale ponoć wszystko idzie lepiej, odkąd, panie, wróciłeś do Paryża — ciągnął dalej Gamain — i teraz robisz z paryżanami, co chcesz. U licha, nic w tym dziwnego, paryżanie są tacy głupi, a królowa potrafi każdego zbałamucić, gdy tylko zechce.

Ludwik XVI nie odpowiedział, ale na jego policzkach ukazał się lekki rumieniec.

Jeśli zaś idzie o młodego człowieka stojącego w progu, wydawał się niesłychanie dotknięty poufałością, na jaką pozwalał sobie wobec króla mistrz Gamain.

Otarł więc czoło pokryte kropelkami potu chusteczką zbyt może wytworną jak na ślusarskiego czeladnika i podszedł bliżej.

— Sire, proszę, pozwól mi opowiedzieć, jak do tego doszło, iż mistrz Gamain ma zaszczyt stać przed Jego Królewską Mością i w jaki sposób ja się tu dostałem.

— Ależ proszę, mój drogi Ludwiku — odparł król.

— Ach, to tak! „Mój drogi Ludwiku!” — ceremonialnym tonem mruknął pod nosem Gamain.

— „Mój drogi Ludwiku”... Tak mówi się do kogoś, kogo się zna od dwóch tygodni, do robotnika, do terminatora! A jak będziesz się zwracać do mnie, którego znasz już dwadzieścia pięć lat? Do mnie, co ci pokazałem, jak trzymać pilnik w garści! Do mnie, który jestem mistrzem ślusarskim! Oto co znaczy mieć gładką mowę i białe ręce!

— Do ciebie będę mówił „mój drogi Gamain”. Tego młodzieńca nazywam „drogim Ludwikiem” nie dlatego, że się bardziej gładko wyraża, ani że częściej od ciebie myje ręce — wiesz doskonale, że nie przywiązuję wagi do takich drobiazgów — ale dlatego, że udało mu się tutaj sprowadzić ciebie, mego przyjaciela, choć powiadano, że nie chcesz mnie już widzieć.

— Och, to nie ja nie chciałem się tu pokazywać, bo mimo wszystkich wad w końcu bardzo cię lubię, panie, tylko moja jejmość, pani Gamain, wciąż powtarzała: „Masz niewłaściwe znajomości, Gamain, w zbyt wysokich sferach; w dzisiejszych czasach nie trzeba spotykać się z arystokratami; uciūaliśmy trochę grosza, pilnujmy tego; mamy dzieci, wychowujmy je. A jeśli kiedyś delfin zechce uczyć się ślusarstwa, niech się zwróci do kogoś innego. We Francji nie brak ślusarzy.”

Ludwik XVI spojrział na czeladnika, stłumił w sobie na wpół szydercze, na wpół melancholijne westchnienie i rzekł:

— Tak, zapewne, we Francji nie brak ślusarzy, ale daleko im do ciebie.

— Najjaśniejszy Panie, to właśnie powiedziałem mistrzowi, gdy się do niego zgłosiłem z królewskim poleceniem — przerwał terminator. — Powiedziałem: „Oto jak sprawa wygląda, panie majstrze! Król zabrał się do robienia sekretnego zamka, potrzebował do tej roboty pomocnika, a że zostałem polecony, zgodził mnie; wielki to zaszczyt... oczywiście... ale robota zbyt trudna. Wszystko było jako tako, póki chodziło o zamek, skrzynkę, ściankę i jej przytwierdzenie, bo każdy przecież wie, że wystarczą trzy łapki, żeby solidnie umocować ściankę; prawdziwe kłopoty zaczynają się dopiero, kiedy dochodzi się do rygla...”

— Ja myślę — powiedział Gamain — rygiel to dusza zamka.

— I arcydzieło sztuki ślusarskiej, jeśli jest dobrze wykonany — rzekł czeladnik. — Ale rygiel ryglowi nierówny. Jest rygiel zwykły, rygiel z dźwignią potrzebną do wykonania półobrotu, rygiel z kółkiem zębatym do poruszania pręcików. Przypuśćmy, że mamy klucz wydrążony, którego bródka ma rozmaite wycięcia: jeden ząb prosty, jeden karb zwykły, dwa jęczyczki zawinięte do wewnątrz... Jaki rygiel potrzebny jest do takiego klucza? Właśnie na tym utknęliśmy...

— Fakt, że nie każdy potrafi sobie poradzić z taką robotą — powiedział Gamain.

— Otóż to... „Dlatego właśnie — mówiłem dalej — przyszedłem do pana, mistrzu Gamain. Ilekroć król był w kłopotcie, wzdychał głęboko: »Och, gdyby tu był Gamain!« Powiedziałem mu więc: Proszę dać znać temu sławnemu Gamainowi i niechże pokaże, co potrafi! Król odpowiadał

jednak: »To by nic nie pomogło, mój drogi Ludwiku, bo Gamain zapomniał o mnie!« Ktoś, kto z Najjaśniejszym Panem pracował, miałby o nim zapomnieć? Niemożliwe — powiedziałem. — Sam pójdę po niego, po tego majstra nad majstrami, mistrza ponad mistrze. »Spróbuj — przyzwolił król — ale nie zdołasz go sprowadzić.« A jednak go sprowadzę” — oświadczyłem i wyruszyłem. Nie wiedziałem, Najjaśniejszy Panie, jakie zadanie na siebie wzięłem i z jakim człowiekiem będę miał do czynienia. Ponieważ przedstawiłem mu się jako czeladnik, poddał mnie egzaminowi, który był chyba gorszy od egzaminu wstępnego do szkoły kadetów. Ale mniejsza z tym... tak oto znalazłem się u pana Gamaina. Nazajutrz zaryzykowałem wyjaśnienie, że przybyłem z polecenia króla. Tym razem myślałem, że mnie wyrzuci za drzwi: nazwał mnie szpiegiem i szpiclem. Próżno zapewniałem, że Wasza Królewska Mość naprawdę mnie wysłał, nic nie pomagało. Dopiero kiedy wyznałem, że zaczęliśmy tu we dwóch robotę, z którą nie możemy się uporać, nastawił ucha, ale jeszcze nie był zdecydowany.

Wciąż powtarzał, że to pułapka zastawiona przez jego wrogów. Wreszcie wczoraj, kiedy wręczyłem mu dwadzieścia pięć luidorów otrzymanych na ten cel od Waszej Królewskiej Mości, przyznał: „Może faktycznie przychodzi z polecenia króla!... Niech i tak będzie, pójdziemy tam jutro. Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma”. Przez cały wieczór starałem się utrzymać pana majstra w tym chwalebnym postanowieniu, a dziś rano oznajmiłem: „Skoro tak, trzeba ruszać”! Robił jeszcze trochę trudności, ale w końcu zdołałem go skłonić. Zawiązałem mu fartuch, włożyłem laskę w garść i wypchnąłem na dwór. Ruszyliśmy paryskim gościńcem i oto jesteśmy!

— Witam was serdecznie — rzekł król dziękując spojrzeniem młodzieńcowi, któremu skłecenie treści, a nade wszystko formy powyższego opowiadania nastęrczało trudność nie mniejszą niż mistrzowi Gamainowi rozprawianie o wykładzie Bossueta lub kazaniu Fléchiera. — A teraz, mój przyjacielu Gamain — ciągnął dalej król — nie traćmy czasu, bo wydajesz się spieszyć.

— Istotnie tak jest, panie — odparł mistrz ślusarski. — Obiecałem bowiem mojej jejmości, że na wieczór wrócę do domu. Więc gdzie jest ten sławny zamek?

Król podał mu zamek już w trzech czwartych wykonany.

— A cóżes ty opowiadał, że to ślepy zamek? — zwrócił się Gamain do terminatora. — Ślepy zamek zamyka się z obu stron, gamoni, a ten to po prostu zamek do skrzyni. No, przyjrzyjmy się temu... Coś się nie obraca, zacina... Jak Gamain się do tego zabierze, będzie musiało działać.

I Gamain spróbował przekręcić klucz w zamku.

— O, proszę, proszę!

— Już znalazłeś błąd, mój drogi Gamain?

— Rzecz jasna!

— Ejże, pokaż!

— To się zrobi raz dwa, proszę spojrzeć. Większa bródka klucza jest dobrze nasadzona i jak należy opisuje połowę koła, ale że nie jest skośnie spiłowana, nie ześlizguje się sama i na tym rzecz cała polega... Droga bródki ma sześć linii długości, więc zgrubienie musi wynosić jedną linię.

Ludwik XVI i terminator spojrzeli na siebie pełni zachwyty dla wiedzy i umiejętności mistrza.

— Boże, to przecież takie proste — ciągnął dalej Gamain, zachęcony milczącym podziwem. — Nie pojmuję, panie, jak można było o tym zapomnieć. Od czasu gdy mnie ostatnio widziałeś, musiałeś, panie, myśleć o najróżniejszych głupstwach, które odebrały ci pamięć! Tu są trzy bródki, jedna duża i dwie małe, prawda? Duża ma pięć linii, małe po dwie, tak?

— Niewątpliwie — powiedział król, śledząc z uwagą poczynania Gamaina.

— Więc jak tylko klucz przekręci dużą bródkę, trzeba, aby mógł otworzyć rygiel przed chwilą zasunięty, no nie?

— Owszem — potwierdził król.

— Musi więc zahaczyć w odwrotnym kierunku, to znaczy powracając na miejsce drugą bródkę w chwili, gdy puszcza pierwsza.

— Tak, tak, rzeczywiście — powiedział król.

— Tak, tak — powtórzył drwiąco Gamain. — Ale niby jak ten biedny klucz ma tego dokonać, skoro odstęp między dużą i małą bródką nie jest taki sam co grubość nasady z dodatkiem małego luzu?

— Ach!

— Ach! — powtórzył znowu Gamain. — Właśnie! Próżno, panie, jesteś królem Francji, próżno wołasz: „Ja tak chcę!”, bo mała bródka powiada: „A ja nie chcę!”, i do widzenia! Zupełnie jak wtedy, kiedy król spiera się ze Zgromadzeniem, Zgromadzenie jest zawsze silniejsze!

— Ale przecież coś się da zrobić, prawda, mistrzu? — zapytał król.

— Do licha, zawsze coś się da zrobić. Wystarczy skośnie spiłować pierwszą bródkę, odsunąć o cztery linie pierwszą od drugiej i w takiej samej odległości ustawić trzecią, tę, co jest częścią nasady i dochodzi do sztyftu, a wszystko będzie w porządku.

— Kochany Gamain — wtrącił król — ale to chyba robota na cały dzień?

— Tak, kto inny pracowałby nad tym cały dzień, ale majstrowi Gamainowi wystarczą dwie godziny. Muszę tylko zostać sam, żeby nikt mnie nie rozpraszał pytaniami... Gamain, a co to... Gamain, a dlaczego... Więc zostawcie mnie tu samego, warsztat wydaje się dosyć dobrze wyposażony w narzędzia i za dwie godziny... No tak, za dwie godziny, jeśli robota będzie odpowiednio podlana — ciągnął Gamain z uśmiechem — możecie wrócić: praca będzie skończona.

Prośba mistrza Gamaina była zgodna z życzeniami króla. Samotność majstra dostarczała okazji do rozmowy w cztery oczy z czeladnikiem.

Król jednak próbował wysuwać zastrzeżenia.

— Zgoda, ale jeśli będziesz czegoś potrzebował, drogi Gamain, to co?

— Jak mi będzie czegoś trzeba, zawołam kamerdynera, byle tylko wiedział, że ma mi dać wszystko, o co poproszę... Więcej nic nie potrzebuję...

Król sam podszedł do drzwi:

— Franciszku — powiedział otwierając je — proszę stąd nie odchodzić. Majster Gamain, dawny mój mistrz ślusarski, poprawia moją nieudaną robotę. Gdyby czegoś potrzebował, proszę mu to dać, a przede wszystkim przynieść dwie butelki najlepszego bordeaux.

— Najjaśniejszy Panie, bądź tak dobry i zechciej sobie przypomnieć, że wolę burgunda; to piekielne bordeaux to jakby letnia woda!

— Tak, to prawda!... Zapomniałem o tym — powiedział ze śmiechem Ludwik XVI. — A przecież nieraz popijaliśmy sobie, drogi Gamain... Słyszysz, Franciszku, przynieś burgunda. Tego z Volnay!

— Doskonale — rzekł Gamain oblizując się — przypominam sobie tę nazwę!

— Lepsze to od wody, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy Panie, proszę nie wspominać o wodzie. Doprawdy nie wiem, do czego może służyć woda, chyba tylko do hartowania stali. Ci, co jej używają do innych celów, naprawdę nie rozumieją jej prawdziwego przeznaczenia... Woda, tfu!...

— Bądź spokojny, póki tu jesteś, nie usłyszysz słowa o wodzie. A z obawy, że słowo to mogłoby się któremuś z nas wyrwać, zostawiamy cię samego. Gdy skończysz, poślij po nas.

— A co będziecie robić przez ten czas?

— Szafę, do której przeznaczony jest ten zamek.

— W porządku, to odpowiednia robota dla was. Wesołej zabawy!

— Powodzenia! — odrzekł król.

Mówiąc to z wielką serdecznością skinął głową majstrowi, po czym opuścił pokój wraz z czeladnikiem Ludwikiem Lecomte'em, a raczej hrabią Ludwikiem, jak zapewne wolałby czytelnik, który niewątpliwie wykazał wystarczającą przenikliwość, ażeby w przebranym za terminatora człowieku rozpoznać syna markiza de Bouillé.

VII

GDZIE MÓWI SIĘ O WSZYSTKIM Z WYJĄTKIEM ŚLUSARSTWA

Tym razem Ludwik XVI nie wyszedł z kuźni ogólnym przejściem, dostępnym dla całej służby, lecz sekretnymi schodami, przeznaczonymi wyłącznie do jego użytku.

Prowadziły one wprost do gabinetu, w którym zwykł pracować.

Na jednym ze znajdujących się w gabinecie stołów rozłożona była olbrzymia mapa Francji, co dowodziło, że król wielokrotnie już studiował najkrótszą i najłatwiejszą drogę, która pozwoli mu wydostać się ze swego królestwa.

Dopiero kiedy minęli schody, a drzwi zamknęły się za nim i jego towarzyszem ślusarzem, Ludwik XVI, rozejrzawszy się bacznie po gabinecie, wydał się rzeczywiście rozpoznać młodzieńca, który szedł za nim z kurtką przerzuconą przez ramię i czapką w ręku.

— Nareszcie jesteśmy sami, drogi hrabio — powiedział. — Pozwól mi przede wszystkim pogratulować ci zręczności, a także podziękować za pańskie poświęcenie.

— Mnie zaś, Najjaśniejszy Panie, wybaczyć, iż stanąłem przed Waszą Królewską Mością w takim stroju i pozwoliłem sobie przemawiać w tak niewłaściwy sposób, choć było to konieczne.

— Przemawiałeś jak dzielny szlachcic, mój drogi Ludwiku, a bez względu na to, jaki nosisz strój, bije pod nim oddane mi serce. Ale teraz nie mamy czasu do stracenia; nikt, nawet królowa, nie wie o twojej tu obecności, nikt nas nie słyszy, mów więc szybko, co cię sprowadza.

— Czy Wasza Króлева Mość nie uczynił memu ojcu zaszczytu przysłania mu oficera należącego do dworu?

— Owszem, pana de Charny.

— Właśnie, pana de Charny. Przywiózł on list...

— List był bez znaczenia — przerwał król — stanowił tylko wprowadzenie do ustnej misji.

— Wypełnił on tę misję, Sire, i aby zapewnić jej wykonanie, na rozkaz ojca przybyłem do Paryża w nadziei, że uda mi się sam na sam porozmawiać z Waszą Królewską Mością.

— A zatem wiesz o wszystkim?

— Wiem, że król chciałby mieć pewność, iż w odpowiedniej chwili będzie mógł opuścić Francję.

— I że liczy na markiza de Bouillé jako na człowieka najodpowiedniejszego dla urzeczywistnienia tego projektu.

— Ojciec mój jest dumny i zaszczycony honorem, jaki go spotkał, Najjaśniejszy Panie.

— Przejdźmy jednak do sedna sprawy. Co markiz sądzi o tym projekcie?

— Że jest ryzykowny i wymaga wielkiej ostrożności, wszelako nie jest niemożliwy.

— Przede wszystkim — rzekł król — chcąc, aby pomoc pana de Bouillé była skuteczna, co zapewnia nam jego lojalność i oddanie, czy nie należałoby pod jego dowództwo włączyć oprócz okręgu Metz jeszcze kilku prowincji, zwłaszcza zaś Franche-Comté?

— Ojciec też jest tego zdania, i jestem szczęśliwy, że król pierwszy wyraził opinię w tej sprawie; markiz lękał się bowiem, aby król nie przypisał jego osobistym ambicjom tego...

— Skądże znowu, czyż nie znam bezinteresowności pańskiego ojca? Chciałbym jednak wiedzieć, czy wyjawiał ci swoją opinię co do właściwego postępowania?

— Najjaśniejszy Panie, ojciec lęka się przede wszystkim jednego.

— Czego?

— Że Waszej Królewskiej Mości przedstawionych zostanie kilka projektów ucieczki, ze strony Hiszpanii, Cesarstwa czy też turyńskich emigrantów, i że wszystkie te plany mogą się

pokrzyżować, a plan ojca wręcz spalić na panewce z powodu przypadkowych okoliczności, jakie zwykle przypisuje się losowi, choć w rzeczywistości są wynikiem zawiści lub nieostrożności poszczególnych stronnictw.

— Mój drogi Ludwiku, obiecuję panu, że pozwolę każdemu snuć wokół mnie intrygi, po pierwsze dlatego, że to rzecz nieodzowna dla wszystkich stronnictw, a poza tym wymaga tego moje położenie. Podczas gdy umysł La Fayette'a i spojrzenie Zgromadzenia Narodowego śledzić będą poczynania, których jedynym celem będzie wprowadzenie ich w błąd, my — wtajemniczając tylko osoby niezbędne do realizacji projektu i absolutnie pewne — pójdziemy własną drogą, która tym będzie pewniejsza, im lepiej utrzymana w tajemnicy.

— Wobec tych wyjaśnień przedstawię, co mój ojciec ma zaszczyt zaproponować Waszej Królewskiej Mości.

— Mów — powiedział król pochylając się nad mapą, aby uważnie prześledzić kolejne projekty, jakie młody hrabia miał mu za chwilę objaśnić.

— Sire, jest kilka miejscowości, w których Wasza Królewska Mość mógłby się schronić.

— Zapewne.

— Czy król dokonał już wyboru?

— Jeszcze nie. Czekałem na opinie pana de Bouillé i sądzę, że coś mi na ten temat powiesz.

Młodzieniec skinął głową, a gest ten wyrażał zarazem potwierdzenie i szacunek.

— Proszę mówić — rzekł Ludwik XVI.

— Najjaśniejszy Panie, pierwsza miejscowość to Besançon, którego cytatela oferuje mocne i bardzo korzystne miejsce dla zgrupowania armii, a także nadania sygnału i udzielenia pomocy Szwajcarom. Przyłączem do armii Szwajcarzy mogliby podążyć przez Burgundię, gdzie jest wielu rojalistów, a stamtąd pomaszerować na Paryż.

Król potrząsnął głową, a gest ten oznaczał: „Wolałbym co innego”.

Młody hrabia mówił dalej:

— Ponadto jest Valenciennes, Sire, lub inna miejscowość we Flandrii, gdzie stacjonuje wierny pułk. Markiz de Bouillé udałby się tam wraz ze swymi oddziałami przed albo po przybyciu króla.

Ludwik XVI znów wykonał głową ruch, który oznaczał: „Proszę o coś innego, hrabio”.

— Poza tym — ciągnął młodzieniec — król może opuścić Francję przez Ardeny i austriacką Flandrię, a następnie powrócić, przekraczając granicę w tym samym miejscu, aby udać się do jednej z miejscowości, którą pan de Bouillé poddałby królowi i gdzie uprzednio zgrupowano by większe ilości wojska.

— Niebawem wyjaśnię, czemu pytam, czy nie masz lepszego planu od tych dotychczas wyliczonych.

— Król może się wreszcie udać wprost do Sedanu albo do Montmédy. Tam, w samym środku swojego okręgu, generał miałby największą swobodę działania i mógłby uczynić zadość rozkazom króla, niezależnie od tego, czy chciałby on opuścić Francję, czy też rozpocząć marsz na Paryż.

— Drogi hrabio — odparł król — wyjaśnię w dwóch słowach, czemu odrzucam trzy pierwsze propozycje i dlaczego zapewne zatrzymam się przy czwartej. Po pierwsze, Besançon jest zbyt daleko i powstaje ryzyko, iż zostałbym zatrzymany, zanimby tam dotarł. Valenciennes ma wprawdzie korzystne położenie i odpowiadałoby mi ze względu na panującą w nim atmosferę, ale pan de Rochambeau, który rządzi prowincją Hainaut, sąsiadującą z Valenciennes, jest całkowicie oddany ideom demokratycznym. Jeśli zaś idzie o opuszczenie granic Francji przez Ardeny i Flandrię, by wezwać pomocy Austrii — to nie. Po pierwsze, nie lubię Austrii, która wtrąca się w nasze sprawy po to tylko, aby je wikłać, a po wtóre — obecnie Austria ma dosyć kłopotów z chorobą mego szwagra, wojną turecką i buntem w Brabancji, iżbym zwiększał je na

dodatek przez zerwanie z Francją. Zresztą ja nie chcę opuszczać Francji; kiedy król postawi stopę poza granicami swego królestwa, nie wie nigdy, czy jeszcze doń powróci. Weźmy Karola II i Jakuba II: jeden powrócił po trzynastu latach, drugi nie powrócił nigdy. Nie, wołę Montmédy. Montmédy leży w przyzwoitej odległości, w środku prowincji znajdującej się pod rozkazami pańskiego ojca... Proszę powiedzieć markizowi, że dokonałem wyboru i że wybieram Montmédy jako miejsce schronienia.

— Czy król ostatecznie zdecydował się na tę ucieczkę, czy też jest to jedynie projekt? — odważył się zapytać młody hrabia.

— Mój drogi Ludwiku — odparł monarcha — nic nie jest jeszcze zadecydowane i wszystko zależeć będzie od okoliczności. Jeśli zobaczę, że królowa i moje dzieci narażone są na nowe niebezpieczeństwa, jak miało to miejsce w nocy z 5 na 6 października, wówczas zdecyduję się i — powiedz to, proszę, jasno ojcu, drogi hrabio — gdy poweźmę postanowienie, będzie ono nieodwołalne.

— Teraz, Najjaśniejszy Panie — ciągnął dalej młodzieniec — pozwól więc łaskawie, abym przedstawił roztropności króla opinię mego ojca odnośnie sposobu odbycia podróży...

— Mów zatem!

— Jego zdaniem, Sire, należałoby zmniejszyć niebezpieczeństwa dzieląc je.

— Mów jaśniej!

— Otóż Wasza Królewska Mość pojechałby z Madame Royale i księżniczką Elżbietą, podczas gdy królowa oddzielnie, wraz z Jego Wysokością delfinem... w ten sposób...

Krół nie pozwolił panu de Bouillé dokończyć zdania.

— Dyskusja na ten temat jest zbyteczna, drogi Ludwiku — powiedział — albowiem w pewnej doniosłej chwili królowa i ja postanowiliśmy, że się nie rozstaniemy. Jeśli pański ojciec chce nas uratować, niech nas ratuje wszystkich razem albo wcale.

Hrabia skłonił się tylko.

— Gdy nadejdzie właściwy moment, król wyda rozkazy — rzekł — a zostaną one wykonane. Pozwolę sobie tylko zwrócić Waszej Królewskiej Mości uwagę, że trudno będzie znaleźć pojazd, w którym wygodnie pomieszczą się król, królowa z dziećmi, księżna Elżbieta oraz dwie czy trzy osoby towarzyszącej służby.

— Nie troszcz się o to, drogi Ludwiku, taki pojazd zostanie specjalnie wykonany; to już przewidziano.

— Sire, jeszcze jedna sprawa. Do Montmédy prowadzą dwie drogi, pozostaje mi więc zapytać, którą z nich Wasza Królewska Mość wybierze, aby mógł ją zbadać wcześniej któryś z zaufanych inżynierów.

— Mamy tu takiego zaufanego inżyniera. Pan de Charny, który jest nam całkowicie oddany, sporządził z wybitną znajomością rzeczy niezwykle dokładne mapy okolic Chandernagor; im mniej będzie wtajemniczonych, tym lepiej. Hrabia de Charny to wiemy, inteligentny i wypróbowany sługa, korzystajmy więc z jego pomocy. Jeśli zaś chodzi o drogę, już to rozważyłem. Ponieważ z góry wybrałem Montmédy, obie prowadzące tam drogi są wykropkowane na mojej mapie.

— Są nawet trzy drogi, Najjaśniejszy Panie — powiedział z szacunkiem pan de Bouillé.

— Tak, wiem, masz na myśli drogę z Paryża do Metz, która za Verdun biegnie wzdłuż Mozy do Stenay, skąd już tylko pozostają trzy mile do Montmédy.

— Jest jeszcze droga prowadząca przez Reims, Isle, Rethel i Stenay — zauważył młodzieniec z żywością świadcząca, iż tę właśnie drogę uważał za najlepszą.

— Czyżby tę drogę pan polecał?

— Och, Najjaśniejszy Panie, niech mnie Bóg broni, abym ja, taki jeszcze żółtodziób, brał na siebie odpowiedzialność wypowiedzenia własnej opinii w tak ważkiej sprawie! Nie, Sire, to nie moja opinia, ale ojca mego, a opiera się on na tym, że droga ta wiedzie przez ubogie okolice, niemal pustkowia, więc tym samym wymaga mniejszych środków ostrożności; ojciec dodał ponadto, że Królewski Pułk Niemiecki, najlepszy w całej armii i chyba jedyny, który w pełni dochował wierności, stacjonuje w Stenay i mógłby eskortować króla już od Isle lub Rethel, co pozwoliłoby uniknąć zbyt widomych ruchów wojsk.

— Tak — przerwał król — ale trzeba by było przejechać przez Reims, gdzie odbyła się moja koronacja i gdzie pierwszy lepszy przechodzień mógłby mnie rozpoznać... Nie, drogi hrabio, w tym względzie moje postanowienie jest nieodwołalne.

Król wyrzekł te słowa tak pewnym głosem, że hrabia nie próbował nawet przeciwstawić się jego decyzji.

— A zatem — zapytał — król jest zdecydowany?

— Wybrałem drogę na Châlons przez Varennes z ominięciem Verdun. Jeśli idzie o wojsko, poszczególne pułki zostaną rozmieszczone w małych miasteczkach między Montmédy a Châlons. Nie widzę nawet przeszkód — dodał — aby pierwszy oddział oczekiwał mnie właśnie w Châlons.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł młodzieniec — kiedy nadejdzie właściwa chwila, trzeba się będzie zastanowić, jak daleko mogą się zapuścić te oddziały. Chciałbym tylko przypomnieć, o czym król na pewno wie, że w Varennes nie ma postoju koni pocztowych.

— Podoba mi się, że jesteś tak dobrze zorientowany, młodzieńcze — powiedział ze śmiechem król. — To dowodzi, że starannie przestudiowałeś cały plan, ale nie kłopotz się o to, znajdziemy jakiś sposób, aby mieć w pogotowiu konie, przed albo za miastem. Nasz inżynier ustali, gdzie będzie najlepiej.

— A teraz, Sire — podjął znów młody hrabia — kiedy wszystko jest mniej więcej ustalone, w imieniu ojca proszę Waszą Królewską Mość o pozwolenie zacytowania kilku zdań włoskiego autora, które wydały mu się tak bardzo dostosowane do położenia, w jakim znajduje się obecnie król Francji, iż kazał mi nauczyć się ich na pamięć, abym je mógł powtórzyć.

— Mów więc, proszę.

— Oto one: „Zwłoka zawsze przynosi szkodę, a w żadnym przedsięwzięciu nigdy wszystkie okoliczności nie są całkowicie sprzyjające. Zatem ten, kto czeka do chwili, aż warunki ułożą się najlepiej, nigdy niczego nie przedsięwzięmie, jeśli zaś to uczyni, może na tym wyjść bardzo źle.” To słowa autora, Najjaśniejszy Panie.

— Tak, hrabio, a jest nim Machiavelli. Wierzaj mi, że będę miał na względzie rady ambasadora wspaniałej republiki... Ale sza, słyszę kroki na schodach... To schodzi Gamain. Wyjdźmy mu naprzeciw, by nie zauważył, że zajmowaliśmy się wszystkim, tylko nie szafą.

Mówiąc to król otworzył drzwi tajemnego przejścia. Czas był najwyższy, bo majster stał już na ostatnim stopniu z zamkiem w ręku.

VIII

GDZIE POKAZANE JEST, ŻE BÓG NAPRAWDĘ OPIEKUJE SIĘ PIJAKAMI

Tego samego dnia, około ósmej wieczorem, z pałacu Tuileries przez most Tourmant wyszedł mężczyzna w ubraniu robotnika, przytrzymując starannie dłońmi kieszeń kurtki, jakby zawierała ona sumę większą, niż mieści zazwyczaj kieszeń robotnika. Skierował się na lewo wzdłuż wysadzanej drzewami alei stanowiącej jakby przedłużenie od strony Sekwany części Pól Elizejskich, a zwanej dawniej Przystanią Marmurową lub Przystanią Kamienną, obecnie zaś Cours-la-Reine.

Doszedłszy do końca tej alei znalazł się na nabrzeżu de la Savonnerie.

Nabrzeże to było w owych czasach w ciągu dnia bardzo ożywione, a wieczorem jasno oświetlone dzięki dużej ilości małych szynków, gdzie w niedzielę poczciwi mieszczanie kupowali jadło i napoje, które zabierali ze sobą na łodzie wynajmowane za dwa sous od osoby, ażeby spędzić dzień na Wyspie Łabędziej; gdyby nie ta przezorność, mogliby w dzień powszedni umrzeć na wyspie z głodu, była bowiem całkowicie bezludna, w niedzielę zaś i święta z powodu panującego tam przeludnienia.

Przy pierwszej napotkanej gospodzie mężczyzna w roboczym ubraniu toczył jakby sam ze sobą gwałtowną walkę, z której wyszedł zwycięsko — wejść czy nie wejść do środka.

Nie wstąpił i poszedł dalej.

Przy drugiej znów pojawiła się pokusa i tym razem innemu mężczyźnie, zdążającemu za nim niepostrzeżenie jak cień od miejsca, gdzie stała łódź straży rzecznej, zdawało się, że tamten ulegnie, skręcił bowiem z prostej drogi i tak zbliżył się do filii świątyni Bachusa, że aż otarł się o framugę drzwi.

I tym razem jednak wstrzeźliwość zatriumfowała i być może, gdyby na drodze nie było trzeciej knajpy, poszedłby dalej — wprawdzie nie na czczo, gdyż wygląd podróżnego zdradzał już uczciwą dawkę owego płynu, który raduje serce człowieka — ale w stanie panowania nad sobą, co pozwoliłoby głowie prowadzić nogi po wystarczająco prostej linii wzdłuż drogi, jaką miał pokonać.

Na nieszczęście na drodze znajdowała się nie tylko trzecia, ale jeszcze dziesiąta i dwudziesta gospoda; wynikło stąd, że przy zbyt często ponawianych pokusach siła przeciwdziałająca przestała harmonizować z mocą pokus i uległa przy trzeciej próbie.

Trzeba jednak powiedzieć, że w wyniku targów z samym sobą robotnik, który tak zaciekle i nie bez powodzenia walczył z demonem pijaństwa, wszedłszy do knajpy stanął przy kontuarze i zażądał tylko pół kwarty wina.

Zresztą owego demona, z którym walczył, zdawał się zwycięsko reprezentować ów nieznajomy, podążający za nim z daleka i choć zawsze pozostający w cieniu, nie spuszczaający zeń wzroku.

Zapewne aby zachować tę perspektywę, która wydawała mu się szczególnie przyjemna, przysiadł na murku tuż naprzeciw drzwi knajpy, w której robotnik wypijał swoją kolejkę, i ruszył za nim w pięć sekund później, gdy tamten przekroczył próg i powędrował dalej.

Któż jednak wie, na czym poprzestaną usta pijaka, raz umoczone w zgubnej czarze pijaństwa, kiedy nagle z pełnym zdumieniem zadowolonym spostrzegą, iż nic tak nie budzi pragnienia jak picie. Ledwie ów robotnik przeszedł sto kroków, znów ogarnęło go tak straszliwe pragnienie, że musiał się zatrzymać, by je ugasić. Tym razem jednak pojął, że nie wystarczy mu szklanka, poprosił więc o pół butelki.

Towarzyszący mu cień wcale nie wydawał się niezadowolony z opóźnień, jakie wywołała ta potrzeba orzeźwienia się. Teraz zatrzymał się tuż u węgła knajpy i choć pijący dla wygody zasiadł przy stole i przesiedział dobry kwadrans sącząc swoje pół butelki, dobrowolny cień nie okazywał najmniejszego zniecierpliwienia i gdy robotnik wyszedł, ruszył za nim krok w krok.

Sto kroków dalej pobłażliwość cienia wystawiona została na jeszcze cięższą próbę; robotnik urządził sobie trzeci postój, tym razem jednak, ponieważ jego pragnienie wciąż rosło, zażądał całej butelczyny.

Dla cierpliwego i czujnego strażnika oznaczało to dalsze pół godziny czekania.

Prawdopodobnie te stracone kolejno pięć minut, potem kwadrans, wreszcie pół godziny wywołały rodzaj wyrzutów sumienia w świadomości pijaka, bo nie chcąc się już widać zatrzymywać, ale pragnąc pić dalej, ustalił sam ze sobą rodzaj porozumienia, które polegało na tym, iż wychodził z szynku zaopatrzony w odkorkowaną butelkę, która miała stać się towarzyszką jego wędrówki.

Było to roztropne postanowienie i dalsze opóźnienia w drodze powodowały już tylko coraz częstsze zygzaki, które następowały po każdym zbliżeniu butelki do spragnionych ust.

Wykonując zgrabnie jeden z takich zakrętów minął bez żadnych kłopotów rogatkę Passy, bo jak wiadomo wszelkie płyny są wolne od podatku przy opuszczaniu stolicy.

Podążający za nim nieznamy minął rogatkę równie gładko.

Dopiero pokonawszy dalszych sto kroków, nasz bohater musiał sobie pogratulować podjętej przezorności, gdyż gospody zaczęły stawać się coraz rzadsze, a w końcu zniknęły zupełnie.

Jakież to jednak znaczenie miało dla naszego filozofa? Niczym starożytny mędrzec miał on przy sobie nie tylko swoją fortunę, ale i radość.

Mówimy radość, bowiem doszedłszy do połowy butelki nasz pijak zaczął śpiewać, a nikt chyba nie zaprzeczy, że śpiew, jak i śmiech, to sposób okazywania radości.

Postępujący za pijakiem cień zdawał się wrażliwy na harmonię tego śpiewu i jakby nucił sobie cichutko melodię, ze szczególnym zainteresowaniem śledząc kolejne fazy tej radości. Niestety, radość i śpiew miały krótki żywot. Radość trwała, dopóki w butelce bulgotało wino, a gdy się opróżniła i dłonie pijaka kilkakrotnie bezskutecznie ją ścisnęły, śpiew zmienił się w gniewny pomruk, który niebawem przerodził się w złorzeczenia.

Były one skierowane pod adresem jakichś nieznanych prześladowców, których nieszczęsny wędrowiec oskarżał przy każdym potknięciu.

— O, nieszczęsny! O, nieszczęsna! — zawodził. — Żeby staremu przyjacielowi, majstrowi, dawać chrzczone wino... tfu! Niech no spróbuje jeszcze raz mnie wezwać, żebym mu naprawiał zamki, niech przysyła po mnie tego zdrajcę terminatora, który mnie opuścił, to mu powiem: „Bądź zdrow, Najjaśniejszy Panie! Niech Wasza Królewska Mość sam wykańcza swoje zamki!” I zobaczymy, czy zamek do drzwi równie łatwo zrobić, jak wydać dekret... Ja ci pokażę zamki o trzech bródkach, rygle z dźwigniami... Ja ci pokażę... klucze rurkowate, z zębkiem naci... nacinanym... O nieszczęsny!... O, nieszczęsna! Oni mnie otruli!

Po tych słowach biedna ofiara, zwyciężona widać działaniem trucizny, po raz trzeci runęła na bruk, miękko zasłany grubą warstwą błota.

Poprzednio już dwukrotnie człowiekowi temu udało się podnieść o własnych siłach i choć nie było to łatwe, wywiązał się z tej operacji z honorem. Za trzecim razem, mimo rozpaczliwych wysiłków, musiał uświadomić sobie, że zadanie jest ponad jego siły; dlatego też z podobnym do jęku westchnieniem postanowił tę noc spędzić na łonie naszej wspólnej matki — ziemi.

Nieznamy, który od placu Ludwika XV towarzyszył mu z taką cierpliwością, czekał zapewne na tę chwilę zniechęcenia i słabości, bowiem stojąc w pewnym oddaleniu pozwolił mu

czynić bezowocne próby, jakie staraliśmy się odmalować, a potem zbliżył się ostrożnie, obszedł dokoła upadłą wielkość i zatrzymał przejeżdżającego fiakra:

— Hej, przyjacielu — zwrócił się do woźnicy. — Mój towarzysz zasłabł. Weź te sześć liwrów, wsadź biedaka do powozu i zawieź do gospody przy moście Sèvres. Ja siądę na koźle.

Nie było nic osobliwego w tym, że trzymający się na własnych nogach osobnik zaproponował dorożkarzowi, iż przysiadzie na koźle, zważywszy, że wyglądał na człowieka dość pośledniego stanu. Toteż dorożkarz ze wzruszającą bezpośredniością cechującą takich ludzi zapytał:

— Sześć liwrów? A gdzie one?

— Oto są — odrzekł tamten i bez najmniejszej urazy podał obiecane pieniądze.

— Szanowny panie, a kiedy dojedziemy na miejsce, nie podleci mały napiwek? — zapytał woźnica ułagodzony widokiem królewskiego wizerunku.

— Zależy, jaka będzie jazda. Załaduj biedaka do swego pojazdu, zamknij starannie drzwi i postaraj się, żeby te chabety doczłapały tam na własnych nogach, a kiedy znajdziemy się przy moście Sèvres, pogadamy... Jeśli ty zrobisz swoje jak należy, i my coś zrobimy.

— To rozumiem — powiedział z uznaniem dorożkarz. — Bądź spokojny, szanowny panie, wiem co i jak. Włóż pan na koziół i uważaj, żeby te rumaki nie zrobiły jakiegoś głupstwa, bo o tej porze pachnie im stajnia i chcą jak najszybciej wracać do domu. Ja załatwię resztę.

Szczodry nieznajomy bez dalszych uwag zastosował się do wskazówek dorożkarza, ten zaś z całą delikatnością, na jaką było go stać, podniósł pijaka, ułożył wygodnie między ławeczkami fiakra, zamknął drzwiczki, wdrapał się na koziół, gdzie siedział już drugi pasażer, zawrócił i zaciął batem konie, które melancholijnym truchtem, właściwym tym nieszczęsnym czworonogom, minęły wkrótce wioskę Point-du-Jour, a po godzinie doczłapały do gospody przy moście Sèvres.

Po dziesięciu minutach poświęconych na wyniesienie z dorożki obywatela Gamaina, którego czytelnik z pewnością już od dawna rozpoznał, odnajdziemy majstra nad majstrami i mistrza nad mistrzami siedzącego przy jednym stole w towarzystwie tego samego rusznikarza, którego spotkaliśmy w pierwszym rozdziale naszej opowieści.

IX CO ZNACZY PRZYPADEK

Jak jednak odbył się ten wyładunek i w jaki sposób mistrz Gamain z kataleptycznego niemal stanu, w jakim go zostawiliśmy, powrócił do stanu normalnego, w którym go teraz widzimy?

Gospodarz szynku przy moście Sèvres spał już i przez szpary w okiennicach nie sączyło się najmniejsze nawet światełko, kiedy filantrop, który zaopiekował się majstrem Gamainem, zaczął walić w drzwi wejściowe. Uderzenia były tak silne, iż pozwalały przypuszczać, że gospodarze, choćby najmocniej spali, nie będą rozkoszować się długo spoczynkiem wobec takiego ataku.

Niebawem też zaspany właściciel gospody, potykając się co krok i zrzedząc pod nosem, sam zszedł otworzyć natrętom, obiecując sobie w duchu, że przyjmie ich odpowiednio, jeśli — jak to określał — gra niewarta będzie świeczki.

Należy jednak przypuszczać, że gra zrównoważyła wartość świeczki; wystarczyło bowiem, że człowiek, który dobijał się tak bezceremonialnie, szepnął mu na ucho jedno słówko, a gospodarz ściągnął z głowy bawełnianą szlafmycę i bijąc pokłony, które jego strój czynił szczególnie groteskowymi, wprowadził majstra Gamaina i jego opiekuna do małej salki, gdzie już ich kiedyś widzieliśmy sączących ulubiony napój mistrza, znakomitego burgunda.

Tym razem jednak, jako że wypił go za dużo, mistrz Gamain był niemal nieprzytomny.

Ponieważ woźnica i konie zrobili co w ich mocy, on batem, one nogami, nieznajomy na początek wypełnił przyrzeczenie, dodając do umówionych sześciu liwrow zapłaty dwadzieścia cztery sous jako napiwek.

Potem widząc, że majster Gamain bezpiecznie siedzi na krześle z głową wspartą o ścianę i odgradzony stołem, kazał gospodarzowi pospiesznie przynieść dwie butelki wina i karafkę wody, sam zaś otworzył na oścież okno i okiennice, żeby usunąć zaduch, jaki panował w gospodzie.

W innych okolicznościach takie zachowanie byłoby kompromitujące. Wiadomo bowiem, że tylko ludzie należący do pewnej sfery czują potrzebę oddychania takim powietrzem, jakiego dostarcza przyroda, to znaczy złożonym z siedemdziesięciu części tlenu, z dwudziestu jeden części azotu i dwóch części wody — gdy tymczasem ludzie późniejszego autoramentu, przyzwyczajeni do swoich okropnych mieszkań, bez żadnego trudu wchłaniają każde powietrze, choćby nie wiem jak przeładowane dwutlenkiem węgla lub azotem.

Na szczęście nie było nikogo, kto by zwrócił na to uwagę. Nawet gospodarz, przyniósłszy pospiesznie dwie butelki wina i z mniejszym już zapalem karafkę wody, wycofał się z szacunkiem, zostawiając nieznajomego sam na sam z majstrem Gamainem.

Jak już widzieliśmy, nieznajomy najpierw zakrzętnął się, by wpuścić nieco świeżego powietrza, następnie zaś, nim jeszcze zamknął okno, zbliżył jakiś flakonik do nozdrzy mistrza ślusarskiego, wciąż ogarniętego ohydny pijackim snem. Gdyby jakimś cudem Opatrzność pozwoliła pijakom ujrzeć siebie w czasie takiego snu, każdy z nich bez wątpienia wyleczyłby się z miłości do wina.

Gdy majster Gamain wciągnął przenikliwy zapach płynu z flakonika, natychmiast otworzył szeroko oczy i głośno kichnął, po czym wymamrotał kilka słów niezrozumiałych zapewne dla nikogo, z wyjątkiem wytrawnego filologa, który wsłuchując się w nie z uwagą zdołałby rozróżnić te trzy lub cztery słowa:

— Nieszczęsny... otruł mnie... otruł!

Rusznikarz wydawał się zadowolony widząc, że mistrz Gamain wciąż znajduje się pod wpływem tej samej myśli; ponownie zbliżył flakon do jego nozdrzy, co przywracając widać

nieco sił godnemu synowi Noego, umożliwiło mu dokończenie rozpoczętego zdania, gdyż do poprzednich słów dodał jeszcze dwa inne, zawierające tym straszliwsze oskarżenie, że dotyczyły zarazem nadużycia zaufania i zdrady uczucia.

— Otruł przyjaciela!... Przyjaciela!

— To doprawdy straszne — zauważył rusznikarz.

— Straszne!... — wymamrotał Gamain.

— Haniebne! — podjął pierwszy.

— Hanieebne! — powtórzył drugi.

— Na szczęście — powiedział rusznikarz — ja tutaj byłem i dałem ci odtrutkę.

— Tak, na szczęście — szepnął Gamain.

— Ale na takie zatrucie nie wystarczy jedna dawka — ciągnął dalej nieznajomy — musisz jeszcze to wypić.

I do pół szklanki wody wlał z flakonika pięć czy sześć kropli likworu, który nie był niczym innym jak rozcieńczonym amoniakiem.

Zbliżył szklankę do ust majstra Gamaina.

— Ach, to można wypić — wybełkotał tamten. — Wolę tak, niż przez nos. — I chciwie wchłonął całą zawartość szklanki.

Ledwie jednak połknął diabelski likwor, oczy wyszły mu na wierzch i między dwoma kichnięciami wykrzyknął:

— Ty zbój! Coś mi tu dał! Tfu! Tfu!

— Mój drogi — odparł nieznajomy — to likwor, który po prostu uratuje ci życie.

— O, jeśli to ma mi ocalić życie — westchnął Gamain — słusznie mi go dałeś, ale nie masz racji nazywając ten płyn likworem.

Znowu potężnie kichnął, wykrzywiając usta i wytrzeszczając oczy, podobny do maski ze starożytnej tragedii.

Nieznajomy wykorzystał tę chwilę pantomimy, by zamknąć nie okno, ale okiennice.

Tymczasem Gamain nie na darmo otworzył oczy raz i drugi; choć był to prawie nieświadomy odruch, wystarczyło majstrowi rozejrzeć się wkoło, a już z uczuciem głębokiej wdzięczności, jaką darzą pijacy mury knajpy, poznał, że znajduje się w znajomym miejscu.

Istotnie, podczas dość częstych wypraw do Paryża tylko wyjątkowo zdarzało się, że majster nie wstępował do gospody przy moście Sèvres. Postój ten z pewnych względów mógł nawet uchodzić za konieczny, ponieważ wyszynk ten położony był mniej więcej w połowie drogi.

Ustalenie tego faktu zrobiło na majstrze pewne wrażenie, przede wszystkim przywróciło mu pewność siebie, znajdował się bowiem na znajomym terenie.

— Ho, ho, to pięknie — powiedział. — Widzę, że jestem już w połowie drogi.

— Tak, i to dzięki mnie — zauważył rusznikarz.

— Jak to dzięki tobie? — mruknął Gamain, przenosząc wzrok z przedmiotów martwych na żywe. — Czemu dzięki tobie? Kim pan jesteś?

— Drogi panie Gamain, to pytanie dowodzi, że ma pan bardzo krótką pamięć.

Gamain spojrział na swego rozmówcę z większą uwagą niż poprzednio.

— Czekał no, czekaj... Coś mi się zdaje, że faktycznie musiałem cię gdzieś widzieć.

— Doprawdy? To się świetnie składa!

— Tak, tak, tak... ale kiedy i gdzie?

— Gdzie? Rozejrzyj się wkoło, może widok przedmiotów, które wpadną ci w oko, odświeży wspomnienia... A kiedy to było? To już inna sprawa. Może trzeba ci będzie zaaplikować jeszcze jedną dawkę odtrutki, abyś to sobie przypomniał...

— Dziękuję — przerwał mu Gamain wyciągając rękę w geście obrony — mam dosyć tej pańskiej odtrutki. Zresztą jestem już niemal uratowany, to wystarczy... Gdzie ja pana widziałem... Gdzie ja pana widziałem?... Przecież właśnie tutaj.

— No nareszcie!

— A kiedy to było? Chwileczkę... To było tego dnia, kiedy wracałem z Paryża z mojej sekretnej roboty... Wygląda na to, że mam tylko tego rodzaju roboty — dodał ze śmiechem.

— Doskonale. A teraz powiedz, kim ja jestem?

— Kim pan jesteś? Człowiekiem, który mi stawiał wino, a więc porządnym człowiekiem! Daj rękę!

— Z przyjemnością — rzekł nieznajomy — tym bardziej że mistrz ślusarski i mistrz rusznikarski idą ręka w rękę.

— Dobrze, dobrze... Teraz już wszystko pamiętam. Tak, to było 6 października, tego dnia, kiedy król wracał do Paryża; nawet trochę o nim rozmawialiśmy wtedy.

— Ta rozmowa była dla mnie ogromnie interesująca, więc pozwolę sobie zapytać, jeśli nie jest to niedyskrecją, co robił pan godzinę temu rozciągnięty na całą długość w poprzek drogi, o dwadzieścia metrów przed ciężkim wozem, który byłby pana przepołowił, gdybym nie zjawił się w porę? Czy ma pan jakieś zmartwienia, panie Gamain, i powziął pan fatalną decyzję, by popełnić samobójstwo?

— Ja miałbym popełniać samobójstwo? Ależ skąd! Co robiłem rozciągnięty na środku gościńca?... Czy jesteś pan pewny, że tam byłem?

— Do licha! Niech pan spojrzy na siebie.

Gamain rzucił okiem na swoje ubranie.

— Pani Gamain będzie znów urągała, a przecież powiedziała mi wczoraj: „Nie wkładaj nowego ubrania, weź starą kurtkę. I tak za dobra, żeby iść do Tuileries.”

— Jak to do Tuileries? — zapytał nieznajomy. — Kiedy cię spotkałem, wracałeś z pałacu?

Gamain poskrobał się po głowie, próbując zebrać rozproszone wspomnienia.

— Tak, tak właśnie było — powiedział. — Na pewno stamtąd wracałem. Czemu nie? To żadna tajemnica, że byłem majstrem ślusarskim u pana Veto.

— U pana Veto? Kogo pan tak nazywa?

— Ach, tak... Nawet nie wiesz, że tak nazywają króla? Skąd pan wracasz? Może z Chin?

— Cóż pan chce? Ja siedzę w swojej robocie i nie zajmuję się polityką.

— Masz pan szczęście. Ja, niestety, zajmuję się nią, albo raczej zmuszają mnie, żebym się nią zajmował, co mnie kiedyś zgubi.

Mówiąc to Gamain podniósł oczy ku niebu i głęboko westchnął.

— No cóż — rzekł nieznajomy — czy i tym razem zostałeś wezwany do Paryża dla wykonania podobnej roboty co wówczas, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy?

— Właśnie, tylko wówczas nie wiedziałem, dokąd idę, i miałem zawiązane oczy, a teraz znałem adres i miałem oczy otwarte.

— Słowem, bez żadnego trudu rozpoznałeś pan pałac Tuileries?

— Pałac Tuileries? A kto panu powiedział, że tam byłem?

— Do licha, sam pan powiedziałeś to przed chwilą! Skąd mógłbym wiedzieć, że stamtąd wracasz, gdybyś pan sam tego nie powiedział?

— To prawda — mruknął do siebie Gamain — skądże, u licha, mógłby to wiedzieć, gdybym mu sam nie powiedział! — A potem, zwracając się do nieznajomego, dodał: — Może popełniłem błąd mówiąc o tym, ale trudno! Tylko tobie jednemu. Zresztą skoro już raz powiedziałem, nie będę się zapierał: byłem w Tuileries.

— I — podjął nieznajomy — pracowałeś tam z królem, który dał ci dwadzieścia pięć luidorów, brzęczących w twojej kieszeni.

— Hmm — mruknął Gamain — faktycznie miałem w kieszeni dwadzieścia pięć luidorów.

— I masz je nadal, przyjacielu.

Gamain żywo wsunął rękę w głębie swoich kieszeni i wyciągnął stamtąd garść złotych monet zmieszanych z kilkoma srebrnymi.

— Zaraz, zaraz, poczekaj... pięć, sześć, siedem... zupełnie o tym zapomniałem... dwanaście, trzynaście, czternaście... dwadzieścia pięć luidorów to ładna sumka... siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście... w dzisiejszych czasach takiej sumy nie znajduje się na ulicy... dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć! Uff — odetchnął z ulgą Gamain — dzięki Bogu, wszystko się zgadza.

— Przecież mówiłem. Wydaje mi się, że mogłeś mi zaufać.

— Panu? A skąd pan wiedział, że miałem przy sobie dwadzieścia pięć luidorów?

— Mój drogi panie Gamain, miałem już zaszczyt panu powiedzieć, że natknąłem się na pana, kiedyś to leżał rozciągnięty w poprzek gościńca, o dwadzieścia kroków od ciężkiego wozu, który byłby cię przepołowił. Krzyknąłem na woźnicę, żeby stanął, i zatrzymałem przejeżdżającego fiakra. Zdjąłem jedną z latarni i przy jej świetle zauważyłem dwa czy trzy luidory rozsypane na bruku. Ponieważ leżały niedaleko od pańskiej kieszeni, uznałem, że musiały stamtąd wypaść.

Wsunąłem więc rękę do kieszeni i stwierdziłem obecność około dwudziestu innych monet, co potwierdzało moje przypuszczenie. Wtedy jednak dorożkarz potrząsając głową powiedział: „Nie, panie, nie. — Co znaczy nie? — Nie zabiorę tego człowieka. — A niby dlaczego? — Bo jest za bogaty jak na swoje ubranie... Dwadzieścia pięć złotych luidorów w kieszeni kurtki z bawelnianego aksamitu, to na milę śmierdzi szubienicą! — Jak to? — zapytałem. — Sądzicie, że to złodziej?” Widać słowo to doszło do pańskiej świadomości, bo powiedziała: „Co? Ja złodziej?” — „Pewnie, że tak — podjął dorożkarz — gdybyś pan nie był złodziejem, to skąd miałbyś w kieszeni dwadzieścia pięć luidorów? — Mam dwadzieścia pięć luidorów, bo mi je dał mój uczeń, król Francji” — powiedziałeś. Po tych słowach wydało mi się, że skądś pana znam, i zbliżyłem latarnię do pańskiej twarzy. „No tak! — wykrzyknąłem — wszystko jest jasne! To przecież pan Gamain, mistrz ślusarski z Wersalu. Pewnie pracował dzisiaj z królem, a król dał mu za fatygę dwadzieścia pięć luidorów. Ja ręczę za niego!” Z chwilą gdy wziąłem za siebie odpowiedzialność, dorożkarz przestał robić trudności. Schowałem z powrotem do pańskiej kieszeni monety, które wypadły, ułożyłem cię jak należy w powozie, potem usiadłem na koźle i zajechaliśmy do tej gospody, i oto, dzięki Bogu, jesteś pan zdrow i cały, na nic nie narzekasz, z wyjątkiem terminatora, który cię porzucił.

— Mówiłem coś o terminatorze? Skarzyłem się, że mnie porzucił? — zawołał Gamain z coraz większym zdumieniem.

— No, dobre sobie! Teraz już nie pamiętasz, coś przed chwilą mówił.

— Ja?

— Jak to? Czyś pan przed chwilą nie mówił: „To wszystko wina tego nicponia...” Zapomniałem nazwiska, jakie pan wymienił...

— Ludwik Lecomte.

— O właśnie... Czyś przed chwilą nie powiedział: „To wszystko wina tego nicponia Ludwika Lecomte’a, który obiecał, że wróci ze mną do Wersalu, a w ostatniej chwili gdzieś przepadł.”

— Mogłem to wszystko powiedzieć, bo to szczerą prawdą.

— Skoro to prawda, czemu zaprzeczasz? Czy nie wiesz, że w dzisiejszych czasach ujawnianie komuś innemu niż mnie tego rodzaju sekretów jest bardzo niebezpieczne, mój drogi?

— No, ale przed panem... — rzekł przymilnie Gamain, chcąc udobruchać nieznajomego.

— Przedemną? Co masz na myśli?

— No, wobec przyjaciela.

— Rzeczywiście, okazujesz dużo zaufania przyjacielowi. Raz powiadasz tak, a chwilę później nie. Najpierw mówisz: „To prawda”, potem: „To nieprawda”. Słowo daję, zupełnie jak ostatnim razem... Opowiedziałeś mi wtedy historyjkę... Uwierzyć w nią mógł tylko naiwny.

— Jaką historyjkę?

— O sekretnych drzwiach, do których wprawiałeś zamek u jakiegoś wielkiego pana, ale nie umiałeś nawet podać jego adresu.

— Możesz mi pan nie wierzyć, ale tym razem także chodziło o drzwi.

— U króla?

— Tak, u króla. Ale nie były to drzwi prowadzące na schody, tylko drzwi do szafy.

— I będziesz mi wmawiał, że król, który się przecież zajmuje ślusarstwem, kazał cię wezwać, żebyś zrobił zamek do drzwi. Też coś!

— A jednak tak jest. Biedaczysko, myślał, że potrafi się obejść beze mnie, i szybko zabrał się do robienia zamka. „Po cóż mi Gamain? Co mi pomoże Gamain? Komu potrzebny jest Gamain?” Tak, ale zaplątał się w bródkach i musiał przeprosić się z poczciwym Gamainem!

— Wtedy posłał po pana jednego ze swoich zaufanych kamerdynerów, co? To był Hue, Durey czy też Weber?

— Tu się pan mylisz. Wziął sobie do pomocy ślusarczyka, co umie jeszcze mniej niż on, więc pewnego dnia ten terminator zjawił się u mnie w Wersalu i powiedział: „Panie majstrze, zaczęliśmy z królem robić zamek i cześć! Przeklęty zamek nie chce się zamykać.” „Co ja tu mogę poradzić?” — zapytałem. „Do licha, przyjdź i doprowadzić go do porządku!” A kiedy mu powiedziałem: „To wszystko nieprawda, nie przychodzisz z polecenia króla, tylko chcesz mnie wciągnąć w pułapkę!” — odpowiedział: „Dobra! Na dowód, że to prawda, masz tu dwadzieścia pięć ludorów, które król kazał wypłacić panu majstrowi, żeby nie było żadnych wątpliwości. — Dwadzieścia pięć ludorów! — zawołałem. — A gdzie one są? — Oto one.” — I wręczył mi je.

— To te ludory, które masz w kieszeni? — zapytał rusznikarz.

— Nie, nie te. Tamtych dwadzieścia pięć to był tylko zadatek.

— Do licha! Pięćdziesiąt ludorów, żeby poprawić zamek! Jest w tym jakieś szachrajstwo, panie majstrze.

— I ja tak pomyślałem, tym bardziej że ten terminator...

— Co z nim?

— Wyglądał mi na fałszywego terminatora. Powinienem był go wypytać, dowiedzieć się, gdzie pracował, kto go rodził i w ogóle.

— Ale przecież pana niełatwo oszukać, gdy zobaczy pan czeladnika przy robocie.

— No, nie powiem... Ten całkiem nieźle obchodził się z pilnikiem i cęgami. Widziałem, jak na gorąco jednym ruchem przeciął żelazną sztabę albo okrągłym pilnikiem zrobił otwór w żelaznej płycie, jakby miał w ręku świder. Ale, widzi pan, w tym wszystkim było więcej teorii niż praktyki, a na dodatek ledwie skończył robotę, mył ręce, a ledwie je umył — stawały się białe. Czy ręce prawdziwego ślusarza tak od razu bieleją? Otóż nie, na próżno szorowałbym swoje!... I Gamain z dumą pokazał swoje czarne i stwardniałe ręce, które rzeczywiście były jakby wyzwaniem dla wszystkich znanych na świecie maści wybielających i mydeł.

— Ale w końcu — podjął nieznajomy, naprowadzając ślusarza na temat, który wydawał mu się najciekawszy — jak się zjawiłeś u króla, to coś tam robił?

— Przed wszystkim okazało się, że jesteśmy oczekiwani. Zaprowadzono nas do kuźni i tam król wręczył mi zamek, słowo daję, całkiem nieźle zaczęty, tylko coś tam poplątało się przy bródkach. Bo widzi pan, taki zamek z trzema bródkami to nie każdy ślusarz potrafi zrobić, a tym

bardziej król, co łatwo pojąć. Obejrzałem więc ten zamek, znalazłem, gdzie jest błąd, i powiedziałem: „Dobrze, zostawcie mnie samego na godzinę, a zamek będzie chodził jak po maśle”. A król na to: „Gamain, przyjacielu, rób jak chcesz, jesteś tu u siebie; masz pilniki, imadła, pracuj sobie spokojnie, a my tymczasem przygotujemy szafę”. Po czym wyszedł razem z tym piekielnym terminatorem.

— Ogólnymi schodami? — zapytał od niechcienia rusznikarz.

— Nie, wewnętrznymi sekretnymi schodkami, które prowadzą do gabinetu króla. Ja, kiedy skończyłem, pomyślałem: ta szafa to mydlenie oczu. Oni tam siedzą razem i knują jakiś spisek. Zejdę więc po cichutku, otworzę drzwi do gabinetu i zobaczę, co też oni tam robią.”

— I co robili? — zapytał nieznajomy.

— Chyba nasłuchiwali. Bo, rozumie pan, ja nie potrafię tak stąpać jak baletnica. Choć starałem się jak mogłem, stopnie trzeszczały pod moim ciężarem i musieli mnie usłyszeć. Udali więc, że wychodzą mi naprzeciw, i kiedy miałem położyć rękę na klamce, puf!, drzwi się otworzyły. I kto dał się złapać? Gamain!

— Słowem, nic pan nie wie?

— Czekaj pan! „To ty, Gamain? — zapytał król. — Tak, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziałem — już skończyłem. — Myśmy też już skończyli — dodał — ale chodź, dam ci teraz inną robotę”. I szybko przeprowadził mnie przez gabinet, nie dość szybko jednak, żebym nie dojrzał rozłożonej na stole wielkiej mapy, która była chyba mapą Francji, bo w jednym rogu miała wymalowane trzy lilie.

— A na tej mapie nie zauważył pan nic szczególnego?

— Owszem. Od środka były wbite trzy rzędy szpilek, które prowadziły w pewnej odległości od siebie do samego krańca, zupełnie jak żołnierze maszerujący do granicy trzema różnymi drogami.

— Doprawdy, drogi panie Gamain — rzekł nieznajomy z udawanym podziwem — pańskiej bystrości nic nie ujdzie... I sądzisz pan, że król i ten terminator zamiast szafą zajmowali się tą mapą?

— Tego jestem zupełnie pewny.

— Chyba nie możesz być tego pewny.

— A jednak.

— Dlaczego?

— To bardzo proste: szpileczki miały woskowe łebki, czarne, niebieskie i czerwone. Otóż król miał w rękę taką szpilkę z czerwonym łebkiem i machinalnie dłubał nią w zębach.

— No, przyjacielu Gamain, jeśli uda mi się kiedyś wymyślić nową broń, możesz być pewny, że nie wpuszczę cię do warsztatu, nawet nie pozwolę ci tamtędy przejść! Albo zawiążę ci oczy, jak wtedy kiedy cię zaprowadzono do tego magnata, a i tak, mimo zawiązanych oczu, zauważyłeś, że wejście na podjazd liczyło dziesięć stopni i że dom stał przy bulwarze.

— Czekaj pan — podjął Gamain dumny z otrzymanych podawał — bo tam naprawdę szafa była!

— Ejże! Ale gdzie?

— Gdzie? Spróbuj pan zgadnąć?... Otóż, przyjacielu, szafa była w murze:

— W jakim murze?

— W murze wewnętrznego korytarzyka, który łączy alkowę króla z pokojem delfina.

— To, co pan opowiada, jest naprawdę bardzo ciekawe... I ta szafa była ot, tak, po prostu otwarta?

— Jeszcze czego!... Próżno wypatrywałem oczy, nie widziałem nic i zastanawiałem się: „Co z tą szafą? Gdzie ona jest?” Wtedy król rozejrzał się dokoła i rzekł: „Gamain, zawsze miałem do

ciebie zaufanie; dlatego nie chciałem, aby ktoś inny znał mój sekret. Patrz!” Mówiąc to, podczas gdy terminator trzymał światło — bo w tym korytarzyku nie ma okna — król uniósł do góry płytę boazerii i wtedy dojrzałem okrągły otwór o średnicy około dwóch stóp. Potem, widząc moje zdumienie, król mrugnął w stronę terminatora i rzekł: „Przyjacielu, widzisz tę dziurę? Wykułem ją, żeby tu schować pieniądze. Ten młodzieniec pomagał mi w tym przez pięć dni, jakie spędził w pałacu. Teraz trzeba zamocować zamek u tych żelaznych drzwiczek, które powinny tak się zamykać, aby można było z powrotem założyć boazerię, zakrywając drzwiczki jak teraz otwór... Czy potrzebna ci pomoc? Ten młodzieniec ci pomoże, ale jeśli możesz się bez niego obejść, zajmę go czym innym. Mam, jeszcze dla niego robotę. — Och, jak tylko mogę coś zrobić sam — odpowiedziałem — nie potrzebuję pomocy. Dla dobrego rzemieślnika byłoby tu zajęcia na cztery godziny, ale jestem mistrzem, więc za trzy wszystko będzie skończone. Niech chłopak idzie do swojej roboty, a ty, panie królu, do swojej. A jeśli jest tutaj coś do schowania, to wróćcie za trzy godziny.” Widać, jak mówił król, terminator miał robotę gdzie indziej, bo już go nie zobaczyłem, a po trzech godzinach król wrócił sam i zapytał: „No i cóż, Gamain, jak stoimy? — Skończone, Najjaśniejszy Panie, wszystko zrobione.” I pokazałem mu drzwiczki, które chodziły jak ta lala, bez najmniejszego zgrzytu, a także zamek, co działał niby automat samego pana Vaucansona. „Dobrze — rzekł król — a teraz, Gamain, pomożesz mi przeliczyć pieniądze, które mam tu schować”. I kazał kamerdynerowi przynieść cztery worki pełne podwójnych luidorów mówiąc: „Liczymy”. Naliczyłem tego cały milion, a on drugi. Ponieważ zostało jeszcze dwadzieścia pięć sztuk, powiedział: „Masz, Gamain, tych dwadzieścia pięć luidorów za swój trud”, zupełnie jakby nie było rzeczą haniebną biednemu człowiekowi, obciążonemu pięciorgiem dzieci, kazać liczyć miliony, a potem dać mu w nagrodę dwadzieścia pięć luidorów! Co pan na to? Nieznajomy wydał usta i rzekł:

— To rzeczywiście małoduszne.

— Czekaj pan, to jeszcze nie wszystko. Wziąłem te luidory, schowałem do kieszeni i powiadam: „Bardzo dziękuję, Najjaśniejszy Panie! Ale z tego wszystkiego od rana nic nie jadłem i nic nie piłem, i po prostu umieram z głodu!” Jeszcze nie skończyłem, a tu nagle przez tajemne drzwi wchodzi królowa, nieoczekiwanie, bez ostrzeżenia staje przede mną, w rękę trzyma talerz, a na nim szklankę wina i ciastko drożdżowe. „Mój drogi Gamain — mówi — jesteś spragniony, więc wypij szklankę wina jesteś głodny, to zjedz ciastko.” — Och, pani królowo — mówię kłaniając się — nie warto się było fatygować z mojego powodu”. I co pan o tym myślisz? Szklanka wina dla człowieka, który powiada, że chce mu się pić, i ciastko dla głodnego!... Co ona sobie wyobraża? Zaraz widać, że ta królowa nigdy nie była głodna ani spragniona!... Szklanka wina!... Po prostu litość bierz!

— I co? Odmówił pan?

— Lepiej bym zrobił odmawiając... Nie, wino wypilem, a ciastko zawiąłem w chustkę do nosa pomyślawszy:

„Co nie jest dobre dla ojca, będzie dobre dla dzieci!” Potem podziękowałem Najjaśniejszemu Panu jak się należało i ruszyłem w drogę, przysięgając sobie, że już nigdy nie dam się nabrać na wizytę w Tuileriach.

— Ale czemu powiadasz pan, że lepiej byś zrobił odmawiając wina?

— Bo chyba nasypali do niego trucizny! Ledwie minąłem most Toumant, strasznie zaczęło mnie suszyć!... Do tego stopnia, że mając po lewej stronie rzekę, a po prawej gospodę, wahałem się chwilę, czy nie pójść do rzeki... I wtedy przekonałem się, jakie podłe wino mi dali: im więcej piłem, tym bardziej chciało mi się pić! To trwało tak długo, póki nie straciłem przytomności. Jednego mogą być pewni: jeśli kiedykolwiek zostanę wezwany na świadka przeciwko nim, to

powiem, że zapłacili mi dwadzieścia pięć luidorów za cztery godziny pracy i liczenie miliona, a potem w obawie, że wyjawię miejsce, gdzie chowają swoje skarby, dali mi trucizny jak psu.

— A ja, drogi Gamain — powiedział rusznikarz wstając, bo widać dowiedział się już wszystkiego, o co mu chodziło — poprę twoje oskarżenie i powiem, że to ja podałem ci odtrutkę, co przywróciła cię do życia.

— Dlatego my dwaj — powiedział Gamain ściskając mocno obie ręce nieznanego — jesteśmy teraz związani na śmierć i życie.

Z istic spartańską wstrzeźliwością Gamain po raz trzeci czy czwarty odmówił wypicia szklanki wina, jaką częstował go ów nieznany przyjaciel, któremu przed chwilą poprzysiągł dozgonną przyjaźń. Po czym majster, który doświadczał na sobie dwojakiego działania amoniaku, co otrzeźwił go natychmiast i na dwadzieścia cztery godziny obrzydził mu wino, wyruszył w drogę do Wersalu, gdzie dotarł o drugiej po północy cały i zdrowy, mając w kieszeni dwadzieścia pięć luidorów od króla i ciastko od królowej.

Pozostawszy sam w knajpie, fałszywy rusznikarz wyciągnął z kieszonki inkrustowane złotem szylkretowe tabliczki i zanotował na nich:

„Żelazna szafa w ciemnym korytarzyku prowadzącym z alkowy króla do pokoju delfina.

Sprawdzić, czy niejaki Ludwik Lecomte, terminator ślusarski, nie jest po prostu hrabią Ludwikiem, synem markiza de Bouillé, przybyłym z Metzu przed jedenastu dniami.”

X MASZYNA PANA GUILLOTINA

Dwa dni później, dzięki osobliwie rozgałęzionym stosunkom, jakie Cagliostro posiadał we wszystkich sferach społecznych, a nawet wśród królewskiej służby, wiedział on już, że hrabia Ludwik de Bouillé przybył do Paryża 15 czy 16 listopada; 18 listopada odnalazł go jego kuzyn, pan de La Fayette, i natychmiast przedstawił królowi, 22 zaś zgłosił się jako terminator do mistrza Gamaina i pozostał u niego przez trzy dni; czwartego razem z nim wyruszył z Wersalu do Paryża i bez trudności wprowadzony został do króla; wróciwszy wreszcie do swego przyjaciela, Achillesa du Chastelet, u którego się zatrzymał, przebrał się pospiesznie i tegoż wieczora wozem pocztowym ruszył z powrotem do Metz.

Równocześnie, nazajutrz po nocnej naradzie, jaką odbył z panem de Beausire na cmentarzu świętego Jana, spotkał dawnego skazańca, który przerażony zjawił się w Bellevue u bankiera Zannone. Bowiem pan de Beausire, wróciwszy do domu o siódmej rano, zgrany do ostatniego luidora mimo niezawodnego systemu pana Lawa, zastał dom pusty: panna Oliwią i mały Toussaint gdzieś zniknęli.

Beausire przypomniał sobie wówczas, że poprzedniego dnia hrabia Cagliostro nie wyszedł razem z nim, lecz oświadczył, że musi poufnie porozmawiać z panną Oliwią. Była to pewna podstawa do podejrzeń, jako że panna Oliwią została już kiedyś uprowadzona przez hrabiego Cagliostra. Beausire, sprawny szpicel, popędził tym tropem, który doprowadził go aż do Bellevue. Tam wymienił swoje nazwisko i od razu wprowadzony został do barona Zannone czy też hrabiego Cagliostra — zależnie od tego, jak zechce nazywać go czytelnik — najważniejszej obecnie osoby, a w każdym razie głównej sprężyny dramatu, który postanowiliśmy opowiedzieć.

Kiedy Beausire wprowadzony do znanego nam już salonu — bowiem na samym początku opowieści widzieliśmy wchodzących tu doktora Gilberta i markiza de Favrasa — stanął przed hrabią, nagle się zawahał. Hrabia wydał mu się tak wielkim panem, że wręcz nie śmiał upomnieć się u niego o kochankę.

Cagliostro jednak zagał rozmowę tak, jakby czytał w najtajniejszych głębiach serca byłego oficera.

— Panie de Beausire — powiedział — zauważyłem, że ma pan na tym świecie dwie tylko prawdziwe namiętności: grę i pannę Oliwię.

— Ach, panie hrabio — zawołał Beausire — więc wiesz, co mnie sprowadza?

— Wiem doskonale. Przyszedłeś, bo chcesz, abym ci zwrócił pannę Oliwię. Ona jest u mnie.

— Jak to? Jest u pana hrabiego?

— Tak, w moim mieszkaniu przy ulicy Saint-Claude. Zajęła tam swój dawny apartament, i jeśli pan będziesz grzeczny, a ja z pana zadowolony, jeśli dostarczysz mi ciekawych lub zabawnych wiadomości, wówczas, mój panie, wsuniemy ci do kieszeni dwadzieścia pięć luidorów, abyś mógł udawać magnata w Palais-Royal, a także damy piękne ubranie, byś na ulicy Saint-Claude mógł grać rolę kochanka.

Beausire miał wielką ochotę głośno domagać się oddania panny Oliwii, ale Cagliostro rzucił tylko dwa słowa na temat nieszczęsnej afery z ambasadą portugalską, która niby miecz Damoklesa wisiała wciąż nad głową byłego oficera, i Beausire zamilkł.

Ponieważ jednak wyraził wątpliwość, czy panna Oliwią rzeczywiście znajduje się w pałacyku przy ulicy Saint-Claude, hrabia kazał zaprząć konie, wraz z Beausirem udał się na bulwar i tam wprowadził go do *sanctum sanctorum*, gdzie zdjawszy ze ściany jakiś obraz przez zręcznie

zamaskowany otwór ukazał mu pannę Oliwię; wystrojona jak królowa, siedziała na wygodnej kozetce, czytając jedną z tych złych książek, tak popularnych w owej epoce, a przynoszących największą radość dawnej pokojówce panny de Tavernay; u jej stóp baraszkował otoczony wspaniałymi zabawkami mały Toussaint, ubrany niczym książętko, w kapeluszu à la Henryk IV i błękitnych marynarskich spodniach, przewiązanych trójbarwną szarfą zakończoną złotą frędzlą.

Beausire poczuł wówczas, jak jego serce kochanka i ojca wypełnia się dumą; obiecał wszystko, czego żądał hrabia, ten zaś, wierny danemu słowu, pozwolił, aby w dni, kiedy Beausire przyniesie jakieś interesujące nowiny, oprócz zapłaty w złocie, uzyskiwał jeszcze w nagrodę miłość w ramionach panny Oliwii.

Wszystko zatem ułożyło się zgodnie z życzeniami hrabiego i niemal zgodnie z pragnieniami pana de Beausire'a, kiedy to pod koniec grudnia, o bardzo niewłaściwej godzinie jak na tę porę roku, czyli o szóstej rano, doktor Gilbert, który od półtorej godziny już pracował, usłyszał pukanie do drzwi, po sposobie pukania zaś poznał brata wolnomularza.

Zaraz więc poszedł otworzyć.

Za drzwiami stał uśmiechnięty hrabia Cagliostro.

Spotykając tego tajemniczego człowieka Gilbert czuł zawsze, jak przebiega go dreszcz.

— Ach, to pan, hrabio? — powiedział i siłą woli poskramiając odczucia podał mu rękę. — Witam serdecznie, niezależnie od pory, a także sprawy, jaka cię tu sprowadza.

— Sprawą, która mnie przywiodła, jest chęć zaproszenia pana do uczestnictwa w pewnym doświadczeniu o charakterze filantropijnym; zresztą miałem już kiedyś zaszczyt o tym wspomnieć.

Gilbert próżno próbował sobie przypomnieć, o jakim to doświadczeniu rozmawiał poprzednio z hrabią.

— Nie pamiętam, o co chodzi — powiedział.

— Nieważne, drogi Gilbertcie, w każdym razie nie facytowałbym pana na próżno, o to może pan być spokojny... Zresztą tam, dokąd pójdziemy, spotkasz znajomych.

— Drogi hrabio — odparł Gilbert — wszędzie, dokąd zechcesz mnie zaprowadzić, pójdę nade wszystko ze względu na pana; miejsca, jakie zobaczę, i osoby, jakie spotkam, to kwestie drugorzędne.

— Chodźmy więc, bo nie ma czasu do stracenia. Gilbert był już ubrany, wystarczyło więc, aby odłożył pióro i włożył kapelusz. Dokonawszy tych czynności rzekł:

— Panie hrabio, jestem do pańskiej dyspozycji.

— Chodźmy zatem — powiedział hrabia i ruszył przodem, a Gilbert za nim.

Na dole czekał na nich powóz, który ruszył natychmiast, choć hrabia nie wydał żadnego rozkazu; widać stangret wiedział, dokąd ma jechać.

Po kwadransie jazdy, podczas której Gilbert zorientował się, że przecinają całe miasto i nawet mijają roгатkę, powóz zatrzymał się na dużym kwadratowym dziedzińcu otoczonym dwupiętrowym budynkiem o zakratowanych oknach.

Ledwie powóz wtoczył się do środka, bramę zamknięto.

Wysiadając doktor Gilbert spostrzegł, że znajduje się na dziedzińcu więziennym, a przyglądając się uważniej, poznał więzienie w Bicêtre.

Całe to otoczenie, i tak dostatecznie ponure, wyglądało jeszcze smutniej w mętnym świetle wstającego dnia, który jakby niechętnie spływał na dziedzińiec.

Było chyba kwadrans po szóstej, a więc pora, kiedy zimą każdy czuje się źle, bo o tej godzinie nawet najsilniejszy organizm staje się wrażliwy na chłód.

Drobny ukośnie padający deszczyk zasnuwał wszystko szarym welonem, który przysłańiał ciemne mury.

Pośrodku dziedzińca grupa pięciu czy sześciu cieśli wraz z majstrem, słuchając rozkazów małego ruchliwego człowieczka w czarnym ubraniu, który sam miotał się za wszystkich, zajęta była ustawianiem jakiejś maszyny o nieznanym i dziwnym kształcie.

Na widok wysiadających z powozu panów czarny człowieczek odwrócił głowę.

Gilbert wzdrygnął się, poznał bowiem doktora Guillotina, którego kiedyś spotkał u Marata. Maszyna zaś była naturalnych rozmiarów kopią modelu, jaki oglądał w piwnicy redaktora „Przyjaciela Ludu”.

Mały człowieczek również poznał przybyłych. Ich pojawienie się uznał widać za ważne wydarzenie, bo na chwilę oderwał się od zajęć, nad którymi sprawował nadzór, i ruszył w ich stronę.

Nie omieszkał jednak wcześniej zalecić majstrowi jak największej uwagi w dalszej pracy.

— Tutaj, majstrze Guidon... dobrze. Skończcie najpierw platformę, bo to podstawa całej konstrukcji. Jak się z tym uporacie, ustawcie oba słupy, pilnie uważając na znaki; słupy nie powinny być ani zbyt rozstawione, ani stać zbyt blisko. Zresztą jestem tutaj i mam was na oku.

Potem zbliżył się do hrabiego i doktora, którzy szli ku niemu.

— Dzień dobry, hrabio — powiedział — to bardzo miło z pańskiej strony, że przybywasz pierwszy i przywozisz ze sobą doktora. Przypomina pan sobie, doktorze, że będąc u Marata zaprosiłem pana, abyś asystował przy przeprowadzaniu pewnego eksperymentu, ale zapomniałem wówczas zapytać o pański adres... Zobaczy pan coś niezwykłego, najbardziej humanitarną maszynę, jaką kiedykolwiek wymyślono.

Nagle, odwracając się w stronę maszyny, przedmiotu swych najgorętszych zainteresowań, zakrzyknął:

— Ależ, Guidon, co wy tam robicie? Przednią część ustawiacie z tyłu!

I rzuciwszy się ku schodkom, które dwóch robotników przystawiło właśnie do boku maszyny, jednym susem znalazł się na platformie, gdzie jego obecność pozwoliła w ciągu kilku sekund naprawić błąd cieśli, nie bardzo jeszcze zorientowanych w szczegółach konstrukcji wynalazku.

— Dobrze, dobrze — pochwalił doktor Guillotin, widząc z zadowoleniem, że pod jego kierunkiem praca idzie doskonale. — Wszystko w porządku, trzeba tylko wsunąć nóż w rowek... Ale co to, Guidon? — zawołał nagle z przerażeniem. — Czemu rowek nie jest wyłożony miedzią?

— Ano, panie doktorze, pomyślałem sobie, że dobre dębowe drewno starannie natłuszczone jest tyle samo warte co miedź — wyjaśnił majster ciesielski.

— Tak, rozumiem, oszczędność — rzekł pogardliwie Guillotin. — Tam, gdzie idzie o postęp nauki i dobro ludzkości! Guidon, jeśli nasze dzisiejsze doświadczenie się nie uda, będziesz za to odpowiedzialny. Panowie, biorę was za świadków — dodał zwracając się do Cagliostro i Gilberta. — Żądałem, aby rowki wybito miedzią, a nie uczyniono tego wbrew memu zaleceniu. Jeśli więc teraz nóż utknie opadając albo nie będzie się zsuwał, to już nie moja wina... Umywam ręce.

I stojąc na platformie maszyny doktor powtórzył gest, jaki tysiąc osiemset lat wcześniej uczynił Piłat na tarasie swego pałacu.

Tymczasem, mimo różnych drobnych niedociągnięć, maszyna nabierała właściwego kształtu, upodabniając się coraz bardziej do morderczego narzędzia, co radowało wynalazcę, doktora Gilberta przyprawiało zaś o niemiły dreszcz.

Cagliostro natomiast był niewzruszony. Od śmierci Lorenzy stał się zimny jak marmur.

A oto kształt, jaki zaczęła przybierać maszyna: najpierw widać było pierwszą platformę, na którą, podobnie jak do wiatraka, wchodziło się po schodkach.

Podest ten stanowił szafot w kształcie kwadratu o boku piętnastu stóp. Nieco poza środkiem, na wprost schodków, ustawiono tam dwa prostopadle słupy wysokie na dziesięć do dwunastu stóp.

Oba ozdobione były sławetnymi rowkami, na które majster Guidon pożałował miedzi, a oszczędność ta, jak widzieliśmy, stała się przyczyną głośnych protestów filantropa, doktora Guillotina.

Wzdłuż tych wyżłobień zsuwał się spuszczonej za pomocą sprężyny półkolisty nóż, który opadał siłą własnego ciężaru, zwielokrotnionego dodatkowym obciążeniem.

Pomiędzy słupami znajdował się niewielki otwór; człowiek mógł włożyć tam głowę, po czym oba drewniane skrzydła zsuwały się, obejmując szyję niby obroża.

W określonym momencie uruchamiała się przeciwwaga i deska o długości ludzkiego ciała sama podsuwała się na wysokość tego okienka.

Całe urządzenie było więc nadzwyczaj pomysłowe.

W czasie gdy cieśle, majster Guidon i doktor Guillotin krzżeli się przy wykańczaniu konstrukcji, a Cagliostro i Gilbert prowadzili dysputę na temat nowego instrumentu — hrabia podważał bowiem wynalazek doktora Guillotina, dopatrując się analogii do włoskiej *mannaya*, a zwłaszcza do owego toporu z Tuluzy, którym wykonano wyrok na marszałku de Montmorency, dziedziniec zaludnił się nowymi widzami, również zaproszonymi do asystowania w eksperymencie.

Był wśród nich znany nam już starzec, który odegrał ważną rolę w połowie tego długiego opowiadania; dotknięty chorobą, co stać się miała wkrótce przyczyną jego śmierci, na skutek nalegań kolegi Guillotina, mimo wczesnej pory i okropnej pogody opuścił pokój, aby na własne oczy zobaczyć, jak działa maszyna.

Gilbert poznał go i z szacunkiem wyszedł mu naprzeciw.

Towarzyszył mu pan Giraud, architekt miasta Paryża, który sprawowanej funkcji zawdzięczał zaszczyt specjalnego zaproszenia.

Druga grupa przybyłych, która z nikim nie wymieniła ukłonów i której nikt nie powitał, składała się z czterech bardzo skromnie ubranych mężczyzn.

Zaledwie weszli, skierowali się pokornie w odległy kąt dziedzińca, rozmawiając przyciszonym głosem i mimo deszczu nie nakrywając głów.

Ten z nich, który wydawał się szefem czwórki, a w każdym razie wyraźnie cieszył się szacunkiem towarzyszy, był mężczyzną około pięćdziesięciu czy pięćdziesięciu dwu lat, słusznego wzrostu, o dobrotliwym uśmiechu i przyjemnej powierzchowności.

Człowiek ten, urodzony 15 lutego 1738 roku, nazywał się Ludwik Karol Sanson i widział, jak jego ojciec, ćwiartował Damiensa; potem sam pomagał ojcu, gdy temu przypadł honor ścięcia głowy panu de Lally–Tollendalowi.

„W tej krainie, mówi Puységur, posługują się toporem umocowanym między dwoma kawałkami drewna; kiedy położy się głowę na pieńku, ktoś puszcza sznur i topór spada, oddzielając głowę od ciała”.

Powszechnie nazywano go „Monsieur de Paris”.

Wśród pozostałych trzech mężczyzn znajdował się jego syn, który później dostąpił zaszczytu pomagania przy zgilotynowaniu Ludwika XVI, oraz dwaj pomocnicy.

Obecność Monsieur de Paris, jego syna i pomocników przydawała straszliwej wymowy maszynie pana Guillotina, unaoczniając, że obecne doświadczenie choćby nawet nie gwarantowane przez rząd, posiadało przecież jego aprobatę.

Monsieur de Paris wydawał się nader smutny; jeśli maszyna, przy której wypróbowywaniu był obecny, zostanie zaakceptowana, zniknie cały malowniczy aspekt jego postaci. Wykonawca

wyroku przestanie jawić się tłumom jako zbrojny w ognisty miecz anioł zagłady, a kat zmieni się w rodzaj dozorca pociągającego za sznurek śmierci.

I w tym tkwiła prawdziwa sprzeczność.

Deszcz padał bez przerwy, może drobniejszy, ale na pewno gęstszy, więc doktor Guillotin, lękając się zapewne, że wstrętna pogoda wypłoszy któregoś z widzów, zwrócił się do najliczniejszej grupy, która składała się z Cagliostro, Gilberta, doktora Louisa oraz architekta Girauda, i niczym dyrektor teatru, który czuje, że publiczność się niecierpliwi, powiedział:

— Panowie, czekamy już tylko na jedną osobę, na pana doktora Cabanisa. Gdy tylko się pojawi, zaczynamy.

Ledwie wyrzekł te słowa, na dziedziniec wtoczył się trzeci powóz, z którego wysiadł około czterdziestoletni mężczyzna o wysokim czole, inteligentnej twarzy i żywym, pytającym spojrzeniu.

Był to ostatni oczekiwany widz, doktor Cabanis.

Powitał wszystkich niesłychanie uprzejmie, jak przystało na lekarza-filozofa, potem podszedł i podał rękę doktorowi Guillotinowi, który wykrzykiwał z wysokości swojej platformy: „Prędeż, doktorze, proszę bardzo, czekamy już tylko na pana!” Cabanis przyłączył się do grupy hrabiego Cagliostro i Gilberta.

W tym czasie jego powóz zajął miejsce obok pozostałych.

Jedynie dorożka, którą przyjechał Monsieur de Paris, pozostała skromnie za bramą.

— Panowie — powiedział doktor Guillotin — ponieważ wszyscy już są, możemy zaczynać.

Na dany przez niego znak otworzyły się drzwi i wkroczyło dwóch ludzi w szarych mundurach, niosąc na ramionach worek o niewyraźnych zarysach ludzkiego ciała.

Za szybami okien pojawiły się blade i mizerne twarze chorych, którzy ze zdumieniem śledzili to nieoczekiwane widowisko, na jakie nie myślano ich zaprosić, nie pojmując ani czynionych przygotowań, ani ich celu.

XI

WIECZÓR W PAWILONIE FLORY

Tegoż dnia wieczorem, to znaczy 24 grudnia, w wigilię Bożego Narodzenia, odbywało się przyjęcie w pawilonie Flory.

Ponieważ Maria Antonina nie chciała przyjmować u siebie, księżna de Lamballe robiła to w jej imieniu, czyniąc honory domu, dopóki nie zjawiała się królowa.

Wraz z jej pojawieniem się wszystko szło zwykłym trybem, jakby przyjęcie odbywało się w pawilonie Marsan, a nie w pawilonie Flory.

Tegoż dnia przed południem z Turynu powrócił młody baron Izydor de Charny i natychmiast po przybyciu przyjęty został najpierw przez króla, a potem przez królową.

Oboje powitali go z wielką serdecznością, ale szczególnie u królowej serdeczność ta była uderzająca i to z dwóch powodów.

Przede wszystkim Izydor był bratem hrabiego de Charny, a pod jego nieobecność nawet spotkanie z bratem miało dla królowej wiele uroku.

Ponadto Izydor przywoził królowej od hrabiego d'Artois i księcia de Condé wiadomości, które w pełni odpowiadały jej pragnieniom i uczuciom.

Obaj zalecali królowej projekty pana de Favrasa, zachęcając ją, aby zawierzyła odważnemu i oddanemu szlachcicowi i z jego pomocą połączyła się z nimi w Turynie.

Izydor otrzymał poza tym od księżąt krwi polecenie wyrażenia markizowi de Favrasowi sympatii, jaką budziły jego plany, oraz najszczerzych życzeń powodzenia.

Królowa zatrzymała Izydora całą godzinę, zaprosiła go na wieczór do pani de Lamballe i pozwoliła mu odejść tylko dlatego, że musiał jeszcze wypełnić powierzoną mu misję wobec markiza de Favrasa.

Królowa nie powiedziała nic konkretnego na temat miejsca ucieczki. Poleciała tylko Izydorowi powtórzyć państwu de Favrasom to, co powiedziała już markizie, gdy przyjmowała ją u siebie, i powtórzyła, pojawiwszy się niespodziewanie u króla, kiedy ten rozmawiał z markizem.

Prosto od królowej Izydor udał się do pana de Favrasa, który mieszkał pod numerem 21 przy placu Royale.

Barona de Charny przyjęła pani domu. Najpierw oświadczyła, że mąż wyszedł, usłyszawszy wszelako nazwisko gościa i dowiedziawszy się, jak dostojne osoby odwiedził przed chwilą i z kim widział się przed paru dniami, wyznała, że mąż jest w domu, i posłała po niego.

Markiz zjawił się odprężony i uśmiechnięty. Otrzymał już bezpośrednią wiadomość z Turynu i wiedział, z czyjego polecenia zjawia się u niego Izydor.

Radość spiskowca nie miała granic, gdy na dodatek usłyszał z ust młodzieńca słowa przekazane mu przez królową. Istotnie, wszystko zdawało się wspierać jego nadzieje: spiszek rozwijał się doskonale; w Wersalu zgromadzono już tysiąc dwustu konnych, a każdy z nich miał wziąć na siodło jednego piechura, co sprawiało, że liczba ludzi wzrosła do dwóch tysięcy czterystu. Zrezygnowano też ostatecznie z potrójnego zabójstwa, jakiego dokonać miały na osobach Neckera, Bailly'ego i La Fayette'a trzy wchodzące do Paryża kolumny wojsk: jedna od strony rogatki Roule, druga — od Grenelle i trzecia — bramą Chaillot, uznając, że wystarczy pozbyć się jedynie La Fayette'a. Tego zaś dokonać mogło czterech ludzi, byle mieli szybkie konie i dobrą broń; mieli oni czekać na powóz wodza o jedenastej wieczorem, kiedy to zwykle wracał z Tuileries; dwaj z nich szliby wzdłuż ulicy po jej prawej i lewej stronie, dwaj inni wybiegliby na środek jezdni przed konie. Trzymając w ręku jakiś papier jeden z nich nakazałby

woźnicy zatrzymać się mówiąc, iż ma ważną wiadomość do przekazania generałowi. Powóz stanąłby więc, generał wyrzwałby przez okno i wtedy rozwalono by mu łeb wystrzałem z pistoletu.

Była to zresztą jedyna zasadnicza zmiana w planach spisku; reszta pozostawała po staremu, tyle tylko że pieniądze już dostarczono, ludzie byli uprzedzeni i wystarczyło jedno „tak” z ust króla, aby na znak dany przez markiza de Favrasa puścić wszystko w ruch.

Markiza niepokoiło tylko jedno — milczenie króla i królowej. Milczenie to przerwała teraz królowa za pośrednictwem barona Izydora, i choć słowa, jakie powtórzył on państwu de Favrasom były raczej mgliste, posiadały przecież niesłychaną wagę, bo wyrzekły je królewskie usta.

Izydor obiecał markizowi de Favrasowi, że jeszcze dziś wieczór przekaże królowej i królowi zapewnienie o jego całkowitym oddaniu.

Jak wiemy, młody baron udał się do Turynu w dniu swego przybycia do Paryża, nie miał więc innego mieszkania prócz pokoju, jaki zajmował jego brat w pałacu Tuileries. Ponieważ brata nie było na miejscu, poprosił lokaja hrabiego, by otworzył mu pokój.

O dziewiątej wieczór zjawił się na przyjęciu u księżnej de Lamballe.

Nie był nigdy przedstawiony księżnej i ta go nie знаła, ale w ciągu dnia otrzymała liścik od królowej i teraz, gdy oznajmiono jego przybycie, wstała i z wrodzonym sobie wdziękiem, który zastępował jej zalety umysłu, wciągnęła go od razu w krąg najbliższych przyjaciół.

Królewskiej pary jeszcze nie było. Brat króla, który wydawał się niespokojny, rozmawiał w kącie z dwoma szlachcicami ze swego najbliższego otoczenia: panem de La Chatre'em i panem d'Avarayem. Hrabia Ludwik de Narbonne krążył od jednej grupy gości do drugiej ze swobodą człowieka, który wszędzie czuje się jak u siebie w domu.

Grupa zaufanych przyjaciół składała się głównie z młodych arystokratów, co oparli się pędowi ku emigracji. Byli wśród nich panowie de Lameth, którzy mieli wiele do zawdzięczenia królowej i jeszcze nie przeszli do obozu jej wrogów, pan d'Ambly, jedna z tęgich lub jak kto woli miernych głów epoki; pan de Castries, pan de Fersen, Suleau, redaktor naczelny dowcipnej gazety „Czyny Apostołów” — same oddane serca i gorące głowy, niektóre nawet lekko zwariowane.

Izydor nie znał żadnego z tych młodych ludzi, ale jego nazwisko było dobrze znane, a na widok szczególnej łaskawości, jaką zaszczyciła go księżna, wszystkie ręce wyciągnęły się ku niemu.

Przynosił zresztą wiadomości od tej drugiej Francji żyjącej na obczyźnie. Każdy miał jakiegoś krewnego czy przyjaciela w książęcym otoczeniu, a Izydor spotkał się tam ze wszystkimi, był jakby drugą gazetą.

Pierwszą, jak już powiedzieliśmy, był Suleau.

Suleau wiódł prym w rozmowie i jego słowa wywoływały częste wybuchy śmiechu. Tego dnia obecny był na posiedzeniu Zgromadzenia. Opowiadał, jak na trybunę wszedł doktor Guillotin, wychwalał zalety maszyny, którą wynalazł, zrelacjonował przebieg dokonanej rankiem próby, a także poprosił, aby uczyniono mu zaszczyt zastąpienia tą maszyną wszystkich innych narzędzi śmierci — koła, szubienicy, stosu i ćwiartowania — co kolejno siały grozę na placu de Grève.

Zgromadzenie oczarowane łagodnością działania nowej maszyny skłonne było przyjąć wniosek.

Na temat Zgromadzenia, doktora Guillotina i jego maszyny Suleau ułożył piosenkę na melodię menueta, którego skomponował Exaudet, i nazajutrz miała się ona ukazać w jego gazecie.

Piosenka, którą Suleau nucił półgłosem dla zebranego wokół rozbawionego kręgu, wywoływała tak szczere wybuchy śmiechu, że król wchodząc usłyszał je z przedsionka, a że teraz biedny monarcha śmiał się nieczęsto, postanowił później zapytać, co też w tych smutnych czasach mogło wywołać aż taką wesołość.

Oczywiście ledwie lokaje oznajmili nadejście króla i królowej, wszystkie szepty, rozmowy i śmiechy umilkły i zapanowała pełna szacunku cisza.

Dostojna para weszła.

Im bardziej geniusz rewolucji odzierał królewską godność z majestatu, trzeba przyznać, że tym bardziej w najbliższym otoczeniu króla, wśród prawdziwych rojalistów, wzrastał szacunek, któremu nieszczęścia przydawały nowej siły. Rok 1789 był świadkiem wielu dowodów niewdzięczności, ale rok 1793 objawił przykłady bezgranicznego poświęcenia.

Pani de Lamballe i księżna Elżbieta zajęły się królową.

Brat króla wyszedł monarsze naprzeciw, aby złożyć mu uszanowanie, a pochylając się szepnął:

— Drogi bracie, czy nie można by zorganizować małej partyjki, ty, królowa, ja i jeszcze ktoś zaufany, żeby pod pozorem wista porozmawiać nieco konfidencjonalniej?

— Bardzo chętnie, bracie — odparł król. — Ułóżcie to z królową.

Księżę zbliżył się do Marii Antoniny, witającej się właśnie z baronem de Charny, który szepnął jej cicho:

— Pani, widziałem się właśnie z markizem de Favrasem i chciałbym zakomunikować Jej Królewskiej Mości kilka wiadomości niezmiernie wagi.

— Droga siostró — wtrącił księżę — król chciałby zaaranżować partię wista na cztery osoby, proszę więc wybrać sobie partnera przeciwko nam.

— Świetnie — odparła królowa, która od razu domyśliła się, że gra w wista jest tylko pretekstem — już dokonałam wyboru. Panie baronie de Charny, pan będzie czwartym i podczas gry opowie nam pan nowiny z Turynu.

— O, pan wraca z Turynu, baronie? — zapytał księżę.

— Tak, Wasza Wysokość, a po powrocie byłem już na placu Royale, gdzie spotkałem człowieka niezwykle oddanego królowi, królowej i Waszej Wysokości.

Księżę zaczerwienił się, zakaszłał i odszedł. Był człowiekiem lubiącym niedopowiedzenia i odnoszącym się z rezerwą do wszystkich. Przywołał spojrzeniem pana de Châtre'a, który zaraz podszedł, wysłuchał wydanych szeptem poleceń i oddalił się.

Przez ten czas król witał się z obecnymi i przyjmował hołdy nielicznego grona, arystokratów, którzy nadal bywali na przyjęciach w pałacu Tuileries.

Po chwili podeszła do niego królowa, wzięła go pod rękę i pociągnęła za sobą.

Król podszedł do stolika, szukając wzrokiem czwartego partnera, i dostrzegł Izydora.

— O, pan de Charny! Pod nieobecność brata zasiądzie pan z nami jako czwarty! Nikt nie potrafi go lepiej zastąpić. Witam pana.

I gestem zaprosił królową siadać, następnie sam zajął miejsce, a po nim księżę. Z kolei królowa uczyniła zapraszający gest w stronę Izydora, który usiadł ostatni.

Księżna Elżbieta przyklękła na kozetce za królem, oparta łokciami o poręcz jego fotela.

Podczas dwóch czy trzech rozdań padały tylko sakramentalne słowa związane z grą.

Wreszcie nie przerywając gry, zauważywszy, że wszyscy obecni z szacunkiem trzymają się w pewnej odległości od królewskiego stolika, rozmowę zagaiła królowa.

— Drogi bracie — rzekła zwracając się do księcia — czy wiesz, że baron wraca wprost z Turynu?

— Owszem, wspominał mi o tym.

— Czy powiedział, że księżę d'Artois i księżę de Condé gorąco namawiają, abyśmy się tam udali?

Król wykonał pełen zniecierpliwienia gest.

— Bracie — szepnęła księżna Elżbieta z właściwą sobie anielską wprost cierpliwością.

— I ty także, siostrze? — powiedział król.

— Tak, drogi Ludwiku, bo ja kocham cię przecież bardziej niż ktokolwiek inny i jestem niespokojna.

— Dodałem nawet — zaryzykował wyjaśnienie Izydor — że wracając wstąpiłem na plac Royale i zatrzymałem się blisko godzinę pod numerem dwudziestym pierwszym.

— Pod numerem dwudziestym pierwszym? — zapytał król.

— Pod tym numerem, Sire, mieszka pewien szlachcic równie oddany Waszej Królewskiej Mości jak my wszyscy, gotów umrzeć za króla jak i my, ale który, będąc bardziej energicznym, obmyślił pewien plan.

— Cóż to za plan, mój panie? — zapytał król podnosząc głowę.

— Jeśli podanie pewnych szczegółów tego planu mogłoby wzbudzić niezadowolenie Waszej Królewskiej Mości, wolałbym zamilczeć.

— Nie, nie — wtrąciła żywo królowa — proszę mówić. Dostyc już ludzi snuje plany przeciwko nam, powinniśmy więc wiedzieć, kto zamyśla nam pomoc, aby przebacząc wrogom, zachować wdzięczność wobec przyjaciół. Proszę nam powiedzieć, panie baronie, kim jest ten szlachcic.

— To markiz de Favras, Najjaśniejsza Pani.

— O, przecież go znamy! — powiedziała królowa. — Czy pan wierzy, baronie, że to oddany nam człowiek?

— Nie tylko wierzę, pani, ale jestem tego pewien.

— Ostrożnie, baronie — rzekł król — bo się pan zagalopuje.

— Serce sądzi się sercem. Najjaśniejszy Panie. Odpowiadam za wierność markiza de Favrasa. Jeśli zaś idzie o zalety planu i szansę jego powodzenia, to już inna sprawa. Zbyt jestem młody, a jeśli idzie o ocalenie króla i królowej, także zbyt ostrożny, aby wypowiadać swoje opinie na ten temat.

— A czy orientuję się pan, jak dalece projekt ten jest przygotowany? — zapytała królowa.

— Najjaśniejsza Pani, należy tylko wprowadzić go w życie i jeśli dzisiaj król zechce dać znak, jutro o tej porze będzie w Péronne.

Król milczał. Księżę przebił Bogu ducha winnego waleta kierowego.

— Najjaśniejszy Panie — przerwała ciszę królowa — czy słyszałeś, co przed chwilą powiedział baron?

— Naturalnie, że słyszałem — odparł król marszcząc brwi.

— A księżę? — dodała zwracając się do królewskiego brata.

— Słyszę nie gorzej niż król.

— I cóż o tym sądzisz? To chyba konkretna propozycja?

— Zapewne, zapewne — odrzekł księżę. Po czym zwracając się do Izydora dodał: — Baronie, proszę, zaśpiewaj nam raz jeszcze tę piękną piosenkę.

Izydor powtórzył więc wszystko jeszcze raz:

— Jak już powiedziałem, wystarczy jedno słowo króla, jeden jego znak, a dzięki poczynionym przez pana de Favrasa przygotowaniom, Jego Wysokość znajdzie się w ciągu dwudziestu czterech godzin całkowicie bezpiecznie w swoim mieście Péronne.

— I cóż, bracie — zapytał księżę — czy propozycja barona nie jest kusząca?

Król zwrócił się żywo w stronę brata i utkwivszy w nim wzrok zapytał:

— A jeśli wyjadę, pojedziesz ze mną?

Książę zmienił się na twarzy, policzki mu drżały i nie mógł zapanować nad tym odruchem.

— Ja? — zapytał.

— Tak, ty, bracie — rzekł Ludwik XVI. — Namawiasz mnie do opuszczenia Paryża, więc pytam cię: „Jeśli wyjadę, czy pojedziesz razem ze mną?”

— Ależ ja nic o tym nie wiedziałem — bąknął książę — nie uczyniłem żadnych przygotowań.

— Jak to nic nie wiedziałeś — odparł król — skoro to ty dostarczyłeś pieniądze panu de Favrasowi! Nie uczyniłeś żadnych przygotowań, ale co godzinę informowany jesteś o stanie spisku!

— Spisku?! — powtórzył książę blednąc.

— Oczywiście, że spisku... bo to jest na tyle rzeczywisty spiszek, że jeśli zostanie wykryty, pan de Favras trafi do więzienia, stanie przed trybunałem w Châtelet i zostanie skazany na śmierć... Chyba że dzięki staraniom i pieniądзом uratujesz go, książę, jak myśmy uratowali pana de Besenvala.

— Jeśli król uratował pana de Besenvala, może uczynić to samo dla pana de Favrasa.

— Nie, bo tego, co zdołałem uczynić dla jednego, zapewne nie potrafię zrobić dla drugiego. Zresztą pan de Besenval był moim zaufanym człowiekiem, jak pan de Favras jest twoim. Niech każdy ratuje swojego, bracie, w ten sposób spełnimy swój obowiązek.

I powiedziawszy to król wstał.

Królowa chwyciła go za poję ubrania.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła — winien jednak jesteś odpowiedź panu de Favrasowi, czy to wyrażającą zgodę, czy też odmowną.

— Ja?

— Oczywiście. Co baron de Charny ma mu oświadczyć w imieniu króla?

— Niech mu odpowie — rzekł król uwalniając poję z rąk królowej — niech odpowie, że król nie może dawać przyzwolenia na porwanie go.

I oddalił się.

— Co oznacza — uzupełnił książę — że jeśli markiz de Favras porwie króla bez jego pozwolenia, będzie to mile widziane... pod warunkiem, że mu się uda. Bo ten, co się potknie, jest głupcem, a w polityce głupcy karani są podwójnie!

— Panie baronie — powiedziała królowa — jeszcze dziś wieczór, nie tracąc ani chwili, pobiegiesz do pana de Favrasa i powtórzysz mu słowa króla: „Król nie może dać przyzwolenia na porwanie go.” Do niego należy zrozumieć to, do pana wytłumaczyć... Idź!

Baron, który miał wszelkie podstawy, aby odpowiedź króla i zlecenie królowej uznać za podwójną zgodę, sięgnął po kapelusz, wyszedł szybko i wskakując do stojącego fiakra zawołał:

— Plac Royale dwadzieścia jeden!

XII

CO KRÓLOWA UJRZAŁA W KARAFCE DWADZIEŚCIA LAT WCZEŚNIEJ W ZAMKU TAVERNAY

Wstając od stolika do gry król skierował się ku grupie młodych ludzi, których wesoły śmiech przyciągnął jego uwagę, nim jeszcze wkroczył do salonu. Z chwilą gdy się zbliżył, zapanowała głęboka cisza.

— Cóż to, panowie? — zapytał. — Czy król jest aż tak nieszczęśliwy, że przynosi ze sobą smutek?

— Najjaśniejszy Panie... — szepnęli młodzieńcy.

— Kiedy wchodziłem z królową, panowała tu wielka wesołość i donośne śmiechy. — Po czym kiwając głową dodał: — Biada królom, w których obecności ludzie nie mają odwagi się śmiać.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł pan de Lameth — szacunek...

— Drogi Karolu — przerwał mu król — kiedy w niedziele i czwartki opuszczałeś internat, a ja zapraszałem cię do Wersalu, czy wtedy moja obecność przeszkadzała ci się śmiać? Powiedziałem przed chwilą: „Biada królom, w których obecności ludzie nie mają odwagi się śmiać!” Teraz dodam: „Szczęśliwi ci królowie, wokół których rozbrzmiewa śmiech!”

— Sire — rzekł pan de Castries — chodzi o to, że powód naszej wesołości Najjaśniejszemu Panu wcale nie musi wydać się zabawny.

— O czym więc mówiliście, panowie?

— Najjaśniejszy Panie, oddaję winnego w ręce króla — powiedział Suleau, robiąc krok do przodu.

— Ach, to ty, panie Suleau. Czytałem ostatni numer „Czynów Apostołów”. Strzeż się! Strzeż!

— Czego, Najjaśniejszy Panie? — zapytał miody dziennikarz.

— Jesteś zbyt wielkim rojalistą; łatwo możesz ściągnąć na siebie jakąś biedę ze strony kochanka panny Théroigne.

— Pana Populusa?

— Właśnie. A cóż się stało z bohaterką pańskiego poematu?

— Z panną Théroigne?

— Tak... Ostatnio nic o niej nie słyhać.

— Sire, ona sądzi chyba, że nasza rewolucja postępuje zbyt wolno, dlatego pojechała przyspieszyć tę w Brabancie. Wasza Królewska Mość wie zapewne, że ta dziewczyna amazonka pochodzi z Liège?

— Nie, nie wiedziałem... Czy to ona była powodem waszego śmiechu?

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Chodziło o Zgromadzenie Narodowe.

— Och, moi panowie! Dobrze więc zrobiliście przybierając powagę na mój widok. Nie pozwolę, aby u mnie szadzono ze Zgromadzenia Narodowego. Wprawdzie — dodał, wycofując się jakby — nie jestem u siebie, lecz u księżnej de Lamballe... Zatem nie śmiejąc się lub ściszywszy śmiech, możecie mi powiedzieć, co było powodem tak wielkiej wesołości.

— Czy Jego Wysokość wie, o czym dziś była mowa na posiedzeniu Zgromadzenia?

— Tak, i to mnie nawet bardzo zainteresowało. Chodziło, zdaje się, o jakąś nową maszynę do wykonywania wyroków śmierci na zbrodniarzach?

— Tak, doktor Guillotin złożył ją w darze narodowi — potwierdził Suleau.

— Och, panie Suleau, i wyście szydzili z filantropa pana Guillotina? Czyżbyście zapomnieli, że ja także jestem filantropem?

— Najjaśniejszy Panie, są różne rodzaje filantropii. Na czele francuskiego narodu stoi na przykład filantrop, który zniósł wstępne tortury. Tego filantropa szanujemy, czcimy, a nawet więcej — Kochamy, Sire.

Wszyscy młodzieńcy jednocześnie skłonili się przed królem.

— Są jednak inni — ciągnął Suleau — co będąc lekarzami i rozporządzając tysiącem lepszych lub gorszych metod uśmiercania chorych, szukają jeszcze sposobów, aby uśmiercać zdrowych. Więc, dalibóg, Najjaśniejszy Panie, tych proszę mnie pozostawić.

— A cóż pan z nimi uczyni, panie Suleau? Czy „bezboleśnie” zetniesz im głowę? — zapytał król, czyniąc aluzję do oświadczeń doktora Guillotina. — Czy czują jedynie „lekką świeżość” na szyi?

— Najjaśniejszy Panie, tego im właśnie życzę — odrzekł Suleau — ale nie mogę im tego obiecać.

— Jak to życzysz im tego? — zdziwił się król.

— Tak, Sire, lubię, kiedy wynalazcy nowych maszyn zaczynają próby od siebie. Nie współczuję specjalnie burmistrzowi Aubriotowi, że wycierał mury Bastylli, ani też jaśnie panu Enguerrandowi de Marigny, że inaugurował szubienicę w Montfaucon. Niestety, nie jestem królem, a na szczęście nie jestem sędzią, bardzo więc prawdopodobne, że wobec czcigodnego pana de Guillotina będę musiał poprzestać na obietnicy, jaką mu uczyniłem i którą zacząłem już spełniać.

— A cóż takiego obiecałeś, a raczej już spełniłeś?

— Przyszło mi na myśl, Najjaśniejszy Panie, że ten wielki dobroczyńca ludzkości powinien czerpać swą nagrodę z samego dobrodziejstwa. Otóż jutro rano, w drukowanym dziś w nocy numerze „Czynów Apostołów”, odbędzie się chrzciny. Słusznym jest, aby córka pana Guillotina, którą dzisiaj publicznie uznał wobec Zgromadzenia Narodowego, nosiła imię Gilotyna.

Nawet król nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

— A ponieważ — dorzucił Karol Lemeth — nie może być wesela ani chrzciny bez piosenki, pan Suleau napisał o swojej chrześniaczce aż dwie.

— Aż dwie! — zawołał król.

— Najjaśniejszy Panie, trzeba zaspokoić wszystkie gusta.

— A na jaką melodię są te piosenki? Stosowna by tu była tylko muzyka *De profundis*.

— Skądże znowu, Sire! Wasza Królewska Mość zapomina, jaką przyjemnością jest stracić głowę z pomocą panny Gilotyny... Ludzie będą niemal tłoczy się w ogonku! Nie, Sire, jedną z moich piosenek śpiewa się na bardzo modną melodię menueta André Josepha Exaudeta; druga jest składanką, pasuje do różnych melodii.

— A czy można by posłuchać próbki pańskiej poezji, Suleau? — zapytał król.

Suleau skłonił się tylko.

— Nie jestem ze Zgromadzenia Narodowego — powiedział — więc nie uzurpuję sobie prawa ograniczania władzy królewskiej. Jestem wiernym poddanym Waszej Królewskiej Mości i moim zdaniem król może czynić wszystko, co zechce.

— Zatem słucham.

— Sire — rzekł Suleau — jestem posłuszny.

I na melodię wspomnianego menueta zanucił półgłosem następującą piosenkę:

*Guillotin,
Eskulap*

*Polityczny,
Pewnego ranka uznał,
Że wieszać to czyn niehumaniczny
I mało patriotyczny.
Natychmiast,
Już, od razu,
Zaprzagnął
Katuszy bez sznura i słupa,
A także bez kata
Urzędu.
Próżno więc głoszą,
Że zawisać to zwykła
Zwolennika
Hipokratesa
Bandy,
Co puszy się wielce,
Że każdego bezkarnie,
Zabija.
Sprawiedliwy
Guillotin
Szykuje się,
Fachowców rozpytuje,
Barnave'a i Chapeliera,
Nawet kata wysłuchuje;
I spod jego ręki
Nowa wychodzi
Maszyna,
Co nas po prostu zarzyną,
A imię jej brzmi:
Gilotyna!*

Śmiechy młodych ludzi wzmogły się. Królowi wszystko to nie wydało się nazbyt wesołe, ale przez wzgląd na pana Suleau, jednego z ludzi najbardziej mu oddanych, nie chciał zdradzić dziwnego uczucia, jakie go ogarnęło i które nie w pełni sobie uświadamiał.

— Drogi panie Suleau, mówił pan o dwóch piosenkach. Ojciec chrzestny już był, przejdźmy więc do matki chrzestnej.

— Najjaśniejszy Panie — odparł Suleau — matka chrzestna będzie miała zaszczyt być przedstawiona Waszej Królewskiej Mości. Oto ona, śpiewa się na melodię *Paryż należy do króla*.

*Wielki lekarz
Pan Guillotin,
Co miłością bliźniego
Pała nieprzerwanie,
Z tłumy występuje
I mowę szykuje.
Z dobrotliwą miną
Drobiazg*

*Proponuje,
Który w kilku
Wyklada słowach.
Ale przemowy
Tej emfaza
Zyskuje sześciu głupców
Huczne brawa.
„Panowie, w swej mądrości
Przecież orzekliście,
Że wszelkie ludzkie słabości
Podlegają prawu równości.
Jeśli mnie wysłuchać raczycie,
Łatwo zyskacie przekonanie,
Że okrutnie nie tylko wieszać,
Przykro też być wieszanym.
Co uczynić wypada,
Gdy obywatel uczciwy
W szale gniewu srogiego
Zabije bliźniego swego?
Co wtedy uczynić?
Marząc sobie w cichości,
By was wybawić z kłopotu,
Wymyśliłem maszynę,
Która o głowę skraca!
Zanim się spostrzeże,
Człowiek cios obrywa;
Nic nie dojrzy nawet,
Bo nic tu nie widać.
Pewna ukryta sprężyna
Nagle działać zaczyna
I już spada!
Bum! Bum!
I już skacze!
Hop! Hop!
I już spada,
Już skacze,
Już leci...
Głowa!... To o wiele uczciwsze!”*

— I cóż, śmiejecie się, panowie — powiedział król. — A może jednak przeznaczeniem maszyny pana Guillotina jest zmniejszenie straszliwych cierpień nieszczęsnych skazańców? Czego żąda społeczeństwo domagając się śmierci winnego? Po prostu i zwyczajnie usunięcia tej jednostki. Jeśli temu usunięciu towarzyszy cierpienie, jak przy łamaniu kołem lub ćwiartowaniu, przestaje to już być sprawiedliwością, a staje się zemstą.

— Najjaśniejszy Panie — wtrącił Suleau — skąd jednak pewność, że odcięcie głowy eliminuje cierpienie? Kto stwierdził, iż życie nie może przetrwać w każdej z rozdzielonych części ciała, a umierający nie cierpi podwójnie, mając na dodatek świadomość swojej dwoistości?

— Tę kwestię winni rozstrzygnąć znawcy. Zresztą, jeśli się nie mylę, miano przeprowadzić doświadczenie, i to dziś rano w Bicêtre. Nikt z panów nie był obecny podczas tej próby?

— O nie, Najjaśniejszy Panie! Nie! Nie! — rozległo się równocześnie kilkanaście szyderczych głosów.

— Ja tam byłem, Najjaśniejszy Panie — dał się słyszeć pełen powagi głos.

Król odwrócił się i poznał Gilberta, który wszedł podczas tej dyskusji, zbliżył się pełen szacunku i dotąd milczał, a odpowiedział dopiero na królewskie pytanie.

— Ach, to pan, doktorze! — rzekł król drżąc całym. — Więc pan tam był?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— I jak udał się eksperyment?

— Doskonale w dwóch pierwszych przypadkach, przy trzecim jednak, choć kręgosłup został przecięty, głowę w końcu trzeba było oddzielić nożem.

Młodzi słuchali z otwartymi ustami i błędnym wzrokiem.

— Jak to, Najjaśniejszy Panie — zapytał Karol Lameth, wyraźnie przemawiając w imieniu pozostałych — więc dzisiaj rano wykonano wyrok na trzech skazańcach?

— Tak — odrzekł król — ale to były trzy trupy dostarczone ze szpitala Hôtel-Dieu. I jaka jest pańska opinia, doktorze?

— O czym, Najjaśniejszy Panie?

— O tym instrumencie.

— Stanowi niewątpliwy postęp w porównaniu z innymi tego typu maszynami, ale incydent przy trzecim trupie dowodzi, że urządzenie wymaga ulepszenia.

— Jak skonstruowana jest ta maszyna? — zapytał król, w którym obudziła się pasja mechanika.

Gilbert zaczął więc rzecz wyjaśniać, ale ze słów doktora król nie zdołał uchwycić dokładnie kształtu urządzenia, powiedział więc:

— Chodź, doktorze, na stole są pióra, inkaust i papier... Pan, zdaje się, umie rysować?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem zrób szkic, abym mógł lepiej zrozumieć. Szacunek dla osoby króla nie pozwolił młodzieńcom przyłączyć się bez zaproszenia, ale Ludwik XVI rzekł do nich:

— Chodźcie, chodźcie, panowie, te kwestie interesują całą ludzkość.

— Zresztą — mruknął półgłosem Suleau — nie wiadomo, czy któremuś z nas nie przypadnie zaszczyt poślubienia panny Gilotyny. Chodźcie, panowie, zawrzyjmy znajomość z naszą narzeczoną.

I podążając za królem i doktorem wszyscy skupili się wokół stołu, przy którym na zaproszenie króla zasiadł Gilbert, aby mu było wygodniej rysować.

Gilbert zaczął szkicować maszynę, a Ludwik XVI śledził uważnie każdą nakreśloną linię.

Niczego nie brakowało, ani podwyższenia, ani wiodących doń schodków, ani słupów czy przeciwwagi, ani też otworu i wyciętego w kształt półksiężyca ostrza.

Ledwie Gilbert ukończył ten ostatni szczegół rysunku, król zawołał:

— Do diaska! Nic dziwnego, że doświadczenie się nie udało, zwłaszcza za trzecim razem.

— Dlaczego, Sire? — zapytał Gilbert.

— Wszystko zależy od kształtu noża — rzekł Ludwik XVI. — Trzeba nie mieć najmniejszego wyobrażenia o mechanice, żeby przedmiotowi przeznaczonemu do przecinania materii stawiającej opór nadać kształt półksiężyca.

— A Wasza Królewska Mość jaką formę by mu nadał?

— To proste, kształt trójkąta. Gilbert próbował poprawić rysunek.

— Nie, nie tak, nie tak — wtrącił król. — Niech pan mi da pióro.

— Najjaśniejszy Panie, oto pióro i krzesło — rzekł z ukłonem Gilbert.

— Chwileczkę, chwileczkę — powiedział król ogarnięty swoim zamięłowaniem do mechaniki.

— O tak... nadajcie ostrzu ukośny kształt, w ten sposób... a zaręczam, że zetniecie po kolei dwadzieścia pięć głów, a nóż nie utknie ani razu.

Ledwie wyrzekł te słowa, gdy za jego plecami rozległ się pełen przerażenia i rozpaczny krzyk.

Odwrócił się gwałtownie i ujrzał, jak królowa, blada, słaniająca się, przerażona pada bez zmysłów w ramiona Gilberta.

Jak wszyscy wiedziona ciekawością podeszła do stołu i nachyliwszy się nad królem dojrzała przez jego ramię rysunek właśnie w chwili, gdy poprawiał najważniejszy szczegół, i natychmiast rozpoznała straszliwy przyrząd, który przed dwudziestu laty w zamku Tavernay–Maison–Rouge ukazał jej Cagliostro.

Na ten widok krzyknęła tylko przeraźliwie i jakby spadło na nią ostrze straszliwej maszyny, osunęła się bez życia, jak to już powiedzieliśmy, w ramiona Gilberta.

XIII

LEKARZ CIAŁA I LEKARZ DUSZY

Po takim wydarzeniu przyjęcie zostało oczywiście zakończone. Choć nikt nie znał przyczyn zdarzenia, fakt pozostawał faktem.

Ujrawszy rysunek Gilberta poprawiony przez króla, królowej wyrwał się straszliwy krzyk i zemdląca.

Wiadomość ta obiegła grupki gości i wszyscy, którzy nie należeli do rodziny, czy choćby do najbliższego otoczenia królewskiej pary, oddalili się.

Pierwszej pomocy udzielił królowej Gilbert.

Pani de Lamballe nie pozwoliła, aby przeniesiono królową do jej apartamentów. Byłoby to zresztą trudne, bowiem księżna de Lamballe mieszkała w pawilonie Flory, królowa zaś w pawilonie Marsan, które dzieliła od siebie cała długość pałacu.

Dostojną chorą ułożono zatem na szezlongu w sypialni księżnej. Ta z intuicją właściwą kobietom odgadła, że sprawa kryje jakąś ponurą tajemnicę, oddaliła więc wszystkich, nawet króla, i stojąc u wezłowania królowej z troskliwym zaniepokojeniem czekała, aby dzięki staraniom doktora Gilberta królowa odzyskała przytomność.

Tylko od czasu do czasu rzucała jakieś pytanie doktorowi, lecz on, bezsilny, nie mógł przyspieszyć chwili powrotu czucia, i uspokajał tylko księżną zdawkowymi zapewnieniami.

W istocie, gwałtowność wstrząsu zadanego systemowi nerwowemu nieszczęsnej kobiety była tak wielka, że przez dłuższą chwilę ani nacieranie skroni, ani waczenie soli trzeźwiących nie przynosiło żadnego skutku; wreszcie lekkie skurcze kończyn stały się wskazówką, że powraca czucie. Królowa wolno poruszyła głowę jak w ciężkim i przykrym śnie, westchnęła i otwarła oczy.

Oczywistym jednak było, że życie powróciło do ciała, nim obudziła się świadomość; toteż przez kilka sekund wodziła po pokoju mętnym wzrokiem, jak osoba, która nie wie, gdzie się znajduje ani co się wydarzyło; niebawem przecież całe jej ciało przebiegł dreszcz, wydała słaby okrzyk i zasłoniła dłonią oczy, jakby skrywając przed nimi jakiś straszny widok.

Przypomniała sobie wszystko.

Atak nerwowy wszelako minął! Gilbert, który nie wątpił, że przyczyną szoku był jakiś wewnętrzny wstrząs, a wiedział, jak mały wpływ na tego rodzaju przypadki ma medycyna, zamierzał się wycofać. Ledwie jednak uczynił krok, królowa, jakby wiedziona wewnętrznym widzeniem, odgadła jego zamiary, wyciągnęła dłoń i chwyciła go za ramię, a głosem równie nerwowym jak towarzyszący mu gest powiedziała:

— Niech pan zostanie.

Gilbert przystanął zdumiony. Wiedział, jak mało sympatii żywi doń królowa, ale zarazem czuł, iż wywiera na nią dziwny, niemal magnetyczny wpływ.

— Jestem na rozkazy królowej — rzekł — ale należałoby chyba uspokoić króla i osoby pozostałe w salonie... Jeśli więc Wasza Królewska Mość pozwoli...

— Tereso — zwróciła się królowa do księżnej de Lamballe — idź i powiedz królowi, że odzyskałam przytomność, a potem czuwaj, aby nikt mi nie przeszkadzał: muszę porozmawiać z doktorem Gilbertem.

Księżna wykonała polecenie z bierną łagodnością, która stanowiła główną cechę jej charakteru, a nawet fizjonomii.

Wsparta na łokciu królowa odprowadziła ją wzrokiem, odczekała chwilę, jakby chciała dać jej czas na wykonanie polecenia, a widząc, że zostało wykonane i dzięki czujności księżnej de Lamballe może swobodnie porozmawiać z doktorem, zwróciła się w jego stronę i patrząc mu prosto w oczy rzekła:

— Doktorze, czy nie dziwi pana, że prawie zawsze przypadek sprowadza go do mnie, gdy przeżywam jakiś kryzys fizyczny albo psychiczny?

— Niestety, pani — odrzekł Gilbert — nie wiem, czy mam być wdzięczny przypadkowi, czy też się nań skarżyć.

— Czemuż to, panie?

— Bo umiem na tyle czytać w sercach, aby dostrzec, że tego nie powoduje ani wola, ani życzenie Waszej Królewskiej Mości.

— Dlatego też powiedziałam przypadek... Wiesz przecież, że jestem szczerą. A jednak, doktorze, w okolicznościach, które ostatnio kazały nam działać zgodnie, okazał mi pan prawdziwe poświęcenie. Nie zapomnę tego i dziękuję.

Gilbert skłonił się.

Królowa obserwowała bacznie jego ruchy i wyraz twarzy.

— Ja także jestem fizjognomistką — rzekła. — Czy pan wie, co mi powiedział, nie mówiąc słowa?

— Najjaśniejsza Pani, byłbym zrozpaczony, gdyby moje milczenie wyrażało mniejszy szacunek niż moje słowa.

— Odpowiedział pan: „Królowa mi podziękowała, a więc sprawa załatwiona, przejdźmy do następnej”.

— W każdym razie odczułem pragnienie, aby Wasza Królewska Mość wystawiła na próbę moje oddanie, które mogłem okazać bardziej skutecznie niż dotąd. Może stąd wyraz niecierpliwego pragnienia, jaki królowa dostrzegła w moich rysach.

— Panie Gilberte — rzekła królowa wpatrując się w doktora — jesteś człowiekiem wyjątkowym i przyznaję się do winy: żywiłam wobec ciebie uprzedzenia, ale te zniknęły.

— Niech Wasza Królewska Mość pozwoli mi złożyć płynące z głębi serca podziękowanie nie za komplement, jaki raczyła wyrzec, lecz za zapewnienie, którego łaskawie udzieliła.

— Doktorze — podjęła królowa, jakby to, co zamierzała wyrazić, łączyło się naturalnie z wypowiedzianymi już słowami — co sądzisz o tym, co mi się zdarzyło?

— Pani — odparł Gilbert — jestem człowiekiem nauki, kieruję się kategoriami rzeczywistymi, zechciej zatem postawić pytanie w bardziej precyzyjny sposób.

— Pytam więc, doktorze, czy pańskim zdaniem moje omdlenie spowodował jeden z owych ataków nerwowych, jakim podlegają biedne kobiety z racji słabości swojego organizmu, czy też przypisuje pan ten przypadek jakiejś innej poważniejszej przyczynie?

— Odpowiem Waszej Królewskiej Mości, że córka Marii Teresy, a także osoba, która okazała tyle spokoju i odwagi w nocy z 5 na 6 października, nie jest zwykłą kobietą, a zatem nie może ulegać przypadłościom będącym udziałem zwykłych niewiast.

— Ma pan słusność, doktorze. A czy wierzy pan w przeczucia?

— Nauka odrzuca wszelkie zjawiska, stojące w sprzeczności z materialnym stanem rzeczy, zdarzają się jednak fakty, które zaprzeczają nauce.

— Powinnaś była zapytać: czy wierzysz w przepowiednie?

— Sądzę, że Najwyższe Dobro dla naszego własnego pożytku okryło przyszłość nieprzeniknioną zasłoną. Pewne umysły, obdarzone przez naturę niezwykłą, matematyczną dokładnością rozumowania, zagłębiając się w studia przeszłości mogą niekiedy unieść nieco rąbka tej zasłony i jak przez mgłę dostrzec przyszłe wydarzenia. Ale to rzadkie wyjątki i odkąd

religia odrzuciła fatalizm, a filozofia nakreśliła granice wiary, prorocy niemal całkiem utracili swoją magiczną moc. A jednak... — dodał po chwili.

— Jednak co? — nalegała królowa widząc, że zamyślony umilkł.

— A jednak, pani — podjął jakby z wysiłkiem, trudno mu było bowiem poruszać temat, który jego własny rozum zaliczał do dziedziny rzeczy wątpliwych — a jednak jest pewien człowiek...

— Pewien człowiek... — powtórzyła królowa z zapartym tchem wsłuchując się w słowa Gilberta.

— Jest człowiek, który kilkakrotnie za pomocą niezaprzeczalnych faktów zbił argumenty mego umysłu.

— A tym człowiekiem jest...

— Nie śmiej wyrzec jego nazwiska w obecności Najjaśniejszej Pani.

— Ten człowiek to pański mistrz, prawda, doktorze? Wszechmocny, nieśmiertelny, boski Cagliostro!

— Pani, moim jedynym, wyłącznym i prawdziwym mistrzem jest natura. Cagliostro to tylko mój wybawca. Kiedy leżałem z raną po kuli, która przeszła mi pierś, a będąc lekarzem i mając za sobą dwadzieścia lat studiów wiedziałem, że taka rana nie może się zagoić, on mnie uleczył w kilka dni jakimś balsamem, którego składników nie znam. Stąd moja wdzięczność, a nawet podziw.

— I ten człowiek przepowiedział panu coś, co się sprawdziło?

— Wiele rzeczy niesamowitych i niewiarygodnych. Ten człowiek porusza się w teraźniejszości z taką pewnością, jakby znał przyszłość.

— Słowem, uwierzyłby pan, gdyby człowiek ten osobiście coś panu przepowiedział?

— Zapewne działałbym tak, jakby przepowiednia owa mogła się spełnić.

— Gdyby więc przepowiedział mu przedwczesną, straszną, hańbiącą śmierć, pan by się do tej śmierci przygotowywał?

— Ale przedtem, pani — rzekł Gilbert patrząc z powagą na królową — zrobiłbym wszystko, aby tej śmierci uniknąć.

— Uniknąć? Nie, doktorze, nie! Widzę, że jestem skazana. Ta rewolucja to przepaść, która pochłonie tron, a lud to lew, który mnie pożre.

— O pani — rzekł Gilbert — tylko od ciebie zależy, aby lew, co tak cię przeraża, ułożył się u twoich stóp łagodny jak baranek.

— Czyś go pan nie widział w Wersalu?

— Pani, czyś go nie widziała w Tuileryach? To ocean, który nieustannie bije o stojącą mu na drodze skałę, póki jej nie obali, ale niby czuła piastunka kołysze łódź, która mu zawierzy.

— Doktorze, między tym ludem a mną od dawna wszystko zostało zerwane: on mnie nienawidzi, a ja nim gardzę!

— Bo naprawdę nie znacie się wzajemnie. Przestań, pani, być dla tego ludu królową, a stań się matką; zapomnij, żeś córką zawsze wrogiej nam Marii Teresy i siostrą Józefa II, nieszczerego przyjaciela Francji. Stali się Francuzką, a usłyszysz głos tego ludu, który się wzniesie błogosławiąc cię, i ujrzysz jego ramiona wyciągnięte ku tobie, by cię przytulić.

Maria Antonina wzruszyła ramionami.

— Tak, wiem... wczoraj błogosławił, dzisiaj tuli, a jutro zadusi tych, których dopiero co błogosławił i tulił.

— Bo czuje w nich opór przeciwko swojej woli, nienawiść, jaką odpłacają mu za jego miłość.

— A czy on sam wie, co kocha, a co nienawidzi, ten lud, ów niszczycielski żywioł? Niszczycielski zarazem jak wiatr, woda i ogień, a kapryśny niczym kobieta!

— Bo patrzysz nań z brzegu, jak wędrowiec spoglądający z urwiska na ocean, który zbliża się i cofa bez widomych powodów; rozpryskuje u twoich stóp pianę i rzuca skargi, które tobie, pani, wydają się wyciem. Nie tak go trzeba widzieć! Trzeba go ujrzyć natchnionym przez Ducha Świętego, który unosi się nad wielkimi wodami. Trzeba go widzieć tak, jak widzi go Bóg — jako lud zmierzający do jedności i rozbijający wszystko, co stanowi przeszkodę w drodze do tego celu. Jesteś, pani, królową Francuzów, ale nie wiesz, co się dzisiaj dzieje we Francji. Unieś zasłonę, co wszystko przesłania, a wtedy zamiast obawy odczujesz podziw!

— A cóż takiego pięknego, wspaniałego i cudownego zobaczę?

— Ujrzysz, pani, jak na gruzach starego powstaje nowy świat. Ujrzysz kolebkę przyszłej Francji, co niby kolebka Mojżesza unosi się na wodach rzeki szerszej od Nilu, szerszej niż Morze Śródziemne, szerszej niż ocean... Niech Bóg cię strzeże, kolebko! Niech ma cię w swojej opiece, o Francjo!

I Gilbert, choć niełatwo dawał się ponieść entuzjazmowi, wznosił ramiona i oczy ku niebu.

Królowa śledziła go zdumiona, nic nie pojmując.

— A dokąd dopłynie ta kolebka? — zapytała. — Czy do Zgromadzenia Narodowego, tego zbiorowiska kłótników, niszczycieli, krzykaczy? Czy to stara Francja ma prowadzić nową? Żalona to matka dla tak ślicznego dziecka, panie Gilbert.

— Nie, pani, ziemia, do której pewnego dnia, dziś, jutro czy pojutrze, dobije kolebka, ta nie znana jeszcze dotąd ziemia zwie się OJCZYŻNA. Tam lud odnajdzie wolność — dzielną piastunkę, której narody zawdzięczają siłę.

— Och, to tylko wielkie słowa — rzekła królowa — sądziłam, że nadużywanie dawno je zabiło.

— Nie, pani, to wielkie sprawy! Popatrz na Francję w tej chwili, kiedy wszystko jest już zniszczone, a nic jeszcze nie odbudowane; kiedy kraj nie ma przepisowych władz, ledwie wyznaczone departamenty; kiedy nie ma ustaw, ale ustanawia własne prawa; patrz, jak śmiało i zdecydowanie przekracza kładkę, wiodącą z jednego świata w inny, ten wąski most przerzucony ponad przepaścią; przez ten most, wąski jak most Mahometa, przechodzi bez potknięcia... Dokąd zmierza ta dawna Francja? Do jedności ojczyzny! Wszystko, co dotąd wydawało się trudne, uciążliwe, niemożliwe do pokonania, stało się nie tylko możliwe, ale nawet łatwe. Prowincje były zbiorami różnorodnych przesądów, sprzecznych interesów, odrębnych dziejów; nikt nie wierzył, że cokolwiek zdoła zapanować nad tymi dwudziestoma pięcioma czy trzydziestoma różnymi narodowościami, co odrzucały wspólną narodowość. Czy dawna Langwedocja, Tuluza, Bretania zechcą zmienić się w Normandię, Burgundię czy Delfinat? Nie, pani, ale wszystkie utworzą Francję. Dlaczego tak upierały się przy swoich prawach, ustawach i przywilejach? Bo nie miały ojczyzny. Otóż teraz, mówię ci to, pani, objawiła się im ojczyzna, może daleka jeszcze w przyszłości, lecz dostrzegli ją, nieśmiertelną i płodną matkę, która z otwartymi ramionami przyzywa do siebie swoje samotne i zagubione dzieci; ta, co ich woła, to ich wspólna matka; pełni pokory uważali się za Prowansalczyków, Bretończyków, Normandczyków, Burgundczyków, ale mylili się wszyscy: byli Francuzami!

— Słuchając pana, doktorze — rzekła królowa z lekką ironią w głosie — można by pomyśleć, że Francja, stara Francja, najstarsza córka Kościoła, jak ją nazywali papieże od IX wieku, istnieje dopiero od wczoraj.

— Pani, w tym właśnie tkwi cud, bo przedtem była Francja, a dziś są Francuzi; i to nie tylko Francuzi, ale bracia idący ręką w rękę. O mój Boże, ludzie nie są tak źli, jak by się wydawało: próbują stworzyć społeczność. Aby ich rozdzielić, by nie dopuścić do zbliżenia, potrzeba było tysięcy sprzecznych z naturą wynalazków: wewnętrznych ceł, niezliczonych myt, szlabanów na drogach, przepraw na rzekach, różnorodnych przepisów i ustaw, różnych miar i wag; rywalizacji

między dzielnicami, prowincjami, miastami i miasteczkami. I pewnego dnia nadchodzi trzęsienie ziemi, które chwieje tronem, obala wszystkie te stare mury i znosi dawne przeszkody. Ludzie wtedy dostrzegają sami siebie na tle nieba, w łagodnym i ciepłym blasku słońca, które zapładnia nie tylko ziemię, ale także serca; braterstwo wyrasta niby święte żniwo i nawet wrogowie, zdumieni, że tak długo rządziła nimi nienawiść, idą ku sobie przyjaźnie z otwartymi ramionami. I nie czynią tego z rozkazu czy polecenia. Ten wzbierający wciąż przypyływ zalewa góry i rzeki, geografia przestaje istnieć, akcenty mowy są jeszcze różne, lecz język ten sam, a wspólny hymn, który śpiewa trzydzieści milionów Francuzów, składa się z kilku słów: *Chwalmy Boga, który dał nam ojczyznę!*

— Dokąd właściwie zmierzasz, doktorze? Czy chcesz mnie uspokoić obrazem tej powszechnej federacji trzydziestu milionów ludzi zbuntowanych przeciwko ich królowi i królowej?

— Jakże się mylisz, o pani! — zawołał Gilbert. — To nie lud jest buntownikiem wobec króla i królowej, ale to oni buntują się przeciwko swemu ludowi, bo nadal przemawiają językiem przywilejów i interesów królestwa, gdy wokół rozbrzmiewa mowa braterstwa i poświęcenia. Gdybyś spojrzała na któryś z improwizowanych obchodów, prawie zawsze ujrzałabyś pośród wielkiej równiny lub na szczycie wzgórza ołtarz równie czysty jak ołtarz Abla, a na tym ołtarzu małą dziewczynę, którą wszyscy uznają za własną i która obsypana ich życzeniami, darami i łzami staje się wspólnym dzieckiem. Pani, otóż Francja, ta wczoraj narodzona Francja, o której mówię, jest właśnie owym dzieckiem, tylko że wokół ołtarza grupują się już nie miasta i wsie, ale ludy i narody. Francja to Chrystus, który przyszedł na świat w stajence pośród prostaczków dla zbawienia świata, a ludy radują się z jego przyjścia, czekając, aż królowie padną przed nim na kolana i przyniosą dary... Włochy,

Polska, Irlandia, Hiszpania spoglądają na to wczoraj narodzone dziecko, które niesie im przyszłość, i ze łzami w oczach wyciągają doń skute łańcuchami ręce z wołaniem: „Francjo, Francjo! W tobie nasza wolność!” O pani, pani, jeszcze nie jest za późno — mówił Gilbert — weź z ołtarza to dziecko i zostań jego matką!

— Doktorze — odparła królowa — zapominasz, że mam inne dzieci, że mnie zrodzone, a czyniąc tak jak powiadasz, wydziedziczyłabym je dla obcego dziecka.

— Jeśli tak jest — rzekł Gilbert z głębokim smutkiem — otul, pani, własne dzieci w swój królewski płaszcz, w wojenną opończę Marii Teresy, i zabierz je z sobą poza granice Francji. Powiedziałaś bowiem prawdę, lud cię pożre, a wraz z tobą i dzieci. Ale nie ma już czasu do stracenia, więc spiesz się, pani!

— A pan nie sprzeciwia się temu wyjazdowi, doktorze?

— Bynajmniej — odparł Gilbert. — Teraz, kiedy znam twoje prawdziwe zamiary, dopomogę ci w tym, pani.

— Cudownie się składa, bo pewien nasz przyjaciel gotów jest działać, poświęcić się, a nawet umrzeć za nas!

— Och, pani — powiedział przerażony Gilbert — czy tym przyjacielem nie jest pan de Favras?

— Któż ci zdradził jego nazwisko? Kto odkrył jego zamiary?

— Pani, miej się na baczności! Nad tym człowiekiem też wisi straszliwa przepowiednia!

— Pochodząca od tego samego proroka?

— Jak zawsze, pani.

— Według tego proroka, jaki los czeka markiza?

— Przedwczesna śmierć, straszliwa i hańbiąca, jak ta, o której przedtem wspominałaś, pani.

— A zatem mówiłeś prawdę, nie ma czasu do stracenia, by zadać kłam temu złowrogiemu prorokowi!

— Zawiadomisz, pani, markiza de Favrasa, że przyjmujesz jego pomoc?

— Ktoś jest właśnie u niego i czekam na odpowiedź.

W tej właśnie chwili gdy Gilbert, sam przerażony okolicznościami, w jakie został wplątany, ukrył twarz w dłoniach, by zebrać myśli, weszła księżna de Lamballe i cicho szepnęła coś królowej.

— Niech wejdzie! Niech wejdzie! — zawołała królowa. — Doktor wie o wszystkim. Doktorze — mówiła dalej — to pan Izydor de Charny przynosi mi odpowiedź markiza de Favrasa. Jutro królowa opuści Paryż, pojutrze będziemy poza granicami Francji. Niech pan wejdzie, baronie... Wielki Boże, co się stało? Czemu pan jest taki błady?

— Księżna powiedziała, że mogę mówić w obecności doktora Gilberta, czy tak? — zapytał Izydor.

— Tak, tak, powiedziała prawdę, mów. Widział pan markiza de Favrasa?... Czy markiz jest gotów?... Przyjmujemy jego propozycję... opuścimy Paryż, wyjedziemy z Francji...

— Przed godziną markiz de Favras został aresztowany na ulicy Beaurepaire i zaprowadzony do Châtelet — powiedział Izydor.

Błyszczące, pełne rozpaczy i gniewu spojrzenie królowej skrzyżowało się ze wzrokiem Gilberta.

Ale cała siła Marii Antoniny wyładowała się jakby w tym błysku.

Gilbert zbliżył się do niej i z akcentem głębokiej litości zapytał:

— Pani, czy mogę jej w czymś pomóc? Proszę mną rozporządzać: własny rozum, przywiązanie i życie, wszystko składam u twoich stóp.

Królowa wolno przeniosła wzrok na doktora, po czym cichym i pełnym rezygnacji głosem rzekła:

— Panie Gilbert, jesteś człowiekiem uczonym, a dziś rano asystowałeś przy eksperymencie... czy pańskim zdaniem śmierć zadana tą straszliwą machiną jest rzeczywiście tak łagodna, jak utrzymuje wynalazca?

Gilbert westchnął i zakrył twarz dłonią.

W tym samym czasie brat króla, który wiedział o wszystkim, o czym chciał wiedzieć, bowiem wieść o aresztowaniu markiza de Favrasa w ciągu kilku sekund obiegła pałac, pospiesznie zażądał powozu i zamierzał odjechać nie troszcząc się o zdrowie Królowej, a także bez pożegnania z królem.

Ludwik XVI zastąpił mu drogę.

— Mój bracie — rzekł — chyba aż tak się nie spieszysz z powrotem do pałacu Luksemburskiego, abyś nie mógł udzielić mi rady? Co powinienem uczynić, twoim zdaniem?

— Pytasz, co uczyniłbym na twoim miejscu?

— Tak.

— Pozostawiłbym pana de Favrasa jego losowi i zaprzysiągłbym wierność Konstytucji.

— Jak mogę składać przysięgę na wierność Konstytucji, skoro nie została jeszcze uchwalona?

— Właśnie dlatego, bracie — rzekł książę rzucając spojrzenie pełne chytryści i fałszu. — To jeszcze jeden powód, by nie czuć się zobowiązanym do dotrzymania przysięgi.

Król zamyślił się chwilę.

— Niech i tak będzie — szepnął. — To mi nie przeszkadza napisać do pana Bouillé, że nasz plan jest wciąż aktualny, tylko termin został odroczone. Opóźnienie pozwoli hrabiemu de Charny dokładnie przestudiować drogę, którą mamy pojechać.

XIV

KSIĄŻĘ WYPIERA SIĘ MARKIZA DE FAVRASA, A KRÓL PRZYSIĘGA NA KONSTYTUCJĘ

Nazajutrz po aresztowaniu markiza de Favrasa po Paryżu krążyła taka oto dziwna ulotka:

Markiz de Favras (plac Royale) aresztowany został wraz z małżonką w nocy z 24 na 25 za organizowanie buntu wśród trzydziestu tysięcy ludzi w celu zamordowania pana de La Fayette'a oraz burmistrza miasta, a następnie odcięcia dowozu żywności.

Książę, brat króla, stał na czele spisku.

Podpisano: Barauz.

Można sobie wyobrazić, jakie poruszenie wywołała ta ulotka w roku 1790 w Paryżu, który tak łatwo ulegał emocjom.

Podpalony proch nie dałby szybszego płomienia niż ten, który buchał wszędzie, gdzie dotarł ten podburzający dokument.

Trafił do wszystkich rąk, a dwie godziny później każdy umiał go na pamięć.

26 wieczorem mandatariusze Komuny zebrali się w Ratuszu na naradzie, gdzie czytano powziętą właśnie przed chwilą decyzję komitetu śledczego, gdy nagle odźwierny zameldował, że przybył książę i prosi o posłuchanie.

— Książę? — powtórzył pocziwy Bailly, który przewodniczył zgromadzeniu. — Jaki książę?

— Brat króla — odparł odźwierny. Na te słowa członkowie Komuny spojrzeli po sobie. Imię księcia od wczoraj było na ustach wszystkich. Ale tak się sobie wzajemnie przyglądając powstali z miejsc.

Bailly popatrzył wkoło pytająco, a że milcząca odpowiedź, jaką wyczytał w oczach zebranych, wydała mu się jednoznaczna, zarządził:

— Proszę oznajmić księciu, że choć zdumieni zaszczycem, jaki nas spotyka, jesteśmy przecież gotowi go przyjąć.

W chwilę później książę wkroczył na salę.

Był sam, twarz miał bladą, a jego chód zazwyczaj niepewny, teraz był jeszcze bardziej chwiejny niż zwykle.

Na szczęście dla księcia każdy z członków Komuny miał przy sobie świecę oświetlającą jego miejsce pracy przy olbrzymich stołach ustawionych w podkowę, dzięki czemu przestrzeń pośrodku tonęła w mroku.

Okoliczność ta nie uszła uwagi księcia, a nawet jakby go uspokoiła.

Powiódł nieśmiałym wzrokiem po tym licznym zgromadzeniu, które okazywało mu jeśli nie sympatię, to przynajmniej szacunek, i początkowo nieco drżącym, później zaś coraz pewniejszym głosem, zaczął:

— Panowie, sprowadza mnie do was chęć zaprzeczenia straszliwej kalumnii. Pan de Favras został przedwczoraj uwięziony na rozkaz waszego komitetu śledczego, a dzisiaj z upodobaniem rozsiewa się po mieście pogłoski, że jestem z nim ściśle powiązany.

Na twarzach niektórych słuchaczy pojawił się uśmiech i lekki szmer powitał pierwszą część przemówienia księcia. Ten ciągnął dalej:

— Jako obywatel miasta Paryża uznałem za swój obowiązek osobiście przedstawić, w jakich okolicznościach zetknąłem się z panem de Favrasem.

Łatwo pojąć, że członkowie Komuny słuchać zaczęli ze zdwojoną uwagą. Chcieli usłyszeć z własnych ust księcia, jakie stosunki łączyły Jego Wysokość z panem de Favrasem, a potem uwierzyć w to lub nie.

Jego Wysokość mówił dalej tymi słowy:

— W roku 1772 pan de Favras rozpoczął służbę w mojej gwardii szwajcarskiej i pozostawał tam do 1775 roku; od owego czasu nigdy z nim nie rozmawiałem.

Pomruk niedowierzania przeszedł po audytorium, ale uciszyło je jedno spojrzenie pana Bailly'ego i księżę pozostał w niepewności, czy był to wyraz aprobaty, czy niedowierzania. Podjął więc:

— Pozbawiony od kilku miesięcy prawa rozporządzania moimi dochodami, zaniepokojony z powodu znacznych wydatków, jakie czekają mnie w styczniu, chciałem uczynić zadość swoim zobowiązaniom nie będąc ciężarem dla skarbu państwa. W wyniku czego postanowiłem zaciągnąć pożyczkę. Przed dwoma mniej więcej tygodniami pan de la Châtre wskazał mi markiza de Favrasa jako człowieka, który może uzyskać potrzebną mi sumę od jakiegoś genueńskiego bankiera. Podpisałem zatem obligację na dwa miliony, gdyż taka suma jest mi potrzebna na początku roku na wyrównanie zobowiązań i utrzymanie dworu. Ponieważ sprawa miała charakter czysto finansowy, powierzyłem jej przeprowadzenie mojemu intendentowi. Nie widziałem się z panem de Favrasem, nie pisałem do niego, nie byłem z nim w żadnym kontakcie; jego czyny są mi całkowicie nie znane.

Szyderczy śmiech, jaki rozległ się z miejsc przeznaczonych dla publiczności, dowodził, że nie wszyscy skłonni byli uwierzyć osobliwemu twierdzeniu księcia, iż zawierzył asygnaty na sumę dwóch milionów pośrednikowi, nawet się z nim nie widząc, mimo iż ów pośrednik był jego dawnym podwładnym.

Księżę zaczerwienił się, ale chcąc zapewne jak najszybciej wybrnąć z fałszywej sytuacji, w jakiej się znalazł, żywo ciągnął dalej:

— Tymczasem, panowie, wczoraj dowiedziałem się, że w stolicy rozpowszechniane są w wielkiej ilości ulotki następującej treści...

Tu księżę odczytał na głos — co było całkowicie zbyteczne, bowiem wszyscy go znali — przytoczony wcześniej tekst.

Przy zdaniu: „Księżę, brat króla, stał na czele spisku”, wszyscy członkowie Komuny skłonili głowy.

Czy chcieli w ten sposób wyrazić, że podzielali tę opinię, czy też skinieniem głowy po prostu zaznaczyć, że znają to oskarżenie?

Księżę mówił dalej:

— Nie oczekujecie bez wątpienia, że posunę się do tego, aby usprawiedliwiać się z podłego podejrzenia; ale uznałem, moi panowie, że w czasach, gdy najbardziej absurdalne kalumnie mogą postawić najlepszych obywateli w rzędzie wrogów Rewolucji, winien jestem królowi, wam i sobie szczegółowe wyjaśnienie, jakie usłyszeliście, aby opinia publiczna ani przez chwilę nie pozostawała w niepewności. Począwszy od dnia, w którym na drugim Zgromadzeniu notablów wyraziłem swoją opinię na temat kwestii zasadniczej, dzielącej jeszcze umysły, ani przez chwilę nie; przestałem wierzyć, iż dokonała się wielka rewolucja; król, dzięki swoim zamiarom, cnotom i piastowanemu stanowisku, winien stać się jej wodzem, bowiem rewolucja nie może przynieść korzyści narodowi, nie przynosząc jej także monarsze. Uważam wreszcie, że władza królewska powinna być szańcem dla wolności narodowej, zaś wolność narodowa — fundamentem królewskiej władzy.

Choć sens tego zdania nie był całkiem jasny, przyzwyczajenie do oklaskiwania pewnych utartych zwrotów sprawiło, że i teraz zaczęto klaskać.

Zachęcony tym książę podniósł głos i zwracając się już z większą pewnością siebie do zgromadzenia powiedział:

— Niech ktoś wymieni choćby jeden mój czyn, choćby jedno stwierdzenie, które przeczyłoby zasadom, jakie przed chwilą wyjawilem, i wskazywało, że niezależnie od okoliczności, w jakich się znajdowałem, dobro króla i ludu przestało być jedynym celem moich myśli i dążeń. Mam więc prawo żądać, by mi uwierzono, nigdy bowiem nie zmieniłem swoich uczuć ani zasad i nigdy ich nie zmienię!

Choć piszemy tylko powieść, na chwilę wkroczyliśmy na teren historii, podając w całej rozciągłości mętne przemówienie Jego Wysokości. Nie zaszkodzi, aby i czytelnicy powieści wiedzieli, jaki był w wieku trzydziestu pięciu lat książę, który mając lat sześćdziesiąt obdarował Francję ustawą zawierającą słynny artykuł 14.

Nie chcąc być jednak bardziej niesprawiedliwym wobec Bailly'ego niż wobec Jego Wysokości, zacytujemy również dokładnie słowa burmistrza Paryża.

Bailly odpowiedział:

— Książę! To wielka radość dla przedstawicieli władz miejskich Paryża widzieć wśród siebie brata ukochanego króla, monarchy, który przywrócił Francji wolność. Dostojni bracia, obu was łączy te same uczucia. Książę okazał się pierwszym obywatelem kraju, gdy głosował za trzecim stanem na drugim Zgromadzeniu notablów, a był niemal jedynym, wraz z małą garstką przyjaciół ludu, który tak postąpił i zdobył tym sobie jeszcze jeden tytuł do szacunku ze strony narodu. Książę jest więc pierwszym autorem równości społecznej. Dziś daje tego nowy dowód, przyłączając się do przedstawicieli Komuny, gdzie zdaje się szukać uznania jedynie dla swoich uczuć patriotycznych. Uczucia te zawarte są w wyjaśnieniach, jakich książę zechciał udzielić zgromadzeniu. Książę wychodzi naprzeciw opinii publicznej: obywatel docenia opinię swoich współobywateli, więc ja, w imieniu zgromadzenia, składam księciu wyrazy szacunku i wdzięczności należne jego uczuciom, zaszczytowi jego obecności, a przede wszystkim wadze, jaką przywiązuje do szacunku wolnych ludzi.

Książę widać zrozumiał, że mimo kwiecistej mowy pana Bailly'ego sławiącej jego postępowanie, będzie ono oceniane różnie, odpowiedział więc z tą ojcowską miną, jaką tak dobrze umiał przybierać w różnych okolicznościach, gdy tylko mogła okazać się przydatna.

— Panowie, obowiązek, jaki spełniłem, niemiły jest cnotliwemu sercu, lecz zadośćuczynieniem są właśnie uczucia, okazane przez zgromadzenie. A teraz pozostało mi już tylko prosić o łaskę dla tych, co zawinili.

Jak widać, książę nie angażował ani swojej osoby, ani zgromadzenia. Dla kogo prosił o łaskę? Przecież nie dla markiza de Favrasa, bo nikt nie wiedział, czy markiz jest winny, zresztą nie on obraził księcia.

Nie, po prostu książę prosił o łaskę dla anonimowego autora ulotki zawierającej jego oskarżenie, ale jej autor nie potrzebował tej łaski, bo był nieznany.

Historycy tak często przechodzą obok książęcych nikczemności nie odsłaniając ich, że do nas, powieściopisarzy, należy w takich przypadkach przejęcie roli historyków, ryzykując nawet, że na przeciąg jednego rozdziału powieść stanie się równie nudna jak historia.

Oczywiste jest, jakich historyków i jaką historię mamy na myśli, mówiąc o ślepych historykach lub nieciekawych dziejach.

Tak więc książę na własny użytek wykorzystał częściowo radę, jakiej udzielił swemu bratu, Ludwikowi XVI.

Wyparł się pana de Favrasa i, jak świadczą pochwały wygłoszone przez prostodusznego imię pana Bailly'ego, postępek ten uwiecznony został całkowitym powodzeniem.

Widać właśnie to rozważywszy, król Ludwik XVI zdecydował się złożyć przysięgę na wierność Konstytucji.

Pewnego ranka odźwierny przyszedł zawiadomić przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, którym w owym dniu był pan Bureaux de Puzy — podobnie jak uczynił to wobec burmistrza, kiedy pojawił się książę — że król w towarzystwie ministrów i kilku oficerów puka do bramy Ujeżdżalni, jak książę zapukał do drzwi Ratusza.

Przedstawiciele ludu spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Co król mógł mieć im do powiedzenia, skoro od tak dawna kroczył własną drogą.

Wprowadzono Ludwika XVI, a przewodniczący zebrania odstąpił mu swój fotel.

Na wszelki wypadek sala rozbrzmiała wiwatami. Wyjawszy Petiona, Kamila Desmoulinsa i Marata, cała Francja była jeszcze rojalistyczna lub sądziła, że taka jest.

Król zapragnął złożyć Zgromadzeniu gratulacje z okazji zakończonych prac; chciał wyrazić pochwałę za ten piękny podział Francji na departamenty; przede wszystkim jednak nie mógł już dłużej hamować płomiennych uczuć miłości wobec Konstytucji.

Początek królewskiego przemówienia wywołał lekkie zaniepokojenie — pamiętać trzeba bowiem, że żaden z przedstawicieli ludu, czy to biały, czy czarny, arystokrata czy patriota, rojalista z przekonania czy też zwolennik konstytucji — nie wiedział, dokąd zmierza król; środek mowy natchnął umysły uczuciem wdzięczności, jej zakończenie zaś wzbudziło wręcz entuzjazm członków Zgromadzenia.

Król nie mógł zapanować nad chęcią wyznania swojej miłości do małej Konstytucji z roku 1791, która jeszcze nie ujrzała światła dziennego, co zatem będzie, kiedy ta nareszcie się narodzi?

Uczucie króla nie będzie już wtedy zwykłą miłością, lecz fanatycznym uwielbieniem.

Nie cytujemy królewskiego przemówienia, bo, do licha!, liczy ono sześć stron; wystarczy, że przytoczyliśmy mowę księcia, która miała tylko jedną stronicę, a i tak wydała nam się zbyt długa.

Wystąpienie Ludwika XVI nie objawiło się jednak jako zbyt rozwlekłe Zgromadzeniu, które słuchając go rozrzewniło się do łez.

Łzy nie są tu bynajmniej metaforą: płakał Barnave, Lameth, Duport, Mirabeau i Barrère; był to istny potop.

Całe Zgromadzenie straciło głowę. Wszyscy jego członkowie wstali, podniosły się trybuny, każdy wyciągnął rękę i złożył przysięgę wierności owej Konstytucji, która jeszcze nie istniała.

Król wyszedł, ale władca i Zgromadzenie nie mogli się tak rozstać: przedstawiciele ludu ruszyli za królem, utworzyli pochód i doszli aż do pałacu Tuileries, gdzie powitała ich królowa.

Dzielna córka Marii Teresy nie objawiła entuzjazmu, godna siostra Leopolda nie płakała, posłom narodu przedstawiła tylko swego syna.

— Panowie — powiedziała — podzielam uczucia króla i całym sercem przyłączam się do wystąpienia, jakie podyktowało mu umiłowanie własnego ludu. Oto mój syn. Uczynię wszystko, by od najmłodszych lat nauczyć go naśladowania cnót najlepszego z ojców, poszanowania wolności publicznej oraz respektowania praw, których, mam nadzieję, stanie się niewzruszoną podporą.

Entuzjazm musiał być rzeczywiście wielki, skoro nie ostudziło go podobne przemówienie, a zapal Zgromadzenia sięgał szczytu. Ktoś zaproponował, aby od razu złożyć przysięgę, więc sformułowano ją natychmiast, i jako pierwszy ze wszystkich przemówił przewodniczący tymi słowami:

— Przysięgam dochować wierności narodowi, prawu i królowi i całą mocą podtrzymywać Konstytucję uchwaloną przez Zgromadzenie Narodowe i zatwierdzoną przez króla.

Wszyscy członkowie Zgromadzenia, z wyjątkiem jednego, podnieśli ręce i kolejno powtórzyli: „Przysięgam!”

W ciągu dziesięciu dni po tym szczęśliwym wydarzeniu, które Zgromadzeniu przywróciło pogodę ducha, Paryżowi radość, a całej Francji spokój, wszędzie odbywały się zabawy, tańce, iluminacje. Zewsząd dochodziły echa składanych przysięg: ślubowano na placu de Grève, w Ratuszu, w kościołach, na ulicach i placach publicznych. Wznoszono ołtarze ojczyźnie i prowadzono do nich dzieci ze szkół, aby tam przysięgały, jakby były dorosłymi ludźmi i wiedziały, co znaczy przysięga.

Zgromadzenie zarządziło odśpiewanie *Te Deum*, na które wszyscy się stawili; powtórzono przy ołtarzu, przed Bogiem, złożoną już wcześniej przysięgę.

Jedynie król nie był obecny w katedrze Notre-Dame, a co za tym idzie, nie ponowił przysięgi.

Zauważono jego nieobecność, ale wszyscy byli w tak radosnym nastroju i tak pełni ufności, że przyjęto za dobrą monetę pierwsze z brzegu wyjaśnienie, jakie podał.

— Miłościwy Panie, czemu nie byłeś obecny na *Te Deum*? Czemu, jak wszyscy, nie złożyłeś ślubowania przed ołtarzem? — zapytała z ironią królowa.

— Bo wolno mi kłamać — odparł Ludwik XVI — ale nie chcę krzywoprzysięgać.

Królowa odetchnęła z ulgą.

Dotąd, podobnie jak inni, wierzyła w dobrą wolę króla.

XV SZLACHCIC

Wizyta króla z zgromadzeniu narodowym miała miejsce 4 lutego 1790 roku.

Dwanaście dni później, w nocy z 17 na 18 lutego, pod nieobecność komendanta więzienia Châtelet, który prosił i uzyskał urlop, aby udać się do Soissons do umierającej matki, u bram więzienia zjawiał się mężczyzna z przepustką podpisaną przez porucznika policji, a upoważniająca go do odbycia z panem de Favrasem rozmowy bez świadków.

Nie wiadomo, czy rozkaz był prawdziwy czy sfalszowany, w każdym razie obudzony przez strażnika zastępcę komendanta uznał, że jest właściwy, skoro mimo późnej pory nowo przybyły został wprowadzony do celi pana de Favrasa.

Potem, ufny w czujność kluczników wewnątrz gmachu i rozstawione na zewnątrz straże, powrócił do łóżka, skąd go tak nie w porę wyciągnięto.

Gość, pod pretekstem, że wyciągając z portfela przepustkę upuścił jakiś ważny papier, sięgnął po latarnię i szukał czegoś na ziemi tak długo, póki zastępcę komendanta nie powrócił do swojej izby. Wtedy oświadczył, że chyba zostawił papier w domu na nocnym stoliku, ale gdyby go odnaleziono, prosi, by mu go oddać, gdy będzie opuszczał więzienie.

Potem zwrócił latarnię czekającemu nań klucznikowi i kazał zaprowadzić się do celi pana de Favrasa.

Dozorca więzienny otworzył jedne drzwi, przepuścił przodem nieznanego, wszedł za nim i znów je zamknął.

Przyglądał się nieznanemu z zaciekawieniem, jakby czekając, że ten zaraz zwróci się do niego i powie coś niezwykle ważnego.

Zeszli dwanaście stopni w dół i wkroczyli w podziemny korytarz. Następnie natrafili na drugie drzwi, które dozorca otworzył i zamknął jak poprzednio.

Nieznanomy i jego przewodnik znajdowali się teraz na czymś w rodzaju podestu, skąd schody prowadziły jeszcze jedno piętro w dół. Nieznajomy przystanął, zatopił wzrok w ciemną głębię lochu, a upewniwszy się, że nikt ich nie widzi i nie słyszy, zapytał:

— Ty jesteś klucznikiem Ludwikiem?

— Tak — odparł dozorca.

— Jesteś członkiem Łoży Amerykańskiej?

— Tak.

— Umieściła cię tutaj przed tygodniem jakaś tajemnicza ręka, abyś mógł wypełnić nieznane zadanie?

— Tak.

— Czy jesteś gotów zadanie to wykonać?

— Jestem gotów.

— Masz otrzymać rozkazy ód pewnego mężczyzny.

— Tak, od „Mesjasza”.

— Po czym go poznasz?

— Po trzech literach wyhaftowanych na gorsie koszuli.

— Ja jestem tym człowiekiem; Oto owe trzy litery. Mówiąc to przybysz rozchylił koronkowy żabot i ukazał trzy haftowane litery L.P.D., które, jak to czytelnik miał już sposobność kilkakrotnie zauważyć, wywierały osobliwe wrażenie.

— Mistrzu — rzekł dozorca więzienny kłaniając się nisko — jestem na twoje rozkazy.

— Dobrze. Otwórz mi celę pana de Favrasa i bądź gotów do wykonania moich rozkazów.

Strażnik skłonił się bez słowa, ruszył przodem oświetlając drogę i po chwili przystanął przed niskimi drzwiami szepnąwszy:

— To tutaj.

Nieznajomy skinął głową. Wsunęty do zamka klucz zgrzytnął dwa razy, po czym drzwi się otwarły.

Zachowując wobec więźnia jak najdalej idące środki ostrożności, aż po zamknięcie go w lochu na dwadzieścia stóp pod ziemią, okazano mu przecież pewne względy z uwagi na stanowisko i pozycję. Łóżko było czyste i zasłane białymi prześcieradłami. Obok łóżka na stole znajdowało się kilka książek, papier, pióra i kałamarz, po to zapewne, aby więzień mógł przygotować na piśmie swoją obronę. Nad wszystkim górowała zgaszona latarnia.

W kącie celi, na innym stole, lśniły przybory toaletowe, wyjęte z wytwornego neseseru zdobnego w herb rodu Favrasów, a na ścianie wisiało lustro pochodzące z tego samego neseseru.

Pan de Favras pogrążony był w tak głębokim śnie, że nie zbudziło go otwarcie drzwi ani to, że nieznajomy zbliżył się do łóżka, dozorca zaś ustawił na stole drugą latarnię obok pierwszej i wyszedł na znak dany przez gościa, nic — ani odgłosy, ani ruch — nie przerwało jego snu.

Przybysz z melancholijnym wyrazem twarzy przyglądał się chwilę śpiącemu, potem jakby przypomniał sobie, że mija drogocenny czas, dotknął ręką jego ramienia, choć przykro mu było przerywać tak błogi odpoczynek.

Więzień drgnął i żywo zwrócił się w stronę nieznajomego z szeroko otwartymi oczyma jak ci, którzy zasnąwszy oczekują, że zbudzi ich jakaś zła wiadomość.

— Uspokój się, panie de Favras, jestem twoim przyjacielem.

Pan de Favras wpatrywał się chwilę w nocnego gościa z podejrzliwością i zdumieniem, że jakiś przyjaciel mógł go szukać osiemnaście czy dwadzieścia stóp pod ziemią.

Potem jednak, przywołując wspomnienia, powiedział:

— Ach, tak! To pan baron Zannone.

— We własnej osobie, drogi markizie.

Favras z uśmiechem rozejrzał się wkoło i wskazując baronowi stołek wolny od książek i ubrań, rzekł:

— Może zechce pan usiąść.

— Drogi markizie — zaczął baron — przyszedłem panu zaproponować coś, co nie wymaga długiej dyskusji. Zresztą nie mamy czasu do stracenia.

— Cóż mi chcesz zaproponować, drogi baronie? Przypuszczam, że nie chodzi o pożyczkę...

— Czemuż to?

— Ponieważ gwarancje, jakich mógłbym udzielić, wydają się niezbyt pewne...

— Markizie, jeśli o nie chodzi, nie byłaby to żadna przeszkoda, przeciwnie, gotów jestem zaproponować ci milion.

— Mnie? — zapytał Favras z uśmiechem.

— Tak, panu. Ale na warunkach, których by pan nie przyjął, więc nawet nie zrobię mu tej propozycji.

— Drogi baronie, ponieważ uprzedziłeś mnie, że się spieszysz, przejdźmy do sprawy, która cię tu sprowadza.

— Markizie, pan wie, że jutro staje pan przed sądem?

— Tak, coś o tym słyszałem — odparł Favras.

— Wie pan także, że stanie pan przed tymi samymi sędziami, którzy uniewinnili Augearda i Besenvala?

— Tak, wiem.

— Wie pan zapewne również, że obaj zostali uniewinnieni tylko dzięki wszechmocnej interwencji dworu?

— Tak, wiem — odparł po raz trzeci Favras, a w głosie jego nie było żadnej różnicy tonu.

— Zapewne, markizie, masz nadzieję, że dwór zrobi dla pana to samo, co dla pańskich poprzedników?

— Osoby, z jakimi byłem w kontakcie dla zrealizowania sprawy, która mnie tu doprowadziła, doskonale wiedzą, co winny dla mnie uczynić, drogi baronie. Cokolwiek uczynią, będzie właściwe.

— Te osoby już powzięły decyzje w tej sprawie, panie markizie, i mogę pana powiadomić o ich poczynaniach.

Favras nie okazał żadnego zaciekawienia.

— Brat króla — ciągnął dalej gość — udał się do Ratusza i oświadczył, że ledwie pana zna; że w roku 1772 objął pan służbę w oddziałach jego gwardii szwajcarskiej, którą opuścił pan w 1775, i od tej pory już nigdy pana nie widział.

Favras skinął głową na znak, iż wszystko to przyjął do wiadomości.

— Jeśli zaś chodzi o króla, nie tylko odstąpił on od zamiaru ucieczki, ale czwartego tego miesiąca przybył na posiedzenie Zgromadzenia Narodowego i zaprzysiął na Konstytucję!

Po ustach więźnia przemknął uśmiech.

— Pan w to wątpi? — zapytał baron.

— Tego nie powiedziałem — odrzekł Favras.

— Zatem, markizie, nie może pan liczyć ani na księcia, ani na króla...

— W istocie.

— A więc stanie pan przed trybunałem...

— Już był pan łaskaw mi to powiedzieć.

— Zostanie pan skazany!

— Wielce prawdopodobne.

— Na śmierć!

— Możliwe.

Favras skłonił się przy tym jak człowiek gotów przyjąć cios niezależnie od tego, jak będzie dotkliwy.

— Ale czy wiesz, drogi markizie, jaka śmierć cię czeka?

— A czyż są dwie śmierci, drogi baronie?

— Och, jest ich dziesięć! Wbicie na pal, rozćwiartowanie, pętla, łamanie kołem, szubienica, ścięcie... a właściwie jeszcze w ubiegłym tygodniu były te wszystkie rodzaje! Dzisiaj, jak sam słusznie powiadasz, pozostała już tylko jedna: powieszenie!

— Powieszenie?!

— Tak, Zgromadzenie Narodowe ustanowiwszy równość wobec prawa, uznało za słuszne ustanowić także równość wobec śmierci! Teraz wszystkich, szlachtę czy pospólstwo, wiedzie na tamten świat jedna droga: przez szubienicę, markizie.

— Och! — szepnął Favras.

— Jeśli skazą pana na śmierć, będziesz wisiał... To bardzo smutne dla szlachcica, który, jestem tego pewien, nie lęka się śmierci, ale żywi wstręt do szubienicy.

— Panie baronie, czy przyszedłeś tylko po to, by mi oznajmić te dobre nowiny, czy też masz jeszcze coś lepszego w zanadrzu?

— Przyszedłem, markizie, aby cię zawiadomić, że wszystko jest gotowe do pańskiej ucieczki, i jeśli zechcesz, za dziesięć minut możesz się znaleźć za murami więzienia, a za dwadzieścia cztery godziny poza granicami Francji.

Favras zastanawiał się chwilę, ale propozycja barona wyraźnie nie wywarła na nim wielkiego wrażenia. Zwrócił się do swego rozmówcy:

— Czy ta propozycja pochodzi od króla, czy od księcia?

— Nie, mój panie, ona pochodzi wyłącznie ode mnie. Favras przyjrzał mu się bacznie.

— Od pana? — zapytał. — A dlaczegoż to od pana?

— Ze względu na zainteresowanie, jakie żywię dla pańskiej osoby.

— A jakież jest powód tego zainteresowania? — zapytał Favras. — Przecież widział mnie pan dwa razy w życiu.

— Aby poznać człowieka, nie potrzeba go widzieć dwa razy, drogi markizie. Prawdziwie szlachetnych ludzi jest niewielu, chciałbym więc zachować jednego nie tyle dla Francji, ile dla ludzkości.

— Nie ma pan innych powodów?

— Ten, markizie, że negocjując z panem pożyczkę i wypłacając dwa miliony liwrów, dostarczyłem środków dla rozwinięcia odkrytego dzisiaj spisku, a tym samym mimo woli przyczyniłem się do pańskiej zguby.

Favras uśmiechnął się i rzekł:

— Jeśli nie popełnił pan innej zbrodni prócz tej, proszę spać spokojnie. Rozgrzeszam pana.

— Jak to?! — zawołał baron. — Odmawiasz ucieczki? Favras wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję z głębi serca, panie baronie — odparł. — Dziękuję w imieniu mojej żony i dzieci, ale odmawiam...

— Może sądzisz, markizie, iż rzecz jest źle przygotowana, i lękasz się, że nieudana ucieczka pogorszy tylko pańskie położenie?

— Baronie, mam pana za człowieka przezornego, a zarazem za ryzykanta, skoro przybyłeś osobiście zaproponować mi ucieczkę. Ale, powtarzam raz jeszcze, ja nie chcę uciekać.

— Pewnie się lękasz, że zmuszony do opuszczenia Francji pozostawisz żonę i dzieci w nędzy... Przewidziałem to, markizie, i mogę ofiarować panu ten portfel, w którym jest sto tysięcy franków w banknotach.

Favras spojrział na barona z rodzajem podziwu. Potem potrząsnął przecząco głową i powiedział:

— Nie o to chodzi, baronie. Gdyby moim zamiarem była ucieczka, uwierzyłbym panu na słowo i nie biorąc tego portfela opuściłbym Francję. Ale, powtarzam raz jeszcze, powziąłem nieodwołalną decyzję: nie chcę uciekać.

Baron spojrział na tego, który odmawiał, jakby wąpił o jego zdrowych zmysłach.

— To pana dziwi, baronie — rzekł Favras z osobliwym spokojem — i pytasz sam siebie, nie mając odwagi zadać mi tego pytania, czemu powziąłem tak dziwaczną decyzję dośmięcia aż do końca, aż do śmierci, jakakolwiek by ona była.

— Przyznaję, że tak jest, markizie.

— Zaraz to panu wyjaśnię. Jestem rojalistą, baronie, ale nie z gatunku tych, co emigrują za granicę lub ukrywają się w Paryżu; moje opinie nie opierają się na żadnych kalkulacjach ani przewidywanych korzyściach. To rodzaj kultu, wiary, religii, a królowie są dla mnie jakby arcybiskupami czy papieżami, to znaczy widomymi przedstawicielami owej wyznawanej religii. Gdybym uciekł, przypuszczano by, że pomógł mi w tym król albo książę, a więc istotnie wspólnie knuliśmy spisek. Wówczas cios wymierzony w próżnię trafi w księcia, który wyparł się mnie publicznie, lub w króla, który udaje, że mnie nie zna. Panie baronie, religie upadają, kiedy

nie mają już męczenników. Otóż ja przyczynię się do podźwignięcia mojej wiary, umierając za nią! Będzie to wyrzut dla przeszłości, a zarazem ostrzeżenie na przyszłość.

— Ale pomyśl, markizie, jaka śmierć pana czeka?

— Im bardziej hańbiąca śmierć, tym godniejsza nagrody ofiara; Chrystus umarł na krzyżu między dwoma łotrami!

— Zrozumiałbym to — odrzekł baron — gdyby pańska śmierć, markizie, mogła wyrzucić na losy monarchii taki wpływ, jak śmierć Chrystusa na losy świata. Ale grzechy królów są tak wielkie, że chyba nie zdoła ich odkupić nie tylko śmierć szlachcica, ale nawet śmierć samego króla!

— Stanie się, jak Bóg postanowi, panie baronie, lecz w tej epoce niepewności i zwątpienia, kiedy tylu ludzi uchyla się od spełnienia swego obowiązku, umrę w przekonaniu, że ja swój spełniłem.

— Ależ nie, markizie — wtrącił baron nieco zniecierpliwiony — po prostu umrzesz z żalem, że twoja śmierć nie przyniesie żadnego pożytku!

— Kiedy żołnierz pozbawiony broni nie ratuje się ucieczką, lecz czeka nadejścia wroga, a potem śmierci, i w końcu umiera, wie doskonale, że śmierć ta jest niepotrzebna. Czuje jednak również, że ucieczka byłaby hańbą, woli więc umrzeć!...

— Panie markizie — odrzekł baron — nie czuję się jeszcze pokonany...

Wyciągnął zegarek, który wskazywał trzecią nad ranem.

— Mamy jeszcze godzinę — ciągnął dalej. — Usiądę przy tym stoliku i pół godziny poczytam, przez ten czas pan się zastanowi. Za pół godziny da mi pan ostateczną odpowiedź.

Następnie wziął taboret, zasiadł przy stole i zwrócony plecami do więźnia zajął się lekturą.

— Dobranoc, baronie — powiedział Favras, po czym odwrócił się do ściany, zapewne, aby zastanowić się w zupełnym spokoju.

Zajęty czytaniem baron, bardziej niecierpliwy niż więzień, dwa czy trzy razy wyciągał z kieszeni zegarek. Gdy upłynął wyznaczony czas, wstał i podszedł do łóżka.

Próżno jednak czekał, Favras się nie odwrócił.

Baron pochylił się wówczas nad nim i po regularnym, spokojnym oddechu poznał, że więzień śpi.

— No, zostałem pokonany — rzekł do siebie — ale wyrok jeszcze nie zapadł: może markiz ma jeszcze jakieś wątpliwości...

Nie chcąc budzić nieszczęsnego więźnia, którego za kilka dni czekał dłuższy i głębszy sen, sięgnął po pióro i nakreślił na papierze:

„Kiedy wyrok zostanie wydany, kiedy pan de Favras będzie skazany na śmierć i straci wszelką nadzieję pokładaną w sędziach, księciu i królu, jeśliby zmienił zdanie, wystarczy mu wezwać więziennego dozorcę Ludwika i powiedzieć: »Zdecydowałem się na ucieczkę!«, a znajdzie się sposób na ułatwienie tej ucieczki.

Kiedy pan de Favras stanie na wozie śmierci, kiedy przed katedrą Notre-Dame publicznie przyzna się do winy, gdy boso i ze związanymi rękoma mijać będzie krótką przestrzeń, jaka dzieli stopnie Ratusza, gdzie napisze testament, od szubienicy ustawionej na placu de Grève, wystarczy mu głośno powiedzieć te słowa: »Chcę być uratowany«. I zostanie uratowany.

Cagliostro”

Następnie gość sięgnął po latarnię, raz jeszcze zbliżył się do więźnia, aby sprawdzić, czy ten się nie przebudził, a widząc, że nadal śpi, parokrotnie odwracając się podszedł do drzwi celi. Klucznik Ludwik stał za nimi z tym niewzruszonym oddaniem sprawie adeptów gotowych na wszelkie poświęcenia, byle przyczynić się do realizacji wielkiego dzieła, jakiego się podjął.

— Co mam uczynić, mistrzu? — zapytał.

— Pozostać w więzieniu i wykonać wszystko, czego zażąda pan de Favras.

Dozorca skłonił się, wziął latarnię z rąk hrabiego Cagliostro i ruszył przodem pełen szacunku, niczym lokaj oświetlający przejście swemu panu.

XVI

SPRAWDZA SIĘ PRZEPOWIEDNIA CAGLIOSTRA

O pierwszej popołudniu tego samego dnia pisarz sądowy z Châtelet, wraz z czterema uzbrojonymi ludźmi, udał się do celi pana de Favrasa, by zawiadomić go, że ma się stawić przed sądem.

Markiza uprzedził o tym w nocy Cagliostro, a o dziewiątej rano rzecz potwierdził zastępca komendanta więzienia Châtelet.

Odczytywanie protokołów śledztwa zaczęło o wpół do dziesiątej, a trwało to jeszcze o trzeciej po południu.

Od rana salę wypełniał tłum ciekawych, tłoczących się tu, aby zobaczyć człowieka, który miał zostać skazany.

Mówimy „który miał zostać skazany”, nikt bowiem nie wątpił, że otrzyma on wyrok śmierci.

W konspiracji politycznej zawsze zdarzają się nieszczęśnicy skazani z góry, przeznaczeni na ofiarę dla dopełnienia pokuty i na nich właśnie pada fatalny wybór.

Na podwyższeniu w głębi sali zasiadło półkolem czterdziestu sędziów, a pośród nich, pod baldachimem, przewodniczący; za nim na ścianie wisiało malowidło przedstawiające ukrzyżowanie Chrystusa, przed nim zaś, na drugim krańcu sali, portret króla.

Kordon grenadierów gwardii narodowej otaczał część sali przeznaczoną dla sądu, wewnątrz i na zewnątrz, drzwi zaś strzegło jeszcze czterech ludzi.

Kwadrans po trzeciej sąd nakazał sprowadzić oskarżonego.

Dwunastu grenadierów, którzy z bronią u nogi czekali na ten rozkaz na środku sali, natychmiast wyszło.

Od tej chwili wszystkie głowy, nie wyłączając sędziów, zwróciły się ku drzwiom, którymi miał wejść pan de Favras.

Mniej więcej dziesięć minut później do sali wkroczyło czterech grenadierów. Za nimi szedł markiz de Favras. Pochód zamykało ośmiu żołnierzy.

Więzień przekroczył próg w przerażającej ciszy, jaką potrafi zachować dwutysięczny tłum stłoczony na małej przestrzeni, kiedy wreszcie ukaże się człowiek lub rzecz, skupiająca powszechną uwagę.

Twarz miał zupełnie spokojną; ubrany nadzwyczaj starannie, miał na sobie jasnopopielate atlasowe ubranie zdobione haftem, białą atlasową kamizelkę, jedwabne pończochy, buty z klamrami, a w butonierce Krzyż Świętego Ludwika.

Niezwykle wytwornie uczesany, miał obficie przypudrowane włosy i — jak napisali w swojej *Historii Rewolucji* dwaj Przyjaciele Wolności — „żaden włos nie odstawał”.

Na kilka chwil, jakie więźniowi zabrało przejście od drzwi do ławy oskarżonych, całe audytorium wstrzymało oddech.

Następnych kilka sekund minęło, zanim do oskarżonego zwrócił się przewodniczący trybunału, który najpierw wykonał całkowicie zbyteczny gest nakazujący ciszę, po czym wzruszonym głosem zapytał:

— Kim pan jest?

— Jestem więźniem i oskarżonym — odparł z największym spokojem markiz.

— Jak się nazywasz?

— Tomasz Mahi, markiz de Favras.

— Skąd pochodzisz?

— Z Blois.

— Jakie zajmujesz stanowisko?

— Jestem pułkownikiem w służbie królewskiej.

— Gdzie mieszkasz?

— Plac Royale numer 21.

— Ile masz lat?

— Czterdzieści sześć.

— Proszę usiąść. Markiz wykonał polecenie.

Dopiero wtedy zebrani jakby odzyskali dech: przez salę przeszedł straszliwy powiew zemsty.

Oskarżony dostrzegł to i rozejrzał się wkoło; wszystkie oczy pały nienawiścią, wszystkie pięści były zaciśnięte; lud żądał wydania mu ofiary, bo wydarto mu z rąk Augearda i Besenvala, i co dzień rozlegały się wołania, by chociaż symbolicznie powiesić księcia de Lambesc.

Pośród tych podnieconych twarzy i płonących spojrzeń oskarżony dostrzegł spokojne i życzliwe oblicze swego nocnego gościa. Pozdrowił go niedostrzegalnym niemal gestem i rozglądał się dalej.

— Niech oskarżony przygotuje się do udzielenia odpowiedzi — rzekł przewodniczący.

Favras skłonił się.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie przewodniczący. Rozpoczęła się wówczas druga część przesłuchania, w czasie którego oskarżony zachował taki sam spokój jak poprzednio.

Następnie przesłuchano świadków oskarżenia.

Favras, który nie chciał ratować życia ucieczką, postanowił bronić go w dyspucie z sędziami. Prosił o wezwanie czternastu świadków.

Oczekiwał, że po wysłuchaniu świadków oskarżenia przyjdzie kolej na świadków, których wskazał, przewodniczący oświadczył jednak nagle:

— Panowie, ogłaszam rozprawę za zamkniętą.

— Przepraszam — zaprotestował Favras z właściwą sobie uprzejmością — pan przewodniczący zapomniał o jednej rzeczy; nie ma ona wprawdzie wielkiego znaczenia, ale nie wysłuchano zeznań podanych przeze mnie czternastu świadków.

— Trybunał orzekł, że nie będą wysłuchani — odparł przewodniczący.

Po czole oskarżonego przebiegła jakby chmura, a potem w jego oczach zalśniła błyskawica gniewu.

— Myślałem, że sędzi mnie paryski trybunał Châtelet — powiedział — ale byłem w błędzie: stoję przed hiszpańską inkwizycją!

— Wyprowadzić oskarżonego — rzucił przewodniczący. Markiza de Favrasa odprowadzono do celi. Jego spokój, uprzejmość i odwaga zrobiły pewne wrażenie na tych widzach, którzy nie żywili wobec niego żadnych uprzedzeń. Niestety, trzeba powiedzieć, że takich było niewiele. Wyjściu Favrasa towarzyszyły krzyki, groźby i szydercze wrzaski.

— Nie ma łaski! Nie ma łaski! — wykrzykiwało wzdłuż jego drogi pół tysiąca głosów.

Wrzaski te szły za nim aż poza mury więzienia. Wtedy Favras szepnął sam do siebie.

— Oto co znaczy spiskować z książętami!

Zaraz po wyjściu oskarżonego zaczęła się narada sędziów. Favras jednak położył się spać o zwykłej porze. Około pierwszej w nocy ktoś wszedł do jego celi i obudził go.

Był to klucznik więzienny, Ludwik, który pojawił się pod pretekstem przyniesienia butelki wina Bordeaux, o jakie więzień wcale nie prosił.

— Panie markizie — powiedział — właśnie w tej chwili sędziowie wydają wyrok.

— Przyjacielu — odrzekł Favras — jeśli z tego powodu mnie obudziłeś, to lepiej byłbyś zrobił pozwalając mi spać.

— Nie, panie markizie, obudziłem pana, aby zapytać, czy nie ma pan nic do powiedzenia osobie, która była tu poprzedniej nocy.

— Nic.

— Proszę się zastanowić, panie markizie, bo kiedy zapadnie wyrok, będziesz stale na oku, i choć to wielce można osoba, nie wiadomo, czy jej wola nie natrafi na niemożliwe do przezwyciężenia przeszkody.

— Dziękuję ci, przyjacielu, ale nie mam o co prosić ani teraz, ani potem;

— Panie, przykro mi bardzo, że cię obudziłem, ale i tak najpóźniej za godzinę zostałbyś obudzony...

— Uważasz więc, że już nie warto próbować zasnąć, prawda?

— Proszę posłuchać i samemu wyciągnąć wniosek — odrzekł klucznik.

Istotnie, z wyższych pięter dochodziły jakieś hałasy, trzask otwieranych i zamykanych drzwi, stukot kolb karabinów o ziemię.

— Ho, ho! — rzekł Favras. — Czyżby to z mojego powodu to całe zamieszanie?

— Idą tu odczytać wyrok, panie markizie.

— Do licha! Dopilnuj, aby urzędnik sądowy dał mi czas na włożenie spodni.

Klucznik wyszedł natychmiast i zamknął za sobą drzwi.

Tymczasem pan de Favras ubrał jedwabne pończochy, trzewiki z klamrami i spodnie. Tyle zdążył włożyć, nim drzwi się otwarły.

Uznawszy, że nie warto ubierać się dalej, stanął w wyczekującej postawie. Był rzeczywiście piękny z głową odrzuconą do tyłu, włosami w lekkim nieładzie i z koronkowym żabotem rozpiętym na piersi.

W chwili gdy wszedł urzędnik sądowy, markiz odchylił kołnierz koszuli,

— Jak pan widzi — powiedział — oczekiwałem pana, i to w rynsztunku bojowym.

Mówiąc to przeciągnął dłonią po odkrytej szyi, czekającej na szlachecki miecz lub chamski sznur.

— Mów pan, proszę, słucham.

Urzędnik odczytał, a raczej wymamrotał wyrok.

Markiza skazano na śmierć; najpierw miał publicznie przyznać się do winy przed katedrą Notre-Dame, a potem zostać powieszonym na placu de Grève.

Favras wysłuchał wyroku z największym spokojem i nawet nie zmarszczył brwi, gdy padło słowo „powieszony”, słowo tak bolesne dla ucha szlacheca.

Dopiero po chwili milczenia, patrząc prosto w twarz urzędnika sądowego, powiedział.

— Jakże mi pana żal, że zostałeś zmuszony skazać człowieka na śmierć na podstawie takich dowodów.

Przedstawiciel sądu odparł wymijająco:

— Wiesz chyba, panie, że pozostała ci już tylko religijna pociecha.

— Mylisz się, mój panie — odrzekł skazany — pozostaje mi jeszcze ta, jaką czerpię z własnego sumienia.

Powiedziawszy to pan de Favras skłonił się urzędnikowi, który nie mając już nic więcej do powiedzenia ruszył ku wyjściu.

Przy samych drzwiach odwrócił się jednak i zapytał:

— Czy pan chce spowiednika?

— Spowiednika przysłanego przez tych, co mnie mordują? Nie, mój panie, wydałby mi się podejrzany. Mogę oddawać wam życie, ale nie powierzę własnego zbawienia!... Proszę, aby przyszedł do mnie proboszcz kościoła Świętego Pawła.

Dwie godziny później wielbny duchowny, o którego prosił, zjawił się w celi.

XVII
PLAC DE GREVE.
TE DWIE GODZINY BYŁY DOBRZE WYPEŁNIONE.

Po wyjściu urzędnika sądowego w celi zjawilo się dwóch mężczyzn o ponurych twarzach i podejrzanym wyglądzie.

Favras zrozumiał, że to wysłannicy śmierci, przednia straż kata.

— Idziesz z nami! — powiedział jeden z nich. Favras skłonił się na znak zgody. Po chwili jednak, wskazując ręką leżące na stołku ubrania, zapytał:

— Czy dacie mi chwilę czasu, by się ubrać?

— Dobra — burknął tamten.

Favras podszedł więc do stołu, gdzie rozłożone były przybory toaletowe z jego neseseru, i z pomocą zawieszzonego na ścianie lusterka zapiął kołnierz koszuli, starannie ułożył fałdy żabota i jak najwykwintniej zawiązał krawat.

Potem włożył kamizelkę i frak.

— Czy mam wziąć kapelusz, panowie? — zapytał.

— To zbędne — odparł jeden z mężczyzn.

Ten, który cały czas milczał, wpatrywał się w Favrasa tak uporczywie, że aż zwróciło to uwagę więźnia.

Wydało mu się nawet, że ów człowiek mrugnął doń w ledwie dostrzegalny sposób. Znak był jednak tak nieuchwytny, że pan de Favras nie wiedział, czy to nie przywidzenie.

Zresztą cóż mógł mu powiedzieć ten człowiek? Przestał się więc nim zajmować i kiwnąwszy przyjaźnie w stronę klucznika rzekł:

— Ruszajcie, panowie, przodem, a ja za wami.

Za drzwiami celi czekał woźny sądowy. On poszedł pierwszy, potem Favras, a na końcu dwaj żalobnicy.

Ponury orszak skierował się do parterowej części budynku.

W przejściu, między żelaznymi kratami, oczekiwał ich pluton gwardii narodowej.

Woźny, czując już za sobą oparcie, zwrócił się do więźnia:

— Proszę mi oddać Krzyż Świętego Ludwika.

— Sądziłem, że jestem skazany na śmierć, a nie na degradację — powiedział Favras.

— Taki jest rozkaz.

Favras odpiął order, a nie chcąc go wręczać przedstawicielowi trybunału, podał go sierżantowi, dowódcy plutonu gwardii narodowej.

— W porządku — rzekł woźny nie nalegając, by order wręczono mu osobiście. — A teraz proszę za mną.

Weszli schodami w górę jakieś dwadzieścia stopni i stanęli przed dębowymi drzwiami, mocno okutymi żelazem; sam widok takich drzwi może skazańcowi zmrozić krew w żyłach, a na drodze do śmierci spotyka on kilka takich wrót i choć nie wie, co się za nimi kryje, bez trudu zgaduje, że coś straszliwego.

Drzwi otwarły się.

Favras nie zdążył jeszcze zrobić kroku, a już wepchnięto go do środka.

Potem drzwi zatrzasnęły się nagle, jakby pchnięte żelaznym ramieniem.

Favras stanął w sali tortur.

— Ależ panowie — powiedział z lekko pobladłą twarzą — do licha, prowadząc człowieka w takie miejsce, trzeba go uprzedzić!

Jeszcze nie dokończył zdania, a idący za nim dwaj oprawcy rzucili się na niego, zdarli zeń frak i kamizelkę i związali mu ręce z tyłu.

Ale dokonując tych czynności ten z oprawców, który poprzednio jakby dawał znak, szepnął mu cicho do ucha:

— Czy chcesz zostać uratowany? Jeszcze jest czas! Propozycja ta przywróciła markizowi uśmiech, przypomniała mu bowiem o wielkości własnego posłannictwa.

Nieznacznie wykonał przeczący gest.

Tuż obok stała ława. Rozciągnięto na niej skazańca.

Oprawca zbliżył się niosąc w fartuchu dębowe drzazgi, a w rękę żelazny młotek.

Favras sam wyciągnął ku niemu kształtną nogę, obciążoną jedwabną pończochą i obutą w trzewik z czerwonym obcasem.

W tej chwili jednak woźny sądowy dał ręką znak.

— Wystarczy — powiedział. — Łaska dworu darowuje skazańcowi tortury.

— O, czyżby dwór lękał się, że będę mówić? — zapytał Favras. — Nie dziękuję przeto za tę łaskę. Podejdę pod szubienicę na dwóch zdrowych nogach, a to też coś znaczy. A teraz, panowie, jestem do waszej dyspozycji.

— Musisz pozostać całą godzinę w tej sali — odparł woźny.

— Nie jest to specjalnie zabawne, acz pouczające — rzekł Favras.

Zaczął obchodzić salę, przyglądając się kolejno wszystkim tym przerażającym narzędziom, podobnym do olbrzymich pajaków czy gigantycznych skorpionów.

Miały one najróżniejsze kształty i pochodziły z różnych epok, od Filipa Augusta poczynając po czasy Ludwika XVI; były więc haki, jakimi rozszarpywano Żydów w XIII wieku, a także koła, którymi miażdżono protestantów w wieku XVII.

Favras przystawał przed każdym z tych trofeów, pytając o nazwę.

Jego zimna krew zdumiała w końcu nawet samych oprawców, choć ludzi tych niełatwo zadziwić.

— Czemu, panie, zadajesz te wszystkie pytania? — zapytał jeden z nich.

Favras spojrzał nań z lekką drwiną, typową dla ludzi dobrze urodzonych.

— Kto wie, mój panie, może na drodze, która mnie czeka, spotkam Szatana i zdołam pozyskać jego względy, wskazując nie znane mu jeszcze narzędzia do torturowania potępieńców.

Więzień zakończył obchód sali, gdy na wieży Châtelet zegar wybił piątą.

Minęły dwie godziny od chwili, gdy opuścił celę.

Zaprowadzono go tam z powrotem.

Proboszcz kościoła Świętego Pawła już na niego czekał.

Jak widzieliśmy, nie stracił on tych dwóch godzin oczekiwania, bo jeśli coś mogło należycie przygotować go na śmierć, to właśnie to, co przed chwilą oglądał. Na widok Favrasa proboszcz szeroko otworzył ramiona.

— Wybacz, ojcze, że mogę otworzyć przed tobą tylko serce — powiedział. — Ci panowie postarali się o to.

I pokazał związane z tyłu ręce.

— Nie możecie rozwiązać więźniowi rąk na czas, kiedy tu będzie ze mną? — zapytał ksiądz.

— To nie w naszej mocy — odparł woźny.

— Ojcze, zapytaj, czy nie mogliby mi związać rąk z przodu — powiedział Favras. — Byłbym już gotów, gdy przyjdzie mi trzymać gromnicę i odczytywać wyrok.

Obaj pomocnicy spojrzeli na woźnego, który dał znak przyzwolenia, nie widząc powodu, aby odmówić prośbie.

Potem pozostawiono go samego z księdzem.

Nikt nie wie, jaki przebieg miało spotkanie człowieka świata z człowiekiem Boga. Czy wobec świętości wiary Favras otworzył serce, co pozostało zamknięte w obliczu majestatu sprawiedliwości? Czy wobec pociechy innego świata, w który miał wkroczyć, jego otarte ironią oczy zalały zebrane w sercu łzy żalu, żalu, że oto musi porzucić wszystko, co na tym świecie najdroższe? Tego jednak nie zdołali odgadnąć ludzie, którzy około trzeciej po południu wkroczyli do celi i zastali go z uśmiechem na ustach, suchymi oczyma i zamkniętym sercem.

Przyszli mu oznajmić, że godzina śmierci nadeszła.

— Przepraszam, panowie — powiedział — ale to wy daliście na siebie czekać.

Był już bez fraka i kamizelki, ręce miał związane, więc tylko zdjęto mu trzewiki i pończochy i narzucono białą koszulę.

Na piersi zawieszono tabliczkę z napisem:

SPISKOWIEC PRZECIWKO PAŃSTWU

U bramy więzienia czekał wóz otoczony licznym oddziałem gwardii narodowej.

Na wozie zatknięta była płonąca pochodnia.

Na widok skazańca tłum zaczął klaskać.

Wyrok znany był od szóstej rano i czekająca egzekucji gawiedź niecierpliwiła się już, że zbyt wiele upłynęło czasu między wyrokiem a straceniem.

Po ulicach krążyli ludzie domagający się datków.

— Z jakiej racji mamy coś dawać? — pytali przechodnie.

— Z racji egzekucji pana de Favrasa — odpowiadali żebracy.

Favras energicznie wskoczył na wóz i zasiadł obok zatkniętej pochodni, domyśliwszy się, że tam jest jego miejsce.

Następnie na wóz wszedł proboszcz kościoła Świętego Pawła i usiadł po lewej stronie Favrasa.

Ostatni znalazł się na wozie kat, który usiadł za skazańcem.

Był to ten sam mężczyzna o smutnym i łagodnym spojrzeniu, którego spotkaliśmy na dziedzińcu Bicêtre podczas eksperymentu z maszyną doktora Guillotina.

Widzieliśmy go, widzimy i będziemy jeszcze mieli okazję zobaczyć, bowiem to on jest prawdziwym bohaterem epoki, w jaką wkraczamy.

Zanim kat zajął miejsce na wozie, założył skazańcowi na szyję sznur, na którym miał zawisnąć. Drugi jego koniec trzymał w ręku.

Gdy wóz ruszał, w tłumie powstało jakieś zamieszanie. Skazaniec spojrział w tę stronę.

Dojrzał ludzi przepychających się gwałtownie do pierwszego rzędu, by lepiej widzieć jego przejazd.

Nagle mimo woli wstrząsnął nim dreszcz, bo na przedzie, pośród grupy pięciu czy sześciu towarzyszy, którzy przebili się przez ludzkie mrowie, rozpoznał w ubraniu tragarza z paryskich hał swego nocnego gościa, który zapowiedział, że czuwać nad nim będzie aż do ostatniej chwili.

Skazaniec skinął mu głową, ale był to tylko dowód, że go rozpoznał, pozbawiony wszelkiego innego znaczenia.

Wóz jechał dalej i stanął dopiero przed katedrą Notre-Dame.

Przez otwarte główne drzwi dostrzec można było w głębi mrocznej nawy wielki ołtarz jarzący się płonącymi świecami.

Cizba ciekawych tak była wielka, że wóz co chwila przystawał, a ruszał dopiero, gdy gwardziści zdołali oczyścić ulicę, nieprzerwanie zresztą zalewaną nową ludzką falą.

Na placu przed kościołem tłum zdołano wreszcie nieco rozproszyć.

— Teraz trzeba zejść i publicznie przyznać się do popełnionej zbrodni — rzekł egzekutor wyroku do skazańca.

Favras posłuchał bez słowa.

Pierwszy zsiadł z wozu ksiądz, potem skazaniec, wreszcie kat, wciąż trzymający w ręku koniec sznura.

Z rękami związanymi w przegubach skazaniec dysponował pewną swobodą poruszania dłońmi.

W prawą rękę wetknięto mu pochodnię, w lewą — wyrok.

Skazany przeszedł na plac przed kościołem i ukląkł.

W pierwszym rzędzie otaczającej go cizby znowu dojrzał tragarza z hal i jego kamratów, których widział już przy wyjściu z Châtelet.

Wytrwałość ta jakby go wzruszyła, ale z jego ust nie padło żadne słowo.

Przed katedrą czekał pisarz sądowy.

— Proszę to odczytać — powiedział głośno. A szeptem dodał: — Panie markizie, wiesz przecież, że wystarczy jedno słowo, a będziesz uratowany.

Nic nie odpowiedział, skazany zaczął odczytywać wyrok.

Czytał go głośno i nic w tonie jego głosu nie zdradzało najmniejszego choćby wzruszenia. Skończywszy zwrócił się do otaczającego go tłumy.

— W chwili gdy mam stanąć przed Bogiem, przebaczam ludziom, którzy wbrew własnemu sumieniu oskarżyli mnie o zbrodnicze zamiary; kochałem swego króla i umrę wierny tym uczuciom; daję wam przykład, jaki, mam nadzieję, znajdzie może kilku szlachetnych naśladowców. Lud wielkim głosem domaga się mojej śmierci, potrzeba mu ofiary. Niech i tak będzie! Lepiej, że wybór losu padł na mnie niż na kogoś o słabszym charakterze, kogo niezasłużone męczarnie pograżyłyby w rozpacz. Zrobiłem wszystko, co zrobić należało, a teraz, panowie, jedźmy dalej.

Wóz ruszył w dalszą drogę.

Droga od portalu Notre-Dame na plac de Grève nie jest daleka, zajęła jednak dobrą godzinę.

Gdy wreszcie znaleźli się na miejscu, Favras zapytał:

— Czy mógłbym na chwilę wstąpić do Ratusza?

— Chcesz złożyć jakieś zeznanie, synu? — zapytał żywo ksiądz.

— Nie, ojcze, ale chciałbym przed śmiercią podyktować testament; słyszałem, że nie odmawia się nigdy tej ostatniej łaski skazanemu, którego pojmano i skazano niespodziewanie.

Zamiast więc ruszyć wprost ku szubienicy, wóz skręcił w stronę Ratusza.

W tłumie wybuchła głośna wrzawa.

— Będzie składać zeznania! Złoży nowe zeznania! — wołano zewsząd.

Jakiś piękny młodzieniec, ubrany na czarno jak ksiądz, stał na narożnym kamieniu przy nabrzeżu Pelletier i słysząc te krzyki gwałtownie poblądł.

— Nie lękaj się, hrabio Ludwiku — rozległ się tuż obok szydery głos — skazany nie powie ani słowa o tym, co działo się przy placu Royale.

Czarno odziany młodzieniec odwrócił się gwałtownie; skierowane do niego słowa padły z ust paryskiego tragarza, którego twarzy nie mógł dojrzeć, bo przysłaniała ją rondo szerokiego kapelusza.

Zresztą nawet jeśli piękny młodzieniec miał jakieś wątpliwości, zostały one wkrótce rozproszone.

U góry schodów prowadzących do Ratusza Favras dał znak, że chce przemówić.

Wrzawa natychmiast ucichła, jakby podmuch silnego wiatru uniósł ze sobą cały hałas.

— Panowie — rzekł Favras — słyszę, jak wokół powtarzają, że udaję się do Ratusza, aby złożyć nowe zeznanie; tak nie jest, i jeśli znajduje się wśród was ktoś, kto mógłby lękać się moich zeznań, niech będzie spokojny. Idę do Ratusza, aby podyktować testament.

I pewnym krokiem wszedł pod mroczne sklepienie, dalej ruszył schodami w górę i wkroczył do pokoju, gdzie zwykle wprowadzano skazańców, dlatego też potocznie nazywano go „izbą zeznań”.

Tam czekało na niego trzech odzianych w czerń mężczyzn, wśród których pan de Favras rozpoznał pisarza sądowego spod katedry Notre-Dame.

Skazany nie mógł sam pisać mając związane ręce, zaczął więc dyktować testament”.

Wiele mówiono o testamencie Ludwika XVI, bo wiele się mówi o królewskich testamentach. My natomiast, mając przed oczyma testament markiza de Favrasa, możemy powiedzieć tylko jedno: przeczytajcie obydwu i porównajcie je.

Skończywszy dyktować, skazany poprosił o pozwolenie przeczytania i podpisania testamentu.

Rozwiązano mu ręce; przeczytał dokument, poprawił trzy błędy ortograficzne, jakie zrobił pisarz sądowy, i na końcu każdej strony złożył podpis: „Mahi de Favras”.

Po czym wyciągnął dłonie, by mu je znowu związano; dokonał tego kat, który nie odstał od niego ani na chwilę.

Dyktowanie testamentu zajęło jednak ponad dwie godziny; lud czekający od rana niecierpliwił się coraz bardziej: wielu pocziwych ludzi przyszło z pustym żołądkiem, licząc na obiad po egzekucji, a tymczasem wciąż jeszcze byli na czczo.

Toteż z tłumu dolatywał groźny i straszny pomruk, jaki słyszano już na tym placu w dniu, gdy mordowano de Launaya, wieszano Foulona i rozszarpywano Berthiera.

Lud zaczął nawet podejrzewać, że Favras uciekł tylnymi drzwiami z Ratusza.

Atmosfera była taka, że niektórzy już proponowali, aby w miejsce Favrasa powiesić magistrackich urzędników i zburzyć Ratusz.

Szczęśliwie, około dziewiątej wieczór, skazany znów się ukazał. Żołnierzom, którzy tworzyli kordon, rozdano pochodnie; wszystkie okna w domach otaczających plac były oświetlone, tylko szubienica pozostała pogrążona w tajemniczym, strasznym mroku.

Pojawienie się skazańca powitał przeciągły ryk, a pięćdziesięciotysięczny tłum, który wypełniał plac, zakotłosał się.

Tym razem pewni byli nie tylko, że skazany nie uciekł, ale jeszcze i tego, że nie ucieknie.

Favras powiódł wzrokiem dokoła.

Potem zaś szepnął sam do siebie z ironicznym uśmiechem:

— Ani jednej karocy! Tak, wielcy panowie łatwo zapominają. Byli bardziej uprzejmi dla hrabiego Horna niż dla mnie!

— Bo hrabia Horn był mordercą, a ty jesteś męczennikiem — odpowiedział jakiś głos.

Favras odwrócił się i dojrzał tragarza z hal, którego już dwa razy spotkał na swojej drodze.

— Żegnaj, panie — powiedział Favras — mam nadzieję, że w razie potrzeby będziesz świadczył za mną.

Potem pewnym krokiem zszedł po schodach i ruszył ku szubienicy.

Gdy stawiał nogę na pierwszym szczeblu, jakiś głos zawołał:

— Skacz, markizie!

Poważnym i dźwięcznym głosem skazany odpowiedział:

— Obywatele, umieram niewinnie. Módlcie się za mnie do Boga!

Na czwartym szczeblu znów się zatrzymał i równie jasnym i pewnym głosem zawołał:

— Obywatele, wspomóżcie mnie modlitwami... Umieram niewinnie!

Na ósmym szczeblu, tym, z którego miał zostać strącony, powtórzył po raz trzeci:

— Obywatele, umieram niewinnie. Módlcie się za mnie do Boga!

Jeden z dwóch katowskich pomocników, który wchodził na drabinę tuż za nim, szepnął:

— Jak to, więc nie chcesz się uratować?

— Dzięki, przyjacielu, niech ci Bóg zapłaci za twe dobre chęci!

Potem podniósł głowę i zwracając się do kata, który jakby czekał na rozkazy, zamiast je wydawać, powiedział:

— Czyń swoją powinność!

Ledwie wyrzekł te słowa, gdy kat pchnął go i ciało markiza zawisło w powietrzu.

Podczas gdy na ten widok zgromadzony na placu de Grève tłum zakołysał się, a kilku fanatyków zaczęło nawet klaskać i wołać bis, jak po kupiecie wodewilu lub operowej arii, młodzieniec w czarnym stroju zsunął się z kamienia, przebił przez tłum i przy Pont-Neuf wskoczył w powóz bez żadnych znaków herbowych, rzuciwszy stangretowi:

— Do Luksemburga, co koń wyskoczy! Powóz ruszył galopem.

Istotnie, trzech ludzi niecierpliwie oczekiwało przybycia powozu.

Byli to hrabia Prowansji i dwaj jego zaufani ludzie, o których wspominaliśmy już w ciągu naszej opowieści.

Czekali z tym większą niecierpliwością, że mieli zasiąść do stołu o drugiej po południu, lecz tak byli niespokojni, że do wieczora nic nie jedli.

Kucharz był zrozpaczony: już po raz trzeci przygotowywał obiad, który gotów do podania za dziesięć minut, kwadrans później nadawał się już do wyrzucenia.

Tak wyglądała sytuacja w owej chwili, gdy wreszcie na wewnętrznym dziedzińcu rozległ się turkot wjeżdżającego powozu.

Hrabia Prowansji rzucił się do okna, ale dostrzegł tylko cień, który ze stopni powozu przeskoczył na najniższy stopień pałacowych schodów.

Porzucił więc okno i podbiegł w stronę drzwi; zanim tam jednak dotarł, a wiadomo, że przyszedł król Francji zawsze poruszał się z pewnym trudem, wszedł młodzieniec w czarnym stroju.

— Wasza Wysokość — rzekł — już po wszystkim. Pan de Favras umarł nie powiedziawszy ani słowa.

— Możemy więc spokojnie zasiąść do stołu, drogi Ludwiku.

— Tak, mości książę... Bóg świadkiem, że to był dzielny szlachcic!

— Jestem tego samego zdania, mój drogi — rzekł Jego Wysokość. — Więc przy deserze wypijemy za jego zdrowie, po kieliszku constance. A teraz, panowie, do stołu!

W tej samej chwili rozsunęły się podwójne drzwi i dostojni biesiadnicy przeszli z salonu do sali jadalnej.

XVIII

MONARCHIA JEST OCALONA

W kilka dni po egzekucji, którą opisaliśmy szczegółowo, by pouczyć naszych czytelników o wdzięczności, jakiej oczekiwać można od królów i książąt, mężczyzna na jabłkowitym koniu jechał stępą aleją Saint-Cloud.

Powolnej jazdy nie można było przypisać ani znużeniu jeźdźcy, ani wyczerpaniu konia: żaden nie miał za sobą długiej drogi; pianę spływającą z końskiego pyska spowodowała nie szybka jazda, lecz uporczywe i nadmierne ściąganie cugli. Jeśli zaś idzie o jeźdźcę, niewątpliwie szlachcica, jego nieskazitelne ubranie świadczyło nade wszystko o staraniu, by się nie splamić błotem, którego pełno było na drodze.

Jeźdźca hamowało nie tylko to, iż pogrążony był w głębokich rozmyślaniach, lecz chyba także troska, ażeby przybyć na miejsce o określonej godzinie, co jeszcze nie wybiła.

Był to mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, którego szpetota rysów znamionowała silny charakter: głowa była za duża, policzki nalane, twarz poorana śladami ospy, łatwo nabierająca kolorów cera, oczy skłonne do błyskania gniewem, nawykłe do sarkazmów łakome usta. Człowiek ten od pierwszego wejrzenia budził przekonanie, iż przeznaczona mu jest ważna polityczna pozycja, a jego wystąpienia wywołują wielką wrzawę.

Fizjognomia była jednak jakby zmacona jedną z owych organicznych chorób, z którymi próżno walczą najsilniejsi nawet osobnicy: cerę miał ziemistą i szarą, oczy zaczerwienione zmęczeniem, policzki obwisłe, a całe ciało zdradzało ociężałość i początki niezdrowej otyłości.

Dotarwszy do końca alei bez wahania wjechał w bramę wiodącą na pałacowy dziedziniec, badając wzrokiem jego głębie.

Po prawej stronie, między dwoma budynkami, które tworzyły rodzaj zaułka, oczekiwał go jakiś człowiek.

Dał jeźdźcowi znak, by podjechał bliżej.

Była tam otwarta furta; czekający minął ją, a jeździec za nim, i tak znaleźli się na drugim dziedzińcu.

Tam mężczyzna przystanął — miał na sobie czarny surdut, spodnie i kamizelkę — a rozejrzawszy się, czy w pobliżu nie ma nikogo, zdjął kapelusz i podszedł do jeźdźcy.

Ten wyszedł mu niejako naprzeciw, bo pochylając się nad końską szyją zapytał półgłosem:

— Czy pan Weber?

— Czy hrabia de Mirabeau? — odparł pytaniem na pytanie.

— We własnej osobie — odrzekł jeździec.

I ruchem dużo lżejszym, niż można się było spodziewać, zeskoczył na ziemię.

— Proszę wejść — powiedział Weber — i niech pan hrabia zechce chwilę zaczekać, aż sam odprowadzę konia do stajni.

Mówiąc to otworzył drzwi do salonu, którego drugie drzwi i okna wychodziły na park.

Mirabeau wszedł i wykorzystał czas, kiedy Weber pozostawił go samego, by zdjąć miękkie skórzane buty z cholewami, spod których ukazały się piękne jedwabne pończochy i nieskazitelnie lśniące lakierki.

Jak to zapowiedział, Weber wrócił po kilku minutach.

— Proszę, panie hrabio, królowa czeka.

— Królowa na mnie czeka! — odrzekł Mirabeau. — Czyżbym miał nieszczęście się spóźnić? Wydawało mi się, że przybyłem punktualnie.

— Chciałem powiedzieć, hrabio, że królowa oczekuje pana z niecierpliwością... Proszę tędy.

Weber otworzył drzwi wiodące do ogrodu i zapuścił się w labirynt alejek, które prowadziły w najmniej uczęszczaną i najwyżej położoną część parku.

Tam, pośród posepnych drzew wyciągających odarte z liści konary, w szarym i smutnym powietrzu stał niewielki pawilonik, potocznie nazywany „kioskiem”.

Okiennice domku były szczelnie zamknięte, z wyjątkiem dwóch lekko uchylonych, przez które, jak przez strzelnice wieży, sączyły się smugi światła, ledwie rozjaśniające wnętrze.

Na kominku stały dwa kandelabry z zapalonymi świecami, a palenisko płonęło wielkim ogniem.

Służący za przewodnika Weber wprowadził mężczyznę do małego przedpokoju. Potem zaskrobał lekko do drzwi i uchyliwszy je oznajmił:

— Pan hrabia Riqueti de Mirabeau. — I wycofał się, aby przepuścić hrabiego.

Gdyby w chwili gdy Mirabeau go mijał, nadstawił był ucha, na pewno usłyszałby, jak mocno bije serce w tej szerokiej piersi.

Na wieść o obecności hrabiego siedząca w najdalszym kącie pawilonu kobieta wstała i pełna wahań czy nawet przerażenia zrobiła kilka kroków w jego stronę.

Tą kobietą była królowa.

Jej serce też biło gwałtownie: stał przed nią człowiek znieawidzony, oczerniany, złowrogi; tego człowieka oskarżano o wywołanie zająć z 5 i 6 października; do niego w pewnym momencie dwór zwrócił się o pomoc, odrzuconą jednak przez dworaków; ale ten człowiek dał przecież odczuć, że znowu trzeba z nim paktować, manifestując to w dwóch wspaniałych, pełnych gromów mowach, które doprowadził wręcz do doskonałości.

Pierwszym wybuchem gniewu była jego apostrofa do kleru.

Drugim — mowa, gdzie wyjaśnił, w jaki sposób przedstawiciele narodu, posłowie starostw ziemskich, stali się Zgromadzeniem Narodowym.

Mirabeau zbliżył się ze swobodą i wdziękiem, które zdumiały królową, tak dalece nie pasowały do jego ciężkiej postaci.

Zrobiwszy kilka kroków skłonił się z szacunkiem i czekał.

Królowa przerwała milczenie i wzruszonym nieco głosem rzekła:

— Panie hrabio, w swoim czasie doktor Gilbert zapewnił mnie, że jesteś skłonny przyłączyć się do nas.

Mirabeau skłonił się na znak potwierdzenia. Królowa mówiła dalej:

— Wówczas uczyniono pierwszy krok dla osiągnięcia porozumienia, na co odpowiedziałeś projektem utworzenia ministerstwa, prawda?

Mirabeau skłonił się powtórnie.

— Nie z naszej to winy, panie hrabio, pierwszy projekt nie doszedł do skutku.

— Wierzę, pani — odrzekł Mirabeau — zwłaszcza jeśli chodzi o Waszą Królewską Wysokość. To wina ludzi, którzy tylko mówią, że są oddani sprawie monarchii!

— Cóż, panie hrabio, to jedno z nieszczęść naszego położenia. Królowie nie mogą już sobie wybierać ani przyjaciół, ani wrogów; niekiedy zaś przyjmować muszą poświęcenia, które okazują się zgubne. Otoczeni jesteśmy ludźmi, co chcą nas ratować, a tymczasem nas gubią; najlepszym tego przykładem w stosunku do twojej osoby jest posunięcie wykluczające w przyszłym Zgromadzeniu Narodowym udział tych, co teraz doń wchodzi. Czy chcesz, hrabio, abym zacytowała przykład takiego posunięcia skierowanego przeciwko mnie? Czy uwierzysz, że jeden z moich najwierniejszych stronników, człowiek, który — jestem tego pewna — gotów byłby dać za nas życie, bez uprzedzenia przyprowadził na królewski obiad publiczny wdowę i dzieci markiza de Favrasa, wszystkich w ciężkiej żałobie? Gdy ich ujrzałam, pierwszym moim

odruchem było wstać, wyjść im naprzeciw i posadzić między sobą a królem dzieci człowieka, który tak odważnie oddał za nas życie — bo ja, hrabio, nie należę do tych, co wypierają się przyjaciół!... Wszystkie oczy zwrócone były na nas. Czekano, co uczynimy. Odwracam się... i czy wiesz, kogo widzę cztery kroki za moim fotelem? Santerre'a! Przywódcę przedmieść!... Opadłam na fotel, niemal płacząc z wściekłości, i nie śmiałam nawet spojrzeć na nieszczęsną wdowę i sieroty. Rojaliści potępiają mnie, że na przekór wszystkiemu nie okazałam zainteresowania nieszczęsną rodziną, rewolucjoniści wpadną w gniew sądząc, iż zaproszeni zostali za moją zgodą. Och, panie hrabio — mówiła dalej królowa kiwając głową — czeka nas zguba, bo naszymi wrogami są ludzie genialni, zaś obrońcami ludzie godni wprawdzie szacunku, ale nie mający żadnego wyobrażenia o naszym położeniu.

I królowa z westchnieniem uniosła do oczu chusteczkę.

— Pani — odrzekł Mirabeau wzruszony tą wielką niedolą, której przed nim nie kryła bądź ze zręcznego wyrachowania władczyni, bądź też z kobiecej słabości, ukazując własne udręki — gdy mówisz o ludziach, którzy cię atakują, mam nadzieję, że nie mnie masz na myśli? Wyznawałem poglądy monarchistyczne także wówczas, gdy widziałem tylko słabości królewskiego dworu, a nie znałem ani duszy, ani myśli dostojnej córki Marii Teresy. Walczyłem o prawa tronu, gdy moja osoba budziła tylko nieufność, a wszystkie moje starania, zatrute ludzką złośliwością, zdawały się jedynie zasadzkami. Służyłem królowi, choć wiedziałem, że od tego sprawiedliwego, lecz oszukiwanego monarchy nie otrzymam ni podziękii, ni nagrody. Czegóż więc nie uczyniłbym teraz, pani, kiedy zaufanie podwaja moją odwagę, a wdzięczność, jaką wzbudziło przyjęcie Waszej Królewskiej Mości, zmienia moje poglądy w obowiązek. Wiem, pani, jest późno, bardzo późno — ciągnął Mirabeau kiwając głową. — Być może monarchia proponując mi jej ocalenie, tak naprawdę proponuje mi, abym wraz z nią zginął! Gdybym się był zastanowił, może przyjąłbym łaskę królewskiej audiencji w innych okolicznościach niż obecnie, kiedy to Najjaśniejszy Pan wydał Izbie sławną „czerwoną księgę”, czyli honor własnych przyjaciół.

— Och, panie hrabio! — zawołała królowa. — Czyżbyś uważał króla za współnika owej zdrady i nie wiedział, jak miała się ta sprawa? Czerwona księga, której domagano się od króla, powierzona została komitetowi pod warunkiem zachowania ścisłej tajemnicy, komitet kazał ją jednak wydrukować. To nadużycie ze strony komitetu, a nie zdrada króla wobec przyjaciół.

— Niestety, pani, wiesz chyba, jakie powody skłoniły komitet do opublikowania księgi, co zresztą potępiam jako człowiek honoru i piętnuję jako poseł. W chwili gdy król zaprzysięgał miłość Konstytucji, utrzymywał stałego agenta w Turynie, wśród śmiertelnych wrogów tejże Konstytucji. Gdy mówił o reformach skarbowych i zdawał się akceptować te, które proponowało Zgromadzenie, w Trèves istniały nadal, utrzymywane z królewskiej szkatuły, wielka i mała stajnia, a zarządzał nimi książę de Lambesc, śmiertelny wróg paryskiego ludu, którego powieszenia, choćby symbolicznego, lud domaga się co dzień. Nadal wypłaca się olbrzymie sumy hrabiemu d'Artois, księciu de Condé i wszystkim emigrantom, mimo wydanego przed dwoma miesiącami dekretu kasującego te pensje... Trzeba wprawdzie dodać, że król zapomniał zatwierdzić ten dekret. Cóż chcesz, pani! Przez dwa miesiące usiłowano dociec, na co też król wydał sześćdziesiąt milionów, i nic nie znaleziono, a król, choć go proszono i błagano, odmówił odpowiedzi; komitet poczuł się więc zwolniony z danej obietnicy i kazał wydrukować czerwoną księgę. Czemu król wypuszcza z rąk broń, którą tak łatwo obrócić można przeciwko niemu?

— A więc, panie hrabio — zawołała królowa — gdyby spotkał cię zaszczyt udzielania rad królowi, nie doradzałbyś mu takich słabości, które go gubią, które... och, tak, powiedzmy to otwarcie... które plamią jego honor?

— Gdyby powierzono mi zaszczyt doradzania królowi, Najjaśniejsza Pani — podjął Mirabeau — byłbym u jego boku obrońcą władzy królewskiej ograniczonej ustawami i apostołem wolności

gwarantowanej królewską władzą. Wolność ta, pani, ma trzech wrogów: duchowieństwo, arystokrację i parlamenty; duchowieństwo nie przystaje już do naszego wieku, zresztą zniszczył je wniosek pana Talleyranda; arystokracja należy do każdej epoki; sądzą więc, że trzeba się z nią liczyć, gdyż bez arystokracji nie ma monarchii, ale należy ją ograniczać, co jest możliwe jedynie przy porozumieniu ludu z królewskim autorytetem. Otóż władza monarsza nigdy dobrowolnie nie sprzymierzy się z ludem, dopóki istnieć będą parlamenty, podtrzymują one bowiem u króla i arystokracji fatalną nadzieję przywrócenia dawnego porządku. Zatem, po unicestwieniu duchowieństwa, zniszczeniu parlamentów, wzmocnienie władzy wykonawczej, odrodzenie autorytetu monarchy pojednanego z wolnością — oto cały mój program polityczny, pani; jeśli taki jest program króla, niech go przyjmie; jeśli mu nie odpowiada, niech go odrzuci.

— Pani hrabio — rzekła królowa olśniona jasnością poglądów tego nieprzeciętnie rozumnego człowieka, poglądów rozciągających się na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość — nie wiem, czy król przyjąłby taką politykę, wiem jednak, że gdybym ja miała jakąkolwiek władzę, byłby to mój program. Zechciej więc, hrabio, powiedzieć mi, w jaki sposób osiągnąć ten cel; słucham pana nie tylko z uwagą i zaciekawieniem, ale wręcz z głęboką wdzięcznością.

Mirabeau rzucił szybkie spojrzenie na królową, spojrzenie orła badającego głębię jej serca, i dostrzegł, że jeśli nie była w pełni przekonana, obudził przecież jej zainteresowanie.

Ten triumf nad kobietą tak wyjątkową jak Maria Antonina niezwykle schlebiał miłości własnej Mirabeau.

— Pani — powiedział — straciliśmy, albo prawie straciliśmy Paryż, ale pozostały nam jeszcze gęsto zaludnione prowincje, które odegrać mogą doniosłą rolę. Dlatego uważam, że król powinien opuścić Paryż, ale nie Francję; niech się wycofa do Rouen, gdzie stacjonuje jego armia; niech stamtąd publikuje zarządzenia popularniejsze od uchwał Zgromadzenia; zniknie wówczas groźba wojny domowej, bo król będzie większym rewolucjonistą niż Rewolucja.

— Ale czy ta rewolucja, niezależnie od tego, czy nas wyprzedza lub za nami podąża, nie przeraża cię, hrabio? — zapytała królowa.

— Niestety, pani, chyba lepiej niż ktokolwiek inny rozumiem, że trzeba jej coś dać, rzucić jej jakiś ochłap; powiedziałem już Waszej Królewskiej Mości, że próbować odbudowywać monarchię na dawnych, zburzonych przez rewolucję podstawach, to przedsięwzięcie ponad ludzkie siły. We Francji wszyscy się do tej rewolucji przyczynili, od króla poczynając, a na ostatnim z jego poddanych kończąc, zamiarem, działaniem lub zaniechaniem. Dlatego monarchia, której chcę bronić, nie jest tą dawną monarchią; pragnę ją przekształcić, odrodzić, słowem, stworzyć formę rządów zbliżoną do tej, która zaprowadziła Anglię na szczyty potęgi i chwały. Czy król, który w swojej wyobraźni dostrzegł więzienie i szafot Karola I — jak mi o tym wspominał doktor Gilbert — nie zadowoliliby się tronem Wilhelma III lub Jerzego I?

Królowa wzdrygnęła się, bo słowa hrabiego przypomniały jej pałac w Taverney i rysunek przedstawiający narzędzie śmierci wynalezione przez doktora Guillotina.

— Och, pani hrabio — zawołała — zwróć nam taką monarchię, a przekonasz się, czy rzeczywiście jesteśmy niewdzięcznikami, za jakich się nas uważa...

— To właśnie uczynię, pani — wykrzyknął z kolei Mirabeau. — Niech tylko król mnie poprze, zaś królowa zachęci, a składam tu, u twoich stóp, przysięgę uczciwego szlachcica, że dotrzymam danej obietnicy albo zginę.

— Hrabio, hrabio — rzekła Maria Antonina — pamiętaj, że przysięgę tę składasz nie wobec kobiety, lecz wobec liczącej pięć wieków dynastii!... Wobec siedemdziesięciu władców Francji, od Faramunda po Ludwika XV, którzy śpią w swoich grobach, ale którzy, jeśli runie nasz tron, zostaną zdetronizowani wraz z nami!

— Wiem, czego się podejmuję, pani. Wiem, że to olbrzymie zobowiązanie, ale nie jest ono większe ani mocniejsze niż siła mojej woli i poświęcenie. Gdy będę pewny sympatii królowej i zaufania mego monarchy, przystąpię do dzieła.

— Jeśli tego tylko żądasz, hrabio, zapewniam cię o jednym i o drugim.

I skłoniła głowę z uśmiechem syreny, który jedną jej wszystkie serca.

Mirabeau pojął, że audiencja jest zakończona.

Ambicja polityka została zaspokojona, ale pysze szlachcica czegoś jeszcze brakowało.

— Pani — rzekł z pełną szacunku, lecz śmiałą kurtuazją — kiedy jej dostojna matka, cesarzowa Maria Teresa, pozwalała któremuś z poddanych stanąć przed swym majestatem, nigdy nie żegnała go nie podawszy dłoni do ucałowania.

Co rzekłszy stał i czekał.

Królowa wpatrywała się w tego obłaskawionego lwa, który marzył o tym, by położyć się u jej stóp. Po czym z uśmiechem triumfu na ustach wyciągnęła piękną dłoń, zimną jak alabaster i niemal równie przezroczystą.

Mirabeau pochylił się nad tą dłonią, dotknął jej ustami, a potem podnosząc dumnie głowę rzekł:

— Przez ten pocałunek monarchia została ocalona! Biedny genialny człowiek wyszedł wzruszony i radosny, pełen głębokiej wiary, że przepowiednia się spełni.

XIX POWRÓT NA FOLWARK

Podczas gdy Maria Antonia ożywia zgnębione serce nadzieją i zajęta ocalaniem królowej na chwilę zapomina o cierpieniach kobiety, podczas gdy Mirabeau niby starożytny atleta Alcidamas marzy, że sam podtrzyma monarchię, która chyli się ku upadkowi i grozi pogrzebaniem go pod swymi, gruzami, przenieśmy zmęczonego polityką czytelnika w krąg skromniejszych bohaterów i w świeższą atmosferę.

Pamiętamy, jakie obawy wkradły się do serca ojca Billota podczas drugiej podróży do stolicy „La Fayette’a z Haramont”, kiedy to Pitou wezwał wieśniaka na jego gospodarstwo, a raczej ojca do córki.

Obawy te nie były przesadzone.

Powrót ojca Billota miał miejsce na trzeci dzień po sławetnej nocy, kiedy to nastąpiła ucieczka Sebastiana Gilberta, wyjazd wicehrabiego Izydora de Charny i omdlenie Katarzyny na drodze z Villers-Cotterêts do Pisseleux.

W innym rozdziale tej książki opowiedzieliśmy, jak Pitou, zaniósłszy Katarzynę do domu, dowiedział się od niej pośród łez i szlochów, że wypadek ten spowodował nagły wyjazd Izydora; zdruzgotany tym wyznaniem wrócił do Haramont i tam zastał list Sebastiana, po czym natychmiast wyruszył do Paryża.

Widzieliśmy go w Paryżu, jak czekał na doktora Gilberta i Sebastiana tak zaniepokojony, że nie przyszło mu nawet do głowy wspomnieć Billotowi o wydarzeniach, jakie miały miejsce w domu.

Dopiero gdy uspokoił się co do losu Sebastiana, ujrawszy, jak wraca z ojcem do domu ulicą Saint-Honore i dowiedziawszy się od niego samego szczegółów wędrówki i spotkania z Izydorem, który wziął go na konia i dowiózł do Paryża, Pitou przypomniał sobie Katarzynę, folwark, matkę Billot i zaczął mówić o złych zbiorach, nieustannych deszczach i o omdleniu Katarzyny.

Mówiliśmy już, że właśnie ta wiadomość szczególnie poruszyła Billota, a nawet skłoniła, by prosić Gilberta o urlop, którego mu tamten nie odmówił.

Przez całą drogę Billot wypytywał Pitou o ten wypadek, bowiem jako dzielny wieśniak kochał folwark, jako dobry mąż kochał żonę, ale nade wszystko kochał swoją córkę, Katarzynę.

Zarazem jednak niezachwiane poczucie honoru i niewzruszone zasady uczciwości sprawiły, iż ta rodzicielska miłość w pewnych okolicznościach uczyniłaby go równie nieugiętym sędzią, jak czułym był ojcem.

Wypytywany przezeń Pitou odpowiadał.

Znalazł Katarzynę leżącą w poprzek drogi bez ruchu i czucia; myślał, że była martwa; zrozpaczony uniósł ją i położył jej głowę na swoich kolanach; po chwili spostrzegł, że jeszcze oddycha, przeto spieszenie zaniósł ją do domu, gdzie z pomocą matki Billot ułożył omdlałą dziewczynę na łóżku.

Podczas gdy matka lamentowała, brutalnie chlusnął dziewczynie zimną wodą w twarz. Chłód sprawił, że Katarzyna otworzyła oczy, a Pitou, uznawszy, że nie jest już potrzebny, wrócił do siebie.

Resztę, to znaczy wszystko, co miało związek z Sebastianem, ojciec Billot już słyszał i nie był ciekaw powtórnego opowiadania.

Natomiast wciąż powracał do Katarzyny, gubiąc się w dociekaniach na temat wypadku i jego możliwych przyczyn.

Domysły te wyrażały się w formie niezliczonych pytań kierowanych do Pitou, na które ten dyplomatycznie odpowiadał: „Nie wiem”.

Niemale to było poświęcenie ze strony Pitou, bo jak pamiętamy, Katarzyna z okrutną szczerością wszystko mu wyznała, a zatem wiedział.

Wiedział, że Katarzyna zemdląca w miejscu, gdzie ją znalazł, bo omal nie pękło jej serce z bólu po rozstaniu z Izydorem.

Ale tego Pitou nie powiedziałaby wieśniakowi za żadne skarby świata.

W myśli czynił bowiem porównania i owładnęło nim ogromne współczucie.

Pitou kochał Katarzynę, ale przede wszystkim ją podziwiał; w swoim czasie widzieliśmy już, jak przez ten niedoceniany i źle nagradzany podziw i miłość cierpiało serce Pitou i buntował się jego rozum.

Ale pełne egzaltacji wybuchy i srogie cierpienia, choć nieraz powodowały takie ściskanie w żołądku, że Pitou musiał o godzinę czy nawet dwie opóźnić spożycie posiłku, nigdy przecież nie doprowadziły go do zasłabnięcia czy omdlenia.

Pitou stanął więc przed uzasadnionym dylematem, który zgodnie ze swym zamiłowaniem do logiki podzielił na trzy części:

„Jeśli panna Katarzyna tak gorąco kocha pana Izydora, że przy rozstaniu z nim mdleje, znaczy to, że kocha go bardziej niż ja ją kocham, bo nigdy nie zdarzyło mi się zemdleć, gdy się z nią żegnałem”.

Po tym pierwszym twierdzeniu przechodził do drugiego:

„Jeśli kocha go bardziej, niż ja ją kocham, znaczy to także, że cierpi bardziej ode mnie; w takim razie jej cierpienia są ogromne”.

Stąd wiodła droga do trzeciej części dylematu, czyli do wniosku, tym logiczniejszego, że jak każdy właściwy wniosek nawiązywał do wstępu:

„Jasne, że cierpi więcej niż ja cierpię, gdyż mdleje, a ja nigdy nie zemdlałem”.

Ogromne współczucie czyniło Pitou niemym wobec ojca Billota, gdy wypytywał o Katarzynę, a jego milczenie powiększało jeszcze niepokój wieśniaka, który objawiał się uderzeniami bata, jakimi dzielny wieśniak chłostał zamasyżycie i bez wytchnienia grzbiet konia wynajętego w Dammartin; dzięki temu już o czwartej po południu koń, bryczka i obaj podróżni stanęli przed bramą gospodarstwa, a szczekanie psów zaraz oznajmiło ich przybycie.

Ledwo wóz przystanął, ojciec Billot zeskoczył na ziemię i szybko wszedł do zagrody.

Ale nieoczekiwana przeszkoda wyrosła mu na drodze u progu pokoju córki.

Był to doktor Raynal (nazwisko to wymienialiśmy już chyba w ciągu tej opowieści), który oświadczył, że stan Katarzyny nie pozwala na żadne wzruszenia, gdyż najmniejszy wstrząs mógłby okazać się nie tylko niebezpieczny, ale nawet śmiertelny. Dla Billota był to nowy cios.

Wiedział o omdleniu córki, ale przecież Pitou był świadkiem, że otwarła oczy i odzyskała przytomność, więc, jeśli tak rzecz można, ani przez chwilę nie był zaniepokojony stanem jej zdrowia, a tylko przyczynami i moralnymi skutkami wydarzenia.

A oto nieszczęście chciało, aby oprócz przyczyn i moralnych skutków w grę wchodziły także skutki fizyczne.

Było nim zapalenie mózgu, które ujawniło się poprzedniego ranka i nasilało coraz bardziej.

Doktor Raynal zajęty był zwalczaniem tej mózgowej gorączki wszystkimi środkami, jakie w podobnych przypadkach stosowali adepci dawnej medycyny, czyli puszczeniem krwi i przykładaniem plastrów gorczycznych.

To intensywne leczenie jak dotąd odnosiło jednak niewielki skutek; walka choroby z lekiem dopiero się zaczynała i od rana Katarzyna majaczyła.

Widać w malignie dziewczyna wygadywała dziwne rzeczy i pod pretekstem oszczędzenia chorej zbytecznych wzruszeń doktor Raynal oddalił jej matkę, a teraz usiłował nie dopuścić do niej ojca.

Matka Billot siedziała na stołku pod okapem olbrzymiego kominka, z twarzą ukrytą w dłoniach, obojętna na wszystko, co działo się wokół.

Nie zwróciła uwagi na turkot bryczki, szczekanie psów i wejście Billota do kuchni, a ocknęła się z ponurej zadumy dopiero słysząc głośną rozmowę z doktorem.

Uniosła głowę, otworzyła oczy, wbiła otępiały wzrok w męża i zawołała:

— Och, mój stary! — I wyciągnąwszy ramiona rzuciła mu się w objęcia, tuląc się do piersi.

Mąż popatrzył na nią z przerażeniem, jakby jej nie poznawał.

— Co się tu dzieje? — zapytał, a pot wystąpił mu na czoło.

— Dzieje się to — odparł doktor Raynal — że pańska córka ma tak zwane ostre zapalenie mózgu, a kto na to choruje, przyjmować może tylko niektóre rzeczy i widywać tylko niektóre osoby.

— Panie doktorze — wypytywał Billot — czy to niebezpieczna choroba? Czy na to się umiera?

— Umrzeć można na każdą chorobę, jak się jest źle leczonym, drogi panie Billot. Jeśli jednak pozwolisz pan leczyć córkę moją metodą, nie umrze.

— Na pewno, doktorze?

— Ręczę za to, ale trzeba, by przez najbliższe dwa czy trzy dni do jej pokoju nie wchodził nikt oprócz mnie i wskazanych przeze mnie osób.

Billot westchnął głęboko; wydawał się zwyciężony, ale podjął jeszcze jedną próbę:

— Czy mógłbym chociaż ją zobaczyć? — zapytał jak dziecko, które prosi o największą łaskę.

— A jeśli ją pan zobaczy i ucałuje, czy da mi pan spokój przez trzy dni, nie prosząc o nic więcej?

— Przysięgam, że tak, doktorze.

— Wobec tego, proszę.

Otworzył drzwi pokoju Katarzyny i ojciec Billot mógł zobaczyć dziewczynę z okładem lodu na czole, błędnym wzrokiem i twarzą rozpaloną gorączką.

Z ust chorej dobiegały jakieś urywane słowa i kiedy Billot przytknął swoje blade i drżące wargi do jej wilgotnego czoła, wydało mu się, że spośród tych beładnych słów wyłowił imię Izydora.

Na progu kuchni stała matka Billot z rękami złożonymi jak do modlitwy, spoza ramienia wieśniaczki wspinając się na palce wyglądał Pitou, a także dwóch czy trzech parobków, którzy akurat znaleźli się tutaj, ciekawi zobaczyć na własne oczy, jak się ma ich panienka.

Wierny przyrzeczeniu ojciec Billot wycofał się, ucałowawszy swoje dziecko; odszedł jednak ze zmarszczonymi brwiami i ponurym spojrzeniem, mrużąc pod nosem:

— No, widzę, że był już najwyższy czas wracać. Wszedł do kuchni, a żona machinalnie udała się za nim.

Pitou też chciał się wycofać, lecz doktor pociągnął go za rękaw mówiąc:

— Nie oddalaj się, muszę z tobą pomówić.

Pitou spojrzał zdziwiony i już chciał zapytać, na co może się przydać doktorowi, gdy ten tajemniczo przytknął palec do ust, nakazując milczenie.

Pitou znieruchomiał więc w kuchni, podobny — choć w bardziej groteskowy niż poetycki sposób — do tych starożytnych bogów, którzy ze stopami wrośniętymi w kamień wyznaczali granice pól. Pięć minut później uchyliły się drzwi od pokoju Katarzyny i rozległ się głos doktora.

— Co? Co takiego? — zapytał chłopak wyrwany z głębokiej zadumy. — Czego pan ode mnie chce, panie Raynal?

— Pomóż pani Clément podtrzymać Katarzynę, kiedy ja będę puszczać krew po raz trzeci.

— Po raz trzeci — szepnęła matka Billot. — Po raz trzeci będzie mojemu dziecku puszczał krew! O Boże, mój Boże!

— Kobieto, kobieto — skarcił ją surowo Billot — nie byłoby tego wszystkiego, gdybyś lepiej czuwała nad swoją córką!

Po czym udał się do swego pokoju, którego nie widział od trzech miesięcy, zaś Pitou, mianowany przez doktora Raynala pomocnikiem, wszedł do pokoju chorej.

XX

PITOU JAKO PIEŁĘGNIARZ

Pitou był niesłychanie zdziwiony, że może się na coś przydać doktorowi Raynalowi; ale zapewne jeszcze bardziej zdziwiłaby go wiadomość, iż doktor oczekuje od niego raczej pomocy moralnej niż fizycznej przy łożu chorej.

Istotnie, doktor zauważył, że Katarzyna w swoich majaczeniach prawie zawsze łączy imiona Izydora i Pitou.

Były to, jak pamiętamy, ostatnie dwie osoby, które mogły pozostać w pamięci dziewczyny: Izydor, gdy zapadła w omdlenie, i Pitou, gdy odzyskała przytomność.

Chora wprawdzie wymawiała każde z tych imion inaczej i doktor Raynal — nie mniej spostrzegawczy niż jego sławny imiennik, autor *Historii filozoficznej obu Indii* — szybko doszedł do wniosku, że z dwóch mężczyzn, których imiona chora wymawiała z różnym akcentem, ale zawsze z uczuciem, Anioł Pitou był z pewnością jej przyjacielem, a Izydor de Charny kochankiem; nie widział więc żadnych przeszkód, a przeciwnie, uznał za wskazane, aby przy chorej znalazł się przyjaciel, z którym mogłaby rozmawiać o ukochanym.

Dla doktora Raynala bowiem — nie poddając w wątpliwość bystrości jego umysłu powiemy szybko, że sprawa była nader prosta — wszystko stało się jasne niczym słońce; wystarczyło, aby postąpił tak, jak się to czyni w medycynie sądowej: po prostu zebrał fakty i cała prawda ukazała się jego oczom.

W Villers-Cotterets wszyscy wiedzieli, że w nocy z 5 na 6 października w Wersalu zabity został Jerzy de Charny, a następnego wieczora jego brat, Izydor, wyruszył do Paryża, wezwany, tam przez hrabiego de Charny.

Otóż Pitou znalazł zemdloną Katarzynę na drodze z Boursonne do Paryża. Nieprzytomną dziewczynę przyniósł do domu, a wydarzenie to było początkiem zapalenia mózgu. W majakach Katarzyna usiłowała zatrzymać jakiegoś odjeżdżającego, a miał on na imię Izydor.

Jak widać, doktorowi nietrudno przyszło odgadnąć sekret Katarzyny, który był tylko tajemnicą serca.

W takiej sytuacji doktor przeprowadził następujące rozumowanie:

„Czego najbardziej potrzebuje chory na zapalenie mózgu? — Spokoju.

Co może ukoić serce Katarzyny? — Wiadomość o losie ukochanego.

Kogo może prosić o te wiadomości? — Tego, kto mógłby coś wiedzieć.

A kto nim jest? — Pitou, bo właśnie wrócił z Paryża.”

Rozumowanie to nie kosztowało doktora wiele wysiłku, a było zarazem proste i logiczne.

Niemniej Pitou został początkowo zatrudniony wyłącznie w charakterze pomocnika chirurga, choć doktor mógł się doskonale obyć bez niego, bo chodziło nie o nowe puszczenie krwi, a tylko o otwarcie poprzedniego nacięcia.

Doktor delikatnie ujął rękę Katarzyny, wyprostował ją, zdjął tampon zamykający ranę, rozsunął palcami nie zabliźnione brzegi i po chwili trysnęła krew.

Na widok krwi, za którą z radością oddałby własną, Pitou poczuł, że siły go opuszczają.

Padł na fotel pani Clément, zakrył dłonią twarz i zaczął szlochać, przy każdym chlipnięciu powtarzając płynące z głębi serca słowa:

— O, panno Katarzyno! Biedna panno Katarzyno!

Wezwaniom tym towarzyszyło powtarzane w myśli rozumowanie, możliwe dzięki podwójnej pracy umysłu, który zajmować się może jednocześnie terażniejszością i przeszłością:

„Ona na pewno bardziej kocha pana Izydora; niż ja ją Kocham! I na pewno bardziej cierpi, niż ja kiedykolwiek cierpiałem, bo przecież jej trzeba puszczać krew z powodu zapalenia mózgu i majaczeń, dwóch bardzo niemiłych rzeczy, na które ja nie cierpię!”

Doktor, upuszczając znowu dziewczynie dwie miseczki krwi, nie tracił z oka Pitou i gratulował sobie, że tak trafnie odgadł w nim oddanego przyjaciela chorej.

Tak jak przypuszczał doktor, upuszczenie niewielkiej ilości krwi obniżyło gorączkę: tętnice na skroniach przestały tak mocno pulsować, świszczący dotąd oddech przycichł i stał się równiejszy, tętno ze stu dziesięciu spadło do osiemdziesięciu i wszystko wskazywało, że nadchodząca noc będzie dla Katarzyny spokojniejsza.

Doktor Raynal także odetchnął z ulgą. Wydał pani Clément niezbędne polecenia, w tym jedno nieco dziwne, aby przespała się dwie lub trzy godziny w ciągu nocy, gdy w czuwaniu wyręczy ją Pitou, i skinąwszy na chłopca, by mu towarzyszył, opuścił pokój.

W kuchni matka Billot siedziała po ciemku pod wielkim okapem kominka.

Biedna kobieta tak była przytępiona, że ledwie rozumiała, co doktor do niej mówił.

A przecież dla jej matczynego serca były to pocieszające słowa.

— Odwagi, matko Billot, odwagi — powiedział doktor — jest tak dobrze, że na razie trzeba być dobrej myśli.

Nieszczęsna zdawała się wracać z tamtego świata.

— Drogie doktorze, czy to aby prawda?

— Tak, noc będzie spokojna. Nie należy się jednak niepokoić, gdyby z pokoju córki dochodziły jakieś krzyki, a przede wszystkim nie trzeba tam wchodzić.

— O Boże, mój Boże! — westchnęła z głębokim bólem. — Jakie to smutne, że matka nie może wejść do pokoju własnego dziecka.

— Ani matka, ani ojciec — odparł doktor. — Tego absolutnie wymagam.

— Więc kto będzie czuwał przy biednym dziecku?

— Nie ma powodu do niepokojów. Będzie tam pani Clément i Pitou.

— Jak to, Pitou?

— Tak, Pitou. Właśnie odkryłem w nim nadzwyczajne zdolności lekarskie. Teraz zabieram go do Villers-Cotterêts, gdzie aptekarzowi każe przygotować miksturę. Pitou ją przyniesie, a pani Clément podawać będzie chorej po łyżeczkę; gdyby zaszło coś niespodziewanego, Pitou, który razem z panią Clément ma czuwać przy Katarzynie, w dziesięć minut znajdzie się u mnie. Prawda, Pitou?

— W pięć minut, panie doktorze — odparł Pitou z taką pewnością siebie, że jego ton musiał rozproszyć wszelkie wątpliwości słuchaczy.

— A nie mówiłem! — powiedział doktor Raynal.

— Dobrze, niech i tak będzie — zgodziła się matka Billot. — Proszę tylko powiedzieć słowo pociechy biednemu ojcu.

— Gdzie on jest?

— Tu, w sąsiednim pokoju.

— To zbyt daleko — odezwał się głos od progu — wszystko słyszałem.

Trzy osoby rozmawiające w kuchni aż drgnęły na dźwięk tego niespodziewanego głosu, a odwróciwszy się dostrzegły w otwartych drzwiach pobladłego gospodarza.

Jakby to było wszystko, co miał do wysłuchania i powiedzenia, Billot wrócił do swego pokoju nie czyniąc żadnej uwagi na temat zaleceń podjętych przez doktora Raynala na najbliższą noc.

Pitou dotrzymał słowa: po kwadransie był już z powrotem z flaszką mikstury zaopatrzoną w etykietę i pieczęć imię pana Pacquenauda, aptekarza w Villers-Cotterêts z dziada pradziada.

Posłaniec minął kuchnię i wszedł do pokoju Katarzyny nie napotkawszy żadnej przeszkody i przez nikogo nie nagabywany; jedynie w przejściu pani Billot rzuciła mu pytanie:

— To ty, Pitou?

— Tak, pani Billot — odpowiedział szybko.

Jak to przewidział doktor Raynal, Katarzyna spała dosyć spokojnie; obok niej, na ogromnym fotelu, z nogami opartymi o wilka siedziała pielęgniarka pogrążona w półśnie, właściwym tej szacownej grupie społecznej, która nie mając prawa zasnąć ani siły, by pozostać przebudzoną, przypomina dusze, którym zakazano zejścia do krainy cieni, a które nie mogąc powrócić na świat, wiecznie błakają się na granicy czuwania i snu.

W tym stanie półuśpiania pani Clément odebrała z rąk Pitou butelkę z lekarstwem, odkorkowała ją i postawiła na nocnym stoliku, a tuż obok srebrną łyżeczkę, aby chora nie musiała czekać, gdy nadejdzie pora, by je zażyć.

Potem powróciła na fotel.

Pitou natomiast przysiadł na parapecie okna, by móc swobodnie obserwować Katarzynę.

Oczywiście uczucie litości, jakie budziła w nim myśl o dziewczynie, nie zmniejszyło się na jej widok. Teraz, gdy pozwolono mu niejako dotknąć palcem jej cierpienia i zobaczyć, jak straszliwych spustoszeń może dokonać owo „coś” zwane miłością, był bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany poświęcić własną miłość, która wydawała mu się taka prosta w porównaniu z szalonym, gorącym, niepohamowanym uczuciem Katarzyny.

Te rozmyślenia niepostrzeżenie wprowadzały go w stan ducha potrzebny do urzeczywistnienia planu doktora Raynala.

Pocziwy lekarz uważał bowiem, że lekiem najpotrzebniejszym Katarzynie jest powiernik.

Może doktor Raynal nie był wielkim lekarzem, ale na pewno, jak już mówiliśmy, był nie lada obserwatorem.

Mniej więcej w godzinę po powrocie Pitou Katarzyna poruszyła się, westchnęła i otworzyła oczy.

Trzeba oddać pani Clément sprawiedliwość, że przy pierwszym poruszeniu chorej zerwała się na równe nogi i na wpół sennie bąknęła:

— Jestem, panno Katarzyno, co podać?

— Pić... — szepnęła chora, której powrót do życia objawił się bólem i czysto fizycznym pragnieniem.

Pani Clément naląła na łyżeczkę kilka kropel uspokajającej mikstury, jaką przyniósł Pitou, i wsunęła łyżeczkę między spieczone wargi i zaciśnięte zęby Katarzyny, która machinalnie połknęła lekarstwo.

Potem głowa Katarzyny opadła na poduszkę, pani Clément zaś, z poczuciem spełnionego obowiązku, znów wyciągnęła się na swoim fotelu.

Pitou westchnął; był przekonany, że Katarzyna nawet go nie spostrzegła.

Mylił się jednak, bo gdy pomagał pielęgniarce podnieść chorą, by przełknęła kropelki, Katarzyna uniosła nieco powieki, błędnie rozejrzała się wkoło i wydało jej się, że widzi Pitou.

Ale od trzech dni miotana gorączką oglądała tyle zjaw, które ukazywały się i znikwały, iż rzeczywistą osobę Pitou także wzięła za urojenie.

Słowem westchnienie Pitou nie było zupełnie bezpodstawne.

Tymczasem pojawienie się dawnego przyjaciela, wobec którego Katarzyna bywała czasem tak niesprawiedliwa, zrobiło na chorej wrażenie silniejsze niż poprzednie zjawy i choć leżała z zamkniętymi oczyma, zdawało jej się, że ma przed sobą dzielnego podróżnika, i tylko pierzchające myśli, już spokojniejsze i bez gorączki, mówiły, iż jest on w Paryżu wraz z jej ojcem.

Dręczona myślą, że tym razem Pitou jest osobą realną, a nie wywołanym gorączką majakiem, nieśmiało otworzyła oczy, by sprawdzić, czy wciąż znajduje się tam, gdzie go widziała.

On oczywiście nie ruszył się z miejsca.

Widząc, że Katarzyna otwiera oczy i szuka go wzrokiem, Pitou rozpromienił się; a gdy dostrzegł, że w jej oczach budzi się życie i świadomość, wyciągnął ręce.

— Pitou! — szepnęła chora.

— Panno Katarzyno! — zawołał chłopak.

— Co? Co takiego? — poruszyła się pani Clément. Katarzyna niespokojnie spojrzała na pielęgniarkę i z westchnieniem opadła na poduszki.

Pitou odgadł, że jej obecność krępuje chorą. Podeszedł więc do niej i powiedział szeptem:

— Niech się pani prześpi, pani Clément. Przecież doktor kazał mi tu zostać, żebym czuwał przy paninie Katarzynie, a pani mogła się zdrzemnąć przez ten czas.

— Tak, to prawda — przytaknęła pielęgniarka. Jakby tylko czekała na to przyzwolenie, dzielna kobieta wtuliła się w fotel, westchnęła i po krótkiej chwili ciszy najpierw nieśmiało, a potem coraz głośniejsze jej chrapanie, już po kilku minutach, wypełniło cały pokój, wskazując, że na pełnych żaglach wpłynęła w zaczarowaną krainę snu, którą zazwyczaj przebiegała tylko w marzeniach.

Katarzyna z pewnym zdziwieniem śledziła ruchy Pitou, a mając jak wszyscy chorzy niezwykle wyostrzony słuch, nie uroniła ani słowa z jego rozmowy z pielęgniarką.

Pitou dłuższy czas stał obok fotela pielęgniarki, jakby chciał się upewnić, czy ta śpi naprawdę; gdy już nie było na ten temat cienia wątpliwości, zbliżył się do Katarzyny i kiwając głową powiedział

— Och, panno Katarzyno, wiedziałem, że go kochasz, ale nie myślałem, że aż tak bardzo.

XXI

PITOU POWIERNIKIEM

Pitou wyrzekł te słowa takim tonem, że Katarzyna wyczuć w nich mogła zarazem głęboką boleść i wielką dobroć.

Oba te uczucia promieniejące równocześnie z serca poczciwego chłopca, który spoglądał na nią ze smutkiem, wzruszyły chorą.

Dopóki Izydor mieszkał w Boursonne, póki czuła jego obecność niecałą milę od domu, póki była szczęśliwa, Katarzyna, wyjąwszy kilka drobnych przeciwności wywołanych uporem Pitou, aby towarzyszyć jej w przejazdach, wyjąwszy niepokój, jaki powodowały niektóre urywki listów ojca, Katarzyna, przynajmniej to, skrywała swoją miłość na dnie serca niby skarb, którego ani okrucza nie uroniłaby na rzecz cudzego serca. Ale gdy Izydora zabrakło i została sama, a miejsce szczęścia zajęło cierpienie, biedne dziecko próżno szukało w sobie odwagi równej własnemu egoizmowi; wtedy pojęła, jak wielką ulgą byłoby porozmawiać o pięknym kawalerze, który ją opuścił nie mogąc nawet powiedzieć, kiedy wróci.

Trudno byłoby opowiadać o Izydorze pani Clément, doktorowi Raynalowi czy matce, i bardzo cierpiała skazana na milczenie, kiedy tu nagle, w najmniej oczekiwanej chwili,

Opatrzność, przywracając życie i przytomność, stawiała jej przed oczyma przyjaciela, o którego życzliwości mogłaby wątpić, póki milczał, ale pierwsze jego odezwanie rozwiało wszelkie wątpliwości.

Na słowa współczucia, jakie z bolesnym westchnieniem wyrwały się z serca siostrzeńca ciotki Angeliki, Katarzyna odpowiedziała nie skrywając własnych uczuć:

— Och, panie Pitou, jestem bardzo nieszczęśliwa!

Od tej chwili tamy zostały przerwane, a więź nawiązana.

— Panno Katarzyno — powiedział Pitou — choć mówienie o panu Izydorze nie sprawia mi wielkiej przyjemności, jeśli ma to być tobie przyjemne, mogę dostarczyć ci wiadomości o nim.

— Ty? — zdziwiła się Katarzyna.

— Tak, ja — rzekł Pitou.

— Czyżbyś go widział?

— Nie, panno Katarzyno, ale wiem, że w dobrym zdrowiu dotarł do Paryża.

— Skąd o tym wiesz? — zapytała, a oczy jej zalśniły miłością.

Spojrzenie to kazało Pitou westchnąć głęboko, odpowiedział jednak z wrodzoną sobie sumiennością:

— Wiem o tym od mego młodego przyjaciela Sebastiana Gilberta, którego pan Izydor spotkał nocą na drodze, tuż za Fontaine–Eau–Claire, i posadziwszy z tym na siodle dowiózł do Paryża.

Katarzyna z wysiłkiem wsparła się na łokciu i wpatrując się w chłopca zapytała żywo:

— Więc on jest w Paryżu?

— W tej chwili to już chyba nie — odparł Pitou.

— A gdzie powinien być? — zapytała omdlewającym głosem.

— Nie wiem. Wiem tylko, że miał jechać z jakąś misją do Hiszpanii albo do Włoch.

Na słowo „jechać” Katarzyna westchnęła i opadła na poduszki, a niebawem zalała się łzami.

— Panno Katarzyno — rzekł Pitou, któremu jej boleść rozdierała serce — jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, gdzie jest pan Izydor, mogę o to zapytać.

— Kogo?

— Pana doktora Gilberta, który się z nim widział w pałacu Tuileries... Albo, jeśli wolisz — dodał widząc, że Katarzyna kręci przecząco głową — mogę wrócić do Paryża i zebrać informacje... O, mój Boże, zrobię to szybko, wystarczą dwadzieścia cztery godziny.

Katarzyna wyciągnęła rozpaloną od gorączki dłoń do Pitou, ale młodzieniec nie zdając sobie sprawy z łaski, jaka go spotkała, nie ośmielił się jej dotknąć.

— Cóż to, panie Pitou — zapytała z uśmiechem Katarzyna — boisz się zarazić moją gorączką?

— Och, wybacz, panno Katarzyno — rzekł Pitou ujmując jej wilgotną rączkę w swoje grube dłonie — po prostu nie zrozumiałem! Więc zgadzasz się?

— Nie, Pitou, ale dziękuję ci bardzo. To byłoby zbyteczne; jutro na pewno nadejdzie list od niego.

— List! — wykrzyknął Pitou.

Potem umilkł i niespokojnie rozejrzał się dokoła.

— Tak, list od niego — powtórzyła Katarzyna, szukając przyczyny, która mogła tak zaniepokoić spokojną duszę jej rozmówcy.

— List od niego! Do licha! — powtórzył Pitou i zaczął ogryzać paznokcie, jak czynią to ludzie w chwili zakłopotania.

— No tak, list od pana Izydora. Cóż w tym dziwnego, że do mnie pisze — powtórzyła Katarzyna. — Czemu się dziwisz, skoro wiesz wszystko lub prawie wszystko? — dodała ciszej.

— Nie dziwi mnie, że pisze... Gdyby mnie wolno było pisać, to Bóg mi świadkiem, że też bym pisał, i to długie listy, boję się jednak...

— Czego, przyjacielu?

— Żeby list pana Izydora nie wpadł w ręce twego ojca.

— Mojego ojca?

Pitou po trzykroć skinął głową, co miało być trzykrotnym potwierdzeniem wyrzeczonych słów.

— Jak to, mojego ojca? — pytała dalej Katarzyna coraz bardziej zdziwiona. — Czy mój ojciec nie jest w Paryżu?

— Twój ojciec jest w Pisseleux, panno Katarzyno, tu, na folwarku, w pokoju obok. Tylko że doktor Raynal zakazał mu wchodzić do tego pokoju, bo byłeś w malignie, i myślę, że dobrze zrobił.

— Dlaczego?

— Bo coś mi się widzi, że pan Billot niezbyt czule odnosi się do pana Izydora, a kiedy raz w gorączce wymówiłaś to imię i ojciec je usłyszał, bardzo się skrzywił, dając słowo:

— O Boże, mój Boże! — szepnęła Katarzyna drżąc cała. — Co też pan opowiada, panie Pitou!

— Szczerą prawdę... Sam słyszałem, jak mamrotał: „Dobrze, dobrze, będę cicho, póki jest chora, ale potem — zobaczymy!”

— Panie Pitou! — szepnęła Katarzyną chwytając chłopca tak gwałtownie za rękę, że tym razem on zadrżał.

— Panno Katarzyno! — odpowiedział.

— Masz rację, te listy nie mogą wpaść w ręce ojca... Ojciec by mnie zabił!

— No, widzisz, widzisz... W takich sprawach ojciec Billot nie żartuje.

— Więc co zrobić?

— Wymyśl co, panienko.

— Jest pewien sposób...

— Jeśli jest, trzeba tak uczynić.

— Nie śmiem zaproponować...

— Jak to, nie śmiesz?

— Nie śmiem powiedzieć, co należałoby zrobić.

— Co? Leży to w mojej mocy i nie śmiesz mi powiedzieć?

— Ojej, Pitou!

— Nieładnie, panno Katarzyno — powiedział Pitou — nigdy bym nie przypuszczał, że nie masz do mnie zaufania.

— Drogi Pitou, to nie brak zaufania.

— Bogu dzięki! — odparł Pitou, któremu pochlebila rosnąca zażyłość Katarzyny.

— To by ci sprawiło przykrość, przyjacielu.

— Jeśli to przykrość tylko dla mnie — powiedział Pitou — nie trzeba się tym przejmować, panno Katarzyno.

— Więc z góry zgadzasz się spełnić moją prośbę?

— Oczywiście. Mój Boże, chyba, że to niemożliwe.

— Przeciwnie, bardzo łatwe.

— Jeśli to takie proste, powiedz, o co chodzi.

— Trzeba by pójść do matki Colombe.

— Tej, co handluje słodyczami?

— Tak, bo ona jest także roznosicielką listów.

— Jasne, pojmuję... powiem jej, żeby listy doręczała tylko tobie.

— Powiesz jej, żeby tylko tobie, Pitou, dawała moje listy.

— Mnie? — zapytał Pitou. — Ach tak, nie zrozumiałem... I westchnął po raz trzeci czy czwarty.

— Zgodzisz się chyba, że to najpewniejsze, Pitou?... Ale może nie chcesz mi wyświadczyć tej przysługi?

— Ja miałbym odmówić, panno Katarzyno? Skądże znowu!

— Dziękuję ci, dziękuję!

— Pójdę do niej... na pewno pójdę, zaraz jutro.

— Jutro będzie za późno, kochany Pitou... Trzeba by do niej pójść jeszcze dzisiaj.

— Niech i tak będzie, panno Katarzyno. Pójdę dzisiaj, pójdę rano, nie, pójdę zaraz!

— Dobry z ciebie chłopiec, Pitou... — rzekła Katarzyna. — I naprawdę bardzo cię lubię!

— Och, panno Katarzyno — szepnął Pitou — nie mów mi takich rzeczy, dla ciebie skoczyłbym w ogień.

— Pitou, spójrz, która godzina? — powiedziała. Podszedł do kominka, gdzie wisiał jej zegarek.

— Wpół do szóstej.

— Więc, kochany Pitou...

— Co takiego, panienko?

— Byłby może już czas...

— Pójść do matki Colombe?... Jak sobie życzysz, panno Katarzyno. Ale przedtem trzeba łyknąć lekarstwo, doktor kazał podawać po łyżeczce co pół godziny.

— Och, mój drogi Pitou — rzekła Katarzyna nalewając sobie łyżeczkę mikstury i patrząc na niego wzrokiem, od którego serce topniało — to, co dla mnie robisz, więcej jest warte niż wszystkie leki świata!

— Chyba to właśnie miał na myśli doktor. Raynal mówiąc, że świetnie nadawałbym się na lekarza!

— Pitou, ale jak wyjaśnisz, dokąd idziesz, żeby nikt w domu się nie domyślił?

— O to możesz być spokojna — powiedział i sięgnął po kapelusz.

— Czy mam obudzić panią Clément? — zapytał jeszcze.

— Nie, to zbyteczne, niech sobie śpi, biedaczka... Teraz nic mi nie trzeba oprócz...

— Oprócz... czego? — zapytał Pitou. Katarzyna uśmiechnęła się.

— No tak, domyślam się — szepnął poseł miłości — oprócz listu od pana Izydora. — A po chwili milczenia dodał: — Bądź spokojna, panno Katarzyno, jeśli list nadszedł, dostaniesz go, a jeśli nie przyszedł...

— A jeśli nie przyszedł? — zapytała z niepokojem.

— Jeśli nie przyszedł... to... żebyś na mnie patrzyła jak przed chwilą, uśmiechała się jak teraz, żebyś mnie nazywała swoim kochanym Pitou i drogim przyjacielem... jeśli ten list nie nadszedł, pójdę po niego do Paryża.

— Jakie złote serce! — szepnęła Katarzyna odprowadzając wzrokiem wychodzącego chłopca.

Wyczerpana długą rozmową znów opadła na poduszki.

Dziesięć minut później sama już nie wiedziała, czy to, co się wydarzyło, było rzeczywistością zapamiętaną, dzięki odzyskanej świadomości, czy też; zrodzonym w malignie snem; ale jedno było pewne, jakaś ożywcza i łagodna świeżość ogarnęła całe jej obolałe i udręczone gorączką ciało.

Kiedy Pitou przechodził przez kuchnię, matka Billot uniosła głowę.

Od trzech dni nie kładła się i nie zmrzyła oka.

Od trzech dni nie ruszyła się ze stołeczka, ukrytego pod okapem komina, a nie mogąc być przy córce, przynajmniej wpatrywała się w drzwi jej pokoju.

— No i co? — zapytała.

— Ano, trochę lepiej, pani Billot — odpowiedział Pitou.

— Dokąd idziesz?

— Do Villers–Cotterêts.

— Po co?

Pitou zawahał się chwilę: nie umiał zmyślać na poczekaniu..

— Po co idę? — powtórzył chcąc zyskać na czasie.

— Tak — rozległ się za nim głos ojca Billot — żona pyta, po co tam idziesz?

— Zawiadomić doktora Raynala.

— Doktor kazał ci przyjść, jak będzie jakaś zmiana.

— Chyba jest zmiana, skoro panna Katarzyna czuje się lepiej.

Może ojciec Billot uznał ten argument za nieodparty, a może po prostu nie chciał sprzeciwiać się człowiekowi, który bądź co bądź był zwiastunem dobrej nowiny, słowem, nie robił już żadnych trudności.

Pitou minął więc kuchnię, Billot wrócił do swego pokoju, a matka Billot znów zapadła w otepienie.

Kwadrans po szóstej Pitou był w Villers–Cotterêts.

Skrupulatnie obudził doktora, by mu opowiedzieć, że Katarzyna ma się lepiej, i zapytać, co należy robić dalej.

Doktor zapytał, jak minęła noc, i ku wielkiemu zdumieniu chłopca, który opowiadał o wszystkim najogólniej jak umiał, okazało się, że lekarz doskonale wie o wszystkim, co się zdarzyło między nim a Katarzyną, zupełnie jakby był przy rozmowie, ukryty za firanką okna lub zasloną łóżka.

Obiecał wstąpić w ciągu dnia na folwark, zamiast nowej recepty zalecił „podawanie Katarzynie leku z tej samej beczki”, i odprawił Pitou, który długo rozważał znaczenie owych

tajemniczych słów, ale w końcu pojął, że doktor miał na myśli dalsze rozmowy na temat wicehrabiego Izydora de Charny.

Od doktora Pitou udał się do matki Colombe. Roznosicielka listów mieszkała na końcu ulicy Lormet, czyli na drugim krańcu miasteczka.

Zjawił się tam w chwili, gdy otwierała swój sklepik.

Matka Colombe żyła w wielkiej przyjaźni z ciotką Angeliką, ale przyjaźń ta nie przeszkadzała jej właściwie oceniać siostrzeńca.

Wchodząc do sklepiku pełnego pierników i łakoci, Pitou od razu pojął, że jeśli chce pomyślnie przeprowadzić negocjacje i dostawać do rąk listy przeznaczone dla panny Katarzyny, musi posłużyć się może nie przekupstwem, ale na pewno oczarować roznosicielkę listów.

Na wstępie nabył więc dwa cukrowe batoniki i piernik. Dopiero dokonawszy tego odważył się wyjawić swoją prośbę.

Trudności okazały się poważne.

Listy wręczać można było jedynie osobom, do których były adresowane, albo też pełnomocnikom zaopatrzoną w pisemne upoważnienia.

Matka Colombe nie wątpiła w prawdomówność Pitou, ale domagała się pisemnego upoważnienia.

Pitou uznał, że przyjdzie mu ponieść jeszcze jedną ofiarę.

Obiecał nazajutrz dostarczyć pokwitowanie odbioru, jeśli list nadszedł, oraz podpisane przez Katarzynę upoważnienie do odbierania dalszej korespondencji.

Obietnicy towarzyszył zakup nowej porcji słodyczy.

Czy można odmówić czegokolwiek temu, kto robi dobry początek w sklepie, i to w sposób tak rozrzutny?

Matka Colombe miała coraz mniej zastrzeżeń i ostatecznie zgodziła się, aby Pitou poszedł razem z nią na pocztę, gdzie wręczy mu list dla Katarzyny, jeśli taki nadszedł.

Pitou ruszył więc za nią, zjadając po drodze dwa pierniki i cztery batony.

Jeszcze nigdy, przenigdy, nie pozwolił sobie na taką rozpustę; ale teraz, dzięki szczodrości doktora Gilberta, był zamożny.

Gdy przechodzili przez rynek, Pitou wdrapał się na balustradkę fontanny, przywarł ustami do jednego z czterech strumieni, jakie z niej wówczas tryskały, i przez pięć minut pił łąpczywie wodę, nie uroniwszy ani kropelki. Zeskakując stamtąd rozejrzał się dokoła i dostrzegł coś w rodzaju estrady wzniesionej na środku placu.

Przypomniał sobie wówczas, że gdy wyruszał w drogę do Paryża, była mowa o zwołaniu w Villers-Cotterêts zgromadzenia ludności, które stałoby się fundamentem federacji łączącej powiatowe miasteczko z okolicznymi wioskami.

Różne osobiste wydarzenia, jakie rozgrywały się wokół niego, kazały mu zapomnieć o tym doniosłym przecież wydarzeniu politycznym.

Przypomniał sobie także owych dwadzieścia pięć ludiorów, które w chwili pożegnania otrzymał od doktora Gilberta na możliwie najlepsze wyekwipowanie oddziału gwardii narodowej w Haramont.

Wyprostował się dumnie na myśl, jak wspaniale będzie dzięki temu wyglądać oddział złożony z trzydziestu trzech ludzi, jakich miał pod rozkazami.

Rozważania te pomogły mu strawić dwa pierniki i cztery batony podlane kwartą zimnej wody, które mimo rozgrzewających soków gastrycznych, w jakie wyposażyła go natura, mogły mu zaciążyć kamieniem w żołądku, gdyby nie ułatwiająca trawienie przyprawa z zaspokojonej miłości własnej.

XXII

PITOU GEOGRAFEM

Kiedy to Pitou popijał wodę, trawił i rozmyślał, pani Colombe wyprzedziła go znacznie i weszła już do budynku poczty.

Pitou wcale się tym nie przejął. Poczta stała na wprost ulicy Neuve, rodzaju ścieżki wychodzącej na tę część parku, gdzie znajduje się aleja Westchnień — miejsce tylu wzruszających wspomnień — i Pitou był pewien, że w piętnaście susów dogoni matkę Colombe.

Wykonał przeto owych piętnaście susów i znalazł się na progu poczty w chwili, gdy ona wychodziła stamtąd z plikiem listów w ręku.

Pośród tych listów był jeden w eleganckiej kopercie, zapieczętowany herbowym znakiem.

Zaadresowany był do Katarzyny Billot.

Niewątpliwie na ten właśnie list czekała.

Zgodnie z zawartą umową listonoszka wręczyła go amatorowi cukrowych batoników, który natychmiast wyruszył do Pisseleux, smutny i radosny zarazem: radował się szczęściem Katarzyny, ale smucił go fakt, iż pochodzi ono z tak gorzkiego dlań źródła.

Mimo rozgoryczenia dobroć serca zwyciężyła i młodzieniec, chcąc jak najszybciej doręczyć przeklęty list, niepostrzeżenie ze zwykłego kroku przeszedł w kłus, a z kłusa w galop.

W odległości pięćdziesięciu kroków od folwarku przystanął nagle, bo nie bez racji przyszło mu na myśl, że jeśli zjawi się zdyszany i spocony, wzbudzić może podejrzenie u ojca Billota, który i tak wstąpił już na wąską i ciemną ścieżkę nieufności.

Ryzykując więc, że spóźni się o minutę lub dwie, postanowił przebyć ostatni odcinek drogi zwykłym krokiem; ruszył zatem powoli, z powagą właściwą powiernikom z tragedii, do których upodobnił się dzięki zaufaniu Katarzyny, kiedy to przechodząc właśnie pod jej oknem dostrzegł, że jest uchylone; widać pielęgniarka chciała wpuścić nieco świeżego powietrza.

Pitou wsunął w szparę najpierw nos, a potem zerknął; nie mógł zrobić nic więcej z powodu zasuwki.

Wystarczyło mu to jednak, aby dojrzeć, że Katarzyna nie śpi i czeka na niego, ona natomiast zauważyła jego tajemniczą minę i dziwaczne gesty.

— Och, list... list... — wyszeptwała.

— Sza!... — upomniał ją Pitou.

Rozejrzał się wkoło jak kłusownik, który chce zmylić pogonie, a widząc, że nikogo nie ma, wrzucił list przez szparę tak zręcznie, że wpadł niby w przygotowane gniazdko pod uniesioną poduszkę.

Potem, nie czekając podziękowania, którego na pewno by mu nie poskąpiono, odskoczył od okna i poszedł dalej ku folwarcznej bramie. Na progu zastał Billota.

Gdyby nie załom muru, wieśniak byłby dostrzegł całą poprzednio opisaną scenę i Bóg jeden wie, co by mogło nastąpić w chwili, gdy kiełkujące podejrzenie zmieniłoby się w pewność.

Uczciwy do głębi Pitou tak był zaskoczony tym spotkaniem, że zaczerwienił się aż po same uszy.

— Och, panie Billot — powiedział — przestraszyłeś mnie pan!...

— Ciebie, Pitou?... Kapitana gwardii narodowej?... Zwycięzcę spod Bastylii? Ciebie!?

— Co zrobić — odparł Pitou. — Bywają takie chwile. Człowiek się nie spodziewa...

— Tak, tak — przyznał Billot. — Albo spodziewa się spotkać córkę, a wpada na ojca, co?

— Co to, to nie, panie Billot! — odrzekł Pitou. — Wcale nie spodziewałem się zobaczyć tu panny Katarzyny! Wprawdzie, jak mi się wydaje, ona czuje się już lepiej, ale jest jeszcze zbyt słaba, żeby się podnieść.

— Nie masz jej nic do powiedzenia? — zapytał Billot.

— Komu?

— Katarzynie.

— Owszem. Muszę jej oznajmić, że doktor Raynal jest zadowolony i że wpadnie w ciągu dnia, ale to może jej też przekazać kto inny.

— Chyba jesteś głodny, co?

— Głodny? Eee...

— Jak to? Nie jesteś głodny? — zdumiał się wieśniak. Pitou pojął, że palnął głupstwo. On niegłodny o ósmej rano to jakby odwrócenie praw natury.

— Oczywiście, że jestem głodny! — powiedział.

— No to wejdź i zjedz coś. Fornale siedzą właśnie przy śniadaniu, znajdzie się miejsce i dla ciebie.

Pitou wszedł do kuchni, odprowadzany wzrokiem gospodarza, który niemal odrzucił podejrzenia. Widział, jak chłopak zasiada przy końcu stołu i z takim zapalem zabiera się do przygotowanej pajdy chleba ze słoniną, jakby nie miał na żołądku dwóch kawałków piernika i czterech batoników, podlanych kwartą wody. Choć, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, żołądek Pitou już zdołał to strawić.

Pitou nie umiał robić kilku rzeczy naraz, ale to, co robił, robił dobrze. Otrzymane od Katarzyny zlecenie wykonał dobrze; zaproszony przez ojca Billota na śniadanie, porządnie zjadł.

Billot obserwował go nadal, lecz Pitou nie odrywał oczu od talerza i główne zainteresowanie okazywał stojącej przed sobą butelce jabłeczniaka; widząc, że ani razu nie spojrzął na drzwi pokoju Katarzyny, wieśniak uwierzył, że jedynym celem porannego spaceru do Villers-Cotterêts była wizyta u lekarza.

Kiedy Pitou kończył śniadanie, otworzyły się drzwi od pokoju Katarzyny i do kuchni weszła pani Clément z charakterystycznym dla pielęgniarek łagodnym uśmiechem na ustach: przyszła po swoją filiżankę kawy.

Oczywiście była już w kuchni o szóstej rano, czyli kwadrans po wyjściu Pitou, po należną jej szklaneczkę wódki, gdyż jak twierdziła, tylko to mogło ją postawić na nogi po całonocnym czuwaniu.

Widząc ją pani Billot i gospodarz podeszli bliżej, wpytując o zdrowie Katarzyny.

— Jest nie najgorzej — odpowiedziała pielęgniarka — choć w tej chwili wydaje mi się, że panna Katarzyna znowu majaczy.

— Jak to, majaczy?... — zdziwił się ojciec Billot. — Znowu?

— O Boże, moje biedne dziecko! — szepnęła gospodyni. Pitou wstał przysłuchując się rozmowie.

— Tak — podjęła pani Clément. — Mówi o jakimś mieście, które nazywa się Turyn, o jakimś kraju zwanym Sardynią i woła pana Pitou, żeby jej wytłumaczył, gdzie jest ten kraj i to miasto.

— Jestem już — rzekł Pitou dopijając szklaneczkę jabłeczniaka i ocierając usta rękawem.

Spojrzenie ojca Billota powstrzymało go jednak.

— Oczywiście, jeśli pan Billot uzna, że powinienem wyjaśnić panie Katarzynie to, co pragnie wiedzieć...

— Czemu nie? — odparła matka. — Skoro to biedactwo chce cię zobaczyć, idź do niej. Sam doktor mówił przecież, że doskonale nadajesz się na lekarza.

— Ho, ho — rzekł z naiwną dumą Pitou — zapytajcie pani Clément, jak czuwaliśmy całą noc przy pannie Katarzynie! Dzielna pani Clément ani na chwilę nie zmrużyła oka, tak samo zresztą jak ja.

Było nader zręcznym zabiegiem ze strony Pitou dotknąć tego słabego punktu pielęgniarce. Ponieważ spała jak suszeł od północy do szóstej rano, on twierdząc, że nie spała ani chwili, czynił z niej nie tylko przyjaciółkę, ale — współniczkę.

— No dobrze — zgodził się ojciec Billot. — Jeśli Katarzyna cię woła, idź do niej. Może nadejdzie chwila, kiedy zechce zobaczyć także swoją matkę i ojca.

Pitou czuł instynktownie, że w powietrzu wisi burza, więc i on, niby pasterz, co gotów stawić jej czoło, ale woli zawczasu poszukać sobie schronienia, tak i on rozważał, gdzie by się skryć.

Kryjówką dla niego było Haramont.

Tam Pitou był królem. Co mówię? Więcej niż królem, był dowódcą gwardii narodowej jak sam La Fayette.

Zresztą obowiązki wzywały go do Haramont.

Od razu więc postanowił, że jak tylko uzgodni z Katarzyną plan dalszego działania, natychmiast wróci do Haramont.

Z tym postanowieniem wszedł do pokoju chorej, uzyskawszy ustne pozwolenie ojca i milczące przyzwolenie matki.

Katarzyna czekała na niego niecierpliwie; jej błyszczące oczy i rozplamione policzki mogły istotnie nasunąć przypuszczenie, że znów ogarnęła ją gorączka.

Zanim wszedł do pokoju, Katarzyna poznała jego kroki, a że czekała na niego od ponad godziny, gwałtownie zwróciła się ku niemu, wyciągając obie ręce.

— Ach, to ty, Pitou! Jak długo kazałeś na siebie czekać!

— To nie moja wina, panno Katarzyno. Twój ojciec mnie zatrzymał.

— Ojciec?

— We własnej osobie... Chyba się czegoś domyśla. Zresztą mnie wcale nie było spieszo, bo wiedziałem, że dostałaś to, czego pragnęłaś.

— Tak, Pitou... — szepnęła Katarzyna spuszczać oczy. — Tak... i bardzo ci za to dziękuję.

A potem dodała jeszcze ciszej:

— Taki jesteś dla mnie dobry, Pitou... I bardzo cię lubię.

— To ty jesteś bardzo dobra, panno Katarzyno — odrzekł Pitou, bliski łez, czuł bowiem, że okazywana mu przyjaźń jest tylko odblaskiem miłości do innego, więc poczciwy chłopak, choć niezwykle skromny, czuł się w głębi duszy upokorzony, czując się tylko bladym odbiciem pana de Charny.

Zagadnął więc żywo:

— Może przeszkadzam, panno Katarzyno, ale przyszedłem, bo ponoć chcesz się czegoś dowiedzieć.

Katarzyna położyła rękę na sercu: chciała dotknąć listu Izydora i z niego zaczerpnąć odwagę do stawiania pytań.

— Ty, Pitou, jesteś taki uczony — wyjąkała wreszcie z wysiłkiem — czy możesz mi powiedzieć, co to jest Sardynia?

Pitou przywołał w pamięci wszystkie wiadomości z geografii.

— Zaraz, zaraz, panno Katarzyno — zaczął — powinienem to wiedzieć. Wśród rzeczy, jakie ksiądz Fortier usiłował wbić nam do głowy, była także geografia. Zaraz, zaraz... Sardynia... coś mi się zdaje... Och, gdybym przypomniał sobie początek, wszystko bym powiedział.

— Och, Pitou, przypomnij sobie — prosiła Katarzyna składając ręce.

— Do licha! Przecież staram się jak mogę. Sardynia... Sardynia... Już wiem!

Katarzyna odetchnęła z ulgą.

— Sardynia — zaczął Pitou — zwana przez Rzymian „Sardinia”, jedna z trzech wielkich wysp na Morzu Śródziemnym; położona na południe od Korsyki, od której oddziela ją cieśnina Bonifacio, należy do państwa Sardów, od których pochodzi jej nazwa, i które zwane jest królestwem Sardynii; ma sześćdziesiąt mil długości z północy na południe i szesnaście ze wschodu na zachód; liczy 54 tysiące mieszkańców; stolica Cagliari... Oto co wiem o Sardynii, panno Katarzyno.

— Mój Boże — westchnęła dziewczyna — jaki musisz być szczęśliwy, panie Pitou, że jesteś taki uczony!

— To prawda, że mam dobrą pamięć — rzekł Pitou, pochlebiony w miłości własnej, choć serce miał zranione.

— A teraz — zaryzykowała Katarzyna już z większą śmiałością — teraz, kiedy tyle mi opowiedziałeś o Sardynii, czy zechcesz mi powiedzieć, co to jest Turyn?

— Turyn? — powtórzył Pitou. — Na pewno, panno Katarzyno, z wielką chęcią... jeśli sobie przypomnę.

— Och, postaraj się, panie Pitou; to najważniejsze.

— No cóż, jeśli to najważniejsze, będę musiał sobie przypomnieć... Zresztą, jeśli mi się nie uda, to gdzieś poszukam...

— Ale... ale ja bym wolała wiedzieć od razu... Szukaj, mój drogi Pitou, pomyśl...

Powiedziała to tak przymilnie, że chłopiec poczuł, jak przebiega go dreszcz.

— Och, myślę, panienko... myślę... Katarzyna nie spuszczała z niego wzroku.

Pitou zadarł głowę do góry, jakby szukał odpowiedzi na suficie.

— Turyn... — powtórzył — Turyn... Ojej, panno Katarzyno, to trudniejsze niż z Sardynią... Sardynia to wielka wyspa na Morzu Śródziemnym, a na tym morzu są tylko trzy wielkie wyspy: Sardynia, która należy do króla Piemontu, Korsyka, należąca do króla Francji, i Sycylia, własność króla Neapolu; Turyn to tylko stolica...

— Co powiedziałeś o Sardynii, mój drogi Pitou?

— Powiedziałem, że Sardynia należy do króla Piemontu, i chyba się nie mylę...

— Tak, właśnie, kochany Pitou. Izydor pisze w swoim liście, że jedzie do Turynu w Piemencie...

— Ach, teraz pojmuję — wtrącił Pitou. — Dobrze, dobrze! To do Turynu król posłał pana Izydora, a ty, panno Katarzyno, wypytyujesz mnie, żeby wiedzieć, dokąd pojechał...

— A po cóż miałabym inaczej pytać? — Co mnie może obchodzić Sardynia, Piemont czy Turyn?... Dopóki tam nie pojechał, nie wiedziałam, co to Sardynia albo Turyn i nic mnie to nie obchodziło. Ale teraz on pojechał do Turynu... rozumiesz to, kochany Pitou? Dlatego chcę wiedzieć, co to takiego Turyn.

Pitou westchnął głęboko, pokiwał głową, ale zarazem czynił nadludzkie wysiłki, by spełnić życzenie Katarzyny.

— Turyn — powiedział — zaraz... zaraz... „Bodincemagus, Taurasia, Colonia Julia, Augusta Taurinorum”... takie nazwy nosił w starożytności; teraz stolica Piemontu i królestwa Sardynii; leży nad Padem i Dorią; jedno z najpiękniejszych miast Europy; 125 tysięcy mieszkańców; panujący król Karol Emanuel... Tyle o Turynie, panno Katarzyno.

— A jak daleko jest z Pisseleux do Turynu, panie Pitou? Wiesz wszystko, więc to także musisz wiedzieć...

— Ojej, to nie takie proste — jęknął Pitou. — Mogę powiedzieć, jak daleko jest z Paryża do Turynu, ale z Pisseleux... to dużo trudniej.

— Więc najpierw, Pitou, powiedz, ile jest z Paryża... a potem dodamy osiemnaście mil, bo tyle wynosi odległość z Pisseleux do Paryża.

— Do licha, to prawda! — zakrzyknął Pitou.

I wyrecytował dalszy ciąg swoich wiadomości z geografii:

— Odległość z Paryża dwieście sześć mil, z Rzymu sto czterdzieści, z Konstantynopola...

— Potrzebna mi tylko odległość z Paryża, kochany Pitou. Dwieście sześć mil i osiemnaście... daje dwieście dwadzieścia cztery. To znaczy, że on jest dwieście dwadzieścia cztery mile ode mnie... Trzy dni temu był tutaj... o trzy czwarte mili... przy mnie... a dzisiaj... dzisiaj... — i Katarzyna wybuchnęła płaczem załamując ręce. — Dzisiaj jest o dwieście dwadzieścia cztery mile stąd...

— O, jeszcze nie — wtrącił nieśmiało Pitou. — Wyjechał dopiero przedwczoraj... jest najwyżej w połowie drogi...

— Więc gdzie jest w tej chwili?

— Tego to nie wiem — odparł Pitou. — Ksiądz Fortier mówił nam wprawdzie o królestwach i ich stolicach, ale nie mówił, któredy się tam jedzie.

— A więc to już wszystko, co wiesz, drogi Pitou?

— Mój Boże, tak! — potwierdził geograf, zawstydzony, że tak szybko dotarł do granic swojej wiedzy. — Wiem jeszcze, że Turyn to siedziba arystokracji.

— Co to znaczy?

— To znaczy, panno Katarzyno, że do Turynu zjechali wszyscy książęta, księżne, wszyscy emigranci: jest tam hrabia d'Artois, książę de Condé, pani de Polignac i cała zgraja innych zbójów, którzy spiskują przeciwko narodowi; Miejmy nadzieję, że pewnego dnia wszystkim obetnie się głowy tą sprytną maszyną, nad którą pracuje pan Guillotin...

— Ależ panie Pitou!...

— Co takiego, panienko?

— Znowu budzą się w tobie krwiożercze instynkty, jak po pierwszym powrocie z Paryża.

— Krwiożercze instynkty? — zdziwił się Pitou. — Ach, to prawda... Pan Izydor też jest jednym z tych arystokratów... i boisz się o niego...

Potem z westchnieniem, podobnym do wielu innych westchnień, o jakich już wspominaliśmy, dodał:

— Nie mówmy już o tym... Mówmy o tobie, panno Katarzyno, i o tym, co mógłbym uczynić, aby ci sprawić przyjemność.

— Mój miły Pitou, list, który dzisiaj otrzymałam, prawdopodobnie nie jest jedynym, jaki dostanę...

— I chciałabyś, żebym ci przyniósł następne?

— Drogi Pitou... jeśli już byłeś taki dobry...

— To chcesz, żebym taki pozostał, prawda?

— O, tak...

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Wiesz przecież, że ojciec będzie mnie strasznie pilnował, i nie ma mowy, żebym mogła sama chodzić do miasta...

— Musisz wiedzieć, panno Katarzyno, że i na mnie ma baczenie. Bardzo mi się dzisiaj przyglądał.

— Tak, ale nie może chodzić za tobą do Haramont. A my możemy się umówić, gdzie będziesz zostawiał listy.

— Doskonale — odrzekł Pitou. — Na przykład w dziupli tej wielkiej wierzby, przy której cię znalazłem zemdloną.

— Świetnie — powiedziała Katarzyna — to niedaleko domu, a z okien tego miejsca nie widać. A więc uzgodnione, że tam je będziesz zostawiał?

— Tak, panno Katarzyno.

— Tylko uważaj, żeby cię ktoś nie wyśledził!

— Spytaj gajowych w Longpré, w Taille-Fontaine i w Montaigu, czy mnie kiedy podpatrzyli, choć im zwędziłem dobrych parę tuzinów zajęcy! Ale jak ty, panno Katarzyno, poradzisz sobie, żeby zabierać te listy z dziupli?

— Ja? Postaram się szybko wyzdrowieć, i już! — odpowiedziała Katarzyna z uśmiechem pełnym zarówno nadziei jak silnej woli.

Z piersi Pitou wyrwało się najgłębsze ze wszystkich dotychczasowych westchnień.

W tej samej chwili otwarły się drzwi i stanął w nich doktor Raynal.

XXIII

PITOU W MUNDURZE KAPITANA

Doktor Raynal zjawił się w samą porę, aby ułatwić wyjście Pitou.

Doktor zbliżył się do chorej, od razu dostrzegając wielką zmianę, jaka się w niej dokonała od wczoraj.

Katarzyna z uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

— Kochana Katarzynko, gdyby nie to, że dotknięcie twojej ślicznej rączki sprawia mi przyjemność, nawet nie badałbym pulsu. Założę się, że nie przekraczamy siedemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę.

— Rzeczywiście, doktorze, czuję się o wiele lepiej. To pańskie lekarstwa dokonały cudu.

— Moje lekarstwa... hm hm... — mruknął. — Bardzo mi przyjemnie, drogie dziecko, zbierać laury z powodu twego wyzdrowienia, ale choć jestem zarozumiała, część tych zasług zostawiam memu uczniowi Pitou.

Potem, wznosząc oczy ku niebu, westchnął:

— O naturo, naturo! Potężna Ceres i tajemnicza Izys, ile jeszcze sekretów wyjawisz tym, co potrafią zadawać ci pytania!

Zwróciwszy się zaś ku drzwiom zawołał:

— Chodźcie no tutaj, strapiiony ojcze i niespokojna matko, wejdźcie zobaczyć naszą drogą chorą. Żeby całkiem wyzdrowieć, brakuje jej już tylko waszej miłości i pieczy.

Na wołanie doktora przybiegli rodzice Katarzyny; na twarzy ojca malował się jeszcze cień podejrzliwości, ale matka była wprost rozpromieniona.

Kiedy wchodzili, Pitou rzucił ostatnie porozumiewawcze spojrzenie Katarzynie i wycofał się.

Zostawmy teraz Katarzynę, dla której spoczywający na sercu list Izydora znaczy więcej niż okłady z lodu na głowę i plastry gorczyczne na stopy, bez obawy pozwólmy jej pod opieką czułych rodziców odzyskać nadzieję i chęć do życia, i podążmy za Pitou, który właśnie, prosto i naiwnie, dokonał jednego z najtrudniejszych dobrych uczynków zalecanych chrześcijańskim duszom — zapomniał o sobie samym i poświęcił się innym.

Przesadnym byłoby twierdzenie, że poczciwy chłopak opuszczał Katarzynę z radością w sercu, zadowolony się więc zapewnieniem, iż był w dobrym nastroju. Choć sam nie uświadamiał sobie wielkości dokonanego czynu, znany każdemu wewnętrzny głos szeptał mu pochwały za piękny i wzniosły uczynek, piękny nie tyle z punktu widzenia moralności — bo ta na pewno potępiała związek wiejskiej dziewczyny z arystokratą — ale z punktu widzenia czysto ludzkiego.

W epoce, o której mówimy, słowo „ludzkość” było w modzie i Pitou — choć nieraz je wymawiał, nie wiedząc, co właściwie oznacza — teraz, też nie w pełni świadomie, zastosował je w praktyce.

Podyktowała mu to dobroć serca, ale podobnie powinien by był uczynić kierując się przebiegłością.

Z rywala pana de Chamy, co było rolą beznadziejną, przekształcił się w powiernika Katarzyny.

Ta, dawniej taka dla niego szorstka i opryskliwa, zamiast wyrzucić go za drzwi, jak po pierwszym powrocie z Paryża, teraz nazywała go po imieniu, była dlań miła i czuła.

Jako powiernik uzyskał to, o czym nie mógł nawet marzyć jako rywal.

A co zdoła jeszcze uzyskać, w miarę jak rozwój wydarzeń uczyni go nieodzownym uczestnikiem intymnych przeżyć i sentymentalnych tajemnic serca pięknej wieśniaczki?

Chcąc sobie na przyszłość zaskarbić tę czułą przyjaźń, Pitou najpierw zaniósł pani Colombe prawie nieczytelnie nabazgrane upoważnienie, w którym Katarzyna prosiła o doręczanie panu Pitou wszelkich adresowanych do niej listów.

Do tego pisemnego upoważnienia Pitou dołączył słowną obietnicę Katarzyny, która zobowiązywała się urządzić na świętego Marcina dla najemnych fernali poczęstunek, złożony wyłącznie z pierników i cukrowych batonów.

Upoważnienie i obietnica zaspokajały zarazem sumienie i przyszłe korzyści matki Colombe, ta zgodziła się więc codziennie odbierać z poczty i zatrzymywać do dyspozycji Pitou wszystkie listy Katarzyny.

Załatwiwszy tę sprawę Pitou nie miał już nic do roboty w „mieście”, jak szumnie nazywano Villers-Cotterêts, wyruszył przeto na wieś.

Pojawienie się Pitou w Haramont, było nie lada wydarzeniem. Jego nagły wyjazd do stolicy wywołał najróżniejsze komentarze, od czasu zaś, gdy jeden z adiutantów La Fayette’a nadesłał rozkaz przejęcia broni znajdującej się u księdza Fortiera, mieszkańcy Haramont utwierdzili się w przekonaniu o niezwykłej pozycji politycznej Pitou. Jedni twierdzili, że do Paryża wezwał go doktor Gilbert, drudzy — że La Fayette, inni wreszcie — choć przyznać trzeba, że stanowili mniejszość — iż sam król.

Choć Pitou nic nie wiedział o pogłoskach, jakie rozeszły się w czasie jego nieobecności, o opowieściach podnoszących ważność jego osoby, wracał do rodzinnej wioski z miną tak godną, że olśnił wszystkich.

Aby dojrzeć człowieka we właściwych proporcjach, oglądać go trzeba na jego własnym terenie. Pitou, najpierw uczeń w szkółce księdza Fortiera, potem wyrobnik w folwarku pana Billota, teraz był dorosłym mężczyzną, obywatelem i kapitanem gwardii narodowej w Haramont.

Pomijając piastowaną godność, niezależnie od własnych pięciu czy sześciu luidorów, Pitou, jak pamiętamy, miał przy sobie dwadzieścia pięć luidorów, które doktor Gilbert wspaniałomyślnie ofiarował na wyekwipowanie i umundurowanie oddziału tutejszej gwardii narodowej.

Ledwie znalazł się w domu, dobosz przyszedł zasięgnąć u niego języka, Pitou rozkazał mu więc na następny dzień, czyli w niedzielę, zwołać ludzi, w pełnym rynsztunku i pod bronią, na oficjalny przegląd oddziału.

Odtąd nikt już nie wątpił, że Pitou z polecenia rządu ma coś do zakomunikowania gwardii w Haramont.

Wielu wstępowało do niego, próbując nieco wcześniej przeniknąć tę tajemnicę, ale dowódca zachował wyniosłe milczenie.

Wieczorem Pitou — któremu sprawy publiczne nie przesłaniały prywatnych, prywatne zaś nie odciągały od publicznych — poszedł zastawić sidła i odwiedził starego Clouisa. Nie przeszkodziło mu to o siódmej rano znaleźć się u mistrza krawieckiego Dulauroya, zostawiwszy wcześniej w domu łup w postaci trzech królików i jednego zająca, a także sprawdzić u pani Colombe, czy nie ma jakichś listów dla Katarzyny.

Nie było ich i Pitou zmarkotniał na myśl, jak zmartwi się tym biedna rekonwalescentka.

Celem odwiedzin u pana Dulauroya było wybadanie, czy mistrz podejmie się za ryczałtową opłatą uszyć mundury dla gwardii narodowej w Haramont i jakiej za to zażąda ceny.

Mistrz najpierw zadał pytanie dotyczące wzrostu gwardzistów, co w takich okolicznościach jest zwykłą sprawą, a co Pitou wyjaśnił pokazując listę trzydziestu trzech ludzi, oficerów, podoficerów i szeregowych wchodzących w skład oddziału.

Ponieważ mistrz znał ich wszystkich, w przybliżeniu określił ich wzrost i tuszę, po czym z ołówkiem i piórkiem w ręku obliczył, że nie może dostarczyć trzydziestu trzech kurtek i

trzydziestu trzech par spodni taniej, niż za trzydzieści trzy luidory. Zastrzegł się nawet, że za tę cenę trudno wymagać, aby mundury uszyte były z całkiem nowego sukna.

Pitou oświadczył z oburzeniem, że z ust samego pana de La Fayette'a słyszał, iż umundurowano trzy miliony ludzi stanowiących gwardię obywatelską Francji po dwadzieścia pięć liwrów od głowy, co wyniosło razem siedemdziesiąt pięć milionów liwrów.

Mistrz Dulauroy odrzekł, iż przy takich ilościach, nawet tracąc w szczegółach można wyjść na swoje, on jednak — i to jest jego ostatnie słowo — może obniżyć cenę tylko do dwudziestu dwóch franków od munduru, zważywszy zaś poważne nakłady, jedynie pod tym warunkiem, że należność płatna będzie gotówką.

Pitou wyciągnął więc z kieszeni garść złotych monet mówiąc, że nie widzi przeszkód, ale cena musi być ściśle określona; jeśli mistrz Dulauroy odmówi uszycia trzydziestu trzech kurtek i trzydziestu trzech par spodni za dwadzieścia pięć luidorów, złoży ofertę mistrzowi Bilgny'emu, koledze po fachu i konkurentowi mistrza Dulauroya, choć czuł się w obowiązku najpierw rzecz zaproponować właśnie jemu, jako przyjacielowi ciotki Angeliki.

Pitou nie miał nic przeciwko temu, aby ciotka Angelika dowiedziała się, że jej siostrzeniec zgarnia złoto łopatą, a nie wątpił, że tego samego wieczora krawiec opowie jej, co widział, mianowicie, że Pitou jest równie bogaty jak świętej pamięci Krezus.

Groźba oddania tak poważnego zamówienia komu innemu wywarła wrażenie i mistrz Dulauroy przystał na wszystkie warunki Pitou, który domagał się między innymi, aby na dokładkę dostarczono mundur dla niego uszyty z nowego sukna — jeśli nie ma cienkiego, woli nawet grube — i to wraz z epoletami.

Stało się to tematem dalszych pertraktacji, równie dłuich i gorących jak poprzednie, ale i tym razem Pitou zwyciężył dzięki straszliwej groźbie uzyskania od mistrza Bligny'ego tego, na co nie chciał przystać pan Dulauroy.

Ostatecznie mistrz Dulauroy podjął się dostarczyć w następną sobotę trzydzieści jeden żołnierskich kurtek i trzydzieści jeden par spodni, dwie kurtki i dwie pary spodni dla sierżanta i porucznika, a także spodnie i przybraną epoletami kurtkę dla kapitana.

W razie opóźnień w wykonaniu zamówienia Pitou rezygnował z niego całkowicie, a stratę ponieść miał krawiec, bowiem mundury potrzebne były na uroczystość utworzenia federacji miasteczka Villers-Cotterêts i okolicznych wiosek, ta zaś odbyć się miała w przyszłą niedzielę.

I ten warunek przyjęty został jak poprzednie.

O dziewiątej rano ostatecznie uzgodniono wielki interes.

O wpół do dziesiątej Pitou był z powrotem w Haramont, z góry pusząc się jak paw na myśl o niespodziance, jaką zgotuje swoim ziomkom.

O godzinie jedenastej dobosz bębnił na zbiórkę.

W samo południe gwardia narodowa pod bronią odbywała musztrę na rynku z tą samą co zawsze precyzją.

Po dobrej godzinie ćwiczeń, które przyniosły dzielnym wojakom pochwałę dowódcy i wiwaty kobiet, dzieci oraz starców, przyglądających się temu wzruszającemu widowisku z największym zainteresowaniem, Pitou wezwał do siebie sierżanta Klaudiusza Telliera i porucznika Dezyderiusza Maniqueta; kazał im zwołać gwardzistów i w imieniu własnym, w imieniu doktora Gilberta, generała de La Fayette'a, wreszcie w imieniu króla zaprosił ich do mistrza Dulauroy, krawca w Villers-Cotterêts, który ma dla nich bardzo ważne wiadomości.

Dobosz wybębnił komendę, sierżant zaś i porucznik, pojmując niewiele więcej niż podwładni, przekazali dosłownie polecenie kapitana. Na koniec z ust samego kapitana padła komenda: „Rozejść się!”

Pięć minut później trzydziestu jeden żołnierzy gwardii z Haramont oraz sierżant Klaudiusz Tellier i porucznik Dezyderiusz Maniquet popędzili jak szaleni drogą do Villers-Cotterêts.

Wieczorem dwaj grajkowie z Haramont wystąpili z serenadą na cześć kapitana, w niebo strzelały race, świece rzymskie i petardy, a kilka podchmielonych głosów wykrzykiwało co jakiś czas:

— Niech żyje Anioł Pitou! Niech żyje ojciec ludu!

XXIV

KSIĄDZ FORTIER DAJE NOWY DOWÓD KONTRREWOLUCYJNEJ POSTAWY

W następną niedzielę mieszkańców Villers–Cotterêts już o piątej rano zbudziło wściekłe bicie w bęben.

Moim zdaniem nie ma gorszego grubiaństwa niż taki sposób budzenia ludzi, którzy w ogromnej większości woleliby spokojnie dospać swoich siedem godzin zalecanych dla zachowania zdrowia i siły przez powszechnie uznawane zasady higieny.

Jednakże w czasach rewolucyjnych, gdy rozpoczyna się okres niepokoju i postępu, trzeba z filozoficznym spokojem zaliczyć sen do rzędu poświęceń składanych na ołtarzu ojczyzny.

Tak więc zadowoleni czy też nie, patrioci czy arystokraci, mieszkańcy Villers–Cotterêts obudzeni zostali w niedzielę 18 października roku 1789 o godzinie piątej rano.

Uroczystość rozpocząć się miała dopiero o dziesiątej, ale pięć godzin to wcale nie za wiele na dokończenie wszystkich przygotowań.

Na środku rynku od dziesięciu już dni stała wielka estrada, ale podium to, którego szybkie postawienie dowodziło zapału cieśli, było zaledwie jakby szkieletem zamierzonej całości.

Miano tu wzniesić ołtarz ku czci ojczyzny; już dwa tygodnie wcześniej zwrócono się do księdza Portiera, aby w niedzielę 18 października zamiast jak zwykle w kościele tu właśnie odprawił mszę.

Aby jednak wzniesiony ołtarz–pomnik okazał się godny swego dwoistego — religijnego i patriotycznego — przeznaczenia, należało wykorzystać wszystkie bogactwa gminy.

Przyznać trzeba, że każdy chętnie ofiarowywał swoje skarby dla uświetnienia uroczystości: ten pożyczył dywan, inny obrus kościelny, jeszcze inny jedwabne zasłony lub święty obraz.

Wiadomo jednak, że w październiku trudno liczyć na to, by barometr wskazywał dłuższy okres pięknej pogody, i zjawisko takie należy do rzadkości pod znakiem Skorpiona, przeto nikt nie chciał złożyć wcześniej swojej ofiary i wszyscy czekali nadejścia uroczystego dnia, by dostarczyć własną daninę.

Zgodnie ze swym zwyczajem o tej porze roku słońce wstało o wpół do siódmej, przejrzystością i ciepłem promieni zapowiadając jeden z tych pięknych jesiennych dni, które konkurować mogą z najpiękniejszymi dniami wiosny.

Już o dziewiątej rano ołtarz ojczyzny wysłany był wspaniałym dywanem z Aubusson, okryty koronkowym obrusem, ozdobiony obrazem przedstawiającym kazanie świętego Jana na puszczy i osłonięty baldachimem z aksamitu, obszytym złotą frędzlą, z którego zwieszały się lśniące brokatowe draperie.

Niezbędnych do odprawienia mszy naczyń dostarczyć miał oczywiście kościół, więc nikt się tym nie zajmował.

Ponadto każdy z mieszkańców, jak na uroczystość Bożego Ciała, przybrał drzwi lub ścianę swojego domu tkaninami i dywanami przedstawiającymi kwiaty bądź ludzkie postacie, ozdabiając je girlandami bluszczu i zielenią.

Dziewczęta z miasteczka i okolicy, ubrane w białe sukienki i przepasane trójkolorowymi szarfami, z zielonymi gałązkami w ręku, otaczać miały ołtarz.

Po mszy mężczyźni złożyli mieli przysięgę na wierność Konstytucji.

Oddział gwardii narodowej z Villers–Cotterêts pod bronią od ósmej rano oczekiwał gwardzistów z poszczególnych wiosek i witał ich z braterską serdecznością, w miarę jak się pojawiali.

Oczywiście spośród tych wszystkich oddziałów patriotycznej milicji z największą niecierpliwością oczekiwano gwardii obywatelskiej z Haramont.

Rozeszły się bowiem wieści, że dzięki wpływowi Pitou i królewskiej iście szczodropliwości trzydziestu trzech ludzi tego oddziału, a także jego dowódca Anioł Pitou, odziani będą w jednakowe mundury.

Warsztat mistrza Dulauroya przez cały tydzień pełen był ludzi. Ciekawscy oblegali go od wewnątrz i od zewnątrz, aby choć rzucić okiem na dziesięciu czeladników pracujących przy tym gigantycznym zamówieniu, któremu równego nie pamiętali najstarsi nawet ludzie.

Ostatni z mundurów, mundur kapitana — Pitou zażądał bowiem, aby zajęto się jego osobą obsłużony wszystkich innych — zgodnie z umową dostarczony został w sobotę o jedenastej pięćdziesiąt dziewięć w nocy.

Wtedy też, zgodnie z umową, Pitou skrupulatnie wyliczył panu Dulauroyowi dwadzieścia pięć luidorów.

Wydarzenie musiało narobić sporo wrzawy w powiatowym miasteczku, nic więc dziwnego, że w uroczystym dniu z największą niecierpliwością oczekiwano przybycia oddziału gwardii z Haramont.

Punktualnie o dziewiątej u wylotu ulicy de Largny rozległo się bicie w bęben i dźwięki piszczałki. Usłyszano też gromkie okrzyki radości i zachwytu tudzież dojrzano z daleka Pitou na białym koniu należącym do porucznika Dezyderiusza Maniqueta.

Gwardia narodowa z Haramont nie zawiodła oczekiwań, co na ogół się nie zdarza, gdy jakąś rzecz omawia się zbyt długo.

Pamiętamy, jaki triumf odniósł oddział z Haramont, gdy zamiast mundurów mieli tylko jednakowe kapelusze, a ich dowódca Pitou odróżniał się hełmem i zwykłą dragońską szablą.

Można więc sobie wyobrazić, jaki marsowy wygląd mieli podkomendni kapitana Pitou, ubrani w jednakowe kurtki i spodnie, i jak dziarsko prezentował się ich dowódca w kapeluszu zsuniętym na bakier, z ozdobnymi epoletami, z blaszonym ryngrafem na piersi i szpadą w rękę.

Od krańca ulicy de Largny aż do rynku towarzyszył im nieprzerwany okrzyk podziwu.

Ciotka Angelika nie mogła poznać własnego siostrzeńca. Omal nie wpadła pod białego konia Maniqueta, próbując spojrzeć prosto w twarz Pitou.

Ten wykonał majestatyczny ukłon szpadą i aby zemścić się, wypowiedział na cały głos słowa, które musieli słyszeć wszyscy w promieniu dwudziestu kroków:

— Dzień dobry, pani Angeliko!

Stara panna, zmiażdżona tą pełną szacunku apostrofą, cofnęła się o trzy kroki i wznosząc ramiona ku niebu zawołała:

— Nieszczęsny! Zaszczyty przewróciły mu w głowie: nie poznaje już własnej ciotki!

Pitou minął ją wyniośle bez słowa i wraz ze swoim oddziałem zajął u stóp ołtarza ojczyzny honorowe miejsce, przeznaczone oddziałowi z Haramont, który jako jedyny posiadał umundurowanie.

Potem zeskoczył z konia, powierzając zwierzę opiece jakiegoś chłopaka, który za tę fatygę otrzymał od wspaniałego kapitana sześć srebrników.

O fakcie tym doniesiono pięć minut później ciotce Angelice, która zawołała:

— Czyżby ten nieszczęśnik został milionerem? A potem dodała cichutko:

— Niedobrze, że się z nim posprzeczałam: przecież po siostrzeńcach dziedziczą ciotki!

Pitou nie słyszał ani tego okrzyku, ani ostatniej uwagi, bo po prostu wpadł w ekstazę.

Pośród grupy dziewcząt przepasanych trójkolorowymi szarfami i trzymających w dłoniach zielone gałązki dojrzał Katarzynę.

Katarzynę bladą jeszcze po ledwie przezwyciężonej chorobie, ale piękniejszą w tej bladości od niejednej rozkwitającej zdrowiem; Katarzynę bledziutką, ale szczęśliwą, bo tego dnia, dzięki staraniom Pitou, znalazła w wierzbowej dziupli list!

Jak już mówiliśmy, pocziwy Pitou umiał znaleźć czas na wszystko.

O siódmej rano był u matki Colombe, piętnaście minut później wsunął list do dziupli, a o ósmej, ubrany w mundur, stał na czele swego oddziału.

Pitou nie widział Katarzyny od pamiętnego dnia, kiedy pożegnał ją chorą, ale już przytomną, a teraz taka była piękna i szczęśliwa, że aż wpadł w zachwyty.

Dała mu znak, aby się zbliżył.

Pitou rozejrzał się wkoło, aby sprawdzić, czy istotnie jego dotyczy to wezwanie.

Katarzyna uśmiechnęła się i powtórzyła gest.

Nie było żadnych wątpliwości.

Pitou wsunął szpadę do pochwy, wytwornym gestem chwycił róg kapelusza i z odkrytą głową ruszył w stronę dziewczyny.

Gdyby miał przed sobą pana de La Fayette'a, tylko by zasalutował.

— Och, panie Pitou, ledwie cię poznałam... — rzekła Katarzyna. — Mój Boże, jak wspaniale wyglądasz w tym mundurze! — A potem cicho dodała: — Dziękuję, dziękuję ci, drogi Pitou! Jaki ty jesteś dobry i jak bardzo cię lubię!

Pochwyciła w obie dłonie rękę kapitana gwardii i mocno ją uściśnęła.

Pitou zamigotało w oczach, kapelusz wypadł mu z wolnej ręki i kto wie, czy śmiertelnie zakochany, sam nie padłby na ziemię obok kapelusza, gdyby w tej samej chwili od strony ulicy Soissons nie dobiegły go odgłosy wielkiej wrzawy, której towarzyszyły groźne krzyki.

Niezależnie od natury tego zamieszania pozwoliło ono młodzieńcowi odzyskać równowagę.

Uwolnił rękę z uścisku Katarzyny, podniósł kapelusz i ruszył pędem do swoich trzydziestu trzech ludzi, krzycząc po drodze: „Do broni!”

Wyjaśnijmy więc teraz, co było powodem tego zamętu i głośnych grózb.

Jak wiadomo, proboszczowi nakazano odprawić przy ołtarzu ojczyzny uroczystą mszę w intencji federacji, a święte naczynia i inne przedmioty kultu jak krzyż, chorągwie i świeczniki dostarczone być miały z kościoła na wybudowany na placu ołtarz.

Zarządzenia dotyczące tej części uroczystości wydał osobiście mer, pan de Longpré.

Jak pamiętamy, pan de Longpré zetknął się już z proboszczem, kiedy to Pitou, z rozkazem pana de La Fayette'a w ręku, zażądał pomocy, by przejąć broń przechowywaną na plebanii księdza Fortiera.

Pan Longpré znał usposobienie proboszcza równie dobrze jak wszyscy; doskonale wiedział, że jest to człowiek popędliwy, uparty, drażliwy i gwałtowny.

Mer słusznie przypuszczał, że proboszcz nie zachował we wdzięcznej pamięci jego interwencji w sprawie karabinów.

Zamiast więc osobiście złożyć mu wizytę i uzgodnić rzecz jako władza cywilna z władzą kościelną, zadowolił się przesłaniem słudze Bożemu programu uroczystości, w którym było powiedziane:

ARTYKUŁ 4

„Ksiądz proboszcz Fortier odprawi o godzinie dziesiątej rano mszę świętą przy ołtarzu ojczyzny.

ARTYKUŁ 5

Święte naczynia i inne przedmioty kultu zostaną staraniem księdza dostarczone z kościoła w Villers-Cotterêts na ołtarz ojczyzny.”

Sekretarz merostwa osobiście doręczył program księdzu Fortierowi, który z drwiącym uśmiechem przebiegł go wzrokiem i równie drwiącym tonem oznajmił:

— W porządku.

Jak już wspomnieliśmy, o dziewiątej rano ołtarz był całkowicie przybrany, ozdobiony dywanem, draperiami, koronkowym obrusem i obrazem przedstawiającym świętego Jana nauczającego na puszczy.

Brakowało już tylko świeczników, tabernaculum, krzyża i naczyń kościelnych, niezbędnych do odprawienia nabożeństwa.

O wpół do dziesiątej nic się jeszcze nie zmieniło.

Mer zaniepokoił się nieco.

Wysłał więc do kościoła swojego sekretarza, aby ten sprawdził, czy ktoś zajmuje się tą sprawą. Sekretarz powrócił z wiadomością, że zastał kościół zamknięty na wszystkie spusty.

Otrzymał wówczas rozkaz udania się natychmiast do zakrystiana, któremu niewątpliwie poruczono przewiezienie przedmiotów kultu. Zakrystiana zastał w domu z nogą wyciągniętą na taborecie i twarzą wykrzywioną bólem.

Nieszczęsny zwichnął sobie nogę.

Sekretarz, wykonując dalsze polecenia, pobiegł wówczas do organisty i kantora.

Obaj cierpieli na ciężką niestrawność. Kurując się jeden zaaplikował sobie środek wymiotny, drugi — środek przeczyszczający. Oba lekarstwa okazały się doskonałe, ich działanie było w pełnym toku i chorzy mieli nadzieję, że nazajutrz w pełni odzyskają zdrowie.

Mer zaczął podejrzewać jakiś spisek. Posłał więc sekretarza do samego księdza proboszcza Fortiera.

Okazało się, że tegoż dnia rano ksiądz Fortier dostał ataku podagry i jego siostra drżała, aby podagra nie zaatakowała mu żołądka.

Od tej chwili pan Longpré nie miał już żadnych wątpliwości. Nie tylko ksiądz Fortier nie chciał odprawić mszy przy ołtarzu ojczyzny, ale usunąwszy niejako zakrystiana, organistę i kantora, a także zamknąwszy drzwi kościoła uniemożliwił innemu księdzu, gdyby przypadkiem taki się znalazł, zastąpienie go.

Sytuacja była poważna.

W owej epoce nie wydawał się jeszcze możliwy rozdział władzy cywilnej i kościelnej w szczególnie doniosłych okolicznościach, a także odbycie jakiegokolwiek uroczystości bez odprawienia nabożeństwa.

Kilka lat później zapanował przeciwny obyczaj.

Peregrynacje sekretarza, który chodził tam i z powrotem, nie odbywały się w milczeniu i po drodze wyrwało mu się kilka niedyskretnych uwag na temat zwichniętej nogi zakrystiana, wymiotów organisty i purgacji kantora, tudzież podagry proboszcza.

Pośród ludności wzbierał głuchy pomruk.

Zaczęto domagać się wyłamania drzwi do kościoła, aby zabrać stamtąd święte naczynia i kultowe sprzęty, a także zaciągnąć siłą proboszcza pod ołtarz ojczyzny.

Pan de Longpré, człek ugody, uśmierzył pierwsze wzburzenie i ofiarował się osobiście pójść do księdza Fortiera.

Ruszył więc na ulicę Soissons i zapukał do drzwi plebanii, równie starannie zaryglowanych jak wrota kościoła.

Próżno jednak stukał, drzwi pozostały zamknięte.

Pan de Longpré uznał wówczas, że powinien odwołać się do interwencji sił zbrojnych.

Kazał więc wezwać sierżanta i brygadiera żandarmerii.

Obaj byli na rynku i natychmiast przybiegli.

Za nimi podążał olbrzymi tłum.

Ponieważ pod ręką nie było ani balisty, ani katapulty dla otwarcia drzwi, posłano po prostu po ślusarza.

Ale w chwili gdy ślusarz wsuwał wytrych do zamka, drzwi się otwarły i stanął w nich ksiądz Fortier.

Nie wyglądał bynajmniej jak Coligny pytający swoich morderców: „Bracia, czegoż ode mnie chcecie?” Przypominał raczej Calchasa, zjeżonego gniewem i z płonąącym wzrokiem, jak przedstawił go w swojej *Ifigenii* Racine.

— Precz! — zawołał wyciągając rękę w groźnym geście. — Precz heretycy, bezbożnicy, hugonoci, kacerze! Precz Amalecyti, Sodomici, Gomoryci! Opuśćcie próg domu sługi Bożego!

Z tłumy dobiegł pomruk, w istocie niezbyt przychylny proboszczowi.

— Przepraszam, księżu proboszczu — rozległ się spokojny głos pana de Longpré, głos, któremu starał się nadać jak najbardziej przekonujący akcent — przepraszam, ale chcieliśmy się tylko dowiedzieć, czy ksiądz zechce, czy też nie zechce odprawić mszy świętej przy ołtarzu ojczyzny?

— Czy ja zechcę odprawić mszę świętą przy ołtarzu ojczyzny? — zawołał proboszcz wpadając w święte oburzenie, do którego zawsze miał skłonność. — Czy ja chcę uświęcać bunt, rebelię, niewdzięczność? Czy ja chcę prosić Boga, aby przeklął cnotę, a pobłogosławił grzech? Chyba nie oczekiwałeś tego, panie merze! Chcesz wiedzieć, czy odprawię dla was świętokradczą mszę? Otóż nie! Nie! I nie! Nie odprawię jej!

— A więc dobrze, księżu proboszczu — odparł mer — masz wolną wolę i nie można cię zmusić.

— Co za szczęście, że jestem wolny — rzekł proboszcz. — Jakie to szczęście, że nie możecie mnie zmusić... Panie merze, doprawdy jesteś dla mnie zbyt łaskawy...

I śmiejąc się szyderczo zamierzał zatrzaskać drzwi przed nosem urzędowej osoby.

Już drzwi miały pokazać oszołomionym zebranych swą drewnianą gębę, jak mówi tamtejsze ludowe porzekadło, kiedy z tłumy wyrwał się jakiś człowiek i z potężną siłą szarpnął zatrzaskujące się drzwi, omal nie przewracając proboszcza, który nie należał do ułomków.

Człowiekiem tym był Billot, pobladły z gniewu, ze zmarszczonym czołem i zgrzytający zębami.

Jak pamiętamy, Billot był filozofem, a jako filozof nienawidził księży, których nazywał klechami i nierobami.

Zapadła głęboka cisza. Wszyscy czuli, że między tymi dwoma mężczyznami rozegra się coś strasznego.

Tymczasem Billot, który z tak brutalną siłą zaatakował drzwi, odezwał się teraz spokojnie, niemal łagodnie:

— Bardzo przepraszam, panie merze, jakieś to powiedział?... Powiedziałeś... proszę, powtórz to jeszcze... powiedziałeś, że jeśli ksiądz proboszcz nie chce odprawić nabożeństwa, nie można go do tego zmusić, prawda?

— Tak, istotnie — wyjąkał nieszczęsny pan de Longpré. — Coś takiego powiedziałem.

— A więc popełniłeś wielki błąd, panie merze, a w czasach, w jakich żyjemy, ważne jest, aby błędy się nie rozpleniały.

— Precz, świętokradco! Precz, heretyku! Precz, bezbożniku! — wrzasnął proboszcz, kierując te słowa do Billota.

— Księżu proboszczu, proszę się uspokoić, bo, ostrzegam, to się może źle skończyć. Ja nie rzucam obelg, ale dyskutuję. Pan mer uważa, że nie można cię zmusić do odprawienia mszy świętej, a ja utrzymuję, że można.

— Och, manichejczyk! Ateusz! — wykrzyknął proboszcz.

— Spokój! — rzekł Billot. — Tak twierdzą i zaraz to udowodnię.

— Cisza! — wykrzykiwano z tłumu. — Cisza!

— Słyszysz, proboszczu — mówił dalej Billot z niezmaconym spokojem — wszyscy są mojego zdania. Nie umiem tak dobrze wygłaszać kazań, ale widać mówię ciekawe rzeczy, skoro słuchają.

Ksiądz miał ochotę rzucić jakąś nową anatemę, ale onieśmielał go pomruk tłumu.

— Mów, mów — zachęcił go szyderczo — zobaczymy, co masz do powiedzenia.

— Zaraz zobaczysz, księżę proboszczu — odparł Billot.

— No, słucham.

— I dobrze robisz.

Billot rzucił kosę spojrzenie na księdza, jakby chciał się upewnić, że będzie milczał podczas jego wywodów.

— Najpierw powiem rzecz bardzo prostą, tę mianowicie, że jeśli ktoś otrzymuje zapłatę za jakąś pracę, obowiązany jest ją wykonywać.

— Ach, widzisz, dokąd zmierzasz — rzekł ksiądz.

— Przyjaciele — rzekł łagodnym głosem Billot, zwracając się do dwustu czy trzystu świadków tej sceny — co wolicie? Słuchać złorzeczeń księdza proboszcza czy mojego rozumowania?

— Mów, panie Billot, mów! Słuchamy! Cicho! Proboszcz niech milczy!

Tym razem Billot zadowolił się spojrzeniem na księdza i mówił dalej.

— Powiedziałem więc, że jeśli ktoś pobiera jakąś zapłatę, obowiązany jest wykonywać posługę, za którą mu płacą. Na przykład panu sekretarzowi merostwa płacą za to, że redaguje pisma dla pana mera, roznosi je i przynosi odpowiedzi od tych, do których były adresowane. Pan mer posłał sekretarza z programem uroczystości do księdza proboszcza i sekretarzowi nie przyszłoby nawet do głowy oświadczyć: „Panie merze, nie chcę zanosić księdzu Fortierowi programu uroczystości”. Prawda, panie sekretarzu, że taka myśl nie przyszła ci do głowy?

— O nie, panie Billot — odrzekł naiwnie sekretarz — nigdy w życiu..

— Słyszałeś, księżę proboszczu?

— Błuznierco! — zakrzyknął ksiądz.

— Cicho! — zawołano z tłumu. Billot ciągnął dalej:

— A oto sierżant żandarmerii, któremu płacą za utrzymywanie porządku tam, gdzie może on zostać zakłócony. Kiedy przed chwilą mer uznał, że z twego powodu, księżę proboszczu, porządek może być zakłócony, wezwał na pomoc sierżanta, a temu nie przyszło na myśl odpowiedzieć: „Panie merze, rób sobie porządek, jak chcesz, ale beze mnie”. Czy przyszło panu na myśl tak odpowiedzieć, panie sierżancie?

— Skądże znowu! Moim obowiązkiem było przyjść, więc przyszedłem — odparł z prostotą.

— Słyszałeś, księżę proboszczu? — zapytał Billot. Ksiądz zgrzytnął tylko zębami.

— Jeszcze chwileczkę — mówił Billot. — A oto dzielny ślusarz. Jego rzemiosło polega na robieniu, otwieraniu i zamykaniu zamków. Pan mer posłał po niego, aby otworzył te drzwi. Nawet przez myśl mu nie przemknęło odpowiedzieć na to wezwanie: „Nie chcę otwierać drzwi księdza Fortiera”.

Prawda, Picard, że taka myśl nawet nie zaświtała ci w głowie?

— Co prawda, to prawda — odrzekł ślusarz. — Wziąłem moje wytrychy i przyszedłem. Niech każdy robi, co do niego należy, a bydło nie pójdzie w szkodę.

— Słyszałeś, księżę proboszczu? — zapytał Billot. Ksiądz chciał mu przerwać, ale Billot powstrzymał go gestem.

— Powiedz mi zatem, księże proboszczu, jak się to dzieje, że ty, który zostałeś wybrany, aby innym służyć przykładem, jesteś jedynym, słyszysz, jedynym człowiekiem, który nie spełnia swego obowiązku?

— Brawo, Billot, brawo! — wykrzyknęli jednogłośnie zebrani.

— Nie dość, że jako jedyny nie spełniasz swego obowiązku, ale jeszcze dajesz przykład nieporządku i zła.

— Przecież Kościół jest niezależny — rzekł proboszcz, który pojął, że powinien się bronić. — Kościół nie słucha nikogo, Kościół sam dla siebie stanowi prawa!

— Na tym właśnie — rzekł Billot — polega całe zło, że jesteście odrębną władzą w kraju, że stanowicie państwo w państwie. Albo jesteś Francuzem, albo cudzoziemcem, albo jesteś obywatelem, albo nie. Jeśli nie jesteś obywatelem i Francuzem, jeśli jesteś Prusakim, Anglikiem czy Austriakiem, jeśli opłaca cię pan Pitt, pan Cobourg czy pan de Kaunitz, w takim razie słuchaj pana Pitta, pana Cobourga czy pana de Kaunitza. Ale jeśli jesteś Francuzem i obywatelem, jeśli to naród cię opłaca, bądź narodowi posłuszny.

— Tak! Tak jest! — wykrzyknęło razem trzysta osób.

— A zatem, kapłanie — zakończył Billot marszcząc brwi i ciskając z oczu gromy — w imieniu narodu wzywam cię, abyś wypełnił swe pokojowe posłannictwo, abyś błagał niebo o łaskę, Opatrzność o przychyłność, a Boga o miłosierdzie dla twoich współobywateli i ojczyzny. Chodź! Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki:

— Brawo, Billot! Niech żyje Billot! Do ołtarza z księdzem! Do ołtarza!

Zachęcony tą owacją wieśniak silną dłonią wyciągnął zza obronnego szanca wielkich drzwi pierwszego może we Francji księdza, który tak otwarcie rzucił hasło kontrrewolucji.

Proboszcz Fortier zrozumiał, że dalszy opór nie jest możliwy.

— Dobrze — powiedział — a więc męczeństwo... Wzywam męczeństwa, żądam męczeństwa, pragnę męczeństwa!

I pełnym głosem zaintonował *Libera nos, Domine!*

Taki oto przedziwny pochód zdążył do rynku pośród krzyków i wrzawy, a jego odgłos dobiegł Pitou w chwili, gdy bliski był omdlenia pod wpływem podziękowań, czułych słówek i uścisku dłoni Katarzyny.

XXV

DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

Pitou, któremu ta wrzawa przypominała paryskie zamieszki, jakich nieraz był świadkiem, sądząc, że zbliża się banda morderców i będzie musiał bronić jakiegoś nowego Flesselles'a, Foulona czy Berthiera, krzyknął: „Do broni!”, i stanął na czele swoich trzydziestu trzech ludzi.

Wówczas tłum się rozstał i ukazał się ojciec Billot, wlokący za sobą księdza Fortiera, któremu brakowało jedynie palmowej gałązki, aby upodobnił się do dawnego chrześcijanina prowadzonego do cyrku.

W naturalnym odruchu chciał stanąć w obronie dawnego nauczyciela, tym bardziej że jeszcze nie wiedział, jaką tamten popełnił zbrodnię.

— Och, panie Billot! — krzyknął podbiegając do gospodarza.

— Ojcie! — zawołała w tej samej chwili Katarzyna, ogarnięta tym samym odczuciem, zupełnie jakby całość przygotował zręczny reżyser.

Wystarczyło wszakże jedno spojrzenie Billota, aby oboje skamienieli. Ten człowiek, żywy symbol narodu, miał w sobie coś z orła i lwa.

Doszedłszy do stóp estrady, zwolnił księdza z żelaznego uścisku i wskazując ołtarz rzekł:

— Patrz, oto ołtarz ojczyzny, przy którym wzbranasz się odprawić mszę, ale ja, Billot, ogłaszam, że nie jesteś godzien dostąpić tego zaszczytu. Abyś wstąpił na te święte stopnie, twoje serce przepętniać winny trzy uczucia: pragnienie wolności, poświęcenie dla ojczyzny i miłość do ludzi! Kapłanie, czy pragniesz wyzwolenia świata? Czy gotów jesteś do poświęceń dla ojczyzny? Czy kochasz bliźniego swego bardziej niż siebie samego? Jeśli tak, wstąp śmiało na stopnie ołtarza i wzywaj Boga. Jeśli jednak nie czujesz się wśród nas pierwszym jako obywatel, ustąp miejsca godniejszemu, usuń się... zniknij... idź precz!

— Nieszczęsny — wykrzyknął proboszcz cofając się i grożąc palcem. — Sam nie wiesz, komu wypowiadasz wojnę!

— Wiem, a jakże — odrzekł Billot. — Wypowiadam wojnę wilkom, lisom i węzom; wszystkiemu, co kąsa, gryzie i rozszarpuje w ciemnościach. Dobrze, niech i tak będzie — dodał bijąc się z całą siłą w pierś. — Kąsajcie, gryźcie, rozdzierajcie... jest co!

Na chwilę zapadła cisza, podczas której tłum się rozstał przepuszczając umykającego księdza, a potem, gdy szeregi znów się zwały, znieruchomiał pełen podziwu dla tej mocarnej natury, co rzucała wyzwanie straszliwej sile trzymającej jeszcze wówczas pół świata w niewoli, a którą nazywano klerem.

Teraz nie było już ani mera, ani jego zastępcy, ani rady miejskiej. Był tylko Billot.

Pan de Longpré podszedł do niego.

— Dobrze, panie Billot, ale po tym wszystkim nie mamy już księdza.

— I co z tego?

— Nie mając proboszcza, nie będziemy mieć mszy świętej.

— Wielkie mi nieszczęście! — powiedział Billot, który od czasu pierwszej komunii tylko dwa razy był w kościele: w dniu swego ślubu i w dniu chrztu Katarzyny.

— Nie mówię, że to wielkie nieszczęście — podjął mer, który wcale nie chciał zadzierać z Billotem — ale co będzie zamiast mszy?

— Zamiast mszy... — zawołał Billot jakby pod wpływem nagłego natchnienia — zaraz powiem, co będzie zamiast mszy. Ty, panie merze, i ty, Pitou, wejdźcie razem ze mną na podium i stańcie przed ołtarzem ojczyzny; jeden po mojej lewej, drugi po prawej stronie... o tak. A teraz

posłuchajcie, co powiem: zamiast mszy będzie Deklaracja Praw Człowieka, *credo* wolności, Ewangelia przyszłości!

Rozległy się huczne oklaski: wszyscy ci ludzie, którzy dopiero wczoraj odzyskali wolność, pragnęli dowiedzieć się, jakie prawa zostały im przywrócone, prawa, z których nie mieli jeszcze możliwości skorzystać.

Bardziej tego pragnęli, niżli tego, co proboszcz Fortier nazywał słowem Bożym.

Stojąc pomiędzy merem, przedstawicielem prawa a Pitou, reprezentującym władzę wojskową, Billot wyciągnął rękę i z pamięci — jak pamiętamy, ten dzielny wieśniak nie umiał czytać — donośnym głosem wypowiadać zaczął słowa, których zgromadzona ludność słuchała w milczeniu, stojąc z odkrytymi głowami:

DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

ARTYKUŁ PIERWSZY

„Ludzie rodzą się i pozostają wolni i równi wobec prawa. Różnice społeczne istnieć mogą jedynie, gdy tego wymaga dobro ogółu.”

ARTYKUŁ DRUGI

„Celem wszelkich stowarzyszeń politycznych jest utrzymanie naturalnych i niezbywalnych praw człowieka. Prawami tymi są: prawo własności, prawo do bezpieczeństwa i prawo przeciwstawiania się uciskowi.”

Słowa „Prawo przeciwstawiania się uciskowi” wygłosił Billot jak człowiek, który na własne oczy widział padające mury Bastylii i który wie, że ludowi, kiedy ten podniesie rękę, nic się nie oprze.

Toteż słowa te wyrwały z wszystkich piersi okrzyk podobny do ryku.

Billot mówił dalej:

ARTYKUŁ TRZECI

„Podstawą wszelkiej władzy jest wyłącznie naród. Żadna organizacja, żaden człowiek nie może wykonywać władzy, która nie pochodzi od narodu...”

Ostatnie zdanie jako żywo przywiodło zebranych na myśl dyskusję Billota z proboszczem, kiedy to wieśniak powoływał się na tę zasadę, która wówczas przeszła nie zauważona, wszelako teraz słowa te wywołały wiwaty i oklaski.

Billot odczekał, aż umilkną, i podjął znowu:

ARTYKUŁ CZWARTY

„Wolność polega na tym, aby móc robić wszystko, co nie przynosi szkody innym: zatem korzystanie z naturalnych praw każdego człowieka ograniczone jest tylko tymi samymi prawami, przysługującymi innym członkom społeczeństwa; ograniczenia te określać może tylko prawo...”

Dla słuchających go prostych ludzi artykuł ten miał nieco zbyt abstrakcyjne brzmienie, przyjęto go więc chłodniej niż poprzednie, choć stanowił jedną z podstawowych zasad Deklaracji.

Billot ciągnął dalej:

ARTYKUŁ PIĄTY

„Prawo zakazywać może tylko czynów szkodliwych dla społeczeństwa. To, czego prawo nie zabrania, nie może zostać przez kogokolwiek zakazane i nikt nie może być zmuszany do wykonywania tego, co nie jest nakazane prawem...”

— Czy to znaczy — zapytał jakiś głos z tłumu — że skoro prawo nie nakazuje pańszczyzny i zniósł dziesięcinę, księża nigdy już nie przyjdą zbierać dziesięciny z mojego pola, a król nie zmusi mnie do odrabiania pańszczyzny?

— Właśnie tak — odpowiedział Billot pytającemu. — Od teraz i na przyszłość jesteśmy już na zawsze uwolnieni od tego haniebnego ucisku.

— W takim razie niech żyje prawo! — zawołał człowiek z tłumu.

Chór obecnych powtórzył za nim: „Niech żyje prawo!”, a Billot podjął dalej:

ARTYKUŁ SZÓSTY

„Prawo jest wyrazem woli ogółu.” Tu zrobił pauzę i podniósł palec do góry:

— Słuchajcie teraz uważnie, przyjaciele, bracia, obywatele, ludzie!

„Każdy Francuz ma prawo osobiście lub za pośrednictwem swoich przedstawicieli uczestniczyć w tworzeniu prawa...”

I podnosząc głos, aby nie umknęła im ani sylaba, powiedział:

„Prawo musi być jednakowe dla wszystkich, i wtedy, kiedy broni, i wtedy, gdy karze...”

Potem zaś rzekł jeszcze głośniejszym głosem:

„Wszyscy obywatele, równi wobec prawa, mogą również piastować wszelkie godności, urzędy i stanowiska publiczne zależnie od swoich umiejętności, jedyną zaś różnicę między nimi stanowić mogą ich własne cnoty i talenta...”

Artykuł szósty wywołał powszechny aplauz.

Billot przeszedł do artykułu siódmego:

„Oskarżać, aresztować, przetrzymywać wolno jedynie w przypadku określonym przez prawo i wedle przepisanych norm postępowania. Ktokolwiek domaga się, wydaje, wykonuje lub każe wykonywać samowolne rozkazy, podlega karze; każdy jednak obywatel wezwany lub zatrzymany w imię prawa winien natychmiast okazać posłuszeństwo. Stawiając opór popełnia przestępstwo.”

ARTYKUŁ ÓSMY

„Prawo winno nakładać tylko niezbędnie konieczne kary; nikt nie może zostać ukarany inaczej, jak tylko na podstawie prawa wydanego i ogłoszonego przed popełnieniem przestępstwa i legalnie zastosowanego.”

ARTYKUŁ DZIEWIĄTY

„Każdy człowiek uważany jest za niewinnego do chwili, gdy wina nie zostanie mu dowiedziona, a jeśli aresztowanie go uznane zostanie za niezbędne, prawo surowo przeciwstawia się wszelkim obostrzeniom, które nie są bezwzględnie konieczne dla uniemożliwienia ucieczki.”

ARTYKUŁ DZIESIĄTY

„Nikt nie może być niepokojony z powodu wyznawanych poglądów, nawet religijnych, jeżeli ich objawianie nie zakłóca ustalonego prawem porządku.”

ARTYKUŁ JEDENASTY

„Swobodna wymiana myśli i poglądów to jedno z najcenniejszych praw człowieka. Każdy więc obywatel może mówić, pisać i drukować swobodnie; wyjątek stanowią określone prawem przypadki nadużywania tej swobody.”

ARTYKUŁ DWUNASTY

„Zagwarantowanie praw człowieka i obywatela wymaga stworzenia siły publicznej: siłą taką tworzy się więc dla wspólnej korzyści wszystkich i użyteczności tych, którym zostaje powierzona.”

ARTYKUŁ TRZYNASTY

„Na utrzymanie tej siły publicznej i na wydatki administracyjne konieczne jest nałożenie ogólnego podatku; musi on być rozłożony na wszystkich obywateli zależnie od ich możliwości.”

ARTYKUŁ CZTERNASTY

„Każdy obywatel ma prawo osobiście lub za pośrednictwem swoich przedstawicieli zbadać zasadność powszechnego podatku, dobrowolnie się nań zgodzić, śledzić, na co został

zużytkowany, i ustalać jego wysokość, podstawę, sposób ściągania oraz okres, w ciągu którego obowiązuje.”

ARTYKUŁ PIĘTNASTY

„Społeczeństwo ma prawo żądać od każdego, kto piastuje jakąkolwiek godność publiczną, sprawozdania z jego działalności.”

ARTYKUŁ SZESNASTY

„Społeczeństwo, w którym nie zostało zapewnione działanie prawa ani nie ma określonego podziału władzy, nie posiada konstytucji.”

ARTYKUŁ SIEDMNASTY

„Ponieważ prawo własności jest prawem nienaruszalnym i świętym, nikt nie może zostać go pozbawionym, chyba że wymaga tego legalnie stwierdzone dobro publiczne i to pod warunkiem uprzedniego i sprawiedliwego odszkodowania.”

— A teraz — mówił dalej Billot — zobaczymy, jak te zasady zostaną zastosowane. Słuchajcie, bracia! Słuchajcie, obywatele! Ludzie, których ta deklaracja uczyniła wolnymi, słuchajcie!

— Cicho! Spokój! Słuchajcie! — zawołało ze dwadzieścia głosów z tłumu.

Billot podjął znowu:

„Zgromadzenie Narodowe, chcąc oprzeć Konstytucję Francji na zasadach, które właśnie ogłosiło i uznało, znosi nieodwołalnie wszystkie ustawy, które naruszały wolność i równość wobec prawa...”

W miarę jak Billot mówił, jego głos pobrzmiewał akcentami nienawiści i groźby.

„Nie ma już ani szlachty, ani arystokracji, ani dziedzicznych przywilejów czy wyróżnień orderowych, nie ma ustroju feudalnego ani sądów patriarchalnych, żadnych tytułów, rang i prerogatyw, jakie się z nich wywodzą, nie ma zakonów rycerskich, żadnych stowarzyszeń ani orderów, których posiadanie wymagało przynależności do szlacheckiego stanu lub zależne było od urodzenia, nie ma żadnych wyróżnień poza stanowiskami funkcjonariuszy publicznych wykonujących swoje obowiązki.

Znosi się dożywotnie i dziedziczne piastowanie urzędów publicznych; nie ma już dla żadnej grupy społecznej ani jednostki żadnych przywilejów czy wyjątków od wspólnego prawa dla wszystkich Francuzów.

Znosi się stanowiska przysięgłych cechowych oraz wszelkie stowarzyszenia zawodowe i rzemieślnicze.

Wreszcie prawo nie uznaje żadnych ślubów religijnych ani innych zobowiązań sprzecznych z prawami naturalnymi lub z Konstytucją...”

Billot skończył.

Wszyscy słuchali w nabożnym milczeniu.

Po raz pierwszy zdumiony lud usłyszał, że jego naturalne prawa zostały uznane, proklamowane głośno w blasku dnia, w obliczu Boga, którego od tak dawna błagał w modłach o te naturalne przykazania, a otrzymał je teraz po latach niewoli, nędzy i cierpienia!...

Po raz pierwszy człowiek, konkretny człowiek, na którym od sześciuset lat wspierał się gmach monarchii, ze szlachtą po prawicy, a duchowieństwem po lewicy, po raz pierwszy robotnik, rzemieślnik i wieśniak odkryli własną siłę, docenili jej wartość, uświadomili sobie miejsce, jakie zajmują na ziemi, odmierzili własny cień, jaki rzucają — a wszystko to zawdzięczali nie kaprysowi pana, ale głosowi człowieka, który był jednym z nich!

Nic więc dziwnego, że gdy przebrzmiały ostatnie słowa: „... prawo nie uznaje żadnych ślubów religijnych ani żadnych zobowiązań sprzecznych z prawami naturalnymi lub z Konstytucją”, kiedy po tych słowach Billot wzniósł okrzyk tak nowy jeszcze, że niemal

zbrodniczy: „Niech żyje naród!”, gdy rozłożył ramiona i na własnej piersi połączył w braterskim uścisku dłonie mera i kapitana, to chociaż mer rządził małym miasteczkiem, a kapitan był dowódcą garstki wieśniaków, choć żaden z nich nie miał większego znaczenia, zasada, jaką wcielali w życie, była wielka, przeto wszystkie usta powtórzyły okrzyk: „Niech żyje naród!” Wszystkie ramiona zwarły się w powszechnym uścisku, wszystkie serca połączyły się w jedno wielkie serce, a wszystkie jednostkowe interesy zespoliły się w uczuciu wzajemnego poświęcenia.

Jedną z takich scen opisał Gilbert królowej, lecz ona tego nie zrozumiała.

Billot opuścił ołtarz ojczyzny pośród okrzyków radości i wiwatów zgromadzenia.

Kapela z Villers–Cotterêts, połączona z zespołami z sąsiednich wiosek, natychmiast zagrała melodię wykonywaną na wszystkich sąsiedzkich zebraniach, na weselach i chrzcinach: *Czy gdzieś może być lepiej niż na łonie rodziny?*

Istotnie, od tej chwili Francja stała się jedną wielką rodziną; od tej chwili wygasły religijne nienawiści, zniknęły antagonizmy między prowincjami; od tej chwili we Francji dokonano się to, co kiedyś stanie się z całym światem: geografia przestała istnieć; nie było już gór, rzek, żadnych przeszkód między ludźmi; był jeden język, jedna ojczyzna, jedno serce!

Przy dźwiękach naiwnej melodii, jaką ongiś przyjmowano Henryka IV, a którą teraz cały naród witał wolność, ruszyła olbrzymia farandola, natychmiast tworząc olbrzymi łańcuch, co toczył swoje żywe ogniwa od środka placu aż po krańce dochodzących tu ulic.

Potem przed bramami domów ustawiono stoły. Biedny czy bogaty, każdy przyniósł jedzenie, dzbanek jabłecznika, kufel piwa, butelkę wina lub wodę i błogosławiąc Boga całą ludność rozpoczęła wielką ucztę; sześć tysięcy obywateli przyjęło komunię przy wspólnym, świętym stole braterstwa!

Billot był bohaterem dnia. Szczodrze dzielił się honorami z merem i Pitou.

Nie trzeba chyba wspominać, że przy farandoli Pitou znalazł sposób, aby podać rękę Katarzynie. Nie trzeba dodawać, że przy stole zajął miejsce obok niej.

Biedna dziewczyna była jednak smutna; jej poranna radość zniknęła jak wesoły i świeży promień zorzy w burzliwych oparach dnia.

Dyskusja ojca z proboszczem i wygłoszenie Deklaracji Praw Człowieka były wyzwaniem rzuconym duchowieństwu i szlachcie, wyzwaniem tym straszniejszym, że pochodziło od człowieka najniższego stanu.

Katarzyna myślała o Izydorze, który nie był już niczym... niczym więcej niż każdy inny człowiek.

Nie żałowała jego tytułu, pozycji społecznej czy bogactwa; kochałaby go tak samo, gdyby był zwykłym wieśniakiem; wydawało jej się to przecież brutalne i niesprawiedliwe wobec młodzieńca; miała wrażenie, że odzierając go z tytułów i przywilejów ojciec nie zbliżał go do niej, ale oddalał na zawsze.

O nabożeństwie nikt już nawet nie wspominał; wybaczone niemal proboszczowi jego kontrrewolucyjne wystąpienie. Dopiero nazajutrz, wobec niemal pustej klasy, ksiądz Fortier uświadomił sobie, jakim ciosem dla jego popularności pośród patriotycznie usposobionych rodziców z Villers–Cotterêts była odmowa odprawienia mszy przy ołtarzu ojczyzny.

XXVI POD OKNEM

Opisana właśnie uroczystość, której celem było wzajemne powiązanie gmin Francji poprzez częściowe federacje, stanowiła wstęp do wielkiej federacji, jaka odbyć się miała w Paryżu 14 lipca 1790.

Podczas tych lokalnych zgromadzeń gminy już wcześniej debatowały nad wyborem deputowanych, których wyślą na ogólną federację.

Rola, jaką w niedzielę 18 października odegrali Billot i Pitou, wskazywała jasno, na kogo głosować będą ich współobywatele, gdy nadejdzie dzień zawiązania wielkiej federacji.

Tymczasem jednak, w oczekiwaniu na ten wielki dzień, życie toczyło się zwykłym trybem, który tylko na chwilę zakłócił wstrząs niezwykle jak na owe spokojne prowincjonalne zwyczaje.

Mówiąc o spokojnych prowincjonalnych zwyczajach nie twierdzimy bynajmniej, że życie w wielkim mieście płynie inaczej niż gdzie indziej, czyli przeplatając na przemian radości i smutki. Czy to nad maleńkim strumykiem, który szmerząc wśród trawy przepływa przez sad biednego wieśniaka, czy też nad majestatyczną rzeką, która spływa z Alp niby z królewskiego tronu, by z rozpędem zdobywcy rzucić się w morze, wszędzie — i na usianych stokrotkami brzegach, i na miejskich bulwarach — kładzie się na przemian słoneczny blask i cienie.

Gdybyśmy w to wątpili, przykładu dostarczyć może pałac Tuileries, dokąd wprowadziliśmy naszych czytelników, albo folwark ojca Billota, do którego powracamy.

Na zewnątrz wszystko wydawało się spokojne i pogodne. Codziennie o piątej rano otwierała się brama od strony pól, na których skraju widniał w dali las, zielony latem, a niemal czarny zimą; tędy wychodził siewca z przewieszonym przez ramię workiem pszenicy zmieszanej z popiołem; tędy na oklep wyjeżdżał fernal, by zaprząć konia do pług, który pozostał w środku bruzdy; tędy pastuszka wypędzała stado bydła, które wiódł majestatycznie byk, a za nim kroczyły krowy i jałówki, wraz z ulubienicą, którą wyróżniał wdzięczny dzwonek zawieszony na szyi. Wreszcie na krępy normandzkim wałachu ukazywał się Billot — pan, dusza i życie tego miniaturowego świata, stanowiącego jakby uproszczony model całego narodu.

Obojętny obserwator nie byłby w ogóle zauważył jego wyjścia; w ukrytym pod ciemnymi brwiami spojrzeniu, które czujnie rozglądało się dokoła, w uszach uważnych na wszelkie odgłosy, w napiętym kręgu uwagi, jaki roztaczał wokół folwarku, skupiony niczym szukający tropu myśliwy, co nie odrywa wzroku od ziemi, obojętny obserwator dostrzegłby tylko działania uważnego gospodarza, który chce się upewnić, czy dzień będzie pogodny, czy w ciągu nocy wilki nie zakradły się do owczarni, dziki nie zryły kartofliska, a króliki nie dobrały się do koniczyny wyszedłszy z leśnego schronienia, gdzie dosięgnąć ich mogła tylko kula wystrzelona przez samego księcia Orleanu lub jego leśniczych.

Jednakże dla tego, kto wiedziałby, co dzieje się w głębi serca poczciwego wieśniaka, każdy jego krok lub gest zyskałby głębszą wymowę.

Billot wpatrywał się w ciemność, aby dojrzeć, czy jakiś włóczęga nie skrada się lub nie oddala od folwarku.

W otaczającej go ciszy nadstawał uszu, czy jakieś tajemnicze wołanie nie biegnie z pokoju Katarzyny ku przydrożnym wierzbom lub w stronę rowów oddzielających las i równinę.

Uważnie wpatrzony pytał ziemi, czy nie zachowała śladu stopy, której lekkość lub drobny rozmiar świadczyłaby o arystokratycznym pochodzeniu.

Wprawdzie twarz Billota nieco łagodniała, ilekroć spoglądał na córkę, ale Katarzyna wciąż czuła ojcowską nieufność, która niczym niespokojna strażniczka nie odstępowała jej ani na krok. Doszło do tego, że podczas długich zimowych nocy, samotnych i pełnych niepokoju, zastanawiała się, czy woli, aby Izidor przyjechał do Boursonne, czy też by pozostał z dala od niej.

Matka Billot natomiast, odkąd mąż wrócił do domu, a córka odzyskała zdrowie, popadła znów w swoje wegetatywne istnienie; nie sięgała wzrokiem poza ten ciasny horyzont, a tylko dużo baczniejsze spojrzenie niż jej własne dopatrzyłoby się w głębi duszy męża podejrzeń, w sercu córki zaś — niepokoju.

Pitou, nacieszywszy się z dumą zaprawioną smutkiem swoim triumfem w roli kapitana, popadł w zwykły nastrój, czyli w łagodną i dobrotliwą melancholię. Zgodnie z wrodzoną skrupulatnością co dzień rano składał wizytę matce Colombe. Gdy nie było listu do Katarzyny, wracał smutny do Haramont, wiedział bowiem, że nie otrzymawszy listu od Izidora Katarzyna nie będzie miała w ciągu dnia okazji pomyśleć o tym, kto go przyniósł. Jeśli zaś list nadszedł, niemal z nabożeństwem składał go w wierzbowej dziupli i wracał jeszcze smutniejszy niż wtedy, gdy listu nie było, gdyż wiedział, że tym razem Katarzyna pomyśli o nim tylko mimochodem, bo chociaż Deklaracja Praw Człowieka pozbawiła pięknego młodzieńca tytułu, nie odebrała mu przecież wdzięku i wytworności, a Pitou tylko dzięki wicehrabiemu przyciągał w niemal bolesny sposób uwagę Katarzyny.

Pitou nie był przecież jedynie biernym posłańcem, bo chociaż niemy, nie był jednak ślepy. Po dokładnym przesłuchaniu dotyczącym Turynu i Sardynii, które wyjawilo mu cel podróży Izidora, oglądając stemple pocztowe dowiedział się, że młody magnat bawi w stolicy Piemontu. Wreszcie pewnego dnia znaczek zamiast stempla z napisem Turyn miał napis Lyon, a dwa dni później, czyli 25 grudnia, nadszedł list, na którym słowo Paryż zastąpiło Lyon.

Bez trudu Pitou pojął, że wicehrabia Izidor de Charny opuścił Włochy i powrócił do Francji.

Teraz, kiedy dotarł już do Paryża, oczywiście było, iż niebawem pojawi się w Boursonne.

Na myśl o tym ścisnęło się serce Pitou; był wprawdzie gotów do poświęceń, co zgoła nie znaczy, że miał serce nieczułe na najróżniejsze wzruszenia.

Tak więc w dniu, kiedy przyszedł list wysłany z Paryża, Pitou pod pretekstem zastawienia wnyków wybrał się do leśnego obwodu Bruyère-aux-Loups, gdzie z takim powodzeniem działał na początku naszej opowieści.

Folwark Pisseleux znajdował się właśnie na trasie z Haramont, nie opodal części lasu zwanej Bruyère-aux-Loups.

Nic więc dziwnego, że Pitou zatrzymał się tam po drodze.

Wybrał na to porę, kiedy Billot zwykł wyruszać na popołudniowy obchód swoich ziem.

Pitou jak zwykle ruszył z Haramont na przełaj do wielkiego gościńca wiodącego z Paryża do Villers-Cotterêts, stamtąd drogą do folwarku Noue, a dalej wązozami aż do Pisseleux.

Obszedłszy tyły zabudowań minął owczarnię oraz stajnię i znalazł się pod główną bramą, przy której stały budynki mieszkalne.

Tędy zwykle wiodła jego droga.

Doszedłszy do bramy rozejrzał się, tak jak uczyniłby to Billot, i w oknie dostrzegł Katarzynę.

Wydawało się, że na coś czeka. Jej błędne spojrzenie, nie zatrzymując się na żadnym punkcie, prześlizgiwało się nieustannie po całej widocznej części lasu pomiędzy drogą z Villers-Cotterêts do La Ferté-Milon i z Villers-Cotterêts do Boursonne.

Pitou nie chciał zaskoczyć Katarzyny, przystanął więc w miejscu, gdzie powinna go była dojrzeć. Uśmiechnęła się na jego widok. Dla Katarzyny Pitou stał się przecież przyjacielem, a nawet czymś więcej niż przyjaciel — powiernikiem.

— Ach, to ty, mój drogi Pitou — rzekła. — Jakież to dobre wiatry przywiodły cię w naszą stronę?

Pitou pokazał owinięte wokół ręki wnyki.

— Przyszło mi do głowy, panno Katarzyno, że pewnie chętnie zjadłabyś parkę kruchych i smakowitych królików, a że najlepsze łowi się w lesie Bruyère–aux–Loups, bo żywią się macierzanką, jakiej tam pełno, wyruszyłem nieco wcześniej, żeby cię po drodze odwiedzić i zapytać o zdrowie.

Katarzyna rozczuliła się troskliwością Pitou. Na pierwszą część jego wypowiedzi odpowiedziała uśmiechem, na drugą zaś słowem.

— Pytasz o moje zdrowie? Bardzo jesteś miły, drogi panie Pitou. Dzięki twoim staraniom w czasie choroby, a także względom okazywanym mi podczas rekonwalescencji, jestem już prawie zdrowa.

— Prawie! — rzekł z westchnieniem Pitou. — Wolałbym, abyś była zupełnie zdrowa.

Katarzyna zaczerwieniła się, westchnęła, chwyciła Pitou za rękę, jakby chciała powiedzieć mu coś ważnego, ale rozmyśliwszy się jakby, puściła jego dłoń, zrobiła kilka kroków w głąb pokoju, szukając chusteczki, a znalazłszy ją otarła pot z czoła, choć były to najchłodniejsze dni roku.

Żaden z tych gestów nie uszedł uwagi badawczemu spojrzeniu Pitou.

— Czy masz mi coś do powiedzenia, panno Katarzyno? — zapytał.

— Ja?... Nie... nic... mylisz się, drogi Pitou — odrzekła niepewnie.

Pitou podjął jakby z wysiłkiem:

— Bo widzisz, panno Katarzyno, gdybym ci był potrzebny, nie krępuj się...

Katarzyna zamyśliła się, a raczej zawahała chwilę.

— Mój drogi Pitou, wielokroć dowiódł pan, że mogę na niego liczyć i jestem za to bardzo wdzięczna; ale tym razem jednak dziękuję.

Po czym dodała ciszej:

— W tym tygodniu nie ma potrzeby chodzić na pocztę, bo przez kilka dni nie będę dostawała listów.

Pitou już miał odpowiedzieć, że się tego domyślał, chciał jednak sprawdzić, jak daleko sięga zaufanie dziewczyny.

Ona jednak poprzestała na poprzednim zaleceniu, co miało po prostu zaoszczędzić Pitou zbyt długiego spaceru.

Dla Pitou miało ono jednak dużo głębsze znaczenie.

Zaniechanie korespondencji oznaczało jedynie powrót Izydora do Paryża. Jeśli nie pisał już do Katarzyny, widać liczył na spotkanie.

Kto wie, może list z paryskim stemplem, który właśnie tego dnia złożył w wierzbowej dziupli, oznajmiał rychły powrót kochanka? Może wpatrzona w dal oczy Katarzyny, w chwili gdy się tu zjawiał i ściągnął na siebie jej spojrzenie, szukały na skraju lasu jakiegoś znaku, że ukochany powrócił?

Pitou odczekał chwilę, pozwalając Katarzynie rozważyć, czy pragnie mu coś wyznać. Ona milczała jednak uparcie, więc zagadnął.

— Panno Katarzyno, czy zwróciłaś uwagę, jak bardzo zmienił się ostatnio pan Billot?

Dziewczyna drgnęła.

— Och, czyżbyś coś zauważyła? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Panno Katarzyno — podjął Pitou kiwając głową — na pewno nadejdzie moment... nie wiem kiedy, ale na pewno nadejdzie... gdy ten, co jest powodem tej zmiany, przeżyje przykre chwile. Ja ci to mówię, panno Katarzyno.

Dziewczyna zbladła, ale patrząc młodzieńcowi prosto w oczy zapytała jednak:

— Dlaczego mówisz „ten”, a nie „ta”? Może to kobieta, nie zaś mężczyzna, padnie ofiarą skrywanego gniewu...

— Przerażasz mnie, panno Katarzyno... Czyżbyś się czegoś obawiała?

— Drogi przyjacielu — rzekła ze smutkiem Katarzyna — obawiam się tego, czego ze strony rozgniewanego ojca lękać się może każda dziewczyna, która zapomniawszy o swojej kondycji, pokochała człowieka stojącego o wiele wyżej od siebie.

— Panienko — rzekł Pitou ośmielając się wystąpić z radą — wydaje mi się, że na twoim miejscu...

Tu umilkł na chwilę.

— Wydaje ci się, że na moim miejscu... — powtórzyła Katarzyna.

— Wydaje mi się, że na twoim miejscu... Ale nie, nie — dodał — przecież omal nie umarłaś z powodu jego krótkiej nieobecności. Gdybyś musiała się go wyrzec, chyba naprawdę byś umarła, a tego to ja nie chcę. Wolę, żebyś była chora i smutna, niż żebyś leżała tam, daleko za wsią... Och, panno Katarzyno, jakie to wszystko jest okropne!

— Cii... — przerwała mu Katarzyna. — Mówmy o czym innym albo nic nie mówmy, ojciec nadchodzi...

Pitou odwrócił się za wzrokiem dziewczyny i dostrzegł pana Billota, który jechał na koniu wyciągniętym kłusem.

Widząc mężczyznę stojącego pod oknem pokoju córki, zatrzymał konia, ale po chwili, rozpoznawszy zapewne, z kim ma do czynienia, ruszył dalej.

Pitou zrobił kilka kroków w jego stronę, z kapeluszem w rękę i uśmiechem na twarzy.

— Ach, to ty, Pitou? Czy przyszedłeś prosić o obiad, mój chłopcze?

— Nie, panie Billot, nigdy bym się nie ośmielił, ale... Wydało mu się, że w spojrzeniu Katarzyny wyczytał zachętę.

— Ale co? — nalegał Billot.

— Ale jeśli pan gospodarz mnie zaprosi, przyjmę zaproszenie.

— To cię zapraszam — rzekł Billot.

— Dziękuję bardzo — odparł Pitou.

Wieśniak spiął konia ostrogami i wjechał w bramę. Pitou zwrócił się do dziewczyny.

— Czy to właśnie chciałaś mi powiedzieć? — zapytał.

— Tak... Dziś jest jeszcze bardziej ponury niż zwykle... — A potem dodała ciszej: — O Boże, czyżby już wiedział?

— O czym, panienko? — zapytał Pitou, który usłyszał te słowa, choć wyrzekła je do siebie.

— Nic — odparła i zamknawszy okno cofnęła się w głąb pokoju.

XXVII

OJCIEC CLOUIS ZNÓW POWRACA NA SCENĘ

Katarzyna nie myliła się. Mino życzliwego przywitania z Pitou ojciec jej był jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj. Podał rękę Pitou i młodzieniec poczuł, iż była zimna i wilgotna. Córka jak zwykle podsunęła mu błądy policzek do pocałowania, ale ledwie musnął jej czoło wargami; matka Billot zaś zerwała się jak zazwyczaj na widok męża, wyrażając tak zarazem poczucie własnej niższości i szacunek, jaki żywiła dla niego, on jednak nawet nie zwrócił na to uwagi.

— Czy obiad gotów? — zapytał.

— Tak, mój panie — odrzekła matka Billot.

— To siadajmy do stołu; mam jeszcze dużo roboty przed wieczorem.

Przeszli do małej rodzinnej jadalni. Okna jej wychodziły na podwórze i nikt nie mógł wejść z dworu do kuchni nie przeszedłszy pod oknami tej izby.

Dodano nakrycie dla Pitou, który zasiadł między kobietami tyłem do okna.

Choćby nie wiadomo jak był czymś przejęty, jeden organ u Pitou funkcjonował zawsze bez zarzutu — żołądek, więc mimo całej przenikliwości Billot nie mógł zauważyć u swego gościa niczego poza głębokim zadowoleniem na widok smakowitego kapuśniaku i szpikowanej słoninką wołowiny, które znalazły się na stole.

Jasne było jednak, że Billot pragnie się dowiedzieć, czy Pitou wstąpił tutaj przypadkowo, czy też sprowadził go jakiś szczególny zamiar.

Dlatego też w chwili gdy zabierano półmisek z wołowiną, aby wnieść ćwiartkę pieczonego jagnięcia, danie, któremu Pitou przyglądał się z widomą radością, gospodarz przystąpił do ataku, zwracając się bezpośrednio do gościa:

— Jak widzisz, Pitou, zawsze jesteś tu mile widziany, ale czy można wiedzieć, co cię dzisiaj przywiodło w nasze strony?

Pitou uśmiechnął się, rozejrzał wokół, czy ktoś niepowołany nie podgląda lub nie podsłuchuje, a potem lewą ręką podciągnął rękaw kurtki.

— Ojcie Billot, oto mój cel — powiedział wskazując dwadzieścia wnyków z mosiężnego drutu, owiniętych niby bransolety na przedramieniu.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się gospodarz. — Czyżbyś już przetrzebił zwierzynę w rewirach Longpré i Taille-Fontaine, że zabrnąłeś aż tutaj?

— Nie o to chodzi, panie Billot — odpowiedział prostodusznie Pitou — ale od tak dawna grasuję w okolicy, że króliki niecnoty poznają chyba moje wnyki i omijają je. Postanowiłem więc dziś w nocy pogadać z tymi od starego Lajeunesse'a, co są mniej sprytne, a delikatniejsze, bo żywią się wrzosem i macierzanką.

— Do licha! — zawołał Billot. — Nie wiedziałem, że taki z ciebie smakosz, mości Pitou.

— Och, nie myślałem wcale o sobie — odparł Pitou. — To dla panny Katarzyny, ona po takiej chorobie potrzebuje delikatnego mięsa...

— Tak, masz rację — przerwał mu Billot — jak sam widzisz, ona nie ma apetytu.

Mówiąc to wskazał pusty talerz Katarzyny, która przełknęła tylko kilka łyżek zupy, ale nie tknęła ani wołowiny, ani słoninki.

— Ojcie — odrzekła dziewczyna, rumieniąc się zawstydzona tą indagacją — nie mam apetytu, bo akurat zjadłam wielki kubek mleka z rozmoczoną bułką, kiedy zjawił się pan Pitou.

— Nie szukam przyczyny braku apetytu, stwierdzam tylko fakt.

Potem rzucił okiem przez okno i nagle wstał od stołu.

— Oj, to ktoś do mnie!

Pitou poczuł, jak pod stołem noga Katarzyny trąciła go silnie; zwrócił się ku niej. Była blada jak śmierć i nieznacznym ruchem wskazała mu okno.

Poszedł za jej wzrokiem i dojrzał swego starego przyjaciela, starego Clouisa, który właśnie przechodził pod oknem z przewieszoną przez ramię dwururką pana Billota.

Strzelba gospodarza tym różniła się od innych, że kółka od rzemienia i ochraniacz przy cynglu były z kutego srebra.

— To przecież ojciec Clouis — powiedział Pitou, nie widząc w tym fakcie nic przerażającego. — Odnosi ci flintę, panie Billot.

— Tak, tak — powiedział Billot, zasiadając z powrotem na swoim miejscu — zje z nami obiad, jeśli jeszcze nie jadł. Żono, otwórz ojcu Clouisowi.

Matka Billot wstała i podeszła do drzwi, Pitou zaś, wpatrzony w Katarzynę, zastanawiał się, co takiego było powodem jej bladości.

Do pokoju wszedł ojciec Clouis, przytrzymując ręką przewieszoną przez ramię strzelbę Billota i zającą, niewątpliwie ustrzelonego z tej broni.

Jak może pamiętamy, stary Clouis uzyskał od księcia Orleanu pozwolenie na codzienne odstrzelenie bądź to królika, bądź to zającą.

Należało zatem przypuszczać, że tego dnia przypadła kolej na zającą.

Wolną ręką ojciec Clouis sięgnął do futrzanej czapy, którą zazwyczaj nosił, a z której została już sama skóra, bowiem sierść dokładnie wyszarpały gałęzie zarośli, po jakich stary łąził, równie nieczuły na kolce jak dzik.

— Kląnam się pięknie panu Billotowi i całemu towarzystwu — powiedział.

— Witaj, ojciec Clouis — odparł Billot. — Widzę, że dotrzymałeś słowa.

— Słowo się rzekło, panie Billot. Kiedy spotkaliśmy się rano, powiedziałeś mi tak: „Ojciec Clouis, jesteś dobrym strzelcem, dobiez mi więc z tuzin kul do flinty, a wyświadcysz mi przysługę.” Na co ja zapytałem: „Na kiedy ich potrzebujesz, panie Billot?” Ty odrzekłeś: „Na dzisiaj wieczór, i to koniecznie”. „Zgoda — odpowiedziałem — będziesz je miał”. I oto są!

— Dziękuję, ojciec Clouis — powiedział Billot. — Chyba zjesz z nami obiad?

— Ładnie, że mnie zapraszasz, panie Billot, ale niczego mi nie trzeba.

W pojęciu starego Clouisa grzeczność na tym polegała, aby mówić, gdy podsuwano mu stółek, że nie jest zmęczony, a gdy zapraszano go do stołu, że nie jest głodny.

Billot znał jego obyczaje.

— Nic nie szkodzi — powiedział — w każdym razie siadaj do stołu; jest dość jadła i napoju, jeśli nie zechcesz jeść, to przynajmniej się napijesz.

Matka Billot, cicho i dokładnie niczym automat, ustawiła na stole talerz, nakrycie i serwetkę. Potem przysunęła krzesło.

— Ano, jeśli koniecznie chcecie! — zgodził się stary. Ustawił strzelbę w kącie, zającą położył na blacie kredensu i zasiadł przy stole.

Zajął miejsce naprzeciw Katarzyny, która wpatrywała się weń z przerażeniem.

Łagodna i dobrodusznna twarz starego gajowego niczym nie usprawiedliwiała podobnych uczuć, Pitou nie mógł więc w żaden sposób pojąć bladości Katarzyny i nerwowego drżenia, jakie nią wstrząsało.

Billot nalał gościowi szklanekę i nałożył jedzenia na talerz, a stary, choć poprzednio oświadczył, że za wszystko dziękuje, teraz dzielnie zabrał się za jedno i drugie.

— Co za doskonale wino, panie Billot — powiedział składając hołd prawdzie — i jakie delikatne jagniątko! Widzę, że hołdujesz starymu przysłowiu, które mówi: „Jagnięta trzeba jeść, gdy młode, a wino pić, gdy stare”.

Nikt nie zareagował na żartobliwe słowa ojca Clouisa, a ten widząc, że rozmowa się nie klei, i za swój obowiązek gościa mając jej podtrzymanie, ciągnął dalej:

— Więc tak sobie pomyślałem: „Ano, dziś jest kolej na zająca i wszystko jedno, czy upoluje go z tej czy z tamtej strony lasu. Pójdę więc ustrzelić mego zająca w rewir ojca Lajeunesse’a. Przy okazji sprawdzę, jak ta okuta srebrem strzelba niesie kule”. Odląłem więc trzynaście kul zamiast tuzina. Ho, ho! Ależ ta strzelba dobrze niesie!

— Tak, wiem — odrzekł Billot — to dobra broń.

— Dwanaście kul — zauważył Pitou. — Czy jest jakiś konkurs na strzelanie w okolicy, panie Billot?

— Nie — odparł tamten.

— O, ja ją znam, tę „srebrzystą”, jak ją nazywają w okolicy — mówił dalej Pitou. — Widziałem, co potrafi, dwa lata temu na odpuście w Boursonne. O, tam właśnie gospodarz wygrał srebrne sztucce, którymi je pani Billot, i kubek, z którego panna Katarzyna... Ojej, co ci się stało, panno Katarzyno? — zawołał nagle przerażony.

— Mnie?... Nic — wyjąkała Katarzyna otwierając na wpół przymknięte powieki i prostując się na krześle, na którym poprzednio obsunęła się niemal omdlała.

— Katarzyna? A cóż mogłoby jej być? — rzekł Billot wzruszając ramionami.

— Aha, właśnie — podjął ojciec Clouis — muszę jeszcze powiedzieć, że na kupie starego żelastwa u rusznikarza Montagnona znalazłem formę... bo trudno zdobyć formę, jakiej panu potrzeba. Te piekielne małe strzelby Leclerca prawie wszystkie mają kaliber dwadzieścia cztery, co nie przeszkadza, że niosą Bóg wie jak daleko. Więc znalazłem formę akurat jak do twojej strzelby, może nawet ociupinkę mniejszą, ale to nic nie szkodzi, przeciwnie, owiniesz tylko kulę natłuszczoną skórką... Czy będziesz strzelać w marszu, czy z podparciem?

— Sam jeszcze nie wiem — odparł Billot. — Mogę tylko powiedzieć, że będę strzelał z zasadzki.

— Ach, tak, rozumiem — rzekł ojciec Clouis — dzikom księcia Orleanu smakują twoje ziemniaki, więc pomyślałeś: „Niech lepiej trafiają do wędzarni i już się nie nażerają”.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko urywany oddech Katarzyny.

Pitou wodził wzrokiem od gajowego do Billota i od Billota do jego córki.

Próbował coś pojąć i ani rusz nie mógł.

Co do matki Billot, próżno by szukać wyjaśnienia na jej twarzy; nie rozumiała nic z tej rozmowy, a więc tym bardziej tego, co mogła oznaczać.

— Aha, chciałem jeszcze powiedzieć — ojciec Clouis snuł dalej swoją myśl — że na dziki te kulki są może trochę za małe; te jegomościę są gruboskórne, nie mówiąc o tym, że trafione atakują myśliwego. Widziałem już dziki, co miały pięć, sześć, nawet osiem kul pod skórą, i to z prawdziwej amunicji, a świetnie się miały.

— To nie na dziki — powiedział Billot.

Pitou nie mógł już pohamować ciekawości.

— Przepraszam, panie Billot, ale jeśli to nie będzie strzelanie o nagrodę i jeśli nie wybierasz się na dziki, do jakiej zwierzyny chcesz strzelać?

— Będę strzelał do wilka.

— Na wilka te kule są w sam raz — rzekł ojciec Clouis i sięgając do kieszeni z głośnym stukotem wysypał na talerz dwanaście kul. — Trzynasta kula jest w brzuchu zająca... Nie wiem, jak ta flinta niesie śrut, ale kulki doskonałe.

Gdyby Pitou w owej chwili spojrzął na Katarzynę, zobaczyłby, że jest bliska omdlenia. Ale pochłonięty słowami starego Clouisa nie patrzył na nią.

Usłyszawszy, że trzynasta kulka jest w brzuchu zająca, nie wytrzymał i wstał, żeby to sprawdzić.

— Dalibóg, prawda! — oznajmił wsadziwszy mały palec w otwór po kuli. — Widać, kto strzelał, ojciec Clouis. I ty, panie Billot jesteś mistrzem, ale nie zabijesz tak, na pewniaka, zająca jedną kulą!

— To nieważne, bo zwierzę, do którego będę strzelał, jest dwadzieścia razy większe, więc może nie chybię.

— Rzecz w tym — zaczął Pitou — że wilk... Ale pan mówi o wilkach. Widziano je w okolicy? To dziwne, żeby przed śniegami...

— Dziwne, ale jednak tak jest.

— Jesteś tego pewny, panie Billot?

— Zupełnie pewny — odrzekł wieśniak spoglądając jednocześnie na Pitou i na Katarzynę, co nie było trudne, bo siedzieli obok siebie. — Pastuch widział jednego dziś rano.

— Gdzież to? — zapytał naiwnie Pitou.

— Na gościńcu z Paryża do Boursonne, nie opodał zarośli w Ivors.

— O?! — zdumiał się Pitou i spojrział najpierw na Billota, a potem na Katarzynę.

— Tak — ciągnął Billot z niewzruszonym spokojem — zauważono go już w zeszłym roku i mówiono mi o tym; potem na jakiś czas zniknął i myślano, że już nie wróci, ale...

— Ale co? — dopytywał się Pitou.

— Podobno wrócił — rzekł Billot — i znowu będzie się kręcił wokół folwarku. Dlatego właśnie prosiłem ojca Clouisa, żeby mi wyczyścił strzelbę i odlał kulki.

Katarzyna nie mogła już tego znieść dłużej; wydała jakiś nieartykułowany, stłumiony okrzyk, wstała i chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi.

Pitou wciąż zdumiony, ale już zaniepokojony, wstał także, a widząc, że dziewczyna chwieje się na nogach, rzucił się, by ją podtrzymać.

Billot spojrział strasznym wzrokiem ku drzwiom, ale prostoduszna twarz chłopaka wyrażała tak bezbrzeżne zdumienie, iż trudno go było podejrzewać o znowę z Katarzyną.

Nie zajmując się zatem więcej ani Pitou, ani córką zapytał:

— Jak to mówiłeś, ojciec Clouis? Że dla pewności trzeba owinąć kulę w kawałek natłuszczonej skórki?

Pitou dosłyszał jeszcze pytanie, ale umknęła mu odpowiedź, bowiem w tej właśnie chwili wszedł za Katarzyną do kuchni i ledwie zdążył ją podtrzymać.

— Mój Boże, ale co się stało? Co ci jest? — zapytał przerażony.

— Och, więc ty nie rozumiesz? On wie, że Izydor wrócił dziś rano do Boursonne i chce go zabić, jeśli tylko zbliży się do folwarku.

Drzwi jadalni otworzyły się właśnie i na progu stanął Billot.

— Mój drogi Pitou — zaczął ostrym, nie dopuszczającym żadnej dyskusji tonem — jeśli rzeczywiście wybrałeś się na króliki gajowego Lajeuriesse'a, to już najwyższy czas zastawiać wnyki. Potem będzie za ciemno i nic nie dojrzysz.

— Tak jest, panie Billot — rzekł pokornie Pitou, rzucając jeszcze spojrzenie na Katarzynę i jej ojca — tylko po to przyszedłem, po nic więcej, możesz mi wierzyć.

— No to...

— No to już idę, panie Billot.

I wyszedł na podwórze, gdy tymczasem zapłakana Katarzyna wróciła do swego pokoju i zasunęła za sobą rygiel.

— Dobrze, dobrze — mruknął Billot — zamknij się, nieszczęsna, to mi nie przeszkadza, bo nie z tej strony stanę na czatach.

XXVIII ZABAWA W DWA OGNIĘ

Pitou opuścił folwark zupełnie ogłupiały; dopiero słowa Katarzyny rozjaśniły mu ciemności i ta jasność wręcz go oślepiła.

Pitou dowiedział się, co pragnął wiedzieć, a nawet więcej.

Wiedział już, że wicehrabia Izydor de Charny rano powrócił do Boursonne, a jeśli zechce zobaczyć się z Katarzyną w pobliżu jej domu, ryzykuje kulę.

Co do tego nie było żadnych wątpliwości: słowa Billota, które początkowo brzmiały jak przenośnia, nabrały innego znaczenia, po wyjaśnieniu Katarzyny; wilk, co w ubiegłym roku kręcił się koło owczarni i, jak przypuszczano, zniknął na zawsze, pojawił się dziś rano w zaroślach Ivors przy drodze z Paryża do Boursonne — a wilkiem tym był wicehrabia Izydor de Charny.

To na jego intencję odczyszczona została strzelba, dla niego odlano kulki.

Sprawa wyglądała naprawdę poważnie.

Pitou, który niekiedy, gdy zachodziła tego potrzeba, miał w sobie siłę lwa, niemal zawsze był ostrożny niczym wąż. Od dnia gdy zaczął robić użytek z własnej głowy, był w nieustannym konflikcie ze stróżami polnymi, pod których nosem obrabiał zarówno ogrodzone sady, jak stojące w szczerym polu owocowe drzewa; potem w wiecznym konflikcie z gajowymi, którym deptał po piętach i zastawiał wnyki oraz sidła na ptaki, nabrał zwyczaju głębokiego namyślenia się i szybkiej decyzji, co pozwalało mu szczęśliwie wybrnąć z najtrudniejszych nawet przypadków. I tym razem, jak zwykle, odwołał się najpierw do szybkiej decyzji i natychmiast ruszył do lasu położonego o jakieś osiemdziesiąt kroków za folwarkiem.

Las był gęsty, a w gęstwinie łatwo się ukryć i spokojnie pomyśleć.

W tym wypadku Pitou przestawił zwykłą kolejność postępowania, stawiając szybką decyzję przed głębokim namysłem.

Instynktowna inteligencja nakazała mu pośpiech, bo w owej chwili najważniejszym było znaleźć się w ukryciu.

Ruszył więc swobodnym krokiem w stronę lasu, jakby w głowie nie kłębiły mu się roje myśli, i zdołał nawet nie obejrzeć się ani razu za siebie.

Gdy wyliczył, że nie może go już osiągnąć żadne spojrzenie z obejścia, pochylił się niby to poprawiając rzemyk buta i z głową między kolanami rozejrzał się po horyzoncie.

Był pusty i zdawał się nie kryć żadnego niebezpieczeństwa.

Sprawdziwszy to Pitou wyprostował się i jednym susem znalazł się w lesie.

Las był jego królestwem.

Tu czuł się u siebie, tu był wolny, tutaj był królem.

Był takim samym władcą jak wiewiórka, której dorównywał zręcznością, jak lis, którego spryt posiadał, jak wilk, bo jak on widział w ciemnościach.

O tej porze jednak niepotrzebna mu była ani zwinność wiewiórki, ani chytryść lisa, ani też wzrok wilka.

Chodziło po prostu o to, aby ukośnie przeciąć część lasu, w który wszedł, i znów powrócić na jego skraj od strony rozciągającej się wzdłuż gospodarskich zabudowań.

Stamtąd, z odległości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu kroków, dojrzy wszystko, co się będzie działo; z takiej odległości Pitou gotów był stawić czoło każdemu żywemu stworzeniu, które poruszając się i atakując posługuje się rękami i nogami.

Oczywiście jeszcze mniej przejmował się człowiekiem na koniu, bo żaden jeździec nie zdołałby go dogonić po leśnych wertepach.

W lesie nie znajdował wprost wystarczająco pogardliwego porównania, aby wyrazić swoje lekceważenie wobec człowieka siedzącego w siodle.

Pitou położył się więc na brzuchu wśród gąszczu, oparł brodę o rozwidlające się tuż przy ziemi pnie dwóch bliźniaczych drzewek i zamyślił się głęboko.

Uznał, że jego obowiązkiem jest, o ile to możliwe, przeszkodzić ojcu Billotowi w wykonaniu straszliwej zemsty, jaką planował.

Pierwszą myślą, która przyszła mu do głowy, było pobiec do Boursonne i uprzedzić pana Izydora o niebezpieczeństwie, jakie go czeka, jeśli zapędzi się w stronę folwarku.

Ale niemal natychmiast pomyślał o dwóch sprawach.

Po pierwsze, Katarzyna nie poleciła mu tak uczynić.

Po drugie, świadomość niebezpieczeństwa bynajmniej nie musiała powstrzymać pana Izydora.

Zresztą, jaką pewnością mógł mieć Pitou, że wicehrabia, który zapewne pragnął utrzymać rzecz w tajemnicy, zjawi się tu drogą uczęszczaną przez wozy, a nie jakąś ścieżką wydeptaną na skrót przez drwali lub leśnych pracowników?

Co więcej, wyruszając na poszukiwanie Izydora, Pitou musiałby opuścić Katarzynę, a choć byłoby mu przykro, gdyby coś złego przydarzyło się wicehrabiemu, wpadłby po prostu w rozpacz, gdyby nieszczęście spotkało Katarzynę.

Najrozsądniej wydało mu się zatem pozostać tam, gdzie był, i zależnie od okoliczności decydować o dalszych krokach.

Na razie wbił w domostwo nieruchome i błyszczące oczy, niczym tygrys czatujący na zdobycz.

Pierwszą zmianą, jaką dostrzegł, było wyjście ojca Clouisa.

Pitou widział, jak stary pożegnał się z Billotem pod bramą, kuśtykając przeszedł wzdłuż muru i zniknął na drodze do Villers-Cotterêts, które musiał przeciąć lub obejść, aby dotrzeć do swojej chatki, odległej o około półtorej mili od Pisseleux.

W chwili gdy wychodził, zaczynał zapadać zmrok.

Stary Clouis był postacią drugorzędną, czymś w rodzaju statysty w dramacie, który się rozgrywał, przeto Pitou nie przywiązywał wielkiej wagi do jego poczynań i tylko z poczucia obowiązku obserwował go, póki nie zniknął za załomem muru, by potem znów skierować wzrok na fronton budynku, czyli na bramę i okna domu.

Po chwili w jednym z nich zabłysło światło — było to okno pokoju gospodarza.

Z miejsca gdzie stał Pitou, spojrzenie sięgało bez trudu w głąb pokoju; chłopak widział więc, jak Billot starannie nabił flintę, zgodnie z zaleceniami ojca Clouisa.

Tymczasem na dworze ściemniało się coraz bardziej.

Załadowawszy strzelbę Billot zgasił światło i przymknął okiennice, zostawiając jednak szparę, zapewne aby móc bezpiecznie obserwować okolicę.

Z pierwszego piętra — wspominaliśmy już chyba, gdzie mieścił się pokój gospodarza — Billot nie widział okna pokoju Katarzyny, schowanego za węglem muru i mieszczącego się na parterze, natomiast rozciągała się przed nim jak na dłoni cała droga do Boursonne, a wzrok obejmował zamknięte lasem półkole, od wzgórza La Ferté-Milon aż po gęste zarośla pod Ivors.

Tak więc nie widząc okna Katarzyny, ale zakładając, że wyjdzie ona przez okno i spróbuje dotrzeć do lasu, Billot mógł dojrzeć ją w chwili, gdy wkroczy w przestrzeń, którą obejmował wzrokiem. Noc jednak stawała się coraz gęstsza, więc Billot widząc jakąś kobietą sylwetkę mógłby przypuszczać, że to Katarzyna, nie miałby jednak co do tego absolutnej pewności.

Z góry rozważamy te możliwości, bo tak właśnie czynił Pitou.

Nie wątpił on, że gdy zapadnie zupełny zmrok, Katarzyna spróbuje wyjść, aby uprzedzić Izydora.

Nie tracąc więc z oczu pokoju gospodarza, skupił uwagę na oknie Katarzyny.

Nie pomylił się. Gdy ciemność wydała się już dziewczynie wystarczająca, Pitou, który doskonale widział po ciemku, ujrzał, jak w jej pokoju ostrożnie odchyła się okiennica, potem ona sama przeskakuje parapet i przymknawszy okiennicę przemyka się pod ścianą.

Nic by jej nie groziło, gdyby wybierała się do Villers-Cotterêts, mogłaby to uczynić niedostrzeżona; idąc jednak w stronę Boursonne musiała koniecznie wejść w przestrzeń, którą kontrolował z okna ojciec.

Doszedłszy do końca muru zawahała się na chwilę i przez moment Pitou łudził się, że pójdzie do Villers-Cotterêts, a nie do Boursonne; w końcu jednak podjęła decyzję, skuliła się, by być jak najmniej widoczna, przebiegła drogę i rzuciła się ku małej ścieżce, która łukiem wiodła w stronę lasu, a potem jego skrajem dalej, i jakieś ćwierć mili później łączyła się z drogą do Boursonne.

Ścieżka ta dochodziła do małego skrzyżowania zwanego rozstajem Bourg-Fontaine.

Z chwilą gdy Katarzyna znalazła się na ścieżce, dla Pitou wszystko już było jasne: wiedział, dokąd zmierza i którędy pójdzie, tak że przestał się nią zajmować, całą uwagę skupiając na uchylonych okiennicach, przez które niby przez strzelnicę cytadeli oglądać można było całą panoramę.

Obszar, który obejmował spojrzeniem Billot, wyjąwszy jakiegoś pastucha ustawiającego ogrodzenie, był całkiem pusty.

Nic więc dziwnego, że mimo czarnej pelerynki, która czyniła ją nieco mniej widoczną, nie mogła, przecież umknąć przenikliwemu spojrzeniu ojca.

Pitou dostrzegł, jak rozchylają się okiennice, a w nich pojawia się głowa Billota, na chwilę nieruchomiejąc, jakby w tych ciemnościach nie dowierzał własnym oczom; że jednak psy pastucha ujadając pomknęły w stronę cienia, ale zaraz potem umilkły i wróciły do swego pana, Billot przestał wątpić, że cieniem tym była Katarzyna.

Psy ją poznały i dlatego przestały szczekać.

Pitou oczywiście tłumaczył to sobie równie jasno, jak gdyby z góry znał kolejność poszczególnych zdarzeń tego dramatu.

Oczekiwał więc teraz, że ujrzy przymykające się okiennice w pokoju Billota i otwierającą się bramę folwarku.

W istocie, kilka sekund później brama się otwarła i w momencie gdy Katarzyna dochodziła do skraju lasu, Billot, ze strzelbą na ramieniu, mijał próg domostwa, wielkimi krokami zdużając do lasu drogą na Boursonne, która ćwierć mili dalej spotkać się miała ze ścieżką, jaką podążała Katarzyna.

Jeśli za dziesięć minut dziewczyna nie miała stanąć twarzą w twarz z ojcem, nie było ani chwili do stracenia!

Pitou pojął to jasno.

Zerwał się i niczym spłoszona sarna, przecinając po przekątnej las w przeciwnym niż poprzednio kierunku, dotarł na kraj ścieżki, w chwili gdy słyhać już było szybkie kroki i zdyszany oddech dziewczyny.

Przystanął ukryty za pnem dębu.

Dziesięć sekund później Katarzyna przechodziła o dwa kroki od drzewa.

Pitou, wymawiając swoje imię, wyskoczył i zagroził jej drogę.

Uznał za niezbędne połączenie tej trojkiej akcji, iżby zanadto jej nie przestraszyć.

Rzeczywiście, wydała tylko cichy okrzyk i przystanęła drżąc nie tyle ze strachu, co z przeżytych poprzednio emocji.

— Ty tutaj, panie Pitou?... Czego ode mnie chcesz? — zapytała.

— Na Boga, ani kroku dalej, panno Katarzyno! — rzekł Pitou, składając błagalnie ręce.

— A to czemu?

— Bo ojciec wie, że wyszłaś, bo idzie drogą do Boursonne z nabitą strzelbą, bo będzie czekać na rozstaju Bourg-Fontaine!

— Ale on, on!... — szepnęła Katarzyna. — Muszę go uprzedzić...

I zrobiła krok naprzód.

— Czy zdołasz, jeśli ojciec zatrzyma cię na drodze? — zapytał.

— Więc co robić?

— Wracaj, panno Katarzyno, wróć do swojego pokoju, a jak zobaczę pana Izydora, to go uprzedzę.

— Zrobisz to, kochany Pitou?

— Dla ciebie, panno Katarzyno, zrobię wszystko! Bo naprawdę bardzo cię kocham!

Katarzyna uściśnieła mu ręce, a po chwili namysłu powiedziała:

— Tak, masz rację, ale odprowadź mnie.

A że nogi zaczynały odmawiać jej posłuszeństwa, wzięła chłopca pod ramię i tak — on idąc, ona niemal biegnąc — zawrócili ku folwarkowi.

Dziesięć minut później Katarzyna, nie zauważona przez nikogo, wślizgnęła się przez okno do swego pokoju, a Pitou wskazał jej kępę wierzb, wśród których postanowił się ukryć i czekać.

XXIX

ZASADZKA NA WILKA

Kępa wierzb rosnących na niewielkim wzgórku o dwadzieścia czy dwadzieścia pięć kroków od okna Katarzyny wznosiła się ponad rowem, głębokim na siedem czy osiem stóp, którym płynął strumyk.

Strumień ten wił się wzdłuż drogi, zacieniany tu i ówdzie kępami wierzb jak te przed chwilą opisane, a więc drzewami, które zwłaszcza nocą przypominają karłów niosących na drobnym ciełe wielką rozczochraną głowę.

Właśnie w ostatnim z tych spróchniałych drzew Pitou co rano składał listy dla Katarzyny, po które przychodziła, jeśli ojciec gdzieś się oddalił albo udał w przeciwną stronę.

Zresztą i Pitou, i Katarzyna zachowywali taką ostrożność, że chyba nie z ich powodu sekret się wydał; sprawił to czysty przypadek, który tego ranka postawił jednego z pastuchów na drodze Izydora; pasterz oznajmił o powrocie wicehrabiego jako o rzeczy bez większego znaczenia, ale tak wczesna pora przyjazdu, o piątej rano, wydała się Billotowi więcej niż podejrzana. Od chwili powrotu z Paryża, od czasu choroby Katarzyny, a także wydanego przez doktora Raynała zakazu wchodzenia do pokoju córki, póki leżała w gorączce, nabrał przekonania, że wicehrabia de Charny jest kochankiem jego córki. Ponieważ zaś u kresu tego związku widział jedynie dyshonor, bowiem pan wicehrabia de Charny nie poślubi Katarzyny, postanowił odjąć tej hańbie co hańbiące, czyniąc ją krwawą.

Dlatego też wszystkie przytoczone przez nas szczegóły, nieistotne dla kogoś nie ostrzeżonego, dla Katarzyny, a po wyjaśnieniach także dla Pitou, nabrały straszliwego znaczenia.

Widzieliśmy, że Katarzyna, odgadując zamiary ojca, próbowała mu się przeciwstawić jedynie ostrzegając Izydora, ale tu, na szczęście, powstrzymał ją Pitou, gdyż zamiast Izydora byłaby spotkała na drodze własnego ojca.

Zbyt dobrze znała niezwykle gwałtowne usposobienie wieśniaka, aby czegokolwiek próbować przy pomocy łez i błagań, które po prostu przyspieszyłyby burzę i ściągnęły gromy, miast je odwrócić.

Marzyła więc tylko, by uniknąć spotkania kochanka z ojcem.

Jakże gorąco pragnęła w owej chwili, aby ta nieobecność, która omal nie przyprawiła jej o śmierć, trwała nadal. Prawie błogosławiłaby głos, który powiedziałby: „On wyjechał”, a może nawet dodał: „Na zawsze”.

Pitou rozumiał to równie dobrze jak Katarzyna, zaofiarował się więc dziewczynie jako pośrednik; miał nadzieję, że niezależnie od tego, czy wicehrabia przybędzie pieszo czy konno, usłyszy go na czas, wybiegnie mu naprzeciw, wyjaśni w dwóch słowach sytuację i skłoni do wycofania się, obiecując wieści o Katarzynie następnego ranka.

Pitou przyłgął więc do wierzby, jakby stanowił część tej liściastej rodziny, pośród której się znalazł, i natężył wszystkie zmysły nawykłe do nocy, lasów i pól, aby rozpoznać każdy cień i pochwycić najmniejszy szmer.

Nagle wydało mu się, że słyszy dochodzący zza lasu nierówny krok idącego po bruzdach mężczyzny; odgłos wydawał się zbyt ciężki jak na krok młodego i wytwornego arystokraty, więc Pitou powoli, niemal niedostrzegalnie przesunął się wokół pnia i w odległości trzydziestu kroków dojrzał wieśniaka z fuzją na ramieniu.

Billot, jak to przewidywał Pitou, początkowo czekał na rozstaju Bourg-Fontaine; ale jako że nikt nie nadchodził ścieżką, uznał, że się pomylił, i zawrócił ku domowi, aby czatować naprzeciw

okna Katarzyny, przekonany, że właśnie tędy wicehrabia de Charny będzie próbował się do niej dostać.

Na nieszczęście upatrzył sobie jako miejsce zasadzki grupę wierzb, gdzie ukrył się Pitou.

Chłopak odgadł zamiary wieśniaka; nie mogąc spierać się o miejsce, zsunął się ze wzgórzka i zniknął w rowie, kryjąc głowę w sterzących korzeniach drzewa, o które oparł się Billot.

Gdyby wiatr nie dał z taką siłą, Billot na pewno byłby usłyszał głośno bijące serce chłopca.

Trzeba tu podkreślić niezwykłą naturę naszego bohatera, którego znacznie mniej zajmowało własne bezpieczeństwo niż lęk przed niedotrzymaniem danego słowa.

Gdyby nadszedł pan de Charny i gdyby zdarzyło się nieszczęście, co ona pomyśli o Pitou?

Może nawet, że ją zdradził?

Pitou wolałby śmierć od myśli, że Katarzyna uznałaby go za zdrajcę.

Teraz mógł jednak tylko trwać jak skamieniały, bo zdradzić go mógł najmniejszy gest.

W ciągu kilkunastu minut nic nie zakłóciło ciszy nocy; Pitou żywił jeszcze ostatnią nadzieję, że może wicehrabia przybędzie później, gdy zniecierpliwiony czekaniem Billot, zwątpiwszy w jego przyście, wróci do domu.

Nagle jednak, leżąc z uchem przy ziemi, wydało mu się, że słyszy koński galop; jeśli to rzeczywiście był koń, musiał nadjeżdżać ścieżynką od strony lasu.

Po chwili nie było już żadnej wątpliwości: galopujący koń przemknął jakieś sześćdziesiąt kroków od kępy wierzb, stukając podkowami o kamienie na drodze, a raz nawet skrzesiwszy iskry.

Pitou dojrzał, jak ponad jego głową wieśniak wychyla się, próbując wypatrzeć coś w ciemności.

Noc była jednak tak mroczna, że nawet oczy Pitou, nawykłe do przenikania ciemności, dostrzegły tylko cień, który przesadził drogę i zniknął za załomem muru obejścia.

Pitou ani chwilę nie wątpił, że to Izydor, łudził się jednak, że chcąc dostać się na folwark wicehrabia znajdzie inną drogę niż przez okno.

Billot też się tego lękał, bo zamruczał pod nosem jakieś przekleństwo. Następných dziesięć minut upłynęło w straszliwej ciszy.

Po upływie tego czasu Pitou dzięki przenikliwości spojrzenia zdołał rozróżnić ludzki kształt na krańcu muru.

Jeździec przywiązał konia do jakiegoś drzewa i wracał pieszo.

Noc była bardzo ciemna i Pitou łudził się, że może Billot nie dostrzeże jeźdźca, lub też dostrzeże zbyt późno.

Mylił się jednak. Billot dojrzał go, gdyż nad głową Pitou rozległ się suchy trzask naciąganego cyngla.

Człowiek, który przemykał się pod murem, zapewne też usłyszał ten trzask, tak dobrze znany uchu myśliwego, przystanął bowiem, próbując, choć było to niemożliwe, przebić spojrzeniem ciemność.

W ciągu trwającej ułamek sekundy przerwy Pitou ze swego rowu ujrzał podnoszącą się lufę strzelby; ale widać z tej odległości wieśniak nie był pewny swego strzału, a może bał się popełnić błąd, bo lufa, która podniosła się szybko, powoli opadła.

Cień znów się poruszył, przemykając wzdłuż muru.

Wyraźnie kierował się ku oknu Katarzyny.

Teraz to Pitou słyszał, jak bije serce Billota.

Rozwagał, co mógłby zrobić, jakim krzykiem uprzedzić nieszczęsnego młodzieńca, jakim sposobem go ocalić?

Ale nic nie przychodziło mu na myśl i z rozpaczony gotów był rwać sobie włosy z głowy.

Dojrzał, jak powtórnie unosi się lufa strzelby i jak po raz drugi opada.

Ofiara była jeszcze zbyt daleko.

Znów upłynęło pół minuty i młodzieniec przebył dwadzieścia kroków dzielących go jeszcze od okna.

Dotarłszy doń zapukał lekko trzy razy w równych odstępach czasu.

Teraz nie było już wątpliwości: był to kochanek Katarzyny.

Lufa strzelby uniosła się po raz trzeci, podczas gdy Katarzyna, rozpoznając umówiony znak, uchyliła okna.

Pitou wstrzymał oddech, niemal czuł, jak puszcza sprężyna cyngla; skałka stuknęła o dekiel, błysk rozświetlił na chwilę drogę, ale po tym nie nastąpił żaden wybuch.

Spaliło na panewce.

Młody szlachcic pojął grożące mu niebezpieczeństwo. Zrobił ruch, jakby chciał się rzucić w stronę, gdzie dostrzegł błysk, ale Katarzyna przyciągnęła go ku sobie.

— Nieszczęsny — szepnęła. — To mój ojciec! Wie o wszystkim!... Chodź!

I z nadludzkim wysiłkiem wciągnęła go do środka, zamykając okiennicę.

Wieśniakowi została jeszcze druga kula, ale młodzi tak byli ze sobą spleceni, że celując w Izydora lękał się, iżby nie trafić w córkę.

— No — mruknął do siebie — będziesz musiał wyjść, a wtedy nie chybię.

Tymczasem wyjął z rożka na proch przetyczkę, oczyścił lufę i podsypał prochu na panewkę, by nie powtórzył się ten cud, któremu Izydor zawdzięczał życie.

Na pięć minut umilkły wszelkie odgłosy, nawet oddech Pitou i Billota, nawet bicie ich serc.

Nagle w ciszy tej rozległo się szczekanie psów łańcuchowych na podwórzu.

Billot aż tupnął nogą, słuchał jeszcze chwilę i znów tupnąwszy z wściekłością powiedział:

— Ach tak, kazała mu uciekać przez sad, to na niego tak ujadają psy.

Zerwał się, skoczył ponad głową Pitou, opadł po drugiej stronie rowu i znając doskonale każdą piędź ziemi, mimo ciemności błyskawicznie zniknął za załomem muru.

Liczył, że zdoła dotrzeć na drugi koniec folwarku równocześnie z Izydorem.

Pitou odgadł ten manewr: z bystrością człowieka natury wyskoczył z rowu, przeciął drogę i kierując się wprost pod okno Katarzyny, odciągnął okiennicę i wskoczył do pustego pokoju; potem przez kuchnię, którą oświetlała jedna tylko lampa, wybiegł na podwórze, kierując się ścieżką do sadu; dotarłszy tam, swoimi kocimi oczyma dostrzegł w ciemności dwa cienie: jeden wdrapywał się na mur, drugi stał pod murem z wyciągniętymi ramionami.

Zanim młody mężczyzna zeskoczył na drugą stronę, odwrócił się raz jeszcze.

— Do zobaczenia, Katarzyno! Pamiętaj, że jesteś moja!

— Och, tak, tak! — odrzekła dziewczyna — ale idź już, spiesz się!

— Tak, panie Izydorze, prędzej! — krzyknął Pitou. — Uciekaj!

Słyszeli jeszcze, jak zeskoczył na ziemię, potem rozległo się rżenie konia, który poznał pana, szybki galop zwierzęcia, zapewne spiętego ostrogą, wreszcie jeden, a potem drugi strzał.

Po pierwszym Katarzyna krzyknęła i zrobiła ruch, jakby chciała rzucić się na pomoc Izydorowi; przy drugim jęknęła i jakby podcięta osunęła się w ramiona Pitou.

Ten zaś wyciągnął szyję i nadstawił ucha, chcąc się dowiedzieć, czy koń biegnie dalej z tą samą szybkością, a słysząc oddalający się równy galop zwierzęcia powiedział:

— W porządku, jest nadzieja; nocą nie celuje się tak dobrze jak w dzień, a i ręka nie taka pewna, gdy strzela się do człowieka, a nie do wilka czy dzika.

Podniósł Katarzynę i chciał ją wziąć na ręce, ona jednak natężając siły, zsunęła się na ziemię i chwyciła go za ramię.

— Dokąd mnie prowadzisz? — zapytała.

- Ależ, panienko — odparł zdumiony Pitou — do twego pokoju.
— Pitou, czy masz jakieś miejsce, aby mnie ukryć? — zapytała.
— Jeśli o to chodzi, panienko, owszem — odrzekł. — A jeśli nie mam, to znajdę.
— Zabierz mnie ze sobą — rzekła Katarzyna.
— A folwark?
— Mam nadzieję, że opuszczę go za pięć minut, by już nigdy nie wrócić.
— A twój ojciec?
— Wszystko skończone między mną a człowiekiem, który chciał zabić mojego ukochanego.
— Ale jednak, panno Katarzyno... — zaryzykował Pitou.
— Więc odmawiasz pomocy, Pitou?
— Niech mnie Bóg broni, panno Katarzyno!
— To chodź ze mną.

I Katarzyna idąc przodem przeszła z sadu do warzywnika. Na jego końcu była furteczka wychodząca na równinę od strony Noue.

Katarzyna otworzyła ją bez namysłu, przełożyła klucz, dwukrotnie przekręciła zamek i wrzuciła klucz do studni przy murze.

Potem, wsparta na ramieniu Pitou, zdecydowanym krokiem ruszyła przez pole. Wkrótce oboje zniknęli w dolince, która rozciągała się od wioski Pisseleux ku folwarkowi Noue.

Nikt nie widział, jak odchodzili, i tylko jeden Bóg wiedział, gdzie mieściło się schronienie, które jej obiecał Pitou.

XXX PO BURZY

Z ludzkimi burzami bywa tak jak z niebieskimi; niebo się chmurzy, błyskawice rozświetlają ciemność, biją gromy, ziemia wstrząsa się w posadach. Nadchodzi straszliwy paroksyzm, gdy bliskie zdaje się unicestwienie ludzi i rzeczy, a każdy drząc wznosi ręce do Boga, najwyższego dobra i jedyne miłosierdzia. Potem stopniowo wszystko się uspokaja, mrok się rozprasza, powraca dzień, zjawia się słońce, rozkwitają kwiaty, prostują się drzewa, a ludzie powracają do swoich zajęć, przyjemności i zainteresowań; życie uśmiecha się i śpiewa na skraju dróg czy progach domostw i już nikt nie troszczy się o spustoszenia, powstałe w miejscu, gdzie spadł piorun.

Podobnie było i na folwarku; zapewne całą noc trwała straszliwa burza w sercu człowieka, który podjął i wykonał swój plan zemsty. Gdy spostrzegł ucieczkę własnej córki, kiedy na próżno szukał w ciemności śladu jej kroków, kiedy wzywał ją najpierw głosem pełnym gniewu, a potem błagania, wreszcie rozpaczy, a na żaden nie odpowiedziała — na pewno coś pękło w tym silnym człowieku; ale i po tej burzy krzyków i pogróżek, z błyskawicami i gromami, niby burza na niebie, nastąpiła cisza wyczerpania; psy, nie mając już powodu do niepokoju, przestały szczeleć, deszcz z gradem zatarł ślad krwi, co jak na wpół rozwiązana szarfa opasywał z jednej strony folwark; kiedy czas, ten obojętny i niemy świadek wszystkiego, co się tu dokonuje, strząsnął z zimnych skrzydeł ostatnie godziny nocy, rzeczy przybrały swój normalny bieg; bramy zazgrzytały na zardzewiałych zawiasach; formalnie wyszli w pole, jedni do siewu, drudzy do brony, a jeszcze inni do pługa. Pojawił się też Billot, przemierzając równinę w różnych kierunkach, a gdy już się na dobre rozwidniło, przebudziła się cała wieś i ci, co gorzej spali, zagadywali z miną na wpół zaciekawioną, na wpół obojętną:

— Psy ojca Billota strasznie ujadają tej nocy, a gdzieś za folwarkiem słychać było dwa strzały...

To wszystko.

Nie, jesteśmy w błędzie, nie wszystko. Kiedy koło dziewiątej Billot jak zwykle przyszedł na śniadanie, żona zapytała go:

— Powiedz no, stary, gdzie jest Katarzyna?

— Katarzyna? — odparł wieśniak z wysiłkiem. — Nie służy jej nasze powietrze, więc pojechała do ciotki do Sologne za Loarę...

— Ach? — zdumiała się matka Billot. — A długo zostanie u ciotki?

— Póki nie poczuje się lepiej — odrzekł ojciec. Matka westchnęła i odsunęła od siebie kubek kawy z mlekiem.

Billot też starał się coś przelknąć, ale po trzecim łyku, ponieważ pożywienie nie przechodziło mu przez gardło, sięgnął po flaszkę burgunda, którą opróżnił niemal jednym haustem, po czym ochryplym głosem zapytał:

— Mam nadzieję, że nikt nie rozsiodłał mi konia, he?

— Nie, panie Billot — odpowiedział nieśmiały głosik dziecka, które co rano przychodziło tutaj na śniadanie.

— To dobrze!

I gospodarz gwałtownie odsuwając malca skoczył na konia i ruszył w pole, jego żona zaś, otarłszy dwie łzy, wróciła na zwykle miejsce pod okapem kominka.

I tak od rana życie na folwarku popłynęło normalnym rytmem, tyle że zniknął gdzieś ten śpiewający ptak, rozkwitający kwiatek, dziewczyna, która ożywiała i rozweselała wszystko, co żyło w starych murach.

Pitou natomiast wstający dzień zastał w jego domku w Haramont; ci, którzy przyszli o szóstej rano, ujrzeli go przy zapalanej świecy, płonącej chyba od dawna, jak na to wskazywał wysoki knot; porządkował kwity i rachunki na sumę dwudziestu pięciu luidorów, jakie doktor Gilbert przekazał na umundurowanie i ekwipunek gwardii narodowej w Haramont, aby posłać sprawozdanie doktorowi.

Wprawdzie pewien drwal widział Pitou około północy, jak dźwigając w ramionach coś ciężkiego, jakby kobietę, schodził stromą dróżką do chatki ojca Clouisa. Niezbyt to było prawdopodobne, zważywszy, iż stary Lajeunesse twierdził, jakoby na własne oczy widział go o pierwszej nad ranem biegnącego drogą do Boursonne, zaś Maniquet, który mieszka na samym końcu wsi, od strony Longpré, zapewniał, że o drugiej czy wpół do trzeciej widział, jak ten mijal jego dom, i nawet zawołał za nim: „Dobranoc, Pitou!”, na co uprzejmie odkrzyknął: „Dobranoc, Maniquet!”

Nie było więc wątpliwości, że Maniquet rzeczywiście widział Pitou o drugiej czy wpół do trzeciej w nocy.

Aby jednak drwal mógł widzieć o północy Pitou w pobliżu kamienia Clouisa, niosącego w ramionach ciężar przypominający kobietę, aby stary Lajeunesse mógł dojrzeć Pitou o pierwszej w nocy, jak biegł drogą do Boursonne, a Maniquet mógł go pozdrowić, gdy mijal dom o drugiej lub wpół do trzeciej nad ranem, Pitou, którego straciliśmy z oczu wraz z Katarzyną około dziesiątej czy wpół do jedenastej wieczór w wąwozie między Pisseleux a folwarkiem Noue, musiałby z owego miejsca udać się do kamienia Clouisa, czyli przejść około półtorej mili, stamtąd wrócić do Boursonne, czyli pokonać dwie następne mile, z Boursonne powrócić pod skałę Clouisa, wreszcie dojść do własnego domu, co zakładało, że aby najpierw umieścić w bezpiecznym miejscu Katarzynę, potem zasięgnąć wiadomości o wicehrabim i przekazać je dziewczynie, musiałby między jedenastą wieczór a drugą czy wpół do trzeciej nad ranem pokonać osiem albo dziewięć mil. Otóż domysł taki był niemożliwy do przyjęcia nawet dla tych książęcych gońców, o których lud mówił, że wycinano im śledziony; jednakże takie osiągnięcie nie zdumiałoby przesadnie nikogo, kto choć raz mógł docenić zdolność przemieszczania się Pitou.

Pitou nie zdradził nikomu tajemnic owej nocy, kiedy to zdawał się obdarzony cechą wszechobecności, dlatego też, wyjąwszy Dezyderiusza Maniqueta, na którego pozdrowienie odpowiedział, ani drwal, ani stary Lajeunesse nie mogli przysiąc, że był to Pitou we własnej osobie, nie zaś jakiś cień, zjawa, widmo, krążące w pobliżu skały czy też na drodze do Boursonne.

Tak czy inaczej, nazajutrz o szóstej rano, kiedy Billot dosiadł konia, by objechać pola, widziano Pitou siedzącego przy świeczce, bez śladu zmęczenia czy niepokoju, zajętego gromadzeniem rachunków od krawca Dulauroya, oraz pokwitowań swoich trzydziestu trzech podkomendnych.

Tej nocy kiepsko spała jeszcze jedna znana nam osoba.

Był nią doktor Raynal.

O pierwszej zbudził go lokaj wicehrabiego de Charny, który z całej siły szarpał za dzwonek.

Doktor sam otworzył, jak zwykle, gdy dzwoniono do niego w nocy.

Lokaj wzywał lekarza, ponieważ jego panu zdarzył się poważny wypadek.

Przyprowadził nawet osiodłanego wierzchowca, aby doktor nie tracił ani chwili.

Doktor Raynal ubrał się w okamgnieniu, wskoczył na konia i ruszył galopem, poprzedzany przez lokaja.

Cóż to był za wypadek? Doktor miał się o tym dowiedzieć przybywszy do pałacu. Lokaj zalecił mu jednak, aby zabrał ze sobą narzędzia chirurgiczne.

Chodziło o ranę lewego boku i zadrażnienie prawego ramienia, dokonane dwoma kulami tego samego kalibru: dwadzieścia cztery.

Wicehrabia nie podał żadnych szczegółów dotyczących wydarzenia.

Jedna z dwóch ran, rana boku, była poważna, nie przedstawiała jednak niebezpieczeństwa dla życia; kula przebiła mięśnie nie naruszając żadnego ważnego organu.

Drugą wręcz nie warto się było zajmować.

Po założeniu opatrunku młody hrabia wręczył doktorowi dwadzieścia pięć luidorów, prosząc o zachowanie dyskrecji.

— Jeśli pan chce, abym zachował milczenie, trzeba mi zapłacić za wizytę normalną stawkę, czyli jednego pistola — odparł dzielny lekarz.

Mówiąc to wziął jednego luidora i wydał czternaście liwrów reszty hrabiemu, który próżno nalegał, by raczył przyjąć więcej.

Nie było na to sposobu.

Doktor oznajmił potem, że jego zdaniem potrzebne będą trzy wizyty, zatem powróci pojutrze, a także trzy dni później.

Podczas drugiej wizyty doktor zastał już chorego na nogach; ranny z pomocą pasa przytrzymał opatrunek, aby się nie zsunął, i już nazajutrz dosiadł konia, jak gdyby nic mu się nie przytrafiło; dzięki temu, wyjąwszy zaufanego lokaja, nikt nie wiedział o wypadku.

Gdy doktor Raynal zjawił się po raz trzeci, nie zastał już chorego. Za niedoszlą wizytę zgodził się więc przyjąć jedynie pół pistola.

Doktor Raynal był jednym z nielicznych lekarzy godnych tego, aby w ich salonie wisiała słynna grawiura, na której Hipokrates odmawia przyjęcia darów od Artakserksesa.

XXXI

WIELKA ZDRADA PANA DE MIRABEAU

Pamiętamy ostatnie słowa Mirabeau do królowej w chwili, gdy żegnając się z nim w Saint-Cloud podała mu dłoń do ucałowania:

— Pani, przez ten pocałunek monarchia została ocalona! Teraz szło o to, aby dotrzymać obietnicy, jaką Prometeusz uczynił bliskiej już detronizacji Junonie.

Ufny we własne siły Mirabeau rozpoczął walkę nie myśląc o tym, że po tylu nieostrożnościach i trzech nieudanych spiskach powierzono mu grę niemożliwą do wygrania.

Być może Mirabeau. — co byłoby ostrożniejsze — powinien był walczyć czas jakiś pod osłoną maski, ale dwa dni po jego audiencji u królowej, gdy udawał się do Zgromadzenia, zauważył po drodze grupki ludzi, którzy wznosili okrzyki.

Podszedł i zapytał o przyczynę.

Z rąk do rąk podawano sobie jakąś broszurę.

Od czasu do czasu rozlegało się też wołanie:

— *Wielka zdrada pana de Mirabeau! Wielka zdrada pana de Mirabeau!*

— Coś mi się wydaje — powiedział sięgając do kieszeni po drobne — że to mnie dotyczy!... Przyjacielu — dodał zwracając się do kolportera rozdającego broszurki, których miał kilka tysięcy w koszach przytroczonych do grzbietu jucznego osiołka, przemierzającego się spokojnie tam, gdzie jego pan chciał przenieść swój kramik. — Ile to za *Wielką zdradę pana de Mirabeau?*

Kolporter spojrzał mu prosto w twarz;

— Rozdaję ją za darmo, panie hrabio — powiedział, a ciszej dodał: — Wydrukowano jej sto tysięcy,

Mirabeau oddalił się zamyślony.

Broszurę rozdawano bezpłatnie!

Kolporter go znał!...

Ale zapewne była to jedna z owych idiotycznych i pełnych nienawiści publikacji, od jakich roило się w tej epoce.

Nadmiar nienawiści i niedorzeczność sprawiały, że przestawały być niebezpieczne.

Mirabeau spojrzał na pierwszą stronę i zbladł.

Zawierała ona wykaz długów hrabiego de Mirabeau i, o dziwo!, wykaz ten był dokładny: dwieście osiem tysięcy franków!

Pod wykazem figurował dzień, w którym sumy te poszczególnym wierzycielom spłacone zostały przez jałmużnika królowej, pana de Fontanges'a.

Dalej wymieniona była suma, jaką hrabia de Mirabeau otrzymywał co miesiąc od dworu: sześć tysięcy franków.

Na końcu znajdował się opis wizyty hrabiego u królowej.

Rzecz zadziwiająca, anonimowy pamflecista nie pomylił się ani o cyfrę i niemal dokładnie cytował każde słowo.

Cóż za straszliwy, tajemniczy, znający najtajniejsze sekrety wróg prześladował go, a raczej w jego osobie prześladował monarchię?

Kolporter, który go zagadnął, rozpoznał, a nawet tytułował panem hrabią, wydał się Mirabeau nie całkiem obcą figurą.

Zawrócił więc.

Osiółek stał w tym samym miejscu z koszami niemal opróżnionymi, ale pierwszy kolporter zniknął, a jego miejsce zajął inny, zupełnie hrabiemu nie znany.

Rozdawał jednak broszurki z nie mniejszym zapalem.

Przypadek sprawił, że właśnie wtedy przechodził przez plac doktor Gilbert, który niemal co dzień uczestniczył w debatach Zgromadzenia, zwłaszcza gdy dotyczyły jakichś doniosłych spraw.

Czymś zajęty i zamyślony nie zamierzał chyba zatrzymywać się przy tej hałaśliwej grupie, ale Mirabeau ze swą zwykłą śmiałością podszedł doń, wziął pod ramię i zawiódł wprost do rozdawcy broszurek.

Ten uczynił wobec Gilberta ten sam gest, co wobec każdego innego przechodnia, czyli wyciągnął rękę mówiąc:

— Obywatelu, *Wielka zdrada pana de Mirabeau!*

Ale na widok Gilberta sparaliżowało mu jakby język i ramię:

— Nędzny zawód wykonujesz tu, panie Beausire!

I biorąc hrabiego pod ramię ruszył w stronę Zgromadzenia, które przeniosło się już z pałacu arcybiskupa do Ujeżdżalni.

— Czy pan zna tego człowieka? — zapytał Mirabeau.

— Znam go tak, jak zna się tego typu ludzi — odparł Gilbert. — To dawny oficer, szuler i oszust; nie wiedząc już, co robić, teraz został oszczercą.

— Ech — mruknął Mirabeau kładąc rękę na miejscu, gdzie jest serce, a gdzie teraz znajdował się pugilares z królewskimi pieniędzmi — gdybyż to były oszczerstwa...

I wielki mówca, bardzo zaszepiony, kroczył dalej.

— Jakże to, czyżbyś pan był tak mało filozofem, aby dać się przygnębić podobnym atakiem? — zapytał Gilbert.

— Ja? — wykrzyknął Mirabeau. — Och, doktorze, nie zna mnie pan... Oni twierdzą, że się sprzedałem, choć powinni po prostu powiedzieć, że jestem opłacany! Dobrze, jutro kupię pałacyk, jutro mieć będę powozy, konie, służbę, a także kucharza i będę prowadził dom otwarty. Ja, przygnębiony?... A cóż mnie obchodzi wczorajsza popularność i dzisiejsza niepopularność? Czy nie mam już przyszłości?... Nie, doktorze, gnębi mnie tylko myśl, że zapewne nie będę mógł dotrzymać danej obietnicy; to są błędy, powiem nawet zdrady dworu wobec mnie. Widziałem się z królową, a jakże! Zdawała się mieć do mnie całkowite zaufanie; przez chwilę marzyłem — zupełnie to bezsensowne marzenie wobec takiej kobiety — a więc przez chwilę marzyłem nie o tym, by zostać ministrem króla, jak Richelieu, ale ministrem... powiedzmy to wyraźniej... kochankiem królowej, jak Mazarin. Zapewniam cię, doktorze, że polityka światowa nic by na tym nie straciła! A co ona zrobiła? Tego samego dnia, pożegnawszy się ze mną, napisała do swojego agenta w Niemczech, pana Flachslaudena, mam na to dowód: „Proszę, powiedz pan memu bratu Leopoldowi, że idę za jego radą; posługuję się panem de Mirabeau, ale w moich stosunkach z nim nie ma nic poważnego”.

— Czy jesteś pan tego pewien? — zapytał Gilbert.

— Tak, najzupełniej... A to nie wszystko. Czy wiesz pan, o czym będzie dziś radzić Zgromadzenie?

— Wiem, że ma być mowa o wojnie, ale nie bardzo pojmuję, jaki jest powód tej wojny.

— O mój Boże! — westchnął Mirabeau — to bardzo proste: cała Europa podzielona jest na dwa obozy, z których jeden stanowią Austria i Rosja, drugi Anglia i Prusy, ale obydwaj żywią jednaką nienawiść, nienawiść do rewolucji. Dla Rosji i dla Austrii objawianie tego nie jest trudne, to wyraz ich własnych przekonań; inaczej się mają sprawy z liberalną Anglią i hołdującymi filozofii Prusami; te potrzebują czasu, żeby się zdecydować i przejść z jednego

bieguna na drugi, aby odstąpić, zaprzecić się swoich ideałów, przyznać do tego, czym w istocie są — wrogami wolności. Anglia na przykład dostrzegła, że Brabancja wyciąga rękę ku Francji, i to przyspieszyło jej decyzję. Drogi doktorze, nasza rewolucja jest żywotna i zaraźliwa, to już nie tylko rewolucja narodowa, ale ogólnoludzka. Irlandczyk Burke, wychowanek jezuitów z Saint-Omer, zaciekły wróg pana Pitta, ogłosił właśnie przeciwko Francji manifest, za który zapłacił mu brzęczącym złotem pan Pitt. Anglia nie wypowiedzi wojny Francji... nie, na to jeszcze się nie waży, ale zostawia Belgię na pastwę cesarza Leopolda, a sama, na końcu świata, szuka zwady z naszą sojuszniczką, Hiszpanią. Otóż Ludwik XVI powiadomił wczoraj Zgromadzenie Narodowe, że wyposaży czternaście okrętów. Nad tym właśnie będzie dzisiaj debatować Zgromadzenie. Do kogo należy inicjatywa w sprawie wojny? Oto jest pytanie. Król utracił już sprawy wewnętrzne, utracił wymiar sprawiedliwości; jeśli jeszcze odbierze mu się decydujący głos w sprawie wojny, co mu pozostanie? Z drugiej zaś strony — drogi doktorze, dotknijmy tutaj szczerze, pan i ja, sprawy, której nikt nie śmie poruszyć w Zgromadzeniu — król jest podejrzany; rewolucja jeszcze się nie zakończyła; a ja, z czego jestem dumny, przyczyniłem się do tego bardziej niż ktokolwiek inny; rewolucja jedynie skruszyła szpadę w rękę króla. Przeto pozostawienie mu ze wszystkich uprawnień decyzji w kwestiach wojny byłoby posunięciem na pewno nad wyraz niebezpiecznym. Jednak wierny danemu przyrzeczeniu, prosić będę, aby pozostawiono mu tę władzę; zaryzykuje własną popularność, a może nawet życie, podtrzymując to żądanie; sprawię, że przyjęta zostanie uchwała, która przyniesie królowi zwycięstwo i triumf. A co w tej chwili robi król? Każe właśnie strażnikom pieczęci szukać w archiwach parlamentu dawnej formuły protestu przeciwko Stanom Generalnym, zapewne po to, by zredagować tajemny protest przeciw Zgromadzeniu. Prawdziwym nieszczęściem, drogi Gilberte, jest to, że robi się zbyt wiele rzeczy tajemnych, a nie dosyć otwartych, publicznych, z podniesioną przyłbicą. Właśnie dlatego chcę, ja, Mirabeau, rozumiesz pan, aby wiadano, że jestem po stronie króla i królowej, skoro tak jest istotnie. Mówił pan, że ta napaść budzi mój niepokój, nie, doktorze, ona mi służy; mnie, tak jak burzom, potrzebne są ciemne chmury i przeciwne wiatry. Chodź, chodź, doktorze, a ręczę, że będzie pan świadkiem pięknego posiedzenia!

Mirabeau miał rację, od chwili pojawienia się zaś w Ujeżdżalni dawać musiał dowody nie lada odwagi. Prosto w twarz krzyczano mu „Zdrada!”, pokazując to sznur, to znów pistolet.

Mirabeau wzruszył ramionami, przeszedł niczym Jean Bart, roztrącając łokciami tych, co stali mu na drodze.

Wrogie okrzyki towarzyszyły mu do samej sali, a tam wzbudził nowe wrzaski. Ledwie się pojawił, a sto głosów zawołało: „Jest ten zdrajca! Sprzedajny mówca! Renegat!”

Na mównicy stał Barnave i przemawiał przeciwko Mirabeau. Hrabia przyjrzał mu się z uwagą.

— Ależ tak — rzucił Barnave — to ciebie nazywają zdrajcą i ja przeciwko tobie przemawiam!

— Jeśli przemawiasz przeciwko mnie — odparł Mirabeau — mogę spokojnie przejść się po ogrodach Tuileries. Zdążę wrócić, nim skończysz.

I z podniesioną głową i gniewnym wzrokiem wyszedł wśród złorzeczeń, obelg i gróźb, kierując się na taras des Feuillants, a stamtąd do ogrodów.

Gdy znalazł się w połowie głównej alei, dostrzegł otoczoną kręgiem ludzi młodą kobietę, która trzymając w dłoni gałązkę werwenty wdychała jej zapach.

Po jej lewej stronie było wolne miejsce, więc Mirabeau wziął krzesło i usiadł obok niej.

Co najmniej połowa zebranych wstała i odeszła. Mirabeau patrzył za nimi z uśmiechem. Młoda kobieta podała mu rękę.

— Cóż to, baronowo, nie boi się pani zarazić dżumą? — zapytał.

— Drogi hrabio — odrzekła młoda niewiasta — podobno skłaniasz się w naszą stronę, więc będę próbować pana przyciągnąć.

Mirabeau uśmiechnął się i przez trzy kwadranse rozmawiał z młodą kobietą, którą była Anna Luiza Żermena Necker, baronowa de Staël.

Po upływie tego czasu wyciągnął zegarek i rzekł:

— Proszę mi wybaczyć, baronowo! Barnave przemawiał dzisiaj przeciwko mnie, a mówił już od godziny, kiedy opuszczałem Zgromadzenie; miałem szczęście rozmawiać z panią niemal trzy kwadranse, a więc mój oskarżyciel przemawia od dwóch bez mała godzin; zapewne zbliża się do końca, a ja muszę mu odpowiedzieć.

— Zatem niech pan odpowie — rzekła baronowa. — I życzę powodzenia!

— Pani, ofiaruj mi, proszę, tę gałązkę werweny — rzekł Mirabeau. — Posłuż mi za talizman.

— Ostrożnie, drogi hrabio, werwena to kwiat żałobny!

— Nie szkodzi, dobrze jest mieć koronę męczennika, gdy zstępuje się na cyrkową arenę.

— Istotnie, trudno o coś głupszego, niż wczorajsze Zgromadzenie.

— Och, baronowo, po cóż podawać daty — odparł Mirabeau.

I biorąc z jej rąk gałązkę werweny, ofiarowaną zapewne w nagrodę za te słowa, Mirabeau skłonił się dwornie, wszedł po schodach na taras i wkroczył na salę obrad.

Barnave opuszczał właśnie trybunę pośród oklasków całej sali, wygłosił bowiem jedno z tych zawitych przemówień, które podobają się wszystkim stronnictwom.

Ledwie Mirabeau stanął na mównicy, wybuchła burza wrzasków i złorzeczeń.

On jednak podniósł w górę silną dłoń i czekał, a kiedy na chwilę ucichło, jak zdarza się to podczas burz i rozruchów, zawołał:

— Wiedziałem, że niedaleka jest droga z Kapitolu na Skalę Tarpejską!

Po tych słowach umilkli nawet najbardziej zacierzewieni.

Z chwilą gdy Mirabeau uzyskał ciszę, miał już połowę zwycięstwa. Zażądał, aby inicjatywa w sprawach wojny przysługiwała królowi; żądanie było jednak zbyt śmiałe i odrzucono je. Wobec tego rozgorzała walka wokół poprawek do uchwały. Pierwszy atak został odparty, teraz trzeba było odzyskiwać teren częściowymi natarciami; Mirabeau pięciokrotnie powracał na mównicę.

Poprzednio Barnave przemawiał dwie godziny; Mirabeau, powracając kilkakrotnie, przemawiał aż trzy i ostatecznie uzyskał, co następuje:

Król ma prawo „czynić przygotowania wojenne i kierować armią”, jak chce; to on „proponuje” wojnę Zgromadzeniu, które nie decyduje o niczym, co nie zostało „zatwierdzone” przez króla.

Mirabeau uzyskałby dużo więcej, gdyby nie broszurka zatytułowana *Wielka zdrada pana de Mirabeau*, rozdawana najpierw przez nieznanego kolportera, a potem przez pana de Beausire’a.

Wychodzącego z posiedzenia Mirabeau tłum omal nie rozszarpał na sztuki. Barnave’a natomiast lud w triumfie poniósł na ramionach.

Biedny Barnave! Już niedaleki jest dzień, kiedy i ty usłyszysz na ulicy okrzyki: „Wielka zdrada Barnave’a!”

XXXII

ELIKSIR ŻYCIA

Mirabeau opuścił zgromadzenie z podniesioną głową i dumnym spojrzeniem. Dopóki stał oko w oko z niebezpieczeństwem, potężny atleta myślał tylko o zagrożeniach, a nie o własnych siłach.

Było z nim trochę tak jak z Marszałkiem Saskim podczas bitwy pod Fontenoy, kiedy to wyczerpany i chory spędził cały dzień na koniu, dzielniejszy od najdzielniejszego żołnierza własnej armii, a kiedy już opór Anglików został przełamany, gdy rozwiął się dym ostatniego wystrzału, który przypieczętował ucieczkę wrogów, umierający niemal marszałek osunął się na bitewne pole, które przed chwilą zdobył.

Podobnie było z Mirabeau.

Wróciwszy do domu, ułożył się na podłodze, na poduszkach rozrzuconych pośród kwiatów.

Mirabeau miał bowiem dwie namiętności: kobiety i kwiaty.

Od początku sesji Zgromadzenia Narodowego jego zdrowie wyraźnie szwankowało; choć organizm miał silny, jego zdrowie nigdy nie było dobre, bo kolejne prześladowania i uwięzienia przyniosły mu zbyt wiele fizycznych i moralnych cierpień.

Póki człowiek jest młody, wszystkie organy gotowe są wykonać pierwszy rozkaz, jaki przekaże mózg; działają niejako bez sprzeciwu i równolegle z pragnieniem, które nimi kieruje. Jednak w miarę upływu lat każdy organ zaczyna zachowywać się niczym stary sługa, co choć jeszcze posłuszny, wszelako ośmielony długoletnią służbą, miewa już kaprysy i nie skłania się do posłuszeństwa bez walki i wysiłku.

Mirabeau doszedł właśnie do takiego wieku; aby jego organy służyły mu z gotowością, do jakiej przywykł, musiał się rozgniewać, bo tylko złość zmuszała do posłuszeństwa te znużone i obolałe sługi.

Tym razem czuł się gorzej niż zazwyczaj i nawet nie bardzo protestował, gdy lokaj mówił o wezwaniu lekarza; akurat wtedy pojawił się doktor Gilbert.

Mirabeau podał doktorowi rękę i przyciągnął go na poduszki, gdzie leżał pośród liści i kwiatów.

— Drogi hrabio — rzekł Gilbert — nie chciałem wracać do domu nie złożony panu gratulacji. Obiecywał mi pan zwycięstwo, ale odniósł pan coś więcej — triumf.

— Tak, ale ten triumf to rodzaj zwycięstwa, jakie odniósł Pyrrus; jeszcze jedno takie zwycięstwo, doktorze, a jestem zgubiony.

Gilbert spojrzał na niego z uwagą.

— Istotnie — powiedział — pan jest chory. Mirabeau wzruszył ramionami.

— Kto inny niż ja, oddając się takiemu zajęciu, umarłby już sto razy — rzekł Mirabeau. — Mam dwóch sekretarzy, obaj padają z wyczerpania, zwłaszcza Pellinc. Do jego obowiązków należy przepisywanie moich haniebnych brudnopisów i bez niego nie mogę się obejść, bo tylko on umie mnie odczytać i zrozumieć. Pellinc leży chory od trzech dni. Doktorze, niechże mi pan wskaże, nie powiem to, co pozwoliłoby mi żyć, ale to, co dałoby mi siłę, póki jestem przy życiu.

— No cóż — rzekł Gilbert zbadawszy puls chorego — doprawdy trudno coś doradzać takiej konstytucji psychicznej jak pańska. Jak namawiać do wypoczynku człowieka, który czerpie siłę nade wszystko z ruchu, albo też doradzać umiarkowanie geniuszowi, który wzrasta pośród nadmiaru wydarzeń! Mogę panu powiedzieć, aby usunął ze swego pokoju te kwiaty i rośliny, co wydzielają tlen w dzień, a dwutlenek nocą, ale pan uczyniłeś z tych kwiatów potrzebę i bardziej

byś cierpiał z powodu ich braku niż ze względu na ich obecność. Gdybym panu powiedział, abys traktował kobiety jak kwiaty i oddalał je, zwłaszcza w nocy, odpowiedziałbyś, że raczej wolisz umrzeć... Żyj więc, drogi hrabio, jak żyjesz, tylko otaczaj się bezwonnymi kwiatami, a także, jeśli to możliwe, miłośkami pozbawionymi namiętności.

— Och, w tym względzie, drogi doktorze, może pan być spokojny — rzekł Mirabeau. — Namiętna miłość nazbyt mi się nie udała, ażebym próbował raz jeszcze; trzy lata więzienia, wyrok śmierci i samobójstwo ukochanej kobiety, która zabiła się dla innego, wyleczyły mnie z tego rodzaju miłości. Wspominałem już panu, że przez chwilę marzyło mi się coś wielkiego; śniłem o związku Elżbiety i hrabiego Essex, Anny Austriaczki i Mazarina, Katarzyny II i Potiomkina, ale to był tylko sen. No i cóż. Nie widziałem już więcej tej kobiety, dla której walczę, i pewnie nigdy jej nie zobaczę... Wie pan, Gilbert, nie ma chyba większej męczarni niż snuć w duchu olbrzymie projekty, marzyć o rozkwicie królestwa, o triumfie przyjaciół i unicestwieniu wrogów, a zarazem zdawać sobie sprawę, że wszystko wymyka się z rąk przez nieszczęśliwy zbieg przypadków lub kaprys losu. Jakże ciężko ci ludzie każą mi pokutować za szaleństwa młodości i jakże ciężko sami za nie odpokutują! Właściwie czemu oni mi nie dowierzają? Wyjąwszy dwa czy trzy przypadki, kiedy doprowadzili mnie do ostateczności i kiedy musiałem uderzyć, aby poznali moją siłę, czyż nie byłem im całkowicie oddany, od początku do końca? Czyż nie domagałem się absolutnego weta, kiedy Necker zadawał się wstrzymującym? Czyż nie byłem przeciwny uchwałom, jakie zapadły w nocy 4 sierpnia, zresztą pod moją nieobecność, a które pozbawiły szlachtę przywilejów? Czyż nie protestowałem przeciwko Deklaracji Praw Człowieka, nie dlatego, że chciałem z niej coś ująć, ale ponieważ byłem przekonany, że jej dzień jeszcze nie nadszedł? A dzisiaj? Czy dzisiaj nie przysłużyłem się im daleko więcej niż w ogóle mogli zamarzyć? Czy kosztem mojego honoru, popularności, wręcz życia, nie uzyskałem więcej niż ktokolwiek, choćby nawet minister lub książę, mógłby dla nich uzyskać? A kiedy pomyślę — rozważ dobrze, co powiem, wielki filozofie, bo w tym może kryje się upadek monarchii — kiedy myślę, ja, dla którego ujrzeć królową to honor tak wielki, że przyznany mi został tylko jeden raz, kiedy pomyślę, że gdyby nie to, iż mój ojciec umarł w przededniu wzięcia Bastylji, a przywoitość zakazywała mi uczestnictwa w publicznych wystąpieniach dwa dni po tej śmierci, w dniu kiedy La Fayette został mianowany generałem, a Bailly merem Paryża; a to ja powinienem był zająć miejsce Bailly'ego, wówczas wszystko potoczyłoby się inaczej! Król natychmiast musiałby wejść w porozumienie ze mną, byłbym go natchnął innymi ideami niż te, jakie ma odnośnie kierowania miastem, które kryje w swym łonie Rewolucję, byłbym zdobył jego zaufanie, doprowadził go do podjęcia zapewniających bezpieczeństwo kroków, póki zło nie było jeszcze tak głęboko zakorzenione. Niestety, jako zwykły deputowany, człowiek budzący zawiść, obawę, podejrzany i zniechęcony, zostałem odsunięty od króla i oczerniony wobec królowej! Czy uwierzy pan, doktorze, że na mój widok w Saint-Cloud ona pobladła? To bardzo proste, czyż nie wmówiono jej, że to ja przygotowałem wydarzenia z 5 i 6 października? Otóż w ciągu całego ubiegłego roku byłbym zrobił wszystko, czego nie dane mi było uczynić, gdy tymczasem dziś jest już chyba za późno tak dla dobra monarchii jak i dla mego własnego.

I z wyrazem prawdziwego cierpienia na twarzy Mirabeau przycisnął rękami brzuch poniżej żołądka.

— Czy pan cierpi, hrabio? — zapytał Gilbert.

— Jak potępieniec. Daję słowo, są dni, kiedy wydaje mi się, że moje siły moralne słabną pod wpływem oszczerstw, a ciało jest jakby otrute arsenikiem... Doktorze, czy pan wierzy w truciznę Borgiów, w *aqua tofana* Pérouse'a i w trucicielski proszek pani Voisin? — zapytał z uśmiechem Mirabeau.

— Nie, ale wierzę w płomienne ostrze, które pali pochwę, i w lampę, której rozproszony płomień rozsadza szkło.

Gilbert wyciągnął z kieszeni mały kryształowy flakonik, zawierający ledwie dwa naparstki zielonkawego płynu.

— Proszę, hrabio — powiedział — zaraz zrobimy próbę.

— Jaka? — zapytał Mirabeau z ciekawością przyglądając się flakonikowi.

— Jeden z moich przyjaciół, a pragnąłbym, aby stał się również pańskim, bardzo biegły w naukach przyrodniczych, a nawet, jak sam twierdzi, w wiedzy tajemnej, dał mi receptę na ten lek, rzekomo cudowne antidotum, uniwersalne panaceum, wręcz eliksir życia. Często, gdy ogarniały mnie ponure myśli, które naszych angielskich sąsiadów doprowadzają do spleenu, a nawet do śmierci, wypijałem kilka kropel tego płynu i muszę przyznać, efekt był zawsze szybki i zbawienny. Czy zechce pan tego spróbować?

— Z pańskiej ręki, doktorze, przyjmę wszystko, nawet cykutę, a tym bardziej eliksir życia. Czy trzeba to jakoś przygotować, czy też pije się czysty?

— Nie, bo ten likwor posiada rzeczywiście wielką moc. Niech pan powie lokajowi, aby przyniósł kilka kropel wódki albo spirytusu na łyżeczce.

— Do licha, spirytus albo wódka dla złagodzenia pańskiego napitku! Czyżby to był płynny ogień? Nie słyszałem, aby ktokolwiek pił coś podobnego od czasu, gdy Prometeusz poczęstował nim przodków ludzkiego rodzaju; wątpię tylko, czy mój służący znajdzie w całym domu sześć kropel wódki; nie jestem jak Pitt i nie stąd czerpię swoją elokwencję.

Lokaj wrócił jednak chwilę później z łyżeczką zawierającą żadaną ilość wódki.

Gilbert dołał do niej taką samą ilość płynu z flakonika; oba płyny natychmiast przybrały jaskrawozieloną barwę absyntu, a Mirabeau chwyciwszy łyżeczkę wypił jej zawartość.

— Do diaska, doktorze! — zawołał. — Dobrze, żeś mnie pan ostrzegł, że to lekarstwo jest takie mocne; mam dosłownie wrażenie, że połknąłem błyskawicę!

Gilbert uśmiechnięty zdawał się czekać z ufnością.

Mirabeau na dłuższą chwilę znieruchomiał, jakby tych kilka kropel ognia pochłaniało go od wewnątrz; spuścił głowę na piersi i ręką przyciskał żołądek, nagle jednak uniósł głowę i rzekł:

— Doktorze, naprawdę podałeś mi eliksir życia.

Po czym wstał energicznie, zacerpnął głęboko powietrza, wyprostował się i szeroko rozłożywszy ramiona powiedział:

— Niechaj teraz monarchia się wali; mam dość siły, by ją podtrzymać!

Gilbert zapytał z uśmiechem:

— Czyżby czuł się pan lepiej?

— Doktorze — odrzekł Mirabeau — powiedz mi, gdzie sprzedają ten napój, a choćbym miał płacić za każdą kroplę brylantem równym jej wielkości, choćbym musiał zrezygnować z wszelkiego luksusu w zamian za luksus siły i życia, zaręczam, że zdobędę ten płynny ogień i wtedy będę się uważał za niezwyciężonego.

— Hrabio — rzekł Gilbert — daj mi słowo, że będziesz zażywać ten napój nie częściej niż dwa razy na tydzień i zwrócisz się tylko do mnie, aby odnowić zapas, a ten flakonik jest twój.

— Daj go, doktorze, a obiecuję wszystko, co zechcesz — rzekł Mirabeau.

— Proszę — powiedział Gilbert — ale to jeszcze nie wszystko; czy nie mówił mi pan przedtem, że sprawi sobie powóz i konie?

— Owszem.

— Więc niech pan zamieszka na wsi; kwiaty, które zatrują powietrze w pokoju, oczyszczają je w ogrodzie; codzienny spacer do Paryża i powrót na wieś okażą się zbawienne;

jeśli to możliwe, proszę wybrać rezydencję położoną na wzgórzu, w lesie lub nad rzeką, na przykład w Bellevue, w Saint–Germain lub w Argenteuil.

— Argenteuil! — zawołał Mirabeau. — Właśnie posłałem tam służącego, aby rozejrzał się za jakimś wiejskim domkiem. Teisch, mówiłeś przecież, że znalazłeś tam coś odpowiedniego?

— Tak, panie hrabio — odrzekł służący, który był świadkiem zabiegów, jakie przeprowadził Gilbert. — Uroczy dom, o którym wspominał mi mój ziomek, Fritz; mieszkał tam ponoć ze swoim panem, zagranicznym bankierem. Dom jest wolny i pan hrabia może go objąć, kiedy zechce.

— A gdzie stoi ten dom?

— Poza Argenteuil; nazywają go zamkiem Marais.

— Och, znam go — powiedział Mirabeau. — Doskonale, Teisch. Kiedy ojciec wypędzał mnie z domu, obrzucając przekleństwami i okładając laską... Bo pan wie, doktorze że mój ojciec mieszkał w Argenteuil...

— Tak, wiem.

— A więc kiedy wypędzał mnie z domu, zdarzało mi się często wędrować pod mury tej pięknej posiadłości, powtarzając sobie za Horacym, proszę wybaczyć, jeśli cytat jest fałszywy: *O rus, quando te aspiciam*.

— Zatem, drogi hrabio, nadszedł czas, aby spełnić to marzenie. Wyjedź, obejrzyj pałacyk Marais, przenieś się tam... Im prędzej, tym lepiej.

Mirabeau zamyślił się na chwilę, po czym rzekł zwracając się do Gilberta:

— Drogi doktorze, przecież pańskim obowiązkiem jest czuwać nad chorym, którego właśnie wskrzesiłeś; jest dopiero piąta po południu, dnie są już długie, a pogoda piękna, wsiądźmy przeto w powóz i pojedźmy do Argenteuil.

— Niech i tak będzie, jedźmy do Argenteuil. Skoro podjęło się kurację tak cennego zdrowia jak pańskie, drogi hrabio, trzeba wszystko poznać... Jedźmy więc obejrzeć pańską przyszłą wiejską rezydencję!